

ZBRODNIA PRAWIE DOSKONAŁA

POD REDAKCJĄ ROSE G. MANDELSBERG

Przekład DANUTA PETSCH



WARSZAWA 1995

Spis treści

<i>Channing Corbin</i> Leki okazały się wyrokiem śmierci	1
<i>Bud Ampolsk</i> Czy sympatyczny doktor stał się żądnym krwi rzeźnikiem?	15
<i>W.T. Brannon</i> Zabójstwo niewłaściwej osoby	29
<i>Richard Walton</i> Nie tylko jedna ofiara mordercy	43
<i>Barbara Geehr</i> Anioł miłosierdzia zabija	55
<i>Bud Ampolsk</i> Doktor uzurpował sobie władzę rozstrzygania o życiu i śmierci	71
<i>John Dunning</i> Psychopata seksualny przywiązał łańcuchami trzy niewolnice	93
<i>Andrew Lowen</i> „Człowiek o złowieszczych oczach”	105
<i>Ann Fish</i> Przerażające morderstwo erotomana	117
<i>John Dunning</i> Perwersyjne przyjemności erotyczne doktora sadysty	135
<i>Randall Shanley</i> Orgie seksualne z przepisu lekarza	149
<i>Jack Goulding</i> Dwanaście ofiar anioła śmierci	167

Tytuł oryginału
MEDICAL MURDERERS

Copyright © by RGH Publishing Corp.
Polish edition copyright © 1995 by MARBA CROWN LTD.
Polish translation copyright © by Danuta Petsch
Zdjęcia na okładce copyright © by Przemysław Snoch
ISBN 83-85467-57-2

Wydanie I

Wydawnictwo MARBA CROWN LTD., Warszawa 1995
Skład: „Polico-Art” Warszawa, ul. Ratuszowa 11 p. 312
Printed in Poland



DRUK I OPRAWA
Zakłady Graficzne w Gdańsku
fax (058) 32-58-43

<i>Peter Oberholtzer</i>	
Czy w szpitalu weteranów swobodnie działali zabójcy? ...	181
<i>Jaye Fletcher</i>	
12 strzałów.....	203
<i>Bob Carlsen</i>	
„Anioł miłosierdzia” zadaje śmiertelny cios w plecy.	215
<i>Jack G. Heise</i>	
Casanová okazał się zabójcą z piłą elektryczną.....	229
<i>William K. Beaver</i>	
Mrożące krew wyznanie truciela z Cincinnati.....	247
<i>Joseph L. Koenig</i>	
Czerpał korzyści z ubezpieczenia na życie swoich ofiar ...	259
<i>John Dunning</i>	
Pływające zwłoki w różowej koszuli nocnej.....	275
<i>L.L. Alberts</i>	
Zbrodnia na Hilldrop Crescent.....	287
<i>Krist Boardman</i>	
Trzy morderstwa według jednego przepisu.....	299
<i>Bill Kelly</i>	
Prawie doskonała zbrodnia.....	307
<i>Edward S. Sullivan</i>	
Sprawne użycie noża.....	319
<i>Joseph L. Koenig</i>	
Śmierć rozdzieliła kochanków, nad którymi zawisło złowrogie fatum.....	341
<i>Julie Malear</i>	
„Anioł miłosierdzia” koi ból za pomocą piły.....	353

Channing Corbin

LEKI OKAZAŁY SIĘ WYROKIEM ŚMIERCI

Około godziny 6.45 w niedzielę 17 czerwca 1984 roku, a był to wspaniały, piękny poranek wiosenny, trener wyprowadził trzyletniego konia o imieniu Swale na krótki galop wokół toru wyścigowego w Belmont Park, N.Y. Koń, którego wartość oceniano na co najmniej 40 milionów dolarów, wyglądał na zadowolonego z biegu i był w dobrym nastroju. W parę minut później, po krótkiej kąpieli, gdy polano go wodą z węża, dziwnie zarżał, upadł na ziemię i zakończył życie. Swale był zwycięzcą derby w Kentucky i został sklasyfikowany jako czempion w swojej klasie. Według natychmiast postawionej diagnozy przyczyną zgonu był atak serca. Przeprowadzona następnie trzygodzinna sekcja odrzuciła to rozpoznanie, ale nie wykazała rzeczywistej przyczyny śmierci zwierzęcia.

Jeden z dwóch weterynarzy wezwanych do dokonania sekcji trzylatka powiedział: - Może się zdarzyć, że nigdy się nie dowiemy, jaka była przyczyna, podobnie jak to bywa w przypadku śmierci ludzi.

W tym nie wyjaśnionym przypadku śmierci konia kryje się analogia do tajemniczego zgonu pewnej kobiety 15 lipca 1983 roku w małym mieście Douglas, Wyoming. Zmarłą była czterdziestoczteroletnia Kay Marie Schmunk. Przez długi czas po jej zagadkowej przedwczesnej śmierci obawiano się, że przyczyna zgonu pozostanie nieznana.

Douglas, Wyoming, miasto będące siedzibą Akademii Policji Stanowej, jest położone w niewielkiej odległości na południe od Casper przy autostradzie Untetstate 25. To małe miasteczko z około sześcioma tysiącami mieszkańców trudno byłoby uznać za środowisko, gdzie mogło nastąpić tajemnicze morderstwo. Co więcej, pani Kay Marie Schmunk, biorąca udział w różnych pracach społecznych prowadzonych przez Kościół i pełniąca funkcję przewodniczącej kapituły Społecznego Stowarzyszenia Organizacji Życia, nie była typową kandydatką na ofiarę zabójstwa.

W latach sześćdziesiątych Kay i jej pierwszy mąż mieszkali z trojgiem dzieci w Mount Clemens, na przedmieściach Detroit. Ich lekarzem domowym był dr R. F. Schmunk, który podobnie jak oni cieszył się szczęśliwym życiem rodzinnym.

Oba małżeństwa zaczęły się jednak rozpadać, gdy pierwotnie normalne związki sympatii między pacjentką i lekarzem, wesołym doktorem Bobem Schmunkiem, zamieniły się w burzliwy romans; z czasem związek ten rozwinął się tak gwałtownie, że rozbił oba małżeństwa. Uzyskany po osiemnastu miesiącach rozwód Kay okazał się dla niej szczególnie bolesny. Skończyło się bowiem na oddaniu dzieci, zgodnie z decyzją sądu, pod opiekę ojca. Po roku Kay rozpoczęła działania prawne w celu obalenia tego postanowienia sądu.

W końcu wygrała batalię prawną i odzyskała prawo do opieki nad dziećmi, a po jej ślubie z doktorem Schmunkiem w 1972 roku dzieci zamieszkały z nimi. Dr Schmunk, będąc lekarzem domowym w zamkniętym środowisku przedmieścia, często stawał się przedmiotem złośliwych, a nawet wręcz skandalicznych plotek. Powodów zapewne należało szukać w zażyłości z Kay i - w następstwie tego - w rozbiciu obu małżeństw.

W 1971 roku, wraz z dziesięcioletnim synem Kay, Larry Samem Wilsonem, Schmunkowie wybrali się na pokaz strzel-

niczy w Findlay, Ohio. Podróżowali samochodem kempingowym, gdy nastąpił tragiczny wypadek. Wybuchła butla gazu butanowego, niszcząc samochód i zabijając chłopca.

Schmunkowie rozważali możliwość przeniesienia się do innego miasta, gdzie mogliby znaleźć więcej spokoju i rozpocząć całkowicie nowe życie. Oboje ślęczeli nad mapami. Ostatecznie wybrali Douglas po sprawdzeniu, że hrabstwo Converse chętnie powita osiedlenie się tam lekarza domowego.

Pod koniec 1979 roku doktor Bob, jak sympatycznie nazywali go pacjenci i przyjaciele, osiadł z rodziną w posiadłości liczącej 8,5 akra pod Douglas i wystąpił o rejestrację praktyki lekarskiej; otrzymał ją w styczniu 1980 roku. Gabinet urządził w swojej rezydencji. Wkrótce oboje z żoną zaczęli brać czynny udział w akcjach społecznych miejscowego Kościoła. Kay mówiła o swoim nowym „narodzeniu”, bo dawna katoliczka, udzielająca się także w sekcje Świadków Jehowy, teraz stała się gorliwą wyznawczynią Kościoła Baptystów, jak jej mąż.

Państwo Schmunkowie spotkali się z serdecznym przyjęciem miejscowej społeczności i zyskali grono przyjaciół, którzy z tym większym zdumieniem i żalem przyjęli wiadomość o nagłej i tajemniczej śmierci Kay.

Po wydaniu świadectwa zgonu przez County Memoriał Hospital w Converse 15 czerwca 1983 roku wielu ludzi było przekonanych, że śmierć nastąpiła z przyczyn naturalnych. W przychodni szpitalnej lekarz dyżurny usiłował bohatercko ratować pacjentkę po jej przywiezieniu ambulansem. Doktor Schmunk zawiadomił policję i szpital. Złamany nieszczęściem towarzyszył Kay do szpitala. Znał dyżurującego internistę i choć ten był całkowicie przekonany, że pani Schmunk nie żyje, trwał w próbach reanimacji, czekając na znak ze strony doktora Schmunka, gdyby ten uznał, iż wszystko, co można było uczynić, zostało zrobione.

Na tym etapie wszyscy wiedzieli tylko to, co im powiedział zrozpaczony doktor. Oświadczył on, że gdy obudził się o szóstej trzydzieści, znalazł leżącą obok niego żonę zimną, bez życia. Nadmienił o śladzie czerwonego płynu wokół jej ust i nosa oraz że jej twarz była popielato-błada, w plamach. Sprawdził puls i czynność serca, ale nie było oznak życia. Schmunk był bliski

szaleństwa i wrzasnął na swego pasierba Johna, by zawiadomił policję i wezwał pogotowie. W parę minut później w rezydencji zjawili się oficerowie policji Robert Wegner i Robert Miller. Przyjechała karetka pogotowia.

Policjanci zobaczyli, że dr Schmunk na łóżku w sypialni stosuje żonie reanimację krążeniowo-oddechową. Pielęgniarze pośpiesznie przenieśli kobietę do ambulansu, a droga do szpitala na sygnale zajęła trzy minuty. Lekarz dyżurny natychmiast próbował reanimować ofiarę. Schmunk, bliski hysterii, stał obok, okryty prześcieradłem. W pewnym momencie wykrztusił z siebie, że wstrzyknął żonie wieczorem 15 miligramów morfiny, gdyż skarżyła się na ostry ból głowy. Ta dawka w żadnym wypadku nie może być uznana za dużą i powszechnie stosuje się ją przeciwbólowo. Jednakże internista zdecydował się wstrzyknąć środek antagonistyczny w zastrzyku. Ku swemu zaskoczeniu, nie mógł znaleźć żyły.

Ten objaw mógł wskazywać, że chora cierpiała na długotrwałą chorobę albo że była narkomanką. Internista próbował reanimować Kay przez czterdzieści minut, choć uważał, że śmierć kliniczna nastąpiła przed przywiezieniem jej do szpitala. Udało mu się wreszcie podać dożylnie środek antagonistyczny, ale nie było rezultatów. Doktor Schmunk kilkakrotnie prosił o zaniechanie prób, jeśli internista uzna je za bezowocne. Był zrozpaczony, choć zdawał się panować nad swymi uczuciami. Jako lekarz był przyzwyczajony do śmierci.

Niebawem pielęgniarka przykryła zmarłą prześcieradłem. Zarządzono badania *post mortem*. Zazwyczaj w przypadkach, gdy pacjent umiera w szpitalu, albo gdy był leczony przez lekarza, nie stosuje się sekcji zwłok. W takich przypadkach śmierć przypisuje się następstwu choroby.

Jednakże w przypadku Kay Marie Schmunk w opinii internisty nie występowała oczywista przyczyna śmierci. Na wzmiankę o badaniu sekcyjnym doktor Schmunk, porażony niewytłumaczalną nagłą śmiercią żony, osłupiał i zaprotestował. - Czy musicie wszystko wiedzieć? Czy wszystko musi być wyjaśnione do końca? Panie Boże, okaż miłosierdzie - jęczał, zrozpaczony.

Choć lekarz dyżurny w pełni rozumiał uczucia kolegi, czuł się zobowiązany postąpić wbrew jego stanowisku. Delikatnie

wyjaśnił małżonkowi zmarłej, że do jego obowiązków należy zastosować się do przyjętych zasad. Dr Schmunk wspomniał, że podał wieczorem żonie metadon i meperidryl (demoral) po tym, jak narzekała na szalony ból głowy. Sam będąc lekarzem i orientując się we właściwych przepisach, zdawał się być pogodzony z faktem, że ciało jego żony będzie poddane badaniu sekcijnemu.

Tymczasem koroner hrabstwa Converse był lekko zaskoczony* gdy o 7.45 w ten fatalny piątek odebrał telefon od dr. Schmunka, zawiadamiający go o nagłej śmierci jego żony. Dr Schmunk dawał do zrozumienia, że - zgodnie z religijnymi wierzeniami ich obojga - chciałby zorganizować natychmiastową kremację jej ciała. Koroner odpowiedział, że pozwolenie wiąże się ze spełnieniem pewnych wymogów. Wypełniając odpowiednie formularze, dr Schmunk powiadomił koronera, że przyczyną śmierci była *niedomoga systemu krążeniowo-oddechowego*.

W sobotę, 16 czerwca 1983 roku, następnego dnia po nagłej, tajemniczej śmierci Kay Schmunk w sypialni jej domu, przewieziono jej ciało do Casper, Wyoming, w przyległym hrabstwie Natrona. Przekazano je dr. Ronaldowi Waeckerlinowi, patologiczemu sądowemu, który miał przeprowadzić badania sekcyjne ciała zmarłej.

Tego samego dnia dr Waeckerlin rozpoczął zaplanowane badania. Dowiedziawszy się, że zmarła cierpiała na uporczywe bóle głowy, tak silne, że trudno im było przeciwdziałać, oczekiwał, że Kay zmarła w następstwie guza mózgu albo tętniaka. Został też poinformowany, że w czasie wcześniejszych badań w szpitalu hrabstwa Converse stwierdzono, iż pęcherz zmarłej jest pusty - suchy jak pieprz. Ten czynnik uznano za wyjątkowy, gdyż morfinę, semerol i metadon charakteryzuje to, że zatrzymują mocz, i w pęcherzu powinno pozostać co najmniej 10 mililitrów kwadratowych płynu. Nie wiadomo, dlaczego pominięto ten fakt w świadectwie z badań.

W czasie sekcji w kostnicy był obecny przedstawiciel sądownictwa hrabstwa Converse, który miał formalne upoważnienie do asystowania przy badaniach. Był to James Davey, detektyw zatrudniony w biurze szeryfa gminy Converse. Dość zaskakują-

cy był fakt, że zanim minęły 24 godziny od czasu, gdy przestało bić serce pani Schmunk, do czasu, gdy jej ciało owinięto w zielone prześcieradło i przewieziono do prosektorium w Casper, do prokuratora hrabstwa Converse Franka Peasely i jego zastępcy Mike'a Hubbarda trafiały zawołowane, często przelotne pogłoski o podejrzeniach w tej sprawie. Insynuowano, że nie wszystko jest takie jasne.

Peasley stwierdził, że byłoby trudno zignorować potok nie sprawdzonych pogłosek. W obecnym stanie rzeczy wiedział, że istnieje tylko jedna okazja odrzucenia podejrzeń albo nadania im urzędowej mocy; tą okazją były badania *post mortem*.

Mąż oczekiwał jednak pozwolenia na szybką kremację, a to zniszczyłoby wszelkie dowody.

Ktoś z krewnych zmarłej był trochę zdziwiony, słysząc o planach dr. Schmunka pochówku prochów żony w urnie, biorąc pod uwagę, że przerażał ją ogień od czasu, gdy pochłoniął jej syna.

Ciągle jeszcze oszołomiony tragedią, dr Schmunk miał niełatwe zadanie w podjęciu dalszych planów pogrzebowych, gdyż nie wiedział, kiedy coroner pozwoli na wydanie zwłok. Jednakże jako świeżo osierocony mąż zachowywał się odpowiednio do sytuacji i otrzymywał od przyjaciół i parafian wiele wyrazów współczucia.

19 lipca, w cztery dni po śmierci Kay, doktor Bob udał się do znajomego dentysty w Douglas. Mówiąc lekarzowi, do którego miał zaufanie, o głębokiej miłości do zmarłej żony, wykrzyknął: - To był najlepszy koniec! Powinna nam być wdzięczna za to, co dla niej zrobiliśmy! - Jakiś czas przedtem, na początku roku, doktor kupił od dentysty karabin, mówiąc, że jest przeznaczony „dla przyjaciółki”.

Prowadzący dochodzenie w tej sprawie stwierdzili, że dr Schmunk jest rzeczywiście zainteresowany bronią palną i posiada jej zbiór wartości 40 000 dolarów. Oboje z żoną lubili także wyroby z kości słoniowej i udało im się zebrać kolekcję ocenianą na 10 000 dolarów. Detektywi stwierdzili również, że Kay Schmunk kazała sobie wyrwać wszystkie zęby w celu usunięcia ewentualnej przyczyny dręczących ją bólów głowy. Jedynie zastrzyki silnego środka antybólowego, które robił jej

kochający mąż, uśmierzały ból na pewien czas i wtedy mogła na krótko zasnąć.

John V. Wilson junior, najstarszy syn Kay z pierwszego małżeństwa, obecnie siedemnastoletni chłopiec, był bardzo przygnębiony po śmierci matki. Przyznawał się szczerze, że nie był w najlepszych stosunkach z pięćdziesięcioletnim ojczymem. Orientował się, że był w jakiejś mierze spadkobiercą matki, ale nie wiedział, ile dokładnie mu przeznaczyła. Kay przygotowała testament w lutym 1981 roku, wyznaczając swego męża zarówno wykonawcą testamentu, jak głównym dziedzicem. Jej majątek obejmował nieruchomości o wartości 200 000 dolarów, cztery samochody, cztery przyczepy samochodowe warte co najmniej 25 000 dolarów i osobiste oszczędności wynoszące 2500 dolarów.

Pani Schmunk nie uwzględniła córki w testamencie. Synowi zostawiła tylko jedną dubeltówkę, ustanawiając dr. Schmunka jego opiekunem do osiągnięcia przez chłopca wieku 19 lat. W chwili śmierci polisa ubezpieczeniowa na wypadek zgonu pani Schmunk wynosiła 12 000 dolarów. Przy rejestrowaniu testamentu przez dr. Schmunka 29 sierpnia 1983 roku było jasne, że jego żona miała kontrolę nad finansami. Jak się okazało, wydziedziczyła oboje dzieci.

W wyniku autopsji przeprowadzonej przez dr. Waeckerlina jedno było oczywiste: badanie pośmiertne nie wskazało przyczyny śmierci Kay Schmunk. Badania były tak dokładne, że stwierdzono na ciele trzy ślady po zastrzykach. Tylko jeden zastrzyk mogła wykonać sama zmarła. Liczba ukłuc zgadzała się z oświadczeniem dr. Schmunka, że w nocy z 14 na 15 lipca na wyraźne życzenie żony wstrzyknął jej, około 12.15 po północy, 15 miligramów morfiny, mniej więcej dwie godziny później 100 miligramów demerolu; natomiast trzeci zastrzyk - 10 miligramów metadonu - w parę godzin później.

Choć zastosowano jednocześnie różne środki przeciwbólowe, dawka nie mogła okazać się śmiertelna. Cała rodzina pani Schmunk i jej bliscy przyjaciele wiedzieli o jej dotkliwych bólach głowy i strasznych cierpieniach, jakie znosiła w czasie częstych ataków tej dolegliwości. Mąż kilkakrotnie woził ją do różnych specjalistów, ale żaden z nich nie mógł przyjąć jej z pomocą.

Dr Waeckerlin postanowił przeprowadzić dodatkowe badania. Badania prosektoryjne nie są bynajmniej ostatnią procedurą w takich przypadkach.

Zebrał on liczne próbki płynów ustrojowych oraz wycinki z narządów wewnętrznych do przekazania ich laboratorium medycyny sądowej w Wyoming i Utah. Zbadał dokładnie zawartość żołądka zmarłej, ale nie udało mu się stwierdzić, czy doustnie zastosowano jakieś środki farmaceutyczne.

Kilka próbek przekazał Michaelowi Peatowi, toksykologowi z uniwersytetu w Utah. Próbkę otrzymała także dr Rosemary Kincaid z Programu Badań Chemicznych w Cheyenne. Lekarze podjęli liczne badania, by ustalić prawdziwą przyczynę śmierci pani Schmunk. Jej zwłoki zwrócono mężowi, który zabiegał o pozwolenie na kremację. Tymczasem nowe podejrzenia sprawiły, że wrócono do już stwierdzonych faktów.

Obok Daveya, detektywa z biura szeryfa hrabstwa Converse, do śledztwa włączył się as pracowników śledczych Lou Dekmar. Obaj agencji już po 24 godzinach od śmierci pani Schmunk nabrali przekonania, że mają do czynienia z podejrzaną sprawą. W gruncie rzeczy doszli do tej opinii głównie na podstawie opinii mieszkańców Douglas.

Detektywi dowiedzieli się o dziwnym zachowaniu dr. Schmunka w pogotowiu szpitala hrabstwa Converse, kiedy dyżurny lekarz przez 40 minut próbował reanimować Kay. Zwróciło ich uwagę także to, że zrozpaczony mąż zaraz po formalnym stwierdzeniu zgonu jego żony wypowiedział się zdecydowanie, że pragnie, by jej zwłoki natychmiast poddano kremacji. Detektywi zastanawiali się, dlaczego tak się spieszył. Większość rodziny zmarłej mieszkała w Michigan. Plany dr. Schmunka nie pozwoliłyby im na czas przyjechać na uroczystości pogrzebowe.

W tej sytuacji detektywi zdecydowali się prowadzić dalsze śledztwo. Przesłuchali licznych krewnych i przyjaciół Kay. Późniejsza faza przesłuchań koncentrowała się na osobach syna i męża zmarłej. Dr Schmunk nieugięcie twierdził, że dawki leków, które zastosował żonie wieczorem przed jej śmiercią, były takie jak wcześniej stwierdził.

Jego pasierb poinformował policjantów, że choć doktor i jego matka zawsze byli zgodni w towarzystwie przyjaciół, w domu często się kłócili.

»
Detektywi dotarli do bliskiej przyjaciółki denatki, która spędziła z Kay część dnia 14 lipca; Kay właśnie dokuczał dotkliwy ból głowy. Przedtem widziała, jak pani Schmunk przyjmowała pastylki, po których opanowała ją depresja. Później przyjaciółka rozmawiała przez telefon z Kay, która jej powiedziała, że przejmujący ból głowy nie ustąpił. Świadek wyznała policjantom, iż podejrzewała, że Kay mogła przyjmować jakieś narkotyki, gdyż często miała ataki depresji i postępowała absurdalnie. Podkreśliła jednak, że zawsze uważała, iż małżonkowie kochali się.

W wyniku wszechstronnych badań policjanci stwierdzili, że dr Schmunk miał bardzo nieładną przeszłość. Pewni informatorzy podsunęli myśl, by policja zainteresowała się postępowaniem doktora w okresie przed przeprowadzką z Michigan do Wyoming w 1979 roku. Poruszony tymi sugestiami Frank Peaseley skierował kilku detektywów do Michigan, by przeprowadzili wywiady i spenetrowali kartoteki personalne dr. Schmunka. Ich wyprawa opłaciła się. Okazało się, że stan Michigan cofnął Schmunkowi pozwolenie na praktykę lekarską.

Kłopoty dr. Schmunka rozpoczęły się od procesu, w którym był oskarżony o przestępstwa obyczajowe w 1976 roku. Skandal na przedmieściach Detroit dotarł do wiadomości izby wydającej pozwolenia na praktykę lekarską, która cofnęła Schmunkowi licencję. Ta decyzja, jak się okazało, nie przeszkodziła mu w otrzymaniu rejestracji z Izby Lekarskiej w Wyoming.

Policja miała także dowody, że Kay Marie w ostatnich miesiącach życia była trochę zawiedziona małżeństwem i osiedleniem się w Wyoming. Podobno zamierzała opuścić męża i powrócić do Michigan.

Wiele informacji zdobytych w śledztwie ujawniło istotny motyw ewentualnego morderstwa. Prawie wszystko, co posiadali małżonkowie, było zarejestrowane na imię żony. Detektywi uznali, że jej wyjazd i separacja, a może nawet rozwód, mogły przynieść poważne negatywne następstwa dla dr.

Schmunka. Z pewnością byłby to następny skandal, który mógł okazać się dla niego zgubny. Sprawa stawała się coraz bardziej mętna, gdy tymczasem naukowcy z zakresu medycyny sądowej z Utah i Wyoming, a teraz jeszcze z Arizony, wytrwale szukali właściwej przyczyny nagłego zgonu Kay. Okazało się, że z wielką łatwością osiągnięto postęp w tych badaniach. Próby podjęte w Cheyenne wykazały, że leki, które zastosował dr Schmunk, pięciokrotnie przekraczały dawkę, o której mówił. Jak wyraził się toksykolog z Salt Lake City, *poziom demerolu we krwi Kay Schmunk przekraczał dawkę, jaką kiedykolwiek stwierdziłem u żyjącego osobnika.*

Dr Schmunk był teraz głównym podejrzanym w śledztwie, ale jeszcze za wcześnie było ogłosić zwycięstwo. Wszyscy związani z dochodzeniem wiedzieli, że czeka ich długa droga, zanim zaczną zbierać przekonujące dowody. Nadal prowadzili rozmowy z dr. Schmunkiem, często rejestrowane na kasetach wideo. Miało to podbudować oskarżenie, choć główny podejrzany nie przyznawał się do zbrodni.

Wreszcie, na początku września 1983 roku wpłynęły wszystkie wyniki badań dotyczące śmierci Kay Schmunk. Aż nadto wyraźnie wykazały, że zgon nastąpił na skutek przedawkowania leków, a były też dowody, że zmarła przez dłuższy czas była uzależniona od narkotyków. Funkcjonariusze śledczy wiedzieli, że tylko jedna osoba mogła wstrzykiwać w żyły ofiary wielkie dawki środków przeciwbólowych.

Raport toksykologów wykazał, że ofiara otrzymała pięciokrotnie wyższą dawkę narkotyków, niż to stwierdził dr Schmunk. Była to tak olbrzymia dawka, że nie mógł wchodzić w grę błąd w sztuce. Uznano, że lekarz nie mógł przez przypadek popełnić takiej pomyłki.

Po zebraniu tych dowodów prokurator Peasely chciał pójść jeszcze innym śladem, zanim przekaże sprawę sądowi przysięgłych hrabstwa Converse. Postanowił zbadać kartoteki Stanowej Izby wydającej pozwolenia na praktykę medyczną. Powiedziano mu jednak, że są to kartoteki poufne, których się nie ujawnia do dochodzeń, nawet w przypadku przygotowywania przez prokuraturę oskarżenia praktykującego w danym stanie lekarza, któremu odebrano licen-

cję w innym stanie. Peasely zgłosił sprawę do Najwyższego Sądu Stanowego.

Natomiast na podstawie kartotek rejestrujących stosowanie morfiny przez Schmunka od 1 stycznia do połowy lipca 1983 roku, detektywi stwierdzili, że Schmunk wykonał w tym czasie 26 zastrzyków, z czego 23 znalazły się w żyłach Kay Schmunk. W tym samym czasie zastosował 44 zastrzyki metadonu, z których 41 otrzymała jego żona. To znaczyło, że w okresie sześciu miesięcy przed śmiercią zmarła przyjęła 90% wszystkich narkotyków, jakimi dysponował dr Schmunk.

Peasely miał podstawę do podejrzewania, że zarzuty o nadużywanie zleceń narkotyków przez Schmunka znalazły się także w kartotekach w Cheyenne. Jednakże nie udało mu się do nich dotrzeć, gdyż Najwyższy Sąd Stanowy nie wydał na to pozwolenia. Jak to przedstawiono w jednym z artykułów gazety w Cheyenne, decyzja sądu sprowadzała się do prawnej ochrony lekarza przed oskarżeniem sądowym. Wyrok opierał się głównie na prawie stanu Wyoming, które pozwalało jedynie na minimalną swobodę w takich przypadkach. To poważnie utrudniło dochodzenie w sprawie dr. Schmunka.

Nieustraszony prokurator nie ustawał jednak w wysiłkach w przygotowaniu sprawy do przedstawienia jej przed sądem przysięgłych w celu wydania decyzji aresztowania dr. Schmunka pod zarzutem zabójstwa pierwszego stopnia. Mimo że wielokrotnie wzywano go na przesłuchania na policję, dr Schmunk nie uświadamiał sobie, że jest głównym podejrzanym w sprawie o morderstwo. To znaczy, nie zdawał sobie sprawy do poniedziałku 12 września 1983 roku, gdy historia została opublikowana w gazecie, opisując dość szczegółowo ten przypadek, ale nie ujawniając tożsamości doktora.

Jak na ironię, przeciek z prokuratury, który spowodował ten artykuł, mógł pochodzić jedynie z kół stanowych organów sprawiedliwości.

Gazeta miała wielu czytelników w Douglas, gdzie każdy, kto przeczytał artykuł, mógł wyciągnąć właściwe wnioski. Był to pierwszy artykuł opublikowany po sześćdziesięciodniowym dochodzeniu w sprawie śmierci Kay Schmunk i postawił policję w kłopotliwym położeniu. Obawiając się, że te wiadomości

mogą popchnąć podejrzanego do ucieczki, Peasely zarządził ścisły nadzór policyjny. Potrzebował jeszcze 72 godzin do ukończenia aktu oskarżenia. Okazało się, że były to trzy dni dramatu i napięcia.

Dotychczas detektywi Lou Dekmar i James Dawey zdobyli zeznania wielu świadków, w tym lekarzy, pielęgniarek i bliskich krewnych ofiary.

W środę, 14 sierpnia 1983 roku, późnym popołudniem sąd przysięgłych hrabstwa Converse na tajnym posiedzeniu oskarżył dr. Schmunka o popełnienie zabójstwa pierwszego stopnia. Oskarżony na własną prośbę zeznawał przy drzwiach zamkniętych. Oświadczenie wydane przez biuro prokuratora sugerowało, że w przypadku skazania lekarza może być zastosowana kara śmierci. Dr Schmunk prosił również, by pozwolono mu dobrowolnie stawić się przed władzami sądowymi, aby w ten sposób uniknąć wstydu, jakim jest aresztowanie. Zaraz po zgłoszeniu się został zatrzymany i osadzony w areszcie w Douglas. Przed aresztowaniem wydał oświadczenie, które ukazało się w jednym z tygodników w Douglas. Przed sądem, w asyście dwóch adwokatów z Milwaukee, podejrzany nie przyznał się do winy. Sędzia Taylor, pozostawiając go na wolności, wyznaczył kaucję w wysokości 50 000 dolarów w sprawie o zabójstwo pierwszego stopnia, nie przychyłając się do wniosku obrony o obniżenie tej sumy do 25 000 dolarów.

Podejrzanemu udało się załatwić kaucję, oddając w zastaw kolekcję broni i przedmiotów z kości słoniowej. 17 października 1983 roku stawił się ponownie przed dzielnicowym sądem hrabstwa Converse, któremu przewodniczył sędzia Taylor. Oświadczył, że jest niewinny, słowami: *Wysoki Sądzie, zeznaję, że jestem niewinny*. Jako datę rozprawy ustalono dzień 6 lutego 1984 roku. Schmunk miał się stawić przedtem na przesłuchanie w Stanowej Izbie Medycznej, czemu sprzeciwili się, na życzenie oskarżonego, jego obrońcy, którzy zażądali zmiany miejsca rozprawy i uzyskali przeniesienie procesu do Sheridan, Wyoming. Proces rozpoczął się dopiero 3 maja 1984 roku po wybraniu ławy przysięgłych, składającej się z dziewięciu mężczyzn i pięciu kobiet.

Oskarżyciel Frank Peasely we wstępnym przemówieniu stwierdził w dramatycznych słowach, że oskarżony spowodował, iż jego żona stała się narkomanką i że ich małżeństwo przenikał *utajony ciemny prąd*; ofiara oskarżonego wolno stoczyła się do piekła uzależnienia od narkotyków. Dotknął moralnego aspektu tego przypadku, podkreślając, że lekarz sprawował opiekę medyczną nad żoną. Wskazał na przebiegłość szanowanego lekarza, który - przeświadczony o swojej inteligencji - przemyślnymi przedsięwzięciami zdecydował się wystawić na próbę publiczną służbę medyczną.

W trakcie dziewięciodniowego procesu prokuratura dostarczyła bogaty materiał dowodowy i przedstawiła dane pozslakowe, a także wyniki zeznań świadków oskarżenia.

Dwaj funkcjonariusze policji, którzy przyjechali na wezwanie rano 15 czerwca 1983 roku, zeznali, że wydawało im się, iż doktor Schmunk błędnie przeprowadzał reanimację i że powiedział im, iż zrobił żonie tylko jeden zastrzyk, ale nie mógł sobie przypomnieć, jaki lek zastosował. Najbardziej druzgocącą okazała się informacja, że w siedem minut po stwierdzeniu zgonu żony Schmunk próbował telefonicznie załatwić kremację jej ciała.

Fakt, że sprzeciwiał się sekcji, także uznano za obciążający. Wielu członków rodziny zeznawało jako świadkowie oskarżenia, a z nimi liczni patolodzy, toksykolodzy i przedstawiciele zawodu lekarskiego. Dr Peat, toksykolog o światowej sławie, powiedział sędziom przysięgłym, że denatka umarła na skutek znacznego przedawkowania leków, których stężenie było wyższe niż kiedykolwiek zdarzyło mu się stwierdzić w badanych przypadkach.

Adwokaci postawili dr. Schmunka w ławie świadków, by zeznawał w swojej obronie (nieczęste posunięcie obrony w amerykańskich sądach). Zasadniczym punktem jego obrony było oświadczenie: *Nie zabiłem mojej żony*. Dr Schmunk pozostał na miejscu świadka prawie przez cały dzień we wtorek 11 maja 1984 roku. Płakał, opisując śmierć żony i swoje próby przywrócenia jej do życia.

W przemówieniu końcowym prokurator powiedział sędziom przysięgłym: *Schmunk nie był jej lekarzem, był jej katem*.

Najbardziej wymowną charakterystykę oskarżonego ujął prokurator w słowach: *mistrz manipulacji*.

Sąd przysięgłych rozpoczął obrady o godzinie 1.30 po południu 12 maja i w dziewięć godzin później wrócił na salę obrad po podjęciu decyzji, że oskarżony jest winny zbrodni. Jeszcze przed ogłoszeniem wyroku przez sędziego, skazującego oskarżonego na dożywocie, obrona zapowiedziała odwołanie się do sądu apelacyjnego.

Szmunk został skazany na dożywotnie więzienie w piątek, 18 maja 1984 roku. Sędzia Taylor pozostawił go na wolności za kaucją, aż do czasu rozprawy apelacyjnej, na którą jednak nie dał zezwolenia sąd okręgowy.

Nota wydawcy

Lany Sam Wilson i John V. Wilson, junior w rzeczywistości nie są prawdziwymi imionami i nazwiskami. Zostały użyte fikcyjne dane personalne, gdyż czytelnicy nie muszą znać ich tożsamości.

Bud Ampolsk

CZY SYMPATYCZNY DOKTOR STAŁ SIĘ ŻĄDNYM KRWI RZEŹNIKIEM?

Wiadomość nadano o 7.05 wieczorem w piątek, 21 września 1985 roku. Komunikat był zwięzły, lapidarny, wyrażony w języku profesjonalistów, którzy używają specjalnej terminologii, by wyrazić takie słowo jak „śmierć”, gdyż zazwyczaj wywołuje ono silne reakcje uczuciowe.

Wiadomość otrzymali prawie jednocześnie zastępca prokuratora w Honolulu William R. Coleman i znany adwokat Matthew K. L. Pyun. Okazało się, że proces, który miał się rozpocząć 9 października 1984 roku, nigdy się nie odbędzie.

Poufne zawiadomienie dotarło także do Komendy Policji w Honolulu. Dla detektywa Geralda Lee, tak zawzięcie pracującego od 28 grudnia 1978 roku nad tajemniczą sprawą, która wydawała się nie do rozwiązania, oznaczało to, że morderstwo w najbliższej przyszłości pozostanie otwartą sprawą w jego kartotece.

To zawiadomienie ze szpitala Św. Franciszka mówiło, że dr Richard Chang, przyjęty do szpitala po zatrzymaniu krążenia, zmarł.

Gdyby śmierć dr. Changa nastąpiła przed 15 czerwca 1983 roku, niewątpliwie byłaby odnotowana na honorowym miejscu wśród nekrologów gazet hawajskich.

Ponieważ stało się to 21 września 1984 roku, zajęła miejsce na pierwszych stronach w całym stanie, a towarzyszył temu rozgłos, jaki zawsze występuje wokół głównej osoby w sensacyjnym dochodzeniu w sprawie zabójstwa.

Było naturalne, że śmierć dr. Changa wywoła falę wspomnień doświadczonych funkcjonariuszy policji, prokuratorów, obrońców, głównych świadków, członków rodzin i znajomych trojga ludzi, których losy tak ściśle się splótły prawie sześć lat temu.

Dla detektywów wszystko zaczęło się dokładnie o godzinie 16.30 28 grudnia 1978 roku. Wtedy właśnie odebrali telefon z ekskluzywnego apartamentu o dwóch sypialniach na jedenaścim piętrze eleganckiego bloku mieszkalnego ze wspaniałym panoramicznym widokiem na Pacyfik.

- Wydarzyło się coś strasznego! Przyjeżdżcie szybko! - błagała przerażona osoba telefonująca do policji.

I rzeczywiście, stojąc na puszystym dywanie w wejściu do apartamentu, wywiadowcy zdali sobie sprawę, że przerażona informatorka jeszcze niewystarczająco mocno naświetliła grozę sytuacji.

Wszędzie było pełno krwi; przemoczyła dywan, zaplamiła ściany i nasyciła piżamy dwojga starych ludzi leżących tuż za drzwiami.

- Tak ich znalazłam jak teraz - zeznawała sąsiadka. - Przyniosłam im pocztę. Próbowalam otworzyć drzwi, ale wyglądały na zablokowane. Mocno pchnęłam i wtedy znalazłam ciało.

Sąsiadka, która miała klucz do tego mieszkania, i zatrudnieni w budynku szybko stwierdzili tożsamość zamordowanej pary. Byli to Ted i Alyce Char.

- Kto mógł pragnąć śmierci takich czarujących ludzi? - głośno zastanawiał się ktoś z grupy przyglądających się mieszkańcom domu.

Kłęcząc przy trupach, detektywi zadawali sobie pytanie: *Kto tak diabelnie nienawidził tych starych ludzi, że mógł zabić ich w tak okrutny sposób?*

Państwo Char byli powszechnie znani na wyspach. Ted, który rozpoczął od bardzo skromnych przedsięwzięć, w wyniku nadzwyczaj udanych transakcji handlu nieruchomościami zbudował bajecznie zyskowny biznes. Gdy miał siedemdziesiąt osiem lat, a jego żona sześćdziesiąt parę, zaliczano ich do największych potentatów finansowych Wysp Hawajskich. Zapewnili sobie także poczesne miejsce w świecie literatury, sztuki i wśród hobbystów kulinarnych. Ponadto traktowano ich jak najbliższych osobistych przyjaciół.

Państwo Char po wychowaniu dzieci, które przeniosły się na kontynent, sprzedali swoją pałacową siedzibę i zamieszkali w bloku dla zamożnych ludzi. Tu nadal podejmowali gości z dawną rozrzutnością. Ale różnorodne zajęcia Charów nie kończyły się na życiu towarzyskim. Razem napisali i wydali encyklopedię wykwintnej kuchni chińsko-hawajskiej.

Często podróżowali razem do tak oddalonych miejsc jak Hong Kong, by wziąć udział w turniejach brydżowych i rozgrywkach mah-jonga.

Byli doskonałym małżeństwem. Największą przyjemność sprawiały im wielkie obiady, które sami przygotowywali dla „bardzo ważnych osób”, podpisanych w księdze gości.

Opowieść o życiu Teda mogłaby rywalizować z opowiadaniami o milionerach, którzy rozpoczynali od czyszczenia butów. Urodził się jako syn robotnika; na pobyt w college'u zapracował handlem domokrążnym naczyniami kuchennymi. W 1928 roku ukończył wyższe studia księgowości. W 1932 został zarejestrowany jako pierwszy dyplomowany księgowy na Hawajach.

Jego lokaty kapitału były typowe i w żadnym razie nie wzbudzały wrogości. Wspecjalizował się w zakupach nieużytków. Trzymał je aż do czasu, gdy przyciągnęły uwagę przedsiębiorców budowlanych. Tereny Chara wkrótce sięgnęły do Kalifornii, a główne przedsięwzięcia z czasem udowodniły, jak korzystnie jest inwestować na Hawajach.

Filigranowa Alyce łączyła zdrowy instynkt do biznesu ze smykałką do sztuki. Wkrótce poznano ją jako doskonałą panią

domu, sławną z wydawanych przyjęć. Była też uczulona na troski innych; znano ją z dobroczynności i udziału w akcjach społecznych nie mniej niż jako bystrą kobietę biznesu. Założyła firmę „Sztuka Królewskiego Smoka” specjalizującą się w imporcie dalekowschodnich dzieł sztuki.

Wydawało się, że w środowisku Teda i Alyce Char nie ma nic, co pomogłoby odpowiedzieć na pytania nurtujące kręcących się teraz po apartamencie oficerów śledczych, poszukujących czegoś, co ujawniłoby motywy tego absurdalnego podwójnego morderstwa.

Dla detektywów i pracowników zakładu medycyny sądowej zaawansowany wiek ofiar był zbrodniczym przykładem przekroczenia wszelkich reguł.

Ted Char leżał tuż przy wejściu. Jego klatka piersiowa nosiła ślady licznych ran kłutych. (Później lekarze policyjni podadzą w raporcie, że były 44 rany zadane ostrym, zwężonym na końcu narzędziem, prawdopodobnie nożem kuchennym o szerokości prawie dwóch cali i długości mniej więcej ośmiu cali.) Ręka zwisała pod dziwnym kątem. Było oczywiste, że złamał ją zabójca, gdy Char próbował się bronić.

Obok leżała Alyce Char. Ona także otrzymała liczne ciosy nożem. Widać było około dziesięciu ran kłutych. Nie było wątpliwości, że została zamordowana, ponieważ próbowała przyjść z pomocą mężowi.

Funkcjonariusze wprawnym okiem oglądali miejsce zbrodni. Zapewne gdyby sąsiedzi usłyszeli oznaki gwałtownego działania, byłby to sygnał, że motywem był rabunek.

Ale ta teoria tutaj nie pasowała. Pięknie umeblowany i dobrze utrzymany apartament był bez skazy, jak zawsze. Było oczywiste, że małżonkowie spotkali zabójcę w drzwiach. Po zamordowaniu ich, opuścił apartament, nie zaglądając do innych pokoi.

Wiszące w drzwiach wejściowych ozdoby z okazji Bożego Narodzenia dodawały szczególnie makabrycznego akcentu do sceny śmierci. Szczególnie zwracała uwagę karta kołyszająca się na ozdobnej kołatce do drzwi. Życzenia radosnych świąt i wszelkiej pomyślności, teraz ze śladami krwawych odcisków palców, stały się niesamowitym symbolem.

Funkcjonariusze ostrożnie włożyli kartę do plastikowej torebki. Uważali, że całe dochodzenie może oprzeć się w przyszłości na tym dowodzie.

Detektyw Gerald Lee z wydziału policji hawajskiej sprawnie kierował grupą śledczą; niebawem wywiadowcy rozbiegli się po budynku. Domyślali się, że morderca musiał zaatakować we wczesnych godzinach rannych. Najprawdopodobniej Ted i Alyce Char zostali obudzeni i nie mieli czasu nawet włożyć szlafroków, zanim wpuścili zbrodniarza.

Dalej można było przypuszczać, że prawdopodobnie znali przybysza, gdyż - zawsze ostrożni - nie wpuściliby obcego.

Trzeba było pilnie znaleźć kogoś, kto widział tę osobę, wchodzącą lub opuszczającą budynek.

Wywiad z lokatorami przyniósł pełny sukces.

Sąsiad mieszkający na dziesiątym piętrze przypomniał sobie, że krytycznego dnia rano, tuż przed godziną szóstą, postanowił zabrać swoją gazetę z hallu budynku.

Świadek powiedział, że po zatrzymaniu się zjeżdżającej z góry windy na jego piętrze, zobaczył silnie zbudowanego mężczyznę o wyglądzie wschodnim. Powiedział, że według niego nieznajomy wyglądał na 50-60 lat.

Lokator pozdrowił zwyczajowo tego człowieka, ale nie było odzewu. Zapamiętał, że nieznajomy miał skrzyżowane na piersiach ręce i wyglądał, jakby był zatroskany i odrobinę zmieszany.

Zamiast zjechać w dół z lokatorem, przybysz pośpiesznie opuścił dźwig na dziesiątym piętrze. Lokator zaś zjechał na dół, wziął gazetę i wrócił do swego mieszkania. Powiedział o tym zdarzeniu swojej żonie.

Informacja świadka była cenna, ale brakowało szczegółów. Zaproponowano, by zgodził się na seans hipnotyczny w nadziei, że wypłyną jakieś dodatkowe informacje.

W trzy dni później hipnotyzer współpracujący z policją w Honolulu w czasie seansu wydobył z lokatora bardziej szczegółowe sprawozdanie o spotkaniu tego nieszczęsnego dnia: wschodni typ miał na sobie ciemne ubranie, ciemny krawat, brązowy pasek, czarne zamszowe buty i na lewej ręce zegarek z tarczą od wewnętrznej strony nadgarstka. Miał

okrągłą twarz, był gładko ogolony, na lewym policzku, w dole miał znamię, może od urodzenia, a może to był wyprysk. Był korpulentny, z wydatnym brzuchem. Oddychał szybko, a krople potu spływały mu po nosie.

Ten opis jeszcze bardziej poparł przypuszczenie, że ofiary znały napastnika. Teraz uważano, że denaci nie mieli podstaw do obawiania się go, zanim zaatakował.

Detektyw Lee i jego współpracownicy podjęli pracochłonne zadanie odtworzenia ostatnich dni życia małżonków. Zastanawiające było, że tak towarzyska para pozostawała sama w czasie Bożego Narodzenia. Tradycyjnie to święto zawsze było dla nich okazją do gościnności i rozrywek.

Utwierdzano się w przekonaniu, że między zamordowaną parą a ich zabójcą musiał istnieć w przeszłości jakiś związek. Lee i jego współpracownicy sprawdzali zatem krewnych i przyjaciół Charów. Im bardziej zagłębiali się w śledztwo, tym bardziej wydało im się oczywiste, że złośliwy układ przeznaczenia wydał leciwą parę na łaskę ich oprawcy.

Nigdy by się to nie stało, gdyby nie zaistniał łańcuch pozornie nie związanych zdarzeń pewnej październikowej nocy, jakieś 400 mil od Honolulu, na drodze w Connecticut.

Tej nocy kierowca mustanga zignorował znak „stop” i najechał na samochód, którego pasażerami byli państwo Char. (Odwiedzali bliskich krewnych w stanie Connecticut.)

W wyniku zdarzenia Alyce doznała, jak się początkowo wydawało, lekkiej zewnętrznej rany głowy. Jednakże zamiast szybko zwalczyć następstwa, starsza kobieta zaczęła cierpieć na zaniki pamięci i miała trudności z koordynacją ruchów. Badania lekarskie wykazały, że wypadek spowodował poważniejsze uszkodzenie, niż początkowo myślano.

Alyce musiała się poddać operacji krwiaka wewnątrzczaszkowego. Trzeba było zrezygnować z planowanego wcześniej wyjazdu wypoczynkowego do Hong Kongu. Odwołali więc rezerwację na 22 grudnia na przelot do kolonii Korony Brytyjskiej.

Mimo że zostali zmuszeni zmienić plany, mieli wystarczająco wiele powodów, by czuć się szczęśliwymi. Po usunięciu krwiaka Alyce szybko dochodziła do zdrowia. Zabawiała się

nawet, kreując atrakcyjne turbany, by ukryć dopiero odrastające po operacji włosy. Ze zwykłą gorliwością zajęła się wysyłką życzeń świątecznych do krewnych i pomyślała o karcie na drzwi frontowe, aby dodać akcent świąteczny do ich mieszkania.

Małżonkowie wierzyli, że rok skończy się szczęśliwym akordem, a następny - 1979 przyniesie im spełnienie wszystkich marzeń.

Bliscy przyjaciele i krewni, którzy ich odwiedzali od czasu do czasu, podbudowywali ten nastrój. Wieczór 27 grudnia był dla nich szczególnie udany. Jedli kolację w domu z bliskim krewnym. Do tego czasu Alyce na tyle dobrze się czuła, że pomagała Tedowi przyrządzić kolację, a nawet wolno sączyła whisky z wodą sodową. Omawiali operację Alyce i wesoło gwarzyli. Niejeden raz powracała w rozmowie wzmianka, że gdyby nie wypadek, byłiby teraz w Hong Kongu.

Spotkanie skończyło się około godziny dziesiątej. Wtedy po raz ostatni gość widział ich żywych i nikt potem już ich nie spotkał.

W czasie gdy trwały rozmowy dochodzeniowe z krewnymi i znajomymi, detektywi niecierpliwie oczekiwali wyników badań karty świątecznej z krwawymi odciskami palców. FBI przepuściło ślad przez komputer, ale wynik był negatywny. Odcisk nie pasował do notowań w kartotece.

Mijały dni, w których nie osiągano postępu w dochodzeniu. Zastępca prokuratora Jan Futa i detektyw Lee byli przekonani, że policja stanęła przed kamiennym murem nie do sforsowania. Żaden ślad nie przybliżał rozwiązania. Wielokrotnie rozpatrywano strzępki informacji i materiały dowodowe. Wysuwano nowe pomysły, aby je niebawem odrzucić. Tygodnie zamieniały się w miesiące, a miesiące w lata.

Gdzieś był osobnik, który mógł rozplatać ten węzeł gordyjski. Ale kim on był i jak Lee miał do niego dotrzeć?

Gorliwy funkcjonariusz wykonywał swoje liczne zadania, podejmował nowe sprawy i prowadził nowe dochodzenia z pełnym powodzeniem. Ale jego myśli nie opuszczała świadomość, że zbrodniarz jest ciągle na wolności. Lee wiedział, że nie zaniecha tej sprawy dopóty, dopóki nie postawi mordercy Charów przed sądem.

- Wiem, że wcześniej czy później coś wyjdzie najaw - mówił.

W maju 1982 roku policja w Honolulu zdecydowała się przedstawić publicznie zabójstwo Charów w programie telewizyjnym „Strażnicy Zbrodni”. Program reklamowało ogłoszenie umieszczone w niedzielnej gazecie przez krewnych zamordowanych małżonków. Zawiadamiało także o nagrodzie w wysokości 20 000 dolarów za informację, która pomoże doprowadzić do aresztowania i skazania zabójcy czy zabójców.

Nie było powodu, by uważać, że te zabiegi mogą przynieść lepsze rezultaty. Jednakże okazało się, że tym razem będzie zupełnie inaczej.

W dniu, w którym ukazało się ogłoszenie, pewien mężczyzna wyciął je starannie, równo złożył i umieścił w swoim portfelu.

Następnego dnia skontaktował się telefonicznie z policją, zapowiadając, że ma ważne informacje dotyczące podwójnego morderstwa.

Detektywi zorganizowali z nim spotkanie, powstrzymując się od zbytnej nadziei w obawie, że znowu cała sprawa może skończyć się zawodem, jak to się działo przez ostatnie cztery i pół roku.

Jego opowieść była krótka, obrazowa i kompletna. Powiedział, że jest dozorcą w garażu samochodowym należącym do bloku, gdzie mieszkało małżeństwo Char. W dniu morderstwa zgłosił się do pracy o piątej rano, jak zwykle.

Zaledwie parę minut później z wielką szybkością nadjechała przed blok czarna corvetta. Samochód zatrzymał się na parkingu, kierowca wysiadł i udał się w kierunku windy kursującej na wyższe piętra bloku. Zobaczywszy dozorcę, pozdrowił go, zwracając się do niego po imieniu.

Zgodnie ze słowami świadka, poznali się przed kilku laty, gdy dozorca pracował na parkingu w mieście. Dozorca wiedział, że człowiek, z którym wówczas rozmawiał, jest lekarzem.

Przytoczył słowa doktora: - Nagłe wezwanie. Jadę na 11 piętro.

Świadek otworzył doktorowi drzwi do windy, a doktor wcisnął mu do ręki 20 dolarów jako napiwek.

- Czekałem na niego, by mu podziękować - oświadczył.

Jakieś pół godziny później doktor wrócił na parking bez słowa, w pośpiechu wsiadł do corvetty i wyjechał z taką szybkością, że zapuszczają opony.

- Czy świadek może wymienić nazwisko doktora?

- Tak, to był dr Richard K. C. Chang.

Detektywi z trudem wierzyli własnym uszom. Richard Chang nie był przeciętnym doktorem, ale jednym z najbardziej szanowanych lekarzy na wyspie. Pięćdziesięciosześcioletniego gastroenterologa uważano za przykład oddanego chorem lekarza.

Podobnie jak Ted Char, Chang osiągnął swoją pozycję dzięki własnej pracy, wywodząc się z nad wyraz skromnego środowiska. Podczas gdy Char w młodości zarabiał na życie sprzedając naczynia kuchenne, Chang utrzymywał się z zarobków kierowcy samochodu dostawczego - dźwigał stufuntowe worki ryżu. Potem wyruszył na kontynent amerykański i otrzymał dyplom lekarza na Uniwersytecie Crightona w Nebrasce.

Po powrocie na wyspy wyrobił sobie nazwisko jako świetny diagnosta. Jeden z krewnych powiedział o nim: *Rozpoznawał chorobę, potem gdy wszystkim innym lekarzom w mieście nie udało się ustalić diagnozy. Pacjenci go kochali, bo leczył ich skutecznie.*

Inni przedstawiali go jako życzliwego człowieka, który nie ograniczał się do leczenia, ale doradzał pacjentom w sprawach osobistych i występował na rzecz członków ich rodzin.

Nie wahał się sięgać do własnego portfela, by zapłacić rachunki swoich pacjentów za leczenie w klinice. W jednym przypadku, jak mówiono, pożyczył 50 000 dolarów nieznaney osobie, gdyż ktoś za nią poręczył.

Największą pochwałą było oświadczenie jednego z jego znajomych: *Przecież on nawet chodził z wizytami domowymi.* Lekarze także podziwiali Changa za jego zrozumienie i oddanie pacjentom. Nazywali go doskonałym internistą w najprawdziwszym znaczeniu tego przymiotnika.

Były jednak sprawy, które nie pozwoliły wykluczyć Changa z dochodzenia jako głównego podejrzanego o morderstwo.

Po pierwsze, było to podobieństwo między jego fotografią a policyjnym portretem pamięciowym obcego, którego zaszkodził lokator z dziesiątego piętra.

Jeszcze bardziej przekonującym dowodem było to, że gdy wysłano odciski palców Changa z kartoteki policji (cały personel medyczny Honolulu miał w archiwum odciski palców do celów tożsamości) do FBI, natychmiast przysłano informację, że odcisk palca wskazującego prawej ręki Changa odpowiada krwawemu śladowi na karcie świątecznej wiszącej na drzwiach apartamentu Charów.

Teraz oficerowie śledczy wzmocnili swoje wysiłki. Zdawali sobie sprawę, że trzeba będzie wniknąć w ciemniejszą stronę osobowości Changa.

Zastępca prokuratora William R. Coleman (który przejął sprawę po nie pracującym już tu Janie Futa) uznał, że trzeba zebrać silne dowody poszlakowe, gdyż nie powinno się poprzestawać na odciskach palców, aby ściślejsz związać Changa z zabójstwem Charów.

- Ludzie chcą poznać przyczyny - powiedziała. - To normalne podejście. Chcą wiedzieć, jakie były motywy.

Ta opinia pokrywała się z opinią Futy, który skomentował to następująco:

- Skazanie kogoś za morderstwo jest trudne dla sądu przysięgłych. A w takiej sprawie jak ta, gdy ma się do czynienia z filarem społeczeństwa, sędziowie przysięgli muszą poznać motyw. Motyw sprawia, że mają czyste sumienie.

Istotnie, w miarę głębszego penetrowania sprawy, oficerowie śledczy odkryli takie strony osobowości Changa, o których chwalały go pacjenci i podziwiający koledzy albo nie wiedzieli, albo nic o tym nie mówili. Choć była żona doktora powiedziała, że *nigdy nie będzie magła uwierzyć, że mógł zrobić coś takiego* (popełnić morderstwo), inni malowali trochę inny portret lekarza. Oświadczyli, że Chang od lat spekulował w handlu nieruchomościami. Musiał pożegnać się wszakże z imperium inwestycyjnym, gdyż poważnie zaangażował się w projekt budowy obiektu medycznego na 276 łóżek, wycenianego na 20 milionów dolarów.

Projekt upadł, a Chang wniósł skargę do sądu o zwrot 7 milionów dolarów swojego wkładu. Po trzech latach doszło do ugody poza sądem, mocą której Chang odzyskał 1,5 miliona dolarów. Sponsorzy przedsięwzięcia odzyskali swoje pieniądze.

ale jego własni adwokaci wytoczyli mu sprawę z powodu nie zapłaconych na ich rzecz honorariów.

Osobiste życie Changa także nieoczekiwanie skomplikowało się w 1975 roku, gdy po 25 latach małżeństwa rozwiódł się z żoną i ożenił z kobietą o 15 lat od niego młodszą. Rozstanie z pierwszą żoną miało charakter przyjacielski. Równo podzielono wspólną własność małżonków, a oni pozostali przyjaciółmi i partnerami w interesach.

Jednak drugie małżeństwo Changa okazało się mniej udane. Pod wpływem presji finansowej Chang zaczął cierpieć na wysokie ciśnienie krwi i był ciągle spięty. W 1980 roku rozpoczęły się u niego przejściowe krwawienia z przewodu pokarmowego; odczuwał też bóle w klatce piersiowej. W celu wszczęcia pomostów wieńcowych polecił do Houston w Teksasie, ale objawy nie ustąpiły. Lekarze powiedzieli mu, że powinien ograniczyć praktykę medyczną z powodu zagrożenia własnego życia.

Wtedy Chang szukał ulgi w silnych lekach, takich jak demerol i percodan. Bliscy mu ludzie uważali, że taka intensywne kuracja farmaceutyczna osłabiła jego zdolności myślenia. Zaczął miewać nieracjonalne wybuchy gniewu i nie był w stanie panować nad sobą. Często popadał w głęboką depresję.

Jego najbliżsi stwierdzili, że zdarzało się, iż atakował ich fizycznie. Jeden z krewnych zasięgnął rady psychiatry w tej sprawie; psychiatra ostrzegł go, że nie należy lekceważyć tych gwałtownych reakcji; że są to poważne zagrożenia. Gdy się okazało, że Chang zaczął trzymać naładowany rewolwer, ukryty w przegródce na rękawiczki w swoim samochodzie, psychiatra, jak powiedział krewny, doradził mu, by po kryjomu wyjął broń.

1 lipca 1981 roku rozpadło się drugie małżeństwo Changa. Najbliżsi jego krewni powiedzieli, że odlecieli wtedy na kontynent, obawiając się o swoje życie.

Zebrawszy wszystkie uzyskane dowody i dane, Lee i Coleman zdecydowali, że są gotowi do przedstawienia sprawy przed sądem przysięgłych.

15 czerwca ława przysięgłych sądu w Oahu zdecydowała oskarżyć dr. Richarda K.C. Changa o popełnienie dwóch zabójstw na osobach Teda i Alyce Char.

Do domu lekarza skierowano detektywa Andrew Glushenko, który aresztował niedomagającego i zbankrutowanego finansowo Changa.

Energicznie przygotowywano publiczny proces. Coleman i obrońca Pyun nadal zbierali dowody. Od ich wyników zależało, czy sąd przysięgłych będzie przekonany niepodważalnymi dowodami, bez tzw. dymiącego prochu.

Coleman oparł swoje oskarżenie na następujących przesłankach:

Choć nie byli blisko związani, Chang i małżonkowie Char znali się. Chang był kiedyś zaproszony do ich domu. Obracali się w tych samych kołach towarzyskich. I on, i oni zajmowali się handlem nieruchomościami.

Bardziej gwałtowne ciosy spadły na Teda niż na Alyce; sądząc z położenia jej ciała, prawdopodobnie została zasztyletowana po przybiegnięciu na pomoc napastowanemu mężowi. To mogło wskazywać, że Chang miał uzasadnioną albo wyimaginowaną pretensję do Teda.

Fakt, że denaci otworzyli zabójcy drzwi o szóstej rano, wskazywał, że przynajmniej jedno z nich musiało go znać.

Wiarygodny świadek opisał człowieka odpowiadającego portretowi Changa, zjeżdżającego windą o godzinie zbliżonej do czasu popełnienia zbrodni. Pod wpływem hipnozy świadek ten przypomniał sobie, że ten mężczyzna był bardzo zdenerwowany.

Dozorca parkingu rozmawiał z Changiem i widział go odjeżdżającego w stanie szalonego podniecenia.

Bliski krewny Changa widział go piorącego ślady krwi na ubraniu po powrocie do domu rano, w dniu morderstwa. Chang powiedział, że dolega mu krwawa biegunka. Jednakże ten krewny przysięgł, że krew była jedynie na papierowych ręcznikach w łazience. Nie widział krwi na ubraniu Changa.

Wynik badania przez FBI zakrwawionej karty świątecznej wskazał, że odciski palców na niej odpowiadały odciskom Changa.

W ostatnich latach osobowość Changa zmieniła się; stał się gwałtowny i uciekał się do siły fizycznej, co przerażało najbliższych.

Adwokat Pyun skoncentrował się na podkreśleniu istotnych wątpliwości w sprawie. Zamierzał podważyć oskarżenie w następujący sposób:

Analiza odcisków palców dokonana przez FBI nie jest rozstrzygająca. Pyun sprowadził dwóch ekspertów, którzy zeznali, że odciski linii papilarnych nie były podobne w kilku punktach (na brzegach ręki, w wypukłościach i wklęsłościach), aby można było zdecydowanie stwierdzić, że należą do Changa. Powiedział: *Nigdy nie miałem do czynienia z przypadkiem, by eksperci tak byli przekonani, że identyfikacja nie jest możliwa.*

Stwierdził także, że główny świadek oskarżenia miał osobiste powody, by zeznać, że Chang był na parkingu rano w dniu zbrodni. Podkreślając, że czekał on cztery i pół roku po morderstwie, by wystąpić z zeznaniem, obrońca utrzymywał, że powodowała nim chęć zdobycia 20 000 dolarów nagrody ofiarowanej przez rodzinę Charów za informację, która doprowadzi do skazania zabójcy. Pyun wykazał, że dozorca miał kryminalną przeszłość, gdyż wydawał fałszywe rachunki, i nie można wykluczyć, że wymyślił swoje zeznanie ze względu na nagrodę.

Na podstawie prawnego przepisu adwokat próbował wyłaczyć zeznanie byłej żony Changa, dotyczące rozmowy z nim w łazience, gdy Chang twierdził, że pierze ślady krwi. Zacytował w tym celu przepis dotyczący świadczenia małżonki przeciw małżonkowi.

Położył duży nacisk na zeznanie, że Chang w dniu zbrodni zranił się w dłoń. Prokurator utrzymywał, że rana powstała, gdy nóż po uderzeniu w zebro ofiary odskoczył, trafiając w rękę mordercy. Pyun dowodził, że następnego dnia po podwójnym morderstwie Charów Chang wykonał skomplikowany zabieg chirurgiczny. Gdyby zranił sobie rękę poprzedniego dnia, nie byłby w stanie dokonać takiej operacji. Pyun wezwał także na miejsce świadków kobietę, która zeznała, że w dniu morderstwa widziała trzech mężczyzn w garażu należącym do bloku. Mężczyźni ci zdjęli i zostawili wierzchnie ubrania ochronne, które mieli na sobie. Po ich odejściu kobieta wzięła jeden kombinezon i zaniosiła go do mieszkania. Kiedy usiłowała go uprać, okazało się, że pozostały plamy, podobne do plam krwi. Wyrzuciła zatem splamiony kombinezon.

Adwokat utrzymywał poza tym, że świadek, która przyniosła pocztę Charów i odkryła ich zwłoki, słyszała szcęk zamka, co oznaczało, że przybysz do apartamentu Charów zamknął drzwi od wewnątrz.

Nie wiadomo, które z tych przesłanek przemówiłyby do sądu przysięgłych, który zresztą nigdy nie został skompletowany. Chang zmarł.

Do grobu odprowadzało go trzystu krewnych i przyjaciół. Pastor wygłosił mowę pogrzebową, mówiąc o jego wkładzie do zawodu medycznego i na rzecz chorych. Dodał: *Jest to dla dr. Changa dzień uwieńczenia jego życia raczej niż dzień klęski. Widzicie jego ciało spoczywające w spokoju.*

Gdy mówił te słowa, detektywi, członkowie rodziny zamordowanych Charów i pokonanego Changa oraz wszyscy inni w mieście Honolulu mieli własne wyobrażenie, co się zdarzyło na jedenastym piętrze luksusowego bloku rano 28 grudnia 1978 roku.

A co myślą czytelnicy?

W.T. Brannon

ZABÓJSTWO NIEWŁAŚCIWEJ OSOBY

Rozprawa przeciwko dwudziestosiedmioletniemu Williamowi R. Hillowi z oskarżenia o dwa morderstwa w latach 1974 i 1975 rozpoczęła się w Chicago rano, 25 lipca 1977. Najpierw wybrano ławę przysięgłych. Sądowi Kryminalnemu przewodniczył sędzia okręgowy John J. Moran. Zgodnie z prawem stanu Illinois, oskarżony może dokonać wyboru, czy o jego losie ma decydować sąd, czy ława przysięgłych.

Jak większość oskarżonych, Hill powierzył swój los ławie przysięgłych.

W czasie wybierania sędziów przysięgłych, pierwszy zastępca prokuratora stanowego Barry Gross wygłosił mowę wprowadzającą. Choć Hill stanął przed sądem za zabicie dwóch ludzi, poza nim byli związani z morderstwem trzech inni mężczyźni.

61-letni Allen Ziperstein był farmaceutą i współwłaścicielem -wraz z czterdziestosiedmioletnim Robertem Fieldsem- pięciu składów aptecznych, które dziwnie nazwano „centrami medycznymi”. Biuro Zipersteina mieściło się w drogerii w Haymarket na West Madison Street, w sercu dzielnicy nędzarzy,

zamieszkałej przez pijaków, którzy spali w tanich domach noclegowych, a jeśli pogoda nie była zbyt przykry, na progach domów.

Cztery inne „centra medyczne” znajdowały się w dzielnicach zamieszkałych przez biedaków żyjących głównie z zasiłków opieki społecznej.

Fields nie był z zawodu farmaceutą, poprzednio prowadził lombard na West Madison Street, po drugiej stronie ulicy, na której znajdowała się drogeria. Bliskim przyjacielem Fieldsa był dr Max Murphy Kaye, dentysta, którego gabinet mieścił się parę domów za drogerią.

Kiedy Fields i dr Kaye usłyszeli, że wystawiono na sprzedaż pewną drogerię, rozważali możliwość jej kupna. Ale Fields miał znajomego Allena Zipersteina, farmaceutę młodszego od dr. Kaye'a. Bez poinformowania dr. Kaye'a Fields i Ziperstein kupili drogerię. Dowiedziawszy się o tym, dr Kaye był wściekły.

Aby zgromadzić kapitał na zakup drogerii, Fields sprzedał lombard. Jako jego właściciel miał wielu znajomych i teraz przekonał ich, by kupowali u niego leki. Większość z nich to robiła.

Pewnego dnia do drogerii przyszedł dr Kaye. Na zapleczu wybuchła hałaśliwa seria potyczek słownych między nim a Fieldsem. Dr Kaye zażądał udziału w zyskach i Fields przyrzekł mu to.

Później Fields dał dr. Kaye'owi parę dolarów, ale to jeszcze bardziej rozgniewało doktora, którego gabinet podupadł. Kasa pomocy medycznej (Medicaid) płaciła za zabiegi dentystyczne, protezy i recepty wypisywane przez dr. Kaye'a. Gdy zmieniono przepisy prawne, Kaye częściowo utracił te zarobki, ale ciągle dawał recepty, które realizowano w drogerii na Haymarket. Było ich tak dużo, że Ziperstein i Fields zostali w tej sprawie przesłuchani. Uważano bowiem, że wielu recept nie zrealizowano, choć Medicaid za nie zapłaciła.

23 sierpnia 1974 roku do drogerii na West Madison Street wszedł kolorowy mężczyzna i zapytał o pana Festensteina.

Subiekt powiedział mu, że nie ma tu nikogo o tym nazwisku i że prawdopodobnie chciał rozmawiać z panem Zipersteinem. Mężczyzna potwierdził.

Allen Ziperstein siedział przy swoim biurku na zapleczu. Na wiadomość, że ktoś chce go zobaczyć, wyszedł. Była godzina 9.18. Ziperstein zwrócił się do przybysza: - W czym mógłbym panu pomóc?

Czarny mężczyzna bez słowa wyciągnął chromowany automat kaliber 32 i wystrzelił siedem kul prosto w farmaceutę. Następnie odwrócił się i wyszedł. Wkrótce zginął w tłumie na zatłoczonej ulicy.

Subiekt zawiadomił telefonicznie Komendę Policji. Za parę minut zjawił się w drogerii kapitan Joseph DiLeonardi. Dwaj funkcjonariusze Toolis i Coe, którzy krążyli w dzielnicy w czasie strzelania, szybko odgradzili sznurem sklep, aby nie dopuścić ciekawskich.

Do kapitana DiLeonardiego niebawem dołączył porucznik Walter Bosco, szef wydziału zabójstw. Za nim przybyła ekipa składająca się z Jamesa Dvoraka, Michaela Caccitolo i Johna Glenna. Glenn na krótko wycofał się ze śledztwa, bo był na urlopie, ale wrócił po paru dniach.

Subiekt i inni świadkowie opisali zabójcę jako czarnego mężczyznę w wieku 25 do 33 lat. Miał około sześciu stóp wzrostu, ważył około 170 funtów i był porządnie ubrany w gustowny garnitur, białą koszulę i krawat.

Przepytano świadków i detektyw Caccitolo znalazł kogoś, kto widział bandytę wsiadającego w pościechu do autobusu zmierzającego na północ. Zawiadomiony o tym kapitan DiLeonardi niezwłocznie polecił skontaktować się z samochodami patrolującymi i komendami policji między Madison Street i Howard Avenue.

Detektywi Caccitolo i Dvorak przeprowadzili wywiady w bloku, gdzie mieściła się drogeria. Caccitolo znalazł kupca, który oświadczył, iż słyszał w drogerii głośnie kłótnię już po morderstwie. To oznaczało, że to nie Ziperstein i Fields się kłócili.

Tymczasem Dvorak poszukiwał motywu zbrodni. Ale wszyscy, którzy znali Zipersteina, mówili, że był bardzo życzliwym, spokojnym człowiekiem i nie do pomyślenia było, by mógł kłócić się ze swoim współnikiem. Tymczasem Caccitolo dowiedział się, że głośnie kłótnia trwała nadal po śmierci

farmaceuty. To miało oczyścić Fieldsa, który już przedstawiał swoje alibi.

Po powrocie z urlopu do śledztwa dołączył Glenn. Trzej funkcjonariusze mieli także inne zadania, ale każdą wolną chwilę poświęcali tej sprawie.

18 stycznia 1975 roku dobrze ubrany czarny mężczyzna przyglądał się, jak Fields wysiadł ze swego samochodu i skierował się do drogerii. Fields dostał serię w plecy. Napastnik zatrzymał się tylko na moment, by pomachać rewolwerem w kierunku widzów tej sceny. Następnie biegiem dopadł rogu ulicy i wsiał do autobusu zmierzającego na północ.

Detektywi Dvorak, Caccitolo i Glenn znaleźli się w parę minut później na miejscu nowego zabójstwa. Był tam także lekarz policyjny dr Tae Lyons An i technicy z laboratorium kryminalnego. Podjęte badania rutynowe nie ujawniły żadnego tropu.

Ludzie z wydziału zabójstw pracowali z większą determinacją niż zazwyczaj. Na podstawie kartotek wydziału opieki społecznej stwierdzili, że dr Kaye miał 72 lata, a nie 65, jak podawał. Te same kartoteki wskazały, że nazwisko drugiej ofiary brzmiało pierwotnie „Festenstein”, ale denat zmienił je oficjalnie na „Fields”. Jednakże - zgodnie z zeznaniami kupców z bloku, gdzie mieściła się drogeria - dr Kaye nie uznawał tej zmiany nazwiska. Subiekt także nie wiedział o zmianie nazwiska Festensteina.

Ale kto wynajął zabójcę do zamordowania Festensteina? Może dr Kaye?

Znaleźli się świadkowie, którzy zeznali, że za zabójcą stał młody czarny mężczyzna. Detektywi zatrzymali młodego Murzyna w trzy dni po strzelaniu. Świadkowie rozpoznali go jako tego, który stał za zabójcą. Po wystrzałach uciekł, ale w inną stronę niż zabójca. Stwierdzono, że nazywa się Edgar Wiley i ma 20 lat.

Wiley zaprzeczył, że był obecny przy zabójstwie; znalazł się tam dopiero, gdy skończyły się strzały. Po podaniu adresu zamieszkania, został zwolniony. Dalsze dochodzenie skupiało się na świadkach z bloku.

Znaleziono człowieka, który nie był świadkiem zbrodni, ale słyszał od innego kupca z tego samego bloku, że bandyta był

ochroniarzem i bliskim przyjacielem Wileya. Kupiec przyznał, że słyszał o tym od młodej kobiety, która była sekretarką i recepcjonistką w małej klinice medycznej na zachodniej stronie ulicy. Detektywi udali się do niej.

Powiedziała im, że kiedy czytała artykuł o morderstwie Zipersteina, jeden z ochroniarzy o nazwisku William R. Hill (27 lat) powiedział jej: - To ja zabiłem tego faceta.

Kiedy spytała go, dlaczego to zrobił, odpowiedział, że ktoś zlecił mu dokonanie zabójstwa. Miał za to otrzymać 25 000 dolarów od dr. Kaye'a, dentysty, którego gabinet znajdował się nie opodal drogerii. Recepcjonistka powiedziała mu, że jest zajęta i nie ma czasu słuchać bajek.

Dziewczyna nazwała Hilla gadułą i samochwałą. Utrzymywał na przykład, że był komandosem walczącym na Sycylii. Udając, że należy do mafii, nauczył się paru słów po włosku.

Powiedziała, że Hill nieraz mówił o tym zabójstwie i gdy w dwa dni po zdarzeniu przyszedł do niej, wyglądał bardzo ponuro. Kiedy spytała go, co się stało, wyznał, że zabił nie tego człowieka, którego mu wskazano, i że dr Kaye bardzo się rozgniewał. Powiedział, że Festenstein to był właśnie Fields, bo znano go pod tym nazwiskiem.

Gdy dentysta trochę ostygł w gniewie, dał Hillowi jeszcze jedną szansę, choć obniżył sumę do 10 000 dolarów. Hill powiedział, że otrzymał od dr. Kaye'a 5000 dolarów i 2500 od zatrudnionej w gabinecie asystentki dentysty. Resztę miał dostać po wykonaniu zadania. Zdecydowano, że trzeba będzie poczekać parę miesięcy, aż sprawa ucichnie.

Hill poinformował o tym dziewczynę, która zapowiedziała mu, że zamierzała powiedzieć o wszystkim policji po zabójstwie Zipersteina, ale zbyt długo z tym zwlekała i Fields został zabity. Wtedy nie wiedziała, jak ma postąpić.

Po przesłuchaniu Wileya, ten nie zgłosił się do pracy. Detektywi udali się do zatrudniającej ochroniarzy agencji, pod adres wskazany im przez Hilla, ale okazało się, że jest fałszywy. Następnie skierowali się pod adres, który dał im Wiley, i znaleźli go w domu. Poinformowano go o jego prawach i zabrano do Głównej Komendy Policji. W celu rozpoznania przez świadków ustawiono go w szeregu z innymi. Bez

jakichkolwiek wątpliwości został zidentyfikowany jako zabójca.

Informator, który znał obu podejrzanych mężczyzn, stwierdził, że Wiley wielbił Hilla. Według tego informatora Wiley miał być kozłem ofiarnym. Wiley oznajmił, że Hill nigdy nie dopuściłby się takiego czynu.

- W porządku - powiedział detektyw - czy możesz powiedzieć nam, gdzie obecnie znajduje się Hill? Jeśli chodzi o ciebie, to będziesz oskarżony co najmniej o pomoc w zabójstwie, jeśli nie o zabójstwo.

Wiley podał adres Hilla i został odwieziony do komendy. W momencie gdy się tam znalazł, przybył zastępca prokuratora stanowego Joseph Urso.

Hill próbował wynegocjować ugodę:

Podyktuję wyznanie o popełnieniu zabójstwa na użytek Sądu, jeśli zastępca prokuratora stanowego Joseph Urso w obecności świadków w osobach funkcjonariuszy zagwarantuje mi wyrok czternastu lat lub o jeden dzień więcej.

Świadcami poza zastępcą prokuratora byli detektywi Dvorak, Caccitolo i Glenn oraz major DiLeonardi i porucznik Bosko.

Propozycję Hilla natychmiast odrzucono. Jeden z detektywów powiedział, że już mają jego ustne zeznanie: Hilla oskarżono o zabójstwo, a Wileya o współudział.

Obaj zostali zatrzymani aż do czasu, gdy zostali postawieni w stan oskarżenia przed sąd hrabstwa Cook: Hill pod zarzutem morderstwa, a Wileya współudziału. Zatrzymano ich w więzieniu hrabstwa Cook, nie przyznając możliwości odpowiadania z wolnej stopy za kaucją.

Gdy doszło do rozprawy, Wiley zgodził się zeznawać przeciw Hillowi i oskarżenie go o współudział w zbrodni zostało wycofane.

We wstępnym przemówieniu prokurator Scott Peterson powiedział o Hillu: - Wyobrażał sobie, że jest wykonawcą wyroków mafii. Korzystał z drogich restauracji, zamawiając takie potrawy, jak włoskie danie lasania. Nauczył się nawet mówić po włosku. Jest człowiekiem, który przygotował się do zabijania ludzi.

Choć adwokat Hilla William O'Malley przerywał mu kilkakrotnie, Peterson oświadczył ławie przysięgłych, że zabójstwa były wynikiem konfliktu między Fieldsem a dr. Maxem Murphy Kayem. Peterson zapowiedział, że oskarżyciel przedstawi świadków, którzy potwierdzą, że Kaye wynajął Hilla do zabicia Fieldsa potem, jak ci dwaj gwałtownie się pokłócili o przedstawianie fałszywych recept Wydziałowi Opieki Społecznej.

Stwierdził, że dr Kaye wysyłał recepty do drogerii Fieldsa, a wśród rachunków były także sfałszowane sumy. Uznał, że oczywistym motywem dr. Kaye'a była chęć zysku. Dodał, że przy badaniu rachunków przedstawionych Wydziałowi Opieki Społecznej okazało się, że stan Illinois został oszukany przez wystawienie setek recept, które wcale nie były potrzebne.

Prokurator Peterson powiedział, że Ziperstein został zamordowany przez Hilla z powodu pomyłki w nazwiskach. Wskazał, że po zabiciu Fieldsa przed drogerią, 18 stycznia 1975 roku Hill otrzymał razem 6800 dolarów.

William O'Malley, urzędowy obrońca Hilla, poprosił ławę przysięgłych składającą się z sześciu kobiet i sześciu mężczyzn, by zwróciła szczególną uwagę na zeznania Edgara Wileya.

- Powinniście się przekonać, czy rzeczywiście siedzi przed wami właściwy człowiek.

O'Malley powiedział, że Hill pracował na trzech posesjach, z których żadna nie przynosiła mu wysokich zarobków.

Jedną z jego prac było zatrudnienie w warsztacie mechanicznym, gdzie naprawiał i przerabiał broń palną. Oskarżenie utrzymywało, że dwa rewolwery z tego zakładu zostały wykorzystane do zabójstwa.

Wskazując na oskarżonego, prokurator Peterson powiedział: - Wszystkie dowody i zeznania świadków prowadzą w stronę Williama Rodericka Hilla. W mieszkaniu Hilla policja znalazła pięknie ilustrowaną broszurkę z instrukcją, jak zabić. Motto tych wskazówek: *Zabijaj bez zadowolenia* odpowiada dokładnie temu, co się stało.

W dalszym ciągu rozprawy zeznawał sprzedawca z drogerii, który tam pracował w czasie obu zabójstw. Stwierdził on, że na jakiś tydzień przed morderstwem Zipersteina dr Kaye przyszedł do drogerii i spytał o Boba, bo tak zwykle nazywał Roberta Fieldsa. Fields był na zapleczu i dr Kaye tam się udał.

Sprzedawca powiedział, że słyszał krzyki obu mężczyzn, ale nie wiedział, o co się kłócili. Zeznał też, że następnego dnia jadł obiad w restauracji, do której wszedł dr Kaye. Kaye pomachał rewolwerem w stronę ekspedienta, mówiąc: - Powiedz Bobowi, by trzymał się ode mnie z daleka. - I wyszedł.

Recepcjonistka, której zwierzył się Hill, powiedziała, że jest także technikiem medycznym i że w 1974 roku pracowała przez dwa tygodnie w drogerii Haymarket. To jednak było przed morderstwem Zipersteina. Oznajmiła, że poznała Hilla, gdy oboje byli zatrudnieni w Centrum Medycznym na West Chicago Avenue w listopadzie 1974 roku.

- Któregoś dnia - zeznała - spytał mnie, czy odpowiada portretowi człowieka, który zabił Allena Zipersteina. Powiedziałam mu, że istotnie tak myślę, na co on odpowiedział: - Słusznie, bo to ja go zabiłem.

W czasie dwugodzinnego zeznawania świadek powiedziała 0 próbach Hilla zalecania się do niej. Zapraszała ją na filmy z kung-fu i do włoskich restauracji, gdzie czasami rozmawiał w języku, który wydawał się jej włoski.

Kiedyś przyszedł do pracy w marynarce w brązową kratę i powiedział jej: - Miałem na sobie tę marynarkę, kiedy zabiłem Allena Zipersteina.

- Czy powiedział pani, jak to zrobił? - spytał prokurator Peterson.

- Powiedział, że wszedł do drogerii Haymarket i spytał o Allena Zipersteina. Oznajmił, że strzelał sześciokrotnie w klatkę piersiową i raz w nogę, aby atakowany upadł na ziemię.

To nie zgadzało się z tym, czego dowiedzieli się detektywi. Zgodnie z tym, co im powiedziano, Hill pytał o Festensteina; prawdopodobnie tylko dr Kaye spośród podejrzanych w sprawie znał poprzednie nazwisko Fieldsa. Nie było oczywiście racji, by Hill pytał o Zipersteina.

Zastępca prokuratora stanowego Petersen i George Lynch przedstawili jako dowody rzeczowe marynarkę, którą rzekomo nosił Hill w czasie zabójstwa, oraz znaną w jego mieszkaniu broszurkę informującą, jak dokonać zabójstwa.

Zastępca prokuratora stanowego Joseph Urso zeznał, że wieczorem 22 stycznia 1975 roku, kiedy aresztowano Hilla, przyznał się on do popełnienia morderstwa Fieldsa - w I Komendzie Rejonowej Policji.

- Powiedział - zeznał Urso - że zgodnie z obowiązkami dobrego żołnierza sycylijskiego, wykonał rozkazy. Wyznał, że zabił pana Fieldsa, a zrobił to bez emocji, po prostu trzeba było to zrobić.

Urso zeznał przy tym, że Hill powiedział mu, iż zgodził się zabić Fieldsa za 10 000 dolarów. Dodał, że umowę uzgodniła z nim pracownica dr. Kaye'a. Powiedział, że kiedy znalazł się w I Komendzie Rejonowej Policji, policja odtwarzała nagrane na taśmie zeznanie Edgara Wileya.

Odtworzono je ponownie dla Hilla. Urso zeznał: - Oczy Hilla zasły mgłą i po raz pierwszy okazał wzruszenie. Powiedział mi: „Macie mnie, jeśli chodzi o Fieldsa, ale nie Zipersteina”.

Urso powiedział też, że Hill początkowo nie chciał obrócić i na piśmie wyraził zgodę na przeszukanie jego mieszkania. Później jednak poprosił o adwokata.

Prokurator Urso oświadczył, że oskarżony zaproponował, iż przyzna się do popełnienia obu zabójstw, jeśli Urso da mu na piśmie gwarancję, że otrzyma najniższy wyrok, to jest 14 lat.

- Nie będzie ugody - powiedziałem mu.

Świadek powiedział, że po wysłuchaniu zeznania Wileya i jego rozmowie z policjantami, Wiley spytał Urso, czy jest Włochem. Oświadczył, że Hill często używał takich słów jak *parla Siciliana* - mówić po sycylijsku - i *capiche Siciliana* - czy rozumiesz po sycylijsku?

Urso poinformował ławę przysięgłych, że Hill udawał inkasenta opłat za gaz, aby dostać się do domu Fieldsa i zrobić szkice wnętrza. Stwierdził, że Hill znał dobrze samochód Fieldsa i jego ubrania.

W krzyżowym ogniu pytań adwokat Hilla, William O'Malley spytał, dlaczego policja nagrała zeznanie Wileya, a nie zarejestrowała zeznania Hilla.

Urso odparł, że Hill nie chciał, by jego zeznanie zostało zarejestrowane.

Następnym ważnym świadkiem była młoda kobieta, która oznajmiła, że pracuje jako recepcjonistka i technik dentystyczny w klinice Maxa Murphy Kaye'a. Szef wyznaczył ją jako pośrednika między Williamem R. Hillem i dr. Kayem, który był w konflikcie z Fieldsem.

Świadek poinformowała sędziego i ławę przysięgłych, że przekazała Hillowi informację i pieniądze od dr. Kaye'a.

Zapytana przez zastępcę prokuratora stanowego Lyncha dwudziestoczteroletnia kobieta zeznała, że słyszała, jak dr Kaye powiedział: - Bob jest nie w porządku. Zabiłbym tego pasażera, gdybym mógł wywinąć się od kary. Zapłacił pięć tysięcy dolarów, jeśli znajdzie kogoś, kto go wykończy.

Dodała, że dr Kaye powiedział to po kłótni z Fieldsem.

Zeznała, że powtórzyła tę wypowiedź dr. Kaye'a Hillowi, który powiedział: - Ja to zrobię. - Świadek powiedziała mu: - Jestem pewna, że to zrobisz.

Następnie zeznała, że dała mu kopertę od dr. Kaye'a. Była do niego zaadresowana, a w środku znajdował się dokładny opis samochodu Fieldsa i otoczenia drogerii. Była tam również jego fotografia.

Recepcjonistka powiedziała także, że w jakiś tydzień później rozmawiała z Hillem, który oznajmił, że nie mógł tego zrobić, bo nękała go policja.

Oznajmiła jednakże, że w dniu zastrzelenia Zipersteina dr Kaye przyjął telefon, a ona usłyszała zakończenie rozmowy: *Co? Zabił nie tego człowieka? Ktoś się włączył i wy prul A łowi książki.* Później, tego samego wieczoru, świadek zeznała, że zgłosił się do niej Hill, mówiąc: - Wykonaliśmy zadanie; należą mi się pieniądze.

Stwierdziła, że gdy spytała o to dr. Kaye'a, ten odpowiedział, że Hillowi należy zapłacić tylko połowę umówionej sumy, gdyż zabił nie tego człowieka, którego miał zabić.

Świadek stwierdziła, że dostarczyła Hillowi białą, nie zaklejoną kopertę. Były tam według niej banknoty dwudziesto-, pięćdziesięcio- i studolarowe. Oznajmiła też, że Hill pracował jako ochroniarz w klinice na West Chicago Avenue, gdzie poznał recepcjonistkę, która zeznawała wcześniej.

Prokuratorzy stwierdzili, że Hill otrzymał od dr. Kaye'a łącznie 6800 dolarów.

Zeznawali również inni świadkowie, ale zeznania głównych świadków wystarczająco udowodniły winę Hilla. Sytuacja się nie zmieniła.

Jednakże Hill, broniąc się, oświadczył, że jest niewinny, a zabójcą jest jego dawny współlokator Edgar Wiley.

Oskarżenie zażądało kary śmierci, zgodnie z nowym prawem stanu Illinois. Ten przypadek odpowiadał dwóm paragrafom prawa: zabójstwo na zamówienie oraz wielokrotne morderstwo.

Zastępca prokuratora stanowego motywował żądanie kary śmierci tym, że Hill, a nie kto inny wybrał rolę „zawodowego mordercy”!

- Ten człowiek z wyboru stał się mordercą, wynajętym zabójcą - stwierdził prokurator. - Otrzymał zapłatę za swój czyn i zabił dwóch ludzi.

Zastępca prokuratora stanowego Scott Peterson także zażądał wyroku śmierci.

- Chcielibyśmy, by sąd powiedział Williamowi R. Hillowi, że zabił już wystarczająco dużo ludzi - oświadczył Peterson. - Dość już tych przechwałek o diabelskich wyczynach mordowania ludzi.

- Niech sprawa Williama R. Hilla uświadomi ludziom z ulic Chicago, że ten typ zbrodni nie popłaca i niczego nie załatwia.

Obrońca O'Malley wystąpił z protestem, ponieważ ława przysięgłych nie została powiadomiona, że rozprawa toczy się o skazanie na śmierć. Krytycznie ocenił także uchybienie sądu, że przy wyborze ławy przysięgłych nie spytano potencjalnych sędziów, czy nie są przeciwni karze śmierci.

Po pouczeniu sędziów przysięgłych o procedurze sądowej przez sędziego Morana, sędziowie udali się do sali narad, by przedyskutować sprawę. To trwało bardzo krótko. Uznano Hilla winnym podwójnego zabójstwa „na zamówienie”.

Według prawa stanu Illinois oskarżony ma po wyroku sądu przysięgłych uznającym go winnym dwie możliwości: może wybrać wymierzenie kary przez sędziego albo powierzyć swój los w ręce sędziów przysięgłych. Hill postanowił, żeby ława przysięgłych zdecydowała o jego życiu.

Sędziowie przysięgli mogą skazać na więzienie albo na karę śmierci. Dyskusja trwała trzy i pół godziny, a gdy wrócili na salę sądową z wyrokiem, brzmiał on: *śmierć na krześle elektrycznym*.

Prawo stanu Illinois przewiduje natychmiastową apelację do Najwyższego Trybunału Stanowego. Są różne możliwości apelacji i O'Malley zdecydował, że wniesie sprawę do Sądu Stanowego. Prokuratorzy powiedzieli, że jest obecnie tyle przypadków apelacji w stanowych i federalnych sądach apelacyjnych, że sprawa może czekać na swoją kolej przez długie lata.

Obrońca Hilla, adwokat O'Malley prosił sędziego Morgana, by obalił wyrok ze względu na wiek skazanego, który nie skończył 27 lat przed rozpoczęciem procesu.

Sędzia odrzucił prośbę, mówiąc, że Hill był wystarczająco dojrzały.

Choć popełniono dwa morderstwa zanim wprowadzono nowe stanowe prawo o karze śmierci, sędzia Moran oznajmił, że Sąd Apelacyjny Stanów Zjednoczonych sędzi według prawa, które obowiązywało w czasie popełnienia zbrodni; można jednak odwołać się do nowego prawa, nawet jeśli sąd apelacyjny stosował dawne prawo.

Dawny kodeks został uznany przez sąd apelacyjny za niezgodny z konstytucją, gdyż nie uwzględnił zastosowania mniejszej kary w pewnych przypadkach.

Prawie natychmiast po orzeczeniu sądu apelacyjnego, w stanie Illinois zaczęto pracować nad nowym prawem, zgodnie z którym sąd apelacyjny mógł wymierzyć karę śmierci. Nowe prawo zostało zatwierdzone w czerwcu 1977 roku przez gubernatora Thompsona.

William R. Hill był pierwszym skazanym na mocy nowego prawa. Przyszłość pokaże, czy jego wyrok będzie pierwszym,

który zostanie wykonany. Ostatnią osobą skazaną za zastrzelenie policjanta w ubraniu cywilnym w 1956 r. był James E. Dokes. Ostatecznie zginął na krześle elektrycznym 24 sierpnia 1962 roku.

Dziennikarze przeprowadzili wywiad z Hillem 16 sierpnia, następnego dnia po ogłoszeniu wyroku. Zobaczyli na ścianie jego celi rysunek przedstawiający mężczyznę siedzącego na krześle elektrycznym.

Hill powiedział, że narysował to i powiesił dzień przedtem, wkrótce po wyroku skazującym go na taką śmierć.

- Patrząc na ten rysunek bez przerwy - wyznał skazany.
- Przypomina mi to, jak źle mnie wykorzystali pewni ludzie ze względu na własne korzyści.

Utrzymując, że nie jest sprawcą dwóch morderstw, oskarżył prokuratorów, że usiłują stworzyć dla siebie „polityczną korzyść” i są przekonani, że to im się uda.

Jedynymi ludźmi, którzy żałowali takiego zakończenia rozprawy, byli Hill i jego adwokat O'Malley, który był pewien jego niewinności.

Zgodnie z opinią dwu sędziów przysięgłych nikt z nich nie miał wątpliwości, że Hill był winien. Marc Anthony, 31-letni sędzia przysięgły, oświadczył, że wszyscy myśleli jednakowo: „Ten człowiek popełnił morderstwo z zimną krwią i nie żałował swego czynu”.

- Wszyscy uważaliśmy, że stan Illinois potrzebował ustawy o karze śmierci. Czuliśmy, że sędzimy w imieniu wszystkich ludzi w stanie. Mamy dość tej sytuacji, że zabójcy wracają na ulice miasta po trzydziesto- albo czterdziestoletnim pobycie w więzieniu. Niepokoiło nas, że Hill znowu mógłby zabijać, gdybyśmy skazali go jedynie na pozbawienie wolności.

Sąd przysięgłych nie okazał współczucia mordercy, który „wpakował siedem kulek obcemu człowiekowi”. Anthony powiedział, że sędziowie patrzyli z niechęcią na człowieka, który popełnił omyłkę strzelając do niewłaściwego celu i powrócił, by zabić ponownie.

Anthony stwierdził, że nie czuł wyrzutów sumienia z powodu wyroku.

- Nie martwiłem się, że skazujemy Hilla na śmierć na krześle elektrycznym. Zasługuje na karę, na którą został skazany.

Sędzia przysięgły powiedział, że dwa czynniki przyczyniły się do niechęci wobec zbrodniarza. Pierwszy to świadomość, że egzekucja Hilla wpłynie na powstrzymanie innych od zbrodni.

Drugim czynnikiem była opinia o Hillu z wojska. Trzykrotnie stawał przed sądem wojskowym - pierwszy raz za posiadanie marihuany, drugi raz za kradzież odbiornika TV, a trzeci raz za napad z pobiciem. Został karnie zwolniony z wojska.

Karne zwolnienie zaakceptował wówczas kapelan Oddziału Marines. Powiedział wtedy, że Hilla nie można uratować, że nie znosi służby wojskowej, i dlatego zalecił karne zwolnienie.

Anthony przyznał, że przy pierwszym głosowaniu 10 sędziów z ławy głosowało za wyrokiem śmierci, a 2 za pozbawieniem wolności. Drugie głosowanie wykazało proporcję 11 do 1. W trzecim głosowaniu decyzja była jednogłówna.

Jednakże Anthony wyjaśnił, że głosujący wcześniej za karą pozbawienia wolności nie byli przeciwnikami kary śmierci.

- Powiedzieli nam później - informował Anthony - że chcieli, abyśmy przedyskutowali sprawę wszechstronnie, tak aby nie pozostały wątpliwości, czy postępujemy słusznie.

Dr Max Murphy Kaye nie dożył dnia procesu. W siedem miesięcy od sformułowania aktu oskarżenia zmarł na atak serca.

W czasie pisania tego artykułu William R. Hill pozostaje w więzieniu hrabstwa Cook, oczekując na rozprawę przed sądem apelacyjnym.

Nota wydawcy

Nazwisko Edgara Wileya nie jest prawdziwe. Zastosowano fikcyjne nazwisko, gdyż nie ma potrzeby identyfikować tej osoby.

Richard Walt on

NIETYLKO JEDNA OFIARA MORDERCY

Ubrany od stóp do głowy w strój w ochronnych kolorach, tropiciel poruszał się w ciszy nocy krokiem leśnego drapieżcy. Uszy miał wyczulone na najmniejszy szelest. Jego celem nie było jednak zadawanie śmierci. Przeciwnie, miał ratować życie. Przyrodnik tropił borsuki i ropuchy, które rzekomo licznie się gnieździły w gęstych krzewach i na terenie parkowym w Keston Lakes, w Bromley, w Anglii. Pełzając ostrożnie, szczególnie nasłuchiwał zgrzytliwego rechotu ropuch.

Była to niezmiernie zimna noc z temperaturą znacznie poniżej zera. Zapewne w tej części Anglii, w sobotę i niedzielę 4 i 5 stycznia 1986 roku po północy, należało się spodziewać takiego chłodu.

Przyrodnik omijał zmarznięte trawiaste podłoże, by uniknąć odgłosu łamiących się pod stopami traw. Na palcach dotarł do kępy ostrokrzewów otaczających parking samochodowy, ale nagle stanął jak wryty i włosy zjeżyły mu się na głowie.

Ze złowrogiego mroku wyłaniało się coś obrzydliwego - jakiś nieokreślony kształt, a jednak nieuchwytnie przypominający

postać ludzką. Teraz ten dziwny osobnik jakby zwracał się do niego z rykiem.

Mężczyzna podszedł bliżej, przebijając się przez mgłę unoszącą się nad wodami jezior. Była tam głowa, ale jej rozdygotane usta były nieproporcjonalnie szerokie i znajdowały się nisko, jak u olbrzymiej ropuchy.

Na ten potworny widok nocny badacz bez tchu odskoczył do tyłu, bo rozpoznał przyczynę swego przerażenia.

Była to usiłująca chwytać powietrze śmiertelnie ranna kobieta z rozplątaniem od ucha do ucha gardłem.

W parę minut później przyrodnik pukał do drzwi pobliskiego domu bogatego biznesmena z Londynu Harry'ego Drake'a i jego żony Agnes. Podejmowali właśnie noworoczną kolację licznych gości. Był to jedyny dom w pobliżu parku, gdzie o pierwszej w nocy jeszcze paliły się światła.

Pani Drake otworzyła drzwi. Trochę się przeraziła zobaczywszy obcego w stroju polowym, błagającego ją, by natychmiast wezwała policję.

- Proszę mi pomóc - wykrztusił. - W parku jest dziewczyna, której ktoś próbował odciąć głowę.

Państwo Drake i ich goście natychmiast odpowiedzieli na wezwanie. Ktoś połączył się z pogotowiem policyjnym, pozostali - w smokingach i wieczorowych sukniach - pobiegli za mężczyzną w stronę jezior, około pół mili od domu.

Niebawem pani Drake narzuciła pled na zmarzniętą do szpiku kości ranną, która charcząc usiłowała oddychać przez przeciętą tchawicę. Rozcierała też lodowate ręce ofiary i cicho ją zapewniała, że wkrótce nadejdzie pomoc.

Uratowanie życia kobieta zawdzięczała czterem czynnikom poza sprawnością załogi ambulansu: cudownemu zjawieniu się człowieka polującego na ropuchy; szybkiej reakcji państwa Drake na jego prośbę; chirurgowi, który wkrótce potem wykonał operację w miejscowym szpitalu; a przede wszystkim lodowatej pogodzie tamtej nocy.

Nastąpiła hipotermia redukująca ilość krwi wypływającej ze strasznej rany. W przeciwnym razie kobieta wykrwawiłaby się na śmierć, zanim zjawił się przyrodnik; należy bowiem przyjąć, że gdyby nie zorganizowana przez niego

pomoc, denatka miałaby przed sobą zaledwie 30 minut życia.

Wkrótce ustalono tożsamość ofiary. Okazało się, że jest żoną szanowanego miejscowego lekarza pochodzenia hinduskiego, Johna Baksha. Kobieta, także Hinduska, miała 43 lata. Oboje praktykowali jako interniści w pobliskim Eltham.

Mieszkali w luksusowym domu, wycenionym na 400 000 funtów, położonym w odległości trzech mil od miejsca, gdzie ją znaleziono. Dzień wcześniej John Baksh zawiadomił policję o zaginięciu żony. Zatelefonował do komendy o 9.30 wieczorem. Państwo Baksh mieli w tym dniu obchodzić drugą rocznicę małżeństwa. Dla obojga był to powtórny związek.

Kobieta opuściła dom o piątej po południu z zamiarem zrobienia ostatnich zakupów w pobliskim Bromley, ale nie wróciła do domu. Mąż znalazł jej szarego forda oriona, pozostawionego w środku miasta w pobliżu sądu, i obawiał się, że stała się ofiarą porwania.

Podczas gdy pani Baksh następnego dnia rano leżała w szpitalu nie odzyskawszy przytomności po operacji, która uratowała ją od śmierci, policja za pośrednictwem prasy zaapelowała do ewentualnych świadków, by nawiązali kontakt z komendą.

W tym samym czasie zainteresowano się pewnymi pogłoskami, które wprawdzie nie przyczyniały się do identyfikacji sprawcy, ale nadały śledztwu pewien kierunek.

Okazało się, że w styczniu detektywi Scotland Yardu mieli sprawować kontrolę nad ekshumacją ciała pewnej trzydziestoletniej Brytyjki pochowanej w południowej Hiszpanii. Była ona żoną lekarza domowego z Londynu, a zmarła przed trzema laty, w czasie wakacji, w wyniku ataku serca.

Mniej więcej w tym samym czasie ekipa dochodzeniowa do spraw zabójstw prowadziła śledztwo w sprawie tajemniczych zgonów trzech lekarzy domowych pracujących w pewnej klinice w południowym Londynie. Uważano, że wszyscy trzej zmarli na atak serca. Nowe dowody wskazywały, że mogli być pod wpływem leków wywołujących stan zawałowy, czy tylko symulujących objawy sercowe.

Dwaj z tych lekarzy byli kawalerami. Zmarli w latach 1970. i ciała ich zostały poddane kremacji, wątpliwości wobec ich śmierci były więc tym trudniejsze do wyjaśnienia.

Raport stwierdził, że w sprawie wszystkich trzech śmierci przesłuchiowano jednego podejrzanego. Scotland Yard zaś badał jeszcze inny wątek tej sprawy, który wydawał się bardzo interesujący...

Wszyscy trzej zmarli byli ubezpieczeni na wysoką sumę. W każdym przypadku ubezpieczenie wypłacono tej samej osobie.

Powtarzano wtedy wypowiedź rzecznika Scotland Yardu: *Mogą upłynąć tygodnie, a nawet miesiące, zanim dowiemy się, czy mamy do czynienia ze śledztwem w sprawie wielokrotnego morderstwa czy z serią nadzwyczajnych zbiegów okoliczności.*

.

Tymczasem żona Baksha odzyskała świadomość w szpitalu, a 10 stycznia nieoczekiwanie oskarżono doktora Johna Baksha o próbę jej zamordowania. W lutym sędziowie przysięgli miejscowego sądu przekazali oskarżonego do dyspozycji londyńskiego Centralnego Sądu Kryminalnego.

W sierpniu jednakże dodano następne oskarżenie - o dokonanie przed trzema laty w Almerii, w Hiszpanii, morderstwa pierwszej żony, czterdziestosiedmioletniej Ruby.

Teraz czytelnikom wcześniejszych sprawozdań prasowych wiele się wyjaśniło.

We współczesnej angielskiej prasie zazwyczaj spekulacje wyprzedzają proces, ale tym razem prasa milczała. Dopiero druga żona oskarżonego ujawniła w przesłuchaniu sądowym zadziwiającą historię szanowanego lekarza domowego, inkasującego 100 000 funtów z polisy ubezpieczeniowej swojej pierwszej żony i usiłującego zyskać następne 125 000 po zamierzonym zgłodzeniu drugiej. Potem prokurator królewski Allan Grenn, bardzo bystry prawnik, podkreślił kilka podstawowych faktów.

John Baksh miał praktykę medyczną w regionie Eltham i Chislehurst, w południowych dzielnicach Londynu, a jego

pierwsza żona (od 21 lat) także była lekarzem. W 1971 roku zaangażowano do firmy nową lekarzkę - nieśmiałą, drobną kobietę urodzoną w Lucknow w Indii, która wkrótce rozpoczęła tam praktykę. »

Lekarka ta przybyła do Anglii w 1968 roku. W rok później wyszła za mąż i miała dwoje dzieci - chłopca i dziewczynkę. W 1980 roku mąż ją opuścił.

Członkini Royal College of Surgeons w Edynburgu i Royal College of Gynecologists była niewątpliwie dobrym nabytkiem dla firmy, ale Baksha pociągała przede wszystkim fizycznie.

Któregoś wieczoru odwiedził ją w jej mieszkaniu na Bromley z butelką szampana i spytał:

- Dlaczego jesteś sama? Żyjemy w liberalnym społeczeństwie, które na wiele pozwala.

Nieśmiała kobieta odpowiedziała mu, że on może tak myśleć, ale ona jest innego zdania. Po wypiciu szampana romantyczny doktor zyskał tylko zaproszenie na obiad i nic poza tym.

W październiku 1982 roku Baksh namawiał koleżankę, żeby związała się z nim, ale zdecydowanie odmówiła. Była gotowa poślubić go, ale dopiero po rozwodzie.

Z nadejściem grudnia Baksh stwierdził, że potrzebuje trochę słońca, zabrał więc żonę i dwoje dzieci na wakacje do rodzinnej willi w Almerii, w południowej Hiszpanii.

Wcześniej rano w dniu Nowego Roku 1983, Baksh nagle wezwał lekarza hiszpańskiego w podeszłym wieku, którego poznał na jakimś przyjęciu. Oświadczył mu, że po męczącym przyjęciu noworocznym jego żona miała atak sercowy i zmarła. Leciwy doktor podpisał świadectwo zgonu, potwierdzając tę przyczynę. Pochowano ją w Hiszpanii, choć mąż narzekał na wysokie koszty pogrzebu.

Baksh powrócił z dziećmi do Anglii. Kobietę, którą chciał uczynić swoją kochanką, telefonicznie zawiadomił o tragedii. Powodowana współczuciem zgodziła się zająć nim i jego dziećmi.

W dwa tygodnie po śmierci pierwszej żony Baksha odbyli hinduski obrzęd pseudozaślubin w jej sypialni, wdychając mdłaco-słodką woń palących się kadzidełek. Przed posążkiem boga Kriszny kobieta uklękła u jego stóp na znak podporządkowa-

nia się mu we wszystkim, a on włożył na jej palec obrączkę zmarłej żony.

W następnym tygodniu zostali kochankami, a kiedy ona otrzymała rozwód, pobrali się formalnie 7 stycznia 1984 roku.

Według prokuratora Greena, głównym motywem zamordowania pierwszej żony były sprawy finansowe, ale także chęć zdobycia nowej koleżanki z kliniki.

Jednakże w końcu 1985 roku Baksh miał znowu poważne kłopoty finansowe. Zalegał z opłatą podatku dochodowego w wysokości 12 000 funtów, w banku miał znaczny debet i zalegał z opłatami szkolnymi, co tworzyło znaczną sumę.

Nadszedł czas, by zająć się drugą żoną w celu uzyskania gotówki.

W swoim zeznaniu w sądzie druga żona powiedziała, że uważała siebie za cichego współnika w morderstwie pierwszej żony, choć dowiedziała się o nim po fakcie. Sąd nie wystąpił wszakże wobec niej z oskarżeniem.

Baksh zwierzył się jej w przerażających okolicznościach.

W maju 1983 roku, w cztery miesiące po śmierci pierwszej żony swego męża, była z nim w sypialni hotelu na Montparnasse w Paryżu. Wcześniej rano, gdy się ubierała, leżący jeszcze w łóżku Baksh poprosił ją, by się zbliżyła.

Stojąc w ławie świadków Centralnego Sądu Kryminalnego w sukni z wysoką stójką, zakrywającą ranę na szyi, opowiedziała, co się wtedy wydarzyło. Ani razu nie spojrzała w stronę męża siedzącego na ławie oskarżonych.

- John rozplakał się - zeznała. - Byłam zdziwiona, zaczęłam głaskać go po głowie, by go pocieszyć, i spytałam, czym się kłopotuje. Powiedział mi, że poświęcił swoją pierwszą żonę ze względu na mnie.

Poprosiła go, by wyjaśnił, co przez to rozumie, a on opowiedział jej, jak to się stało.

- Pomyślałam, że spadłam z nieba na ziemię - wyszeptała - nie mogłam w to uwierzyć.

Baksh powiedział jej, że codziennie podawał żonie gorące mleko, ale tej nocy, w przeddzień Nowego Roku, włożył do niego kilka tabletek narkotyku, by straciła przytomność. Następnie zastrzyknął jej w udo olbrzymią dawkę morfiny.

Powiedział, że nie cierpiała. Następnie jeszcze jakiś czas płakał, potem odwrócił się i zasnął, chrapiąc.

Pani Baksh powiedziała sądowi, że siedziała na łóżku z mieszaniną uczuć wściekłości, niedowierzania i przygnębienia.

- Chciałam wybiec i ogłosić całemu światu, czego się dowiedziałam. Czułam się zdruzgotana. Moje pierwsze małżeństwo było bardzo nieszczęśliwe. Teraz okazało się, że ten człowiek jest mordercą, a ja z nim spałam.

Obudziła Baksha i powiedziała mu, że się boi. Miała nadzieję, że to, co jej powiedział, nie było prawdą.

On wziął ją w ramiona, pocieszając, jeszcze trochę popłakał i znowu zasnął.

W parę tygodni później spytała go bez ogródek, dlaczego to zrobił, a on odpowiedział:

- Gdybym tego nie zrobił, nie miałbym ciebie.

Wtedy zaczęła obawiać się o swoje życie. Baksh cieszył się dużym poważaniem jako lekarz i wiedziała, że nikt by jej nie uwierzył, gdyby ujawniła prawdę.

Kilka dni później powiedziała mu, że skoro mógł zabić pierwszą żonę, może któregoś dnia zrobić to samo z drugą. Tak ponuro przepowiedziała swój niedaleki los. Ale on znowu płakał i oznajmił, że jest dla niego okrutna, dodając:

- To, co zrobiłem, jest największą ofiarą, jakiej można dokonać na rzecz miłości.

Tak więc przez następne dwa lata druga pani Baksh nie zdradziła nikomu tej strasznej tajemnicy. Dopiero w szpitalu opowiedziała detektywom o tym, jak *piekielny doktor uznał, że zysk jest ważniejszy od miłości i kuchennym nożem o długości stopy poderżnął jej gardło.*

Jej niewiarygodne spotkanie w szpitalu ze zbrodniarzem, który był przekonany, że nigdy nie zobaczy jej żywej, przyciągnęło uwagę detektywów.

Zaraz po odzyskaniu świadomości, zobaczyła pochylającą się nad nią uśmiechniętą twarz męża. Z bukietem w ręce i wyrazem miłości na obliczu troskliwie jej się przyglądał. Ale w jego oczach, gdy trzykrotnie ucałował jej czoło, krył się nieopisany strach.-

Chcąc nie dopuścić, by policjanci czy pielęgniarki pozostający w pobliżu jej łóżka zrozumieli go, zwrócił się do niej w języku hindi, błagając, by nie gubiła go, zdradzając próbę zabójstwa.

Zachrypłym głosem zwracał jej uwagę, żeby „pamiętała” zamaskowanych mężczyzn, którzy do niej podeszli, gdy robiła zakupy. Ale ona potrząsnęła głową zaprzeczając temu, bo jeszcze nie mogła mówić. Następnie spytał, ilu było tych ludzi, a ona jednym palcem wskazała na niego, dając znak, że był tylko on.

Wtedy Baksh zaczął z całą niczemnością namawiać ją, by uratowała mu życie i nie wsadzała go do więzienia.

- Chciałam go odepchnąć, ale rozum nie pozwolił mi na to. Nie powinien myśleć, że nie zechcę pójść na współpracę z nim. Martwiłam się też o dzieci.

Tak więc zgodziła się przedstawić policji fałszywe zeznanie. Ale po wyjściu Baksha nagryzmoliła na tablicy: *Mój mąż jest mordercą. Donieście sędziemu, że zabił swoją pierwszą żonę.*

Gdy mogła mówić w miarę zrozumiale, przedstawiła detektywom prawdę o tym, co się zdarzyło, i powtórzyła jego poranne oświadczenie w pokoju hotelowym w Paryżu.

Na zakończenie podsumowała swój stosunek do człowieka, który niemal ją zabił, przyznając się, że go kochała, gdyż spełniał wszystkie oczekiwania, jakie żywiła wobec mężczyzny. Uprzejmy i delikatny, zdawał się być doskonałym mężem i ojcem.

Jednakże istniało jeszcze coś, poza jej oświadczeniem o zabójstwie poprzedniczki. Po ekshumacji zwłok pierwszej żony w Hiszpanii, patolog doktor Jain West znalazł ślady morfiny w jej ciele.

Ciało okryto plastikowym prześcieradłem przed złożeniem go w trumnie, o czym nie wiedział Baksh, a co pozwoliło na zachowanie zwłok przez dłuższy czas w nie zmienionym stanie.

Jednakże Baksh próbował wywinąć się z poprzednich zeznań żony na policji i w sądzie.

Pierwsza żona, mówił, przedawkowała leki, gdy dowiedziała się, że jej mąż ma romans z nową partnerką z firmy, przybyłą z Lucknow. Rzekomo powiedział żonie, że zerwie ten związek, ale ona nadal była posępna i melancholijna.

Gdy lekarz hiszpański dał świadectwo śmierci w wyniku ataku sercowego, Baksh przyjął to, nie mając żadnych wątpliwości.

Jeśli chodzi o rozmowę z drugą żoną w pokoju hotelowym w Paryżu, powiedział, że wszystko to wymyślił, by zrobić wrażenie na nowej ukochanej partnerce. Chciał przekonać ją, że zrobiłby dla niej wszystko.

Nie zabił pierwszej żony i nie próbował zabić drugiej, stwierdził zdecydowanie, przypisując jej przecięte gardło wypadkowi. Ten fatalny dzień powinien być świętem, a obrócić się w prawdziwe piekło kłótni z dodatkiem gwałtu, pijaństwa i narkotyków.

W ciągu dnia zaplanował zabranie żony na przedstawienie teatralne *Doktor Jekyll i Mr. Hyde* na podstawie powieści R. L. Stevensona. (Pani Baksh nie przewidywała wszakże, że jej mąż sam okaże się niezłym aktorem, gdy dojdzie do zagrania roli człowieka o dwóch osobowościach.)

Powiedział w sądzie, że późnym popołudniem żona zaatakowała go nożem. Wyrwał go jej z ręki i usiłował ją uspokoić. Następnie zaczęła narzekać na przejmujący ból w klatce piersiowej i wtedy, za jej zgodą, dał jej znaczny zastrzyk morfiny. Wkrótce potem jak wypili trochę szampana, zaczęła się znowu kłócić, wobec czego zaproponował, żeby się wybrali w odwiedzinach do znajomych; mogliby z nimi omówić swoje domowe kłopoty. Stwierdził, że zabrał z sobą nóż, aby pokazać przyjacielom, jak rozpacзлиwa była ich sytuacja rodzinna.

W Keston Lakes zatrzymał samochód, aby pospacerować chwilę na świeżym powietrzu, by wyparował z nich szampan i efekt tabletek, które on także zażył. Wtedy jego żona nieoczekiwanie spytała, gdzie jest nóż i on nierozsądnie wrócił po niego do samochodu. Chciał jej pokazać, jakie to uczucie mieć skierowany na siebie nóż, być zagrożonym nim. Ale gdy zbliżył nóż do jej szyi, ona chwyciła go i ostrze przecięło jej gardło, zostawiając głęboką pięciociałową ranę.

Później zapewnił swego adwokata, radcę Jej Królewskiej Mości, że nie zrobił tego z premedytacją, nie wiedział też, że

umierała, gdy ją tam zostawił. Myślał, że będzie mogła bez pomocy, sama wrócić do domu.

Powrócił tam, gdyż odjeżdżając w panice zgubił rękawiczkę. Ona ciągle leżała w tej samej pozycji na trawie i oddychała normalnie.

Nawet jego własny obrońca uznał, że trudno dać temu wiary; w jego głosie czuło się niedowierzanie, gdy zadał Bakshowi pytanie:

- Dlaczego jednak, na miłość boską, nie zatelefonował pan po ambulans albo nie zawiózł jej do szpitala?

- Mieszało mi się w głowie - wykrztusił Baksh, patrząc w ziemię.

Powrócił więc do domu i zgłosił na policji zaginięcie żony, sugerując porwanie przez zamaskowanych osobników. Odpowiednio do tej historii, zostawił jej samochód w środku Bromley.

Wyznał, że chciał uniknąć skandalu, iż dwoje szanowanych lekarzy nadużyło alkoholu, brało narkotyki i kłóciło się. Nie chciał, by ktoś poznał ich „ciemne” sekrety.

W rzeczywistości dorzucił narkotyk do szampana, który przedtem piła żona, a gdy była w stanie śpiączki, wstrzyknął jej prawie śmiertelną dawkę morfiny. Potem zawiózł ją na teren parku, aby dokonać potwornego morderstwa. Zostawił ją na prawie cztery godziny w strasznych mękach, walczącą o każdy oddech.

Głównemu detektywowi Normanowi Stockfordowi powiedział wcześniej, że w jego sercu była bestia, która kazała mu nakarmić narkotykami żonę, a potem podciąć jej gardło, choć głęboko ją kochał i chciał, żeby wróciła do domu, do czwórki ich dzieci, i by nadal była jego prawą ręką w praktyce lekarskiej.

- Nie zdajemy sobie sprawy ze znaczenia człowieka, dopóki go nie stracimy - dodał.

W czwartek 18 grudnia ława przysięgłych, składająca się z siedmiu mężczyzn i trzech kobiet, uznała go winnym obu zbrodni. Baksh, syn pastora, zacisnął ręce, modląc się z płaczem, gdy naczelny sędzia Londynu, sir James Miskin ogłosił najniższy wyrok kary za morderstwo, to jest 20 lat, i jednocześnie 14 lat za usiłowanie morderstwa.

- Jest pan zagrożeniem dla bliskich - powiedział sędzia.
- Zabił pan pierwszą żonę z premedytacją, aby zaspokoić požądanie drugiej, a czyniąc to pozbawił paą matki dwoje adoptowanych dzieci.

Doktor Baksh potwierdził przypisywanie sobie podwójnej osobowości z powieści *Doktor Jekyll i Mr. Hyde*, wyznając innemu detektywowi: - Walczy we mnie dwóch ludzi i to ten zły dokonał tego...

Oczywiście, gdyby Baksh z medyczną wprawą podciął swej żonie żyłę szyjną, po paru sekundach wykrwawiłaby się na śmierć. Ale, jak uważała policja, podciął jej gardło licząc, że następstwa nie będą tak szybkie, bo będzie krwawiła wolniej, a on zdąży wrócić do domu i zapewni sobie alibi.

Obecnie zalicza się do grona osławionych lekarzy brytyjskich, którzy zamordowali swoje żony, takich jak Hawley Crippen i Buck Ruxton.

Będący zwolennikiem eutanazji Baksh powiedział policji, że przychodzą takie chwile, iż ludzie mają już za sobą czas, gdy mogli być użyteczni. Te złowrogie słowa skłoniły policję do śledztwa w sprawie innych śmierci w jego środowisku.

Choć jego osiemdziesięcioletnia matka cieszyła się wyjątkowo dobrym zdrowiem, wkrótce po wizycie syna, pięć lat wcześniej, zmarła w zakładzie dla rekonwalescentów rzekomo w wyniku ataku serca.

A poza tym byli ci dwaj koledzy, którzy nie mieli rodzin: dr David Jones, który upadł na polu golfowym w Hiszpanii i zmarł w kwietniu 1978 roku, a także dr John Groome, który podobnie upadł i zmarł w pięć miesięcy później. Obaj zostawili Bakshowi praktykę w Londynie.

Detektywi zbadali później wszystkie kartoteki zmarłych pacjentów Baksha w przypadkach, gdy wydał świadectwa zgonu „z przyczyn naturalnych”.

Jego cudem ocalała żona powiedziała gazecie „People” 21 grudnia ubiegłego roku, że jej mąż mógłby któregoś dnia skrzywdzić także dzieci.

Lekarka nadal praktykuje, choć jej mowa jest upośledzona z powodu zadanej rany. Nóż uszkodził mięśnie, ścięgna, nerwy i naczynia krwionośne szyi.

Natomiast człowiek, który z zimną krwią zostawił ją by umierała w najzimniejszą noc roku, odsiadyuje wyrok w więzieniu. Nie przewidywał, że krytycznego dnia i w krytycznym miejscu zjaw, sę łowca ropuch, który udaremni jego zbrodniczy plan zdobycia pieniędzy za cenę życia

Nota wydawcy

Harold i Agnes Drake nie są prawdziwymi nazwiskami osób tak nazwanych w tym reportażu. Zostały użyte fikcyjne imiona i nazwiska, gdyż nie ma potrzeby, by czytelnicy poznali ich dane personalne.

Barbara Geehr

ANIOŁ MIŁOSIERDZIA ZABIJA

Pewnego ciepłego poranka w połowie lipca 1988 roku kapitan Cliff Miller, szeryf hrabstwa Putnam na Florydzie, przyjął telefon informujący go o prawdopodobnych morderstwach w domu starców w Putnam-Alachua. Reporter wiadomości ze stacji telewizyjnej Gainesville właśnie dowiedział się o tym z telefonu anonimowego informatora. Sądził, że szeryf zechce to sprawdzić.

- Co dokładnie powiedział anonimowy informator? - spytał kapitan.

- Tylko tyle, że ktoś zabija pacjentów w domu starców Nowe Życie, który, jak pan prawdopodobnie wie, znajduje się na wschód od miasta Melrose.

- Na czym rozmówca opierał tę informację? - spytał jeszcze szeryf.

- Powiedział, że słyszał, jak jakiś człowiek w barze Whiskey River przechwalał się, jakoby wiedział, że w domu starców Nowe Życie zabito pięciu pacjentów - odparł reporter.

W godzinę później była druga informacja. Pracownik ośrodka społecznego zapobiegania kryzysom w rodzinach w Gaines-

ville oznajmił, że odebrał, na linii interwencji, telefon od mocno zdenerwowanego człowieka, który przedstawił się imieniem „Jeff”.

Pracownik społeczny powiedział, że Jeff - według jego własnych słów - pracuje w domu starców, że już zabił pięciu pacjentów i właśnie udaremniono mu próbę zabicia szóstej ofiary. Opowiedział ze szczegółami, jak tego dokonał.

- Co to za szczegóły?

- O ostatnim nieudanym przypadku powiedział, że postawił krzesło na zewnątrz, pod oknem pokoju pacjentki, i usunął żaluzję, by swobodnie tam wejść. Gdy znalazł się w środku, zamknął drzwi na korytarz, podszedł do łóżka i gdy zamierzał zabić śpiącą kobietę, ktoś zapukał do drzwi. Przestraszony, że mogą go złapać na gorącym uczynku, wyszedł przez okno, zasunął żaluzję i uciekł.

- Wyczułem, że wzywał w ten sposób pomocy - powiedział pracownik społeczny. - Obawiał się, że będzie nadal zabijał. Próbowałem rozmawiać z nim. Przekonałem go, by podał mi nazwiska zabitych i szóstej osoby, którą zamierzał uśmiercić.

Kapitan Miller zapisał informację wraz ze spisem rzekomo zamordowanych starców i wysłał swego zastępcę Terry'ego Beateina oraz detektywa Chrisa Horda do domu starców. Tam, w czasie gdy Hord rozmawiał z dyrektorką kliniki, Beatein sprawdzał pokój pacjentki, gdzie - zgodnie z wyznaniem „Jeffa” - znajdowała się jego potencjalna szósta ofiara, której zabójstwo uniemożliwiono.

Hord dowiedział się od dyrektorki, że spośród personelu tylko jedna osoba ma na imię Jeff - pomoc pielęgniarki Jeffrey Lyn Feltner, lat 26.

- Przyszedł z polecenia krewnej, która pracowała u nas długie lata - powiedziała dyrektorka. - Jest dobrym pracownikiem i dobrze spełnia swoje obowiązki. Nigdy nie słyszeliśmy na niego skarg. Zawsze zgłasza się do pomocy. Nigdy się nie spóźnia.

- A dzisiaj? - spytał Hord.

- Pracuje na drugiej zmianie.

Detektyw Hord spytał, jak długo Jeff pracuje w klinice.

Dyrektorka sprawdziła kartotekę.

- To jest drugie zatrudnienie u nas. Początkowo pracował od lipca 1986 roku do marca 1987. Po paromiesięcznej przerwie wrócił do nas w listopadzie i pracuje dotychczas.

- Mówi pani o listopadzie 1987?

- Tak jest.

- W porządku. Czy może pani sprawdzić daty śmierci pięciu pacjentów, których nazwiska podano pracownikowi społecznemu z Ośrodka w Gainesville? Mieli rzekomo być zamordowani.

Po sprawdzeniu okazało się, że wszyscy zmarli między 7 stycznia a 6 kwietnia 1988 roku.

- A zatem w czasie drugiego zatrudnienia Feltnera - zauważył Hord.

- Tak. Ale muszę powiedzieć, że nie było żadnych podejrzeń co do przyczyny ich śmierci. Wszystkie zgony przypisano atakom sercowym albo po prostu podeszłemu wiekowi. To jest takie miejsce. Pacjenci są starzy. Dbamy o ich wygody aż do czasu, gdy umierają. Większość z nich jest poddana kremacji.

- A co w przypadku tych pięciu, których śmierć Jeff przypisuje swojemu działaniu?

Dyrektorka ponownie sprawdziła kartotekę.

- Dwoje poddano kremacji, ciała trojga zostały pochowane - powiedziała.

Ponieważ Jeffrey Feltner miał zgłosić się dopiero na późniejszą zmianę, detektyw Hord udał się pod jego domowy adres. Przesłuchał Feltnera i nagrał jego słowa zaprzeczające jakoby telefonował do stacji telewizyjnej w Gainesville czy do pracownika opieki społecznej.

Następnie detektyw zawiózł taśmę do stacji telewizyjnej.

Reporter rozpoznał głos anonimowego informatora, który rzekomo usłyszał mężczyznę chwającego się dokonaniem zabójstw.

Hord otrzymał nakaz zatrzymania Jeffrey'ego Feltnera i aresztowania go pod zarzutem morderstwa pierwszego stopnia i rabunku. W areszcie Feltner przyznał się do telefonów, ale zaprzeczył, że kogokolwiek zabił.

- Moje telefony były sposobem na zwrócenie uwagi, aby ktoś sprawdził, jak złe warunki mają pacjenci w zakładzie

i jak niewystarczające jest leczenie podeszłych wiekiem - wyjaśnił.

Tymczasem zastępca szeryfa Beatein powrócił do domu starców i dokończył badanie pokoju, w którym, zgodnie z oświadczeniem pracownika społecznego z Ośrodka Pomocy Społecznej, udaremniono dokonanie szóstego zabójstwa. Beatein nie znalazł śladów wejścia domniemanego zabójcy do pokoju albo jego wyjścia przez okno, jak powiedziano przez telefon.

Sprawdzono krzesło z werandy pod oknem, ale nie wyglądało na to, że ktoś na nim stał. W miękkim piasku też nie było odcisków. Nic nie wskazywało, by leżące od dawna na parapecie śmieci zostały poruszone. W pokoju nie było żadnych śladów i nic nie wydawało się przemieszczone.

- Absolutnie nic nie wskazuje na to, aby Jeffrey Feltner czy ktoś inny wchodził czy wychodził przez okno z tego pokoju - podsumował wyniki badań szeryf Miller. - Gdyby ktoś tam wszedł, musiałby fruwać. Wszystko wygląda na kompletny wymysł. Prawdopodobnie umieszczono krzesło pod oknem tego pokoju, tak aby wyglądało, że ktoś wszedł do środka. Miało to chyba uwiarygodnić opowieść o uniemożliwionym szóstym zabójstwie.

W miarę postępu dochodzenia wszystko wskazywało, że pięciu pacjentów, których jakoby zamordował Feltner, zmarło naturalną śmiercią. Zdawało się, że Feltner istotnie wymyślił tę historię, aby zwrócić uwagę na słabe warunki opieki nad leciwymi pacjentami w domu starców. Miller stwierdził, że dochodzenie nie wykazało, jakoby pielęgniarz kogoś zabił.

- Zbadaliśmy wyznaczenie zbrodni zabójstwa przez Feltnera i odrzuciliśmy je - stwierdził Miller. - Oskarżenia go o zabójstwo nie da się udowodnić. Możliwe, że Feltner wyznał zbrodnię, aby zwrócić na siebie uwagę. Jest on niepokąźnego wzrostu, coś około pięciu stóp i trzy cale, i zapewne waży poniżej stu funtów.

Po długiej „deliberacji prawnej”, jak to nazwał kapitan Miller, odstąpiono od oskarżenia Jeffrey Feltnera o zabójstwo. Odpowiadał jedynie za molestowanie telefonami, rozgłaszanie nieprawdziwych wiadomości i drobne wykroczenia

przeciwko prawu. Po czteromiesięcznym pobycie w więzieniu w Putnam wyszedł na wolność.

Późnym latem 1989 roku mężczyzna, który przedstawił się jako Paul Hendry, zatelefonował do dziennikarza telewizyjnego w Daytona Beach. Powiedział mu, że pewien homoseksualista, który nazywa się Tony i w przeszłości przyczynił się do śmierci kilku pacjentów w klinikach w hrabstwie Putnam, obecnie popełnił dwa nowe morderstwa w hrabstwie Volusia. Wymienił ofiary: Ruth Hamilton, zabitą w czerwcu w zakładzie Bowmana w Ormond Beach, i Doris Moriarty, zamordowaną w lipcu w Ośrodku Leczenia Geriatrycznego fundacji Clyatta w Daytona Beach.

Informator opisał Tony'ego jako mężczyznę z ciemnymi włosami, zepsutymi zębami, długimi różowymi paznokciami i wąsami.

- Tony nie chce zgłosić się na policję i nie chce, by dowiedziała się o tym jego matka - dodał informator.

W kilka dni później w agencji zatrudniającej tymczasowych pracowników w instytucjach opieki zdrowotnej odebrano telefon od mężczyzny, który przedstawił się jako homoseksualny partner i współlokator Jeffrey Feltnera.

- Telefonuję do was - powiedział - bo to wy kierowaliście Jeffreya do pracy w klinice Bowmana w Ormond Beach i w ośrodku geriatrycznym w Daytona Beach. Sądzę, że powinniście to wiedzieć - Jeffrey powiedział mi, że zabił chorą Doris Moriarty w zakładzie fundacji Clyatta.

Funkcjonariusz agencji zatrudnienia natychmiast zawiadomił Wydział Policji w Daytona Beach. Dochodzenie poprowadził detektyw Bill Adamy.

Adamy dowiedział się w ośrodku geriatrycznym Clyatta, że Jeffrey Feltner pracował tam około miesiąca.

- Był odpowiedzialnym pracownikiem i dobrze spełniał zadania - powiedziała administratorka - ale nie zgłosił się do pracy 16 i 17 lipca. Nie można tego tolerować w takim zakładzie, bez względu na to, czy to jest zastępczy pracownik, czy pracujący na stałe. Zadzwoniliśmy do jego mieszkania i powiedzieliśmy mu, że dostał wymówienie.

- Co może pani powiedzieć o Doris Moriarty? - spytał detektyw Adamy.

Administratorka powiedziała, że Moriarty była emerytowaną pielęgniarką dyplomowaną, a w ośrodku przebywała od trzech lat.

- Umarła w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat i była bardzo schorowana. Nie było absolutnie nic podejrzanego w jej śmierci. Znaleźliśmy ją martwą w łóżku 11 lipca i uważamy, że umarła we śnie.

- Jej ciało spalono czy pochowano?
- Poddano kremacji.

11 sierpnia Adamy zaczął przesłuchiwać Feltnera, który wówczas był bez pracy. Feltner przyznał się, że to on zatelefonował jako Hendry do ośrodka telewizyjnego, zawiadamiając o zabójstwie Doris Moriarty w Daytona Beach i Ruth Hamilton w Ormond Beach.

- Nie zabiłem jednak nikogo - oświadczył. - Telefonowałem, by zwrócić uwagę na niewłaściwe warunki w domach starców.

- Czy nie uważa pan, że potrzebuje pomocy? - spytał Adamy.

Feltner przyznał, że już korzysta z leczenia w ambulatorium ACT, ośrodka leczenia psychiatrycznego w Daytona Beach.

- Znają mnie tam pod imieniem „Tony” - powiedział.

Detektyw Adamy pamiętał, że było to fikcyjne imię homoseksualisty, któremu Feltner przypisał w telefonie do ośrodka telewizyjnego w Daytona Beach dwa morderstwa w hrabstwie Volusia. Detektyw zaczął przekonywać Feltnera, by zgłosił się z własnej woli do ośrodka leczenia psychiatrycznego.

- Mógłbym zawieźć pana do mieszkania, zabrałby pan kilka potrzebnych rzeczy i pojechalibyśmy do ACT.

Feltner zgodził się na dobrowolne poddanie się kuracji. Adamy zawiózł go wtedy do jego mieszkania, gdzie spakował kilka drobiazgów. Następnie odwiózł go do ośrodka i tam zostawił.

W parę dni później ochroniarz z ACT znalazł wśród rzeczy Feltnera arkusz papieru z siedmioma nazwiskami, datami i nazwami trzech zakładów dla starców.

- Sonia Barnes, 78 lat, 7 lutego 1988, Nowe Życie
- Harry Towne, 82 lata, 8 lutego 1988, Nowe Życie

- Sarah Abrams, 75 lat, 10 lutego 1988, Nowe Życie
- Sally Tobin, 64 lata, 18 lutego 1988, Nowe Życie
- John Mallory, 73 lata, 6 kwietnia 1988, Nowe Życie
- Ruth Hamilton, 81 lat, 21 czerwca 1989, Zakład Bowmana,
- Doris Moriarty, 88 lat, 11 lipca 1989, Fundacja Clyatta.

Strażnik przekazał listę inspektorowi, który dostarczył ją detektywowi Adamy. Detektyw rozpoznał nazwiska siedmiu osób, które Feltner wymieniał jako ofiary zabójstwa, choć później utrzymywał, że wymyślił te nazwiska, by zwrócić uwagę na złe warunki w zakładach dla starców.

Sprawdzenie dat zgonów pacjentów w wymienionych zakładach potwierdziło notatkę Feltnera.

Detektyw udał się do ośrodka psychiatrycznego i nagrał na taśmy dwa dodatkowe przesłuchania Jeffreya Feltnera: jedno 15 sierpnia, drugie 16 sierpnia. Gdy pokazał Feltnerowi listę pacjentów, o których pierwotnie mówił, że zostali zamordowani, ten ponownie zaprzeczył, by miał coś wspólnego z ich śmiercią. Jednakże pod wpływem pytań Adamy'ego załamał się i wyznał, że zamordował wszystkie siedem osób, by „wyzwolić ich z cierpień”.

Wyjaśnił, że pierwszą ofiarą była Sonia Barnes z zakładu Nowe Życie.

- Sonia bardzo cierpiała - powiedział detektywowi. - Nikt jej nie odwiedzał, rodzina się od niej odwróciła. Chcieli tylko odziedziczyć jej pieniądze i dom.

- Jak do tego doszło? - spytał Adamy.

- Udusiłem ją, jak i pozostałych - odparł Feltner. - Czekałem, aż zaśnie, a następnie zaciągnąłem koc wokół jej szyi i usiadłem na niej tak, by nie mogła się poruszyć. Następnie ścisnąłem jej nos jedną ręką, a drugą zakryłem usta. To zamknęło przewód oddychania. Zawsze używałem rękawiczek chirurgicznych, aby lepiej zaciskać. Potem już tylko czekałem, aż przestanie oddychać. Cały zabieg trwał tylko sześć minut, czasami mniej.

- A inne osoby z domu Nowe Życie? Dlaczego je zabiłeś? -

- Harry Towne, Sally Tobin i John Mallory ogromnie cierpieli, bardzo im współczułem - wyznał Feltner. - Wszyscy robili na złość Mallory'emu. Personel go nie lubił. On chorował

na Parkinsona i nie bardzo mógł chodzić. Do tego nic nie jadł. Zawsze powtarzał, że chciałby umrzeć.

- A Sarah Abrams?

- Powiedziała mi, że chciałaby umrzeć.

- W porządku - powiedział Adamy. - To wyczerpuje sprawę pacjentów z Nowego Życia. Powiedz mi teraz o Ruth Hamilton z kliniki Bowmana w Ormond Beach i Doris Moriarty z Fundacji Clyatta w Daytona Beach.

- Niewiele mogę powiedzieć o Ruth. Kiedy zacząłem pracę w klinice Bowmana, była w izolatce. Spytałem dlaczego, ale nikt mi tego nie wyjaśnił. Powiedzieli tylko, że śmierć byłaby dla niej błogosławieństwem. Naprawdę bardzo cierpiała. Współczułem jej. W wieczór, kiedy umarła, po prostu zamknąłem drzwi i żaluzje, zacisnąłem koc wokół jej szyi, wszedłem na nią i udusiłem ją, jak poprzednich.

- A Doris Moriarty? Nią interesuję się najbardziej, bo ten przypadek należy do jurysdykcji wydziału policji w Daytona Beach - powiedział Adamy.

Feltner stwierdził, że odkąd zaczął pracować w Fundacji Clyatta, minęło około miesiąca, zanim się zorientował jak strasznie cierpi Moriarty.

- Była naprawdę stara - coś około osiemdziesięciu ośmiu lat - i była dyplomowaną pielęgniarką. Gdy spostrzegłem, jak cierpi, nie chciałem jej tak zostawić. Wszyscy mówili: „Niech sobie leży i cierpi, pozwólmy jej pomęczyć się i umrzeć”. Miała odleżyny aż do kości. Była podatna na różne infekcje, nie poruszała się i nie mówiła. Włożyłem więc rękawiczki chirurgiczne i udusiłem ją.

^- Czy pochowano Moriarty?

- Nie. Poddano ją kremacji, tak samo jak Ruth Hamilton.

Detektyw Adamy nie mógł zrozumieć, dlaczego Feltner pracował w domu dla starców, jeśli nie mógł patrzeć na cierpienia pacjentów.

- Tak naprawdę to lubię pracować ze starszami - wyjaśnił Feltner. - Ale nie lubię patrzeć, gdy cierpią. Zabicie ich było jedynym sposobem pomocy im, usunięciem wyrazu bólu z ich twarzy. Czułem się winny z tego powodu i w rzeczywistości nie chciałem tego robić. To znaczy, nie sprawiało mi to zadowole-

nia. Nie robiłem tego dla przyjemności i nie dlatego, że chciałem zobaczyć, jak umierają.

»

- Ciągłe nie rozumiem, dlaczego pracowałeś w zakładzie dla starców, jeśli nie znosiłeś widoku ich cierpienia. Musiałeś zdawać sobie sprawę z tego, że masz skłonności do zabijania pacjentów, by uwolnić ich od cierpienia.

- Sądzę, że działo się tak dlatego, że jedynie w tych zakładach mogłem dostać pracę - wyjaśniał Feltner. - Próbowaliśmy w Burger King, u McDonalda i w tym podobnych miejscach. Przyjmują twoje podanie i na tym się kończy. W domach opieki, jeśli jesteś mężczyzną i masz świadectwo, od razu cię wynajmują. Żadnych pytań i już jesteś przyjęty.

16 sierpnia detektyw Bill Adamy udał się z nakazem aresztowania do ACT i aresztował Jeffreya Feltnera pod zarzutem zabójstwa pierwszego stopnia w dniu 11 lipca 1989 roku osiemdziesięcioośmioletniej Doris Moriarty w ośrodku fundacji Clyatta w Daytona Beach. Feltnera osadzono w więzieniu hrabstwa Volusia. Następnego dnia sędzia Darrell Carnell potwierdził aresztowanie Feltnera bez zastosowania kaucji i wyznaczył obrońcę z urzędu Howarda Pearla, by go reprezentował w sądzie.

Kiedy dziennikarze spytali detektywa, czy myśli, że Feltner uważał się za anioła śmierci, odpowiedział:

- Jak udało mi się stwierdzić, Feltner wyrażał żal, ale był to żal z powodu sytuacji w zakładzie, a nie z powodu tego, co się zdarzyło! Nie, on nie jest aniołem śmierci i wcale nie uważa się za anioła. Feltner myśli, że w domach starców źle się opiekują pacjentami, a zatem dusząc ich pomagał im, bo uwalniał od życia w złych warunkach.

Zeznania Feltnera zaszokowały władze w hrabstwach Volusia i Putnam. Sierżant Ron Morgan z wydziału policji w Ormond Beach natychmiast odbył rozmowę z administratorką w klinice Bowmana, gdzie zmarła Ruth Hamilton.

- To nie do wiary - powiedziała sierżantowi administratorka. - Sprawdziłam kartotekę i okazało się, że zatrudniliśmy Jeffreya Feltnera z agencji pośredniczącej w angażowaniu personelu medycznego na zastępstwo. Odbył tylko jeden dyżur. To była noc 20 czerwca. Następnego ranka znaleźliśmy panią

Hamilton martwą w łóżku, ale nie było podstaw do żadnych podejrzeń. Jej stan zdrowia był naprawdę zły; oczekiwaliśmy tej śmierci. Zgodnie z jej życzeniem, nastąpiła kremacja.

Sierżant Morgan stwierdził, że na podstawie zeznania Feltnera, iż udusił Ruth Hamilton, można go oskarżyć o zabójstwo.

Kapitan Cliff Miller z hrabstwa Putnam okazał podobne zdumienie jak administratorka, gdy odpowiadał na pytania dziennikarzy.

- Przesłuchiwaaliśmy go przed rokiem, gdy oskarżał się o zabicie pięciu pacjentów w domu starców Nowe Życie pod Melrose i twierdził, że udaremnił mu zabicie szóstej ofiary - oznajmił. - Nie było przeciw niemu żadnych dowodów winy z wyjątkiem udowodnienia mu molestujących telefonów, fałszywych doniesień i kradzieży paru drobiazgów z pokoi pacjentów. Uważaliśmy wówczas, że Feltner wymyślał te historie, aby zwrócić na siebie uwagę, i odstąpiliśmy od oskarżenia.

- Następnie dowiedzieliśmy się - ciągnął Miller - że Feltner został zatrzymany w Daytona Beach i że nadal podtrzymywał oskarżenie siebie o pięć zabójstw. Zażądaliśmy kopii przesłuchań w Volusia i ponownie otworzyliśmy śledztwo. Sprawdzamy wszystko, by się przekonać, czy oświadczenia pana Feltnera są wiarygodne. Chcę przez to powiedzieć, że ponownie badamy bardzo starannie, jak sprawa wygląda w hrabstwie Putnam.

John Tanner, prokurator stanowy z VII Okręgu Sądu Stanowego na Florydzie, zgodził się, że było duże prawdopodobieństwo, iż Feltner chciał zwrócić na siebie uwagę.

- Jednakże - powiedział reporterom - są mocne podstawy do oskarżenia Jeffreya Feltnera. Gdy ktoś przyznaje się do kilku zabójstw, a miał możliwości popełnienia ich i ofiary zmarły, sędzę, że jest wystarczająco wiele powodów do aresztowania. - Niemniej - dodał prokurator stanowy - zbrodnie będzie trudno udowodnić. Z siedmiu rzekomych ofiar cztery poddano kremacji: dwie z pięciu w hrabstwie Putnam i obie ofiary z hrabstwa Volusia. Z drugiej strony może się okazać, że nie mniej trudno jest wykazać, że Feltner nie zabił, jak to, że zabił.

17 sierpnia Tanner poinformował prasę, że Feltner jest chory na AIDS.

- Początkowo stwierdzono, że jest nosicielem HIV, z prawdopodobieństwem zapadnięcia na AIDS. To było przed paru laty, bodajże w październiku 1986 roku. Bezzwłocznie skierujemy go na leczenie - oznajmił Tanner.

12 września 1989 roku ława przysięgłych sądu w hrabstwie Volusia oskarżyła Feltnera o zabójstwo pierwszego stopnia przez uduszenie osiemdziesięcioośmioletniej Doris Moriarty, pacjentki w Ośrodku Leczenia Geriatrycznego Fundacji Clyatta. Detektyw policji w Daytona Beach stwierdził, że nie ma potrzeby prowadzić dalszego śledztwa w sprawie Feltnera przez inne ośrodki.

- Oskarżony pozostaje w areszcie w więzieniu hrabstwa Volusia. Nie wyjdzie stąd w najbliższym czasie.

Kapitan Miller oznajmił, że jest zadowolony ze skompletowania oskarżenia przeciw Feltnerowi w hrabstwie Volusia.

- To da więcej czasu prowadzącym śledztwo w hrabstwie Putnam na głębsze zbadanie pięciu zabójstw w zakładzie Nowe Życie, do których przyznał się Feltner. My postanowiliśmy skoncentrować nasze wysiłki na jednej ofierze, a nie próbować rozwiązać równocześnie wszystkie pięć przypisywanych Feltnerowi zabójstw. Możemy przeprowadzić ekshumację jednej z trzech zmarłych osób, które zostały pochowane, jeśli patologowie zapewnią nas, że po tak długim czasie jest szansa na wykrycie przestępstwa.

Patologowie uznali, że badanie jednej ze zmarłych osób może ujawnić, jak zmarła. Wytypowano zwłoki Sarah Abrams, gdyż jej stan zdrowia był lepszy niż innych pacjentów w chwili śmierci, a także dlatego, ponieważ rodzina, uważając, że mogła być zamordowana, od razu dała pozwolenie na ekshumację.

W wyniku ekshumacji, która odbyła się 19 września, patolog stwierdził, że Abrams zmarła gwałtowną śmiercią na skutek uduszenia. To był dowód podbudowujący wyznanie Feltnera. Nie można go było jednak z miejsca oskarżyć o morderstwo. Prokurator stanowy John Tanner wyjaśnił:

- Zgodnie z przepisami, Feltnera można oskarżyć o morderstwo pierwszego stopnia Sarah Abrams jedynie po przekazaniu

nym sądowi formalnym oskarżeniu go przez wyższy sąd przysięgłych.

Sędziowie przysięgli hrabstwa Putnam zebrali się 12 października. Na podstawie zeznania Feltnera i świadectwa z autopsji ekshumowanych zwłok staruszki Abrams uznali Jeffreya Lynna Feltnera winnym zbrodni pierwszego stopnia na osobie Doris Moriarty (o co już oskarżono go przed miesiącem) i wyznaczyli datę procesu na koniec listopada.

Postawienie Feltnera w stan oskarżenia w sprawie prowadzonej w hrabstwie Putnam wyznaczono na 8 listopada.

Przewieziono go 6 listopada z więzienia hrabstwa Volusia do więzienia hrabstwa Putnam, by miał trochę czasu na przygotowanie się do rozprawy. obrońca Howard Pearl powiedział, że jego klient nie przyzna się do popełnienia morderstwa pierwszego stopnia na osobie Sarah Abrams.

- Według wszelkiego prawdopodobieństwa cierpi on na pewien typ zaburzenia umysłowego, które powoduje, iż przyznaje się do czynów, których nie popełnił - powiedział Pearl.

W środę rano o godzinie 7.50 funkcjonariusz więzienny, który wszedł do celi Feltnera, by przypomnieć mu, że powinien się przygotować do stawienia się przed sądem, nie mógł obudzić więźnia. Stwierdził, że Feltner krwawi; przeciął sobie żyły brzytwą, którą dostarczono mu, zgodnie z regulaminem, przed dwoma dniami.

Ambulans zawiózł Feltnera do szpitala publicznego w Putnam, gdzie lekarze musieli zająć się dwudziestoma siedmioma powierzchownymi ranami nadgarstków więźnia. Choć Feltner nie odpowiadał na pytania lekarzy szpitalnych i pracowników kliniki poradniczej Bradford-Union, określono jego rany jako powierzchowne i zadane przez niego samego w próbie symulowanego samobójstwa.

Po zakończeniu leczenia, dawny pielęgniarz został przewieziony do sądu hrabstwa Putnam w celu postawienia go w stan oskarżenia w sprawie Sarah Abrams. Feltner odmówił jednak wyjścia z ambulansu. W czasie gdy leżał na prześcieradle w karetce, obrońca Howard Pearl starał się go przekonać, by przyjął układ zaproponowany przez prokuratora stanowego. Feltner nie chciał słuchać. Zgodnie z opinią Pearla zdawał się być nieprzytomny czy półprzytomny.

- Po prostu nie miał odwagi stanąć przed sądem - powiedział Pearl.

Obrońca z urzędu złożył na piśmie oświadczenie swego klienta, iż jest niewinny. Sądzia E. L. Eastmoore wyznaczył datę rozprawy na początek stycznia 1990 roku. Potem miał odbyć się proces w hrabstwie Volusia. Pearl oznajmił, że na podstawie zachowania Feltnera i opinii psychiatrów może zgłosić wniosek, że jego klient nie spełnia warunków zdrowotnych do stawienia się przed sądem.

Tymczasem w więzieniu hrabstwa Putnam zorganizowano akcję pilnowania Feltnera, aby udaremnić mu popełnienie samobójstwa. W tym przypadku więzień umieszczony w indywidualnej celi jest pod nieustanną obserwacją i sprawdza się go co najmniej co piętnaście minut. Robi to strażnik, który musi zapisywać wyniki inspekcji.

Feltner nie reagował na otoczenie przez resztę popołudnia i wieczoru w środę. Przez następne pięć dni nie przyjmował posiłków i napojów, a jeszcze dłużej nie odzywał się. Odmawiał wstania z łóżka i leżał skulony na pościeli więziennym.

- Czuje się nieszczęśliwy, jest zamknięty w sobie i ogromnie przygnębiony - powiedział obrońca. - Wbrew wcześniejszym wyznaniom zaprzecza, by kogokolwiek zabił.

14 listopada poddano Jeffreya Feltnera dwom badaniom psychiatrycznym. Psychiatra doszedł do wniosku, że reakcje uczuciowe oskarżonego są upośledzone i nie ma wystarczającej energii psychicznej, by sprostać stawieniu się przed sądem. - Nie sądzę - powiedział - aby pan Feltner mógł sensownie odpowiadać na pytania sądu czy bronić się w postępowaniu procesowym.

Podczas wywiadu przeprowadzonego przez psychologa Feltner nie odpowiadał na pytania.

- Nie można więc wyciągnąć wniosku - stwierdził psycholog - czy rozumie naturę czynu, która doprowadziła do jego aresztowania.

Psycholog uważał jednak, że patologiczny nastrój Feltnera mógł być spowodowany przez AIDS.

- Stawiam zatem wniosek, że - według mojej opinii - pan Feltner nie nadaje się obecnie do stawienia się na rozprawie - zakończył swoją diagnozę psycholog.

3 stycznia 1990 roku sędzia okręgowy E. L. Eastmoore ponownie rozpatrywał zdolność Feltnera do stawienia się przed sądem. Poza opiniami psychiatry i psychologa wysłuchał zeznań dwóch funkcjonariuszy więziennych. Stwierdzili oni, że Feltner rozumiał polecenia, nie potrzebował pomocy na co dzień i zachowywał się normalnie w towarzystwie innych więźniów. Obaj stwierdzili, że oskarżony jest przygnębiony, ale nie wykracza to poza normę.

- To, że jest przygnębiony, widać w jego zachowaniu - powiedział jeden z funkcjonariuszy. - Ale jest to depresja typu „nie chcę zostać w więzieniu”, którą wszyscy przeżywają w takiej sytuacji.

Decyzja sędziego Eastmoore'a została sformułowana następująco:

- Choć pan Feltner cierpi na depresję - co jest zrozumiałe biorąc pod uwagę środowisko, w jakim się znajduje - nie sądzę, by inne zaburzenia psychiczne przeszkodziły mu w stawieniu się w bezstronnym sądzie na rozprawie.

Następnie wyjaśnił, że to postanowienie oparł na własnej obserwacji oskarżonego w czasie przesłuchania.

- Zachowywał się aktywnie i zdawał się rozumieć procedurę sądową. Sam dostarczył najlepszego dowodu, że może stawić się na rozprawie - oświadczył Eastmoore.

W czasie wstępnego przesłuchania w sprawie Abrams w dniu 28 grudnia, sędzia Eastmoore odrzucił prośbę obrońcy urzędowego Howarda Pearl'a o odłożenie terminu sprawy, by było więcej czasu na przygotowanie się. Utrzymał datę 8 stycznia, by jeszcze raz rozstrzygnąć, czy Feltner może stanąć w sądzie przed wyborem sędziów przysięgłych pierwszego dnia procesu.

Zastępca prokuratora stanu David Damore, reprezentujący zarówno hrabstwo Putnam jak Volusia, złożył wniosek o karę śmierci dla Feltnera za zabójstwo Abrams i Moriarty.

Zanim rozpoczęły się wyznaczone na godzinę pierwszą zeznania, odbyła się konferencja sędziego Eastmoore'a, oskarżyciela Davida Damore'a i obrońcy Howarda Pearl'a. Chodziło o to, czy dopuścić do wykorzystania nagranych na taśmę przez detektywa Billa Adamy'ego zeznań z wydziału policji w Daytona Beach. Chciał tego oskarżyciel. Pearl sprzeciwiał się dopusz-

czeniu zeznań Feltnera, nie związanych bezpośrednio ze sprawą Abrams, jako dowodu w tej rozprawie. Motywował to obawą, że okażą się niekorzystne dla oskarżonego.

Eastmoore odrzucił wniosek obrońcy mówiąc, że taśmy mogą być wykorzystane przez prokuratora jako dowód „podobnego czynu”.

Zanim rozprawa się rozpoczęła, Feltner zawiadomił swego obrońcę, że nie złoży zeznania na rozprawie wstępnej o swojej winie czy niewinności.

- Chcę mieć szansę powiedzieć dopiero ławie przysięgłych, że jestem niewinny - powiedział oskarżony. - Przyznawałem się do zabójstw jedynie w tym celu, by zwrócić uwagę na zaniedbania w domach starców.

Jednakże Pearl - przekonany teraz, że dopuszczenie nagranych zeznań zaowocuje wyrokiem skazującym za morderstwo pierwszego stopnia, a następnie skazaniem na krzesło elektryczne przez ławę przysięgłych - zdecydował, że nadszedł czas, by zaproponować ugodę.

Porozumiał się z zastępcą prokuratora stanowego Damorem, że Feltner przyzna się do popełnienia morderstwa pierwszego stopnia Sarah Abrams, jeśli prokurator zagwarantuje, że nie będzie żądał kary śmierci. Na Florydzie są tylko dwie możliwości wyroku za morderstwo pierwszego stopnia: śmierć na krześle elektrycznym albo dożywocie z możliwością skrócenia uwięzienia do 25 lat.

Feltner zgodził się zarówno na to, jak na przyznanie się przed sądem do morderstwa Doris Moriarty w Ośrodku Leczenia Geriatrycznego Fundacji Clyatta w Daytona Beach. Pearl powiedział, że wystąpi o łagodniejszą kwalifikację tej zbrodni niż morderstwo pierwszego stopnia. Poprosił także, by do wykonania wyroku zaliczono pobyt w więzieniu z mocy wyroku hrabstwa Putnam.

Rodzina Feltnera mocno podtrzymywała go na duchu w czasie całej procedury sądowej. Nikt z jej członków nie dawał wiary, że ich krewny kogokolwiek zabił. Dowiedziano się, że Feltner urodził się w Miami w 1962 roku i mieszkał tam do 1979, kiedy to rodzina przeniosła się do Putnam. Skończył szkołę średnią w 1980, a pracę w zakładzie Nowe Życie

rozpoczął w 1985 roku. Jego kuzynka była tam zatrudniona jako pomocnica pielęgniarki. W 1988 roku uzyskał dyplom pomocnika pielęgniarza i nadal pracował w zakładzie Nowe Życie.

- Gdyby ktoś przyjrzał się Jeffreyowi zajmującemu się tymi starszami - powiedziała kuzynka - nigdy by nie doszedł do wniosku, że może on kogoś zabić. Był cierpliwy, uprzejmy i współczujący. Sądzimy, że wymyślił tę historię o zabijaniu, by zwrócić uwagę na mizerne warunki w domach starców. Powiedział mi, że miał dobre intencje, ale zabrał się do tego niewłaściwie.

Inny krewny Jeffreya powiedział, że Feltner wyznał mu, iż nie zabił nikogo, ale próbował zainteresować instytucje publiczne warunkami opieki nad starcami w zakładach. Wyznał, że chciał zrobić coś szlachetnego, ale jak zwykle popsuł wszystko.

Sędzia okręgowy Eastmoore zaakceptował ugodę między prokuratorem i obrońcą. Skazał Jeffreya Feltnera na dożywocie (nie mniej niż dwadzieścia pięć lat uwięzienia) za uduszenie 10 lutego 1988 roku siedemdziesięcioletniej Sarah Abrams w domu starców Nowe Życie.

12 lutego 1990 roku Feltner przyznał się przed sądem do morderstwa drugiego stopnia Doris Moriarty w Ośrodku Leczenia Geriatrycznego Fundacji Clyatta w Daytona Beach i został skazany na 17 lat więzienia stanowego.

Nie oczekuje się oskarżenia Feltnera o zabójstwo kogoś z pozostałych zmarłych.

Nota wydawcy

W opowiadaniu tym użyto fikcyjnych imion: Tony, Paul Hendry, Sonia Barnes, Harry Towne, Sally Tobin, John Mallory i Ruth Hamilton. Nie ma bowiem potrzeby ujawniać czytelnikom ich tożsamości.

Bud Ampolsk

DOKTOR UZURPOWAŁ SOBIE WŁADZĘ ROZSTRZYGANIA O ŻYCIU I ŚMIERCI

Istnieje wiele powodów, by Missouri nazywać „pokazowym stanem”.

Od początku jego dziejów tutejsi mieszkańcy odróżniali się od ludzi z innych regionów. Byli zarówno wyjątkowo silni fizycznie, jak odporni psychicznie. Te cechy pozwoliły im przodkowi na odważny marsz na Zachód. Opisy zmagania z Missisipi zalicza się dzisiaj do amerykańskich legend. Życie nigdy nie było łatwe dla tutejszych ludzi. Wielu z nich skromne środki do życia musiało wydierać opornej ziemi, która zdawała się szydzić z ich wysiłków.

Obecni mieszkańcy tego stanu także mają powody do dumy. Nieprędko nabywają zaufania do ludzi. Bliźni musi zasłużyć na to. Ale raz uzyskane zaufanie niełatwo stracić.

Ktoś z tutejszych powiedział: - Patrzymy człowiekowi w oczy i oceniamy go. Jeśli podamy mu rękę, to tak już pozostanie. Trzeba by diabelnie dużo powodów, by to się zmieniło.

Nieugiętość charakteru i lojalność ludzi nie ogranicza się jedynie do stanu Missouri. Przekracza granicę sąsiedniego stanu Illinois, na południu.

Nic dziwnego, że ostatnie wydarzenia, jakie miały tu miejsce, wstrząsnęły ludźmi. Takie ciężkie próby nie zdarzają się często. Pojawiają się nawet opinie, że wzajemne nastawienie ludzi nie wróci już do poprzedniej postaci.

Farmer, który 13 grudnia 1984 roku jechał pustą Allen Road w pobliżu rolniczej osady Times Beach w Missouri, nie rozmyślał w kategoriach filozoficznych o postawach swoich sąsiadów. Niewątpliwie miał na głowie bardziej przyziemne sprawy.

Ranek był nieprzyjemnie chłodny i wilgotny. Farmer myślał o oczekującym go stadzie bydła, które trzeba było nakarmić. Powinien się śpieszyć, bo już dochodziła godzina 7.30.

Raptem zobaczył leżącego na jezdni człowieka. Co ten typ mógł robić tutaj o tej porze w takiej pozycji?

Być może odsypiał pijatykę poprzedniego wieczoru. Nie pierwszy raz widziało się takie obrazki. Ale Rooda nieoczekiwanie ogarnęło przerażenie. Nacisnął pedał hamulca i stanął w miejscu. Nie zwracając uwagi na mżawkę, zrobił parę kroków w stronę leżącego. Schylił się i zobaczył szeroko otwarte, wytrzeszczone, ale nic nie widzące oczy, i straszłą ranę za uchem. Kimkolwiek był ten człowiek, na pewno nie żył, a umarł gwałtowną śmiercią.

Nikt nie musiał pouczać farmera o jego obowiązkach. Wiedział, że musi wezwać, możliwie najszybciej, fachową pomoc.

Detektyw Theodore Kamiński z policji hrabstwa St. Louis i funkcjonariusze Jerry Warren i Don Blattner pierwsi zjawili się po zawiadomieniu o wypadku. Za nimi przyjechał sanitariusz, który był również strażakiem.

Starając się nie zniszczyć śladów na miejscu zbrodni, sanitariusz ostrożnie uniósł prześcieradło, którym funkcjonariusze przykryli ciało. Nawet powierzchowne spojrzenie na nierucho-

me źrenice i obfitą krew lejącą się z rany, a może z kilku ran głowy, przekonało sanitariusza, że człowiek nie żyje.

Po krótkiej naradzie postanowiono, że - ponieważ to nie był zwykły wypadek drogowy - należy przekazać sprawę specjalistom od kryminalistyki. W centrali zgłaszania wypadków odezwał się drugi telefon. W parę minut później ulica wypełniła się przedstawicielami wydziału medycyny sądowej policji hrabstwa pod kierunkiem Warrena Lucasa i licznych funkcjonariuszy w cywilnych ubraniach pod dowództwem majora Thomasa Mooniera. Moonier był najwyższym rangą oficerem w rozpoczynającym się dochodzeniu.

Ofiarą był młody mężczyzna po dwudziestce. Stwierdzono dwie rany. Jedna była rezultatem kuli, która rozstrzaskała mu czaszkę za uchem. Wyszła pod lewym okiem, zostawiając większą dziurę. Druga kula przebiła denatowi szyję.

W czasie gdy specjaliści medyczni badali stan zwłok, detektywi przeszukiwali kieszenie ofiary. Nadzieja znalezienia jakichś dowodów tożsamości szybko się rozwiązała, gdyż kieszenie denata były puste. Nic się nie zmieniło po mozolnych poszukiwaniach w okolicy znalezionych zwłok. Nie było portfela ani skrawka papieru, absolutnie nic, co by wskazywało, kim był ten człowiek.

Policjanci doszli do wniosku, że mężczyzna najprawdopodobniej nie zginął z własnej ręki. Wskazywało na to usytuowanie obu ran. Kula, która trafiła w szyję ofiary, musiała być wystrzelona z odległości od 12 do 24 cali. Druga - z broni trzymanej na jeden cal od ofiary.

Zakładając, że mają prawdopodobnie do czynienia z zabójstwem, policjanci zastanawiali się, czy głównym motywem morderstwa nie był rabunek. Jeśli sprawca wyjął portfel, by zagrabić pieniądze ofiary, to prawdopodobnie oddalił się z nim.

Jednakże to założenie nie wykluczało innych możliwości. W tym momencie detektywi mieli pewność, że mają do czynienia z bardzo kłopotliwą sprawą.

Zgodnie z poleceniem dr Ronalda Turgeona, specjalisty patologa i zastępcy szefa wydziału medycyny sądowej policji hrabstwa St. Louis, z zachowaniem wszelkiej ostrożności przewieziono zwłoki do kostnicy z zamiarem dokonania pełnego badania sekcyjnego.

Minęły godziny, zanim starszy podoficer Tom DePriest z hrabstwa St. Louis doczekał się wyników sekcji. Zdjęto odciski palców denata w nadziei, że posłużą ustaleniu jego tożsamości.

Odciski odpowiadały liniom papilarnym człowieka kiedyś aresztowanego w St. Louis za drobne przestępstwo. Był to dwudziestodwuletni Sean Cavaness. Niebawem nastąpił też następny krok w śledztwie. Badanie krwi wykazało u denata 2,6 promille alkoholu. Ten wskaźnik oznaczał, że ofiara w czasie zabójstwa miała znacznie ograniczone władze umysłowe i koordynację ruchów. Zgodnie z prawami stanu Missouri 1,0 promille alkoholu we krwi uważa się za stan nie pozwalający na prowadzenie samochodu. Cavaness miał dwa i pół raza więcej alkoholu w organizmie.

Teraz, kiedy policjanci znali nazwisko i adres ofiary, śledztwo mogło się rozwinąć.

Przypomniano sobie, że 12 grudnia, w przeddzień znalezienia zwłok Cavanessa, odnotowano skargę jego sąsiadów.

Składające zażalenie małżeństwo powiadziło policjantom, że w ich sąsiedztwie ktoś prowadził samochód w sposób wysoce podejrzany. Wyglądało na to, że kierowca „penetrował” okolicę. Ludzie ci bali się, że kierowca planuje napad na ich dom albo jakąś inną zbrodnię. Zapisali numer rejestracyjny wozu na świstku brązowej torby papierowej i przekazali policjantom.

Szybko sprawdzono numer i okazało się, że samochód jest zarejestrowany na nazwisko dr. Johna Cavanessa.

Detektywi uważali, że fakt, iż samochód dr. Cavanessa był w pobliżu mieszkania jego syna w dniu zabójstwa młodego człowieka, może być ważny. Nie było jednak podejrzeń, że starszy pan Cavaness jest wplątany w zbrodnię.

John Dale Cavaness był szanowanym patologiem i chirurgiem pracującym w Pearce Hospital w pobliskim Eldorado, Illinois. Był także właścicielem dużej prosperującej farmy w Harrisburgu, Illinois.

Przez następne dni sierżant Fred Foan z wydziału policji w hrabstwie St. Louis przeprowadził kilka rozmów z dr. Cavanessem w nadziei, że doktor może coś wnieść do sprawy.

Zdając sobie sprawę z pozycji dr. Cavanessa w miejscowym społeczeństwie i przewidując, że może on być pogrążony w rozpacz po zgonie syna, funkcjonariusze okazali dużo taktu i ostrożności w kontaktach z lekarzem. Mijały dni, a w sprawie nie było postępu.

Dopiero 19 grudnia 1984 roku, zanim upłynął tydzień od znalezienia zwłok młodego człowieka, rozeszła się zaskakująca wiadomość. Poraziła St. Louis i zachodnią część Illinois.

Pięćdziesięciodziewięcioletniego dr. Johna Cavanessa oskarżono o zabójstwo syna Seana.

Naczelnny prokurator stanowy Steve Goldman z okręgowej prokuratury hrabstwa St. Louis podkreślił powagę oskarżenia oświadczając, że przygotowuje się do wystąpienia z wnioskiem o karę śmierci dla podejrzanego.

Sierżant Foan, przedstawiając wyniki wnikliwego śledztwa, stwierdził, że prawdopodobnie do zabójstwa użyto rewolweru magnum 357, który następnie został ukryty w garażu dr. Cavanessa przy domu na West Walnut Street.

Ze wspólnego oświadczenia Foana i inspektora śledczego Jacka Nolena z wydziału kryminalnego policji Illinois wynikało, że w kupie cegieł na farmie dr. Cavanessa koło jeziora Harrisburg znaleziono także portfel i „inne brakujące dowody” zbrodni.

Podczas gdy kontynuowano na szeroką skalę prowadzenie śledztwa, dr. Cavanessa osadzono w więzieniu hrabstwa St. Louis.

Tymczasem miejscowa społeczność zareagowała natychmiast. Oskarżenie uznano na bezpodstawne. To musi być jakaś tragiczna pomyłka - mówiono.

Ludność Missouri darzyła doktora pełnym szacunkiem. Nie mogli i nie chcieli wierzyć, by człowiek, którego tak dobrze znali, mógł zawieść ich zaufanie.

Oto jakie były typowe komentarze:

Dyplomowana pielęgniarka: - To nieprawda. Pracowałam z nim 25 lat. Widziałam, jak pracował całą noc, by uratować życie ludzkie. Widziałam go nawet płaczącego po zgonie pacjenta. Nie wierzę w to. Nie mógł zabić!

Inny współpracownik szpitalny: - Trudno znaleźć lepszego człowieka. Jest najlepszym lekarzem w tej części kraju, a pacjenci uważają go za wschodzącą gwiazdę.

Miejscowy działacz: - Wielu ludzi, którzy znają dr. Dale'a Cavanessa, jest przekonanych, że nie mógł tego zrobić. Uratowałem tyle żyć ludzkich. To, że dzisiaj piszę prawą ręką, zawdzięczam jemu, gdyż on ją wyleczył. Gdy rozmawiałem z różnymi ludźmi, ktoś nawet powiedział mi: „Niemożliwe, aby to zrobić. Ufam, że to nieprawda; a jeśli to zrobił, mam nadzieję i modlę się, aby mu tego nie udowodniono”. Tak wyrażali się o nim ludzie, z którymi rozmawiałem. Wszyscy uważają, że coś jest tu nie w porządku, że ktoś próbuje go zrobić.

Kupiec: - Znam dr. Cavanessa od dzieciństwa. Dorastaliśmy razem i chodziliśmy do jednej szkoły. Teraz modlę się, aby to nie była prawda. Znam jego zasady. Gdyby zrobił coś takiego, byłby pierwszą osobą, która by się do tego przyznała. Społeczności będzie go bardzo brakować, a ja uważam go za najlepszego lekarza w Illinois. Gdybym chorował, nalegałbym, aby Dale włączył się do leczenia.

Sprzedawca w księgarni: - Znam dr. Cavanessa od urodzenia i nie wierzę w to. To zostało ukartowane i takie sprawy powinny być do końca zbadane, zanim dowie się ogół.

Tutejsza mieszkanka: - Znam go bardzo dobrze. Uczęszciliśmy do tego samego kościoła. Jestem zdruzgotana.

Jeden z przyjaciół oskarżonego lekarza uciekł się nawet do napisania listu otwartego do wydawcy „Eldorado Journal”. Stwierdził w nim:

Od pewnego czasu leczę się u dr. Dale'a Cavanessa. Wielu z Pana czytelników, a jego pacjentów, i ja wśród nich, będziemy wdzięczni, jeśli użyje Pan kolumn pisma, by przekazać kilka danych o nim.

Po pierwsze, muszę powiedzieć, że w areszcie, ze względu na słowa uznania, które otrzymuje w listach, ma dobre samopoczucie. Któregoś dnia mówiliśmy, jakie wspaniałomyślne i szczodre jest miasto Eldorado. Doktor wyraził się, że bynajmniej nie oczekiwał, aby ludzie tak wdzięcznie zachowali się i zebrali ponad 30 000 dolarów na fundusz jego obrony. Potem nawiązał do tych listów, mówiąc: - A jeśli chodzi o te listy, trudno wyrazić ich wartość dla mnie.

Dr Cavaness prosił mnie także, bym wyjaśnił pewne nieporozumienia, które zdają się niepokoić ludzi. Chciał zawiadomić

wszystkich, że zrezygnował z gabinetu w Pearce Hospital z własnej woli. Rozumie, że szpital może zyskać finansowo z powodu dodatkowego pomieszczenia. Wszyscy znają dotychczasowy udział dr. Caranessa w działalności szpitala, nie więc dziwnego, że teraz uznał on, iż nie dopuści, by szpital tracił w tym czasie, gdy przestał tam praktykować.

Ktoś mówił mi, że doktor powiedział, iż nie będzie już praktykował w Eldorado. Gdy go spytałem, czy to prawda, był zaskoczony i dotknięty. Oświadczył mi, że nigdy tego nie powiedział i że zamierza tam powrócić. - Uwolnię się od tych oskarżeń i będę starał się tam wrócić, choćby z tego względu, by odwdziżyć się ludziom za pokładaną we mnie wiarę.

Dr Dale podzielił się ze mną w największym zaufaniu tym, co zdarzyło się Seanowi. Do tego dnia nie dano mu okazji przedstawienia tej historii prokuratorowi. Gdy odwiedziłem go w następnym tygodniu, jego obrońca uważał, że nie należy tego ujawniać ogółowi, zanim zbliży się data procesu. Myślmy, że jego adwokat, którego Pan mu zapewnił, jest doskonały i nie pozostaje nam nic innego, jak zastosować się do jego sugestii. Obaj z dr. Camnessem chcielibyśmy, aby Pan poznał całą tę historię, gdyż to by zakończyło wszystkie nieprawdopodobne podejrzania. Skoro teraz to jest niemożliwe, chciałbym, aby Pan wiedział, że jestem przekonany, iż dr Camness jest niewinny, i wierzę, że uwolni się z zarzutów w dniu rozprawy.

Wkrótce będzie ustalona data procesu. Mam nadzieję, że nie zapomnimy o funduszu na obronę. Proszę dalej zbierać pieniądze, a także przysyłać listy do więzienia.

Dziękuję za Pańskie poparcie i wyrażam podziękowanie redaktorowi za wydrukowanie tego listu.

„Fundusz obrony”, o którym mówi autor listu, zainicjowała grupa miejscowych obywateli; do rozpoczęcia rozprawy zebrano 37 000 dolarów.

Urzędnik banku, który zajmował się funduszem, powiedział:

- Na ogół wielu ludzi jeszcze wierzy, że doktor jest niewinny, i muszą istnieć jakieś usprawiedliwiające okoliczności takiego nastawienia.

Inny znany w środowisku człowiek oznajmił, że komitet obrony wykazał dużo wysiłku, by pacjenci uregulowali zaległe honoraria za leczenie u doktora. Opisał Cavanessa jako *wspaniałego lekarza, ale najgorszego biznesmena, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi.*

Tymczasem władze śledcze nieubłaganie robiły wszystko, by zakończyć postępowanie w sprawie oskarżenia. Z każdym dniem wychodziło na jaw coraz więcej szczegółów z życia dr. Cavanessa.

Zwrócono uwagę na śmierć starszego syna doktora w 1977 roku. Towarzyszyły temu tajemnicze okoliczności.

Mark Cavaness ukończył 22 lata 9 kwietnia 1977 roku i tego popołudnia znaleziono go martwego na farmie hodowlanej ojca. Sprawą zajmował się urząd szeryfa hrabstwa Saline.

Koroner hrabstwa Wendell Lambert jako przyczynę śmierci podał jedyną ranę postrzałową. Broń znaleziono ukrytą w samochodzie ciężarowym zaparkowanym nie opodal zwłok.

Nie brano pod uwagę przestępstwa, ale dochodzenie w sprawie pozostało otwarte.

Ostatnio koroner Wendell Lambert, przypominając sobie szczegóły odkrycia zwłok Marka Cavanessa, stwierdził, że kula trafiła w klatkę piersiową.

Powiedział, że ciało znaleziono za domem farmy rodzinnej. To kilkunastoletni wówczas Sean Cavaness szukał na farmie starszego brata.

Lambert oznajmił, że ciało Marka Cavanessa leżało blisko ciężarówki, a w sfoferce znaleziono dubeltówkę. Dubeltówka była w futerale, ale dół futerału był przestrzelony.

Koroner stwierdził jednak, że nie było dość dowodów, by uznać, czy wóz był związany z przestępstwem, czy tylko zostało tak zaaranżowane, że wyglądał na miejsce, skąd padł strzał; można było nawet przypuszczać, że wchodziło w grę samobójstwo.

- Na zbyt wiele pytań nie było wówczas odpowiedzi - wyraził się Lambert.

Dla władz śledczych sprawa nadal była otwarta.

W otoczeniu dr. Cavanessa były jeszcze inne ponure sprawy. Jedna, co do której nie było wątpliwości, dotyczyła kary

pieniężnej i wyroku trzech lat więzienia z zawieszeniem z powodu wypadku drogowego na skutek nieostrożnej jazdy; zginęli wtedy Donald McLasky z Harrisburga (28 lat) i jego dziesięcioletnia córka. Dr Cavaness był wówczas oskarżony o prowadzenie samochodu w stanie nietrzeźwym i posiadanie broni bez zezwolenia.

Kolejny zarzut postawił mu Stephen Vinyard, skazany na siedem lat pozbawienia wolności za sześciokrotne przestępstwo posiadania narkotyków i rozpowszechniania ich, poczynszy od pierwszego wykroczenia 25 stycznia 1984 roku. Kuzyn Stephena Jerry Vinyard także został skazany na osiem lat więzienia po przyznaniu się do winy za dostarczenie niedozwolonych środków (morfiny) w dniu 25 stycznia 1984 roku.

Przestępstwo to nie stało się przedmiotem dalszego śledztwa, gdyż obaj oskarżeni przyznali się do winy. (Kuzyni Vinyardowie odsiadują wyrok w zakładzie karnym w Vienna).

Nie wykorzystując informacji o możliwości udziału dr. Cavanessa w sprawie Vinyardów, prokurator hrabstwa Goldman stwierdził, iż zdawał sobie sprawę, że nazwisko doktora wymieniono w tym śledztwie. Miał on dostarczać kuzynom narkotyki, które oni potem - wbrew prawu - odprzedawali.

- Jestem tego świadomy, iż może to być, ale nie musi, włączone do śledztwa w sprawie zabójstwa - oznajmił Goldman. - Po prostu czekam, jak rozwinie się sprawa.

Agent specjalny Nolen przyznał, że jego wydział bada zeznania Vinyarda, ale do tej pory nie znaleziono niepodważalnych dowodów przestępstwa.

- Przyjęliśmy informację i bierzemy ją pod uwagę - oznajmił Nolen. - Nasz wydział bada wszystkie doniesienia.

Z nagrywanego na taśmę zeznania Stephena Vinyarda policja uzyskała informację o przestępstwie z dnia 25 stycznia, kiedy Jerry Vinyard sprzedał pewną ilość niedozwolonych do sprzedaży środków farmaceutycznych - demerolu, merperidiny i morfiny - Stephenowi. Zeznanie odbyło się w dniu, kiedy Stephena oskarżono o posiadanie merperidiny i morfiny.

Stephen powiedział detektywowi z wydziału śledczego, Kenowi Clore'owi, że Jerry zalegał w opłatach za dom i potrzebował szybko uzyskać pieniądze. Zgłosił się do dr. Cavanessa

sa, prosząc go o pożyczkę. Skierowała go kuzynka - córka kobiety, z którą spotykał się dr Cavaness. Doktor dał mu narkotyki. Gdy Clore spytał go, czy chodzi o doktora Johna Dale'a Cavanessa, Stephen potwierdził.

Clore spytał następnie:

- Uważa pan zatem, że dr Cavaness dał narkotyki Jerry'emu wiedząc, że on je sprzeda, by uzyskać za nie pieniądze?
- Tak jest - odpowiedział Stephen.
- Odmówił udzielenia pożyczki pieniężnej, mówiąc, że nie ma pieniędzy.

Obecnie policja i oskarżyciele skoncentrowali się na śledztwie przeciw znanemu doktorowi w sprawie o zabójstwo. Kluczem do sprawy stało się zainkasowanie przez doktora sumy 140 000 dolarów z ubezpieczenia na życie Seana. Polisa ubezpieczeniowa, według prokuratora Goldmana, stała się motywem zabójstwa.

Prokurator był teraz gotowy stanąć przed ławą przysięgłych St. Louis i przedstawić główne punkty oskarżenia.

Cavanessa reprezentował adwokat Arthur Margulis, słynny obrońca procesowy z hrabstwa Clayton.

- Nie występujemy o wyznaczenie kaucji - powiedział prokurator. - Jeśli sprawa stanie przed sądem, zażądamy kary śmierci.
- Przewiduję, że wkrótce nastąpi proces. Zamierzam wnieść oświadczenie o niewinności w imieniu dr. Cavanessa - oświadczył reporterom adwokat.

Fundacja na rzecz Obrony dr. Cavanessa wydała następujące oświadczenie w gazecie:

Dalej odbywają się zebrania Fundacji na rzecz Obrony dr. Cavanessa. W odpowiedzi na oświadczenie wydziału policji w St. Louis komitet pragnie podkreślić, że dopóki sąd nie udowodni winy dr. Cavanessa, jest on niewinny. Komitet ponadto uważa, że dotychczas ujawnione fakty są jedynie dowodami dostarczonymi przez oskarżycieli, i niewątpliwie przemilcza się inne fakty, które z czasem staną się znane. Zbieranie funduszy trwa nieprzerwanie. Dr Cavaness ciągle potrzebuje Państwa pomocy. Jeszcze nie osiągnęliśmy zakładanej sumy. Proszę, włączcie się do akcji, która pokaże, że cenimy i popieramy doktora, tak jak on od wielu lat popierał ludzi z tego regionu.

Teraz, gdy data rozprawy została wyznaczona na 8 lipca, dr Cavaness postanowił zacząć przedstawiać argumenty na swoją obronę. Jak relacjonował Goldman, powiedział on policji, że w czasie zabójstwa Seana nie wychodził ze swego samochodu. Goldman dodał, że to była ostatnia zmyślona historia, którą Cavaness opowiedział funkcjonariuszom sprawiedliwości od czasu swego aresztowania.

Prokurator wysunął obiekcję, że prowadzący śledztwo nie stwierdzili ewentualnej przyczyny popełnienia samobójstwa przez Seana. Uważał, że oświadczenia doktora nie mają sensu. Cavaness utrzymywał, że byli w samochodzie, gdy Sean poprosił ojca o rewolwer i strzelił do siebie. Doktor natomiast oddał drugi strzał, aby ukryć fakt samobójstwa ze względu na uczucia byłej żony, matki chłopca.

Goldman zainteresował się również tym, że Cavaness udzielił wywiadu dziennikarzowi z pisma o zasięgu narodowym, w którym przedstawił swoją wersję ostatnich minut życia Seana. (Dziennikarz odmówił przedyskutowania tej sprawy z innymi przedstawicielami miejscowej prasy.)

Margulis stwierdził, że nie dał pozwolenia na wywiady z oskarżonym. Adwokat powiedział także, że przygotowuje się do rozprawy i jest przekonany, iż 8 lipca dojdzie do uwolnienia doktora.

- Nie będzie układu w sprawie przyznania się do winy. Nie potrzebujemy się układać - rzekł Margulis. - Doktor jest niewinny.

Mówiąc o obecnym nastroju Cavanessa, Margulis zauważył: - Jest pełen dobrej myśli i chce wystąpić w sądzie w swojej obronie.

Adwokat nie chciał omawiać szczegółów obrony, ale dodał, że Cavaness chciał przedyskutować z nim, jak ma wystąpić ze swoją obroną.

O poparciu miejscowej społeczności Margulis powiedział:

- Jesteśmy pod wrażeniem przychylnych reakcji ludzi. Nie tylko teraz popierają doktora, zawsze wysoko go cenili. Nie spotkałem nikogo, kto byłby przeciw niemu.

Adwokat stwierdził, że nic nie wskazuje na związek śmierci Seana ze śmiercią starszego brata. Oświadczył również, że

doktor z całą pewnością będzie składał zeznania w sądzie, nawet jeśli oskarżyciel zwróci się o wprowadzenie jako dowodu dawnych akt skazania Cavanessa.

Rozprawa rozpoczęła się, zgodnie z ustaleniami, 8 lipca w sali sądowej sędziny Margaret Nolen z pierwszego wydziału sądu w St. Louis. Wyczuwało się nieomal namacalnie napięcie, gdy dwaj znakomici prawnicy - Goldman w imieniu stanu i Margulis jako obrońca oskarżonego - przygotowywali się do rozpoczęcia wzajemnego ostrzału z ciężkiej artylerii. Bitwa prawnicza toczyła się o najwyższą stawkę.

W zatłoczonej sali rozpraw mieszkańcy siedzieli na brzegach ławek, gdy Goldman i Margulis wygłaszali wstępne przemówienia.

Zgromadzonym miała się ujawnić teraz prawda. Wreszcie miejscowa społeczność dowie się ciemnych, intymnych sekretów, które zaledwie mgliście rysowały się w dniach poprzedzających rozprawę.

Usłyszeli słowa Goldmana:

- Jako oskarżyciele będziemy usiłowali udowodnić, że 13 grudnia 1984 roku na Allen Road, w odludnym zakątku hrabstwa St. Louis, między godziną 6.30 a 7.30 oskarżony dr Cavaness ranił śmiertelnie z broni palnej Seana Cavanessa.

Prokurator przewidywał, że dowody ukażą, iż dr Cavaness zabrał swego syna na przejażdżkę, upoił alkoholem i udał się z nim do odludnego miejsca. Tam zabił go z myślą o wypłacie z polisy ubezpieczeniowej na życie syna ponad 140 000 dolarów oraz z powodu niezadowolenia ze stylu życia Seana.

Krok po kroku Goldman wymieniał świadków oskarżenia ze strony stanu i przedstawiał w ogólnym zarysie, co będą zeznawać. Zapowiedział stanowego specjalistę medycznego, przyjaciółkę Seana, była żoną oskarżonego, detektywa prowadzącego śledztwo i funkcjonariusza towarzystwa ubezpieczeniowego.

Margulis, przemawiając jako obrońca, przyrzekł, że wykaże, iż poza tym, co widzą oczy, jest wiele innych istotnych spraw.

Powiedział, że omówi kondycję zdrowotną Seana i jego stan psychiczny, a także charakter śmiertelnych ran, aby udowodnić, że młody człowiek sam skrócił sobie życie, a nie stał się

ofiara zbrodni. Przyrzekł, że dr Cavaness stanie w ławie świadków, by przedstawić sędziom przysięgłym przebieg wypadków 12 i 13 grudnia.

- Powie dokładnie, co się zdarzyło tego dnia, powie o kosztach, jaki wtedy przeżył, i jak zmienił położenie zwłok, a potem przedstawiał sprzeczne opisy - powiedział Margulis.

Obrońca podkreślił nałogowy alkoholizm Seana. Wspomniał, że przedstawi zaświadczenia lekarskie stwierdzające, w jakim stopniu w przeszłości dawało się denatowi we znaki nadużywanie alkoholu.

Choć słowa dwóch przeciwników w tej sprawie już trzymały obecnych w napięciu, dr Cavaness jeszcze dodał element dramatu. Zamiast wyglądać jak człowiek walczący o swoje życie, był bardzo pewny siebie. Nieskazitelnie ubrany, machał ręką do życzliwych mu na sali i uśmiechał się do dodających mu otuchy. Sądzone, że oskarżony udowodni, iż jest niewinny, ku zadowoleniu dziewięciu kobiet i trzech mężczyzn, którzy zasiadali w ławie przysięgłych.

Zeznanie pierwszego świadka, dr. Ronalda Turgeona, lekarza policyjnego hrabstwa St. Louis, uwypukliło potworność zbrodni. Opisał on śmiertelne rany, które stwierdził u denata.

W następnych dniach Goldman wzywał licznych świadków, którzy przedstawiali oskarżonego jako człowieka o podwójnej osobowości: tego, którego kochali pacjenci, i tego, który powodował, że rodzina bała się go.

Napięcie wzrosło, gdy zbliżały się do końca zeznania świadków oskarżenia, a Margulis gwałtownie odpierał wszystkie argumenty prokuratora.

I wtedy, gdy wydawało się, że już nic nie pozostało do dodania do ostatniego rozdziału tego dramatu, nastąpiła zaskakująca zmiana w rozwoju sytuacji, która zaszokowała wszystkich.

W czasie niedzielnej sesji sądu okazało się, że ławie przysięgłych udostępniono dokument stwierdzający, że policja przeprowadziła badanie dr. Cavanessa na prawdomówność. Sprawa się skomplikowała, gdyż oskarżyciel przedstawił ten dokument sądowi dopiero na rozprawie, wręczając go z uzasadnieniem sędzynie Nolen. Z tego powodu obrona zgłosiła wniosek o unieważnienie procesu.

Działając na rzecz praw oskarżonego, sędzina Nolen przychyliła się do wniosku.

W rozmowie z dziennikarzami w kularach sądu prokurator Goldman powiedział:

- Nie były udostępnione wyniki badania, ale uważa się, że już wiadomość o tym godzi w niezawisłość sędziów przysięgłych. W czasie gdy przedstawiono ten dowód, zostałem wywołany z sali, by udzielić jakichś wskazówek. Gdy wróciłem i zobaczyłem ten dokument, pomyślałem, że może być kłopot. Po przeczytaniu go wiedziałem, że kłopot jest nieunikniony. To bardzo smutne.

Prokurator zauważył, że jego współpracownicy po unieważnieniu procesu rozmawiali z sędziami przysięgłymi i dowiedzieli się, że ława skłaniała się do wyroku skazującego.

Margulis powiedział o swoim wniosku:

- Tylko to mogłem zrobić w tych okolicznościach. Musiałem postawić wniosek o unieważnienie. Sądzę, że w jesieni rozpoczniemy wszystko od początku. Tymczasem będę próbował uzyskać zgodę na zwolnienie mego klienta za kaucją.

Detektyw Dave Barron z policji hrabstwa St. Louis, który w tej sprawie odegrał kluczową rolę, oznajmił:

- Niewątpliwiej jestem zawiedziony. Sądzę, że przedstawione dowody doprowadziłyby do skazania. Jednakże nasz system sądowniczy zakłada ochronę praw jednostek, zapewniając im sprawiedliwy proces.

Ponieważ Margulis miał liczne inne zobowiązania prawne, termin wznowionego procesu Cavanessa odwlekł się do 12 listopada.

Wnioskowi o zwolnienie dr. Cavanessa za kaucją sprzeciwił się, bez uzasadnienia, sędzia hrabstwa St. Louis, Bernhardt Drumm.

Goldman powiedział, że decyzja sędziego miała jednak uzasadnienie, ponieważ jedno z pozostałych przy życiu dzieci oskarżonego miałyby podstawy do obaw o swoje życie, gdyby został on zwolniony z więzienia.

Zgodnie z tym, co powiedział Goldman, zaraz po głównych przesłuchaniach w sądzie, na rozprawie o przyznanie oskarżo-

nemu prawa wyjścia z więzienia za kaucją, zeznawał nieletni syn Cavanessa.

- Stwierdził on, że jeśli ojciec wyjdzie na wolność - powiedział Goldman - on będzie obawiał się o swoje życie, o własne bezpieczeństwo.

Prokurator, zapytany przez dziennikarzy, czy to znaczy, że świadek uważał, iż ojciec może go skrzywdzić, odpowiedział twierdząco.

- Chłopiec zeznał jeszcze, że ojciec groził mu na tydzień przed pogrzebem Seana, że go zabije - dodał Goldman.

Druga rozprawa odbyła się w listopadzie. Ława przysięgłych składała się z ośmiu kobiet i czterech mężczyzn z Kansas City, którzy zostali odosobnieni w siedzibie sądu hrabstwa St. Louis, by osądzić przedstawione dowody. Wybranie ławy przysięgłych spoza hrabstwa St. Louis miało zagwarantować bezstronność sędziów. Uważano, że taka ława przysięgłych będzie bardziej efektywna niż ława z miejsca rozprawy.

Przewodniczył sesji sędzia Drew W. Luten z X wydziału sądu hrabstwa St. Louis. Pierwszym świadkiem był dr Turgeon, lekarz sądowy hrabstwa. Powiedział on, że rana postrzałowa z tyłu szyi, gdzie kula znalazła wylot przez lewe oko, była wynikiem pierwszego strzału z odległości około jednego cala.

Dowodził, że sądząc po zwięgleniu wokół drugiej rany tuż pod prawym uchem, strzał musiał być oddany z odległości 15 do 24 cali od ciała i że każda rana była śmiertelna.

Z fotografii zwłok doktor wywnioskował, jak oddano strzały. Ranę poniżej ucha spowodował strzał, gdy ofiara leżała na plecach. (Później porucznik David Wendell z Biura Kryminalnego odtworzył scenariusz zbrodni. Pokazał dokładnie, jak dokonano morderstwa.) Patolog wysnuł wnioski na podstawie badania linii przepływu krwi, jak to wykazały fotografie.

Lekarz sądowy nie wykluczał całkowicie możliwości samobójstwa, ale powiedział, że to bardzo mało prawdopodobne. Odnotował 2,6 promilli zawartości alkoholu we krwi denata, więc Sean był bardzo pijany.

W krzyżowym ogniu pytań Margulis wydobył ze świadka, że denat miał „stłuszczone” wątrobę. To często występuje przy degeneracji fizycznej u chronicznych alkoholików. Turgeon

także przyznał, iż ilość alkoholu wypita bezpośrednio przed śmiercią musiała spowodować upośledzenie świadomości.

Margulis zapytał świadka, czy członkowie rodziny, w której nastąpiło samobójstwo, nie zacierali zazwyczaj śladów na miejscu, by ukryć, że ktoś targnął się na swoje życie.

Turgeon zgodził się z tym, ale w odpowiedzi na pytanie Goldmana przyznał, że nigdy nie słyszał o takim przypadku, by inny członek rodziny oddał drugi strzał do zwłok w celu ukrycia samobójstwa. Oznajmił, że jest przekonany, iż najpierw została zadana rana szyi z bliskiej odległości.

Następnie zeznawało małżeństwo, które usłyszało warkot samochodu w pobliżu mieszkania Seana.

Oświadczyli oni, że widzieli samochód Cavanessa i że doktor był w domu Seana od około godziny 10.20 wieczorem 12 grudnia do 1 godziny w nocy 13 grudnia.

Wypowiedzieli się przeciw podejrzeniu samobójstwa mówiąc, że Sean pił od czasu do czasu, ale robił to na wesoło. Denat cieszył się z zaplanowanych wakacji Bożego Narodzenia, które miał spędzić z rodziną na południu Illinois.

Dziewczyna Seana zeznała, że młody człowiek był w dobrym nastroju od czasu, gdy poznała go w lipcu 1984 roku, aż do śmierci. Planowali małżeństwo. Przyznała, że od czasu do czasu Sean ulegał depresji, ale objawy szybko mijały.

Jeśli chodzi o stosunki między ojcem i synem, świadek zeznała, że dr Cavaness płacił czynsz za mieszkanie Seana i zobowiązał się do płacenia chesnego w Meremac Community College do czasu, gdy syn opuścił szkołę w listopadzie 1984 roku.

Młoda kobieta stwierdziła, że w listopadzie i grudniu Seanowi brakowało pieniędzy. Dodała, że w październiku doktor odwiedził Seana w jej domu. Przyniósł alkohol. Dziewczyna poprosiła dr. Cavanessa, by nie przynosił wódki, gdyż wiedziała, że młody człowiek nie będzie pił nic innego.

Świadek zeznała: - Początkowo stosunki między ojcem i synem nie były dobre, ale później dr Cavaness zaczął go odwiedzać. Jednakże nie bardzo się zgadzali.

O niesnaskach między dr. Cavanessem a innymi członkami rodziny zeznawała jedna z jego krewnych. Zarzuciła ona

lekarzowi, że swoim przyjaciołom i pacjentom okazywał znacznie więcej względów niż krewnym.

Zgodnie z jej słowami Sean był ostatnio w dobrym nastroju. Stwierdziła, że w żadnym razie nie podejrzewałaby go o zamiary samobójcze.

Wskazała, że alkoholizm Seana stracił znacznie na sile od czasu, gdy poddał się leczeniu odwykowemu w 1983 i 84 roku. Potwierdziła, że dr Cavaness, mówiąc o Seanie na parę dni przed jego pogrzebem, użył słowa „kłopot”.

Najmłodszy syn doktora zeznał, że ojciec płacił za naukę oraz komorne za mieszkanie Seana i chesne w 1984 roku, do śmierci syna. Dodał jednak, że czasami spóźniał się z płaceniem i że czeki nie zawsze miały pokrycie.

Charakteryzując ojca powiedział, że był hałaśliwy, gwałtowny, prowokujący, a gdy pił, stawał się bardzo nieprzyjemny. Zwrócił uwagę, że ojciec - zapytany o polisę ubezpieczeniową Seana - oświadczył, że nie ma pieniędzy na pogrzeb. Jeśli chodzi o opłaconą przez niego polisę na sumę 100 000 dolarów, powiedział, że została unieważniona z powodu alkoholizmu i astmy Seana.

Kiedy rano zidentyfikował zwłoki brata, zatelefonował do ojca, który wydawał mu się pijany i wielokrotnie powtarzał to samo.

Syn stwierdził, że ojciec przyszedł dopiero następnego dnia wieczorem, po jego dwóch telefonach.

Zasadnicze zeznanie złożył detektyw Barron. Powiedział, że po raz pierwszy rozmawiał z dr. Cavanessem w mieszkaniu jego syna w dniu, gdy oskarżony tam przyszedł. Wtedy doktor powiedział policjantowi, że nie widział syna od czterech tygodni.

Barron oznajmił, że wrócił do domu, w którym mieszkał Sean. W czasie rozmowy z sąsiadami wręczono mu papierową torbę z napisanym na niej numerem rejestracyjnym samochodu. To był numer wozu, który wydał się sąsiadom podejrzany. Okazało się, że jest to numer samochodu dr. Cavanessa.

Detektyw był na pogrzebie; atmosfera przypominała nastrój „zebrania rodzinnego”. Dr Cavaness zdawał się być zadowolony-

ny i poklepywał obecnych po plecach. Barron postanowił poczekać z aresztowaniem go do następnego dnia.

Zatrzymał dr. Cavanessa około 5.05 po południu i przesłuchiwał o 11.30 rano następnego dnia.

Powiedział podejrzanemu, że dwoje świadków zeznało, iż widzieli go w mieście wieczorem, gdy Sean został zastrzelony. Cavaness oznajmił, że to niemożliwe, i nadal zaprzeczał temu zeznaniu, nawet po pokazaniu mu torby z numerem rejestracyjnym jego samochodu.

Jednakże w dwie godziny i dwadzieścia minut później zmienił swoją opowieść. Przyznał się wtedy, że w nocy 12 grudnia był w St. Louis. Powiedział detektywowi, że przyjechał do mieszkania Seana około 1.30 w nocy. Zawiózł go do sklepu, by syn kupił papierosy, odwiózł go z powrotem do domu i odjechał do Illinois. Zapytany, dlaczego dotychczas tego nie ujawnił, odparł, że obawiał się, iż to rzuci na niego podejrzenie.

W czasie tego przesłuchania Cavaness oznajmił, że towarzystwo ubezpieczeniowe odmówiło wydania polisy na Seana z powodu problemów zdrowotnych młodego człowieka.

Następne przesłuchanie odbyło się 24 grudnia. Tym razem podejrzany wystąpił z jeszcze inną opowieścią. Barron potwórzył dosłownie słowa Cavanessa: „Nie jest tak źle, jak pan myśli. Sean popełnił samobójstwo, a ja włączyłem się, by to ukryć i stworzyć pozory zabójstwa ze względu na innych członków rodziny”. Potem Cavaness oświadczył, że przez całą noc nie wysiadali z samochodu, który on prowadził, i że dopiero o świcie stanął, gdyż znaleźli się w okolicy, która przypominała Seanowi południowy Illinois.

- Zatrzymali się - mówił Barron, by Sean mógł popatrzeć na krowy. Wtedy syn spytał doktora, czy ma broń, a doktor przytaknął i wręczył synowi rewolwer magnum 357. Cavaness powiedział, że wyszedł z samochodu, by wyjąć coś z bagażnika. Wtedy usłyszał: „Powiedz mamie, że jest mi przykro” i zobaczył Seana upadającego z raną postrzałową. Gdy zorientował się, że młody człowiek nie żyje, Cavaness podniósł broń, cofnął się parę kroków i strzelił w zwłoki.

Barron zeznał, że gdy powiedział Cavanessowi, że to będzie można łatwo sprawdzić z powodu śladów prochu na rękach

strzelającego, doktor powiedział mu, że wytarł ręce syna wilgotną ściereczką z samochodu. Następnie oznajmił, że wyjął osobiste przedmioty Seana z kieszeni i zawiózł je do domu w Harrisburgu.

Gdy detektyw przyznał się doktorowi, że nie orientuje się w geografii tego regionu, ten naszkicował mu dwie mapki, gdzie ukrył magnum i inne rzeczy.

Mapki zostały uznane za dowody rzeczowe i dołączone do akt sprawy.

30 grudnia, w czasie kolejnego przesłuchania, Cavaness zmienił szczegóły ostatniej wersji swojej opowieści, ale nadal utrzymywał, że Sean popełnił samobójstwo.

Margulis zadawał Barronowi podchwytliwe pytania, kwestionując procedurę przesłuchań. Zarzucił detektywowi, że okłamał podejrzanego w sprawie dowodów posiadanych przez prokuraturę. Barron odpowiedział, że sprawdzał jedynie reakcję Cavanessa na twierdzenia funkcjonariuszy śledczych.

Przedstawiciel towarzystwa ubezpieczeniowego zeznał, że wydano trzy oddzielne polisy na życie synów dr. Cavanessa, każdą na 100 000 dolarów. Wpłaty zakończyły się w 1984 roku. Dr Cavaness był wymieniony jako pierwszy spadkobierca, a była żona w następnej kolejności. Natomiast żona Marka figurowała jako spadkobierczyni w drugiej kolejności w polisie swego męża.

Przedstawiciel wyjaśnił, że towarzystwo nigdy nie informowało dr. Cavanessa, że któraś z polis została unieważniona. Dodał, że na pytanie o alkoholizm w przypadku polisy Seana, odpowiedź w kwestionariuszu była negatywna. Polisę podpisali Sean i dr Cavaness.

Obrońca zdobyła ważne punkty na rzecz podejrzanego z zeznań zatrudnionych na farmie dr. Cavanessa. Mówili o Seanie, że miał do wszystkich pretensje i uważał, że wszyscy powinni dostarczać mu środków do życia. Wspominali nałóg alkoholowy ofiary, twierdząc, że znacznie się wzmógł tuż przed śmiercią. Stwierdzili, że gdy Sean był pijany, trudno było dać sobie z nim radę, miał wtedy ataki histerycznej złości.

Na pytanie, czy możliwe, aby doktor dał komuś pijanemu broń do ręki, odpowiedź zatrudnionych na farmie była negatywna.

Intencją obrony było przedstawienie dr. Cavanessa jako człowieka rozsądnego, dbającego o rodzinę, pragnącego jej pomyślności. To zamierzenie miało wzbudzić wątpliwości co do zeznań byłej żony i kilku innych krewnych.

Była żona potwierdziła zeznania innych członków rodziny, jeśli chodzi o charakterystykę dr. Cavanessa.

- Mój były mąż przedstawiał dwie różne osobowości. Nadzwyczaj troskliwie zajmował się pacjentami, ale wobec rodziny był gwałtowny i fizycznie, i w słowach. Pacjenci kochali go, ale pijany Dale był okropny - powiedziała sądowi była żona, z zawodu dyplomowana pielęgniarka. - Sean kochał tatę i nie mógł zrozumieć postawy ojca wobec niego. Mówił po prostu: „Nie wiem, dlaczego mnie nienawidzi”.

Zaznaczyła, że rozeszła się z mężem, gdy była w szóstym miesiącu ciąży z najmłodszym synem. Przytoczyła słowa Cavanessa, który jej wówczas powiedział: „Nie kocham cię, nie pragnę cię. Nie potrzebuję cię i jest mi przykro, że mówię ci to, gdy jesteś w ciąży”.

Boże Narodzenie 1982 roku podała jako przykład stosunków między ojcem a zmarłym Seanem. Kłócili się i dr Cavaness wyrzucił go z domu. Powiedział wtedy: „Zabiję go, nie dbam, czy pójdę za to do więzienia”.

Jednakże była żona przyznała, że doktor zawsze reagował pozytywnie, gdy telefonowała do niego, prosząc o pomoc w narzuceniu dyscypliny synom.

Stojąc na podium świadków we własnej obronie, dr Cavaness opisał swoje życie rodzinne jako szczęśliwe aż do czasu rozwodu w 1972 roku. Stwierdził, że po rozwodzie pozostawał w ścisłym kontakcie z rodziną, starając się, by synowie byli „zdyscyplinowani”. Stwierdził, że kłopoty z alkoholizmem Seana spotęgowały się w 1978 roku.

Zapalczywie zaprzeczył, jakoby w 1984 roku przeżywał kłopoty finansowe. Utrzymywał, że na terenie jego posiadłości wykryto pokłady ropy, co pozwalało mieć nadzieję na zwiększenie zysków.

Obrazowo opisał ostatnią noc spędzoną z Seanem. Większość jego oświadczeń już znajdowała się w aktach sądu.

Podkreślił szczególnie swoje postępowanie po zastrzeleniu się Seana.

- Po usłyszeniu strzału - powiedział - ujrzałem wszystkie gwiazdy. Przez chwilę czułem się sparaliżowany. Potem powiedziałem sobie: „Jesteś lekarzem”, podbiegłem do niego i zbadałem.

Początkowo rana nie wyglądała groźnie. Jednakże przy bliższym zbadaniu dr Cavaness stwierdził, że źrenice syna są powiększone i nieruchome, co oznacza śmierć mózgową. - Wtedy - powiedział - zastanowiłem się i zdecydowałem na następny krok.

Przywołując ten moment, Cavaness zeznał: - Możliwe, że chcąc nie dopuścić, by dowiedziano się prawdy, doszedłem do wniosku, że gdyby go rzeczywiście zabito, na tym sprawa by się skończyła.

Wtedy odwrócił ciało Seana, wyjął mu portfel z kieszeni i strzelił w tył jego głowy, by to wyglądało na zabójstwo. Powiedział, że potem odjechał do Illinois, gdzie miał do załatwienia pewne sprawy bankowe, a następnie udał się na farmę.

W krzyżowym ogniu pytań prokuratora Goldmana Cavaness podtrzymywał, że nadal był pod wpływem szoku psychicznego, którego doznał po śmierci Seana.

- Umysł ludzki stwarza dziwną zaporę pod wpływem szoku - powiedział oskarżony.

To wywołało sarkastyczną uwagę prokuratora:

- Ale wiedział pan, że wystrzelił drugą kulę w głowę syna. Oczywiście, to pan wie, ale nie o to chodzi.

19 listopada 1985 roku proces w stanie Missouri przeciw doktorowi Johnowi Dale Cavanessowi został przekazany ławie przysięgłych. Tymczasem mieszkańcy hrabstwa czekali w napięciu na werdykt. Minęło jedenaście miesięcy od złowrogiego poranka 13 grudnia 1984.

Teraz oskarżycielom i obronie pozostało tylko czekać na decyzję ośmiu kobiet i czterech mężczyzn z Kansas City, którym powierzono zbadanie dowodów i wydanie wyroku.

Przysięgli działali z nadzwyczajną szybkością. Po dwóch i pół godzinie zespół sędziów wrócił na salę sądową z gotowym wyrokiem. Uznali oskarżonego winnym zabójstwa pierwszego stopnia.

Następnego dnia ci sami sędziowie przysięgli mieli ponure zadanie rozstrzygnięcia, czy karą dla Cavanessa ma być dożywotni pobyt w więzieniu, czy za życie syna ma odpowiedzieć własnym życiem. Tym razem dyskusja zajęła ponad trzy godziny.

Postanowiono, że dr John Dale Cavaness znajdzie się wśród 35 innych skazanych na śmierć w Missouri, oczekujących na egzekucję w komorze gazowej więzienia stanu Missouri w Jefferson City.

Wyrok śmierci podlega rozpatrzeniu przez Najwyższy Sąd Stanowy.

Postawę mieszkańców południowego hrabstwa Illinois, która prawie przez rok formowała opinię publiczną na temat zabójstwa, najlepiej wyrazili dwaj tytani profesji prawniczej, którzy walczyli o los zabójcy.

W pismach w sprawie surowości wyroku wypowiedzieli się następująco:

Goldman: - Wyrok śmierci jest jedyną właściwą karą za tę straszną zbrodnię. Doktor uzurpował sobie władzę boską i postanowił, że Sean powinien umrzeć. Wydajemy wyroki prawne, ale tylko Bóg może wydawać wyroki moralne. Powstała tutaj sytuacja, w której zagrożonemu społeczeństwu należy się prawo ochrony.

Margulis: - Nie mogę uwierzyć w to, że pan Goldman powiedział, że jest zadowolony, iż może zażądać kary śmierci. Stawka jest znacznie wyższa i lepiej o tym pamiętać. Weźcie państwo pod uwagę trzydziestoletnią służbę doktora i jego wkład w życie społeczności. Nie widzę niczego pozytywnego w tym, jeśli wasza dwunastka postanowi o egzekucji dr. Cavanessa w komorze gazowej.

W czasie ostatnich przemówień oskarżyciela i obrońcy Cavaness pozostał niezruszony.

Ktoś z krewnych dowiedział się, że odnalazł podobno pociechę w religii. Krewny jednak twierdził, że takie olśnienie nie przystawałoby do charakteru doktora.

John Dunning

PSYCHOPATA SEKSUALNY PRZYWIĄZAŁ ŁAŃCUCHAMI TRZY NIEWOLNICE

- To jest bezgraniczna wyższość mężczyzn, której muszą się niewolniczo podporządkować kobiety - wykrzyknął doktor o jasnych rozwianych włosach i w okularach w metalowych oprawkach, które rzucały groźne błyski.

Dwudziestodwuletnia Susanne Wagner nie odpowiedziała. Nie mogła odpowiedzieć, gdyż była bliska uduszenia, doktor bowiem wetknął jej siłą w usta jabłko. Nie słyszała też, co mówił, bo taśma, którą kleił jej policzki, usta i oczy, zakrywała także uszy.

Poza tym była całkowicie odkryta. Zaraz po przykuciu jej kajdankami do kuchenki, zerwał z niej ubranie, a następnie dwukrotnie zgwałcił, za każdym razem łatwo osiągając orgazm.

Ten wyczyn trzydziestosześcioletniego mężczyzny mógł robić imponujące wrażenie, ale Susanne nie była zdziwiona. Wiedziała, do jakich wyczynów seksualnych był zdolny dr Ulrich Koschwald.

Miała sporo czasu, aby się w tym zorientować. Był początek 1983 roku, a Susanne obliczała, że od ponad roku jest więziona przez doktora. Przez cały ten okres było tylko kilka dni, w których ten groteskowy, niezmiernie wysoki i chudy mężczyzna nie zaspokoił swojej chuci na jej bezbronny ciele.

Uważała, że był nienormalny, zdolny do każdego szaleństwa. Już wielokrotnie bił ją tak, że była o włos od utraty życia, a teraz miał złamaną prawą rękę; stało się to, gdy uderzał ją w brzuch, jak to nazywał, ciosem karate.

Nie odróżniała, czy to był cios karate, czy jakieś inne uderzenie czy kopnięcie. Wiedziała jedynie, że te ciosy są bardzo bolesne i przerażało ją, że może umrzeć, zanim wróci jej przytomność.

Najgorsza była piwnica. Gdy doktor prowadził ją do piwnicy, nigdy nie była pewna, czy powróci stamtąd żywa.

Wisiała długie godziny nago, dłonie miała przywiązane do haka w suficie, palce nóg ledwo dotykały zimnej cementowej podłogi.

Doktor lubił pieścić ciało Susanne, gdy tak wisała bezbronna. Najpierw biczował ją skórzanym batem, który zostawiał błękitne i zielone pręgi na jej ciele, a potem następowały sprośne dotykania i ściskanie. To działało na niego w ten sposób, że wielokrotnie ją gwałcił.

Nie uwalniał jej z pozycji, w której wisała. Była niską dziewczyną, a doktor był bardzo wysoki. Mógł gwałcić ją wiszącą na sznurze.

Często sprowadzał swoją córkę, aby to oglądała. Gretel Koschwald miała jedenaście lat. Bardzo dobrze wiedziała, co ojciec robi. Nic jednak nie mówiła, nic nie odbijało się na jej twarzy, gdy doktor torturował, maltretował i gwałcił swoją ofiarę. Stała bez słowa, nieczuła, dopóki nie skończył.

Oczywiście, Gretel znała Susanne. Spotykały się wielokrotnie, gdy Susanne i Ulrich byli kochankami. Miało się wrażenie, że ta córka doktora z pierwszego małżeństwa jest całkowicie normalną dziewczynką.

Susanne nie wiedziała, dlaczego dziewczynka mieszkała z ojcem ani nie znała miejsca pobytu jej matki. Ulrich powiedział jej, że rozwiódł się dwukrotnie, a stało się to za sprawą emancypacji kobiet.

Susanne także była wyemancypowaną kobietą. Nie godziła się z jego absurdalnymi wypowiedziami o wyższości mężczyzn. Kiedyś w czasie kłótni wyrzuciła go ze swego auta w szczerym polu, tak że musiał wracać na piechotę prawie pięć mil. Innym razem cisnęła szczotką do włosów prosto w jego głowę.

Wkrótce potem rozpoczęło się jej męczeństwo. Ulrich poszedł do psychologa doradzającego w problemach małżeńskich. Była to dziedzina, w której sam specjalizował się na uniwersytecie w Regensburg, ale nie bardzo mógł poradzić sobie z tymi sprawami.

Psycholog, dr Oswald Krecke, doradził, aby się rozstali.

- Albo - dodał - zdecyduj się na otwartą walkę.

To, pomyślała Susanne, było fatalną radą. Ulrich, dwa razy od niej wyższy i, jeśli mu wierzyć, wyszkolony w karate, oczywiście wybrał walkę. Było to w lutym 1982 roku, w sobotę. Gdy znaleźli się w oddalonym od innych zabudowań domu w Am Eichelberg w wiosce Pillnach nad Dunajem, zbił tak niemiłosiernie Susanne, że myślała, iż tego nie przeżyje.

To był początek. Jak to się zakończy, nie wyobrażała sobie i nie chciała o tym myśleć. Nie wierzyła, że opuści to wstrętne miejsce żywa.

Przymocowana łańcuchem do kaloryfera pozostawała sama, podczas gdy on wykładał i prowadził badania na uniwersytecie w odległości około sześciu mil. Rozważając swój los, przyznawała się w duchu, że sama w dużej mierze przyczyniła się do tego stanu rzeczy.

Zaczął się całkiem niewinnie. Miała pewne kłopoty z osiągnięciem orgazmu i w tej sprawie chciała zasięgnąć rady socjologa i psychologa w jednej osobie. Jak u wszystkich Niemców, stopień naukowy wzbudzał szacunek, przyjęła więc bez zastanowienia wszystko, co doradzał jej doktor.

Powiedział, że chce się z nią kochać. Nie wprost, był bowiem ekspertem w psychologii i wiedział, jak podchodzić do kobiet. Był delikatny, dyskretny i nie zmierzał prosto do celu. Pomimo

jego przyprowadzającego o obrzydzenie wyglądu, szybko znalazła się z nim w łóżku.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego. Była nawet trochę dumna, że ma do czynienia z uczonym doktorem. Nie był jej pierwszym kochankiem i nie uważała, że będzie ostatnim.

A przynajmniej tak myślała do czasu, gdy inny psycholog doradził Koschwaldowi otwartą walkę.

Jak mógł doradzić starcie fizyczne z dziewczyną o wzroście niespełna pięć stóp cztery cale mężczyźnie wzrostu sześć stóp i cztery cale i do tego wyszkolonemu w walkach karate?

Oczywiście nie mógł wiedzieć, że Koschwald jest szalony. Prawdopodobnie myślał o czymś takim, jak walka polegająca na rzucaniu w siebie poduszkami. Nie mógł przewidzieć, że ten mężczyzna będzie przez pół godziny atakować dziewczynę gradem ciosów karate, aż złamie sobie rękę.

Czy przyjdzie mu na myśl, aby sprawdzić, jak się mają sprawy?

Na pewno nie! Jeśli Ulrich nie zwróci się do niego po radę, przyjmie, że jego zalecenie okazało się skuteczne i problem przestał istnieć. Nie było powodu do sprawdzania rezultatów.

A ktoś inny? Czy był ktoś, kto mógłby ją uratować?

Oszalałe myśli dziewczyny krążyły jak przerażona wiewiórka uwięziona w klatce. Jednakże nawet po roku tortur, gwałtów i poniżenia duch Susanne nie dał się złamać całkowicie. Pozostał jeszcze jakiś ślad nadziei ukryty głęboko w jej sercu. Któregoś dnia ucieknie i koszmar się skończy.

Ale nikt jej w tym nie pomoże. Regensburg, urocze miasto liczące 140 000 mieszkańców, leży w południowych Niemczech przy ujściu rzeki Regen do Dunaju. Susanne przybyła tu z północy, z Hamburga. W tym regionie nie miała krewnych ani bliskich przyjaciół. Z rodziną utrzymywała luźne związki. Nikt by nie zauważył, gdyby zginęła.

Wszystkimi miejscowymi sprawami zająłby się Ulrich. A ponieważ mieszkała z nim, nie będzie właściciela mieszkania, który zgłosi jej zaginięcie. Ulrichowi całkiem łatwo będzie przeciwdziałać podejrzaniom.

Nie, nie mogła oczekiwać pomocy od nikogo. Ale musi się uwolnić, bo w przeciwnym razie musiałyby spędzić życie

w piwnicy, zawieszona u sufitu i gwałcona na stole kuchennym. Zrozpaczona, łamała sobie głowę nad możliwościami ratunku.

Okazało się, że to jest łatwiejsze, niż myślała. Początkowo tak bała się doktora, że nie zastanawiała się nad ucieczką, ale teraz bardziej przerażała ją perspektywa, że może pozostać uwięziona. Choć ciągle była sparaliżowana strachem, zdała sobie sprawę, że są liczne okazje do ucieczki, jeśli będzie miała odwagę z nich skorzystać.

Koschwald nie krępował jej łańcuchami przez cały czas. Co prawda, wychodząc na uniwersytet zabierał jej ubranie, ale nie zawsze przywiązywał do kaloryfera. Jeśli miał być nieobecny przez dłuższy czas, musiał dać jej możliwość dojścia do toalety. Wtedy przywiązywał ją łańcuchem albo kajdankami do rury odpływowej w łazience. Pozwalało jej to usiąść na sedesie.

Rura odpływowa nie była jednak zrobiona z ocynkowanego żelaza, jak żeberka kaloryfera, ale z lekkiego metalu, i z obu stron zamknięta śrubami z nakrętką, które można było odkręcić, jeśli się miało dość siły.

Susanne wykorzystała całą siłę fizyczną. Na szczęście była jeszcze dość silna; choć doktor poddawał ją nieprawdopodobnym torturom, żywił ją dobrze i miała aż za dużo czasu na spanie, choć zwykle w niewygodnych warunkach.

Odkręciwszy rurę kanalizacyjną, przerzuciła łańcuch i okazało się, że jest wolna. Niepewnie wyszła z toalety. Z trudem wierzyła, że wyzwoliła się z więzów i że może teraz spróbować opuścić to straszne miejsce.

Z pulsem bijącym tak mocno, że obawiała się, iż za chwilę będzie miała atak serca, uciekała boso, poszukując jakiegoś ubrania. Nie chodziło o to, że była wstydliva, ale skoro włączone było centralne ogrzewanie, na dworze musiało być zimno. Dom znajdował się w odległości prawie pół mili od wioski, a ona musiała dostać się znacznie dalej, jeśli miała uciec od doktora na dobre. Nieraz jej powtarzał, że zabije ją przy próbie ucieczki i nie wątpiła w to ani przez chwilę.

Nie mogąc znaleźć własnego ubrania, była zmuszona włożyć długie spodnie doktora i jego sweter. W gorączkowym pośpiechu podwinęła nogawki spodni i zawinęła rękawy swetra.

Nie wiedziała, kiedy doktor wróci. Zanim to nastąpi, musi opuścić nie tylko ten dom, ale i Pillnach.

Wiedziała, że jest połączenie autobusowe z Regensburgiem, ale nie znała częstotliwości kursów. Znalazła sumę odpowiadającą trzem czy czterem dolarom. Wzięła pieniądze z wahaniem, wiedząc, że doktor może kazać ją zaarrestować za kradzież.

Była godzina jedenasta przed południem 5 lutego 1983 roku, gdy Susanne Wagner wymknęła się kuchennymi drzwiami z domu, gdzie ponad rok była w całym tego słowa znaczeniu niewolnicą. Pobiegła w kierunku Pillnach. Było mroźno. Na ziemi leżała sześciocalowa warstwa śniegu, a zamarzający deszcz ze śniegiem utworzył ostrą skorupę, która raniła stopy Susanne. Miała na nogach o wiele za duże ranne pantofle doktora, które ciągle jej spadały.

Nagle usłyszała odgłos silnika samochodu i przerażona rzuciła się na pobocze drogi, gdzie śnieg był głębszy, ale brzegi osłonięte nagimi krzewami.

Nie był to samochód doktora, więc Susanne wróciła na zaśnieżoną drogę, zostawiając za sobą krwawe ślady. Skacząc do rowu zgubiła oba pantofle. Choć pół mili do Pillnach wydawało jej się odległością na Księżyc, dokuśtykała do wioski, dysząc zarówno ze strachu, jak i z wyczerpania fizycznego. Odczuła wielką ulgę na widok autobusu do Regensburga.

Była tak uradowana wolnością, że nie zwracała uwagi na zdziwione spojrzenia kierowcy autobusu i dwóch innych pasażerów. Po przybyciu do Regensburga udała się do wydziału opieki społecznej, gdzie przedstawiła nieprawdopodobną historię, jakoby obrabowano ją ze wszystkiego, co posiadała. Wzięto ją do szpitala, gdzie pozostała przez dwa dni, a potem wysłano do rodziny w Hamburgu.

Susanne nie wspomniała ani słowem o tym, co jej się naprawdę przytrafiło, i nie wymieniła nazwiska doktora Koschwalda. Doktor przekonał ją, że jest w stanie zrealizować swoje groźby pozbawienia jej życia. Dopiero po przybyciu do Hamburga poczuła się bezpieczna.

Tymczasem dr Koschwald po powrocie do Pillnach wpadł w wściekłość. Według niego jego związek z Susanne był doskonały. Teraz, gdy odeszła, nie wiedział, co z sobą zrobić.

- Zawsze podobał mi się pomysł, by posiadać kilka kobiet jako całkowicie mi podporządkowane niewolnice - powiedział swemu psychologowi. - Czy radziłby pan przyjęcie religii mahometańskiej, bym mógł jednocześnie mieć cztery żony?

Dr Krecke powiedział mu, że nie jest pewien formalnego stanowiska władz w tej sprawie i nie sądzi, aby kobietom niemieckim odpowiadała poligamia. Są według niego zbyt agresywne i kłótniwe.

- Prawdopodobnie wystąpiłyby o rozwód i podział własności - powiedział. - A ponieważ ma pan wysokie dochody...

- Myślę, że ma pan rację - westchnął dr Koschwald. Zastanawiam się, czy są jakieś możliwości zatrudnienia się przy badaniu problematyki seksuologicznej na Środkowym Wschodzie?

Nie przekazał dr. Kreckemu nic ze swoich doświadczeń z Susanne, mówiąc tylko, że go opuściła.

Dr Krecke nie miał informacji o posadach dla badaczy problematyki seksuologicznej na Środkowym Wschodzie, a dr Koschwald wkrótce przestał się tym interesować. Stało się to po poznaniu odpowiedniej dziewczyny, nawet pod wieloma względami przewyższającej niewierną Susanne.

Młoda kobieta, Sabinę, miała 24 lata, była więc trochę starsza od Susanne, ale ładniejsza, uzdolniona i pulchna. Jak większość znawców kobiet, doktor lubił dziewczyny z odrobiną ciała. Nie lubił jednak oglądać ciała kobiet w normalnych kolorach. Znacznie bardziej odpowiadały mu kolory czarne, błękitne, czerwone i zielone. Wkrótce zaczął wywoływać te efekty na różowej skórze Sabinę.

W przeciwieństwie do Susanne, Sabinę nie mogła winić siebie za swój los, gdyż nie była jego kochanką. Przyszła do niego w sprawie badań, które prowadził, została zaproszona na herbatę, a gospodarz przywiązał ją naga w piwnicy i zaczął obmacywać intymne części jej ciała.

Sabinę, studentka miejscowego uniwersytetu, pochodziła z innej części kraju i w Regensburgu nie miała ani krewnych, ani przyjaciół. Koschwald dowiedział się jej adresu z legitymacji, poszedł tam, zabrał jej osobiste rzeczy i powiedział gospodyni, że dziewczyna pomaga mu w badaniach i przez jakiś czas będzie mieszkała u niego.

Gospodyni przyjęła to bez zastrzeżeń, ponieważ Koschwald był profesorem uniwersytetu.

W pewnym sensie mówił zresztą prawdę. Sabinę pomagała mu w badaniach nad zachowaniem seksualnym. To, że było to jego własne zachowanie seksualne i że ona nie z własnej woli pełniła tę rolę, to zupełnie inna sprawa.

Sabinę miała pomagać doktorowi prawie tak długo jak Susanne, ale, w przeciwieństwie do niej, miała mieć współtowarzyszkę w pełnieniu obowiązków. Następnym posunięciem Koschwalda, by zawładnąć kilkoma niewolnicami jednocześnie, było porwanie dziewiętnastoletniej Beatę Koch z wioski Pillnach. Stało się to tego samego dnia, gdy umieścił w piwnicy Sabinę.

Nie planował, by dziewczęta spotkały się od razu. W piwnicy był tylko jeden hak, a - jak wielu intelektualistów niemieckich - dr Koschwald nie tylko nie umiał wbić haka, ale nie brał pod uwagę możliwości zajęcia się tym.

Tak więc Beatę przywiązał łańcuchem do kaloryfera w nie używanej sypialni. Było to dla niej lepsze rozwiązanie niż piwnica, gdyż nie cierpiała zwisania z sufitu, podczas gdy palce nóg zaledwie dotykają ziemi. Ponieważ sypialnia nie była tak dźwiękoszczelna jak piwnica, Koschwald umieścił w ustach dziewczyny knebel, który ranił jej kąciki ust i sprawiał, że miała uczucie duszenia w dzień i w nocy.

Oczywiście nie nosiła żadnego ubrania. Dr Koschwald chciał, aby jego niewolnice były nagie, zawsze gotowe do gwałcenia ich.

Może trochę mniej torturował Beatę niż Sabinę, ale gwałcił ją częściej. Beatę była dziewczą i niewątpliwie nienawidziła wszystkich sprośnych wyczynów, które ją spotykały. To jeszcze bardziej podniecało doktora.

Wszystko układało się dla niego pomyślnie. Marzenie posiadania kilku niewolnic całkowicie mu podporządkowanych już się częściowo sprawdziło. A wbrew wątpliwościom dr. Kreczego okazało się, że dziewczyny niemieckie świetnie się nadają do poligamii, oczywiście wtedy, gdy twardo się z nimi postępuje. Cała sztuka polega na tym, by zrozumiały, gdzie jest ich miejsce.

A jednak nawet intelektualista z doktoratem z socjologii może zrobić błąd. Stało się tak, gdy Koschwald porwał Beatę.

Beatę bowiem, w przeciwieństwie do Susanne i Sabinę, mieszkała w pobliskiej wiosce. Jej rodzice byli rolnikami starej daty, którzy nie pozwalali córce na zbyt wiele swobody, nawet jeśli miała 19 lat i według prawa niemieckiego była dorosła.

Co więcej, Beatę, ładna, lecz rozsądna dziewczyna nigdy nie wykazywała skłonności do żadnych szaleństw i prawie nie spotykała się z chłopcami. Wszystkich jej znajomych znali rodzice.

Tak więc wieczorem 4 maja 1984 roku, gdy Beatę nie wróciła na kolację, rodzice telefonowali do wszystkich jej przyjaciółek. Wreszcie - przekonani, że nie ma jej w wiosce - zawiadomili policję w Regensburgu.

Natychmiast zjawił się w ich domu policjant z wydziału osób zaginionych, przeprowadził z nimi rozmowę, wziął najnowsze fotografie dziewczyny i wrócił do Regensburga.

Komunikat z portretem dziewczyny, w którym podano jej wiek i wygląd, umieszczono na poczcie i na przystankach autobusowych, a także rozesłano do wszystkich jednostek policji w regionie.

Oczywiście stało się to dopiero po tygodniu od zniknięcia Beatę. Wtedy funkcjonariusze z wydziału osób zaginionych przeprowadzili już wiele wywiadów w Pillnach, a ich wyniki były niepokojące.

Zniknięcie ładnej dziewiętnastoletniej dziewczyny oznaczało zazwyczaj romantyczny wyskok z jakimś chłopakiem, ale w przypadku Beatę Koch należało to całkowicie wykluczyć. Najlepsze jej przyjaciółki były przekonane, że wiedziałyby, gdyby była zakochana. Nie było wielu kandydatów, w których mogłaby się zakochać. Wioska była mała, a liczba nadających się wiekiem mężczyzn bardzo ograniczona.

Beatę nie znała mężczyzn spoza wioski. Nieczęsto jeździła do Regensburga i poza dwojgiem kuzynów, którzy tam mieszkali, nie znała w mieście nikogo.

Wykluczono też wypadek. Beatę wyszła na piechotę, a wokół Pillnach rozciągał się stosunkowo płaski teren. Z jednej strony

wioski płynął Dunaj, ale brzegi były bezpieczne, a Beatę doskonale pływała.

- Wszystko wskazuje na to - powiedział sierżant kierujący wydziałem osób zaginionych, przekazując akta sprawy Beatę inspektorowi Walterowi Schreiberowi - że dziewczynę wzięto do samochodu i wywieziono. Na podstawie wypowiedzi rodziny i prawie wszystkich mieszkańców wioski należy wysnuć wniosek, że nie zniknęła z własnej woli.

Inspektor starannie umieścił plik papierów na biurku przed sobą, ale nie zajrzał do nich. Był mężczyzną po pięćdziesiątce, siwowłosym, gładko ogolonym. Miał spokojny wyraz twarzy i pewność siebie, jaką często obserwuje się u funkcjonariuszy państwowych zbliżających się do emerytury.

- Handlarze żywym towarem? - rzucił pytanie, patrząc w oczy sierżantowi.

- Wątpię - odpowiedział sierżant. - To pewne, że wioski są najpomyślniejszymi terenami łowieckimi, ale była odrobinę za stara i koloryt nie ten. Prawie wszystkie są wysyłane do Afryki Północnej i Środkowego Wschodu, a tam chcą blondynek.

- I możliwie jak najmłodszych, dranie - powiedział detektyw sierżant Julius Karstens, prawa ręka inspektora, z mocną szczęką i zaciętym wyrazem twarzy. - Dwunastoletnia jest dla nich starą kobietą.

- Czy jest pan pewien, że po prostu nie przytuliła się gdzieś z jakimś ukochanym?

- Na sto procent nie - odparł sierżant. - Dyskutowaliśmy to przez siedem miesięcy i teraz już nic nie możemy wymyślić.

- W porządku - powiedział inspektor. - Mamy to.

Przekazał papiery sierżantowi Karstensowi. - Po przeczytaniu zwróć mi je. Zajmij się tą sprawą, jak tylko się z nią zapoznasz.

Tego samego popołudnia nowa ekipa detektywów przybyła do Pillnach. Byli z wydziału kryminalnego i ich podejście do sprawy różniło się zasadniczo od stosunku funkcjonariuszy wydziału osób zaginionych. Nie było żadnej pewności, że Beatę Koch nie żyje, ale też nikt nie mógł być pewien, że żyje.

Tymczasem Beatę czuła się lepiej niż poprzednio. Nie dlatego, że dr Koschwald zaprzestał tortur i gwałtów na niej, ale dlatego, że to doświadczenie jej spowszedniało.

W czasie długich miesięcy, które minęły, nauczyła się kilku rzeczy. Wiedziała oczywiście, kim był dr Koschwald, i domyśliła się, że trzymają w swoim domu, choć nigdy przedtem w nim nie była.

Wiedziała także, że w domu jest więziona druga dziewczyna, i nawet miała okazję zamienić z Sabiną parę słów, gdy Koschwald prowadził ją któregoś dnia do toalety.

To spotkanie niewiele wyjaśniło. Obie dziewczyny były przekonane, że Koschwald jest wariatem. Pewną ulgę sprawiała Beatę poczucie, że nie jest sama, i stopniowo zdrowy rozsądek wiejskiej dziewczyny zaczął działać. Zdała sobie sprawę, podobnie jak Susanne, że ratunkiem była ucieczka.

Beatę nie wiedziała, jak uwolniła się Susanne, nawet nie zdawała sobie sprawy z jej istnienia. Zresztą tamten sposób i tak by jej się nie przydał. Dr Koschwald wyciągnął właściwe wnioski. Teraz już nie odchodził, zostawiając swoje niewolnice przywiązane do rury kanalizacyjnej w toalecie.

Zamiast tego przywiązywał Beatę zamkniętym na kłódkę grubym łańcuchem do kaloryfera w sypialni. Rozerwanie go było niemożliwe. Beatę skoncentrowała zatem uwagę na rurze wchodzącej w ścianę. To był nowy dom i dziewczyna pomyślała, że rura może być miedziana.

Nie myliła się. Łańcuch, po wykruszeniu tynku, z łatwością przeciął w połowie miękką rurę miedzianą. Polała się ciepła woda z centralnego ogrzewania. Beatę pobiegła do piwnicy, gdzie próbowała uwolnić Sabinę. Nie udawało się.

Sabinę zachęcała ją do ucieczki.

- Zostaw mnie. On może nadejść lada moment! - krzyczała przerażona. - Wezwij pomoc! Sprowadź policję!

Beatę nie traciła czasu na szukanie jakiegoś ubrania, zerwała zasłonę i okryta nią jak togą pobiegła, jak mogła najszybciej, drogą do Pillnach.

W pół godziny później oddział policji z Regensburga wyważył drzwi domu doktora i uratował Sabinę Pauli.

Trzeba było także ratować doktora. Mieszkańcy wioski dowiedzieli się bowiem o jego wyczynach od Beatę i chcieli go spalić żywcem.

W dwa dni później, 12 marca 1985 roku, dr Ulrich Koschwald przyznał się w śledztwie do torturowania i gwałcenia

trzech dziewczyn. Wyparł się tego przed rozprawą, która odbyła się 22 maja 1986 roku, ale sąd nie wziął już pod uwagę tego zaprzeczenia. Został skazany na pięć i pół roku więzienia a następnie na kurację psychiatryczną, która miała z niego uczynić normalnego, pożytecznego obywatela.

Ten wyrok wywołał gwałtowne niezadowolenie i sprzeciw obecnych. Sędzia musiał nakazać opróżnienie sali.

Andrew Lowen

„CZŁOWIEK O ZŁOWIESZCZYCH OCZACH”

W okolicach nagich gór Great Orme w północnej Walii zamieć przykryła górzysty krajobraz miękkim białym płaszczem. To aksamitne piękno dziewicze było jedną ze złowieszczych pułapek natury. Wycie wiatru tego dnia (3 lutego 1984 roku) zagłuszało większość codziennych odgłosów: szczekanie zdenerwowanych psów i skrzekliwe dźwięki mew szukających schronienia w ucieczce z oszalałego Kanału Bristolskiego.

Nic dziwnego zatem, że stukanie do okna chaty górskiej wzięto początkowo za odgłos poruszanych wiatrem okiennic.

- Ktoś stuka - powiedziała pani Maggie Parsons, żona gospodarza, gdy stukanie stało się bardziej gwałtowne i niecierpliwe.

W głosie jej nie było strachu. Tutejszych ludzi niełatwo przerazić. Każdy dzień jest walką o przeżycie.

- Wydaje ci się - sprzeciwił się jej mąż Harry. - Nie ma głupich, by wychodzić w taki wieczór.

W otwartym palenisku strzelały kłody drewna, rozsiewając obezwładniające ciepło. Maggie bujała się w fotelu na biegunach.

- Posłuchaj tylko! Mówię ci, że ktoś stuka do okna.

- A ja ci mówię, że to wiatr - upierał się Harry, sięgając po dzban z domowym pienistym piwem.

Na próżno by szukać w chacie głosów i obrazów telewizyjnych. Żaden z tutejszych mieszkańców nie wierzył w nowe wynalazki.

- Wytwór szatana - często powtarzał Harry sąsiadom, gdy okazało się, że już nie mogą się bronić przed nowoczesnym światem.

Mieli jakieś radio, ale milczało od trzech lat, jeśli nie dłużej. Telefon używany był tylko przy nadzwyczajnych okazjach, na przykład podczas powodzi, nie częściej niż pięć, sześć razy w roku.

Trzecie stukanie do okna nie budziło już wątpliwości.

- Zobaczę - powiedziała Maggie, już w drodze do drzwi.

- Za późno na przyście normalnych ludzi - zawołał za żoną Harry, jakby ostrzegając ją. Było trochę po dziewiątej - czas, gdy Parsonsowie zwykle szykowali się spać.

Przez zamarznięte, oblepione śniegiem szyby Maggie zobaczyła mężczyznę w średnim wieku. Miał twarz koloru popiołu i wyglądał jak duch.

Zabrało jej trochę czasu zanim otworzyła frontowe drzwi. Trzeba było odsunąć rygle, uwolnić łańcuchy, pootwierać zatrzaski i przekręcić klucze.

W chwili gdy powiew wiatru pchnął drzwi, Brian Harris prawie upadł na podłogę chaty. Wyglądał jak skrzyżowanie bałwana ze śniegu, który jakimś cudem przejawia niektóre cechy życia, z człowiekiem znajdującym się tylko o krok od śmierci.

- Potrzebuję pomocy! - wyjąkał. - Chodzi o moją żonę. Mają ją! Są gwałtowni, szaleni! Nie wiem, co mogą jej zrobić!

W tym czasie Harry Parsons opuścił krzesło przy kominku i stanął obok żony. Nie wypuszczał z ust fajki, natomiast dzban z piwem zamienił na naładowaną dubeltówkę o dwóch lufach, gotową do strzału.

- Czy macie telefon? - spytał Harris, bardzo przejęty.

- Muszę zawiadomić policję.

- Proszę bardzo - lakonicznie odpowiedział Harry, pokazując drogę do stojącego pod drewnianymi schodami staroświe-

ckiego telefonu. - Linia może być przerwana w taką noc - ostrzegł. - Nie było potrzeby używać go przez dłuższy czas; ostatni raz chyba przed Bożym Narodzeniem, jeśli dobrze pamiętam.

Policjanci potrzebowali dwóch godzin, by dotrzeć do drewnianej chaty. Była tylko jedna droga w górę, zablokowana w kilku miejscach na zakrętach. Sierżant Bill Norris, członek oddziału stacjonującego w pobliskim kurorcie Llandudno, prowadził samochód jak w koszmarnym śnie.

Było z nim trzech młodych policjantów. Po przybyciu do chaty znaleźli Harrisa siedzącego przy ogniu; owinięty kocem popijał whisky.

Opowieść, którą Harris przekazał Norrisowi, była bardziej sensacyjna niż wszelkie historie, jakie sierżant do tej pory słyszał.

Harris, optyk pracujący dla zamożnej klienteli, prowadził samochód, w którym była również jego żona Edna. Wyjechali z rodzinnego Blackpool, angielskiego uzdrowiska na północno-zachodnim wybrzeżu w hrabstwie Lancashire. Na górskiej drodze zatrzymał ich automobilista, który - jak im się zdawało - miał awarię wozu.

- Jechaliśmy do gospody Great Orme Mountain na weekend - wyjaśniał przerażony Harris. - Droga rzeczywiście była niebezpieczna. Parę razy byliśmy bliscy zabłądzenia, a zatem zatrzymałem się.

- Musisz mu pomóc, Brian - powiedziała żona. - Może jesteśmy ostatnimi ludźmi, których spotyka w taki wieczór. - Postąpiliśmy, jak przystało na samarytan. Zatrzymałem wóz i wysiadłem... wtedy zobaczyłem obrzynek dubeltówki. Przycisnął go do mego brzucha, mówiąc: - Spróbuj się odezwać, a twoje flaki rozlecą się po całej okolicy. - Spytałem go, czego chce. Powiedziałem mu, że może zabrać wszystkie pieniądze, jakie miałem, i karty kredytowe, byle tylko nie zrobił krzywdy mnie ani mojej żonie. On jednak tylko się śmiał. Nadal szturchał mnie strzelbą w brzuch, mówiąc: - Zamknij się! Wypchaj się swymi pieniędzmi! Wiemy dokładnie, czego chcemy, i dostaniemy to.

Wtedy zobaczyłem drugiego mężczyznę. Musiał schować się z drugiej strony wozu, gdyż nie było go widać, gdy zahamowa-

lem. Zobaczyłem, że drugi mężczyzna mierzy z broni do mojej żony przez przednie okno mojego wozu od strony pasażera.

Harris ucichł na chwilę, by popić trochę whisky. Pani Parsons była zajęta w kuchni przygotowywaniem dla wszystkich kawy i kanapek.

Sierżant Norris postanowił wstrzymać się z pytaniami, aż Harris skończy opowiadać i wyczerpie siły.

- Kazali mi usiąść na fotelu obok kierowcy w ich samochodzie - mówił dalej Harris. Whisky dawała znać o sobie. Mniej się trząsał i na policzki wróciły kolory.

- Sprzeciwiłem się, ale to nic nie dało. Powiedział, że jeśli nie zrobię tego, czego żąda, zastrzeli mnie i Ednę. Moja żona zaczęła reagować histerycznie, ale nie mogłem do niej podejść, by ją uspokoić. Drugi napastnik zajął miejsce w moim wozie obok Edny, ale nie wiem, co robił, wiem tylko, że żona wrzeszczała z całych sił. Zawiózł mnie do zakrętu, co zajęło około piętnastu minut, i tam wypchnął z wozu. Na szczęście upadłem na kupę nawianego śniegu, zupełnie jakbym lądował na łóżku. Nic nie poczułem. Nie wiedziałem którędy wracać do Edny i do mego wozu. Nie miałem pojęcia, gdzie jestem. Śnieg ciągle padał. Straciłem poczucie kierunku. Właśnie zacząłem przekopywać się przez śnieg, gdy nieoczekiwanie natknąłem się na tę chatę. Jestem pewien, że zamierzali zgwałcić moją żonę. Mogli ją nawet uprowadzić. Jeśli wiedzą, kim jestem, to zdają sobie sprawę, że nie można mnie uważać za biednego. Myślę, że mogło im chodzić o okup. Podporządkuję się jednak dyktowom policji. Przrzekam, że nie zrobię nic bez zgody policji.

Sierżant Norris porozumiał się telefonicznie z dyżurnym policjantem w komendzie policji w Llandudno. Powiedziano mu, żeby czekał, aż inspektor dyżurny skontaktuje się z głównym inspektorem, Davidem Madoc.

Wkrótce zadzwonił telefon. Główny inspektor prosił sierżanta Norrisa o dokładne objaśnienie, jak się dostać do łańcucha górskiego Great Orme. Poinformował, że o świcie rozpocznie się poszukiwanie na wielką skalę.

Norris spytał głównego inspektora, czy nie powinien wziąć formalnego oświadczenia Briana Harrisa, ale nie zostało to uznane za dobry pomysł.

- Sam będę go chciał najpierw przepytac - stanowczo stwierdził Madoc. - Proszę czekać do mojego przyjazdu, na razie nie ma nic do zrobienia. »

Była prawie trzecia nad ranem, gdy w chacie znalazł się Madoc wraz z detektywem sierżantem Larrym Hurdem. Śnieg przestał padać, ale iskrzące się lodem śliskie drogi były prawdopodobnie bardziej niebezpieczne niż przedtem.

Starszy oficer policji z wdzięcznością przyjął z rąk gospodyni kubek obficie osłodzonej czarnej kawy.

Zanim zajął się z całą powagą Harrisem, odbył naradę z sierżantem. Przez parę minut szeptali w kącie pokoju, ale nikt nie mógł zrozumieć ich słów.

Wreszcie Madoc przemierzył pokój i stając na wprost Harrisa spytał:

- Zdawało mi się, że pan wspomniał sierżantowi Norrisowi, iż prowadził volkswagena?

- Zgadza się - odpowiedział optyk spoglądając niespokojnie; przyciskał palcami pustą szklaneczkę po whisky.

- Czy może mi pan podać numer rejestracyjny?

- Oczywiście - powiedział Harris, dodając: - Znaleźliście samochód? Czy zostawiliście go tam? Czy jeszcze jest przy drodze?

Madoc nie odpowiedział na te wszystkie pytania, czekał na podyktowanie numeru wozu.

Zaraz potem powiedział surowym głosem:

- Obawiam się, panie Harris, że od razu musimy wyruszyć w drogę.

- Znaleźliście więc wóz? - naciskał optyk, trzęsąc się gwałtownie.

- Tak, znaleźliśmy - przyznał Madoc. - Natrafiliśmy na niego jadąc tutaj. Kawałek od drogi.

- A co z Edną? - spytał Harris. - Czy nie zrobili jej nic złego? Czy ma się dobrze?

Inspektor Madoc próbował znaleźć łagodne słowa.

- Obawiam się, że musi się pan przygotować na najgorsze. Znaleźliśmy kobietę w samochodzie. Nie żyje. Chcę, aby pan nam powiedział, czy to jest pańska żona.

Potrzeba było około piętnastu minut, by Harris był w stanie opuścić dom Parsonsów. W pół godziny później potwierdził, że

w samochodzie znajdują się zwłoki jego żony. Edna miała 47 lat.

Nic więcej nie dało się zrobić tej nocy. Madoc wydał rozporządzenie, aby niczego nie dotykano przed przybyciem lekarza policyjnego i sądowego.

Briana Harrisa zawieziono do komendy policji w Llandudno. Tam udzielił mu pomocy lekarz, gdyż ciągle był w szoku.

Tymczasem Madoc chciał, aby Harris opisał mu człowieka, który ich zatrzymał, i drugiego mężczyznę, który wsiadł do volksvageny z panią Harris.

- Czy pamięta pan, jaki mieli samochód?

- Oczywiście - odpowiedział z naciskiem Harris. - Byłem w nim wystarczająco długo. Mój Boże! wystarczająco - była to biała limuzyna marki rover.

- Czy pamięta pan numer rejestracyjny? - pytał Madoc.

Harris gwałtownie potrząsnął głową i prawie wypluł słowa. - Do diabła, nie! - Niech to szlag, ale nie miałem szansy zobaczyć numeru. Nie patrzyłem na samochód, gdy nas zatrzymali. Przyglądałem się facetowi na środku drogi. A kiedy wepchnęli mnie do rovera, numeru rejestracyjnego nie było widać.

- W porządku, jaki był kolor wnętrza?

- Zdaje się, że czarny - odparł zdenerwowany optyk. - Trudno powiedzieć w ciemności. Mógł być ciemnozielony, ale myślę, że raczej czarny.

- Skóra?

- Tak, skóra.

- Czy zauważył pan coś szczególnego w samochodzie?

- Na przykład?

- Nie wiem, panie Harris... może jakiś zapach, albo jakieś książki czy narzędzia, które mogą nas naprowadzić na profesję podejrzanych... może jakiś przedmiot?

Harris ponownie potrząsnął głową, tym razem z większym namysłem i mniej energicznie.

- Nic nie zauważyłem. Przykro mi, ale nie zwracałem uwagi na takie rzeczy.

Madoc to rozumiał. Teraz skoncentrował się na opisie dwóch mężczyzn. Zadając pytanie, przyglądał się optykowi.

- Obaj byli wysocy - wyjaśnił Harris ciągle drżącym głosem.

»

- Kogo pan uważa za wysokiego? - naciskał Madoc, chcąc mieć dokładniejszy opis.

- Obaj mierzyli ponad sześć stóp. Powiedziałbym, że byli solidnej budowy, muskularni, ale tak naprawdę to mogę mówić tylko o tym, który mnie zabrał do samochodu. Nie widziałem z bliska drugiego.

- Mężczyzna, który zabrał pana... w jakim był wieku?

- Miał może trzydzieści pięć lat. Nie więcej.

- Miał akcent?

- Tak, walijski.

- Myśli pan zatem, że był miejscowy? - pytał jeszcze Madoc.

- Jestem przekonany, że był Walijszczykiem - odparł pewnie Harris.

- Jakieś znaki szczególne?

- Nie zauważyłem.

- Jak byli ubrani?

- Płaszcz i ciężkie buty.

- Buty?

- Tak, rodzaj noszonych w wojsku. Płaszcz mieli zapięte. Nie widziałem, co mieli pod płaszcami. Jeśli dobrze pamiętam, to jeden z tych facetów miał wełniane rękawiczki.

Madoc zrobił sobie kilkuminutową przerwę; w tym czasie Harrisa przepytывał sierżant Hurd. Inspektor spytał:

- Na pewno może pan opisać twarz mężczyzny, który wepchnął pana do rovera.

Harris podał dokładny opis mężczyzny o pociągłej twarzy, z zakręconymi w dół wąsami, w sukiennej czapce nasuniętej na czoło aż do poziomu oczu i dwu kosmyków włosów wymykających się spod czapki z dwu stron głowy; przypominały mu słuchawki na uszy.

- Później poproszę jednego z naszych rysowników, by sporządził portret na podstawie pana opisu - rzekł Madoc. Harris przytaknął skinieniem głowy.

Tego dnia śniadanie Madoca i Hurda składało się z kubeczka kawy na wynos i grzanki z masłem. Spożywali je w drodze na miejsce zbrodni. Posłużyli się także w czasie jazdy jedną

elektryczną maszynką do golenia na baterie. Madoc łyknął kilka tabletek aspiryny, dokuczał mu ból głowy.

Dr Marvin Grossman jechał za nimi własnym samochodem. Ekipa z działu medycyny sądowej była już na miejscu, od trzydziestu minut prowadząc badanie.

Tymczasem wszystkie posterunki policji w Walii i południowej Anglii zostały zawiadomione o poszukiwanej czarnej limuzynie marki rover z dwoma mężczyznami, z których jeden odpowiadał opisowi przedstawionemu przez Harrisa i portretowi zrobionemu na tej podstawie.

Oczywiście zwłok nie poruszono. Były na podłodze z tyłu wozu, jedno ramię oparte o fotel. Czerwone majtki denatki były spuszczone do kolan, a wełniana spódnica podciągnięta do pasa. W czarnych pończochach widać było liczne rozdzarcia, a jedna podwiązka pękła. Kobieta miała na sobie także różowy pas do podwiązek z ozdobami i biustonosz z płytkimi miseczkami odpowiadającymi kolorem jedwabnym majtkom.

Wydawało się, że w bagażniku nic nie poruszono. Była tam jeszcze walizka z zapakowanymi na weekend ubraniami.

W tych warunkach nie było łatwo przeprowadzić pierwsze badania medyczne, ale dr Grossman robił, co mógł i zanim upłynęło 45 minut, był gotowy.

- Wszystkie objawy wskazują, że śmierć nastąpiła z powodu uderzeń w głowę - wyjaśnił Madocowi. - Czaszka jest złamana w wielu miejscach. „Wgnieciona”, jak to się mówi. Użyto ciężkiego narzędzia, młotka, piłki czy metalowej rury lub czegoś w tym rodzaju.

- Czy została zgwałcona? - spytał Madoc.

- Na pewno - stwierdził doktor. - Majtki miała ściągnięte, ale nie było sińców w okolicy krocza i na udach. Trzeba jednak poczekać na wyniki sekcji, aby mieć pewność.

Madoc spytał wtedy o czas, kiedy nastąpiła śmierć, ale doktor nie mógł odpowiedzieć na to pytanie z powodu warunków atmosferycznych. Prawdę mówiąc, mógł jedynie potwierdzić śmierć i wskazać rany, które do niej doprowadziły.

Fotografowie policyjni sfotografowali zwłoki ze wszystkich stron. Teraz można było przekazać zmarłą funkcjonariuszom biura koronera.

Patolog policyjny Max Browning natychmiast rozpoczął badanie sekcyjne w szpitalu powszechnym w Llandudno.

W dwie godziny później Madoc słuchał wyników badań.

Po pierwsze - nie było wątpliwości, że denatka zmarła na skutek ciosów w głowę. Nie było innych ran. Nie było też dowodu gwałtu: w pochwie nie znaleziono nasienia i nie było oznak wymuszonego działania seksualnego.

Po drugie - Edna Harris zjadła obfity posiłek jakieś pół godziny przed śmiercią. Proces trawienia dopiero się rozpoczął i większość mięsa i jarzyn była jeszcze w żołądku.

Po trzecie - na podstawie zasinienia i krzepnięcia krwi patolog był przekonany, że zwłoki były poruszane po śmierci.

Wczesnym wieczorem ponownie przesłuchano Briana Harrisa. Madoc chciał się dowiedzieć, jak długo trwała jazda od opuszczenia domu do zatrzymania na drodze.

- Parę godzin - odpowiedział Harris.

- Czy zatrzymywaliście się na kolację, zanim was zatrzymano w górach? - badał go Madoc.

- Nie - odparł Harris. - Nie zatrzymywaliśmy się, bo chcieliśmy dotrzeć do hotelu, zanim zepsuje się pogoda.

Ta odpowiedź nie zgadzała się z oświadczeniem patologa. Co więcej, pomimo zimna, które utrudniało określenie czasu śmierci, lekarz uważał, że Edna Harris zmarła wcześniej, niż to określało zeznanie jej męża.

Madoca niepokoiło coś więcej, i to już od czasu, gdy zobaczył zwłoki po raz pierwszy.

Dlaczego kobieta nie włożyła płaszcza wiedząc, że wyjeżdża w czasie burzowej pogody w jednym z najzimniejszych dni roku i spędzi cały weekend w górach? W samochodzie też nie było żadnego wierzchniego okrycia. Coś tu się nie zgadzało.

Był najwyższy czas, by dowiedzieć się czegoś o Ednie i Brianie Harrisach od policji w Blackpool, w miejscu ich zamieszkania.

Niebawem odkryto, że w 1983 roku Brian Harris był skazany z oskarżenia o posiadanie narkotyków i przestępstwa seksualne. Wyrok skazujący go na 18 miesięcy więzienia dostał wówczas w zawieszeniu.

Sprawą zajmowała się szeroko prasa. Nazwano go „człowiekiem o złowieszczych oczach”.

Wtedy Edna, wówczas rozwódka, zatelefonowała do optyka o nadto rozwiniętych potrzebach seksualnych, choć nie znała go osobiście. Zapewne okazała mu współczucie i zrozumienie mówiąc, iż wierzy, że jest niewinny i że jest oburzona na dręczącą go prasę. Umówili się na pierwsze spotkanie, a po sześciu tygodniach znajomości postanowili się pobrać.

Na podstawie kartotek policji i instytucji medycznych Madoc zapoznał się z problemami seksualnymi Harrisa, które zaczęły się w 1962 roku, gdy optyk odniósł rany czaszki w wypadku samochodowym.

Po ślubie Edna z kilkunastoletnią córką przeniosła się do wspaniałej rezydencji Harrisa na Cottessmore Place w Blackpool. Było to jego trzecie małżeństwo.

W następnych kilku dniach śledztwa w sprawie zabójstwa Edny Harris policjanci skoncentrowali uwagę na wdowcu.

- Dlaczego żona nie wzięła płaszcza w najzimniejszy wieczór tego roku? - spytał podejrzanego Madoc.

- Musiała zapomnieć - odpowiedź padła natychmiast. - Pakowaliśmy się pośpiesznie. W samochodzie nie czuła zimna, bo było włączone ogrzewanie.

- Powiedział pan, że nie zatrzymywaliście się, by coś zjeść, ale my wiemy, że żona zjadła obfity posiłek parę minut przed śmiercią.

- Patolog musiał się pomylić. To wszystko, co mogę powiedzieć - odparł Harris.

- Dlaczego bielizna pańskiej żony była ściągnięta, a jednak denatka nie została zaatakowana seksualnie?

- O to musi pan zapytać zabójcę, nie mnie.

Dyrektor hotelu, gdzie małżeństwo miało się zatrzymać, stwierdził, że rezerwacji dokonano dopiero tego feralnego wieczora.

Wówczas inspektor Madoc powiedział Harrisowi, że zamierza przeszukać jego dom i już otrzymał nakaz rewizji.

- Chcę, aby pan był obecny - poinformował Harrisa.

W zbiorniku na odpadki policjanci znaleźli resztki posiłku, który para zjadła przed udaniem się na weekend. Natychmiast wysłano je do zbadania w laboratorium medycyny sądowej.

W garażu eksperci policyjni znaleźli na ścianach jasne plamy, które mogły być śladami krwi. Podobne plamy odkryto na młotku i na rurze ołowianej w pudle na narzędzia.

Żmudne badania analityczne potwierdziły* że resztki posiłku ze zbiornika na odpadki odpowiadały żywności znalezionej w żołądku zmarłej kobiety. Tak więc ostatni posiłek zjadła Edna w domu tuż przed śmiercią. Plamy w garażu i na młotku okazały się plamami krwi ludzkiej. Dalsze szczegółowe badania potwierdziły bezsprzecznie, że była to krew z ran na głowie Edny.

Wobec tych niepodważalnych faktów i istotnych dowodów rzeczowych, Brian Harris przyznał się do zamordowania żony.

W podpisanym przez siebie oświadczeniu opowiedział o burzliwych doświadczeniach ich małżeństwa od pierwszego dnia. Kłócili się o pieniądze i dobra materialne. Do tego dochodziła zazdrość. Pani Harris szczególnie sprzeciwiała się, by mąż widywał swoje dwie nieletnie córki z drugiego małżeństwa.

W dniu zabójstwa Harris zamierzał odwiedzić córki, ale nie zastał nikogo w domu. Gdy wrócił do siebie, żona wszczęła straszną awanturę, a on próbował popełnić samobójstwo w garażu, wdychając spaliny ze swego samochodu. Próba nie udała się.

Gdy jeszcze raz próbował bezskutecznie odwiedzić dzieci, jak stwierdził, wziął żonę na przejażdżkę, w czasie której znowu strasznie się kłócili. Wtedy postanowił ją zabić, a potem sam popełnić samobójstwo. Nie mógł jednak „znaleźć odpowiedniego miejsca”.

Po powrocie do domu i zjedzeniu szybkiego posiłku jego żona stała w garażu „z afektowanym uśmiechem na twarzy”. Wtedy zaatakował ją i zabił.

Dopiero po jej śmierci załatwił rezerwację w hotelu i wyruszył w drogę ze zwłokami żony na tylnym siedzeniu samochodu. Opowieść o dwóch bandytach została wymyślona od początku do końca.

Gdy oskarżony stanął przed sądem Sanderson - Tempie w Królewskim Sądzie w Preston w lipcu 1985 roku, usłyszał: „To nie było morderstwo, to było zabójstwo, gdyż wówczas i obecnie nie odpowiada pan w pełni za swoje czyny”.

Pomimo to czterdziestodziewięcioletni Brian Harris został skazany na dożywocie i prawdopodobnie nigdy nie będzie zwolniony wobec świadectw lekarskich stwierdzających, że zawsze będzie zagrażał kobietom.

Nota wydawcy

Maggie i Harry Parsons nie są prawdziwymi imionami tak nazwanych tutaj osób. Nie ma potrzeby bowiem, aby czytelnicy identyfikowali tych ludzi.

Ann Fish

PRZERAŻAJĄCE MORDERSTWO EROTOMANA

Kiedy trzydziestoosmioletni dentysta Jimmy Dale Hudson zaczynał hamować na wjeździe do swego domu w zamkowej dzielnicy Oak Ridge w Północnej Karolinie, nic nie zwróciło szczególnie jego uwagi. Nie zastanowiło go, że nie było tam samochodu jego żony. Kay często zabierała ich trzyletnią adoptowaną córkę Wilmę na przejażdżkę albo na zakupy.

Hudson zmarszczył czoło na myśl o małej dziewczynce, którą przysposobili w kwietniu 1983 roku. W opinii pracowników społecznych Towarzystwa Domów Dziecka w Północnej Karolinie Hudsonowie byli idealnymi kandydatami na adopcyjnych rodziców. Oboje byli wykształceni. Hudson miał udział w dobrze prosperującej klinice stomatologicznej; Kay zaś, córka pastora Kościoła baptystów, pracowała jako jego asystentka, pomagając mu w karierze.

Aby małżeństwo przebrnęło szczęśliwie przez proces adopcji, przyjaciółka pracująca w Miejskim Wydziale Służb Społecznych w Guilford pouczyła ich, jak najlepiej odpowiedzieć na

pytania wywiadów mających na celu stwierdzenie, czy spełniają warunki do adopcji dziecka.

Przez pewien czas po przywiezieniu dziewczynki ze szpitala Hudson był szczęśliwy z powodu nowego członka rodziny, ale później Wilma zaczęła chorować. Miała kłopoty z oddychaniem i z uszami - często bolała ją gardło i cierpiała na mdłości.

Kay poświęcała więcej czasu córce, a mniej mężowi, który w czasie dwunastoletniego małżeństwa był przyzwyczajony do niepodzielnej uwagi żony.

Często żalił się Kay, że ich stosunki się psuły. Zanim dziecko osiągnęło wiek trzech lat, Hudson przedstawił żonie ultimatum.

- Kay - powiedział - musisz znaleźć sposób na pozbycie się Wilmy.

Będąc zawsze zamiłowanym podróżnikiem, teraz zaczął coraz częściej opuszczać dom. Te przedłużające się wyjazdy źle wpływały na jego praktykę stomatologiczną. Wspólnicy wkrótce zmusili go do wycofania się z pracy w Greensboro, w Północnej Karolinie.

Kay przekonała męża do podjęcia zajęć w niepełnym wymiarze godzin. Hudson przedkładał jednak nad to podróże: pociągami po Ameryce, wypadami na Karaiby, a szczególnie do miejsc okupowanych przez nudystów.

Będąc absolwentem Szkoły Dentystycznej Uniwersytetu Północnej Karoliny w Chapel Hill, Hudson spędzał wiele popołudni na Stadionie Kenan. Razem z innymi członkami sławnego Rams Club kibicował drużynie Carolina Rams.

Hudson wyrwał się z zamyślenia i wszedł do domu. Panowała tam złowieszczą cisza. Działo się coś złego! Później powiedział policji, że z domu wyniesiono meble i inne rzeczy.

Oświadczył, że znalazł adresowany do siebie list. Otworzył go. Kay opuściła z dzieckiem dom, a w liście nie było informacji, gdzie się udała.

Wielokrotnie odczytywał długie wyjaśnienia - jak powiedział policjantom - z każdą chwilą coraz bardziej wpadając w szal. Kay napisała: *Nie jest to odrzucenie ciebie, ale zdałam sobie sprawę, że spowodowałam, iż zrezygnowałeś z dwóch praktyk*

stomatologicznych, czujesz się nieszczęśliwy i nie chcesz wracać do domu.

Moje rozpaczliwe starania utrzymania domu, zapracowania na wszystko, a także próby uatrakcyjnienia naszego życia erotycznego, spotykały się z nieprzychylnym odzewem. Próbowałam być tolerancyjna wobec twoich romansów.

Kochałam cię przez siedemnaście lat, ale nie mogę dłużej patrzeć na to, jak cierpisz.

Obecnie wyzwoliłeś się z pracy dentystycznej i powinieneś wyzwolić się ode mnie i Wilmy.

Po podpisaniu ugody separacji będziesz miał swobodę spotykać się z kim tylko zechcesz. Chcę, abyś był szczęśliwy. Nigdy nie pragnęłam dla ciebie nic innego.

Jednakże każda decyzja, którą umożliwiłam ci podjąć... tylko popychała cię głębiej w toń i nieszczęście...

W ciągu dwóch ostatnich tygodni odpychałeś mnie uczuciowo, najpierw zachęcając, a potem brutalnie kopiąc. Nie chcę dłużej przyczyniać się, byś czuł się nieszczęśliwy.

Jeśli zamierzałbyś jakiś gwałtowny czyn przeciw sobie czy innym, pamiętaj, że życie jest drogocennym darem i nie należy do ciebie, byś mógł decydować o zakończeniu go.

Ból, jaki przeżywałeś ostatniej niedzieli, był niczym gangrena spowodowana naszym związkiem i jedynym środkiem uzdrawiającym jest amputacja.

Zawsze pamiętaj, że bardzo mi zależy na tym, abyś był szczęśliwy. Dlatego odeszłam.

Hudson powiedział, że przeprowadził pośpieszne rozmowy telefoniczne ze wspólnymi znajomymi, pytając o miejsce pobytu Kay, ale albo rzeczywiście nie wiedzieli, albo nie chcieli wyjawiać jej sekretu. Od nikogo nie mógł się dowiedzieć, gdzie przebywała.

Kay kończyła studia na Uniwersytecie Północnej Karoliny w Greensboro, przyjęła więc pracę w szpitalu Moses Cone Memoriał. Nie było jej jednak tam, gdy zjawił się Hudson, a telefonistka z centrali powiedziała, że nie może mu dać jej nowego numeru telefonu.

Następnie zatelefonował do komendy policji. Powiedział pełniącemu służbę policjantowi, że Kay, będąc niezrównowa-

żona psychicznie, opuściła go. Wyznał, że obawia się, by jej się nie stało nic złego, i spytał, czy policja może mu pomóc. Gdy dyżurny powiedział, że nic nie może dla niego zrobić, zrozpaczony odwiesił słuchawkę. Wyznał to później policji.

Wkrótce potem ponownie zatelefonował na policję mówiąc, że ma atak serca. Żądanie, by policja przywiozła żonę do szpitala, zostało spełnione. Kay przybyła do szpitala i przeprowadzili tam rozmowę. Wtedy dowiedział się jej adresu.

Kay przekonała swego wytraconego z równowagi męża, by zasięgnął porady psychiatrycznej. Gdy się zgodził, zaaranżowała wizytę u psychologa z Greensboro, dr. Johna Edwardsa. Ostrzegła doktora, że Hudson może okazać się niebezpieczny.

' - Jeśli zdecyduje się skończyć z życiem, nie odejdziesz sam - powiedziała doktorowi.

Dr Edwards miał kilka spotkań z Hudsonem i jego żoną oddzielnie. Przy którejś okazji Hudson oświadczył psychiatrze:

- Po prostu mnie to zmogło, potrzebuję pomocy.

Kay potwierdziła to.

13 marca powiedziała, że Hudson po utracie praktyki dentystycznej mówił o „masowym” zabójstwie. Powiedziała również doktorowi, że obawia się, iż Hudson może sobie zrobić coś złego, ale nie sądziła, by jej zrobił krzywdę. Podkreśliła, że dotychczas nie uciekał się do użycia siły.

Dr Edwards dowiedział się także od Kay, że była szczęśliwa, decydując się na „wyzwolenie” od męża.

- Nie mam zamiaru tam wrócić. Postanowiłam zacząć żyć towarzysko.

24 marca 1986 roku na parkingu wydziału policji Greensboro zgłosił się do funkcjonariusza Grega J. Deana zachlapany krwią człowiek, mówiąc:

- Wydaje mi się, że zabiłem żonę i córkę.

Choć Jimmy Hudson powiedział policjantowi, że nie pamięta szczegółów, cichym, prawie bez wyrazu głosem zeznał, że żona zaatakowała go nożem rzeźnickim. On wyrwał jej nóż, ale nie pamięta, co stało się potem.

Hudson wyznał, że zapamiętał tylko, iż stał przy zlewomymy w kuchni i mył ręce z krwi.

Gdy Dean spytał go, jak umarła jego córka, Hudson oświadczył, że „dziecko jakoś znalazło się na drodze”. Nie wymienił imion ani żony, ani córki i mówił o ich śmierci bez żalu.

Gdy pokazał funkcjonariuszom rany, które rzekomo zadała mu żona, zabrano go do miejskiego szpitala Wesley Long na leczenie skaleczeń na szyi, klatce piersiowej i ręce.

Hudson prosił Deana o zawiadomienie rodziny i dał policji adres żony. Policja znalazła tam krwawe trupy Kay i jej córki.

Ciało Kay leżało twarzą do góry w salonie między kanapką a antycznym kredensem. Zwłoki małej dziewczynki w różowym szlafroku i ciepłym płaszczu znajdowały się przy frontowych drzwiach. Gardła obydwu ofiar były podcięte.

Policja oskarżyła Hudsona o dwa morderstwa pierwszego stopnia.

Hudson ciągle utrzymywał, że niewiele pamięta z tego, co się stało. Zatrzymanego w centrum więziennym w Maury poddano hipnozie, aby przypomniawsobie wypadki, które doprowadziły do śmierci żony i córki. Przeprowadzono również badania psychiatryczne, mające na celu określenie, czy będzie mógł stanąć przed sądem. Wyniki wskazały, że nie ma przeszkód.

Adwokat Michael Schlosser, potem jak Hudson oznajmił policji i psychiatrom, że ma nadzieję dostać wyrok śmierci, zaczął zastanawiać się, czy nie powołać się w obronie na chorobę umysłową swego klienta.

W sierpniu przygotowujący oskarżenie zastępca prokuratora okręgowego Gary Goodman oświadczył, że z powodu okrucieństwa zbrodni zażąda kary śmierci. Zgodnie z prawem Północnej Karoliny, sąd - rozważając czy wystąpić o wyrok śmierci, czy o dożywotnie więzienie - mógł wziąć pod uwagę okrucieństwo czynu i fakt, że były dwie ofiary.

- Hudson zasłużył na najwyższy wymiar kary - powiedział Goodman. - W mojej opinii dowody potwierdzają dwa obciążające czynniki skłaniające do zastosowania najwyższej kary.

Rozprawę odłożono do lutego, ale wtedy adwokat Thomas C. Manning, który objął obronę Hudsona, wysunął w sądzie

zastrzeżenie, że prokuratura w czerwcu ubiegłego roku zaproponowała Hudsonowi układ, mocą którego w zamian za przyznanie się do winy miano odstąpić od oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia. W parę miesięcy później prokurator wycofał się z tej propozycji.

Adwokat powiedział, że Goodman, „nadmiernie zaangażowany” w proces cywilny, który wytoczył Hudsonowi ojciec Kay, niewłaściwie wykorzystał negocjacje co do deklaracji winy oskarżonego, aby zakończyć proces.

Manning nazwał te negocjacje „nieetycznymi”. Aby zmusić Goodmana do honorowania układu, w którym Hudson miał się przyznać do podwójnego morderstwa drugiego stopnia w zamian za przyrzeczenie prokuratury, że wystąpi o skazanie go na dwa okresy pięćdziesięcioletniego uwięzienia - wyśtosował do sądu petycję w tej sprawie.

W czasie przesłuchania adwokat Richard M. Greene reprezentujący Hudsona w procesie, w którym ojciec Kay żądał odszkodowania w wysokości 2,2 mln dolarów, oświadczył, że rodziców Kay zadowoli długoletnie uwięzienie zabójcy. Kiedy powiadomiono o tym pisemnie Goodmana, oświadczył, że podwójne zabójstwo kwalifikuje się do rozważenia najwyższego wymiaru kary i że inni oskarżyciele i policja uznali tę sprawę jako „najbardziej brutalną i bestialską” w dziejach hrabstwa Guilford.

Gdy Goodman spotkał się z członkami rodziny Kay, prosili go, by nie żądał kary śmierci. Jednakże w tydzień potem dostali list od Goodmana zawiadamiający ich, że sąd będzie rozpatrywać karę śmierci. *Prawo jest jednoznaczne w tych okolicznościach i nas to zobowiązuje.*

Po dwóch dniach zeznań sędzia Najwyższego Sądu hrabstwa Guilford Thomas Ross rozstrzygnął, że prokuratury nie obowiązuje wcześniejsza ugoda w sprawie wyroku.

Na decyzję sędziego Rossa mógł wpłynąć zastępca prokuratora okręgowego Rick Greeson.

- To, co usłyszałem, nie napawa mnie dumą - powiedział Greeson o czynnościach Goodmana. - Nie wiem, czy prokurator Goodman postąpił właściwie, czy nie. Fakty w tej sprawie nie kwalifikują jej do ugody. Czy to się komuś podoba czy nie,

nie spełniono tu wymaganych warunków. Wydaje mi się, że do takiej sytuacji dochodzi, gdy ugodę starające ogiąć dwaj oskarżyciele (drugi oskarżający w procesie cywilnym).

W pięć dni po decyzji sędziego Rossa Jimmy Hudson stanął przed sądem, który miał rozpatrzyć wniosek o wydanie wyroku śmierci.

Wybór składu sędziowskiego zajął pełne dwa tygodnie, kiedy to prawnicy oskarżenia i obrony, zanim ostatecznie wybrali siedem kobiet i pięciu mężczyzn, odrzucili dziewięćdziesiąt sześć kandydatur. Wybrano także czterech mężczyzn i jedną kobietę jako zastępców.

Sędziowie przysięgli najpierw mieli odpowiedzieć na pytanie, czy Hudson jest winny czy niewinny zabójstwa żony i dziecka. Następnie po uznaniu, że było to morderstwo pierwszego stopnia, mieli zdecydować, czy skazać Hudsona na dożywocie czy na śmierć.

We wstępnym przemówieniu obrońca Manning powiedział, że badania psychologiczne przeprowadzone w dniu zbrodni wykazały, iż oskarżony miał zachwianą równowagę psychiczną, która mogła powodować zachowanie psychotyczne. Podkreślał, że Hudson nie odpowiadał za zabicie Kay i Wilmy, gdyż był wtedy obłąkany. Trzy godziny przed zabójstwem był u psychologa.

Jednakże prokurator Goodman przypomniał, że Hudson przyznał się do zabójstw w wydziale policji Greensboro; powiedział wtedy, że zdaje mu się, iż zabił żonę i dziecko.

Prokurator zwrócił uwagę sędziów, by dobrze się przyjrzieli fotografiom, które zostaną pokazane w czasie rozprawy.

- Wiem, że te fotografie są makabryczne, straszne i będziecie na nie patrzeć z przerażeniem... Proszę was jednak, przyjrzyjcie im się, abyście dokładnie mogli ocenić, jaka potworna śmierć spotkała tę kobietę i dziecko z rąk oskarżonego.

Po raz pierwszy ujawniono, że oskarżony pobił matkę i córkę przed zadaniem im śmierci. Goodman powiedział, że na fotografiach wyraźnie było widać zasinienia na twarzach ofiar.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był policjant Dean, który zrelacjonował, jak Hudson podszedł do niego na parking.

Powiedział, że rany Hudsona wydały mu się powierzchowne i że mówiąc o zabiciu rodziny był spokojny.

Drugiego dnia procesu pokazano sędziom makabryczną kasetę wideo z miejsca zbrodni. Wilma leżała tuż przy drzwiach frontowych; w dużej kałuży krwi ledwo było widać jej różowy szlafrok. Gardło dziecka było przecięte aż do rdzenia kręgowego.

W salonie, gdzie znajdowało się ciało Kay, leżały porzucone farby i naczynia do malowania jajek wielkanocnych. Jej gardło także zostało podcięte aż do rdzenia, a w ranę była wetknięta chustka.

Z wyjątkiem porzuconego kompletu kluczy przy łokciu kobiety i farby w pokoju nie było widać nieporządku czy zniszczeń.

W chwili przybycia policji jeszcze był włączony telewizor, a na ladzie w kuchni znaleziono stygnące grzanki. Na zachlapanej krwią podłodze kuchennej leżał nóż rzeźnicki.

Choć adwokat Manning sprzeciwił się pokazaniu sędziom całej kasety, sędzia odrzucił jego sprzeciw po wystąpieniu zastępcy prokuratora okręgowego. Greeson utrzymywał, że sędziowie powinni zobaczyć scenę zbrodni tak, jak widziała ją policja.

Manning twierdził, że czuł, iż widok stężenia pośmiertnego obejmującego ciało dziecka nastawi skład sędziowski przeciw Hudsonowi, tak przerażający był to widok.

W czasie czterdziestopięciominutowego wyświetlania taśmy, pokazanej na dwóch ekranach i objaśnianej przez detektywa J. R. Balance'a, zwracała uwagę odległość między zwłokami ofiar.

Sędziowie oglądali taśmę kilkakrotnie, podczas gdy oskarżyciele wskazywali na umiejscowienie plam krwi, śladów na podłodze i innych szczegółów w tej scenie zbrodni.

Dr James D. Kindl, lekarz z pogotowia szpitalnego, który opatrywał rany Hudsona, oświadczył, że uszkodzenia klatki piersiowej i ręki były stosunkowo płytkie, i sugerował, że były to raczej skaleczenia niż rany kłute.

Dodał, że w czasie badania Hudson był spokojny i ani razu nie wspomniał żony i dziecka.

Sędziowie obejrzeni kolorowe zdjęcia ofiar, tak jak znaleźli je policjanci w mieszkaniu i w czasie sekcji w Chapel Hill. Przyglądali się również, jak ekspert od badania dowodów pokazywał szkic z licznymi śladami krwi znalezionymi w salonie, kuchni i w hallu.

Następnie oskarżyciele zaczęli przedstawiać materiał dowodowy, włącznie z zakrwawionym szlafrokiem małej Wilmy. Gdy policjanci powiedzieli, że w kieszeni płaszcza znaleźli mały samochodek i kartki z życzeniami na dzień świętego Walentego, dziadek dziecka opuścił salę z płaczem.

Przyjęto również jako dowody dwa rewolwery kalibru 38. Jeden z nich, naładowany i splamiony krwią, został znaleziony w saszetce z przyborami do golenia w samochodzie Hudsona. Drugi znaleziono w mieszkaniu Kay. Funkcjonariusze powiedzieli także, że w samochodzie Hudsona widzieli liczne ślady krwi.

Inne plamy krwi odkryto na wałku do ciasta i łopatkę drewnianą w zamkniętej szufladzie w kuchni.

Pokazując sędziom marynarkę i koszulkę bawełnianą, którą miał na sobie Hudson w chwili aresztowania, eksperci dowiedli, że nie było na nich śladu cięć ani rozdarć, choć Hudson twierdził, że walcząc z żoną został przez nią zraniony w szyję, klatkę piersiową i rękę.

Kluczyka do samochodu Kay nie było wśród innych kluczy leżących koło jej zwłok, ale później policjanci znaleźli go u Hudsona. Chustka, którą miał oskarżony w chwili aresztowania, pasowała do tej, która była wetknięta w ranę Kay, jak zeznali policjanci.

Do materiału dowodowych włączono także części ubrania męskiego znalezione w mieszkaniu Kay, które nie należały do jej porzuconego męża.

Ekspert FBI Mike Malone zeznał, że jeden z włosów znalezionych na ubraniu Wilmy i jej ciele został wyrwany z głowy Hudsona, gdyż odpowiadał dokładnie próbkom włosów oskarżonego.

Ale Malone zeznał także, że na zwłokach Kay nie znaleziono włosów Hudsona, ani włosów Kay na zwłokach dziecka.

Włos na nożu rzeźnickim znalezionym w kuchni odpowiadał próbkom włosów dziecka i Malone uznał, że został on odcięty przez mordercę.

Patolodzy potwierdzili wyniki dwutygodniowego śledztwa. Oświadczyli, że Wilma w czasie ataku była prawdopodobnie przytomna i mogła nawet zrobić parę kroków po przecięciu jednej z tętnic i zadaniu jej rany sięgającej kręgosłupa. Jej matka została tak pobita, że mogła nie czuć noża uszkadzającego jej główne tętnice szyi także do kręgosłupa szyjnego.

W krzyżowym ogniu pytań adwokat Manning sugerował, że ojciec mógł trzymać dziecko w ramionach i rany Wilmy mogły być wynikiem atakowania Hudsona nożem przez Kay. Patolog z Chapel Hill, Robert L. Thompson zgodził się, że rany dziecka mogły być niezamierzone, „przypadkowe”, ale powiedział, że nie jest pewny, jak zostały zadane.

Jednakże prokurator Goodman ponownie przedstawił fotografię zwłok dziecka, aby wykazać, że Wilma była raczej pchnięta nożem, a nie zraniona przypadkowo, i że opinia medyczna Thompsona nie podtrzymywała możliwości przypadkowego pchnięcia nożem. Podkreślił, że rana w kark musiała być zadana z dużą siłą, a ślad cięcia w kręgosłupie wskazywał na co najmniej dwa ciosy nożem.

Zgodnie z zeznaniem dr. Thompsona to, że dziewczynka oddała stolec, mogło oznaczać, iż wówczas stała i zdawała sobie sprawę z ataku. Dodał także, że po zranieniu mogła jeszcze zrobić krok albo dwa.

Na sugestię adwokata Manninga, że rana na szyi dziecka mogła być zadana jednym ciosem, dr Thompson odpowiedział: - Sądzę, że były dwa cięcia.

Manning utrzymywał także, że siniaki na twarzy dziecka powstały na skutek upadku, ale dowody przedstawione przez oskarżenie wykazały, że musiałyby upaść trzykrotnie, by doznać takich ran na twarzy.

Hudson uważnie słuchał zeznań, ale gdy patolodzy opisywali stan zwłok dziecka, gwałtownie podskoczył na krześle, a potem spuścił głowę nad otwartą Biblią.

Dalsze zeznania lekarzy wykazały, że żadne rany u obu ofiar nie dowodziły, iż brały one udział w walce albo próbowały odparowywać ciosy.

W połowie następnego tygodnia detektyw Ken Brady odczytał oświadczenie Hudsona złożone funkcjonariuszom po zabójstwie.

Powiedział wtedy, że 24 marca Wilma była z nim przez cały dzień i że odprowadził ją dopiero około, szóstej po południu. Kiedy Kay prosiła go, by wyszedł, odmówił, dopóki nie pocałuje dziecka na dobranoc, gdyż nie sądził, że ją ponownie zobaczy przed upływem paru dni.

Dziewczynka zeszła z góry w szlafroku, ale powiedziała, że jest jej zimno, więc włożyła płaszcz. Hudson chwycił ją w ramiona, ale Kay nalegała, aby już wyszedł.

Hudson uważał, że Kay mogła myśleć, iż chciał zabrać dziecko, ale on tego nie zamierzał.

Zgodnie z jego oświadczeniem, Kay zaczęła przeklinać i występować z pretensjami. *Wilnę to przestraszyło i zaczęła płakać. Ja usiadłem na podłodze u podnóża schodów i przytułałem Wilnę. Wtedy nieoczekiwanie Kay uderzyła mnie trzykrotnie w twarz. Jeszcze czymś mnie uderzyła i następnie zobaczyłem ją z nożem rzeźnickim.*

Kay próbowała dosięgnąć mnie nożem. Właśnie wtedy zraniłem sobie rękę.

Tak się dzieje, gdy dwoje ludzi jednocześnie zaczyna szaleć i stają się gwałtowni - powiedział wtedy policji.

Hudson oświadczył, że nie pamięta, co się następnie stało, a pamięć powróciła mu dopiero, gdy mył ręce w kuchni.

Pamiętam Wilnę leżącą w hallu i Kay w salonie. Do mycia rąk zdjąłem koszulę i rzuciłem ją na podłogę w kuchni,

Hudson określił w ówczesnym oświadczeniu swoje małżeństwo jako *normalne... z kilkoma trudnymi momentami od czasu do czasu*. Kiedy jednak detektywi zaczęli docierać głębiej w ich związek, wypłynęło więcej faktów z osobistego życia Hudsona.

Sześciokrotnie, a może siedmiokrotnie miałem romanse z różnymi kobietami, ale Kay prawdopodobnie wiedziała o dwóch albo trzech.

Jednakże na parę tygodni przed zabójstwem Kay znalazła kilka listów pisanych do kobiet. *Jeden list był napisany ostatnio, ale inne były sprzed roku albo jeszcze dawniej - zwierzał się Hudson w oświadczeniu. - Miałem związki z kobietami spoza miasta, gdyż z powodu mojej pozycji w Greensboro nigdy tam nie spotykałem się z dziewczynami.*

Kiedyś zaproponowałem Kay, abyśmy udali się na plażę nudystów, ale ona nie chciała o tym słyszeć. Ostatecznie powiedziała, żebym się nie kłepował, ale że nie mogę sprowadzić do domu ciężarnej kobiety albo jakiejś choroby. Nie sądzę, aby Kay miała jakieś romanse.

Ostatnio miałem wiele przykrych przeżyć, ale nie jestem człowiekiem gwałtownym. Tak je kochałem, że nie mogę uwierzyć w to, co się stało.

Po skończeniu czytania współoskarżyciel Greeson zaczął analizować oświadczenie, rozbierając je na części i cytując sprzeczności między nim a sceną zbrodni.

Powiedział, że na koszuli Hudsona nie było śladów cięć ani rozdarć, choć twierdzi, że Kay zaatakowała go nożem. Koszulę znaleziono raczej na klatce schodowej niż w kuchni, jak zeznał w oświadczeniu.

Zastępca prokuratora okręgowego zauważył także, że Hudson nie wyjaśnił, dlaczego po zabójstwie potrzebował dwóch godzin, by dostać się na policję.

W krzyżowym ogniu pytań detektyw Brady stwierdził, że przed czterema laty prowadził dochodzenie w sprawie próby zabicia Hudsona przez pewnego mężczyznę z powodu romansu oskarżonego z dziewczyną tego człowieka. W tym czasie Hudson był bardzo zdenerwowany i rzeczywiście się bał - zeznał Brady.

Innym świadkiem oskarżenia była krewna Kay mieszkająca w Kalifornii. Zeznała ona, że Hudson często do niej telefonował prosząc o pomoc i że tuż przed morderstwem pośredniczyła między Hudsonem i jego żoną.

- Powiedział mi wtedy, że zdaje sobie sprawę ze swojej winy nie kochając Wilmy, ale to zmieni się, zapewniał - zeznała krewna. Stwierdziła, że był bardzo rozgoryczony, że Kay go opuściła zamierzając rozpocząć nowe życie.

- Zawsze myślałem, że Kay jest serdeczna i kochająca - zwierzał się w jednej z rozmów telefonicznych - a teraz uważam, że jest zimną, wyrachowaną kobietą.

Krewna zeznała, że Hudson powiedział Kay, aby „znalazła sposób” na pozbycie się dziecka.

- Zrobiłam to - oświadczyła Kay kuzynce. - Ale ja także z nią odeszłam.

Prokuratura skończyła przesłuchania 19 marca. Pierwszym świadkiem wezwanym przez obronę był Hudson. obrońca chciał wykazać, że oskarżony był niezrównoważony psychicznie.

Kiedy Hudson odczytał list Kay, w którym winiła siebie za niepowodzenia małżeńskie, rozpłakał się i długo szlochał. Wielokrotnie powtarzał, że nie mógł sobie przypomnieć morderstwa, ale wyznał, że zanim poszedł na policję, przyłożył pistolet do głowy rozważając samobójstwo.

Powiedział, że nie był wtedy pewny, czy śmierć jego żony i dziecka nastąpiła naprawdę, czy też był to tylko koszmar wyobraźni. Pamięta jednak, że wtedy myślał, że jeśli one rzeczywiście umarły, to on także nie chce żyć. Jeśli tak nie było, nie chciał umierać.

Mówiąc, jakie jego adoptowana córka „stwarzała problemy” w ich małżeństwie, zeznał, że Wilma Dale trzymała się bez przerwy fartucha Kay. - Powiedziałem tylko: Zrób coś z Wilmą, abym mógł z tobą porozmawiać.

Zastępca prokuratora okręgowego Greeson włączył do materiału dowodowego rewery z Centralnej Więziennej Biblioteki Prawniczej, które ujawniły, że Hudson poświęcił wiele czasu na studiowanie przypadków obrony w procesach kryminalnych z zastosowaniem czynnika choroby umysłowej. Przed paru minutami Hudson oświadczył, że niewiele wie o obronie wykorzystującej nieodpowiedzialność psychiczną, z wyjątkiem tego, co mu powiedział jego adwokat.

Oskarżony utrzymywał, że jego zainteresowanie obroną, procesami apelacyjnymi i wiadomościami o adwokatów występujących w sprawach kryminalnych były częścią jego własnej psychoterapii. *W żadnym wypadku nie miało to wpływu, o ile pamiętam, na moje zeznania.*

Gdy Hudson nadal utrzymywał, że nie przypomina sobie szczegółów zabijania, Greeson spytał go, jak to możliwe, że pamięta nieważne fakty, a zapomniał o zdarzeniach, które mogłyby wyjaśnić morderstwo dwóch osób.

Prokurator wymienił następujące sprawy, które zapamiętał oskarżony:

To, że Kay zaatakowała go nożem rzeźnickim, ale nie pamięta, czym rzekomo go biła.

Że był ugodzony nożem przez żonę, ale nie mógł wyjaśnić, w których miejscach podziurawiła mu koszulę.

W czasie pytań prokuratora oskarżony czasami siedział jak w transie i odpowiadał, że po prostu nie chciał zapamiętać nieprzyjemnych szczegółów i faktów, których nie uważał za ważne.

- Walcząc z pożarem, nie robi się notatek - powtarzał nieraz, dodając: - To było dla mnie jak zanurzanie się w ciemności, topienie się, szaleństwo, psychodeliczny koszmar.

Oskarżyciele zadawali również liczne pytania dotyczące innego rodzaju dowodów, które skonfiskowali z jego mieszkania. Były to pudła i worki z listami miłosnymi oraz pornograficzne fotografie i książki.

- To bardzo smutne, że trzeba omawiać cały ten materiał - uznał Hudson.

Przyznał się, że często umieszczał ogłoszenia w erotycznych czasopismach i brał udział w grupach mężczyzn i kobiet swobodnie uprawiających seks na terenie całego kraju, ale powiedział, że jego żona także w tym uczestniczyła. Jednakże w kilku listach przedstawionych jako dowody narzekała, że żona nie dała się namówić do udziału w wyprawach erotycznych.

W pewnym momencie Hudson oświadczył, że adopcja dziecka stała na drugim miejscu wśród najważniejszych zdarzeń w jego życiu, ale zastępca prokuratora Greeson przedstawił jego list napisany w cztery dni po adopcji, w którym do jednej z przyjaciółek w Chicago pisał, że tak go uszczęśliwiła jej fotografia nago, że zaraz onanizował się w swoim gabinecie.

- Chcę, aby pan powiedział sędziom przysięgłym, co pan zrobił w trzy dni potem, jak do rodziny weszła mała dziewczynka - krzyczał Greeson. - Proszę im powiedzieć, co pan zrobił w swoim gabinecie, gdzie na biurku stały fotografie Kay i dziecka?

Po ukończeniu zeznania przez Hudsona psychiatra dr Bob Rollins z Dorothea Dix Hospital scharakteryzował oskarżonego jako egoistę manipulującego ludźmi, który nie mogąc pogodzić się z odejściem żony, wpadł w szalony gniew. Rollins stwierdził, że choć Hudson cierpi na zachwianie równowagi psychicznej, to od strony odpowiedzialności prawnej jest normalny.

- Według mnie był odpowiedzialny za swoje czyny... można mieć zachwianie równowagi psychicznej, ale być odpowiedzialnym - stwierdził Rollins. Obrońcy jednak utrzymywali, że są przekonani, iż w czasie zabijania rodziny miał zaburzenia umysłowe.

Dr Edwards opowiedział o spotkaniach z Kay i jej mężem. Uważał on, że ułomność psychiczna oskarżonego po opuszczeniu go przez żonę mogła stać się katalizatorem jego postępowania.

Mówiąc, że czasami Hudson jęczał z żalości nad sobą, stwierdził, że jego badania wykazały, iż pacjent był rozkojarzoną osobowością; że był bardzo uzależniony od swej żony, która podejmowała za oboje wszystkie ważne decyzje życiowe - włącznie z zorganizowaniem pogrzebu rodziców Hudsona.

Inny psychiatra, dr Selwyn Rose z Winston - Salem, powiedział, że za zachowanie psychopatyczne Hudsona odpowiedzialną rozpieszczającą go matką, z którą spał w jednym łóżku do 15 roku życia.

Wyjawił również, że Hudson po raz pierwszy doświadczył amnezji, gdy znalazł swoją matkę martwą na podłodze i próbował ją reanimować. Doktor powiedział, że oskarżony nie zapamiętał tego epizodu.

Scharakteryzował Hudsona jako typ narcyza, chwiejnego słabeusza, uzależnionego od silniejszych.

Dr Rose powiedział, że dwukrotne zachwiania równowagi psychicznej sprawiły, iż czuł się przygnębiony i niepewny i nie miał względów dla uczuć innych ludzi.

Uważał także, że to, iż Hudson nie pamiętał, co się stało w nocy morderstw, zgadza się z typowym stanem psychopatologii i wystarczy do wstrząsu, wstrząsu emocjonalnego. Dodał jeszcze, że amnezja jest mechanizmem represyjnym.

Po wystąpieniach ekspertów medycznych prokuratura powołała zaskakującego obronę świadka. Był nim towarzysz więzienny Hudsona, skazany za zabójstwo, a pracujący w więzieniu jako bibliotekarz.

Więzień stwierdził, że pomógł wielu więźniom w przygotowaniu się do obrony. Pomagał także Hudsonowi, który się do niego zgłosił.

Hudson przyznał się bibliotekarzowi, że zamordował Wilmę Dale po to, aby zainscenizować morderstwo Kay jako wynik ataku osobnika nienormalnego psychicznie.

Hudson przeczytał także wypożyczoną z biblioteki powieść *Fatalny widok*. Jest to historia lekarza Zielonych Beretów, skazanego za zabicie żony i dwóch córek. Książka omawia szczegółowo przebieg zbrodni, a także to, jak doktor stworzył dowody swej obrony, włącznie z zadaniem sobie ran, aby wyglądało, że ofiary zostały zabite przez grupę hippisów.

Na pierwszą propozycję ze strony prokuratury, aby więzień pomógł prokuratorom, zgodził się on dostarczyć informacji o Hudsonie, ale odmówił zeznania w sądzie, gdyż życie więźnia znanego przeciw innemu więźniowi jest w niebezpieczeństwie.

Wtedy prokurator pokazał bibliotekarzowi fotografie Wilmy i Kay.

Zdjęcia dziewczynki z sekcji zwłok i ze sceny zbrodni tak nim wstrząsnęły, że się rozpłakał i zgodził się zeznawać.

- Jeszcze do tej pory nie mogę się uspokoić - powiedział ławie przysięgłych.

Obrońcy, oczywiście, usiłowali podważyć zaufanie sędziów do zeznań bibliotekarza, informując ich, że przyłożył on rewolwer do głów dwóch prostytutek z Fayetteville w Północnej Karolinie i z zimną krwią nacisnął cyngiel.

Spytali sędziów, dlaczego więzień miałby narażać swoje życie, składając zeznania na rzecz „wrogiej instytucji” (prokuratury) przeciw innemu więźniowi. Działo się to po raz pierwszy od uwięzienia go przed dwudziestu laty.

Utrzymywali, że to na pewno nie sumienie było czynnikiem, który z tego więźnia uczynił „zdrajcę”, gdyż on sam zabił troje ludzi.

- Co to za różnica? - krzyknął jeden z obrońców.

- Mała dziewczynka - cicho odpowiedział więzień spuszczając głowę.

W końcowym przemówieniu prokurator Goodman poinformował sędziów, że Hudson, zgodnie z tym, co powiedział bibliotekarzowi więziennemu, po zabicu żony odczekał prawie dwadzieścia minut, zanim zasztyletował córkę, aby „wszystko pasowało”.

Odwołał się także do zeznania sąsiada, który nie słyszał nadzwyczajnych hałasów w noc morderstwa, choć Hudson utrzymywał, że w czasie walki z Kay było dużo wrzasków, przekleństw i innych odgłosów.

Oskarżyciel zwrócił również uwagę sędziów na fakt, że Hudson dopiero po dwóch godzinach znalazł się na policji.

- Co się działo w tym czasie? - spytał. - Oskarżony myślał wtedy o następnym morderstwie (dziecka), a także o tym, co powie policji, kiedy już skończy z zabijaniem. - Goodman dodał, że zeznanie bibliotekarza było „zgodne z materiałem dowodowym”.

Ława przysięgłych naradzała się przez trzynaście godzin w piątek i w sobotę 10 i 11 kwietnia 1987 roku. Uznali Hudsona winnym morderstwa pierwszego stopnia córki i drugiego stopnia żony.

Wprawdzie salę sądową chroniła duża grupa funkcjonariuszy z wydziału szeryfa hrabstwa Guilford, ale okazali się niepotrzebni, bo Hudson siedział spokojnie w czasie czytania wyroku i nie okazał żadnej reakcji.

W parę dni później skład sędziowski skazał Jimmy'ego Dale Hudsona na dożywocie za morderstwo córki, a sędzia Ross - na pięćdziesiąt lat więzienia za morderstwo żony.

' John Dunning

PERWERSYJNE PRZYJEMNOŚCI EROTYCZNE DOKTORA SADYSTY

W nocy 1 sierpnia 1974 roku nad południowymi Niemcami świecił księżyc w pełni. Powietrze było delikatne i ciepłe jak mleko. Nad polami koniczyny wzdłuż uroczych brzegów niewielkiego jeziora Langwied czuło się lekki powiew wiatru. Było to jakieś trzy mile na północny zachód od Monachium na autostradzie Stuttgart-Monachium. Ten ledwo odczuwalny ruch powietrza był niczym sekretny szept kochanków, ukrytych wśród wonnych kwiatów koniczyny.

W środku pola leżała piękna młoda kobieta, ale jej twarz była tak zmasakrowana, że nie przypominała ludzkiej istoty; na szczupłej szyi widniały ciemne ślady uduszenia, z ciała sączyła się krew z zadanych jej nożem 13 głębokich ran. Suknię miała

podciągniętą aż do pasa, a nogi tak rozrzucone, że bezwstydnie obnażały narządy kobiece. Najbardziej groteskowym szczegółem w tym widoku był duży, starannie wydrażony ogórek, wciśnięty głęboko w pochwę, skąd wystawał jak potworna, nienaturalna narośl.

Zwłoki leżały w kwitnącej koniczynie przez całą noc i już nastąpiło zeszywnienie, co sprawiło, że kończyny podkurczyły się. Krew i inne płyny ustrojowe, które wypłynęły z ran, zmieniły obecnie kolor z jaskrawoczerwonego na brudno-brunatny. Ciemne plamy śmierci rysowały się na pośladkach i łopatkach, gdyż po zatrzymaniu krążenia krew zbierała się pod skórą.

W Europie świt nadchodzi wcześniej. Zaledwie minęła piąta, nad jeziorem weszła olbrzymia tarcza słońca i zaświeciła nad zwłokami zmarłej.

Z blaskiem słońca nadleciały muchy, przywędrowały mrówki i inne małe stworzonka, które wykorzystują każdą szansę, by znaleźć coś do jedzenia. Tutaj niewątpliwie czekała strawa dla małych pyszczków, żuchw i ryjków.

Willi i Ursula Frankę biegnący przez pole koniczyny z wesoło bującym się między nimi koszem prowiantu na piknik zobaczyli gęstą chmurę owadów nad swymi głowami.

Młodzi ludzie pobrali się dopiero przed dwoma dniami i spędzali miesiąc miodowy w południowych Niemczech, daleko od chłodnych wybrzeży Morza Północnego, gdzie znajdował się ich dom.

Chmara owadów wzniosła się w górę dopiero wówczas, gdy para znalazła się o krok od zwłok i młode małżeństwo uderzył straszliwy widok.

Ursula krzyknęła, upuściła kosz, instynktownie odwróciła się i rzuciła się biegiem przez pole, jakby gonił ją zły duch.

Willi zawahał się, zamachał rękoma nad ciałem, jakby chciał pomóc, ale nie mógł, bo natychmiast opanowały go mdłości, i zaraz pobiegł za żoną. W kwadrans później zajechali fiałem 500 na pierwszy posterunek policji na obrzeżu Monachium i podczas gdy Ursula cicho płakała w samochodzie, Willi wszedł do środka i złożył oświadczenie.

Ku ich zmartwieniu policja zatrzymała ich aż do czasu, gdy wróci wysłany na miejsce zbrodni samochód policyjny. Istotnie, policjanci stwierdzili, że w koniczynie leży zmarła kobieta.

Dla Ursuli było to przerażające przeżycie. Była bliska rozstroju nerwowego; wyzwoliła się z tego stanu dopiero wówczas, gdy znaleźli się znowu w Hamburgu. Choć widziała zwłoki jedynie przez krótki moment, było to jedno z tych strasznych doświadczeń, których okropny obraz tak się odbija w mózgu, że nigdy się go nie zapomni.

Nawet tak doświadczony oficer policji, jakim był inspektor Joseph Biedermann z wydziału badań kryminalnych policji monachijskiej, zbladł i odwrócił oczy od straszego widoku.

Inspektor nie należał do ludzi, którzy łatwo bledną pod wpływem takich wrażeń. Tęgi, wesoły, o grubym karku i rumianej cerze, spędził połowę swych 56 lat na dochodzeniach kryminalnych i widział dość dużo przykrych przypadków, ale nigdy do tego stopnia przerażających.

- Najgorszy przypadek perwersji seksualnej, jak sądzę, nie uważasz, Guenther? - zwrócił się do wysokiego, ciemnego, eleganckiego lekarza policyjnego, który klęczał przy zwłokach. Badał je, podczas gdy sierżant Sepp Meier, asystent inspektora, zarzucił na denatkę ręcznik, by ochronić ciało od much.

- Niewątpliwie niecodzienna sprawa - powiedział dr Brockmuehle, którego znano z tego, że jego emocje sprowadzały się do ciekawości naukowca. - Nigdy nie słyszałem o takim przypadku.

- Myśli pan o ogórku?

- Nie tylko o ogórku - odparł doktor. - Zanim wetknięto go w pochwę, denatka została poddana wyczerpującemu, gwałtownemu stosunkowi płciowemu. W szyjce macicy są ślady olbrzymiego wytrysku.

- A zatem? - spytał inspektor.

- Normalnie - powiedział doktor - jeśli mogę użyć tego słowa, „osoba” tak perwersyjna, by dokonać tego za pomocą ogórka, nie jest zdolna do naturalnego stosunku. Ponadto ofiara została poważnie pobita na twarzy, była tak duszona, że pękła jej krtań, i ma trzysta ran zadanych, jak się zdaje, rzeźnickim nożem. Przypuszczam, że te rany były bezpośrednią

przyczyną śmierci, ale pewien będę dopiero po sekcji. Dziwne jest wszakże, że rany tworzą jakby wzór, szczególnie na piersiach.

- Jakie są pana wnioski?

- To nie jest prosta zbrodnia na tle seksualnym - rzekł doktor. - Są tutaj elementy zbrodni rytualnej, ale nigdy nie czytałem o takim właśnie przestępstwie rytualnym.

Wstał i zdjął gumowe rękawiczki.

- Możesz ją teraz włożyć do trumny, Sepp, chyba że laboratorium chce jeszcze coś zbadać.

Olbrzymi, kościsty sierżant, z krótką szczecina rudyh włosów, spojrział niepewnie na kierującego badaniem śladów technika z laboratorium policyjnego.

- W porządku, chłopcy - powiedział po chwili sierżant, zwracając się do czekającej przy ambulansie obsługi z noszami do transportu ofiar zbrodni do policyjnej kostnicy.

- To nastąpiło zeszłej nocy - wyjaśnił doktor inspektorowi, który przyglądał się, z jakim trudem obsługa noszy wciska zeszywniałe nogi denatki do trumny. - Między jedenastą wieczorem a drugą nad ranem. Postaram się jeszcze dziś wieczorem przekazać wstępny raport.

Potem doktor udał się do swego wozu i odjechał.

Obsługa noszy wreszcie wcisnęła stopy denatki do trumny i zamknęła wieko, jakby w obawie, że zwłoki mogą wyskoczyć. Oglądanie tego było ponurym przeżyciem.

Inspektor potrząsnął ramionami i sięgnął po krótkie, grube, czarne cygaro.

- W porządku - powiedział szorstko. - Co wiemy?

- Znamy tożsamość denatki - odparł sierżant trzymając w ręku damską torebkę. - Zgodnie z dowodem tożsamości, jest to pani Freya Talabani, trzydzieści sześć lat, z domu Debusmann, od 1969 roku żona trzydziestopięcioletniego dr. Fouada Talabani, zamieszkującego przy ulicy Goethego pod numerem 10.

- Talabani? - zdziwił się inspektor. - Co to za nazwisko? Ulica Goethego w Monachium?

- W Monachium - odparł sierżant. - Według mnie to nazwisko arabskie lub hinduskie. Poza tym w torebce nie ma

nic ciekawego. Pieniądze, rzeczy osobiste, takie jak szminka i inne drobiazgi, które zwykle noszą kobiety.

- A co ty masz, Max? - inspektor zwrócił się do technika, którego ludzie skończyli bardzo szczegółowe badanie gruntu w odległości 150 stóp od zwłok.

- Narzędzie zbrodni - odparł technik, trzymając w ręku plastikową torebkę z nożem rzeźnickim ze śladami krwi. - I jeden odcisk dłoni.

W drugim ręku miał torebkę z damskim pantoflem. Na obcasie widać było zastygłą krew.

- To jest dość wyraźny odcisk - stwierdził technik. - Wystarczy do stwierdzenia tożsamości, jak tylko go dopadniecie.

- To może zabrać trochę czasu - powiedział inspektor.

- Czy to wszystko?

- Jest jeszcze ogórek - powiedział technik. - Można będzie iść jego śladem.

- Żartujesz - zauważył inspektor.

- Wcale nie! - odparł Max.

I rzeczywiście nie żartował. Następnego dnia mógł poinformować inspektora, gdzie kupiono ogórek, który wepchnięto do pochwy Freyi Talabani.'

- W sklepie owocowo-warzywnym w Wartenbergu - powiedział. - Niestety, interes idzie im dobrze i nikt nie zapamiętał, kto kupił ten ogórek. Kupiono go 31 lipca.

- W Wartenbergu? - znowu zdziwił się inspektor. - Gdzież to jest do diabła? Nigdy nie słyszałem tej nazwy.

- Wioska w odległości około czterdziestu mil na północ stąd - powiedział technik. Blisko Moosburga.

- Na Boga! To prawie czterdzieści mil od miejsca, gdzie znaleziono kobietę - powiedział inspektor.

- Istotnie - zgodził się technik. - Dlatego proponuję przyjrzeć się dobrze mieszkańcom Wartenbergu. Wasz podejrzany powinien mieszkać w tej okolicy, chyba że tak próbował się ukryć, że umyślnie wybrał na zakup ogórka miejsce, które nie miało z nim żadnego związku.

- Nie sądzę, aby postępował tak przemyślnie - ocenił inspektor. - Odcisk na obcasie coś wam powiedział?

- Tak - odrzekł technik. - Na nożu żadnych czytelnych śladów. Zwykły nóż rzeźniczy, jaki można znaleźć we wszystkich kuchniach. Nie jest nowy.

- W porządku, Max - inspektor zatrzymał opuszczającego biuro technika - zostań jeszcze chwilę! Ciekaw jestem, jak do diabła trafiłeś do tego sklepu?

- Hurtownicy warzyw używają różnych opakowań - powiedział technik. - To jest wskazówka, gdzie należało szukać, a potem to tylko sprawa zbadania próbek kurzu i innych śladów z poszczególnych sklepów. Nie zawsze to się udaje.

- Tym razem jesteś jednak pewien?

Max był pewien, ale choć do Wartenburgu wysłano dużą ekipę detektywów, którzy spędzili tam większość dnia sprawdzając mieszkańców, nie znaleziono nic, co by wskazywało na związek z doktorem czy panią Talabani.

- Pani Talabani pochodzi ze znanej rodziny w Monachium - oznajmił sierżant Meier, który zawiadomił pograżonego w smutku męża, zorganizował formalną identyfikację zwłok i dyskretnie zbadał środowisko rodzinne.

Ojciec ofiary, dr Max Debusmann, jest pediatrą, matka, dr Ernestine Debusmann - specjalistą chorób płucnych; jeden brat, dr Peter Debusmann, jest ginekologiem, a drugi, dr Siegfried Debusmann - dentystą. Nic dziwnego, że wyszła za męża za lekarza. Dziwne natomiast jest to, że mąż nie jest Niemcem. Jest Kurdem z Iraku. Mieszka w Niemczech od 1959 roku, tutaj ukończył studia, praktykuje z wielkim powodzeniem i jest bardzo popularny. W zeszłym roku został królem strzelców.

„Król strzelców” to tytuł nadawany członkom klubów strzeleckich, którzy uzyskują największą liczbę punktów w do- rocznych zawodach strzelania do celu. Wiąże się z tym pewne wyróżnienie towarzyskie, a samo uprawianie tego sportu jest w pewnym stopniu snobizmem.

- Jak przyjął śmierć żony? - spytał inspektor.

- Zupełnie go to załamało - powiedział sierżant - panuje opinia, że są nadzwyczaj szczęśliwym małżeństwem.

- Byli - poprawił go inspektor. - A rodzina?

- Nie mniej nimi wstrząsnęło. Nie powiedzieli jeszcze ojcu. Ma sześćdziesiąt trzy lata i dopiero wrócił ze szpitala. Jak

rozumiem, miał coś w rodzaju załamania nerwowego z powodu przepracowania.

- Czy nikt z nich nie podejrzewa, jak mogło do tego dojść i kto mógł ją zabić? - spytał inspektor. - Wszyscy ci lekarze mogli mieć wśród pacjentów niebezpiecznych wariatów.

- Nic nie sugerowali. Zresztą nie sądzę, aby byli takimi lekarzami. Nikt z nich nie jest psychiatrą. Czy coś wynika z raportu z sekcji?

- Nic konkretnego - odpowiedział inspektor. - Patolog uważa, że śmierć nastąpiła między jedenastą a dwunastą w nocy. Sądzi, że intensywny stosunek, który miała przed śmiercią, nie był wymuszony. Nie myśli, aby to był gwałt.

Wyciągnął arkusz papieru: - Przeczytaj to!

Sierżant wziął raport z sekcji zwłok i przeczytał go półgłosem.

Nie stwierdzono okaleczeń ani zaczerwienienia warg sromowych. Znaczne wydzielanie śluzu pachwinowego poza nasieniem męskim. Pochwa poszerzona.

Oddał papier inspektorowi.

- Czy poszerzenie pochwy nie mogło powstać po wciśnięciu ogórka? - spytał.

- Okazuje się, że nie - wyjaśnił inspektor - Guenther mówi, że włożono go zaraz po jej śmierci i że po stosunku łatwo było wcisnąć ogórek. W przeciwnym razie pozostałyby okaleczenia.

Sierżant zamyślił się.

- To mogłoby oznaczać, że dobrowolnie wyszła ze swoim zabójcą - zamruczał. - Ale wszystkie informacje mówią, że małżeństwo było szczęśliwe. Ani słowa o jego lub jej roman- sach.

- Musisz przyjrzeć się temu bliżej - powiedział inspektor. - Jeśli Guenther nie myli się, dobrze znała człowieka, który ją zabił, tak dobrze, że seks z nim był dla niej przyjemnością.

- Ciągłe nie znajduję w tym sensu - powiedział sierżant. - No tak! Przypuśćmy, że miała kochanka. Znaleźli się w koniczynie koło jeziora, by trochę się pokochać. To zupełnie normalne. Mieli stosunek. To także normalne i wszyscy się z tym zgodzą. Następnie, całkiem nieoczekiwanie, ten całkowicie normalny kochanek staje się dzikim potworem. Dusi swoją kochankę.

Miażdży jej twarz. Zadaje trzynaście ran nożem rzeźnickim, który musiał celowo przynieść. Następnie starannie wydrąży ogórek, także celowo przyniesiony tutaj, i wciska go w pochwę kobiety. Nie rozumiem, jak mężczyzna może być normalny w jednej chwili i szalony w następnej.

- Istotnie - zgodził się inspektor. - Masz rację. To niemożliwe. Ale w takim razie co się stało? Czy było dwóch mężczyzn? Jeden, z którym przyszła, by odbyć stosunek, i odbyła go, oraz drugi, który ją zaatakował, poranił twarz, dusił, kłuł nożem i tak dalej? Jeśli jednak było dwóch mężczyzn, to jak drugi mężczyzna mógł się dowiedzieć, że pani Talabani wybrała się na pole koniczyny ze swoim kochankiem, aby się zabawić w świetle pełni księżyca? Może powinniśmy przyjąć, że to było przypadkowe spotkanie? Że ten obłąkany siedział w koniczynie z ogórkiem i nożem rzeźnickim w kieszeni, oczekując pojawienia się pierwszej z brzegu kobiety?

- To też niemożliwe - stwierdził sierżant. - Koniczyna nie jest na tyle wysoka, aby mógł się ukryć w niej mężczyzna, nawet w nocy. Musieliby go zobaczyć. A nawet gdyby go nie zobaczyli, bo byli zajęci swoimi przeżyciami, to pozostaje pytanie, co stało się z kochankiem. Mógł okazać się takim tchórzem, że uciekł pozostawiając kochankę, ale próbowałby przynajmniej sprowadzić pomoc.

- No tak - westchnął inspektor - mógł nie chcieć ujawnić swojego związku z panią Talabani, ale w rzeczywistości nic takiego się nie stało. Wszyscy ci ludzie przebiegający przez koniczynę zostawiliby ślady, a Max znalazł tylko ślady pani Talabani i mężczyzny przychodzącego tam i oddalającego się. Potem były jeszcze ślady państwa Franke, którzy znaleźli zwłoki, i policjanta z posterunku, który potwierdził znalezienie ciała. I na tym koniec. Nie było szaleńca w polu koniczyny z nożem rzeźnickim i ogórkiem w kieszeni!

- Jednym słowem, powracamy do pierwszego wniosku - powiedział sierżant. - Człowiek, który ją zamordował, był tym mężczyzną, z którym dobrowolnie przyszła na pole koniczyny i z którym miała podniecający stosunek. Irytujące jest, że nie wiemy, kto zostawił odcisk ręki na obcasie buta. Gdybyśmy to wiedzieli, już mielibyśmy zabójcę.

- Musiał to być ktoś, kogo znała - wtrącił inspektor - i jeśli nie była zupełnie inną kobietą, niż mamy podstawy myśleć, to musiał być osobą dobrze jej znaną. To jedyna możliwość i pod tym kątem będziemy pracować.

Choć to było logiczne rozumowanie, nie przyniosło wyników. Najbardziej wnikliwe śledztwo nie wykazało nawet cienia dowodu, że Freya Talabani miała związki z innymi mężczyznami poza swoim mężem.

Wydawało się, że była całkowicie zadowolona z życia z mężem, właściwie więcej niż zadowolona, gdyż często rozmawiała z przyjaciółkami o możliwościach doktora Talabaniego jako kochanka.

- Jeśli wierzyć jej słowom, powtarzanym przez przyjaciółki, doktor jest siódmym cudem w łóżku - powiedział sierżant. - Trudno mi uwierzyć, że mogła mieć kochanka. Ktoś musiałby coś zauważyć.

- Chcesz zatem powiedzieć, że jedyną osobą, z którą mogła doznawać satysfakcji erotycznej, był jej własny mąż?

Sierżant chrząknął zdumiony.

- Rozumiem, do czego zmierzasz - powiedział. - Ale dlaczego? Talabani jest lekarzem, a nie zwyrodnialcem seksualnym. Gdyby był zabójcą, to dlaczego to zrobił? Jak mogłem stwierdzić, nie miał najmniejszego motywu.

- Czy jesteś pewny, że nie ma przyjaciółki?

- Na sto procent. Jemu byłoby nawet trudniej to ukryć niż jej.

- Nie ma przyjaciółki. I nie zainkasuje ani grosza po śmierci żony. Nie była nawet ubezpieczona. A więc dlaczego?

- Nie wiem dlaczego - powiedział inspektor znużonym głosem - ale jeśli jedynym mężczyzną, z którym miała satysfakcję erotyczną, był jej mąż, a mężczyzna, który ją zabił, był tym, który dostarczał jej satysfakcji erotycznej, to zabójca musi być jej mężem.

- Moglibyśmy pobrać jego odciski palców - zaproponował sierżant.

Dr Fouad Talabani nie wyraził jednak zgody na pobranie odcisków linii papilarnych.

- To oburzające! - wykrzyknął. - Zamordowano moją żonę, a policja, zamiast energicznie wziąć się do wykrycia mordercy, przychodzi do mnie z różnymi głupimi sprawami.

- Hmm - mruknął inspektor, gdy mu opowiedziano o reakcji doktora. - Bardzo interesujące. Weźcie nakaz i przeszukajcie jego dom od strychu do piwnicy. Nie przegapcie niczego.

Odkrycia dokonane przez Maxa i ekipę z laboratorium policyjnego stworzyły imponujący zestaw dowodów.

Po pierwsze, w kuchni był fabrycznie nowy nóż rzeźnicki. Został kupiony następnego dnia po zabójstwie.

Po drugie, na spodniach w szafie doktora Talabaniego znaleziono ślady krwi. Krew była grupy A2 i odpowiadała grupie krwi pani Talabani.

Po trzecie, w piecu do spalania odpadków znajdującym się za domem znaleziono częściowo spaloną, błękitną koszulkę polo należąca do doktora Talabaniego. Widniały na niej także obfite plamy krwi grupy A2.

Zaareztowano doktora i pomimo jego sprzeciwów zdjęto jego odciski papilarne.

Dokładnie odpowiadały znakom na obcasie buta jego zmarłej żony.

Choć dr Talabani utrzymywał, że jest niewinny, stanął przed sędzią śledczym, który w Niemczech spełnia rolę sądu przysięgłych, i został oficjalnie oskarżony o morderstwo żony Freyi Talabani.

Przez następny rok dr Talabani nie przyznawał się do winy, a cała rodzina zmarłej żony wspierała go w tym. Nikt z Debusmannów nie wierzył, że doktor popełnił tę zbrodnię. Nie wierzyli również przyjaciele i pacjenci.

Tak więc, gdy prokurator Erns Hilger wystąpił z oskarżeniem na rozprawie, która rozpoczęła się w październiku 1975 roku, miał jedynie ułomne dowody. Było zaświadczenie o plamach krwi na ubraniu oskarżonego i odciski jego linii papilarnych na obcasie buta, ale prokurator nie rozporządzał przyznaniem się oskarżonego do winy i - co gorsza - nie mógł przedstawić żadnych motywów zbrodni. Badania policyjne potwierdziły jedynie, że małżeństwo Talabani było nadzwyczaj szczęśliwe i że żadne z nich nie było związane romansiem pozamałżeńskim.

Doktora bronił słynny adwokat Rolf Bossi, który wezwał go do zeznawania we własnej obronie. Wtedy dr Talabani wystąpił z zaskakującą wersją morderstwa.

Powiedział, że jego żonę zabiła tajna policja iracka, aby go skompromitować w Niemczech.

Prokurator, dr Hilger, natychmiast odrzucił to zeznanie wskazując, że po pierwsze - dr Talabani przebywa w Niemczech od piętnastu lat i ma obywatelstwo niemieckie; po drugie - nigdy nie miał żadnego związku z kurdyjskim ruchem niepodległościowym, który powodował rozlew krwi w Iraku; po trzecie - gdyby rzeczywiście działała w Niemczech tajna policja iracka, nic by nie zyskała z takiego zabójstwa.

Przez następne dwa dni oskarżenie koncentrowało się na dowodach rzeczowych: plamach krwi i nożu rzeźnickim, co do którego teraz była pewność, że pochodził z kuchni domu Talabanich. Co więcej, jedna ze sprzedawczyń sklepu z warzywami w Wartenbergu była wówczas przekonana, że to dr Talabani kupił 31 lipca ogórek znaleziony w narzędziach denatki.

Obrona zajęła się podważaniem dowodów. W krzyżowym ogniu pytań osłabiono zeznanie ekspedientki, która przyznała się, że nie może odróżnić jednego cudzoziemca od drugiego.

Przyznano, że krew na ubraniu dr. Talabaniego należała do jego żony, ale pochodziła sprzed paru dni przed zabójstwem, kiedy denatka krwawiła z nosa. Tamując krwotok, dr Talabani poplamiał spodnie i koszulkę polo. Koszulka była z nadto splamiona, by ją uprać, dlatego włożono ją do pieca.

Jeśli chodzi o krwawy odcisk dłoni na obcasie buta pani Talabani, to obrona zakwestionowała dokładność wyników policji, wskazując, że odcisku dłoni nie można porównywać z odciskami palców, i dostarczyła oświadczenie specjalisty, które stwierdzało, że ten dowód nie może być przyjęty do rozstrzygnięcia tożsamości zabójcy.

Po podważeniu całego materiału dowodowego przedstawionego przez prokuraturę, obrona zajęła się sprawą motywów zbrodni, przedstawiając zeznania psychologa stwierdzające, że dr Fouad Talabani był zdrowy psychicznie i że zabójstwo nie mogło być dokonane przez takiego człowieka.

- Czy wysoki sąd uwierzy - zapytał dr Bossi, że ten osiąający sukcesy, szczęśliwy małżonek, nie mając żadnego powodu, zaprowadził swoją żonę na pole koniczyny za miasto,

namiętnie kochał się z nią, a potem dziko bilją po twarzy, dusił i zadał trzynaście ran nożem z własnej kuchni, a następnie wcisnął jej do pochwy ogórek, który kupił poprzedniego dnia w odległości czterdziestu mil od miejsca zbrodni?

Zeznanie psychologów dowiodło, że dr Talabani jest zdrowy psychicznie. Czy to były wyczyny zdrowego umysłowo człowieka? - pytano.

Sąd niewątpliwie tego nie uważał.

Wtedy prokuratura wystąpiła z kontratakiem.

Na podium świadków wezwano eksperta zwyczajów i kultury bliskowschodniej, dr. Ludwiga Graesslicha.

- Czy zechce pan, doktorze, wyjaśnić sądowi, jakim symbolem w Iraku jest wydrażony ogórek wciśnięty w pochwę zmarłej kobiety?

- Umieszczenie wydrażonego ogórka w pochwie zmarłej, to znaczy zamordowanej kobiety, jest dotychczas praktykowanym zwyczajem kurdyjskim - powiedział doktor. - Wyobraża ogromną nienawiść do tej kobiety ze strony osobnika, który umieszcza ogórek w jej narządach, a ma to oznaczać zhańbienie jej i poniżenie nawet po śmierci.

- Dziękuję, doktorze Graesslich - powiedział oskarżyciel.

Obrona zrezygnowała z pytania doktora, który był uznanym autorytetem w tej dziedzinie, ale wskazała, że to podtrzymało teorię dr. Talabaniego, że jego żonę zamordowała tajna policja iracka.

- Intencją było oczywiście zhańbienie i poniżenie doktora Talabaniego - powiedział obrońca - gdyż tylko on mógł znać znaczenie wydrażonego ogórka. Taki czyn miałyby się z celem, gdyby nie znalazł się ktoś, kto wiedział, co to oznacza. Jaki motyw mógł mieć dr Talabani, by poniżyć i upokorzyć swoją żonę, a tym samym siebie?

Rozumowanie było przekonujące, ale oskarżenie jeszcze nie skończyło przesłuchiwanie świadków.

Następnie składali zeznania psychologowie z kliniki, gdzie przebywał na leczeniu dr Max Debusmann, ojciec denatki.

Zgodnie z ich zeznaniami rozstrój nerwowy dr. Debusmanna nie był wynikiem przepracowania, a raczej poważnych kłopotów w rodzinie. Wyglądało na to, że rodzina, włącznie

z dr. Talabanim, gwałtownie się kłóciła. Te kłótnie zaczęły się w lipcu 1974 roku, na miesiąc przed śmiercią Freyi Talabani.

- Zanim zajmiemy się przyczyną tych kłótni - powiedział prokurator - dobrze będzie zastanowić się nad stosunkami dr. Talabaniego z teściem. Wykażemy, że łączyły ich serdeczne więzy i młodszy mężczyzna podziwiał starszego doktora, którego uważał za wzór lekarza niemieckiego.

Obrona sprzeciwiła się tym wyjaśnieniom motywując to tym, że stosunki dr. Talabaniego z teściem nie mają związku z sprawą. Sprzeciw został jednak oddalony.

Wprowadzono zatem świadków, którzy stwierdzili, że dr Talabani rzeczywiście traktował teścia nieomal jak bohatera. Jak wiele osób, które zmieniły narodowość, Fouad Talabani był bardziej gorliwie niemiecki niż większość Niemców od urodzenia. Dr Max Debusmann był jego ideałem.

Talabani, którego ponownie wezwano na miejsce świadków, potwierdził to.

- Ale - powiedział oskarżyciel - pana podziw dla rodziny Debusmannów nagle się załamał na początku lipca 1974 roku, kiedy dowiedział się pan, że podziwiany przez pana człowiek był związany z nazistowskim programem badań nad eutanazją przed ostatnią wojną i w czasie jej trwania. Wtedy pana uwielbienie dla rodziny Debusmannów zmieniło się w nienawiść. Czy to się zgadza?

Dr Talabani nie odpowiedział.

Oskarżyciel przedstawił więc swoją wersję wypadków, które doprowadziły do śmierci Freyi Talabani.

Wysunął pogląd, że po ujawnieniu udziału dr. Debusmanna w nazistowskim programie egzekucji więźniów zaczęły się w rodzinie straszne kłótnie, a w ich wyniku między dr. Talabanim i jego żoną nastąpiło zerwanie więzów.

Gdy dr Debusmann znalazł się w klinice psychiatrycznej, prawdopodobnie inni członkowie rodziny próbowali doprowadzić do zgody.

Freya Talabani zapewne wierzyła, że mąż pogodzi się z jej rodziną, i chętnie poszła z nim na pole koniczyny, gdzie mieli stosunek, po którym Talabani zabił ją.

- Ten czyn był dokonany z premedytacją - powiedział prokurator - w przeciwnym bowiem wypadku doktor nie mógłby mieć w kieszeni noża rzeźnickiego i ogórka zakupionego dzień wcześniej.

Teraz dr Talabani usiłował zmienić swoje zeznanie. Powiedział, że przechodząc przez pole koniczyny zobaczył nagle swoją żonę walczącą gwałtownie z jakimś obcym człowiekiem. To był mężczyzna, który ją zabił.

W tym momencie dr Bossi poprosił o przerwę w przesłuchaniu, aby mógł się naradzić ze swoim klientem.

Po przerwie obrońca prosił, by zmienić oświadczenie oskarżonego z „niewinny” na „winny, ale z ograniczoną odpowiedzialnością z powodu ostrego napięcia nerwowego”.

Ta forma została przyjęta i 10 października dr Fouad Talabani został skazany na 10 lat więzienia; był to wyrok, jakiego żądało oskarżenie, ale dopatrujący się w tym zabójstwie premedytacji uznali go za zbyt łagodny.

Zapowiedziano wniesienie apelacji.

Nota wydawcy

Ludwig Graesslich, Willi Franke, Ursula Franke, Joseph Bidermann, Sepp Meier i Guenther Brockmuehle nie są prawdziwymi nazwiskami osób tak nazwanych w tym reportażu. Użyto fikcyjnych imion i nazwisk, by spełnić warunki przewidziane przez niemieckie przepisy policyjne.

Randall Shanley

ORGIE SEKSUALNE Z PRZEPISU LEKARZA

Sprawa pewnego rozpustnego psychiatry ogromnie zaskoczyła wielu zagranicznych korespondentów w Berlinie Zachodnim i w Zachodnich Niemczech. Nikt z nich nie spodziewał się, że skandal ten znajdzie oddźwięk w tak szerokich kręgach społeczeństwa. Nikt też nie oczekiwał, że przeważająca część tamtejszych przyzwoitych obywateli będzie tak wstrząśnięta, zgorszona i oburzona.

Jeden z korespondentów poczytnego dziennika angielskiego po rozprawie sądowej, próbując ująć sytuację w słowach przybliżających ją do rzeczywistości angielskiej, powiedział: - Na litość, to tak jakby premier napastował seksualnie w samo południe małych chłopców na placu Trafalgar.

Było aż nadto powodów, by zaskoczyć i zadziwić prasę. Dziennikarze przebywający długo w Niemczech wiedzieli już, że w tym kraju zdarzały się najbardziej nieprawdopodobne zbrodnie, i to zadziwiająco często. Natomiast ogół niezbyt długo interesował się tymi przestępstwami. Nie było tygodnia, aby szczególnie zbrodnie seksualne nie trafiały do prasy, ale

niewiele z nich wzbudzało zainteresowanie dłużej niż trzy dni, po których jedną sensację zastępowało następne przestępstwo.

Jednym słowem, Niemcy zdawali się przyjmować spokojnie zbrodnie seksualne, nawet związane z okaleczeniem, ścięciem głowy, poćwiartowaniem zwłok, przestępstwa między osobnikami różnej płci i homoseksualne. Zbrodni tych dokonywali ludzie obu płci, w wieku od ośmiu do osiemdziesięciu lat.

Jednakże obecny przypadek wywołał ogólne oburzenie i potępienie, choć w większości innych krajów sprawa pod każdym względem mogłaby wydać się mniej poważna w porównaniu z cytowanymi wyżej przestępstwami. Po pierwsze, nie chodziło w niej o morderstwo. Poza tym nie było tu mowy o nieodwracalnym uszkodzeniu ciała dokonany zbrodniczo na ofierze. Nie chodziło też o sensacyjny rabunek, jak na przykład udany zamach na skarb narodowy.

Cóż to więc była za zbrodnia, która stała się tematem moralnym dyskutowanym przez ogół uczciwych Niemców?

To było przestępstwo, które w Stanach Zjednoczonych, ze wymienną tylko ten kraj, znalazłoby wzmiankę prawdopodobnie na ostatniej stronie gazet, z wyjątkiem pism nastawionych na sensacje.

Było to „przestępstwo przeciw moralności publicznej”. Dla starszych obywateli Niemiec, hołdujących tradycyjnym wartościom, była to zbrodnia o największym ciężarze. W tym przypadku jej wagę potęgowała wielokrotnie osobowość oskarżonego o nią człowieka. Był on bowiem jednym z najbardziej znanych i poważanych w Zachodnich Niemczech psychiatrów.

Dr Hermann Tillmann został oskarżony o wykorzystanie seksualne ośmiu dziewcząt, które nie osiągnęły wieku przewidzianego przez ustawodawcę, by mogły wyrazić na to zgodę.

Dr Tillmann został poza tym oskarżony o zmuszanie ich groźbami do uczestniczenia w spotkaniach seksualnych z jego przyjaciółmi. Ci przyjaciele, jak się okazało, byli ludźmi na wysokich stanowiskach w biznesie, przemyśle i wolnych zawodach Berlina Zachodniego. Był to czynnik, który dodatkowo rozпалиł oburzonych obywateli.

Wobec wybitnego psychiatry były również inne oskarżenia. Jednym z nich był gwałt na dziewczynie w wieku dwudziestu jeden lat.

Jakby tego nie było dosyć, na ostatnim miejscu listy przestępstw przypisywanych przystojnemu doktorowi było zmuszanie byłej żony do różnych aktów seksualnych z szesnastoletnim chłopcem, podczas gdy doktor przyglądał się jak zdegenerowany podglądacz.

Artykuły omawiające te oskarżenia podkreślały, że jeśli sąd uzna dr. Tillmanna winnym, jest zupełnie prawdopodobne, że skáže go na spędzenie reszty życia w więzieniu.

Oburzenie wywołane po ogłoszeniu drukiem tych oskarżeń wynikało w dużym stopniu z samej pozycji oskarżonego. Dr Tillmann był bowiem człowiekiem, który w wielu dziedzinach cieszył się dużym zaufaniem ogółu, nie tylko dlatego, że jako lekarz z natury rzeczy wysłuchiwał zwierzeń pacjentów, ale i z innych powodów. Był jednym z najlepszych psychiatrów i neurologów w Berlinie Zachodnim. Jego osiągnięcia naukowe były najwyższej miary. Napisał i wydał książki naukowe. Był członkiem różnych komitetów dobroczynnych.

Jedna z gazet berlińskich porównała jego gabinet w luksusowym apartamencie tuż koło Kurfurstendamm na OHvaer Platz - Fifth Avenue Berlina - do scenografii filmu science fiction.

Zeznania w sądzie w przyszłości miały uzmysłowić to porównanie ujawniając, że cała ta „scenografia” była oprzyrządowana elektrycznie nie tylko pod kątem nasłuchu, ale i wizualnym, wraz z instalacją otworów do podglądania: dwustronnymi lustrami pozwalającymi potajemnie przyglądać się wycynom w innych pokojach. Było też urządzenie pozwalające doktorowi stojącemu przy stacyjce kontrolnej, po włączeniu przełącznika, zamknąć drzwi we wszystkich pokojach jego szatańskiej siedziby, uniemożliwiając tam obecnym opuszczenie ich i czyniąc ich tym samym więźniami doktora.

Dr Tillmann niewątpliwie nie przypominał wyglądem potwora odpowiedzialnego za takie wyczyny. Był to wysoki, przystojny mężczyzna w wieku czterdziestu lat, o wykwintnym sposobie bycia i budowie atlety. Miał świetnie prosperującą

praktykę medyczną wśród bogatych pacjentów. Cieszył się powodzeniem szczególnie wśród kobiet w średnim wieku z wyższych klas społecznych Berlina.

Jeśli przyjąć dane podane przez gazety, zarabiał najprawdopodobniej 5000 dolarów tygodniowo.

Po ujawnieniu oskarżeń pod adresem przystojnego psychiatry reporterzy poszli na całego w poszukiwaniu najmniejszego strzępu informacji, które można było o nim zdobyć. Gazety doniosły, że zgodnie z wypowiedziami przyjaciół i współpracowników, którzy go dobrze znali, najbardziej rzucającą się w oczy cechą dr. Tillmanna była jego zadziwiająca energia i zdolność jej wykorzystania. Aby móc zająć się wszystkimi pacjentami, często pracował szesnaście godzin na dobę - od około ósmej rano do północy.

Jednakże pomimo tak napiętego programu zajęć znajdował czas na wygłaszanie odczytów na różnych uniwersytetach i od czasu do czasu występował w sądach jako ekspert psychiatry. Było zadziwiające, biorąc pod uwagę jego zajęcia, jak udawało mu się znajdować czas na rozrywki, ale niewątpliwie korzystał z wielu przyjemności. Doktora - rozwiedzonego z pierwszą żoną - często widywano, jak prowadził swój włoski samochód alfa romeo, wykonany na specjalne zamówienie, który kosztował, jak mówiono, 25 000 dolarów. Sportowy dwuosobowy wóz miał tapicerkę z prawdziwej skóry tygryziej. Rzadko widywano dr. Tillmanna w tym wspaniałym wozie bez olśniewająco pięknej Fraulein w fotelu obok niego. Był też częstym bywalcem teatrów i miejscowych galerii sztuki, a także drogich klubów nocnych Berlina.

Jednym z jego hobby, które zdobywały mu serca pacjentów, była miłość do zwierząt. Miał trzy koty i trzy duże psy. Pokazywanie, jak je wyszkolił, by robiły wszystko, czego od nich zażądał, sprawiało mu wielką przyjemność. Uważano, że niektóre sztuczki były wprost nadzwyczajne. Widzowie twierdzili, że zwierzęta *rozumiały wszystko, co im mówił*.

- Wygląda na to, że mam nad nimi jakąś hipnotyczną władzę - cytowali doktora. - Nie rozumiem tego do końca.

Interesował się również bardzo rybami tropikalnymi i trzymał paręset egzemplarzy w gustownie zainstalowanych ak-

wariach w luksusowym apartamencie, a także w gabinecie przyjąć.

Tę stronę osobowości doktora znała większość jego pacjentów. Biorąc pod uwagę wszystkie zewnętrzne symptomy, był bardzo inteligentnym, czarującym, wytwornym człowiekiem, lekarzem, który stał na szczycie swojej kariery zawodowej, człowiekiem z pełnym zapałem podchodzącym do życia.

Rewelacje ujawnione w następstwie oskarżeń przeciw niemu wykazały, że była też ekstremalnie inna strona jego charakteru, którą znali tylko najbliżsi przyjaciele. Szczegóły tej ukrytej osobowości wystąpią jaskrawo w całej swej nikczemności na procesie.

Rewelacje świadków wykazały nadzwyczaj dobitnie, że dr Tillmann namiętnie uprawiał jeszcze jedno hobby. Przyuczał młode dziewczyny do robienia wszystkiego, co im rozkazywał, a w tych wyczynach, jak powiedział jeden z prokuratorów, *miał podobną władzę hipnotyczną do tej, która sprawiała, że zwierzęta słuchały jego rozkazów bez zastrzeżeń*.

Policja Berlina Zachodniego otrzymała pierwszą wzmiankę o tym, co się działo na przyjęciach koktajlowych doktora, z telefonu matki pięknej dziewczyny, która miała zaledwie dziewiętnaście lat. Sprawę przekazano Ekipie Sekcji Przestrzegania Porządku Moralnego. Inspektor z tej sekcji, Kurt Baumann, aby zbadać skargę, natychmiast zjawił się w mieszkaniu kobiety, która telefonowała.

Doświadczonego funkcjonariusza przyjęła szczupła kobieta 0 miłej powierzchowności i, choć była dystygowana, nie mogła ukryć przerażenia. Powiedziała inspektorowi, że jest wdową i pracuje jako bibliotekarka na utrzymanie swoje 1 córki.

- Erika zawsze sprawiała mi kłopoty - powiedziała inspektorowi, gdy usiedli w skromnie umeblowanym saloniku. - Wychowywałam ją od dzieciństwa bez ojca i wyrosła na bardzo wrażliwą dziewczynę, nerwową i nieszczęśliwą.

- Od dwóch lat, gdy skończyła siedemnasty rok życia, zaczęła wychodzić z gromadą rozwyrzonej młodzieży. Przewidywałam kłopoty i pomyślałam, że potrzebuje specjalistycznej pomocy; wysłałam ją więc do dr. Tillmanna.

Kobieta przerwała na chwilę, by wytrzeć łzy z oczu. Następnie potrząsnęła smętnie głową i powiedziała: - Teraz wiem, że nie mogłam popełnić większego błędu.

Inspektor Baumann przypomniał sobie jak przez mgłę, że dr Tillmann przed paru laty był zamieszany w proces rozwodowy, ale w tej chwili niewiele o nim wiedział. To jednak nie miało trwać długo. Wkrótce postawi sobie zadanie zdobycia pełnej informacji o wybitnym psychiatrze.

- A zatem doktor nie mógł pomóc pani córce? - spytał.

Na twarzy kobiety odmalowała się gorycz, gdy mu odpowiedziała:

- Nawet nie próbował! Wziął moje pieniądze i rozpoczął kurację od uwiedzenia jej!

Inspektor przerwał jej przypominając, że to poważne oskarżenie i on ufa, że matka ma dowody na te zarzuty. Zapewniła inspektora, że je posiada.

- Nie miałam pojęcia, co się tam działo - opowiadała - gdyż wracam do domu codziennie po zamknięciu biblioteki o dziewiątej wieczorem. Ale Erika przyznała się, że od dwóch lat bierze udział w wuzdanych przyjęciach w apartamencie dr. Tillmanna, gdzie dochodzi do haniebnych wyczynów.

Roztrzęsiona kobieta przerwała swoją opowieść, by się uspokoić. Inspektor wykorzystał tę przerwę i powiedział poważnie:

- Jeśli doktor uwiódł pani córkę, gdy była nieletnia i korzystała z jego opieki medycznej, to popełnił poważne przestępstwo... Co działo się na tych przyjęciach?

- Dr Tillmann zapraszał swoich przyjaciół - lekarzy i biznesmenów. Jak mi powiedziała Erika, udawało mu się przekonać dziewczęta, by chodziły po jego apartamencie nago i pozwalały sobie na intymne stosunki z tymi panami.

- Czy inne dziewczęta także były pacjentkami? - spytał inspektor.

- Kilka z nich leczyło się u doktora - odpowiedziała matka. - Inne poznał przez przyjaciół albo w barach czy klubach nocnych. Zatrudnione przez niego w gabinecie dziewczęta także brały udział w przyjęciach. Erika wróciła wczoraj z takiego przyjęcia pijana, ze strasznym płaczem. Wreszcie udało mi

sieją przekonać, by się wyzaliła. Teraz czeka w swoim pokoju, by powtórzyć, co właśnie od niej usłyszałam.

Wdowa zniknęła, a po chwili wróciła ze szczupłą dziewczyną o niespokojnych oczach. Włosy w kolorze jasnego miodu były modnie uczesane, co sprawiało, że wyglądała poważniej niż dziesiętnastolatka. Luźny czarny sweter nie ukrywał kształtu jej pełnego biustu. Stroju dopełniały czarne opięte spodnie ze skóry i buty na płaskim obcasie.

Młoda dziewczyna wydawała się zażenowana i opowiadając o swoich doświadczeniach z wybitnym psychiatrą, starszym od niej o 21 lat, trochę się obawiała inspektora. On delikatnie zachęcał ją do otwartości.

Erika wyznała mu, że początkowo między nią a doktorem były normalne stosunki, jak między pacjentką i lekarzem. Leżała na kanapce w gabinecie przyjęć i mówiła o sprawach, które ją niepokoiły, a on robił notatki, od czasu do czasu coś wyjaśniając.

Ale to nie trwało długo. Pewnego dnia, gdy leżała na sofie, dr Tillmann zaczął pieścić jej piersi i próbował ją uwieść. Jak powiedziała, rozgniewała się na niego i oparła jego zakusom.

Następnie, całkiem szczerze, stwierdziła, że dr Tillmann był tak przystojny, że zaczął pociągać ją fizycznie. Już przy następnej wizycie, gdy próbował się do niej zbliżyć, ustąpiła.

- Zostałam jego kochanką - oświadczyła. - Od tego dnia, gdy zjawiałam się na umówioną wizytę, zamykał drzwi i kochał się z nią.

- Czy spotykała go pani poza gabinetem po godzinach konsultacji? - chciał się dowiedzieć inspektor.

- Tak - odpowiedziała dziewczyna. - Czasami wychodziłam z nim wieczorem do teatru albo klubu nocnego. Przyrzekł nawet ożenić się ze mną, ale nie przyjął tego poważnie. Byłam wtedy bardzo szczęśliwa. Matka zauważyła, że się zmieniałam, choć nie wiedziała, co jest tego przyczyną. Była zadowolona, że skierowała mnie do doktora Tillmanna.

Pomimo że czuła się szczęśliwa, był jeden kłopot - beznadziejnie się zakochała w znakomitym, czarującym doktorze.

Dlatego przeraziła się, gdy po raz pierwszy zaprosił ją na jedno ze swoich przyjęć koktajlowych.

- Kiedy się tam znalazłam, wszyscy siedzieli na podłodze, pili i byli w wesołym nastroju - powiedziała piękna blondynka. - W takt głośnej muzyki z magnetofonu, do której ktoś wybijał rytm na bębnie, na środku pokoju tańczyła śliczna dziewczyna z długimi blond włosami, zupełnie naga.

W miarę postępu wesołego nastroju mężczyźni przekonywali dziewczęta, by się rozebrały. Po pewnym czasie pary zaczęły znikać w sypialniach.

W pewnej chwili podszedł do niej dr Tillmann i spytał, czy dobrze się bawi. Był zmartwiony, gdy mu gniewnie powiedziała, że wcale się dobrze nie czuje.

- Ludziom dobrze robi, gdy od czasu do czasu zapomną o hamowaniu swoich popędów - zapewniał ją. - Wkrótce przywykniesz do tego.

- Od tej chwili nalegał - zwierzała się - żebym przychodziła na wszystkie jego przyjęcia. Nie były one specjalnie przygotowywane. Po prostu telefonował do ludzi i prosił ich o przyjęcie. Czasami przepraszał, że musi wyjść, by odwiedzić pacjentów, i wracał później.

Dziewczęta zatrudnione w jego klinice pilnowały, by przyjęcie toczyło się normalnie.

Erika oświadczyła, że Tillmann namówił ją, by podawała napoje nagim gościom. Ona także nie miała nic na sobie. Następnie któregoś wieczora przekonał ją, by poszła do łóżka z jednym z jego przyjaciół.

Jakby czytając w myślach inspektora, pośpieszyła z wyjaśnieniem.

- Dr Tillmann jest bardzo silną osobowością i w tym czasie byłam całkowicie pod jego wpływem. Zrobiłam, co mi kazał, i po wejściu do sypialni podporządkowałam się awansom tego gościa. Oboje byliśmy nadzy.

W następnych miesiącach, jak mówiła dziewczyna, doktor zmuszał ją do różnego rodzaju stosunków seksualnych z jego przyjaciółmi. To się powtarzało wielokrotnie. Stwierdziła, że znienawidziła siebie za to postępowanie, ale nie czuła się na siłach, by wyzwolić się pod władzy dr. Tillmanna.

- Ostatniego wieczoru dowiedziałam się czegoś nowego - mówiła Erika po krótkiej przerwie, gdy zapalała papierosa. - Odkryłam, że doktor ma specjalne lustro między swoim gabinetem a główną sypialnią, tak by mógł śledzić swoich gości uprawiających miłość. Wysyłał mnie do tego pokoju ze swoimi przyjaciółmi. Zrozumiałam wtedy, że dr Tillmann jest zdeprawowanym potworem. Po powrocie do domu powiedziałam wszystko matce, a tego człowieka nie zamierzam już spotykać.

Inspektor Baumann spytał Erikę o nazwiska przyjaciół doktora, a ona wymieniła wszystkie, które pamiętała. Podała mu również nazwiska dziewcząt, ale większość znała jedynie z imienia i przezwiska. Były takie, których w ogóle nie znała.

Inspektor Baumann zapewnił Erikę i jej matkę, że policja natychmiast rozpocznie śledztwo. Po powrocie do komendy udał się do głównego inspektora Ekipy Sekcji Przestrzegania Porządku Moralnego i złożył wyczerpujące sprawozdanie. Postanowiono podjąć poufne śledztwo dotyczące prywatnego życia modnego psychiatry. Baumanna uczyniono odpowiedzialnym za prowadzenie tej sprawy.

- Odszukaj niepełnoletnie dziewczęta i staraj się uzyskać od nich oświadczenia obciążające tych mężczyzn - polecił mu główny inspektor. - Dostań się do mieszkania Tillmanna i zobacz sam, co się tam dzieje. Postaraj się znaleźć na jednym z jego przyjęć.

Inspektor rozpoczął od wyznaczenia dwóch wywiadowców, aby przekopali otoczenie doktora. Innego oficera skierował do sądu, by zbadał dokumenty rozwodowe psychiatry.

- Jak sobie przypominam, żona oskarżyła go o niewierność - powiedziała detektywom. Postarajcie się odszukać ją i sprowadzić do komendy. Może się okazać bardzo cennym świadkiem przeciw Tillmannowi.

Innych detektywów wyznaczył do odszukania dziewcząt uczestniczących w przyjęciach doktora i polecił im, aby wydobyli od nich zeznania. Następnie zatelefonował do sekretarki dr. Tillmanna i umówił się na wizytę na późne popołudnie tego samego dnia. Zorientował się, że najlepszym sposobem dostania się do apartamentu doktora było zostanie jego pacjentem.

Po przybyciu do kliniki Baumann został skierowany do obszernej poczekalni, umeblowanej kosztownie i z niepodważalnym smakiem. Ściany zdobiły cenne płaskorzeźby w brązie. W szklanych akwariach pływały tropikalne ryby o niewyobrażalnych kształtach i jaskrawych kolorach. Podłogę pokrywały puszyste dywany, a drzwi zostały pokryte złotą blachą.

Było tam wielu pacjentów, przeważnie bardzo bogato ubranych kobiet w wieku około czterdziestu, pięćdziesięciu lat. Inspektor Baumann musiał czekać na swoją kolej. Wreszcie wprowadzono go do bogato udekorowanego gabinetu, gdzie za potężnym, lśniącym biurkiem z hebanu siedział przystojny doktor.

Inspektor uznał, że Tillmann - z uprzejmym sposobem bycia i w klasycznym garniturze uszytym przez londyńskiego krawca - przedstawiał hollywoodzki portret mającego wzięcie niemieckiego psychiatry. Na lewym policzku miał „heidelberską bliznę”, ślad cięcia szablą. Było to następstwo krwawego sportu, bardzo popularnego wśród pewnej elity Niemców jako oznaka ich odwagi i męskości.

Niektóre gazety berlińskie później sugerowały, że w przypadku dr. Tillmanna nie był to rezultat sportowego czy honorowego pojedynku, ale własnoręcznie zadana rana dla uzyskania efektu. Jednakże nigdy nie znaleziono dowodu na potwierdzenie tego zarzutu.

Inspektor Baumann przedstawił się doktorowi jako udręczony biznesmen z poszarpanymi nerwami, kiepskim trawieniem i chroniczną bezsennością.

- To są powszechne kłopoty u nas w Berlinie, gdy czujemy komunistów nieomal depczących nam po piętach - powiedział ze zrozumieniem dr Tillmann. Jednakże poza czynnikiem politycznym są to typowe objawy tego, co nazywamy „syndromem menedżerów”.

- Na szczęście doświadczony neurolog może zazwyczaj wyleczyć takie przypadki. Jestem bardzo zajęty, ale sądzę, że zmieszczę pana w rozkładzie terapii.

Inspektor Baumann wyraził wdzięczność i po krótkiej wymianie zdań na temat honorarium ustalono, że doktor przyjmie go dwa razy w tygodniu o ósmej wieczorem.

Właśnie zbliżała się ósma i po opuszczeniu gabinetu inspektor usłyszał przyciszone głosy z dalszej części domu i wesołe śmiechy kobiece. Nie opuścił budynku, ale minął drzwi hallu prowadzące do apartamentu doktora.

Głosy były wyraźniejsze i słyszeć je było na tle ciągłych rytmów amerykańskiego rocka z potężnego stereo-magneto fonu. W salonie zobaczył godnie wyglądających mężczyzn w średnim wieku tańczących ze szczupłymi młodymi dziewczynami. Dwie pary obejmowały się na sofie w gabinecie.

Ktoś jednak nadchodził, inspektor zniknął więc za najbliższymi drzwiami. Znalazł się w wyłożonej puszystym dywanem sypialni, której głównym meblem było olbrzymich rozmiarów łożo, przykryte złotą narzutą.

Ze ścian zwieszały się ciężkie draperie. Inspektor domyślił się, że jest w pomieszczeniu nie przepuszczającym dźwięków.

Następnie zauważył małe okrągłe lustro na ścianie. Od razu skojarzył je z tym, co mówiła Erika. Z drugiego pokoju widać było łóżko i osoby znajdujące się na nim. Wówczas inspektor opuścił apartament, obawiając się, że gdyby go tam spotkano, doktor od razu zacząłby coś podejrzewać.

Następnego dnia wieczorem grupa śledcza przyniosła Baumannowi informacje o środowisku psychiatry. Dr Hermann Tillmann urodził się w Bonn, wówczas stolicy Zachodnich Niemiec. Pochodził ze starej, znakomitej rodziny, która w ostatnich pokoleniach podupadła.

Dziadek Tillmanna był bogatym kupcem, ale był też ekscentrykiem. Popełnił samobójstwo w wieku zaledwie czterdziestu lat. Ojciec psychiatry był uzdolnionym chirurgiem, ale zaczął cierpieć na ostrą nerwicę, która z czasem także doprowadziła go do samobójstwa. Miał wówczas sześćdziesiąt pięć lat. Jeden ze stryjów Tillmanna zapadł w młodości na chorobę psychiczną i został umieszczony w zakładzie, gdzie zmarł.

Te zaburzenia psychiczne w rodzinie, jak się okazało, nie wpłynęły na Tillmanna, który okazał się zdolnym studentem w miejscowych szkołach i na wydziale medycznym. Najpierw praktykował internę w szpitalach berlińskich, a następnie zaczął się specjalizować w neurologii i psychiatrii. Wkrótce po

rozpoczęciu prywatnej praktyki zdobył olbrzymią grupę możliwych pacjentów.

Funkcjonariusze śledczy niewiele dowiedzieli się o obecnym stylu życia doktora i o jego przyjęciach koktajlowych, ale w następnych dniach przeprowadzili rozmowy z kilkunastoletnimi dziewczętami, których nazwiska podała Erika. Jedną z nich była pacjentka, inną doktor poznał przez przyjaciół, a także prawdopodobnie w barach i klubach nocnych.

Ich oświadczenia pokrywały się z tym, co mówiła Erika. Doktor początkowo zachowywał się jak prawdziwy dżentelmen. Następnie, zaskarbiwszy sobie ich zaufanie, wykorzystywał je seksualnie, czasami przyrzekając małżeństwo, by pokonać opór w podporządkowaniu się jego roszczeniom fizycznym. Wszystkie poddały się z czasem jego życzeniom.

Dla funkcjonariuszy stało się jasne, że dr Tillmann czerpał nienaturalną, perwersyjną przyjemność ze świadomego, systematycznego poniżania moralnego młodych dziewcząt.

Detektywi nie rozmawiali z trzema dziewczętami zatrudnionymi w klinice doktora Tillmanna w obawie, że doniosą mu o prowadzonym śledztwie. Od odźwiernego dowiedzieli się jednak o młodej recepcjonistce, która ostatnio przestała pracować u Tillmanna po prawie pięciu latach zatrudnienia. Podobnie jak Erika nie mogła dłużej ścierpieć przyjęć koktajlowych i obscenicznych uciech.

Ta dziewczyna dostarczyła śledczym masę informacji o tym, co się działo w dziwnym apartamencie Tillmanna. Wśród szczególnych cech doktora wyróżniało się jego nadzwyczajne zamiłowanie do urządzeń elektronicznych. W samochodzie miał zainstalowany elektryczny ekspres do kawy, elektryczny rozpylacz zapachów i urządzenie, które dzwoniło, gdy samochodowi groził poślizg na lodzie.

Jego apartament był wyposażony w siatkę przewodów elektrycznych. W kominkach i lampach zainstalowano czułe mikrofony. Były też za obrazami, pod stołami i krzesłami we wszystkich pokojach, nawet pod krzesłami w poczekalni.

Naciskając jeden z dwudziestu pięciu przycisków na stacyjce rozdzielczej w szufladzie biurka, Tillmann mógł podsłuchiwać wszystko, co mówili zatrudnieni przez niego pracownicy,

pacjenci, goście we wszystkich pomieszczeniach apartamentu i zespole pokoi kliniki. Naciskając inny przełącznik, rejestrował ich rozmowy. Kazał również zainstalować urządzenie, za pomocą którego można było zamykać i otwierać wszystkie drzwi razem i oddzielnie.

Była recepcjonistka dr. Tillmanna powiedziała, że z racji ekstrawaganckich gustów w zakresie ubrań, samochodów, dekoracji wnętrz i urządzeń elektronicznych doktor miał około 100 000 marek długu. To w dużej mierze wpływało na liczbę godzin pracy. Ponieważ jego wierzyciele ciągle upominali się o zapłatę, zapracowywał się na śmierć i przyjmował coraz więcej pacjentów.

Od dziesięciu lat nie skorzystał z urlopu, nie znajdował też czasu na czytanie medycznych pism i książek. Był opóźniony w rozwoju psychiatrii, ale błyskotliwa inteligencja, elokwencja i przekonująca osobowość sprzyjały ukryciu tego. Nieustanne napięcie, w jakim żył, sprawiło, że zaczął więcej pić i szukać ucieczki w świecie nie hamowanych praktyk seksualnych.

Na tym etapie śledztwa detektywi dotarli do byłej żony psychiatry, która żyła skromnie w Berlinie. Pracowała, by utrzymać ich córkę urodzoną wkrótce po rozwodzie. Sprowadzona do komendy szczupła, atrakcyjna brunetka, która jeszcze nie przekroczyła dwudziestu czterech lat, chętnie składała zeznanie przeciw byłemu mężowi. Młoda kobieta, pochodząca z bardzo szacownej rodziny, zaczęła w wieku szesnastu lat pracować jako stenografka w klinice doktora Tillmanna. Po pewnym czasie zaproponował jej małżeństwo, po czym uwiódł ją.

- Odkładała datę ślubu tak długo, aż zagroziłam, że oskarżę go o złamanie przyrzeczenia małżeństwa - stwierdziła. - Wtedy poślubił mnie pośpiesznie, obawiając się, że proces sądowy zrujnuje mu karierę zawodową.

Młoda kobieta powiedziała, że przez parę lat ich małżeństwo układało się dość normalnie. Później doktor pracujący w ciągłym napięciu zaczął pić - każdego wieczoru - i rozpoczęły się przyjęcia, z którymi musiała się pogodzić, przyjmując je jako normalną część ich szaleńczego życia.

- Pewnego wieczoru zażądał ode mnie „dowodu miłości do niego” - powiedziała była żona Tillmanna. - Zmusił mnie do

pójścia do łóżka z szesnastoletnim chłopcem. Nie zdawałam sobie sprawy, jaka w nim nastąpiła degeneracja psychiczna, i zastosowałam się do jego życzenia. Ale to był dopiero początek. Zmuszał mnie do stosunków z licznymi mężczyznami. Zdawał się czerpać z tego jakąś szczególną przyjemność. Dopiero później dowiedziałam się, że w czasie, gdy mi się zdawało, że jestem sama z tym czy innym mężczyzną, obserwował to przez specjalne lustro i rejestrował każde nasze słowo na ukrytym magnetofonie.

- Wreszcie tak go znienawidziłam, że wystąpiłam o rozwód. Wiedział, że mogłabym zrujnować jego praktykę, gdybym powiedziała w sądzie wszystko, co wiedziałam, dlatego nie sprzeciwił się rozwodowi. Dziś jeszcze pogardzam tym człowiekiem i jeśli tak zniszczył życie tych dziewcząt jak moje, jestem gotowa zeznawać przeciw niemu w sądzie.

Inspektor Baumann otrzymał od byłej żony psychiatry wyczerpujące oświadczenie na piśmie, które uwzględniało wiele szokujących szczegółów z obscenicznych przyjęć doktora.

Był to zastraszający materiał dowodowy, ale Baumann chciał jeszcze znaleźć świadka, który zeznałby o przestępczej działalności doktora w ostatnich czasach. Jego ludzie znaleźli taką osobę. Była to dawna pielęgniarka zatrudniona przez Tillmanna i mieszkająca w jego apartamencie. Nazywała się Angela Neubauer. Powiedziała, że nie dopuściła do uwiedzenia jej przez doktora, i skutecznie zamykała drzwi do swego pokoju, gdy jego goście próbowali się tam dostać w nadziei na stosunki seksualne z nią.

Ale inspektor pragnął czegoś więcej. Nadal - jako pacjent - regularnie odwiedzał Tillmanna. Dotąd jednak nie udało mu się dostać na żadne z przyjęć doktora. Ufając, że nastąpi taka okazja, obserwował apartament i ambulatorium wieczorami, po swoich wizytach. Sytuacja, na którą czekał, nastąpiła wreszcie pewnego śnieżnego wieczoru, gdy zorientował się, że z budynku wychodzi pośpiesznie młoda para. Dziewczyna, śliczna brunetka, szlochała, a jej młody towarzysz próbował ją pocieszyć. Baumannowi udało się usłyszeć strzępek ich roz-

mowy, gdy młody człowiek powiedział, że złapią taksówkę, by udać się do komisariatu, aby zgłosić, że przyjacielski doktor jest maniakiem seksualnym.

Baumann natychmiast do nich podszedł i przedstawił się jako inspektor policji. Powiedział, że sam zawiezie ich na policję. W komendzie zaprowadził ich do głównego inspektora.

Przyciskając chusteczkę do oczu, dwudziestojednoletnia dziewczyna o imieniu Inga opowiedziała o swoich wstrząsających przeżyciach. Poznała doktora w domu przyjaciółki. Wtedy zaprosił ją na przyjęcie. Przyjęła zaproszenie pod warunkiem, że będzie mogła przyjść z narzeczonym.

- Nie miałam pojęcia, jakie to będzie przyjęcie - powiedziała. - Gdy tam się znaleźliśmy, tańczyła jakaś naga dziewczyna, a mężczyźni robili lubieżne uwagi. Inne dziewczęta także później rozebrały się do naga. Tęgi mężczyzna w średnim wieku poprosił mnie do tańca, a następnie zaprowadził do ciemnego pokoju i zaczął sobie pozwalać na haniebne wyczyny. Spoliczkowałam go i wyostałam się stamtąd.

Następnie Inga powiedziała, że zaprosił ją do tańca doktor Tillmann. Podobał jej się, więc nie zawahała się.

- Spytał mnie, czy chciałabym obejrzeć jego mieszkanie, a ja zgodziłam się - mówiła dziewczyna. - Zaprowadził mnie do sypialni obwieszanej ciężkimi zasłonami z dużym łóżkiem przykrytym złotą kapą. Następnie, po włączeniu przez niego kontaktu na ścianie, zamknęły się drzwi i usłyszałam szcęk zamka. Wtedy objął mnie ramionami. - Twój chłopiec nie potrzebuje się o tym dowiedzieć - powiedział.

Inga wyznała, że gdy zrozumiała jego zamiary, wyrwała się z uścisku i podbiegła do drzwi. Stwierdziła jednak, że z tej strony nie ma klamki i nie może ich otworzyć. Walała w wyściełaną powierzchnię i krzyczała, ale Tillmann tylko się śmiał.

- To pokój nie przepuszczający dźwięków - powiedział jej. - Możesz krzyczeć, i tak nikt nie usłyszy.

Następnie ponownie ją chwycił. Próbowała z nim walczyć, ale był znacznie od niej silniejszy. Zaciągnął ją na łóżko i zgwałcił.

- Następnie powtórzył mi, że nie powinnam mówić o tym mojemu przyjacielowi - wyznała. - Zagroził, że spowoduje coś

znacznie gorszego dla mnie, gdybym kiedykolwiek opowiedziała o tym. Potem nacisnął ukryty kontakt i wypuścił mnie z pokoju.

Dziewczyna od razu wyznała swemu narzeczonemu, że Tillmanna ją zgwałcił. Ten chciał pobić doktora, ale przekonała go, że muszą natychmiast stamtąd wyjść i zgłosić to policji.

Gdy dziewczyna skończyła swoje opowiadanie, inspektor Baumann spytał ją:

- Czy zgodzi się pani zeznawać w sądzie to wszystko, co pani mi opowiedziała?

- Tak - odpowiedziała porywczo dziewczyna. - Zrobię wszystko, by wsadzić tego człowieka do więzienia!

Po zorganizowaniu odwiezienia młodych ludzi do ich domów, Baumann przedyskutował sprawę z głównym inspektorem. Zdecydowali, że teraz mają dość dowodów, by przekazać sprawę do prokuratury i nadać jej dalszy bieg.

W ślad za tym inspektor Baumann i jego ludzie udali się następnego dnia do apartamentu Tillmanna i zaarrestowali go. Zaskoczony doktor protestował oburzony, ale nie stawiał oporu, gdy prowadzono go przez poczekalnię pełną pacjentów do samochodu policyjnego.

Inna ekipa policjantów zatrzymała w tym czasie kilkunastu przyjaciół doktora, którzy uczestniczyli w jego przyjęciach. Wszystkich wzięto na przesłuchanie. Mężczyzn tych - a większość była wybitnymi przedstawicielami biznesu i kół zawodowych Berlina Zachodniego - zapewniono, że ich nazwiska nie będą ujawnione, i zwolniono za kaucją. Doktorowi Tillmannowi, oskarżonemu o szereg poważnych przestępstw, odmówiono wyjścia na wolność za kaucją.

W sześć miesięcy później, na początku lipca, sprawa stanęła przed sądem. Sądziła sędzina Yorck von Worthenburg. Prokurator, błyskotliwa i energiczna trzydziestoczteroletnia Hilda Vierlich-Muller, przygotowała miażdżące dowody przeciw oskarżonemu. Doktor siedział błądy i niemy, słuchając oskarżeń o przerażające przestępstwa wobec nieletnich dziewcząt, byłej własnej żony i dwudziestojednoletniej Ingi, która oskarżyła go o gwałt.

Przez osiem dni młode ofiary doktora Tillmanna składały zeznania, podczas gdy duża grupa dziennikarzy z całej Europy

tłoczyła się w miejscu dla prasy. Zgodnie z rozporządzeniem sądu ujawniono tylko imiona ofiar. »

Jednym z najbardziej kulminacyjnych punktów rozprawy (w części przy drzwiach zamkniętych) było zeznanie pięknej brunetki Marthe, zwyciężczyni konkursu piękności. Zgłosiła się ona do doktora Tillmanna, gdyż czuła, że rozpaczliwie potrzebuje pomocy psychiatrycznej. Piękna dwudziestolatka próbowała popełnić samobójstwo po nieudanym romansie. Ponieważ zamiar się nie udał, zaczęła pić ponad miarę.

Zamiast przywrócić jej równowagę psychiczną, wybitny psychiatra upił ją, uwiódł i wprowadził w rozwiązłe życie. Marthe powiedziała w sądzie, że doktor przyjmując ją jako pacjentkę, oznajmił jej, że nie potrzebuje troszczyć się o pieniądze.

- Jak często z nim się pani spotykała? - spytała sędzina von Worthenburg.

- Przez pierwsze trzy tygodnie prawie codziennie - odpowiedziała dziewczyna.

- Co się stało później?

- Opowiedziałam mu o moim dzieciństwie, młodości i całym życiu. Gdy mu wyznałam, że chcę rzucić picie, spytał mnie, jaką ilość alkoholu wytrzymuję. Powiedział, że chce mnie wypróbować. Zmusił mnie do picia razem z nim. Właśnie wtedy doszło do intymnego stosunku między nami. Byłam zbyt pijana, by mu się oprzeć.

- Czy wróciła pani bardzo późno tego wieczoru?

- Tak - padła odpowiedź na pytanie sędziny - i bardzo pijana. Moi rodzice bardzo się gniewali, a ojciec wyrzucił mnie z domu. Wtedy wróciłam do doktora Tillmanna i on mnie przyjął.

Odpowiadając na inne pytania, Marthe powiedziała, że wielokrotnie brała udział w przyjęciach doktora. Sędzina spytała z kolei, co w czasie tych przyjęć robiła.

- Dziewczęta chodziły w koło prawie zupełnie rozebrane.

- Prawie zupełnie rozebrane? - ostro powtórzyła sędzina. - Już powiedziano nam tutaj, że dziewczęta były nagie, i pani też musiała być naga.

Wtedy Marthe przyznała, że istotnie tak było. Dalej zeznawała, że doktor, do którego przyszła, by pomógł jej

w porzuceniu picia, zachęcał ją do picia, a potem skłaniał do intymnych stosunków seksualnych z zaproszonymi mężczyznami na sprośnych przyjęciach, które urządzał regularnie.

Sensacyjne zeznania Marthe i innych świadków nie pozostawiły wielu wątpliwości co do winy doktora Tillmanna. Obrońca oskarżonego dr Otto Weyer mógł tylko stwierdzić, że Tillmann pracował długo pod wyczerpującym napięciem i popadł w chorobę psychiczną dziedziczną w jego rodzinie.

- Jest jednym z najlepszych psychiatrów Berlina - zwrócił się adwokat do sądu - ale sam bardziej potrzebował psychiatry niż jego pacjenci.

Jednakże ta obrona nie wpłynęła na ławę przysięgłych składającą się z ośmiu mężczyzn i dwu kobiet. Wydawało się im, że doktor wystarczająco panował nad własną świadomością, by stworzyć warunki do uwiedzenia i gwałcenia niewinnych dziewcząt, urządzając pokoje z nieprzepuszczającymi dźwięków ścianami i drzwiami bez klamek.

Po wysłuchaniu świadków i rozpatrzeniu dowodów przedstawionych w dziesięciodniowym procesie, sędziowie po dyskusji wydali wyrok uznający doktora Tillmanna winnym wszystkich przestępstw.

Współoskarżeni z doktorem zostali skazani za współudział w deprawowaniu nieletnich i wyszli na wolność po zasądzeniu im grzywien różnej wysokości. Głównego oskarżonego sąd skazał na sześcioletni pobyt w więzieniu.

Mógł zostać skazany na dożywocie. Wielu Niemców, oburzonych na rozkład moralny, którego doktor był sprawcą, wyrażało niezadowolenie i sprzeciw, że spotkała go taka lekka kara. Inni cieszyli się, że jego cela będzie miała zakratowane drzwi, których nie da się otworzyć po naciśnięciu ukrytego kontaktu.

Nota wydawcy

Erika, Inga i Marthe nie są prawdziwymi imionami osób występujących w tym reportażu. Użyto fikcyjnych imion, by spełnić warunki przewidziane przez niemieckie przepisy polityczne.

Jack Goulding

DWANAŚCIE OFIAR ANIOŁA ŚMIERCI

Na cztery dni przed śmiercią sześćdziesięciosześcioletnia Florence Gibbs znalazła się w szpitalu Centinela w Kalifornii. Narzekała na mdłości i bóle żołądka. Był to koniec tygodnia i gabinety wielu lekarzy były zamknięte, rodzina zawiozła ją zatem na badania do szpitala.

Diagnoza brzmiała: wysoki poziom cukru. Wkrótce chora popadła w stan, który zdawał się być śpiączką diabetyczną, i umieszczono ją na oddziale intensywnej terapii.

Po zastosowaniu leczenia powoli powracała do zdrowia. Rodzinie powiedziano, że następnego dnia będzie mogła wrócić do domu, gdzie powinna pozostawać na diecie płynnej.

Jednakże starsza kobieta nie powróciła do domu żywa. W parę godzin potem, jak powiedziano, że jej stan jest na tyle dobry, że może wrócić do domu, zmarła. Krewni i przyjaciele, włącznie z jej lekarzem domowym, byli zaskoczeni tą nagłą śmiercią.

W świadectwie zgonu wystawionym przez koronera hrabstwa była lakoniczna adnotacja: *Córka powiedziała, że ktoś jej*

matkę otruł. Pod tym widniała data 5 marca 1981 roku - dzień, w którym kobieta zmarła. Formalnie stwierdzono, że śmierć spowodował zawał serca w wyniku choroby nadciśnieniowej. Jednakże poprzednie badania nie wykazały, że kobieta chorowała na serce.

Nie przeprowadzono badań sekcyjnych zwłok zmarłej i jej śmierć nie została wyjaśniona.

Rodzina była przekonana, że ze śmiercią Florence Gibbs wiązała się jakaś nieuczciwa sprawa. Jeden z krewnych powiedział dziennikarzowi, że ktoś ją zabił. - Czuję to w głębi serca i aż się gotuję na tę myśl... Prosiła mnie, abym ją zabrał z tego szpitala, a ja nie zrobiłem tego.

W wypadku śmierci starszych osób, które umierają w następstwie oczywistych objawów sercowych, nie przeprowadza się badań sekcyjnych, chyba że zachodzi poważne domniemanie, iż ma się do czynienia z jakąś podejrzaną sprawą. Schorzeń wieńcowych u starszych osób nie zalicza się do niezwykłych.

I tak pozostawiono ten przypadek. Gdyby cokolwiek podejrzewano, sekcja powinna się odbyć zaraz po śmierci pani Gibbs. Mogłoby to uratować życie wielu starszych pacjentów pozostających na leczeniu szpitalnym.

21 kwietnia 1981 roku, dwa miesiące po śmierci pani Gibbs, zastępca koronera hrabstwa San Bernardino odebrał wkrótce po północy anonimowy telefon. Jakaś kobieta informowała go o dziewiętnastu nagłych, tajemniczych zgonach w Community Hospital w Valleys w pobliżu Perris. Te zgony nastąpiły w okresie dwóch tygodni.

W rzeczywistości okazało się, że w szpitalu o 35 łóżkach w Perris było jedenaście takich zgonów, a w pobliskim Banning, w szpitalu o 68 łóżkach - jeden.

Nieszczęsne ofiary nieznanego zabójcy zostały zidentyfikowane przez biuro szeryfa hrabstwa Riverside. Byli to:

Irenę Anne Graham, lat 89, z Perris. Przyjęta do szpitala 29 marca, zmarła 30 marca.

Bernard Vernon-Lee Kean, lat 52, z Perris. Przyjęty 4 kwietnia, zmarł tego samego dnia.

Beatrice Roberson Cline, lat 79, z Perris. Przyjęta 4 kwietnia, zmarła następnego dnia.

Minnie Lee Dampsey, lat 89, z Sun City. Przyjęta 4 kwietnia, zmarła następnego dnia.

Gertrudę I. Bryant, lat 63, z Perris. Przyjęta 6 kwietnia, zmarła 11 kwietnia.

John W. Rainwater, lat 95, z Mead Valley. Przyjęty 9 kwietnia, zmarł 11 kwietnia.

Kenneth Lancelot Silvera, lat 82, z Perris. Przyjęty 13 kwietnia, zmarł 14 kwietnia.

Marian E. Stewart, lat 80, z Sun City. Przyjęty 10 kwietnia, zmarł 14 kwietnia.

Henry Castro, lat 65, z Mead Valley. Przyjęty 17 kwietnia, zmarł 20 kwietnia.

Virginia Bayless, lat 78, z Perris. Przyjęta 19 kwietnia, zmarła 20 kwietnia.

Bertha Mae Boyce, lat 74, z Homeland. Przyjęta 20 kwietnia, zmarła 22 kwietnia.

J. Clifford Swanson, 79 lat, z Cherry Valley. Przyjęty 21 kwietnia, zmarł 25 kwietnia. Był on jedynym z tej listy zmarłym po zastrzyknięciu lidokainy, który zmarł w szpitalu San Gorgonio Pass Memoriał w Banning.

Wszystkie te zgony nastąpiły w marcu i kwietniu 1981 roku. Każdy z nich był tajemniczy. Ofiary były w podeszłym wieku. Objawy były w każdym przypadku identyczne i nie wiązano z tym żadnych motywów.

Wszyscy zakończyli życie o pierwszej godzinie w nocy, ewentualnie czwartej lub siódmej rano. Wszyscy zmarli na oddziałach intensywnej terapii w dwóch szpitalach.

Szeryf hrabstwa Riverside surowo ocenił szpital w Perris za to, że nie zawiadomiono jego biura o niezwyklej liczbie zgonów w tych samych okolicznościach.

Detektywi rozpoczęli śledztwo od rozmów z personelem obu szpitali.

Na wiadomość o znacznej liczbie leciwych pacjentów zmarłych na oddziałach intensywnej terapii w szpitalach hrabstw Riverside i San Bernardino koroner hrabstwa Los Angeles powiedział dziennikarzom, że zwłoki pacjentów (może nawet 30 przypadków), którzy zmarli w dość niezwykłych okolicznościach w hrabstwie Los Angeles, mogą być poddane ekshumacji.

Sekcje wykazały w tkankach śmiertelne dawki lidokainy, silnego środka farmaceutycznego.

W jednym przypadku ilość lidokainy znaleziona w preparatach tkanek przewyższała o 50% dawkę śmiertelną. W czterech przypadkach znaleziono ślady lidokainy u pacjentów, którym nie przepisano tego leku.

Władze policyjne hrabstwa Riverside stwierdziły, że pewne ilości lidokainy otrzymane do zbadania ze szpitala w Perris zostały sfałszowane... nie podano dlaczego i przez kogo. Niemniej były to śmiertelne leki.

Administracja szpitala w Perris podejrzewała, że ktoś fałszował lidokainę. Większość zasobów leku zwrócono do producenta w Chicago.

Badający próbki w Chicago odkryli, że w pewnych przypadkach zawierały one bardzo niską ilość czystego leku. Jednakże w co najmniej jednym przypadku lidokaina otrzymana ze strzykawek używanych w szpitalu *była znacznie bardziej skoncentrowana, niż oznaczono na ampułce.*

Producent sprawdził własne zapasy lidokainy z tej samej serii, co używane w szpitalu w Perris, ale nie odkryto w nich nieprawidłowości.

Szczegółowe badanie kilku zwłok wykazało, że znaleziono w nich ten środek stosowany do zwalczania zaburzeń rytmu serca. Po długim czasie od zastosowania lidokaina może być niewykrywalna. Ma jednak tendencję do koncentracji w organizmie po serii normalnych dawek.

Następnie rozpatrzono przypadek Raymonda A. Palmera, który zmarł w wieku 58 lat 1 lutego 1981 roku w szpitalu Centinela - tym samym, w którym w miesiąc później zmarła w tajemniczych okolicznościach pani Gibbs.

Palmer długo cierpiał na chroniczne schorzenie płuc. Nie stwierdzono tego u pani Gibbs. Palmera trzymało przy życiu oddychanie za pomocą respiratora. Pani Gibbs nie należała do tak ciężkich przypadków.

U Palmera nagle wystąpił niski poziom cukru we krwi. Później to samo zaobserwowano u pani Gibbs.

Specjalista chorób płucnych stwierdził, że Palmer zareagował dobrze na typowe leczenie przedawkowania insuliny

- podano mu roztwór cukru w wodzie. Jednak po krótkiej poprawie zmarł z powodu nie dających się opanować zaburzeń rytmu serca i w efekcie ustania pracy serca, tak samo jak pani Gibbs.

Po zapoznaniu się z historią choroby Palmera, specjalista chorób płucnych początkowo uważał, że pacjent zmarł z przyczyn naturalnych, ale stwierdził to, jednocześnie sugerując, że mógł dostać niepotrzebny zastrzyk insuliny albo lidokainy. Powiedział, że jego zdaniem było wątpliwe, by w czasie sekcji zwłok można było stwierdzić obecność insuliny.

Dodał, że Palmer był tak chory, że rodzina zgodziła się, iż nie należało podejmować dramatycznych prób podtrzymania go przy życiu. Każda nowa choroba mogła spowodować jego śmierć.

Zgon Berthy Mae Boyce, siedemdziesięcioletniej pacjentki z Homeland, także uznano za dziwny. Przyjęto ją do szpitala w Perris 17 kwietnia 1981 roku. Zmarła 22 kwietnia. Zwłoki jej złożono w zapieczętowanej trumnie, w kostnicy Riverside załadowano do furgonetki i zawieziono do krematorium, gdzie przejęli je funkcjonariusze szeryfa, zanim zdążono je spalić.

Seria bardzo skomplikowanych badań wykazała, że pani Boyce zmarła z powodu znacznego przedawkowania lidokainy, leku związanego z dziesięcioma innymi zgonami w szpitalu w Perris i jednym w szpitalu San Geronimo Pass w Banning.

Choć śledztwo w sprawie tych zgonów ciągnęło się od pewnego czasu, detektywom nie udało się osiągnąć zadowalających wyników. Zdawało się, że najlepiej będzie skoncentrować się na rozkładzie zajęć personelu szpitalnego. Sądono, że kobieta, która anonimowo doniosła o niezwyklej liczbie zgonów, należała do personelu. Znała nazwiska zmarłych, numery ofiar w kartotece historii chorób i zwyczajnie większości pracowników.

W tym czasie pewien doktor zatrudniony w szpitalu doniósł detektywom, że zginęły mu notatki z oddziału intensywnej terapii. Podał nazwisko osoby, którą posądzał o kradzież. Detektywi dostali nakaz rewizji i późną nocą zrobili nalot na mieszkanie pielęgniarki zatrudnionej w szpitalu w Perris.

Jednakże detektywów bardziej niż skradzione notatki zainteresowały godziny pracy pielęgniarsza, które pokrywały się z czasem zabójstw. Pracował on na oddziale intensywnej terapii.

Notatek nie znaleziono w jego domu, natomiast były tam dwie fiołki lidokainy, spora ilość morfiny, strzykawka i niewielki zapas środków nasercowych.

Pielęgniarsz powiedział, że przyniósł lidokainę przez roztargnienie, bo często w nagłych wypadkach lekarze i personel pielęgniarski wkładają leki do kieszeni fartuchów i zapominają o nich.

Oświadczył, że znalazł opróżnioną do połowy fiołkę z morfiną i miał zamiar zgłosić ten fakt kierowniczce personelu pielęgniarskiego, ale przestał pracować w tym szpitalu. Poinformował też detektywów, że strzykawkę dostał od przyjaciela, by wstrzyknąć lekarstwo swemu kotu.

Podczas gdy po rewizji w domu pielęgniarsza dziennikarze zadawali mu pytania, rodzina Florence Gibbs oglądała telewizję w Los Angeles. Natychmiast rozpoznano pielęgniarsza jako tego, który opiekował się ich matką w szpitalu w Centinela w marcu 1981 roku.

Ale ani pielęgniarsz, ani nikt inny nie został oskarżony o morderstwo kobiety z Los Angeles - nie było dowodów. Pielęgniarsz zaprzeczył, jakoby miał jakieś naganne związki z pacjentami zmarłymi w tajemniczych okolicznościach w dwóch szpitalach hrabstwa Riverside w okresie dwóch lat, kiedy tam pracował.

Według niego do śmierci pacjentów mogły się przyczynić błędne diagnozy lekarzy szpitalnych, możliwe skażenie podawanych im leków i niewystarczająca opieka pielęgniarska.

Powiedział detektywom, że zdarzały się noce, gdy był jedynym pielęgniarszem z dyplomem na oddziale obejmującym 36 łóżek szpitala w Perris. Dokumenty dotyczące chorób pacjentów, które były do jego dyspozycji, nie uwzględniały historii choroby; nie udostępniono mu także informacji o zmianach w stanie pacjentów. Przyznał, że w razie nagłego niebezpieczeństwa musiał postępować zgodnie z tym, co mu dyktował zdrowy rozsądek.

Poinformował jeszcze policjantów, że nie udało mu się przekonać swoich zwierzchników, by zbadali, czy zasób lidokainy w szpitalu nie jest przypadkiem skażony, i że taka liczba zgonów w czasie jedenastu dni, gdy pracował w tym szpitalu, przysporzyła mu „strachu”.

Powiedział, że w czasie jego pierwszego nocnego dyżuru w szpitalu w Perris zmarło dwóch pacjentów. Czuł, że prokuratura rejonowa chciała „wrobić” go, sugerując, iż jest głównym podejrzanym w przypadkach tych zabójstw. Przyznał, że jeden z pacjentów zmarł na jego zmianie 23 kwietnia 1981 roku w szpitalu San Gorgonio Pass w Banning. Powiedział, że nie zajmował się tym pacjentem, opiekował się nim lekarz.

Dopiero 23 listopada 1981 roku, w pięć miesięcy później, aresztowano innego pielęgniarsza, czterdziestodwuletniego Roberta Diaza, oskarżając go o 12 zabójstw. Wtedy po raz pierwszy usłyszano o Diazie w związku z podejrzeniem dokonania zabójstw. Wcześniejsze oskarżenie go za posiadanie narkotyków zostało oddalone.

W nakazie aresztowania oskarżano go o spowodowanie jedenastu zgonów pacjentów w szpitalu Perris i jednego w Banning.

Zastępca prokuratora okręgowego hrabstwa Riverside Thomas Hollenhorst powiedział, że aresztowanie nastąpiło po kilku ekshumacjach i przebadaniu zapisów szpitalnych, które wykazały *typowy plan i zamiary* w przypadku wszystkich dwunastu zgonów.

Hollenhorst oznajmił, że zabójstwa zdarzały się w szpitalach, gdy pracował w nich Diaz. Ofiary zmarły wcześniej rano w czasie dyżuru Diaza na oddziale chorób wieńcowych i intensywnej terapii.

Zastępca prokuratora, który obecnie jest sędzią w sądzie miejskim, stwierdził, że wydawało się dziwne, iż wszystkie ofiary zmarły w określonym czasie - pierwsza godzina w nocy i czwarta rano, kiedy pracował Diaz, i na krótko przed siódmą rano, kiedy opuszczał szpital udając się do domu. *Wygłądało nieomal tak, jakby to był określony czas umierania.* Diaz pracował na dziesięciu dyżurach w okresie dwunastu dni, kiedy pacjenci zmarli.

Aresztowanie Diaza pod zarzutem morderstw nastąpiło po prawie siedmiu miesiącach przygotowań do rozwikłania tej sprawy.

Dokumenty szpitalne wykazały, że Diaz miał do czynienia z każdą z ofiar. Przed śmiercią wszyscy narzekali na mdłości, zawroty głowy, gwałtowne drgawki; stwierdzono wysoki poziom kwasu we krwi i niezwykłą sinicę górnej części ciała.

Diaz bronił się, składając pozew do sądu przeciw hrabstwu Riverside i żądając odszkodowania w wysokości wielu milionów dolarów; oskarżał władze sądowe tego stanu o zniesławienie i pozbawienie go praw obywatelskich. Skarżył się, że oskarżenia zrujnowały mu życie, i narzekał, że podejrzewano go od miesięcy, ale nie wysunięto przeciw niemu oskarżeń prawie przez cały rok śledztwa. A nawet na tym etapie rozporządzano jedynie dowodami pośrednimi.

Hollenhorst oznajmił: *Dowody są złożone i wymagają zweryfikowania przez ekspertów z zakresu medycyny. Będzie to trudna rozprawa.*

Kim był Robert Diaz? Przyznał się, że zawsze chciał zostać lekarzem, ale będąc za stary, by studiować medycynę, zdecydował się na szkołę pielęgniarstwa na Purdue University w Calumet, Indiana. Na studiach zarabiał opracowując przepowiednie i wykresy astrologiczne dla przyjaciół i studentów.

Diaz uważał siebie za mistyka egipskiego, który żył w poprzednim życiu pod postacią króla Tutenchamona. Jego koledzy przeważnie uważali go za dobrego pielęgniarza, ale mówili, że mu brak piątej klepki.

Diaz przypisywał sobie pochodzenie w prostej linii od Cyda, narodowego bohatera hiszpańskiego, który w 1094 roku zdobył Walencję z rąk Maurów.

- Był gadułą - stwierdziła jedna z jego koleżanek ze szkoły pielęgniarstwa, która nie chciała ujawnić publicznie swojej tożsamości. - Doprowadzał wszystkich do szału, chcąc pouczyć o pielęgniarstwie, ale sam był miernym studentem. Nie wyobrażaliśmy sobie, jak dojdzie do dyplomu, ale udało mu się.

Ktoś z jego krewnych powiedział, że któregoś dnia Diaz chciał uśmiercić swojego psa nalegając, by ktoś przytrzymał zwierzę, podczas gdy on zagazuje je za pomocą węża gumowego

podłączonego do pieca kuchennego. Diaz z wielkim zadowoleniem opowiadał rodzinie o krwawych zabiegach medycznych, w których uczestniczył; wybierał godziny kolacji, by o nich mówić - powiedział krewny.

Przyszły pielęgniarz był jednym z trzynaściorga rodzeństwa w rodzinie mieszkającej w mieście hutniczym, gdzie wytapiano stal. Było to miasto Gary w Indianie. W wieku osiemnastu lat wstąpił do marines, ale zdezercerował i zwolniono go ze służby wojskowej, gdyż orzeciono, że się nie nadaje. Ktoś powiedział, że w czasie nauki w szkole pielęgniarstwa zawsze należał, by go przedstawiano jako „doktora Diaza”.

Po dwumiesięcznym wstępnym dochodzeniu liczba zabójstw, o które podejrzewano Diaza, zmniejszyła się do dwunastu zamiast pierwotnie mu zarzucanych dwudziestu siedmiu. Kilka ofiar zabił od razu po wstrzyknięciu lidokainy. W innych przypadkach odurzenie lidokainą dodatkowo przyczyniło się do zgonów pacjentów.

Proces Diaza rozpoczął się wreszcie na początku 1984 roku. John J. Barnard, sędzia Sądu Najwyższego, przesłuchiwał oskarżonego bez udziału w rozprawie ławy przysięgłych. Proces ciągnął się prawie pięć miesięcy. Przez cały czas oskarżenie nie przedstawiło motywów licznych zabójstw.

Pielęgniarki szpitali, gdzie nastąpiły zabójstwa, zeznawały w czasie rozprawy, że Diaz zdawał się z zadowoleniem grać rolę lekarza wobec ciężko chorych w czasie nagiego zagrożenia ich życia.

Dopiero w czasie rozprawy ludzie zaczęli sobie uświadamiać ogrom zbrodni. Dwunastu starszych ludzi - a byli wśród nich tacy, którzy na włosku trzymali się życia - pozbawił strzępów szansy wyleczenia, używając ich jako pionków we własnej grze.

Na rozprawie - w gruncie rzeczy była to potyczka między rzeczoznawcami medycznymi - zeznawało 71 świadków oskarżenia i 12 obrony.

Kilku rzeczoznawców medycznych na rzecz obrony dowodziło, że pacjenci zmarliby na serce albo w wyniku schorzeń wieku starczego, nie tylko na skutek zastrzyknięcia niedozwolonych ilości narkotyków.

Powiedzieli na przykład, że lecznicze dawki tych środków farmaceutycznych mogą się kumulować u pacjentów cier-

piących na serce i w ten sposób powodować ich wysoki poziom znaleziony w zwłokach ofiar. Zeznania 71 świadków oskarżenia różniły się. Byli tacy, którzy twierdzili, że Diazowi sprawiało przyjemność „uchodzić za doktora”, że często postępował dziwnie, czasami przewidywał głośno, iż u pacjentów, których stan był stabilny, wkrótce może nastąpić niebezpieczne pogorszenie i umrą - i kilku rzeczywiście umarło.

Jedna z pielęgniarek zeznała, że któregoś dnia w czasie rozmowy z Diazem usłyszała od niego, że pacjent Lee Jones *znajdzie się w trudnej sytuacji* tej nocy. 25 marca 1981 roku, w czasie dyżuru Diaza między 11 wieczorem a 7 rano, Jones zmarł, tak jak przewidywał pielęgniarz.

Diaz powiedział także pielęgniarkom, że zawsze miał przy sobie lidokainę w razie nagłego pogorszenia stanu pacjenta. Świadek oskarżenia stwierdziła, że osiemdziesięciodwuletni pacjent desperacko przeciwstawiał się zastrzyknięciu mu lidokainy. Na szczęście wkroczyła pielęgniarka i nie dopuściła do zastosowania zastrzyku.

Kilka pielęgniarek zeznało, że widziały Diaza „przemykającego się” w nocy z jednego pokoju do drugiego i wykonującego zastrzyki nie zlecone przez lekarzy.

Diaz przez sześć dni składał zeznania mówiąc, że jedynie w sytuacji, gdy zachodziła groźba śmierci, stosował ratujące życie zastrzyki.

Jeśli chodzi o jego niesamowite przepowiednie zgonów, obrona dowodziła, że Diaz przewidywał zagrożenie tylko u tych pacjentów, u których obserwował pogorszenie stanu zdrowia. Utrzymywał, że żadnemu pacjentowi nie wstrzyknął śmiertelnej dawki lidokainy.

Przypomniał przypadek siedemdziesięciodziewięcioletniej Beatrice Cline, przyjętej do szpitala 4 kwietnia, w dniu jej urodzin. Powiedział, że *przywieźli ją w stroiku króliczka* (w piżamie). Chwyciła go za rękę, a on starał się ją pocieszyć.

- Ta pacjentka bardzo mnie zasmuciła - powiedział. Beatrice Cline zmarła 5 kwietnia. Diaz został z czasem oskarżony o spowodowanie jej zgonu.

Zeznał także, że pewnej nocy jeden ze świeżo przyjętych pacjentów cuchnął alkoholem, był „zadziorny” i umarł następ-

nego dnia. Powiedział, że temu pacjentowi zlecono valium, morfinę i lidokainę, ale żaden z tych leków nie przyniósł efektu. Oskarżony nie mógł sobie przypomnieć, kto zlecił lkiokainę, ale utrzymywał zdecydowanie: *Tej nocy nie podałem pacjentowi żadnych leków.*

Zastępca prokuratora okręgowego Patrick Magers podkreślił sprzeczności między zeznaniami Diaza a poprzednimi wypowiedziami świadków, ale Diaz nie chciał słyszeć o zmianie swoich oświadczeń.

Inny lekarz zeznał, że zostawił swoje notatki na szafce na oddziale intensywnej terapii, gdzie pracował Diaz. Notatki z historią choroby pacjenta zniknęły i nie znaleziono ich. Diaz zaprzeczył, jakoby widział takie notatki, ale to skłoniło policjantów do przeszukania jego mieszkania, gdzie znaleziono narkotyki.

Wielu zeznaniom Diaza dotyczącym dawek lidokainy zlecanych pacjentom zaprzeczyli inni świadkowie. Diaz stwierdził, że zawsze stosował dawki praktykowane w szpitalu.

Podejrzany zaprzeczył, jakoby mając na myśli siebie i innego pielęgniarza mówił o „morderczym duecie”. Zaprzeczył także, jakoby wpadał i wypadał z pokoju pacjentów „jak motyl”.

Zapytany, czy kiedykolwiek wstrzyknął pacjentowi jeden gram lidokainy i *przyglądał się, co z tego wyniknie*, zaprzeczył. Przyznał się, że czasami odgrywał rolę lekarza podczas niebezpiecznej zmiany stanu pacjenta, gdyż lekarze nie robili wtedy nic.

W jednym przypadku, w piątek, 30 marca 1984 roku, wkrótce po upływie roku, odkąd zanotowano pierwszy podejrzany zgon, sędzia John J. Barnard wydał wyrok uznający Diaza winnym dwunastu morderstw starych pacjentów przez stosowanie za dużej dawki leku regulującego pracę serca w dwu szpitalach w hrabstwie Riverside, gdzie był zatrudniony.

Zaraz po wydaniu wyroku Diaz zwrócił się do swoich adwokatów siedzących przy stole obrony. Z racji „szczególnych okoliczności” wielokrotnego morderstwa Diaz mógł być skazany albo na śmierć w komorze gazowej albo na dożywotnie więzienie bez możliwości wcześniejszego zwolnienia. Ponieważ ta rozprawa orzekła o najwyższej karze, przewidywano automatyczną apelację.

Obrońcy z urzędu Michael B. Lewis i John J. Lee powiedzieli reporterom:

- Jesteśmy zadowoleni, bo sędzia zapewnił oskarżonemu sprawiedliwy proces.

Lewis powiedział, że jeszcze nie zdecydowali, jak podejść do rozprawy apelacyjnej.

Zapytany, co czuje po wyroku, Lewis odpowiedział krótko: - Jestem zawiedziony. - Oskarżyciel, zastępca prokuratora okręgowego Magers powiedział tylko: - Czuję się wspólnie.

Przedtem Magers użył o pielęgniarzu określenia „po prostu zabójca”. Powiedział, że prokuratura była nastawiona, aby udowodnić wszystko albo nic: albo uznanie Diaza winnym wszystkich morderstw, albo uwolnienie go od winy.

- Gdybym miał wysunąć jeden dowód winy, to w moim przekonaniu byłyby to strzykawki - dodał Magers.

Miał na myśli trzy strzykawki, w których znaleziono ślady lidokainy. Gdyby te strzykawki były pełne, zawierałyby jeden gram leku, dziesięć razy więcej niż zwykłe dawki stosowane w celach leczniczych.

Strzykawki znaleziono w szpitalu w Perris, gdzie między 30 marca a 22 kwietnia 1981 roku zmarło jedenastu pacjentów.

Na dwóch strzykawkach były etykiety naklejone przez Diaza z nazwiskiem chorego, który otrzymał zastrzyk. Po rozpoczęciu przez koronera przesłuchań w sprawie tajemniczych zgonów zostały umieszczone w pudełku, w którym zbierano w szpitalu zużyte strzykawki po lidokainie. Składając zeznanie jako jeden z dwunastu świadków obrony, Diaz wyjaśnił, że strzykawki wykorzystane jako dowody nie były tymi strzykawkami, które on umieścił w pudle.

W dwa tygodnie po wyroku uznającym Diaza winnym, został skazany na karę śmierci w komorze gazowej.

Ogłaszający wyrok sędzia Barnard powiedział, że zdecydował się na karę śmierci, ponieważ *obciążające okoliczności w tej sprawie przeważały nad okolicznościami łagodzącymi*. Nie rozwinął jednak tego tematu.

- Właśnie waga i natura zbrodni stały się czynnikami, którymi się kierował sędzia. Pan Diaz zamordował z premedy-

tacją i rozmyślnie otruł dwunastu ludzi - stwierdził prokurator Magers.

- Jestem zawiedziony i zasmucony wyrokiem - powiedział adwokat Lewis. - Sądziłem, że występuje uzasadniona wątpliwość co do winy oskarżonego. Z tego względu nie przypuszczałem, że może być orzeczona kara śmierci.

W trwającym pięć miesięcy procesie przewijał się tajemniczy czynnik motywu wszystkich tych zabójstw. Na etapie ustalania wymiaru kary wypowiedział się zwięźle w tej kwestii prokurator Magers, mówiąc, że Diaz popełnił te zabójstwa dla „zabawy i uciechy” w grze, w której będąc pielęgniarzem grał rolę lekarza.

Peter Oberholtzer

CZY W SZPITALU WETERANÓW SWOBODNIE DZIAŁALI ZABÓJCY?

W sali rozpraw sędziego sądu okręgowego Stanów Zjednoczonych w Detroit Philipa Pratta nieomal namacalnie czuło się napięcie. Około godziny 10.35 rano w środę, 13 lipca 1977 roku ława przysięgłych zawiadomiła, że wreszcie uzgodniono wyrok. Uważano, że był to najdłuższy proces w federalnym sądzie okręgowym w Stanach Zjednoczonych. Rozpoczął się 28 marca po sześciomiesięcznych przesłuchaniach proceduralnych, a wybranie ławy przysięgłych składającej się z dziewięciu kobiet i trzech mężczyzn zabrało miesiąc.

Przed rozpoczęciem wyboru sędziów przysięgłych sędzia Pratt oznajmił, że będą odosobnieni, to znaczy nie będą mogli opuścić budynku sądu przez cały czas procesu. Niewątpliwie to

przyczyniło się do opóźnienia w ustaleniu składu sędziowskiego. Zanim sprawa trafiła do ławy przysięgłych, przesłuchania trwały trzynaście tygodni. Przed uzgodnieniem wyroku sędziowie przysięgli naradzali się 94 godziny przez 15 dni.

Zeznawało stu świadków i na użytek ławy dostarczono 6500 stron zeznań procesowych w maszynopisie. Prokuratura przedstawiła 78 świadków oskarżenia, a obrona 22 świadków. Dodatkowo udostępniono sędziom wykorzystane w śledztwie zapiski medyczne, wykresy i inne włączone do materiału dowodowego materiały.

Spośród 12 członków składu sędziowskiego 10 było białych, 2 kolorowych - okoliczność, którą zasadniczo wykorzystają trzej adwokaci.

Jednakże w przeciwieństwie do przysięgłych w licznych innych sądach, nie zdarzyło się, aby w czasie 15 dni dyskusji odosobnieni sędziowie narzekali na swoją sytuację odcięcia od świata, aby zawiadamiali sędziego Pratta, że głęboko to odczuwają, ani aby stracili wiarę, że uchwałą jednogłośnie wyrok. A przecież sędziowie byli oddaleni od rodzin około dwudziestu tygodni.

Dzień po dniu niewygodne drewniane ławy - jedyne miejsca, na których zasiadają widzowie w sądach federalnych - były zajęte.

Przyjaciele i sympatycy oskarżonych zebrali ponad 100 000 dolarów, ale ta suma wraz ze wzrostem kosztów obrony stała się niewiele znacząca. Zgodnie z prawem federalnym po uznaniu, że oskarżeni nie mają środków finansowych, rachunek musiał przejąć rząd. Suma przekroczyła milion dolarów.

Taka była sytuacja spektakularnego procesu, gdy otrzymano wiadomość, że po długiej dyskusji sędziowie przysięgli uzgodnili wyrok.

Teraz na sali sądowej dały się słyszeć zwykłe hałasy - skrzywienie ławek, gdy widzowie siadali na swoich miejscach, a niektórzy z ożywieniem, głośno przewidywali treść wyroku.

Wreszcie zjawił się tłum dziennikarzy i jeszcze więcej widzów, z których większość była krewnymi i przyjaciółmi oskarżonych. Niektórzy przybyli zza oceanu, aby uczestniczyć w rozprawie.

Sędzia Pratt zmierzył oczyma zatłoczoną salę i odczekał parę chwil, aż ucichły rozmowy. Wtedy powiedział: - Musicie zachować się godnie, bez względu na to, jaki będzie wyrok - pouczał widzów. - W sądzie musi być porządek.

Szepty ucichły. Wszystkie głowy zwróciły się w stronę drzwi. Weszli sędziowie. Ich przewodniczący wręczył wyrok sekretarzowi sądu, a on sędziemu Prattowi. Sędzia przeczytał go po cichu, ale wyraz jego twarzy pozostał nieprzenikniony. Podał kartkę sekretarzowi, który zaczął czytać...

Był to szczytowy punkt spektakularnego, złożonego dochodzenia, które rozpoczęło się w piątek, 15 sierpnia 1975 roku.

Tego popołudnia Federalne Biuro Informacji przyjęło telefon od lekarza, który przedstawił się jako dr Duane T. Freier; był szefem personelu Szpitala Weteranów w Ann Arbor.

Ann Arbor, położone w odległości około 30 mil na zachód od Detroit, jest prawdopodobnie najbardziej znane z tego, że w tym mieście o ludności około 110 000, poza Szpitalem Weteranów znajduje się Uniwersytet Michigan z 50 000 studentów.

Dr Freier poinformował agentów federalnych, że w jego szpitalu od 1 lipca stwierdzono 56 przypadków niewydolności oddychania. Normalna liczba takich przypadków w takim okresie wynosiła 8 do 10. Lekarze uznali, że w szpitalu może działać zabójca.

Zapytano dr. Freiera, ilu pacjentów jest w szpitalu.

Odpowiedział, że około 300. W szpitalu było 311 łóżek.

- Ilu jest zatrudnionych? - chciał dowiedzieć się przyjmujący telefon agent.

Doktor powiedział, że na ogół pracuje około 700 osób. Liczba ich zależy od takich czynników, jak: rezygnacja z pracy, przejście na emeryturę, przeniesienie czy śmierć pracownika.

Dodał, że była jeszcze inna grupa pracowników, zwykle licząca około 400 osób. Byli to wolontariusze, którzy ofiarowali szpitalowi swoje usługi. Ich pracę kontrolowali formalnie zatrudnieni pracownicy szpitala. Najbardziej użyteczni byli ochotnicy, którzy przy sprzyjającej pogodzie wywozili pacjentów do ogrodu szpitalnego, aby posiedzieli na słońcu, a gdy było zbyt gorąco - w cieniu drzew. Podawali chorym kawę i ciastka.

Traktowano ich jako grupę oświatowców. Byli bowiem pacjenci, którzy mieli zaburzenia i wady wzroku, i ochotnicy czytali im gazety i książki. Były to zajęcia, które mogli wykonywać w miarę inteligentni ludzie bez specjalnego przygotowania.

Inna grupa zawoziła na wózkach pacjentów do sali operacyjnej, do działu radiologii i innych miejsc w szpitalu. Czasami wolontariuszowi towarzyszył pracownik zatrudniony na stałe, ale często traktowano ich jakby byli samodzielnymi pracownikami.

Inni pomagali w biurach - wypełniali kartoteki albo wyszukiwali w archiwum kartotekę pacjenta, który był przedtem w szpitalu i ponownie tu powracał. Jeszcze inni mieli kwalifikacje do pisania do maszynie.

- Jak szpital rekrutował wolontariuszy? - spytał agent.

- Kierowały ich głównie organizacje weteranów i inne odpowiedzialne instytucje - wyjaśnił lekarz. Były to: Legion Amerykański, Weterani Wojen i różne inne poważne kluby obywatelskie. Tylko wyjątkowo zatrudniano ochotnika, który zgłaszał się bezpośrednio do szpitala.

Agent badał dalej: - Czy sprawdzano tych ochotników?

- Sprawdzanie należało do organizacji, która ich kierowała. Szpital przyjmował tylko tych kandydatów, którzy zostali skierowani przez instytucję, którą aprobowano i wiadano, że jest zainteresowana losem pacjentów.

- Czy szpital miał spis wszystkich wolontariuszy, znał ich nazwiska i adresy?

Dr Freier odpowiedział, że mieli takie informacje, ale nie było dowodów, które wskazywałyby, że ktoś z nich mógł być winien temu, co władze szpitala uznały za przestępstwo.

- Dlaczego? - spytał agent.

Dr Freier odpowiedział, że wolontariusze pracowali jedynie do około 3.30 po południu, kiedy rozpoczynała się druga zmiana dyżurów. Wyjaśnił, że większość przypadków niewydolności oddychania następowała w czasie nocnej zmiany. Godziny tego dyżuru obejmowały czas od 3.30 po południu do 11 wieczorem. Ochotnicy nie pracowali w tych godzinach i można ich wyeliminować z grona podejrzanych.

Doktor uznał, że skoro te tajemnicze przypadki zatrzymania oddechu występowały na zmianie rozpoczynającej pracę o 3.30, to należało szukać winnych wśród zatrudnionych wtedy pracowników.

- Ilu ludzi jest zatrudnionych na tej zmianie?

- 300-400 osób. Ale są to dobrze płaceni pracownicy i nie ma na tej zmianie wolontariuszy.

Agent spytał, jacy to byli pracownicy.

Usłyszał, że od sprzątaczek do wybitnych lekarzy. Dr Freier dodał jednakże, że gdyby miał ograniczyć się do wymienienia grup, powiedziałby, że było więcej personelu pielęgniarskiego niż innych specjalności. Zapytany, jakie stanowisko zajmuje w szpitalu, stwierdził, że pełni obowiązki dyrektora personelu, gdyż dr. S. Martin Lindenauer przebywa obecnie w Anglii. Jest tam od kilku miesięcy na urlopie naukowym. Ma wrócić w ostatnim tygodniu sierpnia.

- Czy dr Lindenauer wie o podejrzeniu, że w szpitalu działa morderca?

Dr Freier odparł, że nie poinformowano go o tym, gdyż od paru miesięcy nie kontaktowano się z nim.

Agent specjalny na linii telefonicznej zaproponował, aby dr Freier zaczął od początku i opowiedział wszystko szczegółowo.

Doktor powiedział, że fala przypadków zatrzymania oddechu rozpoczęła się 1 lipca. Następnego dnia na posiedzeniu starszych lekarzy, mającym na celu zapoznanie się ze sprawozdaniem, co się zdarzyło w szpitalu od ostatniego spotkania przed 24 godzinami, stwierdzono, że liczba zgonów na skutek niewydolności oddychania była wyższa niż zwykle.

Niewydolność oddychania nie należy do niezwykłych przypadków - występuje zazwyczaj u pacjentów po zabiegach chirurgicznych. W każdym miesiącu zdarzało się pięć do ośmiu takich przypadków. Wyjątkowo kończyły się śmiercią. Chorych umieszczano na oddziałach intensywnej terapii - byli pod ścisłą obserwacją kompetentnego personelu pielęgniarskiego. Respiratory, urządzenia do wtłaczania tlenu do płuc pacjentów przez rurki wetknięte do nosa, zawsze były pod ręką i na pierwszą oznakę niewydolności oddychania pielęgniarki, często pod kontrolą lekarzy, dbały o zastosowanie tych urządzeń

u pacjenta aż do chwili, gdy był w stanie znowu oddychać normalnie.

Początkowo uważano, że zwiększenie liczby pacjentów z zatrzymaniem oddechu jest sprawą przypadku. Pacjenci skłonni do niewydolności oddechowej byli starzy i ciężko chorzy.

Ale po 1 lipca obraz stopniowo się zmieniał.

Zatrzymaniu oddechu ulegli pacjenci niestarzy, po nieskomplikowanych zabiegach chirurgicznych, np. nastawieniu złamanej kości ramienia czy łokcia. Oczekiwano, że wyzdrowieją w ciągu paru dni i będą mogli być wypisani do domów.

Jak to przedstawił jeden z lekarzy Szpitala Weteranów, w jednym momencie pacjent czuł się dobrze, a za chwilę przestawał oddychać. Personel medyczny nie mógł znaleźć przyczyny tego stanu rzeczy.

Gdy liczba tych przypadków nie wykazywała tendencji do zmniejszania się, naczelny lekarz zaczął się niepokoić.

W okresie od 1 do 28 lipca zanotowano 22 przypadki. Normalnie nie powinno ich być więcej niż pięć.

Na krótko przed 28 lipca dwie pielęgniarki zwróciły się do starszych stażem internistów. Powiedziały, że martwią je te nagłe przyczyny zgonów i zastanawiają się, czy w sali operacyjnej nie występują zanieczyszczone leki.

To oczywiście było możliwe. Natychmiast zarządzono specjalistyczne badania. Leki z sal operacyjnych zostały wysłane do laboratorium farmaceutycznego Uniwersytetu Michigan w Ann Arbor.

Podczas gdy czekano na wyniki, liczba przypadków niewydolności oddychania nadal rosła. Wobec 22 przypadków w pierwszych czterech tygodniach lipca co najmniej 14 było ponad normę. Ale po 28 lipca, gdy wystąpiły trzy przypadki, odnotowano dalszy wzrost. Tymczasem nadszedł raport z laboratorium uniwersyteckiego. Nie stwierdzono zanieczyszczeń środków leczniczych z sal operacyjnych.

Wtedy interniści i stażyści postanowili, że powinno się poinformować chorych o tym, co się dzieje. Zaczęli mówić swoim pacjentom o fali przypadków niewydolności oddechowej i radzili im, co mają robić, żeby przeżyć.

Choć nie określono przyczyn śmierci, można było zakładać, że rosnąca liczba ofiar była następstwem zastosowania szerególnego typu leku zwiotczającego mięśnie. W wielu takich preparatach występuje kurara, środek odkryty w XVI wieku przez Hiszpanów w Ameryce Południowej. Otrzymuje się go głównie z rośliny zwanej kulczybą. Pierwotne sporządzenie trucizny przypisuje się indiańskim znachorom-czarownikom, którzy przez dwa stulecia trzymali w ścisłej tajemnicy sposób jej wyrobu.

W Ameryce Południowej Indianie stosowali kurarę smarując nią ostrza strzał. Był to śmiertelny pocisk dla każdego, kogo dosięgła zatruta indiańska strzała. Trucizna ta, w naturalnej postaci, natychmiast działa śmiertelnie: paraliżuje mięśnie kontrolowane przez człowieka, to znaczy mięśnie oddechowe, kończyny i brzucha.

Obecnie anestezjolodzy stosują dożylnie pochodne kurary, by zwiotczyć mięśnie brzucha przed rozpoczęciem operacji. Skutek występuje po 30-40 sekundach, a po minucie pacjent przestaje oddychać. Ale w tym samym czasie podłącza się respirator, który umożliwia pacjentowi oddychanie.

Interniści i młodzi stażyści pouczyli pacjentów, jak mają się bronić. W chwili gdy poczują objawy drętwienia, bez względu na to, czy zastosowano im zastrzyk czy nie, powinni krzyczeć i machać rękoma. Lekarze podkreślali konieczność szybkich ruchów. Jeśli nie będą krzyczeć i poruszać się natychmiast, mogą stracić na dobre zdolność poruszania się.

Młodzi lekarze zrobili to z własnej inicjatywy, bez polecenia starszych kolegów. Nie chcieli dopuścić, aby ktokolwiek stracił życie, gdy można je było uratować.

Jeśli ktoś z personelu szpitalnego podejrzewał, że potencjalny zabójca swobodnie działa w szpitalu - możliwe, że jest tu zatrudniony - nikt nie powiedział tego głośno. To miało się stać później.

Starsi lekarze zastanawiali się, czy nie popełniano jakichś błędów medycznych.

4 sierpnia odbywało się zebranie starszych chirurgów i internistów. Dr Freier brał udział już w wielu takich zebraniach. Był zastępcą ordynatora chirurgii, ale tego dnia, pod nieobecność

dr. Lindenauera, pełnił obowiązki dyrektora personelu-jest to najważniejsze stanowisko w szpitalu.

- Pozostawiłem decyzję kolegom - stwierdził. - Powiedziałem im, że jestem nowy w tej roli i potrzebuję rady. Czy powinniśmy zgłosić wszystkie te przypadki do formalnego dochodzenia?

Starsi lekarze już brali to pod uwagę. Szpital Weteranów w Ann Arbor ma opinię jednej z najlepszych tego rodzaju placówek w kraju. W rzeczywistości uważano go za jeden z najlepszych szpitali w całych Stanach Zjednoczonych. Lekarze nie kwapili się z wezwaniem pomocy z zewnątrz, gdyż przyniosłoby to złą opinię. Dr Freier przyjął ich radę.

Tymczasem śmiertelne wypadki niewydolności oddechowej nadal się powtarzały, przynajmniej pięciokrotnie częściej niż normalnie. Było tak wiele nagłych stanów, w których występowało zatrzymanie oddechu, że pielęgniarki i lekarze stale oczekiwali wezwań, które oznaczono kodem „siedem”. Wezwania zdarzały się prawie zawsze w nocy, na zmianie od 3.30 po południu do 11 wieczorem, dwukrotnie, a nawet czterokrotnie w ciągu dyżuru, prawie każdego wieczoru.

Nikt nie wiedział, dlaczego młoda pielęgniarka Denise Nichol znalazła się przypadkiem blisko jednego z alarmów, gdy go usłyszano. To się powtarzało tak często, że inne pielęgniarki zaczęły z tego żartować. Ale dla Denise to nie było zabawne.

- Może powinnam pożegnać się z pielęgniarstwem - powiedziała przyjaciółce. - Czuję się jak zwiastun nieszczęścia.

Przyjaciółka próbowała uspokoić ją, ale Denise nadal się tym trapiła, szczególnie że liczba przypadków niewydolności oddechowej rosła.

7 sierpnia Denise nie zjawiła się w pracy. Jej telefon milczał. Znalaziono ją martwą w mieszkaniu, w budynku usytuowanym naprzeciw szpitala. Siedziała w fotelu z twarzą skierowaną na ekran telewizora, ciągle włączonego. Papieros spalił się w jej palcach.

Przeprowadzono wszechstronne badania sekcyjne, ale patolodzy nie mogli określić przyczyny śmierci. We krwi znaleziono

dużą ilość darvonu, środka przeciwbólowego, lecz nie była to dawka śmiertelna. Nie było listu pożegnalnego czy oświadczenia o zamierzonym samobójstwie. Nie było też śladów użycia siły.

Jej śmierć nie wpłynęła na liczbę przypadków śmiertelnych niewydolności oddychania. Nadal występowały pięciokrotnie częściej niż normalnie, a nawet częściej.

Pielęgniarki stawały w hallu na trzecim piętrze, gdzie mieścił się oddział intensywnej terapii, i czekały na następny alarm, przekonane, że zaraz się odezwie.

Zawiadomiono Centralę Szpitali Weteranów w Waszyngtonie, która przysłała pięciu lekarzy inspektorów pod kierunkiem dr. Lawrence'a Foyta. Personel w dalszym ciągu nie chciał zwracać się o pomoc z zewnątrz, aby nie przysporzyć sobie złej sławy.

Większość podejrzanych przypadków lokalizowano w oddziale intensywnej terapii. Zawsze występowały między 3.30 po południu a 11 wieczorem.

To znacznie zawęziło pracę komisji. Zbadano ramiona pacjentów, których dotknęła niewydolność oddychania, i nie znaleziono na nich śladów igły z wyjątkiem stosunkowo nielicznych, którzy mieli zlecone zastrzyki.

Jednakże uważano, że ofiarom zastosowano środki na zwiótnienie mięśni. Jest przynajmniej dziesięć różnych rodzajów leków wywodzących się z kurary; wszystkie są produktami renomowanych firm. W tym szpitalu anestezjolog używali trzech preparatów, ale dwu z nich tylko w nielicznych przypadkach. Zazwyczaj używali środka o nazwie pavulon. Chociaż środek ten był podejrzany, nie było jednak bezpośrednich dowodów, że to właśnie on był odpowiedzialny za przypadki zatrzymania oddechu. Farmaceutyczna nazwa tego lekarstwa brzmi pancuronium.

Na ostatniej konferencji w sprawie zgonów i powikłań chorobowych, na dzień przed śmiercią Denise Nichol, jeden z lekarzy przedstawił przypadek pewnego pacjenta. Podczas gdy liczne zatrzymania oddechu w innych przypadkach można było uważać za wyniki choroby zasadniczej, doktorzy nie doszukali się przyczyny, dlatego tego właśnie pacjenta spotkała niewydolność oddychania.

Wielu bardzo się tym kłopotowało. - Było to głębokie, niepokojące uczucie, że sprawy umykają naszej kontroli - powiedział dr Freier. Jedynym powtarzającym się czynnikiem we wszystkich przypadkach był fakt, że ofiary otrzymywały odżywki albo zastrzyki dożylnie. Ale tych pacjentów ze śmiertelną niewydolnością oddychania, którzy korzystali ze sztucznego odżywiania i zastrzyków, już sprawdzono. Nie znaleziono tam znaków ukłuć igły w miejscach, gdzie ich nie powinno być.

Lek mógł jednak zostać wstrzyknięty do roztworu podawanego dożylnie.

Była to poważna sprawa, liczba tragicznych przypadków rosła, ale dr Freier postanowił zgromadzić więcej dowodów i dopiero wtedy zwrócić się do władz. Wraz z innymi starszymi lekarzami chciał wykorzystać wszystkie możliwości, zanim sprawa nabierze rozgłosu.

Jednakże rozgłos nie zawsze jest zły. Był taki przypadek w Chicago w 1966 roku, kiedy w ciągu jednej nocy zostało zamordowanych nożem osiem pielęgniarek. Jedna przeżyła i współpracowała z policją w ustaleniu portretu pamięciowego mordercy. Rysunek rozpoznało kilku oficerów-weteranów jako portret niejakiego Richarda Specka.

W kartotece znaleziono fotografię Specka i pielęgniarka, która przeżyła próbę morderstwa, zidentyfikowała go bez wahania jako mordercę. Ale gdzie on był? Jak go znaleźć?

Nadinspektor policji zdecydował się podać sprawę do publicznej wiadomości. Fotografię Specka wydrukowały wszystkie gazety i pokazały wszystkie stacje telewizyjne. Pewien młody lekarz zobaczył fotografię w gazecie w Chicago i dobrze jej się przyjrzał. Nie dlatego, że spodziewał się spotkać Specka, ale chciał zobaczyć, jak wygląda wielokrotny morderca. Tego samego dnia wezwano go do więzienia hrabstwa Cook, gdzie pracował. Młody, wysoki mieszkaniec boksu w domu noclegowym na West Madison Street pociął sobie brzytwą nadgarstek. Trochę krwawił, ale rana nie była groźna.

Doktor spojrzął na twarz pacjenta i rozpoznał w nim Richarda Specka. Natychmiast zawiadomiono komendę. Przybyły posiłki. Speck został zabrany i wkrótce skazany na krzesło elektryczne. Zanim doszło do rozprawy apelacyjnej, Sąd Naj-

wyższy ogłosił, że ustawy o karze śmierci są niezgodne z konstytucją. Speck ponownie stanął przed sądem i został skazany na 400 lat więzienia. Obecnie odsiaduje wyrok

Jak mieli się przekonać lekarze ze Szpitala Weteranów, rozgłos okazałby się ich najskuteczniejszą bronią. Gdyby zwrócono się do władz sądowych pod koniec lipca, kiedy lekarze zaczęli się niepokoić przypadkami zatrzymania oddechu, wielu zgonów można było uniknąć. Zdecydowano jednak poczekać jeszcze tydzień.

Nie mogąc rozpatrywać wszystkich przypadków zastosowania zastrzyków dożylnych, a tylko przypadkowo wybrane, lekarze rozpoczęli swoje badania pod koniec lipca. Nie znaleźli jednak nic podejrzanego.

Nocy z 12 na 13 sierpnia dr Freier i dwaj dyżurujący wtedy lekarze prawdopodobnie nigdy nie zapomną. Pierwszy przypadek zatrzymania oddechu nastąpił o godzinie 6 po południu. Lekarze i pielęgniarki pośpiesznie zastosowali rutynowe zabiegi, by przywrócić pacjentowi oddech. Wkrótce to się udało.

Pielęgniarki marzyły o małym odpoczynku, ale nie udało im się z tego skorzystać. W dziesięć minut później usłyszano alarm z oddziału intensywnej terapii. Lekarze i pielęgniarki pobiegli do łóżka pacjenta, który był obudzony i przytomny, ale nie mógł mówić. Poruszał rękoma i wskazywał na swoje gardło. Po zastosowaniu respiratora zaczął oddychać.

W piętnaście minut później przyszło następne wezwanie. Znowu pacjent odzyskał zdolność oddychania i oddychał normalnie.

Zapewne lekarze i pielęgniarki byli wtedy bardziej wyczerpani niż pacjenci. Mieli nadzieję, że już nie będzie dalszych wezwań. Była to próżna nadzieja. Czwartą ofiarą był człowiek po operacji złamanego biodra. Był bardzo stary i zmarł, zanim udało się przywrócić mu zdolność oddychania. Lekarze sądzili, że mógł umrzeć z naturalnych przyczyn. W sąsiednim pokoju pielęgniarka znalazła około trzydziestoletniego mężczyznę z niewydolnością oddychania. Zaczął już sinieć na twarzy, jak to często się zdarza przy zatrzymaniu oddechu. Pomoc przyszła w porę.

Następne trzy przypadki wystąpiły tej nocy na czwartym piętrze, dokładnie nad oddziałem intensywnej terapii. W okre-

sie trzech godzin - od godziny 6 do 9 nocnej zmiany - dyżurujący zajmowali się ośmioma przypadkami zatrzymania oddechu.

Nad ranem pięćdziesięcioletni zdenerwowany pacjent na piątym piętrze uszkodził ochronną zasłonę na oknie i wyskoczył. Wylądował na kracie osłaniającej okno na parterze. Było to pierwsze samobójstwo w Szpitalu Weteranów od 1971 roku.

Gdy dr Freier usiadł przy swoim biurku w środę rano 13 sierpnia, przywitało go sprawozdanie z tego wypadku.

- Pomyślałem sobie nagle, że to nie było samobójstwo, że ktoś zrobił to celowo - powiedział.

Dowody na to piętrzyły się przez następne wieczory, ale dr Freier i inni starsi lekarze nie mogli pogodzić się z myślą, że na terenie szpitala działa szalony zabójca.

Motywow tych strasznych prób zabicia pacjentów nie dostrzegano, choć rozpatrywano tę sprawę z różnych stron. Wydawało się, że jest tylko jedna możliwość. Potencjalny zabójca musiał być szalony.

Zanim dr Freier przetrawił do końca wypadki poprzedniej nocy, odwiedziła go dr Anne Hill, naczelny anestezjolog szpitala. Dr Freier powtórzył jej słowa:

- Powiedziała: „Mam przerażające odczucie, że może ktoś to robi umyślnie”. A ja odpowiedziałem, że od kilku dni czuję to samo.

Dr Freier postanowił, że zanim zwróci się do FBI, musi mieć więcej dowodów. Było przecież pięciu lekarzy inspektorów, którzy badali sprawę w szpitalu, i dr Freier zdecydował, że zaczeka na wynik ich badań. Oczekiwał, że nastąpi to za tydzień.

Nie musiał jednak czekać tak długo. W dwa dni później nastąpiła u pacjentów nowa fala przypadków zatrzymania oddechu. Inspektorzy byli już przekonani, że ktoś celowo to powoduje, i przygotowali pewną próbę, zasugerowaną przez dr Hill, którą ona miała kontrolować.

Na oddziale intensywnej terapii było czterech lekarzy, gdy dr Hill zastosowała „na próbę” dwóm pacjentom podejrzany lek pavalon. Reakcja była zgodna z oczekiwaniami.

Pacjentom natychmiast podłączono respiratory i po dwóch minutach zaczęli normalnie oddychać. Teraz sprawa była pewna.

Zawiadomiono FBI i wieczorem w piątek, 15 sierpnia zjawiło się dwunastu agentów. Dr Freier poinformował ich, że między 1 lipca a 15 sierpnia u 56 pacjentów zaobserwowano objawy niewydolności oddychania. Stwierdzono 22 przypadki w okresie pierwszych dwóch tygodni w lipcu; w następnych trzech tygodniach liczba wzrosła gwałtownie do 34. Niektórzy pacjenci dwukrotnie, a inni kilkakrotnie ulegli niewydolności oddychania.

- Czy dlatego wezwano FBI? - spytano dr. Freiera, gdy skończył swoje sprawozdanie. Doktor odpowiedział, że tylko częściowo. Miał zamiar poczekać jeszcze pięć dni, ale przedtem uzyskano mocne dowody. Jeden z pacjentów, czterdziesto-dziewięcioletni mieszkaniec Coloma, Michigan, który przeszedł operację na otwartym sercu i u którego zatrzymanie oddechu wystąpiło kilkakrotnie, wręczył doktorowi notatkę. Wynikało z niej, że ten pacjent widział pannę Filipinę Narcisso, pielęgniarkę, wychodzącą z jego pokoju tuż przed jednym z jego ataków niewydolności oddychania.

Siotra Narcisso przybyła z Filipin w 1973 roku i od razu rozpoczęła pracę w tutejszym Szpitalu Weteranów. Uważano ją za kompetentną pielęgniarkę. W wieku trzydziestu jeden lat miała dużą praktykę i na Filipinach, i w Stanach Zjednoczonych.

Jakie mogły być motywy jej działania, jeśli byłaby winna powodowania tych przypadków, pozostawało największą zagadką.

Inny poważny dowód dostarczył dr Bert N. LaDu, szef laboratorium uniwersyteckiego, który zarządził wiele złożonych badań próbek moczu i krwi pobranych u pacjentów z zanikiem oddechu. Sprawozdanie z tych badań stwierdzało, że próbki wykazały taką reakcję, jakiej oczekiwano by po zastosowaniu pavalonu. Jest jednak jeszcze osiem innych leków, które mogłyby wywołać podobną reakcję. W tutejszym szpitalu używano wszakże wyłącznie pavalonu. Gdyby użyto innych leków, musiałyby być przyniesione z zewnątrz.

Do rozwikłania sprawy w Szpitalu Weteranów przydzielono dwudziestu czterech agentów i FBI rozpoczęło intensywne śledztwo. Ustalono listę ponad 300 osób, które były w szpitalu na wieczornej zmianie, kiedy wystąpiły prawie wszystkie przypadki porażenia oddechu. Obejmowało to lekarzy, pielęgniarki, innych zatrudnionych i pacjentów, którzy mogli być przesłuchani, oraz gości w szpitalu tego wieczoru.

29 sierpnia zmarło jeszcze dwóch pacjentów. Przebyli oni niewydolność oddychania przed 15 sierpnia. Potem do szpitala przyjmowano jedynie nagłe wypadki i przeprowadzano tylko pilne operacje. Wszystkich łżej chorych wypisano do domów. Liczba chorych w szpitalu na 311 łóżek skurczyła się do 188.

Większość z nich zostało przesłuchanych przez specjalnych agentów FBI, ale z tych przesłuchań wyłoniły się jedynie dwa fakty. Widziano siostrę Narcisso i inną pielęgniarkę z Filipin, panią Leonorę Perez, w pobliżu chorych, u których wystąpiły przypadki zatrzymania oddechu, i obok sali zastrzyków dożylnych.

Pannę Narcisso przeniesiono do działu szpitala, gdzie nie stykała się z chorymi. Zlecono jej obowiązki, które wykluczały kontakt ze środkami farmaceutycznymi i zastrzykami dożylnymi. Pani Perez na własną prośbę została przeniesiona do Szpitala Weteranów w Detroit, ale jej także nie pozwolono na kontakt z chorymi i lekami. Podjęła obowiązki podobne jak siostra Narcisso. Panią Perez także widziano w pobliżu sali zastrzyków dożylnych i przy chorych, których wkrótce potem dotknęła niewydolność oddychania.

Nikt nie powiedział, że widział którąś z tych pielęgniarek zachowującą się dziwnie. Nikt nie zauważył ich ze strzykawką w rękę, choć w szpitalu było pełno strzykawek i pielęgniarki nie miały kłopotu z ich uzyskaniem.

Funkcjonariusze federalni wcale nie mieli pewności, że obie pielęgniarki z Filipin były zamieszane w powodowanie niewydolności oddychania, ale były głównymi podejrzanymi.

Agenci zwrócili się do dr. Dereka H. Millera, profesora psychiatrii na Uniwersytecie Michigan, z prośbą o przygotowanie sylwetki psychiatrycznej osobnika, który może próbować zabić pacjentów powodując zatrzymanie oddechu. Doktor

zgodził się przestudiować sprawę i przygotować taką sylwetkę możliwie jak najszybciej. >

Tymczasem agenci byli zdumieni, że w szpitalu był bardzo łatwy dostęp do różnych środków farmaceutycznych, włącznie z pavulonem. Każdy mógł je dostać, jeśli tylko zechciał. Różne leki przechowywano prawie na wszystkich piętrach i nie zamykano ich.

Agenci wiedzieli, że to działo się wbrew praktykom w innych szpitalach, gdzie leki przepisane przez lekarzy wydawały pracowniczkami nazywanymi pielęgniarkami farmaceutycznymi. W wielu szpitalach pacjent nie mógł dostać nawet aspiryny bez zgody swego lekarza.

W lodówce na oddziale intensywnej terapii znaleziono duże ilości pavulonu. Zapytany o to dr Freier powiedział, że lodówki nie zabezpieczono specjalnymi zamkami i prawie każdy zatrudniony w szpitalu i przebywający w nim mógł otworzyć ją i wziąć niebezpieczny lek.

Gdy powiedziano dr. Freierowi o znalezieniu pavulonu w lodówce oddziału intensywnej terapii, uznał, że „to nie jest odpowiednie miejsce” do przechowywania tego leku.

Zabrano pavulon i umieszczono go pod kluczem. Naczelny anestezjolog dr Hill i jej asystentki zostały o tym powiadomione i otrzymały klucze. Jednakże reszta personelu, włącznie z pielęgniarkami, nie wiedziała, gdzie przechowuje się ten lek.

Dodatkowo zabrano inne niebezpieczne środki farmaceutyczne i na podstawie informacji lekarzy, wskazujących kto mógł je stosować, wyznaczeni lekarze i pielęgniarki dostali klucze. Jest to procedura stosowana w szpitalach, gdzie nie ma specjalnych pielęgniarek do wydawania leków.

Przed rozpoczęciem badań przez FBI inspektorzy medyczni rozpoczęli różne próby i teraz zaczęto uzyskiwać wyniki.

Jeden z inspektorów, który badał zestawy do przetaczania kroplówkowych, chcąc się dowiedzieć, jak włączano do nich pavulon, znalazł w jednym z nich błękitną substancję, której nie rozpoznał. Wysłano ją do analizy w laboratorium uniwersyteckim.

W wyniku badania stwierdzono, że był to słaby roztwór płynu używanego do mycia strzykawek dożylnych. Doktorzy

z laboratorium powiedzieli, że płyn był nieszkodliwy i nawet gdyby po zastrzyknięciu znalazł się w ramieniu pacjenta, nie zaszkodziłby mu, a z pewnością nie mógł spowodować zaniku oddychania. Tak więc ten trop odrzucono.

Tymczasem wkrótce po rozpoczęciu śledztwa przez FBI powrócił z Londynu dr Martin Lindenauer, czterdziestodwuletni naczelny dyrektor personelu szpitalnego. Przedstawiono mu sprawozdanie z tego, co do tej pory odkryto. Drugie sprawozdanie dotyczyło badania krwi i moczu dwóch chorych, których odratowano po stwierdzeniu, że podano im środek paraliżujący mięśnie, a następnie podłączono respirator. Ponieważ używanym do tego celu środkiem w tym szpitalu był przede wszystkim pavulon, wydawało się prawie pewne, że morderczym środkiem był rzeczywiście ten lek.

- Jest na to dowód kliniczny, a to jest dobry dowód, nie w znaczeniu prawnym, ale medycznym - powiedział dr Lindenauer.

Dwaj pacjenci, których krew i mocz zbadano, byli ostatnimi, którzy nieoczekiwanie doznali niewydolności oddychania. Te przypadki wystąpiły 15 sierpnia, w wieczór, gdy wezwano FBI.

2 września zmarł inny chory, który przeszedł trzy zaskakujące zatrzymania oddechu, zanim wezwano FBI.

Jednakże jego zgon mógł nastąpić z przyczyn naturalnych. Był chory na cukrzycę z komplikacjami. Wystąpiły też inne objawy chorobowe i pacjent w ciągu ostatnich dwóch lat kilkakrotnie wracał do Szpitala Weteranów.

Z powodu zmniejszenia liczby chorych w szpitalu do 188 osób, dr Lindenauer obawiał się o przyszłość placówki. Na konferencji prasowej powiedział, że „to musi się zmienić”. Oświadczył, że zdecydowano, iż za miesiąc szpital będzie otwarty na przyjęcie wszystkich regularnych zgłoszeń.

Jeden czynnik zdecydowanie kierował uwagę na dwie pielęgniarki. Od trzech tygodni, kiedy do akcji weszli agenci FBI, nie było ani jednego nieoczekiwanego zatrzymania oddechu. Cały personel przyjął to z wielką ulgą.

- Trudno mi opowiedzieć, jakie to było przerażające - powiedziała jedna młoda pielęgniarka.

Tymczasem dr Miller skończył przygotowanie charakterystyk psychiatrycznych dla FBI, ale odmówił ich publicznego

ujawnienia; FBI także milczało. Jednak inni psychiatrzy nie byli tacy powściągliwi.

Psychiatra z Detroit, dr Emanuel Tanay, który występował jako rzeczoznawca w wielu procesach przestępców z zaburzeniami umysłowymi, opisał osobowość przypuszczalnego zbrodniarza następująco: *Musimy przyjąć, że jest to osoba z pewną wiedzą medyczną, ktoś, kto był w wojskowej służbie medycznej albo należy do personelu szpitalnego.* Dr Taney, który jest autorem licznych prac na temat aktów przemocy, dodał: *Niewątpliwie umysł tego osobnika działa sprawnie, gdyż wykazuje dużą zręczność.*

Dr Taney dalej stwierdził, że ten osobnik zachowuje się dość normalnie i nie sprawia wrażenia osoby dotkniętej chorobą psychiczną.

Teoretycznie można przyjąć, że podejrzanymi według dr. Taneya mogły być pielęgniarki, personel pomocniczy i członkowie personelu bez przygotowania medycznego. Nie można było jednak wykluczyć lekarzy i studentów medycyny.

Większość psychiatrów, którzy zapoznali się z tą sprawą, zgodziła się, że zabójca jest człowiekiem z zaburzeniami umysłu, a być może żywi urazę do dyrekcji Szpitala Weteranów albo do zawodu medycznego.

Jeden z lekarzy wysunął koncepcję, że motywem zabójcy było postawić szpital w trudnej sytuacji po to, by nie zgłaszała się wystarczająca liczba pacjentów i by go zamknąć.

Inspektorzy z centrali Zarządu Szpitali Weteranów wysunęli dwie hipotezy: jedna sugerowała, że zabójcą jest młody lekarz w wieku dwudziestu paru lat, prawdopodobnie weteran z Wietnamu, który w czasie wojny był sanitariuszem. Druga hipoteza zakładała, że zabijała pielęgniarka, która nienawidzi mężczyzn; możliwe, że jest w konflikcie z jednym ze swoich zwierzchników.

Były to tylko spekulacje teoretyczne, bo ani lekarze, ani FBI, ani inni nie zbliżyli się do określenia motywów działania zabójcy. Psychiatrzy uważali, że każdy typ teoretycznie podejrzanego musiał być na tyle nienormalny, że potrzebował pomocy psychiatrycznej i jednocześnie miał w przeszłości do czynienia z policją.

Dr Irwin Perr, profesor w Rutgers, uniwersytecie w New Jersey, powiedział:

- Nie ma ekspertów od morderstw zbiorowych, gdyż, dzięki Bogu, nie ma ich wiele.

To szczególna patologia pcha ludzi do wielokrotnych zabójstw, dodał, i w tych przypadkach psychiatra niewiele może pomóc. Dr Perr jest specjalistą od dawnych aspektów psychiatrii.

Przedstawili też swoje opinie dwaj specjaliści z Chicago. Dr Charles Wepman powiedział, że zabójca z Ann Arbor może być podobny do Charlesa Mansona, który został skazany w 1971 roku za morderstwa aktorki Sharon Tate i sześciu innych młodych kobiet, które należały do „rodziny Mansona”.

- Może być dawnym pacjentem albo pracownikiem, który sobie powiedział: „tym ludziom nigdy nie ułożę się pomyślnie życie, można więc skończyć z nimi, a tym samym trafimy w rząd Stanów Zjednoczonych”.

- W ten sposób zamierzał pokazać, jak źle traktuje rząd tych ludzi, którzy oddali wszystko dla swego kraju - dodał dr Wepman. - Mogę przedstawić dziesiątki motywów zbrodni. Badałem jednego zabójcę, który zabił z nudów. Miał tak dosyć swojej żony i tak był nią znudzony, że któregoś dnia ją zastrzelił.

- Morderstwo mieści się w zachowaniu ludzi. Jest to jednak czyn ostateczny. Po tym pozostaje tylko samobójstwo. Ale samobójstwo także jest morderstwem.

Wielokrotnie przesłuchiowano siostrę Narcisso, aż oskarżyła agentów FBI o nękanie jej. Pozostała główną podejrzaną, choć nie stwierdzono oczywistego motywu.

Dr Lindenauer zarządził przeniesienie pacjentów wymagających dożylnego wstrzykiwania leków na trzecie piętro, gdzie nadal mieścił się oddział intensywnej terapii. Jeśli szpital miał wrócić do stanu normalnego, potrzebowal pacjentów.

- Obawiam się złego rozgłosu, gdyż pacjenci przestaną mieć zaufanie do szpitala i nie przyjdą tutaj - powiedział dr Lindenauer. - W gruncie rzeczy szpital opiera się na zaufaniu. Wszyscy muszą ufać sobie nawzajem. Dodał jeszcze: - To jest pierwszorzędny szpital... Musi nadal działać.

Doktor postanowił, że normalne przyjęcia do szpitala rozpoczną się w poniedziałek drugiego tygodnia, września, ale przejściowo ograniczył liczbę przyjęć w tym czasie do 250 chorych.

Jedynie połowa zwykłej liczby zgłosiła się pierwszego dnia, ale z czasem napływ chorych utrzymywał się w dawnej normie.

Tymczasem śledztwo FBI posunęło się. Agenci przesłuchiwali młodego pacjenta z Detroit, który był ranny, ale nie miał żadnego schorzenia ani serca, ani płuc. Doktorzy nie mogli się doszukać u niego przyczyny niewydolności oddychania.

- Miałem uczucie, jakbym zaraz miał umrzeć - powiedział agentowi. - To tak, jakby ktoś nagle chwycił cię za gardło i wtedy wszystko zależy, jak długo możesz nie oddychać - trzydzieści, może czterdzieści sekund? Potem całe ciało drętwieje.

Opisując jeden z takich stanów zatrzymania oddechu, które - jak myślał - niczym nie różniły się u ponad pięćdziesięciu pacjentów, młody człowiek mówił dalej:

- Najpierw zaatakowany jest wzrok. Prawe oko przekrzywia się na prawo, lewe na lewo. Potem odczuwa się nudności. Gdy to mi się zdarzyło po raz pierwszy, powoli wszystkie objawy zniknęły. Ale ostatnim razem było ze mną naprawdę źle.

Należał do grupy pacjentów mających mniej szczęścia, gdyż zatrzymanie oddychania powtórzyło się u niego kilkakrotnie, ale ostatecznie szczęście mu dopisało, bo przeżył. Najwięcej kłopotów miał ze stanem, gdyż pozostały mu częściowo zwiotczałe mięśnie.

- Dokuczają mi nerwy - powiedział. - Prosiłem o ochronę. Nie złapali tego swobodnie biegającego po szpitalu zabójcy. Nie mogę spać. - Czuł się już na tyle dobrze, by można go wypisać, ale względy osobiste i medyczne zatrzymywały go w szpitalu. - Ten szpital uchodzi za najlepszy w Ameryce - wyjaśnił.

Po analizie próbek w tutejszym laboratorium uniwersyteckim, w laboratorium FBI w Waszyngtonie i w laboratorium toksykologicznym w Denver stwierdzono, że środkiem używa-

nym do otrucia ponad pięćdziesięciu chorych - w kilku wypadkach skutecznie - był pavulon. Zwłoki tych ofiar, zanim dochodzenie rozpoczęło FBI, zostały za zgodą rodzin ekshumowane. Pobrano tkanki z organów wewnętrznych i innych części ciała. Badanie potwierdziło, że śmiertelnoścym lekiem był pavulon.

FBI przesłuchiwało ponad trzysta osób. Późną jesienią zakończono badania. Dwie pielęgniarki z Filipin zostały głównymi podejrzanymi. Agenci federalni przekazali dokumentację Richardowi Delonisowi, szefowi wydziału kryminalnego prokuratury USA w Detroit.

Świadkowie widzieli siostrę Narcisso lub siostrę Perez w pobliżu chorych, u których nastąpiła niewydolność oddechu, a od 15 sierpnia, gdy przybyli agenci FBI, nie wystąpił ani jeden taki przypadek.

Jednakże nie wysunięto poważnego motywu zbrodni. Były jedynie przypuszczenia, a i te nie zostały udokumentowane. Nie było też świadka, który widział którąś z pielęgniarek ze strzykawką w ręku przed wystąpieniem u pacjenta zatrzymania oddechu. Jednakże lekarze przyjęli, że śmiertelną trucizną wstrzykiwano dożylnie pacjentom, których z trudem uratowano od uduszenia.

Zwołano sąd przysięgłych, na którym stawiły się dwie pielęgniarki i świadkowie. Pannę Narcisso ponownie przesłuchiwali sędziowie przysięgli. Jednakże zdecydowali, że nie było wystarczających dowodów winy i sąd przysięgłych nie wystąpił z oskarżeniem.

FBI ponownie podjęło dochodzenie, przesłuchując całe piąte piętro szpitala. Przestrzegano jednak środków ostrożności i tajności zeznań świadków, głównie dawnych pacjentów. Jeden z przesłuchiwanym, który poprzednio zeznawał przeciw pielęgniarce Narcisso, teraz kilkakrotnie zmieniał swoje oświadczenie i na koniec powiedział, że zdaje mu się, że to mężczyzna opuszczał jego pokój. Przyznał, że widział tylko plecy wychodzącej osoby.

Pacjent, który przeszedł operację na otwartym sercu, zakończył leczenie. Pozwolono mu wrócić do domu, ale w czerwcu 1976 roku zmarł na skutek niewydolności serca.

W czasie drugiego dochodzenia w szpitalu, agenci FBI zastosowali wobec pewnych świadków hipnozę, aby ożywić ich pamięć. Dodatkowy materiał dowodowy przekazano prokuraturze generalnej.

Zwołano następny sąd przysięgłych. Zeznawali świadkowie, którzy przeżyli niewydolność oddychania. 16 czerwca ława przedstawiła oskarżenie przeciw dwóm pielęgniarkom, wysuwając szesnaście zarzutów. Obejmowały one pięć oskarżeń o morderstwo pierwszego stopnia, jedno oskarżenie o usiłowanie zabójstwa i dziesięć prób morderstwa przez wprowadzenie pacjentom w zastrzykach dożylnych pavuloniu.

Obie kobiety aresztowano, a następnie zwolniono za kaucją 70 000 dolarów od każdej. Rozprawa rozpoczęła się 28 marca 1977 roku, choć ponad sześć miesięcy poświęcono na rozpatrzenie dowodów zebranych przed rozprawą i miesiąc na wybranie ławy przysięgłych.

Tymczasem pani Betty Jakin, pięćdziesięcioletnia kontrolerka Szpitala Weteranów, zostawiła przed śmiercią list, w którym przyznała się do spowodowania śmierci chorych. Była ona pacjentką szpitala dla umysłowo chorych w Ann Arbor. Lekarze zeznali, że znajdowała się wówczas w ostatniej fazie choroby nowotworowej, występowało u niej poczucie winy, halucynacje i silne stany depresyjne. Po napisaniu tego listu popełniła samobójstwo. Sąd przysięgłych odrzucił ten dowód. Odrzucono także oświadczenie pacjenta, który pierwszy wskazał na pielęgniarkę Narcisso jako podejrzaną, gdyż zmieniał swoje oświadczenia dwukrotnie, a teraz już nie żył.

Ekipą oskarżycieli kierował zastępca prokuratora Stanów Zjednoczonych Richard Yanko. Głównym jego zastępcą był Delonis. W czasie trzydziestotygodniowego procesu (sędziowie przysięgli pozostawali w tym czasie odosobnieni) nie wpłynęło wiele nowego materiału dowodowego.

Początkowe oskarżenie o szesnaście morderstw skurczyło się do ośmiu. Po dziewięciu tygodniach rozprawy sędzia Pratt odrzucił oskarżenie o jedno morderstwo przypisywane pielęgniarce Perez, pozostawiając dwa otrucia i jedno usiłowanie zabójstwa. Przeciw Narcisso pozostawiono jedno morderstwo, jedno usiłowanie morderstwa i dwa otrucia.

Sąd przysięgłych uznał Perez winną we wszystkich trzech oskarżeniach, ale Narcisso uniewinniono z dwóch otruc i jednego usiłowania zabójstwa.

Obrońca oskarżonych zapowiedział wystąpienie z apelacją. Rutynowa procedura już się rozpoczęła i może zająć długie miesiące, a nawet lata. Tymczasem sędzia Pratt wyraził zgodę, by pielęgniarki pozostały na wolności na mocy wcześniej wpłaconych kaucji.

19 września sąd w Illinois zdecydował, że obie pielęgniarki przed ostateczną decyzją w sprawie ich wyroku muszą się poddać badaniu psychiatrycznemu.

Większość znających sprawę skłania się do opinii, że jest to najdziwniejszy przypadek w historii medycyny i kryminalistyki.

Jaye Fletcher

12 STRZAŁÓW

W 1967 roku czterdziestojednoletniej Donnie Brown Branion nie brakowało niczego. Była córką zamożnej i wpływowej rodziny, jej mąż był znanym, czarującym lekarzem; mieli czteroletniego, pięknego, zdrowego synka.

Mieszkali we wspaniałym domu w Hyde Park w Chicago. Zamożność i zalety towarzyskie obojga sprawiały, że prowadziły styl życia, o jakim większość kolorowych Amerykanów mogła zaledwie marzyć. Ale Hyde Park w Chicago w 1967 roku był zapewne jedyną dzielnicą, gdzie zamożni i uprzywilejowani towarzysko czarni obywatele, tacy jak państwo Branion, mogli mieszkać w zgodzie i być całkowicie akceptowani przez białych sąsiadów.

Hyde Park, dzielnica dochodząca do wybrzeży i plaży jeziora Michigan, jest siedzibą Uniwersytetu Chicago. Atmosfera tej prestiżowej instytucji, uważanej w całym świecie za kolebkę badań atomowych, rzutowała na całą dzielnicę. Hyde Park był i pozostaje do dzisiaj terenem, gdzie ludzie żyją w cieniu wielkich, starych bloków uniwersyteckich. Rozmowy na przyjęciach koktajlowych w Hyde Parku zapewne koncentrują się nie na sporcie, ale wokół aeronautyki, ostatnich odkryć na polu inżynierii genetycznej i badań nad rakiem.

John i Donna Branion zajmowali od paru lat poczesne miejsce w tej godnej społeczności, a zalety towarzyskie Donny i znaczne poważanie Johna w świecie medycyny sprawiły, że

byli pożądanymi gośćmi na proszonych kolacjach u znajomych.

22 grudnia 1967 roku Donna skończyła przygotowania do rodzinnego święta Bożego Narodzenia. Wszystkie dekoracje znalazły się na właściwym miejscu, choinka pachniała i świeciła pod frontowymi oknami olbrzymiego, bogato urządzonego salonu. Pijąc poranną kawę Donna układała menu wystawnej kolacji z zaproszonymi gośćmi, którą zaplanowała z mężem. Dr John Branion wyszedł z domu o dziewiątej rano zabierając z sobą syna, by go odwiedzić do pobliskiego przedszkola. Stamtąd udał się do Szpitala Idy Mae Scott na obchód poranny, po którym miał zabrać chłopca i przywieźć go do domu. To był stały rozkład zajęć i Donna oczekiwała, że - jak co dzień - spotkają się wszyscy na obiedzie. Tym razem miało być inaczej.

O godzinie 11.05 jedna z sąsiadek Donny Branion wróciła z zakupów. Gdy chowała sprawunki, usłyszała odgłos strzałów. Dokładnie zapamiętała godzinę, gdyż zakupy zajęły jej więcej czasu niż oczekiwała, i była niezadowolona, że była już 11.05. W parę minut później zobaczyła przez okno dr. Johna Braniona wybiegającego frontowymi drzwiami i ciągnącego za sobą syna. Doktor wydawał się bliski hysterii, głośno krzyczał do sąsiadów, by wyszli z domów.

Popchnął syna do sąsiada, wykrzykując zduszonym głosem: „Zaopiekuj się nim. Coś niedobrego stało się Donnie”.

Potem odwrócił się i pobiegł do domu. Kilku przerażonych sąsiadów podążyło za nim.

Donna leżała na wznak w pralni tuż obok kuchni. Miała na sobie ulubiony beżowy pulower i brązowo-białą plisowaną spódnicę. Ramiona opierały się na biodrach, nogi zaś były zsunięte i lekko zgięte na prawo, jak gdyby wstydlivość nie opuściła jej do śmierci. Dwanaście dużych pocisków przedziurawiło jej czaszkę, twarz i szyję.

Donna Brown Branion, kobieta, która miała wszystko, leżała martwa.

Doktor spoglądał z przerażaniem na ciało swojej żony. Trzęsły mu się ręce, a z ust wydobywał się jedynie monotony, cichy jęk. Jeden z sąsiadów wezwał policję, drugi sprowadził

swoją żonę, lekarkę. Badanie zajęło parę sekund i potwierdziło to, co wszyscy już wiedzieli. Donnie Branion nie łżyła potrzebna pomoc lekarska.

Przybyli wkrótce policjanci, po zorientowaniu się w sytuacji, natychmiast wezwali przez radio ekipę detektywów i techników laboratoryjnych. Tymczasem zaczęli spisywać nazwiska wszystkich, którzy byli w pobliżu miejsca zdarzenia, oraz czas i dokładne następstwo wypadków. Wkrótce przyjechali oficerowie śledczy, a za nimi technicy zabezpieczający ślady linii papilarnych, fotografowie policyjni i mikroanalitycy. Zbierali materiały do badań: fotografie, kosmyki włosów, bandaże, próbki krwi i tkanek, które często nabierają znaczenia nawet po paru miesiącach, w trakcie procesu o morderstwo.

Prawdziwa praca detektywów rozpoczęła się po zakończeniu zabiegów techników i zabranii zwłok Donny Branion. Musieli oni przesłuchać wszystkich, którzy mogli być w jakiś sposób związani ze zbrodnią, ustalić ich miejsca i czas pobytu oraz znaleźć świadków, którzy mogli potwierdzić ich zeznania. Była to, jak zawsze, żmudna praca.

Ze zrozpaczonym po morderstwie żony doktorem trudno się było porozumieć. Ustalono jedynie, że przyjechał z synem do domu o godzinie 11.45. Kilkakrotnie zawołał żonę, szukając jej po całym domu. Kiedy zobaczył ją leżącą we krwi, pierwszą jego myślą było wyprowadzić syna z tego miejsca. Wybiegł wzywając pomocy sąsiadów, a potem wrócił do zmarłej żony.

Zapytano, czy zbadał żonę, by się upewnić, że nie żyła, a może jeszcze dawała oznaki życia?

Dr Branion potrząsnął głową mówiąc, że wystarczyło spojrzeć na plamy opadowe na nogach, by przekonać się, że nie żyła. (Plamy opadowe powstają ze zbierania się krwi w najniższych punktach ciała. Ponieważ serce już nie pompuje krwi przez system krążenia, siły przyciągania powodują, że krew opada, i powstają różnokolorowe zabarwienia skóry z przewagą sinych. Dlatego mówi się o plamach opadowych.)

Przez następne parę dni detektywi odwiedzili sąsiadów doktora Braniona, zadając im pytania i prosząc, by przypomnieli sobie wszystko, co mogło im się wydawać podejrzan

- coś, co wskazałoby policji trop w tym, zdawałoby się, niewytłumaczalnym morderstwie. Nikt nie przypominał sobie, aby zauważył coś podejrzanego wokół domu Branionów w dniu śmierci Donny. Ale po trochu, nieomal wbrew chęciom, zaczęli stopniowo ujawniać, że „idealne” małżeństwo Branionów było niezupełnie takie, jak powinno.

W domu były częste kłótnie, a raczej prawdziwe awantury z wrzaskami, których trudno było nie słyszeć.

Detektywi spytali sąsiadów, czy domyślają się przyczyn tej małżeńskiej wojny. Okazało się, że Donna Branion od paru miesięcy oskarżała męża o spotkanie się z inną kobietą, a może nawet z kilkoma kobietami. On energicznie zaprzeczał, ale często mówił, że jeśliby miał szukać pociechy w ramionach innej kobiety, to winna jest żona.

Detektywi z uwagą słuchali tych informacji. Doświadczenie mówiło im, że niezależnie od tego, jak eleganckie i spokojne mogło wydawać się z zewnątrz życie małżeńskie, często naprawdę było zupełnie inne. Taki smutny obraz obserwowali już nieraz, ale to jeszcze nie wskazywało na doktora Braniona jako winnego. Tylko fakty mogły skłonić do podejrzenia męża, a dotychczas ich nie było. Jednakże niepokojące komentarze sąsiadów skłoniły detektywów do zainteresowania się niespójnymi wersjami doktora na temat trasy jego przejazdów w dniu zabójstwa żony.

Zeznał on, że wyjechał tego dnia z domu o dziewiątej rano. Podwiózł syna do przedszkola, a następnie udał się do szpitala, który mieścił się w odległości paru przecznic od jego domu. Obchód szpitalny trwał do około 11.30 rano, po czym doktor opuścił szpital. W drodze po syna zatrzymał się, by zabrać zaprzyjaźnioną z nimi starszą panią, którą zaprosili tego dnia na obiad. Ale okazało się, że kobieta nie czuła się dobrze i zrezygnowała z zaproszenia.

Branion pojechał więc do przedszkola, gdzie - według jego słów - synek czekał na zewnątrz. Zabrał chłopca i skierował się w stronę domu, przybывая tam około 11.45. Tu znalazł ciało żony.

Wszystkie miejsca, w których zatrzymywał się dr Branion - przedszkole, szpital i dom znajomej - były oddalone od jego

domu tylko o parę przecznic, tak że detektywi nie widzieli nic podejrzanego w tym, że wyjechał ze szpitala o godzinie 11.30, zabrał syna, widział się ze starszą kobietą i dotarł do domu w piętnaście minut później.

Choć nie mieli szczególnych zastrzeżeń do podanego przez doktora czasu marszruty, którą łatwo było sprawdzić, to jednak spytali go, czy pamięta, o której godzinie dotarł do domu starszej kobiety.

Tak, pamiętał dokładnie, bo spóźnił się kilka minut. Był umówiony na 11.30, ale kiedy tam przyjechał, a ona nie czekała na niego, spojrzął na zegarek i stwierdził, że spóźnił się dwie czy trzy minuty. Podszedł do drzwi i dowiedział się, że zaproszona pani musi odmówić przyścia na obiad, gdyż nie czuje się dobrze.

Czy pamięta, kiedy dotarł do przedszkola? Oczywiście, przedszkole było tuż koło domu starszej pani, więc prawdopodobnie o 11.35, gdy zatrzymał samochód przed frontem budynku. Zwykle zabierał chłopca dokładnie o 11.30 i dlatego synek czekał na zewnątrz. Personel ubrał chłopca w ciepły płaszcz, czapkę i rękawiczki, a ponieważ doktor trochę się spóźnił, chłopiec czekał na dworze, by się nie przegrzać i nie spocić, pozostając w budynku.

W toku dochodzenia detektywi stwierdzili sprzeczności w zeznaniach sąsiadów, dotyczące czasu usłyszenia strzałów i widoku dr. Braniona ciągnącego syna i wzywającego pomocy. Kobieta, która po zakupach wróciła do domu o godzinie 11.05, stwierdziła, że upłynęło zaledwie pięć do dziesięciu minut, gdy zobaczyła doktora przebiegającego przez trawnik. Detektywi jednak przyjęli, że musiała się mylić w ocenie, ile czasu zajęło jej rozpakowywanie zakupów. Gdyby to rzeczywiście było pięć czy dziesięć minut, musiałyby wtedy być 11.10 lub 11.15.

Idąc śladami marszruty doktora Braniona w tym dniu, detektywi stwierdzili, że doktor skończył obchód szpitalny dopiero o godzinie 11.30. Przesłuchali ostatniego pacjenta doktora tego dnia, młodego człowieka przebywającego w szpitalu z powodu niezbyt poważnego schorzenia płuc. Doktor przyszedł do jego pokoju o 11.25 rano. Pacjent pamiętał to

dokładnie, gdyż jak większość chorych leżał znużony w łóżku oczekując na wizytę doktora, która przerywała monotonię szpitalną. Zeznał, że dr Branion wydał się roztargniony, jakby chciał jak najszybciej skończyć wizytę. Zanim upłynęła minuta, opuścił pacjenta.

Sprzeczność dotycząca czasu wypadków tego przedpołudnia w oświadczeniu sąsiadki wydawała się dziwna, ale dla detektywów nie było w tym nic nadzwyczajnego. Jeśli ludzie nie mają szczególnych powodów zwracać uwagi na dokładny czas, ich późniejsze relacje są dalekie od rzeczywistości. Chyba że, jak pacjent w szpitalu, ma się szczególny powód do zanotowania w pamięci dokładnej pory zdarzenia. Ustalając zatem, że dr Branion kończył obchód w szpitalu dokładnie wtedy, gdy sąsiadka rzekomo widziała go wybiegającego z domu, detektywi prawie natychmiast odrzucili jej wersję zdarzeń.

Nie odrzucono jednak tak lekko relacji innych sąsiadów Branionów. Ten sam sąsiad, który zaopiekował się synem doktora i którego żona, lekarka, po zbadaniu ciała Donny oświadczyła, że pani Branion nie żyje, oczekiwał wtedy niecierpliwie międzymiastowego telefonu od przyjaciela. Umówili się, że przyjaciel zatelefonuje dokładnie o godzinie 11.30 przed południem. Sąsiad przypomniał sobie, że słysząc dzwonek telefonu spojrzął na zegarek i ucieszył się, że przyjaciel był punktualny.

Rozmawiając przez telefon, sąsiad nie spuszczał oczu z zegarka, gdyż międzymiastowe rozmowy są drogie. Gdy wskazówki jego zegarka przesunęły się na 11.36, usłyszał odgłosy, które przypominały strzały. Poprosił swego rozmówcę, by zaczekał, i przysłuchiwał się uważnie, ale odgłosy się nie powtórzyły, prowadził więc dalej rozmowę telefoniczną. Rozmowa trwała niecałe piętnaście minut, a zatem do 11.45. Po odłożeniu słuchawki przez parę minut prowadził ożywioną rozmowę z żoną, aż do czasu, gdy usłyszeli wezwania o pomoc dr. Braniona.

Jeśli detektywi mieli dać wiarę ocenie czasu tego sąsiada, to śmierć Donny Branion nastąpiła dokładnie o 11.36, z jednogminutowym odchyleniem w jedną czy drugą stronę. Gdyby zatem przyjąć tę wersję za prawdziwą, a później potwierdziły to

wyciągi telefoniczne, to doktora Braniona nie można było uważać za podejrzanego o zabójstwo żony, gdyż oświadczył, że dokładnie w tym czasie był w przedszkolu syna.

Teraz detektywi udali się do przedszkola, by potwierdzić oświadczenie doktora co do czasu i okoliczności jego przybycia tam 22 grudnia 1967 roku.

- Co znowu! To nieprawda! - usłyszeli. - Z całą pewnością, nie! Na litość Boga, jak można to nawet brać pod uwagę!

To była reakcja dyrektorki przedszkola na twierdzenie dr. Braniona, że jego syn - ubrany - czekał na zewnątrz budynku, gdy Branion zatrzymał samochód przed przedszkolem. Była oburzona, że wyglądało na to, iż podważano jej przygotowanie do zawodu i oddanie dzieciom. Powiedziała detektywom, że w żadnych okolicznościach nie pozwoliłaby, aby czteroletnie dziecko, ubrane, czekało na ulicy na rodzica. To odrażające tak myśleć! Czyżby detektywi z wieloletnim doświadczeniem nie zdawali sobie sprawy, jak niebezpieczne byłoby takie postępowanie dla zdrowia i bezpieczeństwa małego, bezbronnego dziecka?

Detektywi zapewnili zirytowaną kobietę, że istotnie byli świadomi, jakie niebezpieczeństwa czyhają na dziecko na ruchliwej arterii, ale powtarzali jej, że dr Branion powiedział im, że jego syn czekał na poboczu sam, gdy on zatrzymał samochód przed przedszkolem o godzinie 11.35, by zabrać dziecko do domu. Dokładnie powtórzyli jej, co im powiedział doktor.

Kobieta parsknęła z oburzenia. Powiedziała im, że albo nie zrozumieli dokładnie zeznań świadków, albo dr Branion postradał zmysły sugerując, że mogła opatulić dziecko i wyrzucić je na ulicę, by czekało na spóźniającego się rodzica. Czy detektywi zdawali sobie sprawę, że niektórzy rodzice spóźniali się parę godzin? Czy detektywi sugerują, że powinna czekać jedynie do ustalonego z rodzicami czasu, a gdy nie zjawiają się, wtedy miałyby wyrzucać swoich bezbronnych podopiecznych na dwór?

Poza oburzającym posądzeniem, że mogłaby wypuścić czteroletnie dziecko samo na dwór - prychnęła pogardliwie - byli w błędzie próbując przekonać ją, że dr Branion zjawił się po

syna o 11.35. Wiedziała dokładnie, kiedy przyjechał. Jak mogła nie wiedzieć, gdy spóźnił się piętnaście minut. Przyjechał o godzinie 11.45.

W tym momencie detektywi usłyszeli w mózgach dzwonki alarmowe. Dr Branion stwierdził pewnie, bez wahania, że przyjechał do szkoły o 11.35, że jego syn już czekał na zewnątrz, i że stamtąd udał się do domu, gdzie się znalazł o 11.45 i odkrył ciało zamordowanej żony.

Aby uzyskać pewność, oficerowie śledczy wraz z dyrektorką przedszkola uważnie prześledzili cały ciąg zdarzeń 22 grudnia 1967 roku, jak to zapamiętała. A pamiętała bardzo dobrze. Jej wersja czasu poszczególnych czynności doktora zgadzała się całkowicie, jeśli chodzi o początek dnia.

Doktor zostawił syna około dziewiątej rano, co, jak dodała, zawsze robił o tej porze. Jednak jej sprawozdanie różniło się zasadniczo, jeśli chodzi o to, jak i kiedy doktor zabrał dziecko. Zgodnie z jej słowami dr Branion zwykle przyjeżdżał, by zabrać syna, między 11.30 a 11.40 rano. Ale tego dnia, 22 grudnia, przyjechał parę minut później, dokładnie o 11.45.

Dlaczego była taka pewna, że właśnie wtedy? - naciskali ją detektywi. - Oczywiście, musiała się zajmować innymi dziećmi i nie mogła znać dokładnego czasu zjawienia się rodziców - mówili. Zgodziła się z tym, ale dodała, że druga klasa przedszkolaków przychodziła w południe i ona spoglądała bez przerwy na zegarek, obawiając się, że coś w szpitalu mogło zatrzymać doktora. Gdy zobaczyła, że jego samochód zatrzymuje się przed przedszkolem, spojrzała na zegarek i odczekała z ugięciem, że pozostanie jej piętnaście minut na doprowadzenie przedszkola do porządku przed przybyciem następnej grupy maluchów. Powiedziała jeszcze detektywom, że dr Branion wpadł w pośpiechu, przeprosił za spóźnienie i zdawał się nieprawdopodobnie śpieszyć. Do tego stopnia, że ukląkł obok niej i pomagał ubrać chłopca. Mówiła, że gdy pomagała chłopcu włożyć buty, dr Branion wcisnął mu na rękę rękawiczki i związał wełnianą czapkę pod brodą.

Gdy dziecko było ubrane (nie minęła minuta odkąd przyjechał), chwycił chłopca na rękę i wyszedł. Nauczycielkę trochę zaskoczyło to błyskawiczne działanie i stała patrząc jak dr

Branion sadza syna na przednim fotelu i biegnie na drugą stronę samochodu, aby usiąść za kierownicą. Powiedziała, że pośpiesznie zawrócił samochód i skierował go w stronę domu.

Jeśli nauczycielka dokładnie zapamiętała czas i okoliczności tego, co się działo w przedszkolu - a robiła wrażenie osoby dokładnej - to detektywi zdali sobie sprawę, że trop wyraźnie wskazuje na doktora jako mordercę żony. Jeśli rzeczywiście przyjechał do przedszkola o 11.45, a nie o 11.35, jak powiedział, to nic nie wiadomo o dziesięciu minutach w jego porannej marszrutce. Co więcej, jeśli strzały, które słyszał sąsiad rozmawiający przez telefon, nastąpiły o 11.35 (przypuśćmy, że minutę wcześniej czy później), to gdzie był wówczas doktor Branion?

Aby ponownie sprawdzić zeznanie doktora, detektywi udali się do starszej kobiety, która tego dnia była zaproszona na obiad do Branionów. Powiedziała im to samo, co usłyszeli od doktora.

Przybył do jej mieszkania zaraz po 11.30, ale ponieważ nie czuła się dobrze, przeprosiła, że nie może z nim pojechać. Powiedziała, że doktor był bardzo zatroskany i miał nadzieję, że kobieta wkrótce poczuje się lepiej. Odjechał natychmiast. Ale dodała coś, co zaintrygowało detektywów. Zaproszenie na obiad przekazał jej sam doktor poprzedniego wieczoru. Była już w łóżku, gdy zadzwonił telefon, o 10.30 wieczorem.

Powiedziała detektywom, że zaproszenie bardzo ją zdziwiło, przede wszystkim dlatego, że dotąd nie zapraszano jej na obiady do Branionów, a po wtóre zaskoczyła ją późna pora i delikatny nacisk doktora, aby przyjęła zaproszenie już na następny dzień. Starsza kobieta powiedziała, że przyjęła zaproszenie nieobowiązkowo, nadmieniając, że nie czuje się dobrze i jeśli nie będzie czuła się lepiej następnego dnia, będzie musiała pozostać w domu. Doktor zgodził się z tym całkowicie.

Teraz przed detektywami otworzyła się możliwość oskarżenia doktora Braniona, ale chcieli mieć pewność, zanim wystąpią z podejrzeniami wobec wpływowego i szanowanego członka społeczności.

Rozmawiali ponownie z lekarką, która pierwsza oświadczyła, że żona doktora nie żyje. W czasie obecnej rozmowy

wspomnieli, że dr Branion powiedział, iż nie badał żony po znalezieniu jej ciała, gdyż wiedział z całą pewnością, że nie żyje, widząc u niej plamy opadowe. Lekarka zaprzeczyła. To niemożliwe. Ona zbadała ciało w parę minut później i wtedy jeszcze było ciepłe, co jest oznaką, że śmierć nastąpiła na krótko przedtem. Była gotowa podeprzeć to stwierdzenie gwarantując swoją reputacją, że plamy jeszcze nie wystąpiły. - Dr Branion mylił się - oświadczyła.

Detektywi jednak wiedzieli, że to coś więcej. Doktor Branion nie pomylił się - ani jeśli chodzi o czas jego trasy tego dnia, jak to podał detektywom, ani w ocenie stanu zwłok żony. To nie były pomyłki. Branion kłamał.

Detektywi przekazali sprawę prokuraturze federalnej i 22 stycznia 1968 roku o godzinie jedenastej rano zaarrestowano dr. Braniona pod zarzutem morderstwa żony. Było to dokładnie w miesiąc po jej śmierci.

12 czerwca 1968 roku sąd uznał doktora Johna Marshalla Braniona winnym zabójstwa żony z premedytacją i skazał na trzydzieści lat więzienia. Jego adwokat natychmiast odwołał się od wyroku do sądu apelacyjnego, a doktora zwolniono za kaucją pięciu milionów dolarów.

To, co się następnie zdarzyło w sprawie Branion przeciw Branion, przypomina fabułę powieści, ale to jest prawda, a nie fikcja. Od czerwca 1968 roku do początków 1971 roku dr Branion odwoływał się od wyroku skazującego go za zabójstwo żony. Jego adwokat wykorzystał każdą fachową formułę, każdą lukę, usiłując obalić wyrok. Jednakże na początku 1971 roku wyczerpały się możliwości apelacji, gdy Wyższy Sąd w Illinois utrzymał pierwszy wyrok, żądając, by dr Branion zgłosił się w biurze szeryfa w celu poddania się wyrokowi trzydziestu lat więzienia. Wówczas dr Branion zniknął.

Proces o morderstwo i rozprawa zyskały duży rozgłos, a zniknięcie skazanego wywołało jeszcze większe poruszenie. Przesłuchano przyjaciół i znajomych doktora, wysłano listy gończe z fotografiami i informacjami o nim. Ale dr Branion zniknął we mgle. Z czasem nowe wiadomości, nowe morderstwa pochłonięły uwagę ludzi i tajemnicza ucieczka doktora została zastąpiona na pierwszych stronach gazet innymi sensacjami.

Nic nowego nie zdarzyło się w tej sprawie aż do 22 października 1983 roku, gdy z polecenia Departamentu Stanu USA dwóch zastępców szeryfa z hrabstwa Codk udało się do Ugandy i aresztowało dr. Braniona w dwadzieścia lat po morderstwie jego żony.

Wiele faktów z życia Johna Braniona w tym okresie jest nieznanych i zapewne pozostaną okryte tajemnicą. Władze ustaliły, że po ucieczce ze Stanów Zjednoczonych dr Branion udał się do Sudanu, a następnie do Ugandy. Od 1972 do 1979 roku występował jako osobisty lekarz dyktatora Idi Amina i wraz z kilkoma innymi lekarzami zapewniał opiekę lekarską i leczenie żołnierzom z oddziałów Ugandy, rannym w czasie ataku Izraela w 1976 roku na lotnisko ugandyjskie Entebbe. Po upadku Amina dr Branion zniknął, ale wiadomo, że w jakiś czas później był w Południowej Afryce i w Malezji. Dopiero po powrocie do Ugandy w 1983 roku aresztowano go i przekazano przedstawicielom Departamentu Stanu USA.

Oficjalne oświadczenie Departamentu Stanu o tych wydarzeniach mówi, że decyzja Ugandy o ekstradycji dr. Braniona nastąpiła na skutek działań dyplomatycznych między Waszyngtonem a stolicą Ugandy, Kampalą. Nieoficjalnie jednak wiadomo, że doktorowi Branianowi wyczerpały się pieniądze, zaś te rządy, które go chroniły, a nawet zachęcały do pobytu w ich krajach, robiły to do czasu, gdy rozrzucił pieniądze. Z chwilą gdy stracił możliwość opłacania swego bezpieczeństwa, aresztowano go i przekazano organom sprawiedliwości Stanów Zjednoczonych.

Dr Branion znalazł się wreszcie w więzieniu stanu Illinois, gdzie rozpoczął odsiadanie wyroku trzydziestu lat za morderstwo. Rozprawa z oskarżenia o ucieczkę odbędzie się w późniejszym terminie.

Bob Carlsen

„ANIOŁ MIŁOSIERDZIA” ZADAJE ŚMIERTELNY CIOS W PLECY

Peter Stodółka był tak uradowany po otrzymaniu „nowej” nogi, że powiedział sąsiadom, iż będzie tańczył polkę. Znając jego animusz, nie bardzo się dziwili. Peter, siedemdziesięcioośmioletni inwalida z amputowaną nogą, był towarzyski i życzliwie nastawiony do ludzi. Często potrzebował usług pielęgniar-skich i opieki. Jednakże jego upośledzenie ograniczało się do strony ściśle fizycznej. Psychicznie zachowywał się tak, jakby miał dwie nogi. Po 26 lipca 1986 roku będzie go ludziom brakowało.

Peter był także doskonałym znawcą ludzi. Już po krótkim czasie mógł prawidłowo ocenić pielęgniarzy, którzy się nim opiekowali. W czerwcu powiedział sąsiadce, że nie ufał jednemu

z tych, którzy ostatnio do niego przychodzili. Dał sąsiadce na przechowanie tysiąc dolarów, zanim zdecyduje, czy dalej będzie się godzić na usługi tego pielęgniarza.

Peter mieszkał w bloku 9900 Old Highway 99. Była to dawna arteria, która - zanim zbudowano autostradę Interstate 5 - stanowiła główne połączenie między Olympią i Tacoma. Od lata 1985 do lipca 1986 roku Peter korzystał z pomocy różnych osób, skierowanych do jego domu. Wiele z nich lubił, z innymi nie mógł się dogadać, jeszcze inne nie lubiły tej pracy i odchodziły.

Gdy 29 lipca pielęgniarka zadzwoniła do drzwi Petera, nie było odpowiedzi. Sądząc, że podopieczny jest w łazience i nie słyszy dzwonka, otworzyła drzwi i weszła do domu. Wiedziała, że jej oczekuje.

Przemierzając skromny dom Petera, pielęgniarka wołała go, ale nie było odpowiedzi. Przeraziło ją to. Nie było go w kuchni, w łazience, nie było w saloniku. Gdy weszła do sypialni, zobaczyła go leżącego na łóżku na wznak. Nie poruszał się i nie odpowiadał, gdy zawołała go po imieniu.

Pielęgniarka miała już do czynienia ze śmiercią. Z całym współczuciem zbliżyła się do łóżka, aby sprawdzić puls. Sądziła, że zmarł na atak serca.

Nagle zobaczyła straszną ranę klatki piersiowej. Koszula przesiąkła krwią i pielęgniarka od razu zdała sobie sprawę, że przyczyną śmierci nie był atak serca. Peter Stodółka został zamordowany.

Kobieta zatelefonowała do obsługi ambulansu, a następnie do biura szeryfa. Była przekonana, że nie wyczuwa pulsu, ale przepisy wymagały dostosowania się do obowiązującej procedury, tak aby ani ona, ani instytucją ją zatrudniająca nie zostały pociągnięte do odpowiedzialności.

Obsługa ambulansu potwierdziła, że Peter nie żyje. Wraz z zastępcami szeryfa przybyli zastępca prokuratora i lekarz policyjny.

Funkcjonariusze śledczy stwierdzili, że sceną morderstwa była wyłącznie sypialnia ofiary. W całym domu panował nieporządek, ale nie uznano tego za zaskakujące, bo przecież był to dom inwalidy, który miał tylko jedną nogę. Śladów przetrząśnięć nie było.

Ofiara leżała na plecach na łóżku. Kołdra od góry i z lewej strony głowy była zwinięta. Ramiona były zgięte w łokciach, a ręce spoczywały na klatce piersiowej, zakrywając częściowo ciężkie rany. Denat był całkowicie ubrany.

Nie było śladów walki, co nie zdziwiło detektywów. Człowiek z jedną nogą i bez protezy nie był w stanie walczyć, poza tym, że mógł kopać zdrową nogą i odparowywać ciosy rękoma. Nie mógł jednak wstać i walczyć w ruchu.

Później sąsiedzi powiedzieli detektywom, że Peter jeszcze nie przyzwyczał się do protezy i przy chodzeniu po domu posługiwał się balonikiem.

Detektywi przepytali pielęgniarkę, która znalazła zwłoki, by dowiedzieć się możliwie najwięcej o zwyczajach ofiary, jego wymaganiach i codziennych zajęciach. Kobieta powiedziała im, że drzwi frontowe były otwarte. Wyjaśniła, że nie było to niezwykle, gdyż wielu pacjentów korzystających z usług pielęgniarskich często zostawiało nie zamknięte drzwi, gdy wiedzieli, że przyjdzie pielęgniarka.

Detektywi stwierdzili, że krew wokół dwóch ran klatki piersiowej skrzepła; to nasunęło im myśl, że denat zmarł dość dawno temu. Lekarz policyjny doszedł do wniosku, że śmierć nastąpiła 28 lipca, w przeddzień odkrycia zwłok.

Fakt, że był całkowicie ubrany, a nie w piżamie, także sugerował, że zamordowano go poprzedniego dnia, a nie ostatniej nocy.

Pielęgniarka wyjaśniła, że Peter czasami drzemał w ubraniu, ale wieczorem wkładał długie kalesony albo piżamę.

Kalesony denata wisały na sznurze do suszenia bielizny w łazience. Brudna koszula leżała na dnie wanny.

Funkcjonariusze śledczy stwierdzili, że były trzy rany kłute. Dwie były łatwo widoczne, ale trzecią zobaczyli dopiero po poruszeniu zwłok. Było to pchnięcie nożem w plecy ofiary.

- Zaatakować kalekę leżącego w łóżku mógł tylko nikczemnik - powiedział zastępca prokuratora. - A cios w plecy dowodzi, że było to najpodlejsze tchórzostwo.

Detektywi brali pod uwagę, że denat mógł leżeć na boku albo na brzuchu, gdy napastnik zadał pierwszy cios w plecy.

Następnie uderzył dwukrotnie nożem w klatkę piersiową, a już pierwszy cios okazał się śmiertelny.

Ofiara nie próbowała walczyć. Pod paznokciami nie znaleziono krwi ani fragmentów tkanki napastnika, nie było też ran na dłoniach i przedramionach.

- Możliwe, że nawet nie wiedział, co to za ciosy - powiedział jeden z detektywów - ale nawet gdyby wiedział, i tak nie mógł nic zrobić.

Zwłoki zawieziono do kostnicy. Zamieszanie wokół zazwyczaj cichego domu Petera nie mogło zostać nie zauważone przez sąsiadów. Wielu z nich zgromadziło się przed wejściem i dowiedziało się, co spotkało ich przyjaciela.

- Jak ktoś mógł to zrobić takiemu niewinnemu człowiekowi, jakim był Peter? - rozpaczła, wcale tego nie ukrywając, jedna z sąsiadek. - Nigdy nie zrobił nic, by świadomie dokuczyć komukolwiek. Aż do amputacji nogi zawsze był gotowy do pomocy. Nie mogę tego zrozumieć.

Przydzielonym do tej sprawy detektywom Conradowi Riedlowi i Johnowi Bowenowi także trudno to było pojąć. Dom nie został splądrowany, nie było motywacji seksualnej i z tego, co im powiedziano, Peter Stodółka nie miał wrogów. Wszyscy go bardzo lubili. Detektywi wzdrygnęli się na myśl, że zbrodni mógł dokonać zabójca dla czystej przyjemności zabijania, napadając nagle na bezbronnego kalekę, który nie mógł się skutecznie bronić.

W domu denata pobrano ślady linii papilarnych. Znaleziono ich bardzo wiele. Okazało się, że sporo należało do ofiary i jego przyjaciół oraz do pielęgniarek. Zbyt dużo śladów linii papilarnych nie pomaga w śledztwie. Wiele osób miało uprawnione racje przebywania w domu Petera Stodółki, a powiązać ich ze zbrodnią tylko dlatego, że zostawili odciski palców, byłoby niesłuszne.

Na żadnym ze znalezionych odcisków palców nie było śladów krwi. Nie było jej w całym pomieszczeniu. Krew ofiary wsiąkała w jego koszulę, bieliznę pościelową, materac i poduszkę.

Zakrwawioną poduszkę, ukrytą w papierowej torbie, znaleziono w innym pomieszczeniu. Zdziwiło to detektywów. Dla-

czego zabójca miałby chować poduszkę? Nie wyglądało na to, aby miała ona być przekonującym dowodem, wyznaczającym trop do mordercy.

- Może to ma większe znaczenie niż sądzimy - powiedział detektyw Bowen swemu partnerowi. - Przyjmujemy, że krew na poduszce należy do denata. Może jednak staremu Peterowi udało się bardziej bronić, niż nam się wydaje?

Gdyby krew na poduszce należała do zabójcy, to czyż nie zabrałby papierowego worka i nie umieścił go gdzie indziej? Być może zamierzał to zrobić, ale w pośpiechu zostawił poduszkę - rozumowali detektywi.

Funkcjonariusze nie wykluczyli możliwości, że zabójcą była kobieta. Łatwo mogła napaść na śpiącego inwalidę, wbić mu ostrze w plecy, a potem dwukrotnie przebić klatkę piersiową. Wiedzieli, że jest to wariant, który trzeba rozpatrzyć.

Musieli także wziąć pod uwagę, że w ciągu ostatniego roku do domu ofiary przychodziło wielu ludzi - szczególnie przyjaciół i pielęgniarek. Morderca mógł bez trudu dorobić klucze do drzwi, wejść do domu, gdy Peter mocno spał, i zamordować. Jaki jednak miał motyw?

Policjanci dokładnie przeszukali cały dom i stwierdzili, że brakowało tylko jednej rzeczy - portfela ofiary.

Oficerowie śledczy długo się nad tym zastanawiali. Jeśli do domu Petera wśliznął się nieznajomy z zamiarem kradzieży portfela, czyż nie mógłby tego zrobić nie uciekając się do morderstwa starego człowieka? Czyż obcy człowiek popełniłby morderstwo, by ukraść portfel, nie wiedząc, co w nim jest? Obcy spojrzalby na kalekę, obejrzał jego skromny dom i doszedł do wniosku, że denatowi niewiele można było ukraść. Czy warto było zamordować go, by zdobyć portfel? Zdrowy rozsądek nie pozwoliłby mu na to. Jeśli jednak zabójca był pod wpływem narkotyków i nie był zdolny do oceny swoich czynów, to mógłby popełnić taką zbrodnię. - Tak jest z narkomanami - powiedział jeden z detektywów. - Nigdy nie wiadomo, co mogą zrobić, by zdobyć towar.

To jest jedyny cel, dla którego żyją - szprycowanie. Narkoman, nie znając nawet ofiary, ale wiedząc, że jest niewielka szansa złapania go, może popełnić taką zbrodnię - rozumowali detektywi.

Jedna hipoteza sprowadzała się do tego, że Petera Stodółkę zabił obcy. Rozważano też poważnie drugą hipotezę - że zrobił to ktoś, kogo denat znał.

Detektywi przesłuchiwali znajomych i przyjaciół zamordowanego, omijając szczegóły śledztwa. Nie poinformowali nikogo, że denat otrzymał trzy ciosy: dwa w klatkę piersiową i jeden w plecy. Nawet najlepsi reporterzy, którzy dowiedzieli się o przyczynie śmierci, uważali, że wszystkie trzy ciosy ugodziły ofiarę w klatkę piersiową, i takie informacje podawali w swoich reportażach. Dopiero na procesie ludzie dowiedzieli się, że zabójca trafił także w plecy.

Wszyscy przesłuchiwani wyrażali zdumienie i żal z powodu śmierci Petera. Sąsiadka, najbliższa przyjaciółka denata, dostarczyła interesujących informacji o jednym z pielęgniarzy.

- Pete powiedział, że nie ufa temu facetowi - zeznała.
- Powiedział mi, że słyszał, jak ten typ chodzi w nocy po jego mieszkaniu. Od tego się zaczęło. Wtedy właśnie stał się podejrzliwy.

- Pielęgniarsz, którego Peter nie lubił, pierwszy raz przyszedł do niego w czerwcu - wyjaśniła sąsiadka. - Pete powiedział mi, że nie podoba mu się ten człowiek.

Ona zaś powiedziała detektywom, że pielęgniarsz wydał się jej sympatyczny, godny zaufania. - Powiedziałam sąsiadowi, że tylko fantazjuje - dodała. - W jakimś stopniu rozwiąłam jego obawy. Wzięłam jednak tysiąc dolarów, które dał mi na przechowanie.

Detektywi zainteresowali się, dlaczego denat miał w domu taką dużą sumę. Przyjaciółka powiedziała, że Pete czasami trzymał w domu nawet tysiąc osiemset dolarów.

- Kiedy ten pielęgniarsz był ostatnio w domu pana Stodółki? - spytał sąsiadkę detektyw Riedl.

Odpowiedziała, że 24 czerwca - miesiąc i cztery dni przed morderstwem. Pielęgniarsz spędził w domu inwalidy noc z 24 na 25 czerwca. Następnego dnia zastąpiła go inna osoba - powiedziała detektywom sąsiadka. - To był ostatni raz, kiedy ten pielęgniarsz przybył do domu Stodółki jako pomoc, ale detektywi dowiedzieli się od niej, że wrócił tam po 24 czerwca z przyjacielską wizytą. Inni sąsiedzi potwierdzili te informacje.

Na wiadomość, że sąsiadka otrzymała od Stodółki tysiąc dolarów, funkcjonariusze musieli wziąć pod uwagę, że ta kobieta może być podejrzana. Jednakże po rozmowie z nią i innymi sąsiadami, gdy przekonano ich o jej kryształowym charakterze, musieli odrzucić ten pomysł jako szalony. Nie mogła popełnić takiego czynu. Byli o tym przekonani. Tak więc jej informacja o nie lubianym przez Stodółkę pielęgniarszu zyskała na wiarygodności.

Tymczasem badania autopsyjne zwłok potwierdziły przypuszczenia detektywów, że denat otrzymał dwa ciosy w klatkę piersiową i jeden w plecy. Jeden z ciosów w klatkę piersiową przebił mostek. Drugi złamał żebro i przebił serce - ta rana okazała się śmiertelna. Zabójca tak głęboko wbił nóż, że pozostały ślady trzonka w tym miejscu klatki piersiowej.

Detektywi dowiedzieli się, że nie lubiany przez denata pielęgniarsz nazywa się Nicholas Gieza. Śledczy udali się pod wskazany adres i odbyli rozmowy z sąsiadami. Okazało się, że Gieza przeprowadził się poprzedniej zimy do bloku, gdzie zamieszkał z pewną kobietą.

Oboje przybyli z Kalifornii. Sąsiedzi nie mieli złudzeń, że choć Gieza i ta kobieta mieszkali razem, byli dla siebie tylko współwynajmującymi mieszkanie. Nie było między nimi żadnego romantycznego związku.

W czasie ich wspólnego zamieszkiwania Gieza był życzliwy dla ludzi i przyjacielski, a zasłony w ich oknach zawsze były rozsunięte.

Pod koniec marca Gieza chciał zmienić ten platoniczny związek na bardziej romantyczny, lecz kobieta się sprzeciwiła. Często się kłócili. Któregoś dnia spakowała się i odeszła. Zamieszkała z innym młodym mężczyzną.

Sąsiedzi powiedzieli, że to był cios dla Giezy. Jego osobowość zmieniła się o 180 stopni. Zasłony w jego oknach były najczęściej zasunięte i przestał się kontaktować z sąsiadami.

Detektywi dowiedzieli się, że mniej więcej w tym samym czasie Gieza zaczął szukać pracy jako pielęgniarsz do pomocy pacjentom w domu. Historia jego zatrudnienia nie była oszałamiająca. Po skończeniu szkoły średniej w Torrance w Kalifornii, zanim zaciągnął się do marynarki, pracował przy sprzedaży

hamburgerów. Po opuszczeniu marynarki ponownie pracował przy hamburgerach w Południowej Karolinie i uczęszczał do szkoły.

W końcu przeniósł się do Karoliny, gdzie pracował w firmie wytwarzającej kasety do kontroli programów komputerowych. Porzucił pracę i przeniósł się do Pacific Northwest z kobietą, która z nim zamieszkała w zimie na przełomie lat 1985/1986. Na wiosnę 1986 szukał pracy jako pielęgniarz pracujący w domach pacjentów. Pierwsza instytucja odrzuciła jego podanie o pracę. Jego umiejętności zawodowe nie odpowiadały potencjalnemu chlebodawcy.

- Był bardzo niesympatyczny. Nie można było o tym ani przez chwilę zapomnieć - powiedział dyrektor firmy. - Już po rozmowie wstępnej odrzuciliśmy jego kandydaturę. Był agresywny i za bardzo naciskał mnie, mówiąc, że ma najlepsze kwalifikacje. Wszystko przemawiało za tym, że to nie jest typ do zatrudnienia.

Po nieudanej próbie w tej firmie Gieza lepiej się przedstawił w czasie rozmowy z nową dyrekcją i wreszcie dostał pracę z pensją sześciuset dolarów miesięcznie, co z trudem starczało na utrzymanie.

W czerwcu 1986 roku otrzymał zadanie zaopiekowania się Peterem Stodółką. Zgodnie z opiniami sąsiadów Giezy, jego zachowanie nadal było dziwne.

Umarł jego ojciec. Gieza bardzo przeżył tę śmierć. Detektywi dowiedzieli się także, że w lecie 1986 roku zmarło dwóch jego pacjentów.

- Był niesamowity - mówił jeden z sąsiadów. - Rozmawiał z sobą rozglądając się dokoła. Na jego widok dostawałem gęsiej skórki. Nigdy nie opowiadał o swojej pracy. Mówił tylko, że idzie do śródmieścia.

Detektywi dowiedzieli się, że następnego dnia po morderstwie Stodółki Gieza wpłacił znaczną sumę na furgonetkę, którą zamierzał kupić na raty. Policjanci brali pod uwagę, że denat mógł mieć nawet osiemset dolarów w portfelu, gdy dokonano mordu i rabunku. Doszli do tej sumy na podstawie wypowiedzi sąsiadki, która stwierdziła, że wszyscy wiedzieli, iż Stodółka trzymał nawet tysiąc osiemset dolarów w domu.

Detektywi dowiedzieli się także, że po obsłużeniu Stodółki 24 czerwca Gieza powiedział administratorowi bloku, że stracił pracę. Gdyby tak było, zastanawiali się policjanci, to skąd wziął pieniądze na opłatę komornego za lipiec i na następną ratę za furgonetkę? Może uciekł się do morderstwa?

Następnie detektywi nawiązali kontakt z kobietą, z którą Gieza przez około sześć tygodni mieszkał w Olympii. Powiedziała im, że gdy poznała go w Kalifornii, współczuła mu i zapronowała, by przeniósł się do Waszyngtonu, gdzie może znaleźć większe możliwości zatrudnienia. Kobieta ta, o której znajomi mówili, że miała duszę samarytanki, zaproponowała mu, by pojechał z nią do Olympii, gdzie zamierzała się przenieść, aby być bliżej swojego chłopca. Od początku było jasne - wyjaśniła detektywom - że próbowała pomóc Giezie po przyjacielsku, ale nie chciała z nim romansować.

Okazało się, że Gieza jej nie zrozumiał, i po wspólnym zamieszkiwaniu przez sześć tygodni, gdy nic ich nie łączyło poza wspólnym opłacaniem komornego, oczekiwał, że ich stosunki rozwiną się w bardziej romantyczny związek.

- Wyprowadziłam się zatem - wyznała.

Nie mając pomocy współlokatorki w płaceniu komornego, Gieza wytrwale szukał pracy. Zatrudnił się jako pielęgniarz pomagający pacjentom w domach. W tym czasie stał się jeszcze bardziej zamknięty w sobie. Zajął się robieniem na drutach i szydełkowaniem, a w listach do matki nazywał ją „mamunią”.

- Cofnął się do okresu dzieciństwa - powiedziała jedna z osób, która opisywała zmiany osobowości Giezy.

Detektywi dostali nakaz przeszukania mieszkania Giezy, furgonetki i budynków w otoczeniu. Znaleźli worek, jakiego używają sportowcy, w którym był nóż myśliwski w pochwie. Miał 10 cali długości i pięciocalowe zębate ostrze. Lekarz policyjny wyraził opinię, że takim nożem można było zadać ofierze rany kłute.

Znaleziono także portfel denata z pieniędzmi. W portfelu było prawo jazdy i inne osobiste papiery Stodółki. Policjanci zauważyli skaleczenie dłoni Giezy.

Trzydziestoletniego Nicholasa Roberta Giezę zatrzymano i osadzono w areszcie. Złożył on dwa oświadczenia: jedno

detektywom Riedlowi i Bowenowi, drugie detektywowi Joemu Vukichowi. Pierwsze oświadczenie zarejestrowano na taśmie.

- Przypominam sobie, że chciałem się przejechać - powiedział. - Postanowiłem zatrzymać się przed domem Stodółki, by go odwiedzić. Pomyślałem, że wstąpię do niego na chwilę.

Gieza utrzymywał, że Stodółka był w łóżku, co się często zdarzało inwalidzie. Jakiś czas rozmawiali. Powiedział, że natarł Stodółce plecy i inwalida zasnęła.

- Ale coś wyrwało Stodółkę ze snu. Gdy odwrócił się w łóżku, nie poznał mnie.

- Co, u diabła, robisz w moim domu? - wykrzyknął. - Pielęgniarka powiedziała, że Stodółka się rozzłościła, chwycił nóż z półki na książki i zamierzył się na niego.

Później jeden z sąsiadów Stodółki i inni bywający w jego domu powiedzieli detektywom, że inwalida nie trzymał noży w pobliżu łóżka, ale Gieza obstawał przy swoim zeznaniu.

- Walczyliśmy. Nagle zobaczyłem, że nóż trafił go w plecy. Próbowałem odebrać mu go. Upadliśmy na łóżko i przepychaliśmy się. Zobaczyłem, że nóż tkwi mu w plecach. Wtedy w gorączce walki - przyznał się Gieza - zadałem ofierze ciosy w klatkę piersiową.

Gieza utrzymywał, że Stodółka zranił go nożem w rękę. Detektywi uważali, że Stodółka mógł bronić się przed ciosami zanim dosięgły go śmiertelne uderzenia i wówczas Gieza zranił się własnym nożem.

Gieza zwierzył się następnie, że po zaszytym inwalidy zdał sobie sprawę, co się stało, i zabrał portfel, aby to wyglądało na rabunek. Wielokrotnie powtarzał, że przychodząc do domu Stodółki nie miał zamiaru zabić go ani okraść i dokonać rozboju.

W następnym oświadczeniu złożonym detektywowi Vukichowi opowieść Giezy była inna.

Potem jak Stodółka się obudził i spytał: „Co, u diabła, robisz w moim domu?” zaczęli się kłócić. Giezie się wydawało, że kłóci się ze swoim ojcem, z którym łączyły go bardzo burzliwe stosunki z powodu złego traktowania go w okresie dzieciństwa. Jego ojciec zmarł tego lata i w czasie morderstwa ożył w jego świadomości, jak wyznał podejrzany.

Gieza nie widział przed sobą Stodółki. Widział swego walczącego ojca. Chwycił z biurka coś, co uważał za latarkę, i uderzył. Latarka, a naprawdę nóż, spowodowała ranę w plecach. Po zobaczeniu tego, utrzymywał Gieza, powrócił do rzeczywistości. Zobaczył Stodółkę zwijającego się z bólu i zaczął współczuć starcowi. Pomyślał, że wyzwolenie Stodółki z jego nieszczęsnego położenia byłoby dla niego błogosławieństwem, i zadał mu dwa ciosy w klatkę piersiową.

Detektywi zwrócili uwagę, że w drugiej wersji wydarzenia Gieza mówił o złudzeniu jakoby Stodółka był jego ojcem, a nóż latarką. Ta opowieść (której nie dawali wiary) różniła się znacznie od poprzedniej. Funkcjonariusze śledczy musieli brać pod uwagę, że podejrzany przygotowywał sobie obronę, symulując jakieś zakłócenia umysłowe.

Nicholasa Roberta Giezę oskarżono o morderstwo pierwszego stopnia, a w październiku 1986 roku to oskarżenie zostało wzmocnione obciążającą okolicznością, jaką był rabunek jako motyw zbrodni, o czym był przekonany prokurator hrabstwa.

Przy takim oskarżeniu, jeśli oskarżony zostanie uznany winnym, czeka go kara śmierci albo dożywocie bez możliwości warunkowego zwolnienia.

Czekając w więzieniu na proces, Gieza napisał następujący list do zmarłego ojca:

Jeśliby tata żył obecnie 18-6-86.

Tato, jesteś draniem, ciągle mówisz mamie i mnie, że nas kochasz, ale twoje czyny mówią, że nic cię nie obchodzimy.

Ciągle mnie poniżasz mówiąc, że nie jestem w stanie nauczyć się czegokolwiek, ale pytam dlaczego nigdy nie miałeś dla mnie czasu?

Kto zawsze mnie odpychał?

Kto to nie słuchał nigdy własnej rodziny i doktora... Nawet wtedy, gdy doktor powiedział, że bardzo dobrze możesz wrócić do pracy, abys tylko się nie przemęczał. Czy posłuchałeś?

Do diabła, NIE.

Wszyscy cię kochamy. Nawet mama, którą krzywdziłeś przez tyle lat swoim cholernym piciem.

Nie masz pojęcia, ile razy słyszałem mamę płaczącą w łóżku, gdyż obawiała się, że możesz mieć wypadek i zranić się, albo kogoś innego.

Nawet teraz, gdy masz osiemdziesiątkę, zdajesz się słuchać, ale nie na długo. To cholerne picie i przepracowanie zabija cię. Dlaczego nie słuchasz tych, co Cię kochają?

Gieza zostawił list do nieboszczyka-ojca nie podpisany. Później złożono go w sądzie jako dowód.

Rozprawa rozpoczęła się w połowie października 1986 roku. Sędzina Sądu Najwyższego Carol Fuller w czasie wstępnego przesłuchania postanowiła, że sąd przysięgłych nie będzie mógł wysłuchać zeznań świadków oskarżenia ani dowiedzieć się, że ofiara była inwalidą bez nogi. Adwokat oskarżonego wymógł to na niej; choć te fakty odpowiadały rzeczywistości, nastawiłyby sędziów przysięgłych przeciw oskarżonemu. Sędzina zgodziła się na to mimo niezadowolenia prokuratora i widzów na sali sądowej. Widzowie nie zdawali sobie sprawy, ile dowodów zazwyczaj ukrywa się przed sędziami przysięgłymi, nie tyle z powodu błędów śledczych, ile dzięki wymogom proceduralnym.

Fakt, że sąd przysięgłych nie dowiedział się, że denat był inwalidą bez nogi, był pomyślnym czynnikiem dla obrony, gdyż sprawiało to, że - jak twierdził Gieza - jego ofiara mogła zamierzyć się na niego nożem; oczywiście tylko wtedy, gdyby denat miał obie sprawne nogi. Mieli uwierzyć w to sędziowie przysięgli, gdyż nie przedstawiono im ani rzeczowych dowodów ani zeznań, które by temu przeczyły.

W czasie rozprawy kobieta, która przez krótki okres z nim mieszkała, zeznała, że Gieza jest kłamcą, że zmyśla nieprawdopodobne historie, którym nie należy dawać wiary. Ona sama uważała, że aby zdobyć jej miłość, głosił kłamliwe opowieści.

Prokuratura utrzymywała, że Gieza popełnił morderstwo dla zysku. Obrona twierdziła, że kłócił się z ojcem i nie miał zamiaru zabić. Obie strony przedstawiły opinie psychiatrów podpierające ich hipotezy.

24 października 1986 roku sąd przysięgłych, w skład którego wchodziło pięć kobiet i siedmiu mężczyzn, uznał Giezę winnym oskarżenia o morderstwo pierwszego stopnia, obciążonego

rabunkiem. Sędzina Carol Fuller odłożyła ogłoszenie wyroku do 3 grudnia 1986 roku. W czasie tej przerwy ojrzymała dwa listy od przyjaciół Stodółki.

Pierwszy:

Cóż to za przeżycie dla mnie, mojej rodziny i przyjaciół - ten okres ostatnich sześciu miesięcy! Prawdopodobnie doświadczyłem wtedy wszystkich możliwych odczuć, ale po tych przeżyciach Bóg zesłał mi spokój ducha.

Ostatniego dnia rozprawy z zadowoleniem przyjąłem, że nie okazała pani pośpiechu, chcąc w przerwie w pełni przemyśleć sprawę. To było wtedy, gdy adwokat próbował nie dopuścić oskarżenia o zabójstwo pierwszego stopnia obciążonego dokonaniem rabunku. Tak bardzo mnie to zmartwiło, że zacząłem modlić się za panią. Potem ostro się pani sprzeciwiła spełnieniu prośby obrony.

Chciałbym podziękować pani, że pozwoliła pani, by sprawiedliwy wyrok poczekał na właściwy czas.

W drugim liście sędzina przeczytała:

Pani sędzino Fuller,

ogromnie się cieszę, że proces stanu Waszyngton przeciw Nicholasowi Giezie zakończył się sprawiedliwie. Niestety, mogłem być świadkiem rozprawy jedynie w piątek siedemnastego i w poniedziałek dwudziestego, ale jedna prawda jest oczywista: nie dopuszczono do jakiegokolwiek informacji o kalectwie Petera. Deceniam fakt, że przestrzegała pani wymogu, aby nie ujawniono nic, co by mogło szczególnie nastawić sędziów przysięgłych przeciw oskarżonemu, choć osobiście uważałem, że sąd przysięgłych powinien wiedzieć, jak bezbronny był Peter Stodółka. Nie miał żadnej możliwości zaatakować kogokolwiek, nożem lub bez noża. W mojej opinii to powinno być ujawnione, aby udowodnić, że Gieza kłamał.

Dzięki Opatrzności, świadek-kobieta zeznała to, że Gieza był kłamcą i znano go z tej strony. Ukryto również inne dokumenty, ale to ukrycie kalectwa ofiary zdawało się przekonać sąd przysięgłych w przeciwnym kierunku: wzbudzić współczucie wobec Giezy.

Na szczęście, Nasz Pan dopilnował, by spełniła się sprawiedliwość, zgodnie z Jego przyrzeczeniem.

3 grudnia 1986 roku Nicholas Robert Gieza, trzydziestoletni człowiek, który spędził ostatnie dni na wolności dziergając na drutach i szydełkiem, chowając nie myte naczynia w szafkach i - jak mówiono - wracając do lat dzieciństwa, został skazany przez Najwyższy Sąd hrabstwa Thurston na dożywotnie więzienie bez prawa do warunkowego zwolnienia.

Jack G. Heise

CASANOVA OKAZAŁ SIĘ ZABÓJCĄ Z PIŁĄ ELEKTRYCZNĄ

Był to płat mięsa, jaki rzeźnik mógłby uciąć z tylnej części małego cielaka.

Kilku rybaków wyciągnęło to znalezisko z Missisipi w górę rzeki od Davenport w Iowa. Otworzyli szeroko oczy, gdy się okazało, że to przednia część ciała kobiety od pasa w dół wraz z fragmentem pośladka.

W następnych tygodniach policyjni płetwonurkowie i funkcjonariusze na łódkach, uzbrojeni w bosaki, przeczyszczyli dno rzeki i brzegi. Nic więcej jednak nie znaleźli - ani głowy, ani rąk i ramion, ani stóp i nóg; nie było też górnej części ciała.

Kilkunastu patologów starannie zbadało wyłowioną część tułowia. Zgodnie uznali, że ten fragment należał do białej kobiety w wieku około trzydziestu lat; na podstawie koloru owłosienia łonowego doszli do wniosku, że była jasnoruda, mogła też mieć włosy kasztanowe.

Uważali, że ta część zwłok musiała pozostawać w wodzie około miesiąca, utknąwszy na dnie rzeki, aż do czasu gdy wyłowili ją rybacy. Ponieważ usunięto jelita, nie powstały gazy, które wyniosłyby ciało na powierzchnię. Resztę ciała mogły zjeść żywiące się padliną ryby, albo też popłynęło w dół Missisipi, docierając nawet do Davenport i Nowego Orleanu.

Policjanci nie mogli na podstawie kawałka zwłok i skóry ustalić tożsamości ofiary ani ryzykować sugestii o sposobie jej zamordowania. Doszli jednak do wniosku, że kimkolwiek był ten, kto ją poćwiartował, znał anatomię człowieka i użył zębatej piły elektrycznej.

Wielu ludzi z Davenport, a z czasem i policjanci uważali, że domyślają się, kim mogła być denatka, ale między bardzo prawdopodobnym domysłem a dowodem jest spora luka, szczególnie gdy trzeba to udowodnić w sądzie.

Bliscy przyjaciele i krewni Joyce i doktora Jamesa Klindta nie byli zaskoczeni konfliktem w tym małżeństwie. Uważali, że to bardzo przykre, gdyż kiedyś uważano ich za idealną parę, niczym małżeństwo z romantycznej powieści.

Jim Klindt był absolutnym czempionem w atletyce w szkole średniej, a ponieważ w parze z tym szła powierzchowność gwiazdy, w czasie uroczystości ukończenia szkoły na wiosnę 1966 roku wybrano go „Królem La Mer”.

Zgodnie z rodzinną tradycją medyczną wstąpił do Logan College of Chiropractics w St. Louis Missouri; jest to szkoła ucząca leczenia uciskaniem na wyrostki kręgowe. Tam poznał Joyce Monohan z pobliskiego Granite City, Illinois. Joyce, rudawa blondynka, była miejscową królową piękności, tak że stała się jedną z najprzystojniejszych par w kampusie.

Pobrali się zanim Klindt skończył college, a po dyplomie przenieśli się do Davenport, gdzie czekała na niego praktyka.

Od samego początku dr. Klindtowi powiodło się. Miał dom wart ponad sto tysięcy dolarów w modnej dzielnicy, srebrnego cadillaka, a Joyce błękitnego mercedesa. James wykorzystywał swoje dochody z pełnym zadowoleniem, rzucając się między

innymi na zabawki bogatych ludzi: luksusowy hangar na łódzie, a w nim trzy kosztowne jachty.

Jako jeden ze znaczniejszych obywateli dr Klindt sponsorował kobiecą ligę krykieta, w której grała Joyce. Joyce postępowała stosownie do sytuacji żony bogatego człowieka i poświęcała wiele czasu pracy dobroczynnej.

Jednakże z biegiem lat w „idealnym małżeństwie” nie wszystko układało się tak dobrze, jak wskazywały powierzchowne obserwacje. Przyjaciele wiedzieli, że dr Klindt miał krótkotrwałe „ciągotki” erotyczne. Gdy doszło do ustabilizowania tych zainteresowań na jednej kobiecie, znacznie młodszej od Joyce i niewątpliwie bardziej agresywnej seksualnie, przyjaciele przewidywali kłopoty.

Joyce zwierzała się przyjaciółkom, że orientuje się w sytuacji, ale uzbroiła się w cierpliwość.

- Daję mu na razie swobodę - zwierzyła się najbliższej przyjaciółce. - Gdy jednak będę gotowa, będzie miał szczęście, jeśli pozostawię go z jedną koszulą na zmianę.

Joyce przyznała się, że nie tylko wie o eskapadach miłosnych męża, ale były też inne sprawy, które w odpowiednim czasie zapewnią jej wszystko, czego zażąda w ustaleniach finansowych rozwodu. Nie powiedziała, co miała na myśli mówiąc o „innych sprawach”.

Nikogo z przyjaciół nie zaskoczyło, że 18 marca 1989 roku Klindtowie rozstali się, ale zdziwili się, że Joyce wyprowadziła się z domu, zamiast przepędzić romansującego męża.

Dr Klindt, pytany przez przyjaciół i krewnych, gdzie przebywa Joyce, odpowiadał, że to nie powinno ich interesować. Co więcej, on nie wie i nic go to nie obchodzi. Przyznał, że po jednej ze zwykłych awantur dał jej cztery tysiące dolarów w gotówce, bo zdecydowała udać się na wakacje, by chłodniejszym okiem spojrzeć na wszystko.

Opuszczony samochód Joyce znaleziono na parkingu motelu w Moline, Illinois, z drugiej strony rzeki. Nie zameldowała się w motelu i nikt z personelu nie przypominał sobie przystojnej blondynki.

Nie mając przez tydzień żadnej wiadomości od Joyce, przyjaciele i krewni zgłosili się na policję. Wyrazili zaniepokoję-

nie, gdyż byli przekonani, że gdyby Joyce gdzieś wyjechała, z pewnością by do nich napisała.

Funkcjonariusz policji powiedział, że zgłosi jej zniknięcie do biuletynu osób zaginionych i zajmie się sprawą. Jednak zgłoszenie zaginięcia trzydziestoczteroletniej żony po kłótni z mężem nieszczęśliwie poruszyło policję.

Funkcjonariusz spotkał się z dr. Jamesem Klindtem. Doktor nie był bardziej uprzejmy wobec policjanta niż wobec przyjaciół i krewnych Joyce. Wyraził opinię, że na pewno były ważniejsze sprawy, w których oficer mógł powęszyć, a kłótnię między nim i żoną zostawić do rozstrzygnięcia im samym.

Po upływie dalszych paru tygodni, gdy nadal nie było znaku życia od Joyce, rodzina ponownie udała się do komendy policji. Dali do zrozumienia, że nie są zadowoleni ze sposobu prowadzenia śledztwa, a mówiąc bez ogródek, nieobecność Joyce, według nich, wykraczała poza sprawę zaginięcia.

Byli przekonani, że Joyce miała wreszcie dosyć swego romansującego męża i próbowała zmusić go do rozstania na jej warunkach. On zaś, jak sobie wyobrażali, zamiast zgodzić się na to, pozbył się jej.

To była hipoteza, a fakty nie istniały. Jednakże pod wpływem nacisku krewnych przekazano sprawę asowi wydziału zabójstw, porucznikowi Teddowi Carrollowi.

Carroll odwiedził dr. Klindta i wyłożył mu sprawę bez niedomówień. Krewni posądzają go o zabicie żony, jeśli więc wie, gdzie ona przebywa, byłoby dobrze sprawdzić czy jest tam, aby ich uspokoić.

Dr Klindt z oburzeniem odrzucił myśl, że mógłby zabić swoją żonę. Dodał jeszcze, że nie zaskoczyło go to posądzenie, gdyż nie był w najlepszych stosunkach z kilkoma przyjaciółmi i krewnymi żony. Powiedział, że nie wie, gdzie udała się Joyce, ale jeśli wróci do domu albo otrzyma od niej wiadomość, zawiadomi porucznika Carrolla.

Wkrótce sprawa uległa zaognieniu, bowiem zaniepokojeni przyjaciele i krewni dowiedzieli się, że dr Klindt sprowadził do swego domu kobietę, którą oni uważali za jego kochankę, a on nazwał ją swoją gospodynią.

- Gospodyni! - prychnął jeden z krewnych, przekazując wiadomość Carrollowi. - Jedyne obowiązki gospodyni będzie sprawowała w sypialni.

Carroll zgodził się, że było to dziwne, może nawet prowokujące ze strony doktora Klindta, wyjaśnił jednak, że z punktu widzenia prawa niewiele może zrobić, dopóki nie będzie jakichś wiadomości o miejscu pobytu Joyce.

- Niby dlaczego nie ruszycie tyłkami i nie udacie się do jego domu, by zobaczyć, co tam można znaleźć? - nalegał krewny. - Jeśli zabił ją, to prawdopodobnie zrobił to sam, a potem wywiózł Pan Bóg wie dokąd, zostawiając jej samochód w motelu.

Carroll musiał znowu wyjaśnić. Może to i rozsądne przeszukać dom, ale prawo mu tego zabrania. To wymagało nakazu rewizji, a sędzia nie wyda go, jeśli nie będzie wyraźnego powodu. Dr. Klindta uważano za szanowanego lekarza i jeśli policja podjęłaby wobec niego jakieś otwarte działanie, mógłby wytoczyć proces, który będzie ich wiele kosztował.

Przyrzekając, że podejmie wszelkie działania dozwolone prawem, Carroll przekazał informację o „gospodyni” szefowi wydziału zabójstw porucznikowi Jimowi van Fossenowi.

- Znasz prawo - powiedział mu Fossen. - W tej chwili robisz fałszywy krok, który może narobić hałasu, zanim sprawa się rozwinie.

Tymczasem nastąpiło coś, co mogło się wydawać zwrotem w całej sprawie. Do miasta powróciła przyjaciółka Joyce i dowiedziała się o jej zniknięciu. Wyznała, że niedługo przed zniknięciem Joyce dyskutowały o możliwości uzyskania rozvodu od doktora. Joyce dała jej wtedy jakieś rzeczy do przechowania, mówiąc że nie chce, by dowiedział się o tym jej mąż.

Te „rzeczy” to była nagrana kasetka dźwiękowa, pamiętnik i kilka fotografii.

Wręczając te przedmioty porucznikowi Carrollowi, krewny powiedział:

- Proszę tylko przesłuchać tę taśmę, a cholernie pewnie się pan przekona, dlaczego przez cały czas utrzymywałem, że ją zabił.

Taśma, jak się okazało, była sekretnym zapisem jednej z szalonych kłótni Joyce i dr. Klindta. Kłótnia rozpoczęła się od zarzutów żony, że doktor zdradzał ją, a ten nie zaprzeczył oskarżeniu.

Gdy dyskutowali nad podziałem majątku i wartością domu, mebli i innych rzeczy, Joyce nagle zawołała: - Rzuć mi to w twarz!

- I na tym nie poprzestanę - szydził Klindt.

Joyce odpowiedziała coś przytłumionym głosem, a doktor zawołał:

- Nic a nic mi nie zależy na tobie! Nie chcę cię tu widzieć! Dalej mów! - Nienawidzę cię! Nienawidzę cię od góry do dołu. Nagle wybuchnął: - Jesteś końskim łajnem!

Teraz głos Joyce był znowu stłumiony; zdawało się, że mąż przycisnął jej głowę do poduszki, a ona oskarżyła go o próbę uduszenia jej.

- Tak, próbowałem cię zabić - odpowiedział.

Padło jeszcze więcej stłumionych słów, gdyż głowa Joyce musiała być przytrzymywana poduszką. Wreszcie usłyszeli Klindta grożącego Joyce, że zabije ją i pocięta na drobne kawałki wrzuci do toalety.

Carroll przez czterdzieści pięć minut słuchał taśmy, po czym powiedział, że choć były to groźby w gwałtownej kłótni, w żadnym wypadku nie można by tego uznać za wyznanie popełnienia zbrodni.

- Ludzie często mówią w złości rzeczy, których nie zamierzają zrobić - zauważył. - Mówią, że zabiją kogoś, ale nie myślą o tym.

Pamiętnik i fotografie były jednak bardziej przekonujące.

W pamiętniku Joyce zanotowała, że ma dowody, iż dochody jej męża nie pochodzą z kliniki i praktyki. Stwierdziła, że handluje narkotykami, które przechowuje w hangarze. Groziła, że jeśli dr Klindt będzie robił jej trudności w sprawie rozwodu, to przekaże informacje policji i wsadzi go do więzienia.

Fotografie pokazywały w budynku, gdzie stały łodzie, różne sekretne skrytki, w których pod zamkiem znajdowały się śmiertelne leki i marihuana.

- To już jest coś - powiedział Carroll. - Pamiętnik i fotografie można będzie prawdopodobnie wykojzysać do uzyskania nakazu rewizji nie tylko hangaru, ale i domu.

Carroll przekazał tę informację prokuratorowi hrabstwa Scott, Williamowi Davisowi, prosząc go o nakaz rewizji. Davis zaproponował, aby poczekać. Doradził obserwację dr. Klindta, jak handluje narkotykami, co spowoduje cięższą karę niż samo ich posiadanie.

- Chciałbym wziąć się do tego od razu - powiedział mu porucznik Carroll. - Narkotyki to tylko drobniaczka w porównaniu z zabójstwem żony, o co oskarżają go jej krewni. Chciałbym zabrać techników z laboratorium i przeprowadzić dokładne przeszukanie budynku.

Davis zgodził się przygotować nakaz i zatwierdzić go w sądzie.

Zanim to się stało, rybacy wyłowili z rzeki część tułowia kobiety.

Carroll pośpieszył z nakazem do olbrzymiego domu, znanego tu jako „zamek” ze względu na strukturę przypominającą wieżę w środku budynku. Mieściła się w niej okrągła klatka schodowa wokół wielkiego kominka. Schody prowadziły do pokoi na piętrze.

Detektywi i technicy dokładnie wymietli dom, jakby używali delikatnych szczoteczki do zębów. Wyniki były zawodne. Nie znaleźli żadnych widocznych plam krwi ani w pokojach, ani w suterenie i garażu.

Znaleźli jednak piłę elektryczną. Zabrano ją jako ewentualny dowód i przekazano do mikroskopowego badania laboratoryjnego.

Narkotyki znaleziono w hangarze w skrytkach sfotografowanych przez Joyce. Wystąpiono z oskarżeniem przeciw doktorowi o nielegalne posiadanie narkotyków.

Doktor zdawał się nie być zaniepokojony po zabranii go do aresztu.

- Zdaje się, że krewni Joyce skłonili was do tego - powiedział. - Straszili mnie od jej zniknięcia. Wiem, że uważają, iż ją zabiłem, i otwarcie mnie o to oskarżają, ale są stuknięci. Joyce siedzi gdzieś śmiejąc się do rozpuku z powodu kłopotów, jakich

mi przysporzyła, i pewnie myśli, że dopóki uważa się ją za zaginioną, nie będę mógł dostać rozwodu.

By uczynić swoje oświadczenie bardziej przekonującym, stwierdził, że Joyce zabrała z sekretnej skrytki w domu dwadzieścia cztery tysiące dolarów. Ma więc wystarczająco dużo pieniędzy, by pozostawać poza domem jak długo zechce, przyczyniając się do makabrycznych kłopotów, które go spotykają.

Zamknięty z oskarżenia o posiadanie narkotyków dr Klindt natychmiast zapłacił kaucję i wyszedł na wolność. Podczas rozprawy złożył oświadczenie, przyznając się do przestępstwa nielegalnego posiadania narkotyków. Został ukarany grzywną w wysokości trzystu dolarów.

Tymczasem pracownikom laboratorium nie udało się znaleźć jakichkolwiek śladów krwi, skóry, kości czy włosów na elektrycznej pile. Albo została dokładnie umyta, albo do ćwiartowania zwłok użyto innego narzędzia. Pięć zwrócono doktorowi.

Porucznik Carroll nadal prowadził dochodzenie w sprawie tajemniczego zniknięcia Joyce. Był przekonany, że część tułowia wyłowiona z rzeki była fragmentem zwłok zaginionej kobiety. Patolodzy policyjni, którzy zbadali znaną część zwłok, nie mogli jednakże z całym przekonaniem stwierdzić, do kogo należało to ciało. A ponieważ nie było dowodu, że Joyce została zabita, a dr Klindt dalej twierdził, że żyje, nie było możliwości podjęcia działań prawnych.

W cztery miesiące po zaginięciu Joyce Klindt, Carroll przedstawił prokuratorowi Davisowi nowy dowód. Dowiedział się, że w następnym tygodniu po zniknięciu Joyce dr Klindt zakupił za osiemset dolarów damską biżuterię. Nie mógł to być prezent dla zaginionej żony.

Carroll odszukał również dwóch świadków, którzy z całą pewnością stwierdzili, że widzieli dr. Klindta w jego hydroplanie na rzece następnego dnia po zniknięciu Joyce. Był to zimny, mglisty dzień z mżawką i świadkowie zapamiętali, że była to wtedy jedyna łódź na rzece. Widziano doktora krążącego około 18 kilometrów w górę rzeki, gdzie później wyłowiono część tułowia kobiety.

- A zatem kupił biżuterię dla przyjaciółki i udał się na przejażdżkę łodzią - komentował Davis. - To jeszcze nie dowód, że zabił. Możesz tak myśleć, tak samo zresztą jak ja, ale aby go oskarżyć, musimy przekonać sąd przysięgłych, że żona rzeczywiście nie żyje.

- Czego nam brakuje?

- Zębów, śladów linii papilarnych, czegoś co mogłoby posłużyć do bezspornej identyfikacji - odparł Davis.

- Niewielka szansa, że to się teraz uda - powiedział Carroll.

- Co zatem możemy zrobić?

- Prawdopodobnie nic - odpowiedział Davis. - Może to przypadek zbrodni doskonałej.

- Co to, to nie! - wybuchnął Carroll. Następnie przyrzekł sobie: - Będę bosso polował na tego faceta, choćby w piekle, aż go przyszpilę.

Po upływie kolejnych kilku miesięcy wydawało się, że jeśli Joyce została zabita, to była to zbrodnia doskonała i wkrótce ten przypadek znajdzie się w kartotece spraw nie rozwiązanych.

Prawie w rok po zgłoszeniu zaginięcia Joyce z Southwestern Institute of Forensic Sciences w Dallas w Teksasie przyszedł raport. Instytut Badawczy Medycyny Sądowej stwierdził, że na podstawie przysłanych im próbek z tułowia mogą z pewnością do 98,8% uznać, że fragmenty ciała należą do Joyce Klindt.

Procedury używane w takich badaniach - w języku prawnym nie dla specjalistów - sprowadzają się do tego, że ustalenie tożsamości zwłok za pomocą wskaźników genetycznych jest bardzo podobne do wyznaczania grupy krwi, tylko bardziej skomplikowane.

Z badań przeprowadzonych przez Benitę Harwood, polegających na porównaniu genów i enzymów krewnych Joyce z próbkami z tułowia, wynika, że jest 107,8% bardziej prawdopodobne, że dwaj spokrewnieni osobnicy wytwarzają takie same geny jak znalezione w danej próbce niż przypadkowa para.

Wskaźniki genetyczne, czasami nazywane genetycznymi odciskami palców, są wynikiem porównania 70 składników znalezionych w ludzkiej tkance, gdzie większość enzymów i genów jest dziedziczna.

Raport stwierdzał, że osiągnięcie tych wyników okazało się możliwe, gdyż rzadko spotykane enzymy, które znaleziono w próbkach tułowia, znaleziono także we krwi krewnych.

Po przeczytaniu tego raportu prokurator Davis powiedział:

- W porządku. Możemy rozpocząć proces. Jeszcze dzisiaj przygotuję oskarżenie o zabójstwo.

Davis zdawał sobie sprawę z trudności czekającego go zadania. Nie tylko będzie musiał udowodnić morderstwo na podstawie identyfikacji ofiary z fragmentu znalezionej tułowia, ale zmierzy się ze Scalicem, adwokatem zaangażowanym przez doktora Klindta.

Lawrence'a Scalice'a uważano za wybitnego obrońcę kryminalnego na południowym zachodzie. Bronił w wielu sprawach, w których uzyskał uniewinnienie swoich klientów. Jedną z ostatnich dotyczyła oskarżonego płatnego zabójcy, rozpoznanego przez dwóch świadków. Davis i Scalice znali się dobrze i przyjaźnili, ale ich sposób występowania w procesach był diametralnie odmienny.

Adwokat Scalice, absolwent Uniwersytetu Iowa, był po studiach zastępcą prokuratora hrabstwa Polk. W 1965 roku w wieku trzydziestu jeden lat został jednym z najmłodszych prokuratorów generalnych Iowa. Mieszka w Des Moines, w domu, którego wartość przekracza sumę dwustu tysięcy dolarów. Obecnie jego dochód wynosi ponad sto tysięcy dolarów rocznie netto z zarobków brutto ponad milion dolarów.

Wystąpienia Scalice'a są dalekie od sztywności, pozornie niedbałe, jakby od niechcenia, ale jego przeciwnicy mówią, że jest „szczwanym liseirT i swoim wyglądem „chłopaka wiejskiego” i stylem wytrąca z równowagi sędziów i świadków.

Wszyscy wiedzą, że przed każdą rozprawą ma gotowy cały materiał, tak że po pojawieniu się w sądzie nie ma już niespodzianek. Wiele czasu poświęca na przepytывanie potencjalnych sędziów przysięgłych przed skompletowaniem ławy i często korzysta z pomocy konsultantów, by poznać reakcje sędziów.

Prokurator Davis wygląda i zachowuje się zupełnie inaczej. Szczupły mężczyzna, dawna gwiazda koszykówki i student

kończący z odznaczeniem, pracował w czasach akademickich jako kucharz w restauracji szybkiego żywienia, aby zarobić na studia. W 1970 roku uzyskał dyplom w szkole prawa Drake University, uzyskując nagrodę dla najlepszego studenta roku. Nie dawano mu żadnej szansy, gdy wystąpił o nominację na prokuratora hrabstwa Scott. Został mianowany, jak to uznano, „bez przekonania”, że jest właściwym człowiekiem. Kiedy jednak starał się o przedłużenie nominacji, już nie miał przeciwników, taką zyskał reputację.

Panowała opinia, że pracował w sądzie 60 godzin w tygodniu. Nazywano go „buldogiem”. Walczył zawzięcie, argumentując piskliwym głosem. Jak Scalice, zjawiał się w sądzie gotowy do wygrania procesu.

Zarówno Davis jak Scalice z zamiłowaniem praktykowali w sprawach kryminalnych i byli zgodni, że większość prawników na tego rodzaju rozprawach zachowywała się jak „sfrustrowani aktorzy”. Sami często uciekali się do środków teatralnych, a nawet dramatycznych, by wygrać sprawę.

Obaj prawnicy dobrze znali sędziego, który przewodniczył przesłuchaniu. James Havercamp był kolegą Scalice'a ze studiów - razem uzyskali dyplomy w 1958 roku.

Prawnicy nazywali sędziego Havercampa „królem Jamesem”, bowiem gdy zasiadał za stołem sędziowskim, nikt nie miał wątpliwości, kto panuje nad salą rozpraw.

O sędzim Havercampie, uszczypliwym i ironicznym w trakcie rozprawy, wiedziano, że nie przepuści prawnikom, którzy nie przygotowali się dobrze do procesu. Zyskał szacunek w kołach prawniczych za dbałość, by rozprawa odbyła się możliwie szybko, i podejmował natychmiast najczęściej słuszne decyzje w sprawach proceduralnych i dowodowych.

Rozprawa przeciw doktorowi Klindtowi, ze względu na rozgłos, jaki uzyskała przed rozpoczęciem procesu, została przeniesiona w dół rzeki, do Keokuk.

Sensacyjny proces, w którym zamożnego doktora oskarżono o zabicie żony i poćwiartowanie jej ciała piłą elektryczną, proces prowadzony przez takich olbrzymów prawniczych w charakterze oskarżyciela i obrońcy, codziennie przyciągał do sądu tłumy. Widzowie przybywali na długie godziny przed

otwarcie sali rozpraw; często przynosili kanapki, by nie opuszczać swoich miejsc w przerwie obiadowej.

Dramatyzm sytuacji potęgowało to, że proces rozpoczął się w piętnastą rocznicę ślubu Joyce i Jamesa Klindtów.

Prawie cały tydzień zabrało wybranie siedmiu mężczyzn i pięciu kobiet, którzy zaprzysięgli, że nie będą kierować się osobistymi opiniami przy podejmowaniu wyroku.

Wstępne przemówienie prokuratora Davisa, zapoznające sędziów przysięgłych z zeznaniami świadków i materiałem dowodowym, zabrało dwie i pół godziny. Prokurator podkreślił, że dr Klindt miał motyw i sprzyjające okoliczności do zabicia żony i że poza nim nie było nikogo, kto by pragnał jej śmierci. Położył nacisk na to, że choć znaleziono jedynie część tułowia ofiary, zostało ustalone bez cienia wątpliwości, że były to zwłoki Joyce Klindt.

Scallice zwrócił się do ławy przysięgłych, jak zwykle w przyjacielskich, zdawkowych słowach. W czasie przemówienia usiadł na brzegu stołu obrony, na co sędzia zareagował uwagą o zachowaniu dobrych obyczajów na sali sądowej.

Scallice nie zaprzeczył, że jego klient miał liczne flirty i że pomiędzy nim i jego żoną były ostre kłótnie. Musiał to powiedzieć, gdyż Davis wprowadził do materiału dowodowego taśmę nagraną przez Joyce. Scallice zwrócił jednakże uwagę, że gdyby wszyscy niewierni mężowie, kłócący się ze swymi żonami, byli winni ich zabójstwa, ludność kraju wkrótce musiałaby ulec dziesiątkowaniu.

Najmocniejszym jego argumentem było twierdzenie, że nie można z całą pewnością stwierdzić, że znaleziony fragment tułowia jest częścią zwłok Joyce Klindt. Scallice zwrócił uwagę, że znaleziono tę część zwłok w miesiąc po zaginięciu Joyce i że tak długo pozostawała w wodzie. Przeczytał rejestr dziesięciu kobiet zaginionych w rejonie Davenport i Chicago i stwierdził, że znaleziona część ciała mogła należeć do każdej z nich.

- Joyce żyje - powiedział sędziom. - Umyślnie ukrywa miejsce swego pobytu, by ukarać swego męża za jego zdrady.

Proces trwał cztery tygodnie, a każdy dzień ujawniał nowe dramaty w zeznaniach świadków, makabrycznych fotografiach

poćwiartowanego tułowia, w zaskakującej taśmie dźwiękowej i teatralnym zachowaniu oskarżyciela i obrońcy.

W sali sądowej grzmiały głosy obu prawników: namiętne próby Davisa przekonania sędziów o winie oskarżonego i podobne wysiłki obrońcy, że jego klient jest niewinny, że nie popełnił zbrodni.

Po udaniu się sędziów przysięgłych do sali narad w celu uzgodnienia wyroku, widzowie i reporterzy, którzy pisali długie sprawozdania z procesu, byli prawie równo podzieleni w opiniach, czy dr Klindt zostanie uznany winnym czy nie.

Wszyscy uważali, że punktem kulminacyjnym będzie, czy oskarżenie przekonało sędziów, że wyłowiony fragment tułowia należy do zwłok Joyce Klindt.

Po czterech dniach dyskusji skład sędziowski powrócił stwierdzając, że znaleźli się w impasie. Podobnie jak widzowie podzielili się w uznaniu, czy dr Klindt jest winny czy niewinny zarzucanej mu zbrodni.

Sędzia Havercamp po przeliczeniu ich głosów - przekonany, że zapewnienie dodatkowego czasu nie przyniesie jednogłosego wyroku - zarządził rozwiązanie rozprawy i zapowiedział nowe przesłuchanie.

Zarówno Davis jak Scalice byli zawiedzeni, ale nie skonsternowani.

Prokurator powiedział detektywom, którzy zbierali materiały dowodowe oskarżenia, i reporterom niecierpliwie oczekującym na oświadczenie:

- Przekonałimy połowę tym razem. Następnym przekonamy wszystkich.

Scallice podobnie: uznał, że jest pewien, iż teraz, znając oskarżenie przeciw swemu klientowi, bez trudu uzyska dla niego zwolnienie.

Nową rozprawę zarządzono w mieście Sioux City. Proces odbywał się w potężnym budynku poczty, gdzie na pierwszym piętrze znajdowała się tylko jedna sala sądowa. Bogato zdobiony sąd hrabstwa Woodbury znajduje się w rejestrze narodowych budynków historycznych.

Stara budowla ma w środku olbrzymią szklaną kopułę, a wzdłuż jednej ze ścian sali sądowej w kształcie litery V jest

witraż. Są tam dwa kominki jeszcze z czasów, gdy nie było centralnego ogrzewania, a wokół bogato rzeźbionej dębowej ściany i stołu sędziowskiego umieszczono balustradę z czarnego marmuru.

Przed rozprawą Davis poinformował przedstawicieli mediów, że obecny proces nie będzie powtórzeniem pierwszego. Wraz ze swoimi detektywami pracowicie zbadał dotychczasowy materiał dowodowy, poszukując usterek. Czuł, że prokuraturze nie udało się przekonać sędziów przysięgłych, iż część tułowia wydobyta z rzeki jest fragmentem zwłok Joyce Klindt.

Scalice miał wrażenie, że jego obrona zawiodła, gdyż dr Klindt, którego wzrost wynosi sześć stóp sześć cali, zachowywał się w czasie pierwszej rozprawy arogancko. Jego wygląd i zachowanie przekonało kilku sędziów, że jest zdolny do takiej zbrodni.

Wyciągając wniosek z pierwszej rozprawy, prokurator Davis zaangażował profesora psychologii z Uniwersytetu Iowa do pomocy w wyborze składu sędziów przysięgłych.

Nowa ława znacznie różniła się od poprzedniej. Było w niej dziesięciu mężczyzn i tylko dwie kobiety.

W czasie przesłuchania przyszłych sędziów Davis zwracał uwagę na to, czy potrafią podjąć decyzję, i tłumaczył, że do wydania wyroku o winie oskarżonego potrzebują jedynie przekonania nie wykraczającego poza rozsądne wątpliwości, a nie pełnego przekonania.

Scalice nie żałował czasu na pytanie sędziów, czy według nich oskarżony zachowywał się arogancko czy nie.

Nowy proces rozpoczął się tak sensacyjnie jak pierwszy. Zanim zjawił się sędzia i sędziowie przysięgli, na salę weszła kobieta, o której wiadano, że ma romans z dr. Klindtem. Pocałowała oskarżonego w usta.

Nową strategię oskarżenia Davisa widać było od początku. Skoncentrował się na udowodnieniu, że część tułowia istotnie należała do zwłok Joyce Klindt. Uważał, że jeśli przekona o tym przysięgłych, nie będzie trudno przekonać ich także o tym, że dr Klindt był jedynym człowiekiem, który miał motyw i okazję do popełnienia zbrodni.

Wezwał jako świadka dr Benitę Harwood, zatrudnioną w laboratorium w Dallas, która przyczyniła się do tego, że mógł

przygotować pierwsze oskarżenie o zabójstwo. Świadek oświadczyła, że przy porównaniu genów i enzymów w części tułowia z genami i enzymami krewnych Joyce występowało 107,8% więcej prawdopodobieństwa o ich wspólnym pochodzeniu niż w przypadku takiego porównania z tymi czynnikami u osób nie spokrewnionych.

Następnym świadkiem był profesor genetyki i pediatrii Uniwersytetu Iowa. Potwierdził, że jego ustalenia pokrywały się z wnioskami dr Harwood.

Dr Mark Stolorow, serolog sądowy, na podstawie swoich badań także potwierdził zeznania poprzednich świadków.

Następnie zeznawał światowej sławy antropolog z Oklahoma City. Powszechnie uznawano go za eksperta, bowiem ustalił tożsamość ofiar wielu katastrof samolotowych na podstawie szczątków zwłok.

Stwierdził on, że po zbadaniu kości i innych tkanek zakwalifikowałby tułów jako należący do białej kobiety w wieku między 27 a 40 lat, o wzroście pięciu stóp do pięciu stóp sześć cali, o wadze 125 do 145 funtów, z rudawymi jasnymi włosami.

W czasie zaginięcia Joyce miała 33 lata, pięć stóp cztery cale wzrostu, 125 funtów wagi i uważano, że jej włosy mają odcień popielato-blond.

Aby wyjaśnić sprawę koloru włosów, Davis wezwał na świadka fryzjerkę, która zeznała, że Joyce od lat była jej klientką. Stwierdziła, że naturalny kolor włosów Joyce był jasnokasztanowy, ale że je rozjaśniała na popielato-blond.

Następnie prokurator wezwał dermatologa. W czasie pierwszej rozprawy była mowa o - jak wówczas uważano - wrodzonym znamieniu na części biodrowej zwłok. Obrona ustaliła wtedy, że nikt sobie nie przypomina, aby Joyce miała jakieś znamień na pośladku. Świadek stwierdził, że to, co się wydawało znamieniem na fotografiach tułowia, mogło być zasinieniem powstałym w czasie zabójstwa albo przy wrzucaniu ciała do rzeki.

Spodziewając się kontrataku obrony, Davis wezwał na świadków dwóch przedstawicieli Amerykańskich Oddziałów Inżynieryjnych, którzy stwierdzili, że w czasie pozostawiania tułowia w rzece był tam stan powodziowy. Inne części ciała

mogły popłynąć w dół rzeki, ale ta część z jakichś przyczyn musiała pozostać na dnie, 18 mil poniżej miejsca, gdzie widziano dr. Klindta w jego hydroplanie następnego dnia po zniknięciu Joyce.

Po zakończeniu przesłuchań rzeczoznawców technicznych, prokurator Davis wezwał do złożenia zeznań profesora statystyki Uniwersytetu Iowa. Zeznał on, że na podstawie danych liczbowych, którymi dysponował, występuje 99% pewności, że tułów należy do zwłok Joyce Klindt.

Davis wezwał jeszcze dwóch statystyków z Loras College w Dubuque. Stwierdzili oni, że na podstawie tabel ryzyka wypłat ubezpieczeniowych, którymi dysponowali, było 98,82% prawdopodobieństwa, że wyłowiony z rzeki tułów jest częścią zwłok Joyce Klindt.

Scalice natychmiast wyśmiał te zeznania, mówiąc sędziom, że po raz pierwszy spotyka się z przypadkiem, aby ktoś udowodniał morderstwo za pomocą statystyki.

W przerwie Davis powiedział w zaufaniu Carrollowi i van Fossenowi:

- Myślę, że tym razem mam ich. Wydaje mi się, że statystycy dokonali swego. Na początku powiedziałem sędziom, że mają tylko rozstrzygnąć w granicach rozsądnej wątpliwości, a nie z pełnym przekonaniem. Teraz rzucimy im taśmę dźwiękową i pamiętnik, a to będzie dowodem motywu.

Reszta rozprawy przypominała pierwsze przesłuchanie: zeznawali ci sami ludzie i przedstawiono te same dowody. Davis wskazał motyw i możliwość morderstwa przez dr. Klindta, a Scalice dalej udowadniał, że Joyce żyje i że sąd przysięgłych nie może skazać człowieka za zbrodnię, której nie popełnił.

Po zakończeniu przesłuchania i przedstawieniu końcowych argumentów przez oskarżyciela i obrońcę, widzowie i prasa już nie byli tak podzieleni w opiniach jak po pierwszej rozprawie.

- Scalice jest bardzo dobry w tym procesie, ale sądzę, że Davis go pokonał - skomentował sytuację jeden z reporterów. - Z całą pewnością dobrze się przygotował, by zidentyfikowano tułów Joyce Klindt. Reszta to tylko śmietanka, włącznie z taśmą.

Sędziowie wrócili z wyrokiem we wtorek, 20 listopada 1984 roku.

Ława przysięgłych uznała dr. Jamesa Klindta winnym morderstwa drugiego stopnia. Skazanie takie zakłada uwięzienie do 50 lat. Jednakże Scalice natychmiast złożył pismo apelacyjne, wobec czego sędzia Havercamp opóźnił datę ogłoszenia wyroku skazującego.

- Wolałbym, aby to było uznanie winnym morderstwa pierwszego stopnia, bo wtedy mógłbym oczekiwać kary śmierci - ktoś powtórzył słowa prokuratora Davisa. - Nie martwię się jednak apelacją. Musieliby wskazać na błędy w przewodzie, a „król James” nie pozwala na żadne uchybienia procesu.

William K. Beaver

MROŻĄCE KREW WYZNANIE TRUCICIELA Z CINCINNATI

Patolog Lee Lehman systematycznie przeprowadzał badanie sekcyjne czterdziestoczteroletniego Johna Powella, który został niebezpiecznie ranny w lipcu 1986 roku w wypadku motocyklowym, a potem leżał prawie osiem miesięcy w stanie śpiączki w Drake Memorial Hospital.

Gdy zmarł 7 marca 1987 roku, koroner hrabstwa Hamilton zażądał sekcji zwłok, gdyż Powella przyjęto do szpitala jako ofiarę obrażeń w wypadku, po którym nastąpiła śmierć.

Patologa pracującego ze zwykłą precyzją chirurgiczną uderzył dziwny zapach ciała - wyczuł gorzko-słodką woń migdałów. To natychmiast obudziło jego podejrzenia.

Zapach migdałów może oznaczać obecność trucizny szóstego stopnia, cyjanku, tak silnej substancji, że nawet najmniejsza dawka może natychmiast uśmiercić mężczyznę o przeciętnej budowie. Dlaczego jednak cyjanek miałby się znaj-

dować w zwłokach ofiary wypadku? - zadał sobie pytanie patolog.

Lehman doskonale znał śmiertelne działanie cyjanku. Ten środek po wnikięciu do organizmu uniemożliwia komórkom wykorzystanie pobranego tlenu. Gdy w komórkach zabraknie tlenu, zaczynają zamierać. Ustaje praca mózgu i zatrzymuje się oddech. Gdy płuca zaprzestają swoich funkcji, już pobrany tlen nie jest wykorzystywany i śmierć następuje niemal natychmiast.

Patologa gnębiło wszakże co innego. Wiedział, że tylko jeden człowiek na pięciu może wyczuć zapach cyjanku, a zatem powinien być całkowicie pewien. W celu upewnienia się poddał badaniom kilka próbek tkanek ze zwłok Powella.

Otrzymane wyniki badań potwierdziły podejrzenia. W zwłokach Powella znaleziono ślady cyjanku.

Koroner hrabstwa Hamilton, Frank Cleveland, natychmiast zarządził sekcję zwłok wszystkich zmarłych w Drake Hospital po 7 marca. Nie znaleziono jednak dowodów na inne otrucia i nie stwierdzono innych podejrzanych zgonów.

Cleveland zgłosił wyniki badań sekcyjnych naczelnemu dyrektorowi i administratorowi Drake Hospital. Dyrektor borykał się z wieloma trudnościami, kierując finansowanym z podatków szpitalem o 444 łóżkach. Drake Hospital już był obiektem krytyki i dyrektor wiedział, że choć szpitalem zarządzała rada dyrektorów, w przypadku jakiejś nieczystej sprawy na niego spadnie odpowiedzialność. W tej sytuacji wzywał zebranie, aby zdecydować, jakie należy podjąć kroki. Wszyscy zgodzili się, że jest to sprawa wielkiej wagi i dla szpitala, i dla miasta Cincinnati.

Do sprawy przydzielono porucznika Williama Fletchera z wydziału zabójstw policji w Cincinnati i czterech funkcjonariuszy: detektywa sierżanta Paula Morgana, detektywa sierżanta Johna Jaya, detektywa Ronalda Camdena i detektywa Jamesa Lawsons. Wszyscy byli doświadczonymi oficerami śledczymi.

W dochodzeniu uczestniczyli także: Jack Leach - rzecznik biura koronera, koroner Frank Cleveland, patolog dr Lee Lehman, dyrektor Drake Hospital i jego zastępczyni.

Jak podkreślili przedstawiciele Drake Hospital i biura koronera, detektywi zdawali sobie sprawę zarówno z powagi, jak z trudności sprawy. Szpital zatrudniał 750 ludzi. Trzeba było przesłuchać wszystkich, którzy mieli kontakt z Johnem Powellem, co oznaczało przesłuchanie trzech zmian personelu medycznego, pielęgniarek, pielęgniarek pomocniczych i ludzi zajmujących się konserwacją urządzeń. Krewni i odwiedzający Johna Powella także musieli być tym objęci.

Podczas żmudnych przesłuchań sierżant Morgan poszukiwał informacji, skąd i jak uzyskano dostęp do cyjanku.

W formie proszku cyjanek występuje zazwyczaj w związkach sodowych albo potasowych. Ma zastosowanie w różnych celach chemicznych, ale znacznie częściej w przedsięwzięciach wykraczających poza prawo. Specjaliści medyczni wyjaśnili sierżantowi Morganowi, dlaczego tak się dzieje.

Trucizna użyta do zamordowania kogoś jest niewykrywalna, chyba że badający zwłoki lekarz wyczuje podejrzany zapach migdałów. Po zakończeniu procesu balsamowania większość oznak morderstwa znika, gdyż środki użyte do balsamowania rozkładają cyjanek.

Te „ulatniające się” dowody morderstwa nie są najgorszą stroną cyjanku. Więcej trudności przysparza to, że bardzo łatwo go kupić. Nie ma sposobu zidentyfikowania nabywcy, chyba że sprzedała go firma, która dokładnie rejestruje kupujących, jak to się dzieje w firmach sprzedających cyjanek do celów naukowych.

Ta niepomysłna informacja szła w parze z negatywnym przebiegiem badań śledczych. Choć rosły zapisy przesłuchań, nie dostarczały żadnych kluczy do rozwiązania zagadki. Żona Johna Powella zgodziła się na przesłuchanie, ale po drugiej serii rozmów z detektywami doszli oni do wniosku, że nic nie wiedziała o przyczynie śmierci męża.

W sobotę 4 kwietnia do biura ekipy badania zabójstw zgłosił się pielęgniarz Donald Harvey. Policja uznała go za podejrzanego, bo zgłosił się, by przesunąć datę swego przesłuchania.

Dowiedziano się, że Donald Harvey pracował w szpitalu weteranów w Cincinnati, ale został zmuszony do rezygnacji na skutek wniosku agenta bezpieczeństwa tego szpitala. Harvey

pracował tam od 1975 roku jako pracownik pomocniczy przy badaniach sekcyjnych. Zgodnie z doniesieniami szpitala weteranów, tajny agent bezpieczeństwa zobaczył go wkładającego rewolwer do sportowej torby.

Dyrektor szpitala weteranów doniósł, że podczas przeszukania worka Harveya ekipa bezpieczeństwa szpitala znalazła w nim rewolwer kalibru 38, kilka strzykawek, igły, podręczniki do anatomii, nożyczki i rękawiczki chirurgiczne, łyżeczkę do kokainy, plan kostnicy i wiele książek o okultyzmie.

Detektywi zaczęli przesłuchiwać Donalda Harveya, nie podłączając go na razie do przyrzędu rejestrującego zeznania. W czasie przesłuchania Harvey przyznał się do zabicia Johna Powella. Sierżant Morgan zaproponował mu, by zeznał to formalnie, na co Harvey wyraził zgodę.

Policja Cincinnati często uciekała się do rejestrowania na taśmach wideo zeznań podejrzanych i podczas gdy przygotowywano kosztowne urządzenie, sierżant Morgan wprawdzie odczuwał ulgę, że Harvey przyznał się do zabójstwa Powella, ale nie był pewien tego, co powie w formalnym zeznaniu.

W czasie rejestrowanego zeznania Harvey przyznał się do zabicia Johna Powella przez otrucie go cyjankiem, który wprowadził do organizmu pacjenta przez sondę żołądkową.

Po skończeniu zeznania Harveya sierżant Morgan zaarrestował go, oskarżając o morderstwo czterdziestoczteroletniego Johna Powella, spawacza zatrudnionego w elektrowni, który osierocił żonę, cztery córki i syna.

Morgan i inni detektywi podejrzewali, że mogli być także inne ofiary. Odkrycie, jak zmarły, będzie możliwe jedynie wtedy, jeśli powie im o tym Harvey. Ten przyznał się tylko do zabicia Powella, ale dowody były wystarczająco mocne, żeby skazać go z oskarżenia o zabójstwo pierwszego stopnia.

Kopie taśm wideo wysłano prokuratorowi Artowi Neyowi, obrońcy Williamowi Whalenowi i czterem detektywom policyjnym. Porucznik Fletcher poinformował prasę, że zgon Johna Powella zdawał się być jedynym aktem zbrodni. Brak wiarygodnych dowodów poza podejrzeniami zajmującymi się tą sprawą ludzi nie pozwolił policji na wyciągnięcie dalszych wniosków. Potrzeba było czasu.

28 kwietnia Harvey oznajmił w sądzie, że nie jest winny morderstwa Johna Powella, gdyż cierpi na upośledzenie umysłowe. Sędzia zarządził badania psychiatryczne.

Sierżant Morgan i jego współpracownicy dalej uważali, że Harvey mógł pozbawić życia i inne ofiary. Nie mieli jednak dowodów. Członkowie personelu szpitala Drake'a także wystąpili z podejrzeniami wobec innych tajemniczych zgonów, ale nie było świadków ani dowodów na poparcie przypuszczeń.

Sierżant Morgan wiedział, że niewiele może jeszcze zrobić w sprawie Donalda Harveya poza tym, że powinien wzmocnić dowody pozwalające na skazanie go. Jednakże wieczorne wiadomości 23 czerwca 1987 roku zmieniły tę sytuację.

Lokalna stacja telewizyjna poświęciła całe trzydzieści minut temu, co nazwano znaczącym materiałem dowodowym w sprawie Drake Hospital. Dwumiesięczne dochodzenie prowadzone przez dziennikarza tej stacji ujawniło, że personel szpitala był przekonany, iż podczas pracy Harveya w tym szpitalu nastąpiły dwadzieścia trzy podejrzane zgony. Co więcej, audycja podtrzymywała opinię, że znaczniejsza liczba zgonów nastąpiła na oddziale, gdzie pracował Harvey, niż na innych oddziałach szpitalnych.

25 czerwca prokurator Art Ney oznajmił, że rozpocznie śledztwo w sprawie podejrzeń ujawnionych w audycji telewizyjnej. 6 lipca powołano specjalny skład sądu do zbadania przypadków śmierci pacjentów w czasie pracy Harveya w szpitalu Drake'a.

Między 14 a 18 lipca, na wniosek koronera hrabstwa Hamilton, ekshumowano zwłoki dziesięciu osób i poddano je badaniom, aby wykryć oznaki otrucia czy inne podejrzane czynniki. Próbkę tkanek przesłano do laboratorium FBI w Waszyngtonie. Otrzymane wyniki wykazały tylko w dwóch zwłokach ślady otrucia arsenikiem.

Sędzia przesunął datę rozpoczęcia procesu Harveya na 25 stycznia 1988 roku. Pierwotnie rozprawa miała się rozpocząć 27 lipca 1987 roku. Chodziło o umożliwienie śledztwa w sprawie ewentualnych innych zabójstw.

Na początku lipca 1989 roku sierżant Morgan i jego zespół dowiedzieli się o interesującym postępie śledztwa prowadzo-

nego przez prokuraturę. Harvey zgłosił chęć poinformowania 0 innych zgonach, za które był odpowiedzialny, jeśli zostanie mu zagwarantowany łagodniejszy wymiar kary.

Przedstawiciele oskarżenia i obrony wreszcie uzgodnili skomplikowaną ugodę. Harvey miał ujawnić wszystkie szczegóły zbrodni, które popełnił w hrabstwie Hamilton. Miał przyznać się do winy i nie apelować w sprawie wyroku. Gdyby apelował, albo gdyby udowodniono mu inne zbrodnie poza tymi, do których się przyzna, prokurator wytoczy mu ponownie proces z zamiarem skazania na karę śmierci.

Donalda Harveya sprowadzono do wydziału zabójstw. Przygotowano nagranie wideokaset. Jego opowieść, trwająca szesnaście godzin, okazała się bardziej makabryczna niż oczekiwano.

Harvey, jawny homoseksualista od wczesnej młodości, urodził się w Hamilton, Ohio, ale wychował się w ubogim regionie Island Creek, Kentucky. Dorastał na starej farmie otoczonej polami tytoniowymi i chodził do ośmioklasowej szkoły.

Utrzymywał, że w dzieciństwie wykorzystywali go seksualnie członkowie rodziny i sąsiedzi. Po ukończeniu 18 lat przeniósł się do Londynu w Kentucky i dostał pracę posługacza w lokalnym szpitalu, gdzie pracował od 11 maja 1980 roku do końca marca następnego roku.

W 1971 roku próbował po raz pierwszy popełnić samobójstwo, włamując się do jakiegoś mieszkania i kradnąc tam ubrania, a następnie włamując się do drugiego mieszkania i podpalając je. Został zaarrestowany, ale oskarżenie zostało złagodzone, przyjęto bowiem, że wymagał leczenia psychiatrycznego. Przyznał się do winy i skazano go na zapłacenie 50 dolarów grzywny.

Po zbadaniu przez wskazanego przez sąd psychiatrę uznano go za normalnego i w czerwcu 1971 roku wstąpił do amerykańskiej służby lotniczej. Stacjonował pod San Francisco, gdzie poznał dużą grupę miejscowych homoseksualistów.

Wyszedł z wojska w marcu 1972 roku z dobrą opinią, ale w świadectwie zwolnienia do cywila była wzmianka o braku równowagi w zachowaniu i charakterze. Przyznał się, że wkrótce po zwolnieniu ze służby miał kłopoty z rodziną i wziął

dużą dawkę pigułek nasennych. Przez cztery miesiące przebywał w szpitalu weteranów w Lexington, a następnie był dochodzącym pacjentem tego szpitala przez osiemnaście miesięcy.

Potem zmieniał pracę, przenosząc się z jednego szpitala do drugiego. Najpierw znalazł pracę jako posługacz na oddziale psychiatrycznym, potem (od czerwca 1973 roku do stycznia 1974) był rejestratorem na oddziale chirurgicznym szpitala Good Samaritan w Kentucky. Od sierpnia 1974 do lutego 1975 roku pracował jako posługacz w Cardinal Hill Hospital w Kentucky.

Od marca do końca września 1975 roku był rejestratorem w Saint Lukę Hospital w Kentucky, później przyjął pracę w szpitalu weteranów w Cincinnati. Pełnił tam prawie przez osiem lat funkcję asystenta w prosektorium, po czym przeniesiono go na oddział cewnikowania serca. Później znów przeniesiono go do prosektorium, gdzie pozostał do 1985 roku, kiedy to został zmuszony do opuszczenia szpitala.

Wówczas przyjął pracę w Drake Memorial Hospital, gdzie pracował do aresztowania go w kwietniu 1986 roku.

Harvey stwierdził, że morderstwa, które popełnił, nie miały związku ze szpitalem Drake'a, ale wiązały się z jego osobistymi sprawami.

Harvey mieszkał ze swoim homoseksualnym kochankiem w parterowym mieszkaniu w bliźniaku kochanka w alei Colerain w dzielnicy Mount Airy w Cincinnati. Związek ten trwał od 1979 roku. Po czterech latach stosunki zaczęły się psuć i Harvey wyznał, że starał się uratować tę intymną przyjaźń przed zagrożeniem, jak uważał, że strony różnych ludzi.

Mieszkanie na pierwszym piętrze wynajmowała Helen Metzger, zatrudniona od 45 lat przez firmę ubezpieczeniową. 4 kwietnia 1983 roku Harvey włożył arsenik do kawałka ciasta z bitą śmietaną, które Helen Metzger zjadła. Była pierwszą ofiarą Harveya.

Wiceprezes firmy ubezpieczeniowej stwierdził, że na pogrzebie Helen Metzger wśród żałobników poza nim był współlokator Harveya, inny pracownik firmy i Donald Harvey.

Następną ofiarą Harveya był ojciec jego kochanka Henry Hoeweler, pacjent Providence Hospital. W czasie jednej z wizyt u niego Harvey posypał arsenikiem budyń chorego. Henry Hoeweler zmarł 1 maja 1983 roku.

Harvey próbował powoli uśmiercić żonę Hoewelera, podając jej mniejsze dawki arsenu przez dwa lata, ale nie zabił jej.

Harvey miał przyjaciółkę pracującą w gabinecie kosmetycznym. W styczniu 1984 roku usiłował ją zabić wlewając do jej kawy skradzioną surowicę zakażoną zapaleniem wątroby. Kobieta hospitalizowana, ale nie zmarła.

W 1985 roku mieszkanie dawniej zajmowane przez Helen Metzger zamieszkiwał Edgar White. W marcu 1985 roku osiemdziesięcioletni White zaczął wyrzucać współlokatorowi Harveya, że sam płaci rachunki za ciepłą wodę w obu mieszkaniach.

Harvey postanowił zabić White'a i gdy ten narzekał na ból zęba, zmieszał arsenik w butelce z pepto-bismolem i podał go White'owi. Wystąpiły groźne objawy, ale człowiek przeżył.

Następnie Harvey rozcieńczył arsenik w butelce lekarstwa na żołądek i podał roztwór White'owi. Tym razem White znacznie bardziej ucierpiał. Przyjęto go do szpitala Providence, gdzie zmarł 22 marca. Harvey przyznał się także do otrucia arsenikiem psa White'a.

Nie można było przeprowadzić badań, gdyż włoki White'a zostały poddane kremacji. Policja znalazła jednak drugą butelkę lekarstwa nie ruszanego w okresie dwóch ostatnich lat. Skomplikowane specjalistyczne badania wykazały tam ślady arsenu.

Inną ofiarą był James Peluso, należący do znanej i szanowanej rodziny w Newport, Kentucky. Był on znajomym Harveya; zabił go posypując arsenikiem budyń. Prokuratura zarzuciła też Harveyowi, że pozbawił życia kobietę mieszkającą piętro wyżej nad jego mieszkaniem. Otruł ją i jej psa. Jedynym dowodem było przyznanie się Harveya, ale według prawa stanu Ohio na tej podstawie nie można go było skazać.

Sierżant Morgan i jego współpracownicy ze wstrętem słuchali wyznań Harveya o jego zabójstwach. Ale wyznania stały się jeszcze bardziej makabryczne, gdy lista jego zbrodni rosła.

Harvey wyznał, że zabójstwa w Drake Hospital popełniał z „litości”, jaką odczuwał dla ofiar. Sierżant Morgan i prokurator wątpili w to, szczególnie w świetle zabójstw sąsiadów.

Pierwszą ofiarą w Drake Hospital był Leon Nelson, który przez 36 lat pracował w jednej firmie i był diakonem w swoim kościele. Miał żonę i liczną rodzinę. Harvey zamordował Nelsona dusząc go przyciśniętym do ust i nosa woreczkiem nylonowym i położonym na tym mokrym ręcznikiem. Następnie 19 marca 1986 roku zamordował Virgila Weddle'a, dosypując truciznę na szczury do deseru pacjenta.

Harolda White'a otruł arsenikiem w Drake Hospital, ale ten pacjent zmarł dopiero w czerwcu 1986 roku po przeniesieniu go do innego szpitala.

Edward Shreibels zmarł 20 czerwca 1986 roku, po zatruciu arsenikiem zmieszonym z sokiem pomarańczowym.

Robert Crockett zmarł 29 czerwca 1986 roku po wstrzyknięciu mu do żyły wodnego roztworu cyjanku.

Donald Barney, bohater drugiej wojny światowej, został przyjęty do szpitala w stanie śpiączki, ale odzyskał przytomność. Zmarł 7 lipca 1986 roku, po wprowadzeniu mu przez Harveya roztworu cyjanku podanego przez sondę żołądkową, a potem wstrzyknięciu cyjanku do poślodka.

James Woods zmarł 25 lipca 1986 roku na skutek podania cyjanku przez sondę żołądkową.

Earnest Frey, księgowy, zmarł 16 sierpnia 1986 roku po takim samym zabiegu.

Milton Cantor umarł po podobnym zabiegu 29 sierpnia 1986 roku.

John Oldenkirk zmarł w lecie 1986 roku po otruciu go przez Harveya arsenikiem.

Roger Evans zmarł 17 września 1986 roku po śmiertelnej dawce cyjanku przez sondę żołądkową.

Claborn Kendrick w swojej praktyce prawniczej był zwolennikiem kary śmierci. Jego żona była na wakacjach na Hawajach. Harvey czekał na jej powrót i dopiero wtedy zamordował Kendricka. Było to 30 września 1986 roku, gdy podał mu cyjanek przez sondę żołądkową.

Albert Buehlmann zmarł 29 października po dodaniu cyjanku do soku, który Harvey pomógł mu wypić.

William Collins zmarł 30 października także po domieszanu cyjanku do soku pomarańczowego.

M ose Thompson miał zainstalowaną sondę do sztucznego odżywiania wprost do żołądka. Zmarł 22 listopada 1986 roku po wprowadzeniu do niej cyjanku.

Cleo Fish zmarł 20 grudnia 1986 roku po wypiciu zatrutego soku pomarańczowego. Harvey przyznał się, że tuż przed wypiciem soku pomarańczowego przez Fisha rozmawiał z nim.

Po zerwaniu związków ze swoim kochankiem-współlokaterem w końcu 1986 roku Harvey zaczął mu podawać małe dawki arszeniku, przypuszczalnie z zemsty.

Odas Day był emerytowanym policjantem. Zmarł 10 grudnia 1986 roku po podaniu mu cyjanku przez sondę żołądkową.

Leo Parker zmarł 10 stycznia 1987 roku w wyniku wprowadzenia cyjanku przez sondę do sztucznego odżywiania.

Margaret Kuckro została zamordowana w wyniku wypicia soku pomarańczowego zmieszanego z cyjankiem.

Jospeh Pike zmarł 6 marca 1987 roku. Harveyowi zaczęło brakować cyjanku, zastosował więc destylat nafty używany do mycia sond i worków kolostomijnych.

Następnego dnia, 7 marca 1987 roku, Harvey otruł Johna Powella wykorzystując resztki cyjanku, które podał w sondzie żołądkowej. Tego samego dnia zabił Hildę Leitz używając tego samego destylatu nafty, co wcześniej do zabicia Josepha Pike'a.

Stella Lemon zmarła 16 marca 1987 roku po wcześniejszym wstrzyknięciu cyjanku.

Harvey przyznał się, że próbował zabić jedną ofiarę przez wstrzyknięcie jej krwi zainfekowanej AIDS, ale to nie dało rezultatu. Ten mężczyzna zmarł później po otruciu cyjankiem.

Grupa śledcza długo milczała po szesnastogodzinnej spowiedzi podejrzanego. Harvey przyznał się także do dziesięciu zabójstw w szpitalu weteranów. Nie mógł jednak podać wiarygodnych dowodów, jak mordował ofiary, ani ich nazwisk. Przyznał się również do zabicia ośmiu osób poza hrabstwem Hamilton.

Harvey powiedział policjantom, że na potwierdzenie swojego zeznania ma spis kilku swoich zbrodni. Pp dokładnym przeszukaniu detektywi znaleźli listę zawierającą siedemnaście nazwisk. Była porządnie złożona i zatknięta za lustro w przyczepie turystycznej Harveya.

13 sierpnia sędzia William Mathews odwołał zgodę na kaucję w wysokości dwustu tysięcy dolarów po dotarciu do niego pogłosek, że Harvey udzieli wywiadu pierwszej osobie, która zgodzi się opłacić kaucję. Sugerowano, że jedna z gazet nowojorskich była gotowa przyjąć jego warunki.

Zanim sąd przysięgłych postanowił oskarżyć Harveya, podejrzany dwukrotnie składał przed ławą krótkie oświadczenia. Dotychczas słuchano jego zeznań na taśmach.

Ława przysięgłych wysłuchiwała także zeznania wyznaczonego przez sąd rzeczoznawcy, który występował jako ekspert w procesie na Florydzie przeciw wielokrotnemu mordercy Tedowi Bundy'emu.

Ten świadek, lekarz, oświadczył, że Harvey nie był upośledzony umysłowo, ale miał zaburzenia charakteru, które podobnie jak w przypadku Bundy'ego nakazywały mu zabijać; był to przymus, który musiał być spełniony. Świadek stwierdził, że pochodziło to z głębi jego osobowości, częściowo wynikało z dzieciństwa. Uznał, że był to stan nieodwracalny.

Gdy Harvey zjawił się w sądzie, sala była wypełniona tłumem krewnych ofiar, reporterów, operatorów kamer telewizyjnych i personelu sądowego.

Obrońca William Whalen, weteran prawniczy miasta i hrabstwa, miał odczytać oświadczenie oskarżonego, w którym przyznał się do winy.

Prokurator Art Ney przygotował pracowicie białą tablicę 0 rozmiarach cztery na pięć stóp, z listą oskarżeń, datami i nazwiskami dwudziestu ośmiu ofiar.

W czasie rozprawy prokurator odczytywał głośno dane dotyczące każdego morderstwa. Po każdym przypadku obrońca wstawał oświadczając „winny”. Powtórzyło się to dwadzieścia osiem razy.

Tłum na sali ucichł, gdy sędzia zaczął odczytywać wyrok - dwadzieścia lat do dożywocia za każdą zbrodnię zabójstwa;

wykonanie trzech z nich uznano za kary, które miał odbyć jedną po drugiej, reszta miała być włączona do równoczesnego uwięzienia; siedem do dwudziestu pięciu lat za zbrodnicze próby morderstw. Harvey miał przebywać sześćdziesiąt lat w więzieniu, zanim w wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat będzie uprawniony do zwrócenia się do władz o zwolnienie warunkowe.

Wiele osób wierzyło, że Harvey zabił jeszcze innych ludzi. Gdyby zdobyto dowody na to, mógłby ponownie stanąć przed sądem i zostać skazany na karę śmierci. Z tych względów zapewne Harvey zdecydował się przyznać do innych zabójstw.

W piątek, 20 stycznia 1989 roku prokurator Ney zwołał konferencję prasową, na której poinformował, że wraz ze swoim zastępcą widział Harveya w więzieniu Lucasville w Ohio. Harvey przypuszczalnie zawiadomił swego obrońcę, że chce się przyznać do jeszcze siedmiu zabójstw. Potem oświadczył jednak, że nie chce już zeznawać. Ney poinformował Harveya, że będzie ponownie sądzony, jeśli świadomie okłamie prokuratora.

W dziwnej sprawie Donalda Harveya mogą się kiedyś ujawnić nowe morderstwa. A wszystko zaczęło się od tego, że przenikliwy patolog wyczuł słodko-gorzki zapach migdałów.

Joseph L. Koenig

CZERPAŁ KORZYŚCI Z UBEZPIECZENIA NA ŻYCIE SWOICH OFIAR

Dwudziestosiedmioletni James S. Bullock był urzędnikiem w Union Electric Company w St. Louis, Missouri. Wieczorowo studiował handel na Uniwersytecie St. Louis.

Niedługo przed rozpoczęciem przerwy z okazji Bożego Narodzenia, wczesnym wieczorem przerażająco zimnego dnia 22 grudnia 1958 roku szczupły, młody człowiek w okularach ucałował żonę na pożegnanie - byli małżeństwem od paru miesięcy - i wyszedł do swego samochodu. Wykłady miały się rozpocząć dopiero za godzinę, ale niełatwo było znaleźć miejsce do parkowania, zazwyczaj więc przybywał na uniwersytet wcześniej. Dochodziła siódma, gdy ruszył.

W niecałe pół godziny później kierowca mijający Muzeum Sztuki w St. Louis musiał mocno nacisnąć hamulec, aby uniknąć potrącenia młodego człowieka, który słańiał się na jezdni. Gdy upadł na chodnik, kierowca zatrzymał wóz i podbiegł do nieszczęśnika. Przyklękawszy, zobaczył krew ciekącą z trzech ran i mimo woli obejrzał się. W cieniu najbliższego budynku dostrzegł krępego mężczyznę w płaszczu, trzymającego w ręku przedmiot przypominający rewolwer. Gdy człowiek z bronią zobaczył skierowane na siebie oczy obcego, błyskawicznie się odwrócił i zniknął w zapadającej ciemności.

Zanim przybyła pomoc lekarska, młody człowiek zmarł. Pierwsi przybyli funkcjonariusze policji St. Louis. Na podstawie danych w dowodzie osobistym stwierdzono, że był to dwudziestosiedmioletni James S. Bullock z Richmond Heights. Ciało młodego człowieka leżało w kałuży krwi, której ślady prowadziły prawie sto jardów dalej, za Muzeum w Forest Park. Tam znaleziono samochód denata, z włączonym silnikiem.

- Przedni fotel jest przesiąknięty krwią - powiedział jeden z detektywów. - Widocznie tutaj do niego strzelano, przynajmniej pierwszy raz. Chciałbym tylko wiedzieć, co robił w takim odludnym miejscu.

Gdy funkcjonariusze śledczy przekazali przykrą wiadomość młodej wdowie, nie mogła podać przypuszczalnego motywu zbrodni. Nie miała pojęcia, co skłoniło jej męża do zbrodni ze zwykłej trasy na uniwersytet na fatalną okrężną drogę przez Forest Park. Młody prokurator, Thomas F. Eagleton (późniejszy senator Stanów Zjednoczonych z Missouri) wraz z grupą detektywów energicznie badał życie Bullocka, mając nadzieję, że w ten sposób ustali się tożsamość zabójcy.

Ustalono, że zaledwie dwa miesiące przed śmiercią Bullock udał się do prywatnego detektywa, by śledził mężczyznę, który pracował w tej samej szkole podstawowej, w której jego żona uczyła klasę przedszkolną. Jeszcze bardziej interesujący był fakt, że kilkanaście dni przed śmiercią Bullock zwrócił się do dyrektora sanatorium hrabstwa St. Louis z zapytaniem, czy może być przyjęty na jakieś dwa tygodnie.

- Jego prośba była bardzo dziwna - przypomniał sobie dyrektor. - Powiedział, że chciałby być przyjęty do sanatorium

Czerpał korzyści z ubezpieczenia na życie swoich ofiar

bez udzielania komukolwiek informacji, że tu przebywa. Wyraźnie dał do zrozumienia, że nie potrzebuje leczenia, ale chce się ukryć. Powiedziałem mu wszakże, że można go przyjąć jedynie po skierowaniu przez lekarza.

Tymczasem funkcjonariusze śledczy skoncentrowali uwagę na byłym mężu pani Bullock, trzydziestojednoletnim dentyście z St. Louis, Glennonie Englemanie. Wywiadowcy dowiedzieli się, że małżeństwo trwało dwa lata. Po rozwodzie kobieta poślubiła Bullocka. Gdy dowiedzieli się, że Engleman jest zatrudniony na część etatu w Union Electric, a były pogłoski, że spotykał była żonę po jej ślubie, wzmocniło to zainteresowanie Englemanem.

Choć krępy dentysta o okrągłej jak księżyc w pełni twarzy nie mógł przedstawić alibi na czas morderstwa Bullocka, detektywi nie mogli skojarzyć go z brutalną zbrodnią. Engleman twardo odmawiał poddania się próbie wykrywania kłamstwa, a gdy stanął przed sądem koronera i później przed sądem przysięgłych, powoływał się na Piątą Poprawkę do Konstytucji.

Wkrótce po śmierci męża pani Bullock przeniosła się do Kansas City, Missouri i wstąpiła w nowy związek małżeński. Pomimo ponawianych wezwań funkcjonariuszy sądowych w St. Louis, odmawiała zgłoszenia się na przesłuchanie.

Gdy po długich zmaganiach prawnych ostatecznie ustalono wartość spuścizny po Jamesie S. Bullocku, okazało się, że wdowa otrzymała 54 500 dolarów z polisy ubezpieczeniowej. Wkrótce potem, jak mówiono, zainwestowała 15 000 dolarów w marnie prosperującą uprawę w Pacific, Missouri, będącą własnością dr. Glennona E. Englemana.

Zanim upłynęło pięć lat, związek Englemana z działką w Pacific zwrócił uwagę policji; zginął tam wtedy dwudziestotrzyletni robotnik fabryczny Erie L. Frey. Śmierć spotkała go, gdy próbował dynamitem wysadzić w powietrze starą studnię. Człowiekiem, który wydobyl strzepy zwłok Freya z dna studni, był dr Engleman. Następnego dnia, po krótkim przesłuchaniu, śmierć przypisano nieszczęśliwemu wypadkowi i zwłoki młodego człowieka poddano kremacji.

W jakiś czas potem władze policyjne dowiedziały się, że Frey zarabiał 78 dolarów tygodniowo zaledwie dwa tygodnie

przed śmiercią ubezpieczył się na życie na sumę 25 000 dolarów. Podlegał także ubezpieczeniu zbiorowemu na działce. Osobą, która, jak się zdawało, najbardziej skorzystała na śmierci Freya, był jego wuj, dr Engleman. Otrzymał on 16 000 dolarów od „zrozpaczonej” wdowy.

Przez prawie trzynaście lat dr. Englemanowi udawało się nie wzbudzić zainteresowania władz sądowych.

5 września 1976 roku, gdy dwudziestosześcioletni monter telefonów Peter J. Halm i jego dwudziestoczworoletnia żona zwiedzali jaskinię w skałach wapiennych w pobliżu Pacific, rozległ się strzał. Peter upadł.

- Dostałem postrzał! - krzyknął. - Sprowadź pomoc!

Żona Halma wybiegła z lasu i wezwała lekarza przez najbliższy telefon. Jednakże zanim przybyła policja i ambulans, jej mąż zmarł. Zaledwie 50 jardów od zwłok znaleziono karabin z wmontowaną lunetą.

W czasie dochodzenia funkcjonariusze dowiedzieli się, że przez osiemnaście miesięcy przed śmiercią Halma jego żona pracowała jako pomoc dentystyczna dr. Englemana i że jej brat był kiedyś zatrudniony na działce doktora koło Pacific. Po zainkasowaniu 90 000 dolarów z towarzystwa ubezpieczeniowego i odmówieniu zeznań przy detektorze kłamstw młoda wdowa przeniosła się do Kalifornii, bliżej miejsca zamieszkania swego brata.

W trzy lata później, 14 stycznia 1980 roku, pani Sophie Marie Barrera, wkrótce po uruchomieniu samochodu zmarła w wyniku eksplozji dynamitu, która wstrząsnęła całym sąsiedztwem. Detektywi stwierdzili, że ofiara morderstwa była właścicielką laboratorium dentystycznego i że jednym z najczęstszych jej klientów i największych dłużników był dr Engleman. Ostatnio wystąpiła przeciw niemu do sądu, chcąc wyegzekwować dług w wysokości 14 504 dolarów, które podobno był jej winien.

Przesłuchanie w tej sprawie zostało wyznaczone na 21 stycznia, dokładnie w tydzień po jej śmierci. Gdy detektywi przesłuchiwali dr. Englemana, odmówił poddania się chemicznym badaniom, które mogłyby wykazać, że miał ostatnio do czynienia z materiałami wybuchowymi.

Choć nie wytoczono przeciw niemu oskarżenia i nie zatrzymano go, detektywi nie dali wiary, że doktor przypadkowo

Czerpał korzyści z ubezpieczenia na życie swoich ofiar

pojawiał się tak blisko wielu gwałtownych zgonów. Po sprawdzeniu jego życiorysu i środowiska dowiedzieli się, że Engleman, obecnie pięćdziesięcioletni, pochodził z St. Louis, a studia dentystyczne skończył po szkole dentystycznej w Waszyngtonie. Był trzy razy żonaty, a wszystkie małżeństwa skończyły się rozwodem. Pacjenci uważali go za spokojnego, miłego człowieka.

Była jednak druga strona osobowości dr. Englemana. Detektywi zaczęli się w tym orientować już w kilka tygodni od śmierci pani Barrera, gdy poznali kobietę, która oświadczyła, że była żoną doktora. W czwartek 14 lutego 1980 roku, była żona Englemana, wyposażona w ukryty mikrofon, niby przypadkiem spotkała doktora na obiedzie w restauracji na South Lindbergh Boulevard w St. Louis. W trakcie rozmowy Engleman przyznał się do morderstwa Petera Halma. W dziesięć dni później, w niedzielę 24 lutego policjanci zatrzymali doktora w domu jego siostry. Następnego dnia został formalnie oskarżony o zamordowanie montera telefonów.

Choć policja powstrzymywała się od komentowania informacji, która doprowadziła do aresztowania Englemana, porucznik Richard O'Connor przyznał na konferencji prasowej, że wiadomość pochodzi od „informatora”, którego nazwiska nie podał. Dodał, że ten informator łączył dentystę z co najmniej trzema nie rozwikłanymi zabójstwami i że w przypadku Halma motywem były pieniądze.

Przez następne parę miesięcy Engleman pozostawał w stanie oskarżenia ze strony zarówno federalnego wymiaru sprawiedliwości, jak hrabstwa. Zarzuty wobec niego ujawniono dopiero po śmierci pani Barrera. Zanim jednak stanął przed sądem za te zbrodnie, najpierw odpowiadał za szesnaście przestępstw oszustwa i zmywy w sprawie Halma. Z powodu wielkiego rozgłosu rozprawę sierpniową przeniesiono do St. Paul, Minnesota.

Punktem kulminacyjnym rozprawy, która rozpoczęła się w sobotę 9 sierpnia, była reprodukcja dźwiękowa taśmy z rozmowy Englemana z jego byłą żoną w restauracji w St. Louis, na dziesięć dni przed jego aresztowaniem. Choć chwilami trudno było zrozumieć słowa z powodu hałasu na sali i muzyki disco, sędziowie wyraźnie usłyszeli oskarżonego

mówiącego swojej byłej żonie: *Me czuję przymusu, nie popycha mnie żaden impuls, gdy trwam w zamiarze pozbycia się jakiegoś człowieka.*

Gdy żona spytała go, co było powodem zabicia Halma, Engleman odpowiedział: *Dziecinko, właśnie to samo, co ty odczuwasz - to pieniądze. Pieniądze, pieniądze i jeszcze raz pieniądze.*

To nie znaczy, że nie jestem gotowy zapracować na nie... Spójrz tylko na mnie. Te 10 000 dolarów, które dostałem od żony Halma. Jak bym wyglądał teraz? Zabierz mi te 10 000 dolarów... gdzie bym się wtedy znalazł?

Gdy była żona powiedziała, że martwi ją psychiczny stan wdowy Halma, Engleman odpowiedział: *Gdy widziałem ją ostatnio, była... Coś ci powiem, można być z kimś zażyłym seksualnie i można być z kimś zażyłym w zabójstwie.*

W tym momencie była żona spytała go, czy miał stosunki seksualne z panią Halm.

- *Nie* - odpowiedział dentysta. - *Przez długie tygodnie, nawet miesiące trzeba zachować to w tajemnicy. Ostatecznie wracasz do swego partnera. Wiadomo, jak to się odczuwa, jaką to przynosi ulgę... Koleżeństwo, które łączy...*

Następnie narzekał, że prasa St. Louis prowadzi przeciw niemu brudną kampanię, łącząc go z innymi zabójstwami, gdzie wchodziło w grę pobranie pieniędzy z polis ubezpieczeniowych. Powiedział, że w sądzie wykrzyknie swemu oskarżycielowi: *Brudy, brudy i jeszcze raz brudy.* W ten sposób przekona przysięgłych, że oskarżenia przeciw niemu są zmyślane.

Gdy była pani Engleman stwierdziła, że gada się z nim, iż gazety prowadzą brudną kampanię, odparł:

- *Widzisz więc, a przecież jesteś nastawiona przeciw mnie. Wiesz, że jesteśmy winni, jak diabli.*

Później Engleman powiedział, że zaplanował morderstwo Halma razem z jego żoną, aby zdobyć pieniądze z ubezpieczenia. Z naciskiem wykluczył współudział trzydziestodwuletniego brata pani Halm.

- *Czy to była refleksja po fakcie?*

- *Refleksja po fakcie?* - spytał.

Była żona wyjaśniła, że chciała dowiedzieć się, czy pomysł powstał przed czy po małżeństwie Halmów w 1975 roku.

Engleman odpowiedział niewyraźnie i mikrofon tego nie zarejestrował.

We wcześniejszych przesłuchaniach pani Halm zeznała, że zgodziła się zapłacić Englemanowi 10 000 dolarów po morderstwie, ale dentysta powiedział byłej żonie, że miał otrzymać 20 000, bo pani Halm dostała kupę forsy. Wyobrażali sobie, że to będzie 100 000 dolarów po morderstwie wraz z tym, co dostała po ślubie.

W sądzie znajdowały się dowody, że pani Halm zainkasowała około 75 000 dolarów z polisy ubezpieczeniowej i wpływy ze sprzedaży ich domu po śmierci męża. Około 45 000 dolarów wydała z bratem w okresie między latem 1977 i wiosną 1978 roku. Wiele z tego poszło na wydatki domowe i na promocję przedsięwzięcia teatralnego brata w Kalifornii.

Zeznając w charakterze świadka obrony, szwagierka dentystry stwierdziła, że w czasie morderstwa Engleman był w domu przyjaciela przy Washington Terrace w St. Louis. Jej zeznanie potwierdzili przyjaciel i sąsiad. Sąd przysięgłych nie dał temu wiary i w czwartek, 14 sierpnia 1980 roku uznano dr. Glennona E. Englemana winnym piętnastu przestępstw fałszerstwa i jednego morderstwa na osobie Petera J. Halma juniora.

- *Takie jest życie* - powiedział Engleman swojemu adwokatowi po usłyszeniu wyroku.

Sędzia sądu okręgowego Stanów Zjednoczonych, William L. Hungate ustalił datę 12 września na rozprawę wymierzenia kary. Englemana czekała maksymalna kara 80 lat uwięzienia i 25 000 dolarów grzywny.

Prokurator federalny Robert D. Kingsland powiedział reporterom, że jest bardzo zadowolony z wyniku procesu.

- *Sądzę, że sąd przysięgłych był bardzo skrupulatny. Usiłowali rozpatrzyć wszystko możliwie najlepiej. Podziwiam ich za to. Musieli wziąć pod uwagę wiele dowodów.*

W trzy tygodnie później, w poniedziałek 8 września w Jefferson City, Missouri, w sali rozpraw sądu okręgowego hrabstwa Cole, gdzie proces został przeniesiony, rozpatrywano sprawę morderstwa Petera Halma. Przewodniczył sędzia Byron Kinder.

We wstępnych wyjaśnieniach dla składającej się z dziesięciu kobiet i dwóch mężczyzn ławy przysięgłych, prokurator Gor-

don Ankney stwierdził, że wdowa po Halmie, zeznając w St. Louis z przywilejem immunitetu, oświadczyła, co powiedziała jej dr Engleman: *Dlaczego nie wyjdiesz za mąż, a ja go zabiję?*

Ankney poinformował ławę przysięgłych, że najważniejszy świadek oskarżenia zezna, iż Engleman przyznał się, że zabił Erika L. Freya, aby otrzymać część sumy ubezpieczeniowej. Na wzmiankę o Freyu adwokat Englemana nazwał to błędem proceduralnym. Sędzia Kinder odrzucił jednak to zastrzeżenie.

Pierwszym świadkiem oskarżenia był sierżant policji Gregory J. Moore, który poinformował sąd, że przy badaniu sceny zabójstwa Halma znalazł dwa kawałki srebrnej taśmy w kształcie krzyża w pobliżu zwłok denata. Około piętnastu jardów dalej na takiej samej taśmie była zawieszona na drzewie puszka piwa. Ankney wyjaśnił, że Engleman uprzedził panią Halm, iż oznaczy miejsce, gdzie powinna stanąć, gdy będzie strzelał do jej męża.

Drugiego dnia procesu wdowa, atrakcyjna ciemnowłosa kobieta w wieku dwudziestu ośmiu lat, cichym, prawie niedo-słyszalnym głosem zeznała, że Engleman po raz pierwszy sugerował zamach na życie jej męża w kilka miesięcy potem, gdy zaczęła u niego pracować.

- Proponował mi, abym wyszła za mąż, a on zabije mojego męża, aby zainkasować pieniądze z ubezpieczenia na życie - powiedziała. - Pokazał mi, jak wypełnić kwestionariusze ubezpieczeniowe i jak zmienić formularze upoważniające do zainkasowania pieniędzy przez korzystającego z polisy.

- Powiedział mi, kto będzie się nadawał do małżeństwa, a kto nie będzie odpowiedni. Osoba pracująca w dużej firmie miała być dobra, gdyż będą tam duże wypłaty za ubezpieczenie zbiorowe.

Wybrano Petera Halma, gdyż był jej chłopcem w szkole średniej Kirkwood w St. Louis. Ponownie spotkała go dopiero wtedy, gdy został wytypowany do roli ofiary. Engleman uważał, że był to idealny wybór, gdyż z jego pracą w południowo-zachodniej spółce telefonicznej była związana duża polisa ubezpieczeniowa.

Zapytana o przebieg zabójstwa młoda kobieta powiedziała, że najpierw przyjechała z Englemanem na miejsce zbrodni

w pobliżu miejscowości Pacific, aby przeprowadzić próbę zabójstwa. W tym momencie zeznania zalała się łzami.

- Przepraszam bardzo - wyszeptała. - Płaczą mi się myśli. Płaczą mi się myśli...

Po krótkiej przerwie, aby się uspokoiła, wróciła na podium świadków.

- Zaprowadził mnie w dół ścieżki i powiedział, że miejsce będzie oznaczone czarnym krzyżykiem, a może białym - nie pamiętam... Powiedział mi, abym poprowadziła Petera w dół ścieżki. On miał stać z boku.

- Kiedy przeprowadziliście próbę? - spytał Ankney.

Kobieta odparła, że na miesiąc przed zabójstwem. Opowiedziała, jak 5 września 1976 roku przy wiosła męża do jaskini koło Pacific i razem przeszli spacerem do miejsca, które wyznaczył Engleman.

- Zostawiliśmy za sobą staw o parę stóp, zanim usłyszałam strzał - zeznała. - Nie pamiętam, czy spojrzałam na Petera. Peter upadł na kolana, a potem na twarz. Powiedział mi: - Wezwij pomoc! Dostałem postrzał.

Gdy tylko zaczęłam krzyczeć, dr Engleman wyszedł zza krzewów. Chwycił mnie za rękę i nakazał, abym przestała wrzeszczeć. W rękę miał karabin.

- Następnie - zeznała - rzucił broń i nogą narzucił na niego piasek i liście.

- To już wiemy - wtrącił Ankney. - Co zdarzyło się potem?

Kobieta powiedziała, że przeprowadziła się do Kalifornii, aby być blisko brata. W czasie pierwszego przyjazdu do St. Louis odwiedziła Englemana, który spytał, czy zwróciła się do niej firma ubezpieczeniowa. Ostrzegł, aby nie okazywała zbytniego zainteresowania ubezpieczeniem i nie wzbudzała podejrzeń.

Gdy z kolei zadawał jej pytania obrońca oskarżonego, sugerował, że chciała się pozbyć męża, gdyż zakochała się w kimś innym. Jej motywem nie mógł być, jak powiedział, morderczy, straszny, okrutny zamiar zabicia męża dla pieniędzy.

W krzyżowym ogniu pytań kobieta przyznała, że jej małżeństwo było „piekłem”, ale podkreśliła, że po śmierci męża pieniądze nie miały znaczenia.

- Zastrzeliła pani męża. Czyż nie zastrzeliła go pani w całym tego słowa znaczeniu?

- Nie - odpowiedziała wdowa po długim milczeniu.

- Zeznaje pani zatem, że począwszy od 1973 czy 1974 roku do 5 września 1976 roku, dzień po dniu z zimną krwią knuła pani zabicie go w celu zdobycia pieniędzy?

- Tak - krzyknęła kobieta, zakrywając twarz rękoma.

- Pani Halm, przecież pani zastrzeliła swego męża, czyż nie?

- Nie, nie zastrzeliłam go.

- Ale świadomie, z własnej woli brała pani udział w przygotowaniu planu zamordowania niewinnego człowieka? - spytał prawnik.

- Tak.

- Czy zeznała pani, iż gdy ten człowiek (Engleman) po raz pierwszy sugerował ten okrutny czyn, nie wybiegła pani z jego gabinetu z krzykiem?

- Tak.

- Proszę powiedzieć sędziom przysięgłym, jak zareagowała pani, gdy powiedział, że zamorduje niewinnego chłopca dla pieniędzy.

- Nie pamiętam - odpowiedziała kobieta.

Po przeniesieniu się do Kalifornii - opowiadała dalej - brat starał się ją przekonać, by nie oddała Englemanowi 10 000 dolarów - sumy, jaką uzgodnili.

- Mój brat nie chciał zapłacić dr. Englemanowi. Powiedziałam mu, żeby to zrobił, bo Engleman nas także zabije.

Świadek przyznała, że dr Engleman powiedział jej o przygotowaniu morderstwa Erika Freya w Pacific. Pochwalił się, że jest mistrzem w użyciu dynamitu i że zabójstwo Freya było podobne do zabójstwa jej męża.

Następnie zeznawał brat wdowy, także korzystając z dobrodziejstwa immunitetu. Powiedział, że wręczył oskarżonemu 10 000 dolarów na parkingu przed kościołem Kirkwood w marcu 1977 roku. Pieniądze pochodziły z kwoty, którą siostra otrzymała z ubezpieczenia po śmierci męża.

W czasie krótkiej przerwy, gdy mężczyzna pozostawał jeszcze na miejscu świadków, Engleman siedzący zaledwie parę stóp od niego wykrztusił: - Zabiję cię.

- Co powiedziałaś? - spytał świadek.

- Słyszałeś mnie, grubasie - głośno odpowiedział Engleman.

Obrońca wzruszył ramionami na tę wymianę zdań, mówiąc:

- To tak prawdziwa groźba, jak wszystko, co świadek miał do powiedzenia.

W krzyżowym ogniu pytań świadek wyznał, że wydał większość otrzymanych od siostry pieniędzy na sfinansowanie nieudanego przedsięwzięcia teatralnego w Los Angeles. Przyznał również, że nie zapłacił podatków za ostatnie cztery lata, choć posiadał samochód mercedes benz, płacił czynsz za apartament w Los Angeles, mając na utrzymaniu rodzinę w Missouri, i często podróżował samolotem z St. Louis do Los Angeles.

- Wkrótce mam zamiar zapłacić - oznajmił.

Następnym świadkiem oskarżenia była eks-żona oskarżonego. Po odtworzeniu taśmy z rozmowy w restauracji w St. Louis, kobieta powiedziała, że w dniu zastrzelenia Petera Halma jej mąż wyszedł z ich mieszkania w Mehlville rano i wrócił późno po południu.

- Po powrocie do domu - stwierdziła - poszedł do pralni w ich domu i wrzucił całe ubranie do pralki.

- W marcu 1977 roku - zeznała - w towarzystwie pewnego mężczyzny, który później był związany z zabójstwem, wrócił do mieszkania z torbą papierową, w której było 10 000 dolarów w banknotach studolarowych. Po przeliczeniu pieniędzy poszłam do kilku banków w sąsiedztwie i zamieniłam je na banknoty o mniejszych nominałach. Prawie 7000 dolarów z tej sumy poszło na zaległe podatki.

Zajmując miejsce świadka we własnej obronie, dr Engleman zaprzeczył, jakoby brał udział w morderstwie przed czterema laty.

- Czy dyskutował pan z żoną Halma plan, że ona poślubi kogoś, kogo pan zabije, by otrzymać kwotę ubezpieczeniową?

- spytał obrońca.

- Nigdy.

- Czy zamordował pan kogoś?

- Nigdy.

Zapytany, czy widział Petera Halma żywego, odpowiedział:

- Nigdy.
- Czy widział go pan po śmierci? - spytał adwokat.
- Gdy leżał w domu pogrzebowym, brałem udział w czuwaniu przy zwłokach.

Oskarżyciel spytał Englemana, czy groził śmiercią świadkowi poprzedniego dnia.

- Czy zagroził mu pan słownie? - spytał prokurator Ankney.

- Jeśli to zrobiłem, to przecież na to zasłużył - padła odpowiedź.

Engleman upierał się, że obciążające go słowa zarejestrowane na taśmie były „dubami smalonymi”, jakimi częstował żonę próbując odzyskać cenną kolekcję monet, którą zabrała po ich rozstaniu. Wyjaśnił, że chciał przestraszyć kobietę, która zatrzymała kolekcję w zamian za wyłączną jego opiekę nad ich jedenastoletnim synem.

- Tak się składa, że „duby smalone” są prawdziwe - powiedział Ankney. - Czy nie jest tak?

- Proszę wziąć pod uwagę, że żona pozbawiła mnie oszczędności całego życia. Nie ma sposobu odzyskania moich pieniędzy od tej kobiety. To był największy błąd w moim życiu (udawanie, że zabił Halma). Dlatego wykorzystała mnie, zarejestrowała moje słowa. Mogę iść do więzienia do końca życia, ale nie zrezygnuję z mojego syna - krzyknął. - Pewnego dnia będzie dorosły i spyta: - Mamo, co się stało z moim ojcem? Nie przebierałbym w słowach, by przekonać moją żonę, aby oddała mi syna. Czy to tak nierozsądne, że można w to wątpić? Nie wiedziałem, że założyła podsłuch. W naszej sypialni także zainstalowała te parszywe mikrofony. Zabrała mi syna, moją krew. Na Boga, czy nie mam prawa mieć syna?

Sędzia Kinder nakazał Ankneyowi i Englemanowi skończyć kłótnię, gdy doktor utrzymywał, że kłamał mówiąc swojej żonie, iż oczekiwał, że pani Halm dostanie 100 000 dolarów z ubezpieczenia i z tej kwoty da mu 20 000.

- Jak niby miałbym dowiedzieć się o tych 100 000 dolarów? - spytał Engleman.

Jeśli chodzi o sumę, którą otrzymał, Engleman wyjaśnił, że do tej pory słyszał jedynie o 10 000 dolarów. - Nigdy nie

słyszałem o 20 000. Skąd niby mogłem wywnioskować te sumy? Czy miałem je wyssać z palca?

Gdy sędzia prosił o skończenie kłótni, adwokat próbował uspokoić swego klienta i powiedział mu:

- Proszę tylko odpowiadać na pytania, w przeciwnym razie będziemy tu siedzieć do północy.

- Mogę tu pozostać przez pięćdziesiąt lat. Gdzie udam się stąd? Mam pięćdziesiąt trzy lata.

Gdy adwokat ponownie próbował uspokoić swego klienta, ten rzucił:

- Do diabła z tym! Usiłują mnie zamknąć w więzieniu na pięćdziesiąt lat. To nie jest byle co.

Zwracając się w przemówieniu końcowym do sędziów przysięgłych, Ankney nazwał oskarżonego „dr Englemanem, panem Hyde W. - Widzieliście jedną jego stronę. Łagodny dentysta i ojciec. Ale widzieliście także drugą jego stronę, gdy się rozzłości. To nie był dr Engleman, to był złowieszczy „pan Hyde”.

- Uważam, że zabijanie sprawiało mu przyjemność. To jest człowiek, który porównuje zabijanie z seksem. Człowiek, którego to cieszyło. Ta taśma, którą słyszeliście, jest wyznaniem popełnienia morderstwa. To nie były „smalone duby”.

Ankney odrzucił twierdzenie obrońcy oskarżonego, że to żona Halma dokonała zabójstwa, będąc zakochana w innym mężczyźnie.

- Czy jest tutaj ktoś, kto ma serce, kto mógłby pomyśleć, że w chwili gdy zobaczyła go martwego, nie zdawała sobie sprawy, jakie to będzie ciężkie? Czy nie sądzicie, że wtedy nie chciała już tych pieniędzy? Nie spotkała jej kara, na którą zasługuje, ale co wieczór idąc spać, musi o tym myśleć. Ma świadomość zbrodni. On nie ma. I to jest wielka różnica między nimi.

Obrońca odpowiedział, że kobieta popełniła zbrodnię podsytkowaną namiętnością, a nigdy nie umawiała się z jego klientem w sprawie zainkasowania odszkodowania z ubezpieczenia na życie męża.

- Jeśli jej motywem do zabicia Petera Halma były pieniądze, czy uczciwie możecie pomyśleć, że przez dwa i pół roku z zimną krwią planowała dzień po dniu poślubienie go ze względu na

pieniądze... a potem nie chciała tych pieniędzy? Czy to jest ten rodzaj zeznania, który miałby was przekonać do skazania tego człowieka? To anioł śmierci, zatruty kwiat, wcielenie i uosobienie zła, zjawą głośno zwiastująca śmierć w noc Zaduszek - przemawiał dalej. - Czyż moglibyście skazać kogoś po zeznaniu... anioła śmierci, tej zabójczynie, którą chroni immunitet?

Nawiązując do raportu po sekcji zwłok, w którym stwierdzono, że kula, która trafiła Halma w kręgosłup, przebiła jego ciało pod kątem nachylnym w górę, adwokat powiedział sędziom:

- Nie powinniście mieć wątpliwości, że skoro ta morderczynie mierząca pięć stóp trzy cale wypaliła w stronę swego męża o wzroście sześć stóp jeden cal, kula musiała przebyć drogę w górę jego ciała.

O godzinie 11.30 we wtorek rano, po otrzymaniu oskarżenia od sędziego Kindera, sędziowie przysięgli przenieśli się do sali narad, by zdecydować o losie dr. Englemana. Po upływie tylko 77 minut powrócili na salę rozpraw ogłaszając, że pięćdziesięcioletni dentysta jest winny morderstwa pierwszego stopnia, co zgodnie z prawem stanu Missouri skazuje go na pobyt w więzieniu minimum 50 lat.

- Nie podoba mi się ten wyrok - oświadczył Engleman. Mam dopiero pięćdziesiąt trzy lata. Za pięćdziesiąt lat pozostanie po mnie proch.

Po dwóch tygodniach, tym razem w St. Paul, znowu szczęście zawiodło dr. Englemana - został skazany w sądzie federalnym, na podstawie oskarżenia o użycie materiału wybuchowego, aby spowodować zgon Sophie Marie Barrera. Próba sądenia go w listopadzie za dokonanie morderstwa pierwszego stopnia kobiety w Missouri została zaniechana, gdyż szeryfowi nie udało się odosobnić sędziów przysięgłych i stwierdzono błąd proceduralny. Dopiero w styczniu 1981 roku prokuratura stanowa przygotowała ponowny proces; tym razem sędzią miał sędzia sądu okręgowego hrabstwa Gasconade John C. Brackman. Miejsce rozprawy wyznaczono w Hermann.

Tym razem także najbardziej obciążającym dr. Englemana materiałem dowodowym były taśmy, nagrane w czasie rozmowy z byłą żoną, szczególnie fragment o *małym prostym*

zabijaniu za tysiąc dolarów. Dalej usłyszano oskarżonego mówiącego o tym, jak nie lubił pani Barrera i jej adwokata, i jak chełpił się swoją zręcznością w używaniu środków wybuchowych.

Zakłopotany obrońca Englemana usiłował zdyskredytować jego byłą żonę, sugerując sędziom przysięgłym, że chciała, by Engleman znalazł się za kratkami z powodu konfliktu między nimi na tle kolekcji monet i opieki nad synem. Obciążające Englemana oświadczenia zarejestrowane na taśmach były jedynie sprytnymi próbami zastraszenia kobiety, aby zwróciła kolekcję. Adwokat dodał, że Engleman nic nie zyskał po śmierci pani Barrera, gdyż proces przeciw niemu nadal prowadziła jej spółka.

Oskarżyciel, zastępca prokuratora sądu okręgowego St. Louis, Thomas E. Dittmeir podkreślił, że wprawdzie adwokat pani Barrera zaniechał procesu wkrótce po jej zabójstwie, ale rodzina zaangażowała nowego prawnika po zaarrestowaniu Englemana.

W czwartek, 29 stycznia 1981 roku, po trzyipółgodzinnej dyskusji sąd przysięgłych uznał Englemana winnym zabójstwa i sędzia Brackman natychmiast rozpoczął procedurę wymierzenia kary.

Świadkiem obrony była stara przyjaciółka rodziny, która powiedziała, że poznała Englemana w jego klinice.

- Powiedziałam mu, że boli mnie ząb, a mam tylko dwa dolary. - Zaczęła płakać i dodała: - Nie wziął nawet dwóch dolarów.

We wzruszającym przemówieniu mającym uratować od śmierci klienta obrońca Englemana często cytował Biblię.

- *Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni* - zwrócił się do ławy przysięgłych. - *Nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni. Odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone.* - Biorąc do ręki Biblię, powiedział: - Pomyślałem, że zwrócę się do innego źródła. Księgi prawnicze już nie wystarczą.

Dittmeir, żądając kary śmierci, wezwał sędziów przysięgłych, by przez skazanie Englemana na śmierć okazali współczucie Sophie Marie Barrera, jej rodzinie i innym potencjalnym ofiarom.

- Rodzina pani Barrera nie mogła pochować jej zwłok w całości. Jej stopy i lewa dłoń były złożone w trumnie w worku. To nie jest godzina miłosierdzia. To godzina sprawiedliwości - oznajmił.

Sędziowie przysięgli znowu naradzali się godzinę i dwadzieścia minut, po czym zawiadomili sędziego Brackmana, że nie mogli dojść do jednomyślnego wyroku. W rezultacie tego, zgodnie z prawem, Brackman będzie mógł wyznaczyć wyrok skazania na dożywotnie więzienie. Sędzia powstrzymał się od ogłoszenia formalnej daty wyroku do czasu, gdy obrońca oskarżonego zdecyduje się, czy wystąpi o nowy proces, czy też z tego zrezygnuje.

- Gdy przed rokiem podjąłem się tej sprawy - powiedział obrońca Englemana - siedziałem w kuchni w domu siostry oskarżonego i powiedziałem jej: *Mogę tylko uratować go od śmierci.* W tym zakresie wykonałem swoje zadanie.

- Byłem przekonany, że nie znajdę się po stronie śmierci - powiedział reporterom znużony, pokonany Glennon Engleman. - Siostra (astrolog) powiedziała mi, że nie znajdę się po stronie śmierci.

Wyraził też żal *dla kosmopolitów z St. Louis, którzy przyszedli prac swoje brudy na ulicach Hermann w Missouri.*

John Dunning

PŁYWAJĄCE ZWŁOKI W RÓŻOWEJ KOSZULI NOCNEJ

Była środa, smutny poranek dla jedenastoletniej Andrei Wietfeld i jej dziewięcioletniej siostry, Nicole. Gdy zeszły na śniadanie, nie było ich matki. Ojciec powiedział im ze smutkiem, że uciekła.

- Uciekła? - spytała Andrea. - Dlaczego?

- Pokłóciliśmy się wczoraj wieczorem po wyjściu gości - odpowiedział dr Klaus Wietfeld. - Chciała, abym umył naczynia, ale byłem zbyt zmęczony. Ona wróci.

Andrea nie odpowiedziała, ale potem zrobiła uwagę w obecności siostry, że chyba nie było tak wiele naczyń do zmywania. Wczoraj były urodziny matki i odbyło się przyjęcie, ale było niewielu gości, tylko bliscy przyjaciele i rodzina.

- Czy mamusia wróci? - spytała Nicole.

- Nie odeszłaby, zostawiając nas - odparła Andrea, ale ona także była zmartwiona.

Gdy Monika Wietfeld nie wróciła ani w czwartek, ani w piątek, dr Wietfeld udał się na policję w Bad Salzuflen.

- Obawiam się, że mogła ulec wypadkowi - powiedział.
- Nie miałem od niej wiadomości od wtorku wieczorem, 29 marca. Nikt z przyjaciół i krewnych jej nie widział. Opuszczając dom była bardzo zdenerwowana. Nie powinna była prowadzić samochodu.

Dyżurny sierżant zanotował szczegóły. Monika Wietfeld, lat trzydzieści dziewięć, urodzona w Frauenfeld w Szwajcarii, żona dr. Klause Wietfelda, lekarza naczelnego kliniki ortopedycznej w Bad Salzuflen; zamieszkała pod numerem 46 Langenberg Strasse, w bardzo eleganckiej dzielnicy przedmieścia Wuesten. Prowadziła białego opla kadetta nr rejestracyjny DT-LX 663.

Zachowanie dyżurnego policjanta było pełne szacunku, gdyż rozmawiał z doktorem; w Zachodnich Niemczech jest to tytuł wzbudzający respekt. Policjant wiedział, kim jest czterdziesto-sześcioletni mężczyzna o chłopięcym wyglądzie, ubrany w drogie ubranie.

Bad Salzuflen, miejscowość położona 50 mil na południowy zachód od Hanoweru, nie jest dużym ośrodkiem. Stale mieszka tam nie więcej niż pięćdziesiąt tysięcy osób. Jest jednak sprawna i liczna policja, bo to modny kurort, bardzo lubiany przez gości, którzy przywożą gotówkę.

Policja Bad Salzuflen nie załowała sił ani środków w celu ustalenia miejsca pobytu żony doktora, ale nie osiągnięto żadnych wyników.

Policjanci znaleźli samochód Moniki 18 kwietnia, dokładnie po trzech tygodniach od jej zaginięcia. Stał w strefie parkingowej przy autostradzie, koło miasta Exeter, około 5 mil od Bad Salzuflen.

Samochód był zamknięty, bez śladów przemocy na zewnątrz czy wewnątrz, ale inspektor wydziału kryminalnego w Bad Salzuflen, Boris Hummel uznał, że to odkrycie jest złowieszczyznym znakiem. Dłaczego - rozumował - Monika Wietfeld miałaby zostawiać samochód w miejscu, skąd było co najmniej trzy mile do jakiegokolwiek środka transportu publicznego?

- Jeżeli zamierzała opuścić męża, wsiadłaby do pociągu, jeśli przyjąc, że nie chciała prowadzić samochodu aż do Szwajcarii

-powiedział detektywowi Walterowi Kampowi. Był to wysoki, przystojny mężczyzna o twarzy, z której niewiele można było wyczytać.

- Obawiam się, że musimy wziąć pod uwagę przestępstwo kryminalne.

- To nie było porwanie dla zdobycia okupu - zauważył sierżant. - Do tej pory skontaktowaliby się z Wietfeldem.

- Może to zrobili - powiedział inspektor - a on nie zgłasza się u nas, bo się obawia, żeby jej nie skrzywdzili. Oczywiście, poza porwaniem i zabójstwem może być inne wyjaśnienie. Nie odkryłeś żadnych informacji o kochanku?

- Żadnych - odparł sierżant Kamp. - Idealna żona i matka, zbyt zajęta, by zmieścić kochanka, nawet gdyby chciała.

Inspektor Hummel, dobrze zbudowany mężczyzna ze zmarszczkami na czole, przez chwilę siedział głęboko zamyślony.

- Zobaczymy, co powie o samochodzie raport laboratorium - powiedział wreszcie, wyciągając cygaro z ust.

- Jeśli na kierownicy nie ma jej linii papilarnych...

- Były... ale...

- Są zamazane - powiedział ekspert. - Ktoś prowadził samochód w rękawiczkach potem jak ona go używała. Ślady jej linii papilarnych są na tablicy rozdzielczej, ale nie ma na drążku zmiany biegów. Oczywiście, jeśli przyjmiemy, że ślady na jej przyborach toaletowych rzeczywiście należą do niej.

- Nie ma powodu wątpić - stwierdził inspektor Hummel.
- Sądzę, że powinniśmy rozpocząć dochodzenie kryminalne.

- A motyw? - spytał sierżant Kamp.

Inspektor wzruszył ramionami.

- Mogła zabrać nieodpowiedniego autostopowicza - oświadczył Hummel. - Nie wiem. Mamy za mało informacji.

- Czy kobieta uciekająca z domu po awanturze z mężem zabrałaby do wozu autostopowicza? - spytał Kamp.

- Kobieta tej klasy normalnie nie zabrałaby w ogóle autostopowicza - odpowiedział Hummel. - Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Przeniesienie sprawy z działu osób zaginionych do wydziału zabójstw nie miało wpływu na dochodzenie, które toczyło się bez widocznego postępu przez następny tydzień.

W niedzielę, 24 kwietnia Herta Obermeyer postanowiła pójść na spacer.

Nie była mieszkanką Bad Salzuflen; mieszkała w Muenster, dość dużej miejscowości położonej pięćdziesiąt mil na zachód. Poza innymi licznymi atrakcjami Muenster miał piękne, duże jezioro, nazwane Aa, na południowo-zachodnich obrzeżach centrum miasta. Herta postanowiła się przejść wzdłuż wybrzeży jeziora. Był to dobry dzień na spacer. Wiosna była już w pełni i wiele drzew kwitło. Choć słońce jasno świeciło, wiał rześki wiatr kołyszający trzciny przy brzegach, pokazując wśród nich błotnistą szarą wodę.

I jeszcze coś...

Oczy Herty przykuł długi, walcowaty, różowo-szary przedmiot. Nie wiedziała, co to jest, ale nie wiadomo dlaczego poczuła, że delikatne włoski na jej przedramionach jeżą się, a wargi jej zaschły.

Nagle zdała sobie sprawę, że jest tutaj sama, i wolno zaczęła się cofać, ale się zatrzymała.

Bez względu na to, co to za przedmiot pływał wśród trzciny, trzeba to zbadać. Obawiała się, że gdyby odeszła, mogła nie znaleźć tego miejsca ponownie, zarośla trzciny nie różniły się tu od innych miejsc.

Odważna dziewczyna znalazła pniak, na którym mogła usiąść. Zdjęła buty i skarpetki, podwinęła nogawki i zaczęła brnąć w wodzie, aby z bliższej odległości przyjrzeć się zauważonemu przedmiotowi.

Ale zaraz z bijącym sercem wróciła na pniak, włożyła buty bez skarpet i pobiegła do najbliższego domu.

W wodzie, wśród trzciny zobaczyła ciało ludzkie; było w tak strasznym stanie, że nie mogła powiedzieć, czy to był mężczyzna, czy kobieta.

- Ciało było jakiś czas w wodzie - stwierdził dr Adelbert Hortig, lekarz sądowy, przydzielony do wydziału zabójstw

policji Muensteru. Wątpię, czy uda nam się odtworzyć odciski linii papilarnych.

Ostrożnie wyciągnięto zwłoki z wody i przewieziono do kostnicy, gdzie próbowano je zidentyfikować.

- Czy możecie podać nam jakieś cechy charakterystyczne, aby sprawdzić w kartotece osób zaginionych? - spytał inspektor Hummel, przejściowo kierujący dochodzeniem.

- Kobieta - odpowiedział doktor. - Trzydzieści parę lat. Wzrost około pięciu stóp sześciu cali, waga około stu dziesięciu funtów. Ciemne włosy do ramion.

Sięgnął palcami w gumowych rękawiczkach w rozkładającą się masę brzucha ofiary.

- Prawdopodobnie rodziła dzieci, ale to nie jest całkiem pewne.

- W porządku - powiedział inspektor. - To wystarczy plus to, co ma na sobie.

Zwłoki były okryte różową, jedwabną koszulą nocną. Złoty pierścionek z szafirem i sześcioma brylantami lśnił na serdecznym palcu prawej ręki. Miała dobry, ale nie kosztowny zegarek kwarcowy, który był wodoszczelny i jeszcze pokazywał właściwy czas. W lewym uchu tkwił kolczyk.

Rysów twarzy nie można było rozpoznać, gdyż zwłoki pozostawały w wodzie przez prawie trzy tygodnie, ale nie dotyczyły to biżuterii Moniki Wietfeld. Była bowiem opisana, gdy zgłoszono jej zaginięcie. Inspektor Hummel zażądał przesłania biżuterii do Bad Salzuflen w celu rozpoznania przez męża Moniki. Nie było sensu przysyłać zwłok, bo i tak nie pozwolono by mu ich obejrzeć. Badanie sekcyjne miał przeprowadzić w Muenster dr Hortig. Był to niski mężczyzna, o ciemnej szczupłej twarzy, z dużymi bujnymi wąsami. Doktor miał wysokie kwalifikacje, ale w tym przypadku niewiele mógł określić.

- Ciało za długo leżało w wodzie - stwierdził. - Nie ma poważnych uszkodzeń czy ran organów wewnętrznych. Nie ma złamania czaszki. Mogła zostać uduszona, otruta, a może utonęła. Mogła nawet umrzeć w następstwie jakiejś choroby. Nie mogę stwierdzić przyczyny śmierci.

- A czas? - spytał inspektor Hummel, który przyjechał z Bad Salzuflen, by obejrzeć zwłoki.

- Tylko w przybliżeniu do paru dni. Koniec marca, początek kwietnia.

- To zgadza się z czasem zaginięcia Moniki Wietfeld - uważał Hummel. - Mąż rozpoznał biżuterię, ale sędzia żąda czegoś więcej. Czy może pan zrobić odciski jej zębów?

- Są dobre - odparł doktor. - W górnej i dolnej szczęce. Jej dentysta bez trudu będzie mógł je rozpoznać.

Dentysta Moniki Wietfeld rozpoznał zęby i uznano, że identyfikacja zwłok została zakończona.

Zapieczetowano je w metalowej trumnie, którą wysłano do Bad Salzuflen. Metalową trumnę umieszczono w kosztownej drewnianej i pochowano. Płaczący doktor Wietfeld i jego córeczki szli za karawanem na cmentarz.

Inspektor Hummel nie wziął udziału w pogrzebie. Jako szef wydziału dochodzeń kryminalnych był także szefem brygady zajmującej się zabójstwami.

W czasie trwania pogrzebu Hummel z Kampem, siedząc w gabinecie inspektora, zastanawiali się, do jakiej kategorii spraw zaliczyć obecne dochodzenie.

- Nie możemy podtrzymywać sprawy o zabójstwo na podstawie dowodów, którymi dysponujemy - oświadczył Hummel. - Lekarz policyjny w Muenster nie mógł określić przyczyny śmierci. Odkrył jedynie zasinienia na bicepsach, jakby ktoś silnie ją przytrzymał. Jeśli uda nam się wytoczyć sprawę, to będzie to oskarżenie o zabójstwo oparte na dowodach pośrednich.

- Chyba że przekonamy mordercę, aby się przyznał - powiedział sierżant Kamp. - Przecież nie wątpisz, że to morderstwo?

- Nie widzę innej możliwości - odparł inspektor. - Kobieta pokłóciła się z mężem i około północy wyjechała samochodem. W dziewiętnaście dni później znajdujemy samochód ze śladami, że prowadził go ktoś w gumowych rękawiczkach. W tydzień później znaleziono zwłoki w jeziorze w odległości pięćdziesięciu mil stąd. Inne wyjaśnienie niż zabójstwo wymagałoby więcej fantazji niż przystoi inspektorowi policji.

- Motywem nie był rabunek, gdyż nie zabrano jej biżuterii - powiedział Kamp - a gdyby chodziło o sprawy osobiste, to

można brać pod uwagę jedynie męża. Jestem przekonany, że nie łączyło jej nic z jakimś innym mężczyzną;^

- Kłopot polega na tym, że Wietfeld musiałby być głupi - rezonował Hummel - a on jest lekarzem, więc nie powinien być.

- Tak głupi, by mordować żonę, gdy mógł po prostu rozwieść się z nią? - spytał Kamp.

- Tak głupi, by pozostawić jej biżuterię - odparł Hummel. - Gdyby zniknęła biżuteria, przyjęlibyśmy motyw rabunku i poszukiwalibyśmy autostopowicza. W obecnym stanie rzeczy...

- I tak podejrzewalibyśmy męża - wtrącił Kamp. - Kobieta miała na sobie tylko różową koszulę nocną. Nie uciekałaby w marcowy mroźny wieczór tylko w koszuli.

- Dobra uwaga, Walter - stwierdził inspektor. - Idź do niego i spytaj, co jego żona miała na sobie, gdy opuściła dom.

Zanim Kamp udał się do Wietfelda, przeczytał zgłoszenie zaginięcia żony doktora. Ze zdziwieniem stwierdził, że doktor dość dokładnie opisał biżuterię żony, ale nie było informacji, jak była ubrana.

Było to tak dziwne pominięcie, że Kamp udał się do sierżanta dyżurnego, który odebrał zgłoszenie, by to wyjaśnić.

Sierżant oświadczył, że dr Wietfeld powiedział, że nie wie, jak była ubrana jego żona opuszczając dom. Poszła na górę, prawdopodobnie spakowała się, a on dowiedział się o jej wyjeździe dopiero gdy usłyszał warkot samochodu.

- Nie poszedłem zatem do Wietfelda - powiedział Kamp. - Prawdopodobnie powiedziała, że zapakowała koszulę nocną z innymi rzeczami.

- Bardzo dobrze, że nie widziałeś go - stwierdził inspektor. - Nie sądzę, abym chciał, żeby Wietfeld domyślił się, że go podejrzewamy. Jeśli jest winny, to tylko będzie ostrożniejszy w maskowaniu śladów.

- Jakie ślady miałyby maskować teraz? - spytał sierżant Kamp. - Minęło ponad miesiąc od rozpoczęcia tej sprawy. Jeśli miał coś do ukrycia, to już to zrobił.

- Nie - oświadczył inspektor Hummel. - Myśli, że teraz nikt go nie podejrzewa, a więc będzie mniej ostrożny w ukrywaniu motywów.

- Masz na myśli kobietę - domyślił się sierżant.
- A cóż innego? - spytał inspektor. - Jeśli zamordował żonę, to nie dla pieniędzy. Musiała być jakaś kobieta.
- Coś takiego nietrudno odkryć w Bad Salzuflen - zauważył sierżant Kamp.

I rzeczywiście, nie sprawiło to trudności. Dyskretne dochodzenie w szpitalu szybko dostarczyło informacji, że dr Wietfeld nie tylko miał romans ze swoją sekretarką, ale odbywał z nią stosunki seksualne w różnych miejscach na terenie szpitala, włącznie z blatem swego biurka.

Ilona Peters miała dopiero dwadzieścia lat i pracowała w szpitalu niespełna rok.

- Oczywiście, były różne sekretarki - powiedział Kamp. - Jak się okazuje, zawsze tak było z sekretarkami. Należało to do ich zajęć. Prawdopodobnie angażował je raczej na podstawie fizycznej przydatności niż kwalifikacji zawodowych. Panna Peters jest fantastyczna. Żałuję, że nie studiowałem medycyny.

- Czasami także żałuję, że tego nie zrobiłeś - powiedział zamysłony Hummel. - No dobrze. Musimy sięgnąć głębiej w środowisko doktora i jego zmarłej żony. Będą nas interesować dowody, a nie plotki o niewierności małżeńskiej, przyrzeczeniach rozwodu i małżeństwa, a w przypadku żony groźba rozwodu i to, jakie przykre następstwa finansowe i towarzyskie dotknęłyby doktora. Jednym słowem, będziemy szukać motywu.

Dochodzenie okazało się bardziej pomyślne niż oczekiwano. Choć prawdopodobnie nie będzie można udowodnić, że doktor zabił swoją żonę, będzie można wykazać, że nikt inny nie miał powodów do jej zamordowania. Jeśli uda się złapać doktora na sprzecznych zeznaniach, może to pociągnąć jego częściowe przyznanie się do zbrodni. Inspektor nie mógł oczekiwać niczego więcej.

Wiele zależało od tego, jak dalece doktor zna medycynę sądową. Niewątpliwie miał duże kwalifikacje w ortopedii, ale czy mógł być pewny, że ekspert z Muenster nie był w stanie określić przyczyny śmierci?

W czasie identyfikacji ciała Moniki przez jej dentystę doktor spytał inspektora, jak umarła jego żona, ale inspektor uniknął odpowiedzi.

- Nie mam jeszcze pełnego raportu z sekcji - powiedział.

Wietfeld ze zrozumieniem skinął głową i więcej nie pytał. Był bardzo zajęty. Poza obowiązkami szpitalnymi, musiał jeszcze zajmować się sekretarką, a jak wkrótce miał się dowiedzieć sierżant, nie tylko sekretarką. Doktor zdawał się być nieomal patologicznie zainteresowany seksem i tak głodny nowych przeżyć, że miał obecnie aż trzy inne romanse, oprócz tego z sekretarką.

- Która jednakże zdaje się mieć głębszy z nim związek - informował Kamp. - Była na pogrzebie i nieomal ciągnęła go potem do samochodu.

- Dlaczego? - spytał inspektor. - Czy był chory?

- Złamany żalem - odpowiedział sierżant. - Sekretarka go pocieszała, gdyż bardzo tego potrzebował. Mówią także, że tej samej nocy, kiedy miała zaginać pani Wietfeld, Ilona przeniosła się do willi na Langenberg Strasse.

- Mój Boże! - wykrzyknął inspektor Hummel. - Jak człowiek, który jest lekarzem, może być tak głupi? Coś takiego niemal wystarcza do oskarżenia go.

- Ale nie do skazania - powiedział sierżant. - Fakt, że mężczyzna zdradza żonę, nie musi automatycznie oznaczać, że ją zamordował; mógłby z łatwością powiedzieć „dlaczego teraz?“, gdyż zdradzał ją od lat, a także pierwszą żonę, której nie zamordował.

- Czy to była jego druga żona?

Sierżant przytaknął. - Pierwsza mieszka teraz w Hanowerze - oznajmił Kamp. - Po południu pojedę, by z nią porozmawiać.

Rozmowa nie przyniosła nic szczególnego poza potwierdzeniem informacji o patologicznym życiu seksualnym doktora.

Małżeństwo Mariannę Wietfeld z doktorem trwało siedem lat. Pozostały z niego dwie córki - dwudziestoletnia Caroline i osiemnastoletnia Ingeborg. Mariannę rozwiodła się z nim, gdyż nie było większego kocura. Przez siedem lat cierpiała jego nie kończące się romanse, mając nadzieję, że w końcu wyczerpie swoją energię, ale gdy po trzydziestce nie ustatkował się, zażądała rozwodu.

- Teraz on ma czterdzieści siedem lat i ciągle jest energiczny w tej dziedzinie - powiedział sierżant Kamp. - Czy sprzeciwiał się rozwodowi?

- Z trudem to zauważył - odpowiedziała Mariannę. - Koncentrował się na innych sprawach, w większości w wieku osiemnastu lat.

Od razu po rozwodzie w 1974 roku doktor spotkał swoją drugą żonę, technika medycznego. Poznali się w Zurichu, gdzie brał udział w konferencji medycznej. Pobrali się w Kolonii w 1976 roku.

Wietfeld płacił alimenty na dziewczynki, ale gdy młodsza ukończyła osiemnaście lat, pomoc finansowa automatycznie ustała.

- Ten dowód działa przeciw oskarżeniu Wietfelda - skomentował Kamp. - Nic go nie obszedł rozwód z pierwszą żoną, więc skąd ta historia z drugą?

Inspektor Hummel wyglądał na zatroskanego.

- Może zajmujemy się niewłaściwym człowiekiem - zamruczał. - Ale któż mógłby wchodzić w grę? Wszystko to takie dziwne... Wietfeld niewątpliwie kłamie... Czy zająłeś się sprawdaniem, jakie następstwa przyniosłoby mu rozwód?

- Tak - odpowiedział Kamp. - Żadnych! Ani finansowo, ani towarzysko. Pani Wietfeld groziła mu rozwodem. Rozmawiała w tej sprawie z adwokatem, ale nie naciskała na układ majątkowy. W rzeczywistości, zgodnie z opinią adwokata, wcale nie chciała rozwodu. Chciała tylko przestraszyć męża, by skończył z romansowaniem.

- Mogła mu powiedzieć coś innego niż powiedziała adwokatowi - zauważył Hummel. - Mogła mu grozić zniszczeniem finansowym.

- Może - odparł Kamp - ale, prawdę mówiąc, mam wrażenie, że Wietfelda nie bardzo interesują pieniądze. Korzysta ze stałego wysokiego dochodu i dopóki rozporządza wianuszkami dziewczyn, jest szczęśliwy.

- Cholera! Odniosłem takie samo wrażenie - wykrzyknął Hummel.

Jednakże, pomimo negatywnych aspektów sprawy, dochodzenie powoli się posuwało i 13 maja dr Klaus Wietfeld został zatrzymany. Nie od razu go oskarżono. Był tak pewny, że tego samego dnia powróci do domu, że powiedział Andrei i Nicole, że zobaczy je przy kolacji.

Nie widział ich jednak dłużej. Złożył tyle sprzecznych i zagmatwanych oświadczeń, że formalnie oskarżono go, iż zataja informacje związane z dochodzeniem kryminalnym.

Tymczasem Wietfeld przyznał się, że był obecny przy śmierci żony, ale nie zabił jej.

Wyjaśnił, że gdy kłócili się przy myciu naczyń po przyjęciu, Monika nagle upadła. Gdy ją zbadał, stwierdził, że umarła z powodu ataku serca.

Inspektor Hummel zauważył, że Monika była po licznych badaniach lekarskich, którym się poddała niecały miesiąc przed śmiercią, i nic nie wskazywało na schorzenie serca.

Dr Wietfeld przyznał, że sam tego nie rozumiał. Może to było coś innego. Zaproponował, by inspektor sprawdził w świadectwie z badania zwłok.

- W porządku - powiedział inspektor, który nie chciał powiedzieć, że sekcja nie wykazała przyczyny śmierci. - Jak samochód pańskiej żony znalazł się w Exter?

- Zaprowadziłem go tam - odpowiedział Wietfeld. - Bałem się oskarżenia o morderstwo i ogarnęła mnie panika. Całą drogę z powrotem do domu biegłem.

- Całe pięć mil? - spytał z niedowierzaniem inspektor. - W jakim celu?

- Pomyślałem, że to zagmatwa śledztwo - szeptem odpowiedział doktor.

Jeśli taki był jego zamysł, to udało mu się, gdyż dla inspektora było to bezsensowne.

- A zwłoki? - zapytał inspektor. - Jakim sposobem znalazły się w jeziorze Aa, pięćdziesiąt mil stąd?

- Sam je tam zawiozłem. Musiałem coś z nimi zrobić, bo bałem się, że zaczną cuchnąć.

- Czy były w domu z dziećmi? - wykrzyknął przerażony inspektor.

- Oczywiście, że nie w domu - oburzył się Wietfeld. - Nie mogłem zaryzykować, że mogą je zobaczyć, dlatego tego samego wieczoru wyniosłem je i włożyłem do kufra mego samochodu.

- I zawiózł je pan do jeziora Aa - dodał inspektor.

- Nie od razu - powiedział Wietfeld. - Miałem dużo do roboty tego dnia w szpitalu i przez całą środę woziłem je

po mieście. Dopiero w czwartek miałem czas, by je tam zawieźć.

- Pana sekretarka spędziła noc z wtorku na środę u pana w domu. Czy wiedziała, że w kufrze pańskiego wozu znajduje się ciało żony?

- Oczywiście, że nie. W ogóle nic nie wie o tym.

Sprawdzono samochód Klausa Wietfelda, sportowe audi. Eksperci z Hanoweru zbadali kufer. Stwierdzili, że zachowały się dowody, iż były w nim włóki ludzkie, ale nie znaleziono śladów krwi ani oznak użycia siły.

Zaarestrowano sekretarkę Wietfelda, Ilonę Peters. Podczas przesłuchania zaprzeczyła jakoby wiedziała, jak zmarła Monika Wietfeld. Powiedziała, że po prostu przyjaźniła się z doktorem.

Ponieważ nie było dowodów, że miała jakiś związek ze śmiercią Moniki Wietfeld, została zwolniona.

Nie został jednak zwolniony dr Klaus Wietfeld. Choć policja nie zebrała wystarczających dowodów, aby go oskarżyć o zabójstwo, doktor był winien - zgodnie z własnym zeznaniem - pozbycia się zwłok, a okoliczności były na tyle podejrzane, że nie mógł być zwolniony.

Osiągnięto w końcu kompromis. Dr Wietfeld zgodził się, by go oskarżono o nieumyślne zabójstwo i ukrycie zbrodni. Na tym policja zakończyła dochodzenie. To było maksimum zarzutów, o które można go było oskarżyć na podstawie posiadanych dowodów.

Nota wydawcy

Herta Obermeyer, Ilona Peters, Boris Hummel, Walter Kamp i Adelbert Hortig są fikcyjnymi nazwiskami osób występujących w tym reportażu. Użyto fikcyjnych danych personalnych zgodnie z niemieckimi przepisami policyjnymi.

L.L. Alberts

ZBRODZIA NA HILLDROP CRESCENT

Nikt by nie pomyślał, spotykając dr. Hawleya Harveya Crippena na ulicy lub w biurze, że ma do czynienia z Lotario, wskrzeszonym przez wielu literatów typem lowelasa bez serca. Był niskim mężczyzną w średnim wieku, trochę łysiejącym, z wąsami mysiego koloru i kocią bródką. Zza grubych okularów zdawał się mrugać, jakby zaskoczony tym, co widział. Zdecydowanie nie była to postać romantyczna.

Jednak tenże dr Crippen zrzędzeniem losu zostawił po sobie zarówno pamięć wielkiego kochanka, jak jednego z najbardziej przebiegłych trucicieli, który pchnął Scotland Yard do zadziwiającej gry domysłów i przedsięwzięć. Do tej pory pamięta się go jako potwora z londyńskiej ulicy Hilldrop Crescent.

Popełnił zbrodnię w Anglii, lecz był Amerykaninem z Michigan. Urodzony obieżyświat, studiował medycynę w Cleveland, Londynie i Nowym Jorku, a staże odbywał w co najmniej trzech szpitalach w Stanach. W trzydziestym roku życia, po kilku latach praktyki medycznej, poznał siedemnastoletnią brunetkę o ognistym spojrzeniu, Corę Turner. Po ślubie zamieszkali w St.

Louis, a następnie przenieśli się do Filadelfii, gdzie Crippen także przez krótki okres praktykował medycynę.

Od samego początku było oczywiste, że najważniejszym zainteresowaniem Cory Crippen nie było gospodarstwo domowe i rodzina.

- Wszyscy mówią, że mam dobry głos i niewątpliwie nie najgorszą figurę - powiedziała swemu małżonkowi. - Powinam znaleźć się na estradzie i starać się dostać do teatru.

Crippen nie zgadzał się, ale Cora była nieugięta. Jego argumenty nie trafiały do niej. Podjęła, jak się później okazało, długie i kosztowne lekcje śpiewu i tańca. Wybrała sobie nawet pseudo teatralne „Belle Elmore”.

W 1900 roku, w jedenaście lat po ślubie, Crippen nieoczekiwanie otrzymał ofertę pracy w Londynie, w firmie o nazwie Munyon produkującej specyfiki farmaceutyczne. Kusiła go ta oferta. Lubił Londyn od czasów, gdy tam studiował, a praktyka prywatna zdziwiła go.

- Oczywiście, powinieneś się zgodzić - radziła żona. - Głupi dyrektorzy tutejszych teatrów nie doceniają mego talentu, ale jestem przekonana, że w Anglii osiągnę sukces. Zobaczysz Belle Elmore na pierwszym miejscu afiszy teatralnych.

Crippen, który miał własną opinię o jej talentach scenicznych, mruknął coś niewyraźnie i zaczął szykować się do drogi.

W Londynie ulokowali się w wynajętym domu pod numerem 39 na Hilldrop Crescent, cichej uliczce wysadzanej drzewami, w dzielnicy zamieszkałej przez klasę średnią. Crippen zajmował się swoją pracą w Munyon, która przynosiła mu wystarczające, choć skromne zarobki, a Cora dalej walczyła o miejsce na estradzie teatralnej.

Niestety, dyrektorzy teatrów muzycznych Londynu nie doceniali jej talentów, podobnie jak ich amerykańscy koledzy. Cora nigdy nie znalazła miejsca nawet w drugim rzędzie chóru. Udało się jej jednak zaprzyjaźnić z wieloma ludźmi teatru, wśród których byli m.in. Peter Baylor, Ruth Walker, Dorothy Crane i James Forbes. Została też skarbniczką cechu artystek teatrów muzycznych.

Choć Cora znacznie przybrała na wadze, nie straciła młodszej urody i miała wielu wielbicieli. Spotykała ich poza

domem, oczywiście bez wiedzy Crippena. Niektórzy zasypywali ją kosztowną biżuterią. Zdziwionemu mężowi mówiła, że to są jedynie błyskotki - po prostu sztuczne, dobre imitacje.

Z biegiem lat, gdy jej nadzieje na ukazanie się w świetle reflektorów osłabły, Cora zaczęła się coraz bardziej krzykliwie ubierać i zachowywać. Stroiła się w jaskrawe suknie - ulubionym jej kolorem był różowy - i stosowała odpowiedni do tego makijaż. Bardzo lubiła wydawać przyjęcia dla przyjaciół, co poważnie nadwierało budżet rodzinny.

Gdy Crippen wracał wieczorem z pracy w Munyon, prawie zawsze zastawał pokoje pełne obcych mu ludzi. Ich głośne dowcipy, śpiewy i tańce przyprawiały go o przeraźliwy ból głowy. Ale na jego protesty Cora odpowiadała, że każde z nich ma własny styl życia. Dawała mu też do zrozumienia, że ma szansę uciec od niego z mężczyznami, którzy bardziej jej odpowiadają. Ich nie kończące się kłótnie nabierały ostrości.

W 1909 roku przyszła do pracy w Munyon nowa sekretarka, Lisa Montclair. Crippen od razu uległ jej czarowi. Już podczas dyktowania jej pierwszego listu powiedział:

- Skarbie, jesteś piękna. Opowiedz mi wszystko o sobie.

Trudno zrozumieć, dlaczego dwudziestoletnia Lisa zainteresowała się mężczyzną znacznie starszym od niej. Może dlatego, że nie miała nikogo bliskiego, a obecna praca była jej pierwszą przygodą na polu biznesu. Panna Montclair miała blond loki, ciemnoniebieskie oczy, a jej szczupła postać była czarująca.

Wkrótce doktor zaczął zapraszać Lisę na obiady, a następnie na kolacje. Codziennie spotykał ją poza biurem. Jeśli inni pracownicy Munyon uważali te spotkania za podejrzone, to roztropnie nic o tym nie mówili.

Ta sytuacja trwała do początku 1910 roku. Tymczasem Lisa prawie bez przerwy mówiła o małżeństwie, czego sam doktor pragnął, bowiem życie z Corą stawało się dla niego z każdym dniem coraz bardziej przykre.

Co najmniej raz w tygodniu małżeństwo teatralne Baylorów bywało na kolacji na Hilldrop Crescent. W ostatnich czasach Crippen unikał tych spotkań, ale wieczorem 31 stycznia postanowił wrócić do domu wcześniej.

Tego wieczoru był bardzo uprzejmy dla żony i robił wrażenie zawodolonego z przyjęcia, które zresztą byłoby bardzo sympatyczne, gdyby pan Baylor nie poczuł się źle.

Nazajutrz doktor odwiedził Baylorów, by zapytać o zdrowie pana domu. Pani Baylor powiedziała, że nastąpiła poprawa, ale mąż śpi.

- A jak się ma Belle? - spytała.
- Świetnie - odparł Crippen.

Następnego popołudnia, 1 lutego 1910 roku, Lisa Montclair doręczyła pannie Walker, przyjaciółce Cory z cechu artystek teatrów muzycznych, list następującej treści:

Droga panno Walker! Z powodu choroby bliskiego krewnego musiałam wyjechać do Ameryki w parę godzin po dostaniu wiadomości. Muszę więc prosić panią o przedstawienie na najbliższym zebraniu cechu mojej rezygnacji z funkcji skarbniczki, tak aby można było od razu powołać nową osobę. Zrozumie pani mój pośpiech, jeśli powiem, że przez całą noc pakowałam się do drogi. Mam nadzieję zobaczyć się z panią za kilka miesięcy, ale nie starczy mi czasu na osobiste pożegnanie.

List był podpisany ręką Crippena: Belle Elmore.

Uważając, że to bardzo dziwne, iż pani Crippen podyktowała list mężowi, panna Walker pokazała go Baylorom. Oni także uznali to za podejrzanę.

Baylor wstąpił do biura Crippena, by to wyjaśnić. Wyjaśnienie doktora było dziwnie niepewne. To prawda, powiedział, że Cora została wezwana do Ameryki. Po prostu nie uważałem za stosowne wspomnieć o tym w rozmowie z panią Baylor w przeddzień doręczenia tego listu.

W pewnych sytuacjach dr Crippen był mądry, w innych przerażająco głupi. 7 stycznia na przykład zastawił w lombardzie za 115 funtów szterlingów pierścione i broszkę należące do jego żony. W parę dni później wziął udział w balu, wydanym przez fundację dobroczynną teatru muzycznego, w towarzy-

stwie uroczej Montclair. Przyjaciele spostrzegli, że dziewczyna nosi biżuterię Cory Crippen!

Wreszcie, choć doktor musiał odczuwać atmosferę podejrzeń wokół swojej osoby, przekonał Lisę, by porzuciła pracę i przeniosła się do niego.

Próbując zapewnić sobie bezpieczeństwo, napisał do Baylorów, że około 20 marca dostał wiadomość od żony, że była „śmiertelnie chora” na obustronne zapalenie płuc. W dwa dni później wysłał do nich z dworca Victoria telegram: *Belle zmarła wczoraj o szóstej godzinie. Proszę przekazać telefonicznie wiadomość jej przyjaciółom. Przez tydzień będę nieobecny.*

Umieścił także krótki nekrolog w jednej z londyńskich gazet. Potem wraz z panną Montclair wyruszył statkiem do francuskiego ośrodka wypoczynkowego Dieppe na tygodniowe wakacje. W tym czasie napisał do dwojga przyjaciół Cory, Jamesa Forbesa i Dorothy Crane, zawiadamiając ich o jej zgonie. Podał jednak, że jej śmierć nastąpiła w dwa dni potem, jak wysłał telegram do Baylorów.

Forbes, panna Crane i Baylorowie spotkali się, ale pomimo podejrzanych okoliczności nie zgłosili sprawy policji. Uważali, że pomieszanie dat mogło być zwykłą pomyłką zrozpaczonego człowieka. To było w bardzo złym guście pozwolić Lisie Montclair włożyć biżuterię Cory, ale nie dowodziło, że Crippen dopuścił się czegoś złego.

- Zostawmy to lepiej - powiedział Baylor z niechęcią przeciętnego obywatela do wdawania się w kontakty z policją.

Po powrocie Crippena Baylor złożył mu wizytę. Spytał, jakim statkiem jego żona popłynęła do Stanów. Crippen nie wiedział. Gdzie mieszkają krewni, których odwiedziła? Nie przypominał sobie. Uparcie odmawiał odpowiedzi na podobne pytania.

Następnie Baylor rozmawiał z Forbesem.

- Czy sądzi pan, że powinniśmy coś z tym zrobić? - spytał. Forbes potrząsnął głową.

- Trzeba to przeczekać. Przepytam go od czasu do czasu, a panna Crane zrobi to samo. Jeśli Belle jest ofiarą zbrodniczego postępku, to teraz jest za późno, aby jej pomóc. Parę tygodni zwłoki w udaniu się na policję nie zrobi różnicy.

W następnych rozmowach z przyjaciółmi Cory Crippen uparcie trzymał się głównej linii opowieści o jej zniknięciu, choć za każdym razem były drobne sprzeczności. Wreszcie wystąpił z oświadczeniem, że żona zmarła w San Francisco. Jej zwłoki poddano kremacji i obecnie przesłano mu prochy.

Forbes przypadkiem wiedział, że jego przyjaciółka ze względów religijnych była zdecydowaną przeciwniczką kremacji.

- Dlaczego pan nas nie zawiadomił, abyśmy mogli uczestniczyć w pochówku? - spytał.

- Pomyślałem, że najlepiej będzie, gdy uroczystość będzie całkowicie prywatna.

Forbes uznał, że nadszedł czas, aby zacząć działać. W końcu czerwca udał się do biura głównego inspektora Waltera Dew i przedstawił mu całą historię.

Dew, podobnie jak przyjaciele Cory, był skłonny do powściągliwości, szczególnie że dochodzenie miałoby dotyczyć Crippena, którego do tej pory nie otaczała aura jakiegokolwiek skandalu i który miał doskonałą opinię w kołach zawodowych. Dopiero 8 lipca udał się z sierżantem Johnem Mitchellem do domu przy Hilldrop Crescent. Zastali tam pannę Montclair, która skierowała ich do biura Crippena.

Wizyta funkcjonariuszy wytrąciła Crippena z równowagi.

- Będzie lepiej, gdy powiem wam całą prawdę, panowie - wyjąkał. - Wymyśliłem tę historię o śmierci Cory i kremacji zwłok, by oszczędzić sobie upokorzenia. Obawiam się, że zajęła się innym mężczyzną. O ile wiem, ona żyje. Po prostu zniknęła z oczu 1 lutego, a z tego, co mówiła w przeszłości, podejrzewam, iż udała się do Ameryki. To wszystko, co mogę wam powiedzieć.

Dew i Mitchell poszli z doktorem do jego domu. Znalezione ubrania, futra i biżuterię zaginionej kobiety.

- Jak pan sądzi, dlaczego żona nie zabrała tych rzeczy? - spytał główny inspektor.

- Nie mam pojęcia - odparł Crippen - poza tym, że opuściła dom w pośpiechu. To podsunęło mi myśl, że uciekła z kochankiem.

Dew spojrzał podejrzliwie na Crippena i Lisę Montclair, której obecność w domu bez trudu można było wyjaśnić.

- Po prostu musimy odszukać pana żonę. Jak pan się orientuje, podejmiemy zwykłe kroki. Wyślę biuletyny o zaginięciu w kraju i na kontynent europejski. Dopilnuję także, aby w licznych dziennikach w Stanach Zjednoczonych ukazały się komunikaty z prośbą o wiadomości.

- Czy może pan z tym poczekać parę tygodni? - prosił Crippen.

- Nie - powiedział poważnie inspektor. - Powinniśmy zacząć działać od razu.

Gdy doktor pojawił się następnego dnia w biurze, robił wrażenie bardzo poruszonego, tak że jeden z jego pracowników Walter Ford spytał go, czy źle się czuje.

- Nie, nic mi nie jest, absolutnie nic, Walterze - odpowiedział Crippen. - To tylko gadanina paru osób. Ale przy okazji, czy mógłbyś mi coś załatwić na Oxford Street?

Ford zgodził się, a doktor wręczył mu parę banknotów i kawałek papieru.

- Proszę cię, abyś zakupił kilka sztuk ubrania dla chłopca według tego spisu. Możesz powiedzieć subiektowi, że chłopiec ma szesnaście lat i jest niezbyt wysoki na swój wiek. Zakup brązowy tweedowy garnitur, kapeusz filcowy, rozmiar sześć i pół, parę koszul i kołnierzyków oraz buty. Wszystko to masz w spisie. Pośpiesz się z tym, bardzo proszę.

Gdy Ford wrócił do biura, Crippen chwycił pakunki i skierował się do wyjścia.

- Nie będzie mnie dzisiaj - powiedział przez ramię. - Może nawet wrócę dopiero za parę dni. Ważna podróż służbowa.

Hawley Harvey Crippen istotnie był w podróży, ale nie miało to nic wspólnego ze sprawami profesjonalnymi. Pośpieszył do domu, wręczył pakunki Lisie i kazał jej przebrać się.

Było oczywiste, że w tym czasie panna Montclair podporządkowała się całkowicie swemu kochankowi. Zawsze wykonywała jego polecenia nie zadając pytań. Co więcej, była całkowicie nieświadoma, jak zniknęła pani Crippen.

Aby zmienić swoją powierzchowność, Crippen zgolił wąsy i kozią bródkę, zdjął okulary i włożył garnitur, którego nigdy przedtem nie nosił.

W takim przebraniu doktor i jego młoda kochanka wsiedli na statek do Antwerpii. Nie mogąc tam zarezerwować sobie natychmiastowego zaokrętowania do Ameryki, udali się do Brukseli, ale wkrótce ponownie znaleźli się w Antwerpii. Crippen dokonał rezerwacji na „Montrose”, jednym z najpowszechniejszych statków parowych. Statek udawał się do Quebecu. Na liście kasjera statku doktor podpisał się nazwiskiem Robinson, a jego towarzysz Robinson, junior.

12 lipca główny inspektor Dew postanowił ponownie porozmawiać z Crippenem i udał się do jego biura. Tam dowiedział się, że doktor udał się w „podróż służbową”. W towarzystwie sierżanta Mitchella poszedł więc na Hilldrop Crescent. Zgodnie z oczekiwaniami, w domu nie było panny Montclair, a drzwi były zamknięte. Policjanci odszukali właściciela i polecili mu, aby wprowadził ich do budynku.

W czasie poprzedniej wizyty Dew i jego towarzysz skupili uwagę na parterze budynku i dwóch piętrach, gdzie nie znaleźli śladów żadnego występnego działania. Obecnie skoncentrowali się na suterenie. Wyniki poszukiwania inspektor ujął w swoim raporcie z typowo brytyjską powściągliwością:

Wreszcie dotarliśmy do piwnicy na węgiel z ceglaną podłogą. Było tam niewiele węgla i trochę śmieci. Razem z Mitchellem badaliśmy podłogę za pomocą znalezionej w kuchni małego pogrzebacza.

Stwierdziłem, że pogrzebacz dość łatwo zagłębił się w szparach między cegłami i udało mi się wyjąć parę cegieł. Z innymi poszło już łatwo. Wtedy wzięłem szpadel z ogrodu i zacząłem kopać w glinie, która była bezpośrednio pod cegłami. Po wykopaniu dołu głębokości około 4 długości szpadla natrafiłem na bryłę, która wydała się być szczątkami ludzkimi.

Wtedy Dew wezwał lekarza policyjnego dr. Alexandra Marshalla, szefa wydziału dochodzeń kryminalnych sir Melville'a MacNaughtena i innych funkcjonariuszy. Wydobyto pełny szkielet ludzki. Na czaszce widać jeszcze było kawałki skóry i długie włosy. Znalaziono też rurki do fryzowania włosów i parę sztuk damskiej garderoby.

Przerażające znalezisko przewieziono do kostnicy i poddano badaniom ekspertów ze Scotland Yardu. Ustalono z całą

pewnością, że ofiara była kobietą i że jej wymiary odpowiadały danym pani Crippen. Co więcej, stwierdzono, że śmierć spowodowała trucizna.

- Całkiem logicznie pomyślany sposób morderstwa przez lekarza - powiedział Dew Mitchellowi. - Od razu sprawdzimy sklepy chemiczne, z którymi doktor prowadził interesy na rzecz firmy.

Niebawem ustalono, że .było kilka takich sklepów. We wszystkich, z wyjątkiem jednego, Crippen kupował materiały, które nie były truciznami. Jednakże w kartotece firmy „Lewis i Burrows” znaleziono podejrzany zapis pod datą 18 stycznia: *Nazwa i ilość trucizny - 5 gramów hyjosciny; cel - przygotowanie leku homeopatycznego. Podpis kupującego: H.H. Crippen.*

Dr W.H. Wilcox, wysoko ceniony ekspert Scotland Yardu, towarzyszył inspektorowi i sierżantowi Mitchellowi w badaniu rejestrów różnych firm farmaceutycznych.

- Nie mam większych wątpliwości, że ta trucizna uśmierciła panią Crippen - stwierdził. - Jest to bardzo rzadko wykorzystywany środek i według mojej znajomości rzeczy nigdy dotąd nie zastosowano go do zabójstwa, co jest dowodem przebiegłości doktora Crippena.

Natychmiast po znalezieniu szkieletu wszczęto alarm na Wyspach Brytyjskich i na kontynencie europejskim. Podano rysopisy dr. Crippena i Lisy Montclair z wezwaniem do ich aresztowania. Tymczasem zdarzyło się coś, co spowodowało zmianę w „liście gończym” inspektora.

Zgłosił się Walter Ford z informacją, że Crippen wysłał go po ubranie dla chłopca.

- Znam pannę Montclair, proszę pana - powiedział inspektorowi - i jeśliby mnie pytano, powiedziałbym, że rzeczy, które kupiłem, pasowały do jej figury.

Dew zawiadomił więc policję brytyjską i kontynentalną, że Crippenowi prawdopodobnie towarzyszy dziewczyna w przebraniu chłopca.

- Dr Crippen przybył do Anglii z Ameryki - zauważył sierżant Mitchell - może więc tam się kierować. Czy nie sądzi pan, że należy zaalarmować policję po drugiej stronie oceanu?

- To już zostało zrobione, zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i w Kanadzie - powiedział inspektor. Te telegramy kosztowały sporo grosza. Przyszło mi na myśl, że w tej chwili Crippen i panna Montclair mogą być na pokładzie statku, a w tym przypadku...

Dew nakreślił charakter zbrodni i opis poszukiwanych, a agenci Scotland Yardu przekazali biuletyn wszystkim towarzystwom okrętowym do telegraficznego nadania na statki znajdujące się na morzu.

Wśród nich był oczywiście „Montrose”; parowiec przed paru dniami opuścił Antwerpię i przemierzał Atlantyk w stronę Quebecu. Natychmiast po przeczytaniu telegramu kapitan Fred Kendall strzelił palcami wykrzykując: - Robinsonowie! Wiedziałem, że to dziwna para, jak tylko weszli na pokład! - Skiper „Montrose” był człowiekiem bardzo ciekawym i uważał siebie za amatora-detektywa. Od razu zwrócił uwagę, że ci panowie, senior i junior, stale trzymali się za ręce. Niejeden raz widział ich obejmujących się - raczej dziwne zachowanie u ojca i syna.

Zastanowiła go też figura młodego człowieka. Brązowy garnitur tweedowy niezupełnie ukrywał zaokrąglenia i kształty niewątpliwie należące do kobiety. Głos i sposób trzymania sztuców przy stole były zdecydowanie damskie.

Kapitan Kendall wysłał natychmiast odpowiedź na telegram głównego inspektora. *Para pod obserwacją. Staram się ich nie zaalarmować.*

Cypel o nazwie Father Point był pierwszym miejscem postoju „Montrose” na ziemi amerykańskiej. Po naradzie z władzami marynarki główny inspektor Dew doszedł do wniosku, że mógł prześcignąć „Montrose”, jeśli natychmiast zaokrętuje się na szybszym parowcu.

31 lipca, gdy statek pilota podpłynął do burty „Montrose” przy cyplu Father Point, Dew wspinał się po drabinie. Kendall zaprowadził go do kabiny Robinsona i szeroko otworzył drzwi.

- Inspektor Dew! - zajączał Hawley Harvey Crippen. - To niemożliwe!

- Jeszcze są ludzie, którzy uważają, że telegraf jest niemożliwym wynalazkiem - zauważył przedstawiciel Scotland Yardu.

- Doktorze Crippen, aresztuję pana za zabójstwo żony. Muszę też zatrzymać panią jako współsprawczynię.

Kendall i główny inspektor przejrzeni rzeczy Crippena. Nie miał broni, ale w kieszeni płaszcza znaleźli kartkę papieru ze słowami:

Nie mogę już wytrzymać tego uczucia przerażenia, które przeżywam noc po nocy, a nie widząc jasnej przyszłości dla siebie i wobec wydania do końca pieniędzy postanowiłem skoczyć do wody.

Dzięki wynalazkowi Marconiego i szybkiej reakcji głównego inspektora Dew Crippen nie mógł zrealizować swojej groźby. Przewieziono go do Anglii wraz z Lisą Montclair, by stanęli przed obliczem sprawiedliwości.

18 października, po trzydniowych przesłuchaniach, sąd przysięgłych Old Bailey po dwudziestominutowej naradzie uznał go winnym i skazał na śmierć przez powieszenie.

Proces Lisy Montclair z oskarżenia o współudział w morderstwie zakończył się wyrokiem: „niewinna”.

Ostatni akt dramatu z Hilldrop Crescent odbył się w ponurym więzieniu Pentonville 22 listopada.

Nota wydawcy

W tym reportażu Lisa występuje pod fikcyjnym nazwiskiem.

Krist Boardman

TRZY MORDERSTWA WEDŁUG JEDNEGO PRZEPISU

Nikt nie spodziewał się, że pierwszy dzień listopada 1987 roku będzie ostatnim dniem życia Dawn Marie Garvin. Uroczą dwudziestoletnią kobietą miała zbyt dużo siły witalnej, by dobrowolnie pożegnać się ze światem żywych.

Doskonała studentka administracji i zarządzania College'u Harford w Maryland, kilka miesięcy wcześniej wyszła za mąż. Zamieszkali w apartamencie w pobliskim hrabstwie Baltimore, niedaleko domu rodzinnego Dawn w Joppatowne i college^ w hrabstwie Harford. Podczas gdy jej mąż odbywał służbę w marynarce U.S., Dawn uczestniczyła w wykładach i pracowała w niepełnym wymiarze godzin.

Niestety, dzień 1 listopada 1987 roku na zawsze zapisał się w sercach tych, którzy ją kochali. Była to niedziela, ostatni dzień urlopu męża Dawn z bazy Marynarki Virginii w Norfolk. Miał zgłosić się w bazie późnym wieczorem. Ponieważ na

dojazd do Norfolk potrzeba było czterech do pięciu godzin, opuścił dom o 7.30 wieczorem. Obiecał zadzwonić do żony, aby ją powiadomić, że dojechał szczęśliwie. Jednak nikt nie odpowiadał na jego telefony. Było to dziwne, gdyż Dawn nigdy nie wychodziła późnym wieczorem, a tym razem czekała przecież na wiadomość.

Po wyjeździe męża młodej kobiety około trzech godzin miała pozostać w jej domu kuzynka. Między jej wyjściem a telefonem męża upłynęło na pewno niewiele czasu.

Zaniepokojony mąż powiadomił rodzinę. Ktoś z krewnych udał się do mieszkania młodej pary. Dotarł tam o pierwszej po północy, w poniedziałek.

Znalazł Dawn Marie Garvin nagą, w łóżku, bez oznak życia. Miała kilka ran postrzałowych głowy. Policjanci hrabstwa Baltimore szybko zabezpieczyli miejsce zbrodni.

W mieszkaniu nie było śladów walki. Poza martwym ciałem Dawn wszystko zdawało się być normalne.

Nie było też śladu sforsowania zamków w drzwiach do mieszkania, co nasunęło przypuszczenie, że Dawn znała napastnika i chętnie go wpuściła.

Gdy skończono badanie zwłok, detektywi dowiedzieli się, że miało też miejsce przestępstwo seksualne. Choć początkowo policja mówiła jedynie o napastowaniu seksualnym, następane oświadczenia, które dotarły do ogółu, informowały o gwałcie i możliwym okaleczeniu.

Dochodzenie prowadzili detektywi Robert Capel i Milton Duckworth. Zainteresowali się środowiskiem Dawn, ale nie znaleźli pozamałżeńskich związków miłosnych, podejrzanych znajomości czy postępowania ofiary, które uwłaczałoby jej przykładowej opinii.

- Nie mamy na czym się oprzeć - zauważył sierżant Brian Uppercue.

Podczas przesłuchań mieszkańców bloku trzech sąsiedzi oznajmili, że widzieli podejrzanego mężczyznę, który próbował dostać się do mieszkań w przeddzień morderstwa Dawn. Pozwoliło to plastykowi policyjnemu sporządzić portret podejrzanego.

- Kilka osób poinformowało nas, że jakiś obcy mężczyzna biegał po budynku - powiedział E. Jay Miller, rzecznik policji

hrabstwa. Pukał do drzwi prosząc o wpuszczenie go, gdyż chciał skorzystać z telefonu albo pytał o drogę. Nikt go nie wpuścił.

- Stwierdziliśmy po fakcie, że tak było - wyjaśniał dalej Miller. - Nie wydawało się to ważne przed morderstwem. Teraz liczymy, że uda nam się z portretem pamięciowym.

Jednak ta metoda zawiodła. Brak solidnych przesłanek do rozwiązania zbrodni przyczynił się do powstania funduszu nagród zebranego przez przyjaciół rodziny Dawn i jej męża. Oburzenie po strasznej zbrodni gwałtu i zabójstwa ułatwia zebranie takiego funduszu.

- Spotkaliśmy się ze spontaniczną reakcją - stwierdził sekretarz funduszu. - Reakcja społeczeństwa zaskoczyła nas. Krewny Dawn prosił nas o podanie do publicznej wiadomości, że rodzina wysoko ocenia dowody przyjaźni i chęć pomocy.

Zaledwie powstał fundusz, w sprawie śmierci Dawn nastąpił dramatyczny zwrot.

W poniedziałek rano, 16 listopada, w odległości niespełna mili od mieszkania Dawn Garvin, robotnicy drogowi jadący wzdłuż White Marsh Boulevard w pobliżu połączenia z autostradą 1-95 zauważyli na dnie biegnącego wzdłuż drogi potoku nagie zwłoki kobiety. Zawiadomili policję Baltimore. Stwierdzono, że denatka zmarła na skutek rany postrzałowej głowy. Nie było oznak gwałtu czy innego nadużycia seksualnego. Wiek ofiary oceniano na trzydzieści kilka - czterdzieści lat.

W tym czasie rodzina czterdziestotrzyletniej Patricii Antoinette Hirt zaniepokoiła się jej nagłym zniknięciem. Patricia była rozwódką. Pracowała jako sekretarka i wychowywała dwie córki, uczennice college'u. W niedzielę po południu wyszła z domu, aby zanieść swemu szwagrowi kamerę filmową.

Steven Oken i jego żona zamierzali wyjechać na Wyspy Dziewicze i potrzebna im była kamera.

Ponieważ Patricia nie wróciła do domu ani nie zatelefonowała, krewni udali się do domu Okena. Dwudziestopięcioletni farmaceuta oświadczył, że Patricia nie zjawiła się u niego.

Następnego dnia rodzina postanowiła wejść do domu Okena. Gospodarza nie było, ale znaleziono krew w kuchni i na podłodze saloniku. W domu były ślady walki.

Nie potrzeba było wiele czasu, by policja połączyła zniknięcie Patricii Hirt ze zwłokami nagiej kobiety w pobliżu autostrady. To była jedna sprawa.

Rozpoczęto poszukiwania Stevena Okena.

Jednak ten miły człowiek, który kolekcjonował broń i z zamiłowaniem uczęszczał na strzelnicę, nagle zniknął. Jego furgonetka stała koło domu. Brakowało natomiast białego mustanga fordą Patricii. Policja zaczęła się zastanawiać, czy Oken nie uciekł tym samochodem.

Małomówny E. Jay Miller oświadczył: - Wiemy, że Hirt tam była; mamy na to dowody.

Przyznał, że przeszukano cały dom i szopę na działce Okena i dodał, że ktoś widział go wychodzącego z szopy za domem w niedzielę, około szóstej po południu.

Ale czy Oken był także podejrzanym o dokonanie zbrodni na Dawn Garvin, w odległości tylko paru przecznic od jego domu?

Miller nie wykluczał tej możliwości. Uważał, że śmierć Garvin i Hirt łączyło sporo wspólnych cech, na przykład strzały w głowę. Tak więc trzeba było brać pod uwagę podejrzenie, że Oken był odpowiedzialny za zabójstwo Garvin.

Miller skończył jednakże swoje oświadczenie słowami:

- Są także duże rozbieżności.

W tym czasie zbierano wiadomości o poczynaniach Okena do czasu przypuszczalnego przestępstwa. Podobno miał kłopoty rodzinne, których nie ukrywał.

Kilku znajomych widziało go późnym wieczorem pijanego. Nie było to nic nadzwyczajnego, ale mogło wskazywać, że coś go niepokoiło.

Policja odkryła, że przed trzema tygodniami aresztowano Okena za uderzenie recepcjonistki w motelu we Wschodnim Baltimore. Uznano go winnym pobicia i dano wyrok w zawieszeniu.

Bliższe zbadanie tego przypadku ujawniło, że kobieta obawiała się, że Oken może ją zgwałcić, i obroniła się kopnięciem go w podbrzusze.

Nie było wiadomo, czy Oken przebywa jeszcze w tej okolicy, czy udał się w nieznanym kierunku. Jednakże mieszkańcy dzielnicy byli świadomi niebezpieczeństwa po dwóch zabójstwach na tym terenie.

- Nabyłem rewolwer - zwierzył się jeden z mieszkańców bloku, w którym zamordowano Dawn Garvin. - Kupiłem go z powodu tej zbrodni. Mam dwie córki i nie'puszczam ich z oczu. Musimy być ostrożni.

- Zainstalowaliśmy dodatkowy zamek w drzwiach - powiedział inny mieszkaniec. - Mieszkam tu z żoną od sześciu tygodni. Czujemy się nieszczęśliwi i gdyby nie to, że zapłaciliśmy za dziewięć miesięcy wynajmu, przenieśliśmy się gdzie indziej. Wydawało się, że to bezpieczne miejsce.

Sąsiad Okena z tej samej ulicy powiedział:

- Oczywiście, że jestem ostrożny. Gdy ktoś dzwoni do drzwi, nie ruszam się ze szczytu schodów i stamtąd zapytuję, o co chodzi.

Inny sąsiad zauważył:

- Jestem pewien, że to nie pomaga firmie wynajmującej domy.

Policja Baltimore wydała nakaz aresztowania Okena, ale miejsce jego pobytu było nieznanne.

- Wysłaliśmy biuletyn ścigający go w kraju i za granicą - powiedział Miller - gdyż może opuścić kraj i udać się na Wyspy Dziewicze.

Oken miał zwyczaj nocować pod gołym niebem w czasie wycieczek, podejrzewano więc, że może przebywać daleko od ludzi, by nie spotkać policji. Ale jego zainteresowanie bronią nakazywało ostrożność.

Już w parę dni później okazało się, jak bardzo był niebezpieczny. W poniedziałek, 16 listopada, około szóstej po południu w motelu przy autostradzie US 1 w Kittery, w Maine pracownik motelu znalazł ciało dwudziestopięcioletniej Lori Ward, ofiary gwałtu i morderstwa.

Odtwarzając zdarzenia poprzedniego wieczoru, pracownik motelu oznajmił, że Lori udała się do pokoju Okena, by mu powiedzieć, że zostawił na kontuarze w recepcji swoją kartę kredytową. To było o piątej po południu. W godzinę później była martwa.

Przybyła z Kittery policja, by przeprowadzić dochodzenie, przeszukała pokoje gości. Pokój zarezerwowany dla Okena był pusty, choć miał tam spędzić noc. Gdy policjanci stanu Maine

zorientowali się, że Oken jest poszukiwany w związku z dwoma zabójstwami w Maryland, sami wystosowali list gończy na cały kraj. Nieuchwytny Oken mógł być wszędzie.

Tymczasem eksperci balistyczni policji hrabstwa Baltimore porównali naboje z rewolweru znalezionego w domu Okena z użytymi do zabójstwa Dawn Garvin. Zgodnie z informacją policji, naboje wystrzelone do Dawn Garvin pasowały do rewolweru, co dowodziło związku Okena z morderstwem Dawn.

Obawy krewnych Okena o jego bezpieczeństwo w czasie zakrojonego na szeroką skalę ścigania go sprawiły, że jeden z jego bliskich wystąpił w telewizji Maryland z niezwykłym wezwaniem:

- Steven! Kochamy cię. Chcemy ci pomóc. Proszę, skontaktuj się z nami. Proszę, proszę i jeszcze raz proszę, daj jakiś znak. Razem rozwiążemy tę sprawę.

Wkrótce potem policja, która wciągnęła do współpracy żonę Okena, zaaranżowała w telewizji Maine odbiór przez satelitę niezwyklej prośby z Maryland, by Oken poddał się.

Jednocześnie planowano poinformować o jego zniknięciu ośrodki policyjne w New Hampshire i w Kanadzie, a także Interpol.

Zanim jednak zrealizowano te plany, zdarzyło cię coś nowego.

Siedemdziesiąt pięć mil na północny wschód od Kittery znajduje się miejscowość Freeport, znana stąd, że jest tu siedziba firmy o światowej sławie zajmującej się pod szyldem L.L. Bean przesyłkami międzynarodowymi. Kierownik motelu we Freeport zauważył, że jeden z ostatnio przybyłych gości ma mustanga, którym - zgodnie z ogłoszeniem policji - miał się poruszać Oken. Zawiadomił miejscowy posterunek.

17 listopada między trzecią trzydzieści a czwartą po południu policja otoczyła motel i zablokowała wszystkie możliwe drogi ucieczki. Negocjator wezwał Okena do poddania się. Dziewięć minut po piątej podejrzany poddał się.

Wyszedł z pokoju nieuzbrojony, z rękoma zaciśniętymi na tyle głowy, i upadł na kolana. W jego pokoju znaleziono półautomatyczny karabin wojskowy AR 15, karabin auto-

matyczny kaliber 380, rewolwer kaliber 9, potężne kule pokryte teflonem, które przebijają opancerzenie, oraz kamizelkę kuloodporną.

Okena zabrano do aresztu hrabstwa Portland. Następnego dnia postawiono go w stan oskarżenia za morderstwo dokonane w Kittery i trzymano w areszcie do procesu.

W 1988 roku Steven Oken przyznał się do zamordowania Lori Ward, recepcjonistki motelu w Kittery. Wobec przyznania się do winy skazano go na dożywocie, bez prawa zwolnienia warunkowego.

Ten wyrok powinien otworzyć drogę do ekstradycji Okena do Maryland wobec dwóch dokonanych tam zabójstw, ale obrońca stanu Maine Richard S. Emerson junior, zamieszkały w Portland, znalazł podstawy do apelacji. Wiedząc o zamiarach skazania Okena na śmierć w Maryland, chciał uniemożliwić ekstradycję.

W odwołaniu do Najwyższego Sądu Apelacyjnego w Maine, Emerson wysunął argument, że skazanie Okena powinno być unieważnione, gdyż policja przeszukała jego pokój w motelu w Kittery bez nakazu rewizji. W czasie tego przeszukania policjanci znaleźli zakrwawioną koszulę.

Jednakże władze sądowe Maine nie zgodziły się z tą argumentacją. Odrzucono apelację Okena, przyjmując, że opuścił swój pokój, więc nie mógł skorzystać z konstytucyjnych praw do prywatności.

Odmowa apelacji usunęła jedną z nielicznych przeszkód do ekstradycji Okena, by stanął przed sądem oskarżony o zabójstwo Dawn Garvin i Patricii Hirt. Dopóki Steven Oken nie stanie przed sądem w Maryland oskarżony o te przestępstwa, korzysta z przywileju domniemania, że jest niewinny, jak to zapewnia prawo wszystkim podejrzanym, którzy nie zostali osądzeni.

Bill Kelly

PRAWIE DOSKONAŁA ZBRODNIA

Ostatni raz widziano żywego trzydziestodwuletniego Ellisa Henry'ego Greene'a, gdy raczej niepewnym krokiem opuszczał bar na Burbank Road w północnym Hollywood. Było to około jedenastej wieczorem, w piątek, 15 kwietnia 1988 roku.

Nazajutrz we wczesnych godzinach rannych kilku patrolujących policjantów stało w gabinecie dr. Richarda Pryde Boggsa w Glendale. Bez słowa przyglądali się bezkształtnej bryle zwłok. Dr Richard Pryde Boggs powiedział, że zmarły był jego pacjentem i nazywał się Melvin Eugene Hanson. Chory przyszedł do doktora po rozmowie telefonicznej, w której skarżył się na bóle w klatce piersiowej.

Doktor oświadczył policjantom, że wyszedł na chwilę z gabinetu i nagle usłyszał głuchy huk. Natychmiast wrócił. Na podłodze znalazł leżącego Hansona. Po nakręceniu numeru wezwań policji: 911, gdy linia okazała się zajęta, doktor rozpoczął reanimację. Gdy wreszcie dodzwonił się do pogotowia, wkrótce pojawiła się ekipa ambulansu. Nie mogli jednak już nic zrobić - stwierdził.

Zwłoki przewieziono do biura lekarza policyjnego, gdzie testy toksykologiczne wykazały we krwi Hansona wysoki poziom alkoholu; nie wykryto nic innego, co mogło mieć znaczenie. Biorąc pod uwagę informację dr. Boggsa, że Hanson chorował na serce, kobieta-koroner uznała, że przyczyną śmierci było zapalenie mięśnia sercowego. Nie było żadnych oznak przestępstwa, ale koroner kazała zrobić zdjęcie zwłok i pobrać odciski palców. Tożsamość zmarłego potwierdziły jego osobiste dokumenty i karty kredytowe, znalezione w kieszeniach ubrania.

Ponieważ zarówno dr Boggs jak koroner cieszyli się niepodważalną renomą, policji Glendale wystarczyły świadectwa z sekcji. Kartoteka rejestrująca sprawę zgonu Melvina Hansona, czterdziestoosmioletniego biznesmena z Columbus, Ohio została w ten sposób uznana za zamkniętą. Nikt nie brał pod uwagę, że czegoś w niej zabrakło.

Melvin Hanson miał wspólnika - dwudziestosześcioletniego Johna Barretta Hawkinsa. Hawkins, dawny barman, był jedynym spadkobiercą Hansona. Świetnie zbudowany, przystojny, z czarnymi kręconymi włosami, miał opinię uwodziciela kobiet i człowieka bardzo energicznego. Podczas gdy Hanson był bardzo pochłonięty transakcjami handlowymi, Hawkins z przyjemnością wydawał z nich zyski.

Następnego dnia po śmierci Hansona, Hawkins przyleciał z Ohio do Południowej Kalifornii. Zabrał ciało Hansona i kazał poddać je kremacji.

W 1985 roku wspólnicy utworzyli elegancki magazyn ze strojami sportowymi w Columbus, Ohio, nazwany po prostu „Tylko koszulki”. Wkrótce firma rozrosła się; utworzono 22 filie. Gdy osiągnięto powodzenie i dobrą opinię, wspólnicy przeprowadzili konwersję swoich udziałów w firmie. Działo się to w 1986 roku, kiedy Hanson wystąpił o kilka polis ubezpieczeniowych na życie; trzy z nich wymieniały Hawkinsa jako jedyne spadkobiercę.

Po śmierci wspólnika Hawkins zaczął domagać się od spółki ubezpieczeniowej na Mercer Island w Waszyngtonie wypłaty należnej sumy ubezpieczenia na życie Hansona. Firma wysłała mu wreszcie kilka czeków na milion dolarów. Następnie

przedstawiciel działu roszczeń zażądał odcisku dużego palca zmarłego, aby zamknąć kartotekę sprawy. Hawjdns spełnił żądanie. Odcisk linii papilarnych dotarł do policji w Glendale w cztery dni potem.

We wrześniu 1988 roku Wydział Ubezpieczeń odkrył, że zmarły człowiek znajdował się w komputerowej kartotece Departamentu Sprawiedliwości osób zaginionych. Odcisk linii papilarnych kciuka odpowiadał nazwisku Ellisa Greene'a, nie Melvina Hansona. Krewny Greene'a, który wypełnił kwestionariusz zaginionej osoby, z całą pewnością rozpoznał swego kuzyna na fotografii policyjnej wykonanej przed pośpieszną kremacją zwłok.

Zaciekawieni tą sytuacją inspektorzy zajęli się sprawdzeniem środowiska Ellisa Greene'a.

Greene, człowiek o łagodnym usposobieniu, urodził się i wychował w San Diego, ale później zamieszkał w Ohio, a ostatnio u krewnego w Północnym Hollywood. Pracował jako księgowy w firmie Burbank.

Powstało więc pytanie: jeśli Ellis Greene był zmarłym, który został skremowany jako Hanson, gdzie był prawdziwy Hanson? Wkrótce rozpoczęto dochodzenie.

Pod koniec stycznia 1989 roku policja zatrzymała Melvina Hansona na lotnisku Dallas-Fort Worth International Airport. Oczywiście żył i czuł się dobrze. Podróżując jako Wolfgang von Snowden, próbował ukryć swoją tożsamość po operacji plastycznej.

Funkcjonariusze śledczy znaleźli w jego bagażu kilka dowodów osobistych na różne fikcyjne nazwiska. Jedno z nich brzmiało: Ellis Greene. W bagażu była też książka *Jak stworzyć nową tożsamość*, a pod podszewką torby na przybory toaletowe czternaście tysięcy dolarów.

To nakazało inspektorom wejrzeć w środowisko Melvina Hansona. Dowiedzieli się, że to on dwa miesiące przed swoją „śmiercią” przybrał nowe nazwisko - Wolfgang Vonsnowden, które zresztą często pisał błędnie. Odkryli także, że podpisał umowę wynajmu mieszkania w bloku na Miami, używając nazwiska Wolfgang Eugene Vonsnowden. Jako świadczących o jego wiarygodności podał wtedy Johna B. Hawkinsa i dr. Richarda Boggsa.

Detektywi szybko sprawdzili rejestry rozmów telefonicznych Hansona, Hawkinsa i Boggsa. Ustalili, że liczne telefony między trzema panami odbyły się w ciągu ostatnich miesięcy przed rzekomą śmiercią Hansona. Stwierdzili ponadto, że Hanson przyleciał 15 kwietnia 1988 roku z Miami do Los Angeles pod nazwiskiem Wolfgang Vonsnowden i zameldował się w Holiday Inn w Glendale. Powrócił do Miami następnego dnia po południu.

31 maja 1988 roku Boggs otrzymał od Hawkinsa czek na pięćdziesiąt sześć i pół tysiąca dolarów. Rozmowy telefoniczne pomiędzy trzema mężczyznami powtarzały się przez całe lato. Po żmudnych badaniach, detektywi wydziału zabójstw pod kierunkiem Jona Perkinsa, sierżanta policji Glendale, odkryli, że Hanson założył rachunek bankowy w Key West, Floryda na nazwisko Ellis Henry Greene. Depozyt był znaczny.

Obecnie, na zlecenie towarzystwa ubezpieczeniowego, prywatny detektyw szedł śladami Hansona. W Ohio wydano nakaz aresztowania Hansona i Hawkinsa.

Tymczasem wyglądało na to, że Hawkins zniknął we mgle. Hansona ujęto i przekazano do Columbus. Tam czekał go proces z oskarżenia o malwersację i oszustwo ubezpieczeniowe. Zatrzymany w więzieniu hrabstwa Franklin apelował w sprawie swojej ekstradycji.

W czasie dochodzenia w sprawie tajemniczej śmierci człowieka znalezionego na podłodze gabinetu dr. Boggsa coś innego zwróciło uwagę policji. Przy zwłokach znaleziono metrykę Hansona wraz z kartami kredytowymi na jego nazwisko. Ta metryka wzbudziła podejrzenia - było to nazbyt oczywiste. Któż bowiem nosi przy sobie metrykę? - zastanawiał się sierżant Perkins.

Detektywi przyjrzeni się też dokładnie doktorowi Boggsowi. Zaczęli się zastanawiać, czy śmierć Ellisa Greene'a była rzeczywiście naturalna, czy też nastąpiła w wyniku morderstwa. Dokładne badanie poczynąń doktora ujawniło, że będąc kiedyś dzieckiem Okresu Kryzysu, a później „doskonałym obywatelem”, zawsze pozostawiał najlepsze wrażenie na tych, których spotykał na swojej drodze.

Richard Boggs urodził się w Hot Springs w Południowej Dakocie, a większość dzieciństwa spędził w Casper, Wyoming. Rodzina przeniosła się w 1939 roku do hrabstwa Los Angeles i zamieszkała w Glendale. Boggs ukończył z odznaczeniem szkołę średnią w Glendale w 1951 roku. W 1956 roku uzyskał pierwsze miejsce wśród absolwentów klasy zoologii college'u.

Przyjaciółka z Wyoming, podziwiająca energię i determinację Richarda w dążeniu do zostania lekarzem, pożyczyła mu pieniądze na studia medyczne, gdyż rodzina nie mogła sobie na to pozwolić. Boggs spłacił pożyczkę za szkołę, ale pozostawił do spłacenia trzydzieści jeden tysięcy dolarów - sumę przeznaczoną na rozpoczęcie praktyki.

- Nie zależy mi na tym - powiedziała przyjaciółka. - Jest wspaniałym lekarzem i mam o nim jak najlepszą opinię.

Richard Boggs wstąpił do college'u ewangelistów medycznych, dzisiaj nazywanego Loma Linda Medical School. Przyjął opartą na doktrynie świętego Bernarda regułę adwentystów, głoszącą zachowanie abstynencji od alkoholu, tytoniu i mięsa. Jego wybitna inteligencja i czar osobisty przysporzyły mu wielu przyjaciół i podziw licznych znajomych.

W 1961 roku poślubił kobietę, która - aby pomóc mu w czasie studiów - uczyła matematyki. Pragnąc mieć pełną rodzinę, adoptowali dwóch chłopców.

Pracując w powszechnym szpitalu hrabstwa w Los Angeles, Boggs zyskał uznanie wielu lekarzy, którzy ostatecznie pomogli mu w dostaniu się do bostońskiego szpitala miejskiego. W 1967 roku wrócił do Los Angeles, by dokończyć tam szkolenie neurologiczne.

Boggs, jego żona i dwaj synowie robili wrażenie szczęśliwej rodziny. Poznano ich jako dobrych sąsiadów, którzy żyli spokojnie w pięknej posiadłości w stylu Tudorów na dużej działce, obecnie nazywanej La Canada Flintridge. Nad kominem wisiał naturalnej wielkości portret doktora. Weekendy u nich charakteryzowały się przyjęciami na świeżym powietrzu w ogrodzie. W wieku trzydziestu pięciu lat Boggs został ordynatorem oddziału neurologii szpitala Rancho Los Amigos w Downey.

Zaproponował wtedy zorganizowanie leczenia profilaktycznego dla stu tysięcy pacjentów. Zgromadził grupę inwestorów i w 1970 roku za jego sprawą powstał plan nazwany Satelitarny Program Zdrowia. Dwudziestu dwóch lekarzy zaangażowanych w tym Programie objęło opieką medyczną w budynku szpitalnym Hollywoodu dwadzieścia pięć tysięcy pacjentów, którzy zarejestrowali się w Programie.

Po pewnym czasie zatrzęśły się jednak ściany tej struktury. W 1974 roku z powodu kosztów ogólnych i zbyt małej liczby pacjentów Program popadł w długi. Boggs ogłosił bankructwo.

W dwa lata później jego nie zapłacone rachunki wzrosły do miliona dolarów. Nie zapłacił podatków federalnych. Był winien bankom i agencjom pożyczkowym oraz niezliczonej liczbie przyjaciół. Jego członkostwo w Amerykańskim Stowarzyszeniu Medycznym i Amerykańskim Stowarzyszeniu Neurologicznym uległo przedawnieniu z powodu zaległych składek.

Piramida kłopotów prawnych i finansowych rosła. Boggs zaczął pożyczać od jednego, aby spłacić drugiego wierzyciela. Pożyczył czternaście tysięcy dolarów od kolegi lekarza, by zapłacić podatki do urzędu skarbowego. Aby dostać zwrot pożyczki, przyjaciel musiał zaprowadzić Boggsa przed sąd.

W 1978 roku skończyło się jego trwające siedemnaście lat małżeństwo. Żona powiedziała przyjaciołom, że nie może dłużej godzić się z jego dziwnymi posunięciami życiowymi.

W pewnym momencie Boggs zaczął nosić rewolwer. Przechwalał się jednemu ze swoich adwokatów, że ma związki z potężną organizacją kryminalną.

Z biegiem czasu wśród ludności hrabstwa Los Angeles zaczęły krążyć wiadomości o cudownym nowym fenomenie diagnostycznym. Wśród legiona pacjentów, którzy skorzystali z usług wspaniałego, boskiego uzdrowiciela, za jakiego uchodził Boggs, była także pewna kobieta z Beverly Hills, którą schorzenie neurologiczne doprowadziło do prawie całkowitego paraliżu. Lekarze nie umieli jej pomóc, a Boggs od razu dał właściwą diagnozę jej schorzenia. Z dodatkową pomocą ortopedy, jak uznała, całkowicie ją wyleczył.

- Doktor Boggs jest najwspanialszym neurologiem w tej części świata. Uratował mi życie - oświadczyła.

Nie wszyscy jednak byli tak zauroczeni jego umiejętnościami. W 1976 roku ordynator szpitala w San Diego powiedział, że Boggs bardziej skupia się na dodatkowej praktyce niż na potrzebach szpitala.

- Dał nam do zrozumienia, że nie interesuje go praca w naszym szpitalu - oświadczył. - Był to dla mnie wielki zawód. Uważaliśmy, że jest bardzo zdolny, ale zawsze szuka łatwiejszych możliwości. Zaczął pokazywać, że nie bardzo mu zależy. Byłem zadowolony, gdy wreszcie się zdecydował i odszedł któregoś dnia. Nie potrzebowaliśmy mu wymawiać pracy.

Detektywi odkryli także, że w 1976 roku zarówno Memoriał Hospital w Glendale, jak szpital Verdugo Hills zwolniły Boggsa z pracy ze względów dyscyplinarnych.

Prowadzący dochodzenie dowiedzieli się, że Boggs pracował w zabójczym tempie, często już od piątej rano, odbywając wizyty w domu pacjentów, współuczestnicząc w operacjach neurologicznych. Potem biegł do swego prywatnego gabinetu albo do jednego szpitala po drugim. Czasami wracał do domu dopiero po jedenastej albo dwunastej w nocy.

W 1981 roku była żona pozwała go do sądu z żądaniem zapłacenia trzydziestu trzech tysięcy dolarów tytułem zaległych sum na utrzymanie dzieci. Utrzymywała, że akta sądowe wykazały, iż jego dochód roczny wynosi sto pięćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. W czasie przesłuchania sądowego kobieta powiedziała, że jej były mąż ma rewolwer i wielokrotnie groził jej zastrzeleniem. Kiedyś powiedział: - Mogę wynająć kogoś, aby cię ukatrupił.

W gmatwaninie skomplikowanych procesów wymierzono Boggsowi w wyniku sześćdziesięciu wyroków i ugód zapłacenie miliona dolarów zaległych długów. Poborcy deptali mu po piętach. Zgarniali wpływy z jego praktyki, zajęli mu meble i wyposażenie gabinetu lekarskiego. Funkcjonariusze szeryfów poszukiwali go, by zarekwirować jego wspaniałego rollsoyca. Z powodu zaległych podatków urząd podatkowy założył kłódkę na drzwiach do jego gabinetu.

Boggs otworzył nowy gabinet po drugiej stronie ulicy.

Przesłuchując recepcjonistkę, która pracowała u Boggsa piętnaście lat, detektywi dowiedzieli się, że kobieta często odbierała telefony z aptek kwestionujące recepty doktora. Przeszukując gabinet, znaleźli sprzęt do produkcji amfetaminy.

Obecnie sprawa śmierci Ellisa Greene'a stała się głównym elementem w podejrzeniu o oszustwo ubezpieczeniowe na sumę miliona dolarów. Oficerowie śledczy próbowali odtworzyć ostatnie dziewięć godzin życia pijanego człowieka.

Trzy miesiące zabrało im ustalenie tożsamości Greene'a. Przez następne cztery miesiące przygotowywali oskarżenie przeciw Boggsowi.

Gorączkowa praktyka lekarska Boggsa gwałtownie ustała 3 lutego 1989 roku. Po wymówieniu mu najmu eleganckiego apartamentu w North Central Avenue z powodu niepłacenia czynszu, gdy zajmował się pakowaniem swoich rzeczy, został aresztowany i oskarżony o trzy poważne przestępstwa: morderstwo, udział w oszustwie ubezpieczeniowym i próbę napadu z bronią w rękę. Wraz z MeWinem Hansonem przetransportowano go do więzienia hrabstwa Los Angeles i odmówiono zwolnienia za kaucją.

Na wstępnej rozprawie, w poniedziałek, 6 lutego 1989 roku pięćdziesięciosześcioletni doktor, mierzący sześć stóp i dwa cale, nie przyznał się do winy. Zastępca prokuratora okręgowego Al MacKenzie zarzucał Boggsowi morderstwo Greene'a, a następnie umożliwienie Hawkinsowi przybycia z Ohio, zabrania zwłok Greene'a jako ciała Hansona i jego kremację.

Prokurator okręgowy stwierdził, że bez udziału pracownika towarzystwa ubezpieczeniowego nie można by było wykryć zbrodni.

- Po prostu spytał, czy policja sprawdziła odcisk papilarny kciuka zmarłego i porównała z odciskiem w kartotece właściciela polisy. Nie sprawdziła. Pracownik zawiadomił telefonicznie policję i dzięki temu sprawa zaczęła się wyjaśniać.

W miarę zbliżania się terminu procesu, zastępca prokuratora miał nadzieję, że przed sądem staną razem Boggs i Hanson. Hanson jednak, odwołał się od postanowienia o ekstradycji i pozostał w hrabstwie Franklin, w więzieniu w Columbus. Tak więc możliwość, że jeden z podejrzanych za cenę uzyskania

mniejszej kary będzie świadczył przeciw drugiemu, wydawała się niewielka.

Mając w areszcie dwóch podejrzanych, detektywi wytrwale poszukiwali Hawkinsa. W połowie lipca znaleźli na lotnisku jego kabriolet mercedes ze spuszczonego dachem. Detektyw z Columbus James Lanfear doniósł, że Hawkins wyłudził nielegalnie milion osiemset tysięcy dolarów z firmy, którą prowadził z Hansonem, a która już ogłosiła bankructwo, ale on uniknął więzienia.

Wobec tego, że Hawkins był nadal wolny, prawnicy zaczęli przygotowywać rozprawę, która miała być strukturą istic bizantyjską. Zastępca prokuratora skoncentrował się na dowodach poszlakowych, łącząc trzech podejrzanych jako współwinnych zмовy w celu popełnienia morderstwa, aby zainkasować kwoty z polis ubezpieczeniowych.

Przygotowany przez MacKenziego materiał dowodowy zdawał się tworzyć pętlę dla tych trzech ludzi: liczne rozmowy telefoniczne, które wszyscy trzej między sobą przeprowadzali krótko przed morderstwem, polisy ubezpieczeniowe Hansona, zmiana tożsamości Hansona, zniknięcie Hawkinsa zaraz po wypłaceniu mu odszkodowań, zeznanie współlokatora Hawkinsa, że ten mu się zwierzył, iż znalezione w gabinecie dr. Boggsa w Glendale zwłoki nie są zwłokami Hansona.

Co więcej, przeszukując elegancką rezydencję Boggsa, detektywi znaleźli sprzęt do produkcji zabronionych prawem leków, a także broń oszałamiającą, która mogła unieruchomić ofiarę nabojem elektrycznym. Zastępca prokuratora powiedział, że ten typ broni uważa się za narzędzie zbrodni.

Dr Richard Boggs próbował wyjaśnić swój udział w tych wypadkach mówiąc, że sam stał się ich ofiarą. Utrzymywał, że całkowicie ufał Hawkinsowi i prawdziwemu Hansonowi i siedem lat znał mężczyznę, który padł martwy w jego gabinecie, jako Melvina Hansona, a nie Ellisa Greene'a.

Choć adwokat Boggsa nie chciał wyjaśnić szczegółów taktyki obrończej, jeden z poprzednich adwokatów oskarżonego powiedział dziennikarzom:

- Jest to niewątpliwie sprawa poszlakowa, jeśli chodzi o oszustwo ubezpieczeniowe, ale będzie bardzo trudno udowodnić zarzut zabójstwa.

Zanim adwokat Boggsa udało się zamknąć mu usta przed rozprawą, powiedział on reporterowi „Wall Street Journal”:

- Gdybym to zrobił, byłbym już w Rio de Janeiro. Wmawiam sobie, że przebudzę się z koszmarne snu.

Procesowi Boggsa przewodniczyła sędzina Florence Marie Cooper. Przemówienie wstępne prokuratora zarzucało dr. Boggsowi, że był mózgiem prawie doskonałej przestępczej zмовy. Stwierdzono, że Boggs zwabił do swego gabinetu Ellisa Greene'a, który był łądząco podobny do Melvina Hansona. Następnie, wykorzystując wiedzę medyczną, zadał mu śmierć, nie pozostawiając żadnych widocznych śladów. Wszystko to zostało zrobione z zamiarem oszustwa ubezpieczeniowego.

Dawny pacjent Boggsa, który nazwał siebie ekspertem bezpieczeństwa, powiedział ławie przysięgłych składającej się z sześciu mężczyzn i sześciu kobiet, że będąc obecny, gdy jakiś „wygłup” w wojskowym mundurze wykrzykiwał groźby w gabinecie Boggsa, kupił doktorowi parę oszałamiających pistoletów. Świadek powiedział, że doktor nosił te urządzenia na wypadek zagrożenia przez pacjentów.

Inny doktor zeznał, że ostatnio Boggs nosił rewolwer w celach samoobrony.

Obrońcy Boggsa, Dale Rubin i Charles Lindner, przedstawili oskarżonego jako ofiarę nieszczęśliwego zbiegu okoliczności, jako wspaniałego, ubóstwianego przez pacjentów lekarza, który nigdy nie rezygnował i z polecenia byłego prezydenta USA Richarda M. Nixona zorganizował jedną z pierwszych klinik profilaktycznych.

Świadkowie obrony podkreślali, że dr Boggs był dowcipnym rozmówcą i człowiekiem, który kochał sztukę, muzykę i ludzi; często był zbyt hojny, np. płacił za kolację przyjaciół w restauracjach. Jeden z lekarzy powiedział, że Boggs ufał ludziom aż do naiwności.

Oskarżyciel powołał świadków, którzy stwierdzili, że doktor miał straszny charakter; nagle, bez powodu, mógł wpaść we

wściekłość. W jednej chwili żartował, a w następnej zamieniał się w sztywnego waźniaka.

Prokurator dodał, że kiedyś dr Boggs kazał studentowi medycyny wkładać dziesięć razy gumowe rękawiczki, ponieważ za pierwszym razem włożył je niedbale. Innym razem - dla „dowcipu” - wstał podczas ślubu, gdy kapłan spytał, czy wśród zebranych jest ktoś, kto zna powody, dla których para nie powinna być poślubiona.

W środę, 11 lipca 1990 roku oskarżyciele Boggsa po jedenaściodziesięciu zeznaniach stwierdzili, że Boggs jest „bez żadnych wątpliwości” winny zмовy w celu dokonania oszustwa ubezpieczeniowego przez zamianę tożsamości Greene'a na Hansona.

Jednakże adwokat Rubin argumentował, że przedmiotem oszustwa były pieniądze, nie morderstwo. Stwierdził, że oskarżyciele nie udowodnili nawet, iż dokonano morderstwa.

Przyznając, że zostało dokonane oszustwo ubezpieczeniowe, adwokat utrzymywał, że zwłoki zmarłej ostatnio osoby zostały wzięte z kostnicy w celu przeprowadzenia zaplanowanego oszustwa.

- Plan nie wymagał morderstwa, ale świeżych zwłok otrzymanych jakimś sposobem z kostnicy hrabstwa - powiedział sędziom przysięgłym adwokat.

Obrona powołała jako świadka koronera hrabstwa, kobietę, która stwierdziła, że zakwalifikowała śmierć Greene'a jako następstwo ataku serca i odwołała tę opinię dopiero wtedy, gdy dowiedziała się, że zamieniono tożsamość ofiary. Przyznała się, że obecnie nie wie, co było przyczyną śmierci.

Podczas końcowego przemówienia prokuratora dr Boggs siedział załamany, jakby myślał o czymś innym. Od czasu do czasu spoglądał na oskarżyciela, gdy ten malował go jako samolubnego sybarytę, który poznał trzydziestodwuletniego Ellisa Greene'a w barze, zwabił go do swego gabinetu, unieszkodliwił tam oszałamiającą bronią, a następnie udusił.

- Potem doktor wezwał ambulans i zidentyfikował Greene'a jako swego pacjenta, niejakiego Melvina Hansona, rzekomo ofiarę „ataku sercowego” - zadeklarował prokurator.

Prokuratura włączyła do materiału dowodowego fotokopie metryki urodzenia Hansona i dwie karty kredytowe znalezione przy zwłokach Greene'a.

Czterdziestoosmioletni Melvin Hanson pojawił się w sądzie na dowód, że żyje, ale zdecydowanie odmówił zeznań przeciw swemu przyjacielowi dr. Boggsowi. Odnotowano, że Hanson oczekuje na proces z oskarżenia o zainscenizowanie własnej śmierci i znowę w przygotowaniu morderstwa. Zgodnie z prawami konstytucyjnymi obywateli, należy uważać go za niewinnego aż do czasu, gdy ewentualnie zostanie uznany w sądzie winnym.

Opisując ten przypadek jako „prawie doskonałą zbrodnię”, zastępca prokuratora MacKenzie powiedział, że Ellis Greene zmarł z powodu uduszenia parę godzin przed wezwaniem ambulansu.

Prokurator wezwał na świadka patologa, który zeznał, że Greene zmarł wskutek spożycia alkoholu i stymulujących związków azotu.

Sąd przysięgłych potrzebował jedynie dwóch godzin, by uznać pięćdziesięciosiedmioletniego dr. Richarda Boggsa winnym morderstwa pierwszego stopnia i ośmiu innych przestępstw związanych z planem nieuczciwego uzyskania gotówki z polisy na życie Hansona. Osiem pozostałych przestępstw obejmowało godzącą w prawo znowę, rabunek i zagrożenie bronią oszałamiającą.

Prokurator okręgowy wyraził nadzieję, że uzyska od skazanego zeznania przeciw jego współnikowi, ale dodał:

- To już naprawdę nie ma znaczenia.

Prokuratura udzieliła pochwały sierżantowi policji w Glendale Jonowi Perkinsowi za wytrwałe dochodzenie w tej tajemniczej zbrodni.

Zapytany o uwagi o procesie po zakończeniu rozprawy, sierżant Perkins powiedział z uśmiechem. - Było wspaniale!

W czasie pisania tego reportażu Hawkins dalej pozostawał na wolności. Należy go uważać za niewinnego wszystkich skierowanych przeciw niemu oskarżeń, dopóki wyrok sądu o tym nie rozstrzygnie.

Edward S. Sullivan

SPRAWNE UŻYCIE NOŻA

Kapryśna rzeka Los Angeles, wyschła przez większość roku, ale w jednej chwili gotowa zmienić się w bystry potok, jest obecnie tematem żartów, gdyż jej dno i brzegi od San Fernando Valey do oceanu zostały wzmocnione betonem, aby przeciwdziałać złowrogim powodziom. Obecnie jej leniwe sączenie czy nagłe powodziowe wezbranie wód ogranicza się do długiego, prostego, wycementowanego kanału, który często nie wygląda nawet na koryto rzeki. Jest tylko suchym, spieczonym na słońcu torem wyścigów starych samochodów.

Ale parę lat temu, w latach dwudziestych, nie należało żartować z rzeki. Burze w górach mogły w ciągu jednej nocy wzburzyć jej wody, zalewając setki akrów ziemi uprawnej i domy położone na nizinie od południowo-wschodniej strony miasta, by nagle ustąpić tak szybko, jak szybko opanowały ten skrawek ziemi. Cofające się po silnym deszczu wody powodziowe zostawiały na przestrzeni wielu mil popychane przez porywisty kwietniowy wiatr resztki śmieci i różnych odpadków wzdłuż grząskich brzegów i na dnie. Kawałki połamanych sprzętów, konary drzew, stare opony i różne inne przedmioty, zmyte z wyżej położonych terenów, leżały bezpiecznie w trzcinach. Odzyskane przez ludzi skarby wydobyte z rzeki stawały

się po przetworzeniu w pracowitych rękach źródłem skromnych zarobków.

W rześki poranek wiosenny 4 kwietnia, gdy powietrze było czyste, a na jaskrawobłękitnym niebie po burzy zarysowały się góry, poziom wody szybko się obniżał. Juan Mandriquez i jego syn, czternastoletni Ramon, wyruszyli z domu przy Wright Road w Lynwood, w pobliżu Long Beach, by przeszukać zachodni brzeg w nadziei znalezienia przedmiotów mogących mieć jakąś wartość.

Ramon pierwszy zauważył dużą kwadratową skrzynię pływającą w dół rzeki.

- *Mira, Padre* - to wygląda na całkiem nową skrzynię z przybitym gwoździami dekle. - Skrzynia była jednak za daleko, by ją dosięgnąć, i szybko popłynęła. Wkrótce stała się balansującym znikającym punktem. Kiedy jednak się odwrócili, zobaczyli nowy dziwny kształt. Był to długi szaro-biały przedmiot, po który również nie można było sięgnąć, nie mając łodzi. Przedmiot ten tańczył jak korek na wzburzonej powodzi błotnistej wodzie.

- Ciekawi mnie, co to jest? - Ramon zasłonił ręką oczy przed słońcem i spojrzął na szczególny statek.

- Wiele dziwnych rzeczy płynie dzisiaj rzeką, *nino* - Juan Mandriquez wzruszył ramionami. - Kto wie, co to może być? Nie zwracajmy sobie tym głowy. Chodź, do roboty!

Ojciec z synem spędzili popołudnie bez większego powodzenia w poszukiwaniu zdobyczy. Szli w dół rzeki, gdzie w pewnym miejscu na zakręcie następował gwałtowny odpływ wody. O zmierzchu skierowali się w stronę domu i w tym momencie bystre oczy Ramona dostrzegły coś szarego, co zatrzymało się w kępie trzciny bagiennych; było do połowy ukryte w wodzie.

- Patrz, tato! To to samo, co płynęło za pudłem... pamiętasz?

Z trudem przedostali się przez grząski muł i w chwilę później upuścili to, co nieśli. Ich wytrzeszczone oczy były pełne przerażenia. Był to nagi tułów kobiety, bez głowy, bez rąk i bez nóg. Przerazający kadłub przyniesiony przez rzekę.

Gwałtownie rozpryskując wodę, „znalazcy” gramolili się po płyciźnie, a potem pobiegli do drogi, gdzie zatrzymali przejeżdżający samochód. Kierowca - po wysłuchaniu strasznej

opowieści - zawiózł ich do biura posterunkowego Roselle w pobliżu Campton.

Podmiejski posterunkowy nadał alarmującą wiadomość do biura szeryfa Williama I. Traegera w śródmieściu Los Angeles. Wkrótce potem, gdy Ramon i jego syn zaprowadzili policjanta na miejsce, dołączyli do nich detektywi z wydziału zabójstw szeryfa i biura koronera. Za nimi pojawiła się grupa dziennikarzy.

W bagnistym zakątku oglądali przy świetle reflektorów pozbawiony głowy i kończyn tułów. Był to niesamowity widok. Makabryczne znalezisko leżało jak złamana kolumna marmurowa; wyraźnie widać było ciemne ślady nacięć w miejscach, gdzie były nogi, ramiona i głowa.

- Powiedziałbym, że to młoda dziewczyna, około dwudziestoletnia - powiedział jeden z ludzi koronera. - Nie pozostawała w wodzie długo. Może dzień albo dwa.

Juan Mandriquez i jego syn powiedzieli policjantom o tajemniczo wyglądającej skrzynce zabitej gwoździami, która płynęła rzeką. Detektywi uznali za prawdopodobne, że były w niej brakujące części ciała. Grupa mężczyzn wyruszyła w dół rzeki na poszukiwanie, nie bardzo zresztą wierząc w powodzenie wyprawy w ciemności. Tymczasem pozbawione głowy i członków zwłoki załadowano do czarnej furgonetki koronera i przewieziono do kostnicy hrabstwa.

Dr A. F. Wagner, główny patolog, natychmiast rozpoczął badanie. Potwierdził, że dobrze zachowany tułów jest częścią zwłok młodej kobiety w wieku między siedemnastym a dwudziestym piątym rokiem życia, szczupłej budowy i około stu osiemnastu funtów wagi. Denatka miała mleczną, przejrzystą cerę. Włosy pod pachami były ciemnobrązowe, co było wskazówką do ustalenia koloru włosów na głowie. Jeśli nie było wyraźnego kontrastu między głową a resztą ciała, dziewczyna musiała być bardzo piękna.

Poza strasznym pozbawieniem kończyn i głowy nie było śladów użycia siły i przyczyny śmierci nie można było ustalić. Doktor ocenił, że ofiara nie żyła od 36 do 48 godzin; w wodzie była mniej więcej tyle samo. Na ciele nie znaleziono żadnych nieprawidłowości skóry: blizn pooperacyjnych, pieprzyków i innych znamion.

- Poćwiartowanie jest dziełem eksperta - zauważył doświadczony patolog, patrząc na nieruchomy dowód morderstwa w świetle jarzących się świateł sali prosektoryjnej. - Spójrzcie tylko tutaj. Głowa jest odcięta równiutko między piątym a szóstym kręgiem, a krojąc szyję zabójca tylko o jedną ósmą cała odszedł od tego miejsca. Niewątpliwie dobrze zna anatomię. Nie było żadnej fuszerki i nieudolności.

- Jaki rodzaj narzędzia według ciebie użyto? - zastanawiał się kapitan Bright, szef wydziału zabójstw.

- Trudno powiedzieć, ale wygląda to na robotę profesjonalną z użyciem skalpela, piły chirurgicznej albo czegoś podobnego.

Bright polecił swoim zastępcom sprawdzić kartotekę zaginionych osób. Współpracując z policją Los Angeles, w ciągu nocy skontaktowano się ze sporą liczbą rodzin, które zgłosiły zaginięcie. Kilkunastu krewnych zaginionych obejrzało makabryczne zwłoki, ale nikt ich nie zidentyfikował.

Rano, gdy wiadomość ukazała się w prasie, biuro szeryfa obiegli rodzice, mężowie i sąsiedzi zaginionych dziewcząt i kobiet. Zgłosiło się nawet kilka dziewcząt, które uciekły z domu, by potwierdzić swoją tożsamość i uwolnić rodziców od obaw.

Wielu ochotników spośród mieszkańców dołączyło do oddziału policji składającego się z pięćdziesięciu ludzi, którzy przeszukiwali dolny bieg rzeki na łodziach i przebiegali brzegi nie omijając żadnej trzciny. Szukano skrzyni.

Po całodziennych bezskutecznych próbach uznano, że skrzynia dotarła do oceanu. Zawiadomiono Straż Przybrzeżną.

Szeryf Traeger wyznaczył tymczasem dodatkowych ludzi do jednostki kapitana Brighta. Badali oni liczne, często historyczne raporty o tajemniczych mężczyznach widzianych w nocy z podejrzanymi pakunkami czy pudłami.

Jeden z mieszkańców przedmieścia, sprowadzony przez sąsiada, z wielkim trudem udowodnił, że niósł do domu manekin krawiecki dla swej żony.

Dzień po dniu odbierano telefony i listy z zachodnich stanów, a kostnicę ciągle oblegali zarówno ludzie mający uzasadnione obawy, że to może być ktoś z ich bliskich, jak ciekawscy. To był rezultat doniesień prasy.

Zastępca szeryfa Frank Gompert, pracujący w laboratorium kryminalnym, miał pełne ręce roboty. Sprawdzał wszystkie możliwości rozpoznania zwłok. Dokładne wyliczenie prawdopodobnego wzrostu zamordowanej kobiety i jej wagi umożliwiło mu wyeliminowanie wielu zgłoszeń na podstawie opisów i fotografii. Określenie przez dr. Wagnera przypuszczalnego wieku ofiary także ograniczało liczbę rzeczowych zgłoszeń. Stwierdzono, że zmarła, choć mogła być mężatką, nie rodziła. Nie była też ofiarą aborcji.

Brak na tułowiu jakichkolwiek blizn i znamion także posłużył do eliminacji wielu zgłoszeń. Wezwano kilku lekarzy, którzy leczyli zaginione młode kobiety, by przyjrzeni się szczątkom zwłok. Większość możliwych dochodzeń zakończono, ale pozostało jeszcze kilka możliwości i detektywi wydziału zabójstw cierpliwie je badali.

Ważnym dla patologa czynnikiem były włosy pod pachami; oddzielił on pasmo i umieścił pod mikroskopem. Gompert ogłosił w prasie, że porównywanie próbek włosów, choć nie daje pewności, może ułatwić identyfikację ofiary. Natychmiast zarzucono go pasmami włosów zaginionych we wszystkich kolorach i o różnych cechach - były to kędziory dziecięce wyciągnięte z kufrów, długie pasma, gdy włosy zostały obcięte, a także loczki schowane w medalionach.

Wiele odrzucono od razu z powodu koloru, gdyż włosy ofiary były zdecydowanie ciemnokasztanowe. Inne próbki badano pod mikroskopem i przy użyciu chemikalii. Znowu pozostało kilka próbek do dalszych badań.

Ekipa kapitana Brighta i policja miejska, nie zaniehbując żadnego śladu, wykryła w czasie tych dochodzeń kilkanaście morderstw zaginionych kobiet. Zatrzymano mężczyznę, którego młoda żona zaginęła. Sąsiedzi poinformowali bowiem detektywów, że groził „wysadzeniem jej w powietrze”. Jej opis odpowiadał zwłokom ofiary z rzeki. Młody mężczyzna był zdenerwowany, Bright zaczął więc go podejrzewać. Tymczasem do Gmachu Sprawiedliwości zgłosiła się żona i poprosiła o zwolnienie męża.

Gdy podejrzenia odpadały jedno po drugim, polecono detektywom przetrząśnięcie wszystkich szop i bud wzdłuż

górnego brzegu rzeki; mieli poszukiwać śladów krwi i innych oznak świadczących, że mogło tam nastąpić poćwiartowanie zwłok. Przepytywano bywalców rzeki i przyjezdnych.

Mijały dni bez postępu w śledztwie. Badania słabły i wyglądało na to, że „tajemniczy tułów z Lynwood” przejdzie do historii jako jedno z nie wyjaśnionych morderstw w Południowej Kalifornii. Nie rozpoznany tułów, po zabezpieczeniu chemicznym, umieszczono w specjalnie chłodzonym boksie kostnicy, gdzie można go było oglądać. Ale już nikt nie przychodził.

W sześć tygodni później, w słoneczne popołudnie 18 maja, sprawa ożyła w groteskowej, a jednocześnie dramatycznej formie.

Bardzo zdenerwowana mieszkanka miasteczka Bell zatelefonowała do komisarza policji Harry'ego R. Smitha:

- Grupa chłopców paraduje przez Florence Avenue trzymając na kijku głowę ludzką!

Nowy zwierzchnik policji przyjął ten telefon jak jakiś fałszywy alarm. Prawdopodobnie chłopcy nieśli makietę albo maskę. Kto słyszał o ludzkiej głowie na kijku, niesionej główną ulicą spokojnego przedmieścia Bell w środku dnia? Komisarz Smith musiał jednak spełnić swój obowiązek. Z westchnieniem nałożył czapkę i usiadł za kierownicą wozu patrolowego.

Dogonił chłopców przy ruchliwym skrzyżowaniu Florence z Atlantic Boulevard - sześciu maluchów o poważnych minach, nastawionych bojowo wobec zacieśniającego się tłumu przejeżdżających obywateli. Przywódca chłopców, silny dziesięciolatek, trzymał na kijku makabryczne trofeum - czaszkę ludzką z wystającymi kawałkami skóry.

- Gdzie to znalazłeś, synu? - spytał łagodnie policjant.

- Łowiąc żaby w rzece.

Smith zachęcił chłopców do przejażdżki samochodem policyjnym. Pozwolili mu zdjąć czaszkę z kijka, który ją przebił w miejscu szczęki. Trzymając makabryczną brązową rzecz w odległości ramienia, Smith przyglądał się jej uważnie. Niewątpliwie czaszka musiała jakiś czas leżeć na powietrzu, ale kilka kosmyków włosów jeszcze przylegało do skrawków skóry i rażąco białe zęby zdawały się nie ucierpieć prawie zupełnie.

Trudno było powiedzieć, czy to była głowa kobiety czy mężczyzny.

Smith włożył czaszkę do papierowej torby i zawiadomił biuro szeryfa, bowiem rzeka leżała na terenie hrabstwa. Potem z chłopcami, którzy okazali się chętnymi przewodnikami, skierował się w miejsce makabrycznego odkrycia. Było to na małej błotnistej wysepce, powstałej po cofnięciu się wody.

Gdy przyniesiono ostatni ponury plon rzeki, patolog dr Wagner po krótkim zbadaniu oznajmił, że czaszka należy do kobiety w wieku od czterdziestu do pięćdziesięciu lat.

- Na podstawie niewielkich rozmiarów jam w czaszce, wąskiej dolnej szczęki i małych rozmiarów kości twarzy w porównaniu z czaszką mózgową, oceniam, że była to kobieta 0 drobnym kośćcu - wyjaśnił kapitanowi Brightowi.

- Jeśli chodzi o wiek, to oceniamy to na podstawie skostnienia, to znaczy stwardnienia kości. Poza tym są pewne charakterystyczne cechy dolnej szczęki, które zmieniają się w różnych etapach życia. Natomiast szwy na szczycie czaszki zrastają się między dwudziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia, a tutaj są prawie całkowicie zrosnięte.

- A zatem ta czaszka nie należy do tułowia z Lynwood? - zastanawiał się głośno Bright, patrząc na brązowe kosmyki włosów. Mamy więc dwie nie rozpoznane ofiary?

- Właśnie. Tułów jest częścią zwłok młodej kobiety, a głowa należy do dojrzałej. Ale nie powinna długo zostać niezidentyfikowana. Pomoże nam w tym uzębienie, kolejna wskazówka wieku. Młoda dziewczyna nie powinna mieć tylu plomb i koronek.

- Czy możesz określić, od kiedy ofiara nie żyje? Czy są jakieś oznaki przyczyny śmierci?

Patolog policyjny wzruszył ramionami. - Trudno powiedzieć, kiedy zmarła. Od paru tygodni do paru miesięcy. Przyczyny śmierci mamy tutaj. Złamanie czaszki powyżej skroni. Została uderzona jakimś twardym narzędziem, prawdopodobnie młotkiem.

Następnego dnia kapitan Bright i naczelny inspektor kryminalny postanowili przeprowadzić ciche dochodzenie, czy przypadkiem studenci medycyny lub uczniowie szkół balsamowa-

nia nie rzucili okrojonych zwłok do rzeki, pchnięci chęcią dokonania makabrycznego żartu. Możliwość wykorzystania tułowa została odrzucona, gdyż stwierdzono, że ofiara niedawno straciła życie, jej szczątki nie mogły więc pochodzić z prosektorium. Co innego ze zbrązowiałą czaszką; był to tradycyjny rekwizyt żartów studenckich.

Zastępcy kapitana Brighta zaczęli objeżdżać szkoły medyczne szukając śladów znalezionych części zwłok, gdy dr Wagner telefonicznie wezwał kapitana do swego gabinetu. Doprowadził go do stołu, na którym leżał tułów z Lynwood z czaszką z Bell, idealnie, przystającą do odciętej szyi!

- Coś podobnego!

- Tak. To jest jej miejsce. Jest tylko jedna ofiara. Widzisz, kości czaszki są znacznie bardziej wiarygodnym wskaźnikiem wieku. W tym przypadku tułów był tak dobrze zachowany, a powierzchnia skóry tak delikatna i młodzieńcza, że niezbyt dokładnie zbadałem kościec.

- Nawet przy tym założeniu musiała być nieprzeciętną kobietą, jeśli zachowała tak młodzieńcze ciało. Prawdopodobnie wyglądała na piętnaście lat młodszą niż była. Ale czaszka mówi prawdę. Musiała mieć jakieś czterdzieści pięć lat. Bill, wcale nie była młodą kobietą.

Ta wiadomość sprawiła, że śledztwo należało zacząć od początku. Ludzie Brighta znowu przekopywali kartoteki zaginionych, a jeszcze nie odnalezionych osób z marca i kwietnia. Były to zgłoszenia poprzednio nie wzięte pod uwagę, gdyż policjanci szukali młodych kobiet - od siedemnastu do dwudziestu pięciu lat.

Patolog Gompert potwierdził, że włosy czaszki odpowiadały kolorem i ogólną charakterystyką owłosieniu pod pachami. Poprosił specjalistów dentystycznych z uniwersytetu Południowej Kalifornii o przygotowanie dokładnego rysunku uzębienia ofiary. Ogłoszono go w prasie, apelując do dentystów, by przeszukali swoje kartoteki. Komisarz Wright polecił wydrukować informację dla dentystów w całym kraju.

Tymczasem u kapitana Brighta zjawiał się jeszcze jeden człowiek, który obawiał się, że może to być jego zaginiona pod koniec marca siostra Laura Belle Sutton, zamożna czterdzie-

topięcioletnia rozwódka, zamieszkała w południowo-zachodniej części Los Angeles, przy 2012 West 30th Street.

- Opis pasuje do niej. Laura była piękną kobietą, wyglądającą znacznie młodziej. A jeśli chodzi o uzębienie, to pamiętam, że jej dentystą był dr Edwin C. Hyde. Ma gabinet w śródmieściu.

Zapracowany kapitan działu zabójstw wysłuchał wielu takich historii w ciągu ostatnich sześciu tygodni, ale ta robiła wrażenie prawdziwej, a nazwisko Laura Belle Sutton wydało mu się znajome.

Po wyjściu gościa policjanci przeszukali kartoteki i znaleźli nazwisko Laury 17 maja, w przeddzień znalezienia czaszki. Jej zaginięcie zgłosił policji Los Angeles niejaki Frank P. Westlake, który przedstawił się jako bliski przyjaciel zaginionej i rzecznik wielu zaniepokojonych znajomych. Brat poszukiwanej kobiety wspomniał Westlake'a jako jednego z przyjaciół, z którymi rozmawiał.

Nie było podejrzania o morderstwo, a Westlake wyraził zdanie, że kobieta uciekła z powodów osobistych. Bardzo przeżywała śmierć matki, pewnie po prostu chciała uciec na pewien czas od swego środowiska.

- Ale zniknęła zostawiając wszystko, a są pewne sprawy finansowe, którymi trzeba się zająć. Pomyślałem więc, że należy to zgłosić władzom.

Policja wysłała odpis tego zgłoszenia do biura szeryfa, gdzie nie wzbudził większego zainteresowania i wkrótce został zapomniany z powodu poruszenia, jakie wywołało znalezienie głowy.

Gray i Allen zgłosili się u dr. Hyde'a i pokazali mu rysunek zębów. Ten wyciągnął kartę pani Sutton i porównał ją z rysunkiem.

- To z pewnością przynajmniej częściowo wygląda na moją pracę. Widzicie, panowie, pani Sutton nie była w moim gabinecie od ponad roku i mogła mieć reperacje wykonane przez kogoś innego. Ale porcelanowa koronka na górnym prawym siekaczu wraz z tymi złotymi plombami...

Dentysta udał się z dwoma detektywami do kostnicy i obejrzał czaszkę osobiście. Brakowało kilku trzonowych zębów, ale pozostałe odpowiadały dokładnie rysunkowi dr. Hyde'a. Było

też parę plomb nie oznaczonych w schemacie dentysty. Hyde był prawie pewny, że koronka była wykonana przez niego; Frank Gompert zgodził się wtedy, że porównanie kilku charakterystycznych punktów pozwala przyjąć, że głowa należała do Laury Belle Sutton.

- Aby nie mieć żadnych wątpliwości, chciałbym dostać parę próbek włosów pani Sutton - powiedział technik. - Pewnie je znajdziemy w jej domu, w odkurzaczu.

Zanim Gray i Allen wykonali to zadanie, pojechali wraz z porucznikiem W.C. Allenem z Biura Zaginionych Osób przesłuchać krewnych i przyjaciół Laury.

Opisali ją jako piękną kobietę o delikatnych rysach, nie wyglądającą na więcej niż trzydzieści lat. Miała duże, błękitne, niewinne oczy i ani jednego siwego włosa w lśniących ciemno-kasztanowych splotach. Kobiety zazdrościły jej aksamitnej skóry i ładnej, szczupłej sylwetki. Ogromnie o sobie dbała, często bywała w salonach kosmetycznych.

Z natury pełna życia, łatwo nawiązująca kontakty, bezdzietna Laura Belle prowadziła bujne życie towarzyskie po rozwodzie z zamożnym młodym człowiekiem z Beverly Hills, w 1927 roku. Przed rozwodem przez jakiś czas była z nim w separacji.

Od sześciu lat zajmowała duży bungalow na West 30th Street, w spokojnej dzielnicy, i żyła wygodnie z alimentów od męża i dochodów z własnego majątku. Mieszkanie przy garażu za domem zajmował przyjaciel Louis Neal, mechanik. Pani Sutton gotowała mu posiłki. Najpierw powiedziała przyjaciołom, że ze względu na bezpieczeństwo chciała mieć w pobliżu mężczyznę, a w ostatnim roku zwierzyła się, że planuje małżeństwo z Nealem.

Frank Westlake, mieszkający niedaleko, był starszym panem, którego Laura poznała przed rokiem. Odwiedzał ją często, czasem razem wychodzili wieczorami. Wszyscy uważali, że ten bogaty biznesmen, nie prowadzący już interesów, który teraz poczuł się wolny i zajął hobbystycznie stolarstwem, był kimś w rodzaju ojcowskiego doradcy dla energicznej rozwódki. Ale detektywi usłyszeli plotki, że było między nimi coś więcej niż przyjaźń. Podobno powiedziała kilku przyjaciołom, że może wyjść za Westlake'a, od niedawna wdowca.

Mówiono też o odnowieniu znajomości z narzeczonym z czasów pierwszej wojny światowej, sprzed małżeństwa z przystojnym Suttonem. Jak widać, Laura Belle korzystała z pełni życia i czerpała przyjemność z opowiadania sprzecznych informacji o swoich romansach, aby przyjaciółki i krewnie mogły zgadywać, jak jest naprawdę.

Oficerowie dochodzeniowi przeprowadzili rozmowę z Suttonem. Powiedział, że od około sześciu miesięcy nie widział byłej żony, ale kilkakrotnie telefonowała do niego, gdy spóźniał się z alimentami. Ostatnim razem rozmawiał z nią pod koniec marca. Podkreślił, że byli w dobrych stosunkach, a ich rozmowy były przyjacielskie. Nie miał pojęcia, co jej się stało.

Gray i Allen rozmawiali również z siostrą zaginionej, która powiedziała, że po raz ostatni widziała Laurę na pogrzebie ich matki w lutym. Od tego czasu kilkakrotnie rozmawiały przez telefon. Laura była ogromnie przygnębiona, jednak nie wspominała o planach wyjazdowych. Suttona i siostrę kilkakrotnie odwiedzali i Neal, i Westlake; telefonowali także do nich, pytając o zaginioną Laurę.

Adwokat Laury Belle, Willedd Andrews, był, jak się okazało, ostatnim, który widział ją żywą. Przyszła do jego biura na skrzyżowaniu Fourth i Spring Streets po południu 29 marca, prosząc go o radę, czy ma się udać do sędziego, który w Ventura, siedemdziesiąt pięć mil na północ od Los Angeles, przewodniczył jej rozprawie rozwodowej. Chciała go prosić o podwyższenie kwoty alimentów. Andrews poinformował klientkę, że może to zrobić, a ona powiedziała mu, że zamierza wyjechać następnego dnia.

- Zdawała się być czymś zmartwiona - przypomniał sobie Andrews. - To nie mogła być sprawa alimentów, ale nie chciała mi powiedzieć, o co chodziło. Odprowadziłem ją do wyjścia na dole, a ona wsiadła do autobusu na Spring Street jadącego w stronę południa. Powiedziała, że odwiedzi siostrę.

Jednakże Laura Belle nie dotarła tego popołudnia do domu siostry. Nie pojechała także do Ventura - Andrews sprawdził to w rozmowie z sędzią.

Adwokat powiedział, że Laura miała w czasie wizyty u niego czterysta pięćdziesiąt dolarów w portfelu. Wspomniała mu o tej sumie.

- Laura zawsze trzymała około pięciuset dolarów w domu albo w torebce. Mówiła, że lubi mieć gotówkę pod ręką. Była w tych sprawach trochę nieroztropna. Rok temu ukradziono jej amerykańskie wojenne bony na sumę tysiąca dolarów, które trzymała w kopercie w domu.

Ekipa z wydziału zabójstw udała się do cichego bungalowu na West 30th Street. Lou Neal wyprowadził się przed paru tygodniami. Klucze miała sąsiadka, która poinformowała detektywów, że Lou zaniósł osobiste rzeczy Laury, włącznie z kanarkami, do Westlake'a, by się nimi zaopiekował do jej powrotu.

Detektywi przeszukali bogato umeblowany dom, ale nie znaleźli nic, co by mogło być kluczem do zniknięcia właścicielki. Pamiętając o uwadze Franka Gomperta na temat włosów, Grey opróżnił worek odkurzacza i znalazł ich próbkę: skręcone, zaplątane pasmo długich kasztanowatych włosów wciągniętych przez odkurzacza razem z kurzem domowym. Sąsiadka poinformowała, że Laura nie zatrudniała sprzątaczk, a zatem włosy musiały być jej.

Ponieważ był wieczór, a detektywi już zapoznali się z doniesieniem Westlake'a, odwiedzili Lou Neala jako pierwszego z dwu przyjaciół. Właśnie jadł posiłek, czytając najnowszy reportaż o tajemniczym tułowie w gazecie.

- Oczekiwałem was, panowie, odkąd Frank zrobił to doniesienie - powiedział. - Cieszę się, że wreszcie zajęliście się energicznie poszukiwaniem Laury. Jesteście jednak na fałszywym tropie myśląc, że jest ofiarą morderstwa. Laura żyje i jest gdzieś w pobliżu. Przecież ona co parę dni kładzie kwiaty na grobie matki!

Mechanik powiedział funkcjonariuszom, że ostatnio widział panią Sutton 29 marca o trzeciej rano, gdy wrócił z pracy i wszedł do kuchni, by wziąć z lodówki kanapkę, którą zazwyczaj mu zostawiała. Laura zawołała go z sypialni, prosząc o szklankę wody. Po spełnieniu tej prośby powiedział jej „dobranoc” i poszedł do siebie. Kiedy obudził się po południu, nie było jej w domu.

Nie widział jej także następnego dnia, a po dwóch dobach znalazł kartkę od Franka Westlake'a, w której sąsiad prosił go o możliwie najszybszy kontakt.

Kiedy następnego dnia rano pojechał do Westlake'a, ten chciał się dowiedzieć, czy Neal widział Laurę Bellej. Czy też może miał od niej jakąś wiadomość. Westlake powiedział, że Laura zamierzała 29 po południu pojechać do Ventura i wrócić pociągiem następnego dnia. Westlake poszedł na stację na jej spotkanie, ale Laura nie przyjechała. Zaniepokoił się, gdyż Laura miała przy sobie czterysta pięćdziesiąt dolarów, które tego ranka podjęła z banku. Był w jej domu kilka razy - miał klucze - i karmił jej kanarki.

Gdy po tygodniu ciągle nie było wiadomości, obaj zaniepokojeni mężczyźni, zapominając o rywalizacji o uczucia Laury, zaczęli pytać o nią innych przyjaciół i krewnych. Nikt jednak nie miał z nią kontaktu. Westlake pojechał do Ventura, sądząc, że mogła tam pozostać, ale nie znalazł śladu jej pobytu w hotelach.

W tym czasie gazety na pierwszych stronach pisały o znalezieniu tajemniczych zwłok, ale ani Neal, ani Westlake nie kojarzyli tego z Laurą Belle, gdyż mówiło się, że ofiara ma dwadzieścia pięć lat.

Pamiętając o nieukojonym bólu Laury po śmierci matki i jej częstych wizytach na cmentarzu, pojechali tam. Z ulgą zobaczyli na grobie świeżą wiązankę czerwonych goździków, ulubionych kwiatów Laury. To było dowodem, że kobieta żyła i przebywała w pobliżu.

- Wziąłem tygodniowy urlop z pracy - powiedział Neal policjantom. - Codziennie kręciłem się koło cmentarza. Położyłem dużą wiązankę róż na grobie, umieszczając w środku karteczkę do Laury, by się ze mną skontaktowała. Gdy któregoś dnia wróciłem tam po obiedzie, moja kartka zniknęła, a na grobie leżał bukiet świeżych goździków! To było około 15 kwietnia, więc zwłoki w kostnicy nie są jej ciałem.

Ale ta kartka niczego nie wyjaśniała i gdy minął następny tydzień, obaj mężczyźni postanowili przenieść rzeczy Laury do domu Westlake'a. Neal wiedział, że Laura powierzała Westlake'owi wiele swoich spraw finansowych. Mieli wspólny rachunek bankowy. Mechanik był przekonany, że Laura nie będzie niezadowolona z tej decyzji. Neal także przez pewien czas zamieszkał u Westlake'a, ale ostatnio przeprowadził się do

umeblowanego mieszkania. Westlake zajął się płaceniem bieżących rachunków Laury za usługi i dopilnował, by trawnik i ogród przy opuszczonym bungalowie były należycie utrzymane.

Rozmowny mechanik chętnie opowiedział o swoich związkach ze słomianą wdową. Poznał ją przed czterema laty, gdy jako domokrażca sprzedawał wypieki cukiernicze. Nieszczęśliwa kobieta zwierzyła mu się ze swych kłopotów, a on zaczął ją często odwiedzać. Po separacji Suttonów Neal zamieszkał - na zaproszenie Laury - w mieszkaniu przy garażu. Kobieta nie chciała być sama. Podkreślał, że do jej rozvodu ich przyjaźń była tylko platoniczna. Zazwyczaj oddawał jej swoją cotygodniową wypłatę za pokój i wyżywienie, zatrzymując dla siebie jedynie napiwki na drobne wydatki.

Po jej rozwodzie rozmawiali o ślubie, ale wszystko zaczęło się komplikować, gdy Laura poznała Westlake'a. Starszy przedsiębiorca budowlany, teraz już niewiele pracujący, wpadał do Laury wieczorami, by pograć w karty, a w dzień robił różne stolarskie roboty dla domu. Zdawał się być pod jakimś magicznym czarem, jakim promieniała piękna rozwódka.

- Spytałem ją szczerze, czy kocha Franka - opowiadał Neal - ale zaprzeczyła i powiedziała, że ciągle chce poślubić mnie. Odkładała jednak datę ślubu, a Frank coraz częściej kręcił się w jej domu. To mi się nie podobało i kilka razy pokłóciliśmy się, ale niewiele mogłem zrobić.

Następnego dnia, w czasie badań przez Gomperta próbki włosów, detektywi z wydziału zabójstw i z działu zaginionych osób przesłuchiwali Franka Westlake'a w jego domu.

Niskiemu, sztywnemu, pięćdziesięcioletniemu, siwowłosemu mężczyźnie wydało się nieprawdopodobne, by Laura Belle Sutton była ofiarą odrąbania tułowia, o czym poinformowali go detektywi. Podobnie jak mechanik uważał świeże kwiaty na grobie jej matki jako absolutny dowód, że żyła, ale z niewiadomych powodów ukrywała się gdzieś w okolicach Los Angeles.

- Ostatnio widziałem ją 29 marca około dziesiątej trzydzieści rano - powiedział Westlake detektywom. - Spotkaliśmy się w banku na rogu Seventh i Spring Streets, aby pobrać pieniądze z naszego wspólnego konta. Pobrałem siedemset pięćdziesiąt

dolarów. Jej dałem czterysta pięćdziesiąt. Nie powiedziała mi, na co są jej potrzebne. Poinformowała tylko, że jedzie do Ventura, skąd powróci następnego dnia. Miałem wyjść po nią na stację.

Zaskoczyła go wiadomość, że Laura widziała się tego samego popołudnia z adwokatem w Los Angeles i mówiła mu o planach wyjazdu do Ventura nazajutrz. Nie umiał wytłumaczyć tej sprzeczności w jej informacjach.

Podobnie jak mechanik, Westlake szczerze mówił o swoich związkach z uroczą rozwódką. Poznał ją przez wspólnych przyjaciół. Prosiła go o pomoc w zainwestowaniu pewnej sumy, którą odziedziczyła. Za jego radą dokonała kilku zyskownych transakcji giełdowych i zakupiła działkę w szybko rozwijającej się dzielnicy Westwood. Właściwie to zajmował się wszystkimi sprawami finansowymi Laury, powiedział detektywom. Poza wspólnym rachunkiem bankowym mieli wspólny sejf depozytowy. Czy to jest miłość? Można to z pewnością tak nazwać. Westlake lubił pomagać Laurze. Przez dwa tygodnie siedział przy łóżku jej umierającej matki i Laura przysięgła mu wdzięczność do końca życia. Tak! Rozmawiali o małżeństwie, ale oboje chcieli być pewni przed podjęciem ostatecznej decyzji.

Czy Westlake wiedział o wrogach Laury, jeśli ich miała? Przy założeniu, że stała się ofiarą zbrodni, czy kogoś podejrzewał?

Nie, niski mężczyzna powoli wzruszył przecząco ramionami. Nie mógł nikogo wymienić, ale była pewna sprawa, o której policja powinna się dowiedzieć. Gdy któregoś wieczoru na początku marca spacerował z Laurą ulicą koło jej domu, zaczepił ich młody, podejrzanie wyglądający człowiek, który bez słowa uderzył Westlake'a w twarz, aż starszy człowiek upadł na ziemię i potłukł okulary. Potem zaczął atakować Laurę, ale jej krzyk zmusił go do ucieczki. Nie zgłosili tego wypadku policji, uznając, że atakujący był zwykłym porywaczem portfeli. Ale nie wyrwał grubego portfela Laury.

Detektywi wrócili do komendy, gdzie zastali posępnego kapitana Brighta.

- Gompert mówi, że włosy czaszki nie mają nic wspólnego z włosami pani Sutton - poinformował ich. Okazało się również, że mamy do czynienia z różnymi odcieniami. Nie ma

co do tego wątpliwości. A zatem rozpoczynamy wszystko od początku.

Zbici z tropu detektywi wydziału zabójstw odłożyli dochodzenie w sprawie Laury Belle Sutton i powrócili do mozolnych prób identyfikacji nieznanej okaleczonej ofiary. Jednakże porucznik policji Allen nadal energicznie zajmował się sprawą. Poleciał rozpowszechnienie na całym Zachodzie fotografii i opisu Laury. Skierował wielu detektywów do przesłuchania długiej listy jej przyjaciół i krewnych.

Tymczasem nadeszło nowe doniesienie z policji w Seattle, Washington. Pewna kobieta z północnej części miasta uważała, że ofiarą poćwiartowania może być jej siostra, która zniknęła w 1927 roku po wyjeździe z Seattle, aby udać się do Los Angeles w drodze do Chicago.

Opis znalezionej czaszki odpowiadał charakterystyce zewnętrznej tej zaginionej, a rysunek uzębienia był bardzo podobny.

Ludzie kapitana Brighta próbowali iść zatartym już śladem tej kobiety. Ale następnego dnia telefon porucznika Allena zelektryzował Brighta.

- Bill, rozmawiałem z fryzjerem Laury Sutton. Zdaje się, że nosiła przyprawiony warkocz, by ukryć utratę włosów. Możliwe, że próbka, która was zniechęciła do tego kierunku śledztwa, pochodzi z tego warkocza. Właśnie przejrzałem jej osobiste rzeczy w domu Westlake'a i znalazłem jej własne włosy, które przechowywała. Natychmiast je wam dostarczę.

Tym razem raport Gomperta potwierdził hipotezę. Nowa próbka odpowiadała pod każdym względem włosom okaleczonej ofiary. Aby uzyskać całkowitą pewność, Bright udał się do byłego męża i lekarza pani Sutton, dr. Johna Clayтона. Obaj powiedzieli, że tułów z kwadratowymi ramionami i wąskimi biodrami całkowicie przypomina jej figurę. Dobrze zachowane uszy były przekłute, a Laura nosiła kolczyki.

Ludzie szeryfa byli teraz całkowicie przekonani, że zamordowana kobieta była Laurą Belle Sutton. Dochodzenie ruszyło pełną parą. Detektywi zajęli się zbadaniem środowiska zarówno Franka Westlake'a, jak Lou Neala, a także dokładniej zapoznali się z przeszłością pięknej szatynki. Zasięgnęli infor-

macji o jej dawnym narzeczonym z czasów pierwszej wojny światowej. Wielu przyjaciół powtórzyło wiadomość o tajemniczym ataku na ulicy.

Teraz, kiedy się okazało, że chodzi o morderstwo, Westlake z widoczną niechęcią powiedział policjantom, że poważnie podejrzewa swego rywala Neala. Młody mechanik był według Westlake'a ogromnie zazdrosny i czasami zachowywał się gwałtownie. Dodał też złowieszczą informację, że Neal kiedyś pracował jako rzeźnik.

Na tej podstawie wezwano Neala na przesłuchanie do komendy.

- Niby dlaczego, stary capie?! - wybuchnął, gdy dowiedział się, że wezwanie zainspirował Westlake. - Jaki motyw miałbym mieć do zabicia Laury? To Frank zyska na jej śmierci!

Mechanik wyznał, że Westlake, będąc w wylewnym nastroju wkrótce po zaginięciu Laury, pokazał mu podpisany przez rozwódkę akt przekazujący mu na własność działkę w Westwood, kilka zaświadczeń o przekazaniu obligacji i rachunek na sprzedaż mebli. Była także polisa na pięćset dolarów na życie Laury, gdzie Westlake był wymieniony jako odbiorca odszkodowania.

- Bądź co bądź, wkrótce się pobierzemy - wyjaśnił mu rywal z uśmiechem.

Neal uważał, że to było dziwne, iż Laura nie powiedziała mu o tych aktach przekazania własności, szczególnie że działka została zakupiona głównie za jego wpłaty. Teraz wyjawiał detektywom pewną sprawę, o której przedtem nie wspominał obawiając się, że rzuci niesłuszne podejrzenie na Westlake'a.

20 marca, rozmawiając z księgowym swego chlebodawcy, zupełnie przypadkiem dowiedział się, że ostatnie cztery jego czeki zrealizował Frank Westlake. Gdy spytał o to Laurę w obecności Westlake'a, odpowiedziała wymijająco, że musiała je położyć w niewłaściwym miejscu. Neal wyciągnął wtedy czeki z kieszeni i pokazał podpis swego rywala.

- Oczywiście, że podpisałem te czeki - wybuchnął Westlake. - Wszystko w porządku, młody człowieku. Jestem doradcą finansowym pani Sutton i umieściłem je na naszym wspólnym koncie.

Gdy zaczęli się kłócić, Laura Belle nagle wyciągnęła z szuflady kredensu rewolwer i przyłożyła go do głowy.

- Nie zniosę tej wstrętnej kłótni! Zastrzelę się! - krzyknęła.

Neal odebrał jej rewolwer, rozładował go i zostawił bez słowa.

- A jeśli chodzi o jego gadkę, że byłem rzeźnikiem - dodał mechanik podejmując wyzwanie - to oczywiście prawda, ale to nie znaczy, że biegam po świecie krając ludzi! To bardziej pasuje do Franka Westlake'a. Czy wiecie, że kiedyś był doktorem... chirurgiem?

Badanie potwierdziło informację Neala o czekach. Co więcej, w banku okazało się, że po zainkasowaniu siedmuset pięćdziesięciu dolarów za podpisem Westlake'a w dniu 29 marca saldo końcowe rachunku skurczyło się do kilku dolarów. Archiwa hrabstwa ujawniły natomiast, że w dwa tygodnie po znalezieniu tułowia Westlake wpłacił przelew na działkę jedynie na swoje nazwisko.

Teraz przysłała kolej na zaproszenie Franka Westlake'a do komendy. Starszy pan wyraził zdziwienie, że są jakieś wątpliwości w sprawie czeków, rachunku sprzedaży mebli, przelewów i świadectw.

- Oczywiście, że zajmowałem się wszystkimi sprawami Laury. Mieliśmy się pobrać. Jeśli chodzi o meble, to zamierzaliśmy je sprzedać i wyprowadzić się do nowego domu. - Powiedział, że tylko on podpisał 29 marca czek na siedemset pięćdziesiąt dolarów, gdyż Laura miała rękawiczki na rękach!

Niechętnie zgodził się pokazać policji dokumenty przekazania własności i zostawił próbkę swego pisma. Dał im także stary rewolwer Laury, który był wśród jej rzeczy. Skromnie potwierdził, że kiedyś praktykował jako chirurg w hrabstwie Pike, Illinois, a potem był w służbach medycznych armii. Zmęczony praktyką medyczną, wycofał się przed piętnastu laty i przeniósł do Kalifornii. Tylko niewielu najbliższych przyjaciół znało jego dawny zawód.

Zwolniono Westlake'a z zastrzeżeniem, aby był do dyspozycji podczas dalszego dochodzenia, i wyznaczono dwóch detektywów do dyskretnej obserwacji go.

Frank Gompert zbadał rewolwer kaliber 38, ale nie znalazł na nim nic, co mogłoby posunąć sprawę - nie strzelano z niego

od wielu lat. Bardziej interesujące okazało się badanie eksperta daktyloskopii, J. Clarka Sellersa. Powiedział on, że wszystkie podpisy pani Sutton na dokumentach zostały* sfałszowane przez Franka Westlake'a.

Gdy pokazano mu dowody, były doktor wzruszył obojętnie ramionami.

- Tak, podpisywałem dokumenty jej nazwiskiem. Upoważniła mnie do tego. Nie chciała zawracać sobie głowy drobiazgami finansowymi. Prosiła mnie, abym podpisywał wszystko, co zechcę. Proszę zrozumieć, mieliśmy do siebie pełne zaufanie.

- Tak, widzę to - sucho powiedział kapitan. - Bądź co bądź, mieliście się pobrać.

Teraz, gdy śledztwo ruszyło pełną parą, przeciw zręcznemu w mowie sąsiadowi Laury zaczęło się zbierać coraz więcej dowodów. Przyjaciel jego byłej żony przyszedł z suknią, którą dał jej Westlake na początku kwietnia mówiąc, że należała do zmarłej przyjaciółki. Rozpoznano, że była to suknia Laury.

Właściciel sklepu z kwiatami w Ałhambrze, na podstawie fotografii Westlake'a, stwierdził, że kupował on kilkakrotnie w kwietniu i maju czerwone goździki.

Sprawa zacieśniała się. Bright omawiał ze swymi zwierzchnikami celowość aresztowania Westlake'a na podstawie poszlak, gdy 24 maja zjawił się w wydziale uśmiechnięty doktor z kartką, którą właśnie otrzymał od Laury Belle z Arizony. Była napisana czyściutko na maszynie.

Mój drogi, co zrobiłeś z umebłowaniem i ptaszkami? Jeśli je zmagazynowałeś, podaj adres. Czy pan Neal dalej jest w mieście? Na jakiej pracuje zmianie? Proszę, odpowiedz na te pytania w jakiegokolwiek gazecie w dziale ogłoszeń osobistych. Do zobaczenia wkrótce.

Kartka była podpisana ołówkiem inicjałami *L.B.S.* Doktor nie miał koperty. Powiedział, że wyrzucił ją w zdenerwowaniu, ale zapewnił kapitana Brighta, że została nadana w Holbrook w Arizonie. Był przekonany, że wiadomość była prawdziwa, i zamierzał odpowiedzieć, zgodnie z prośbą nadawcy.

Choć kapitan Bright nie przywiązywał wagi do tej korespondencji, zatelegrafował do policji w Holbrook, by odszukali kobietę odpowiadającą wyglądowni Laury. Niebawem okazało

się, że inicjały nie zostały podpisane ręką Laury, ale i nie Westlake'a.

Tego samego wieczoru detektywi Gray i Allen śledzili podejrzanego jadącego do syna w Pasadenie. Zobaczyli go wchodzącego ukradkiem do garażu z tyłu ogrodu. Gdy wyszedł, przeszukali garaż. Pod krokwiami znaleźli owinięte gazetą z 24 marca instrumenty chirurgiczne, wśród których brakowało noży i skalpeli.

Choć miało to bardzo wielkie znaczenie, nie stanowiło jeszcze konkretnego dowodu. Ciągłe trzeba było pamiętać o kartce z Arizony. To się jednak szybko wyjaśniło. Zgłosił się przyjaciel i daleki krewny Westlake'a, zeznając, że dawny doktor prosił go o napisanie na maszynie kartki, by „zrobić kawał przyjacielowi”. Doręczył policji wzór tej kartki nagryzmołony ołówkiem. Dał mu ją Westlake, a on roztropnie schował ją w sejfie.

Dodał ponurą informację, że jego dziadkowie, państwo W. H. Brown, którzy dzielili dom z Westlake'em i jego żoną, zmarli nagle w krótkich odstępach czasu w 1927 roku. Cały majątek, włącznie z domem, zostawili Lizzie Westlake. W parę miesięcy później Lizzie nagle zmarła. Frank był jej jedynym dziedzicem. Świadczenia zgonu całej trójki, która cieszyła się dobrym zdrowiem, podpisał lekarz, przyjaciel Westlake'a. To wzbudziło podejrzenia krewnych, którzy udali się nawet do prokuratora okręgowego, ale ten im powiedział, że nie było dowodów, by mógł wszcząć dochodzenie.

Opowieść o napisanej na maszynie kartce wystarczyła do przechylenia języczka wagi dowodów. Prokurator okręgowy uzgodnił z szeryfem, że nadszedł czas akcji. Gray i Allen zatrzymali byłego doktora i umieścili go w areszcie jako podejrzanego o morderstwo.

Teraz milczący, z błyszczącymi wrogością stalowo-szarymi oczyma, Westlake zaangażował adwokata, który próbował go uwolnić na zasadzie nieustalenia rzeczowego dowodu przestępstwa - nie było dowodu, że znaleziony tułów jest częścią zwłok Laury Sutton.

Gompert, chemik miejski Rex Welch i inni eksperci współpracowali z dentystą Laury i jej lekarzem, spokojnie zbierając

dowody do identyfikacji zwłok. Koroner Frank Nance zwołał przesłuchanie przez sąd przysięgłych w celu ustalenia tożsamości, na którym lekarze i technicy przedstawili dowody. Przysięgli wydali wyrok, że wyłowione z rzeki szczątki są częścią zwłok Laury Belle Sutton i że została zabita tępym narzędziem z intencją pozbawienia jej życia.

Wkrótce zostały też zebrane inne nie dowiedzione wątki. Westlake'a formalnie oskarżono o morderstwo. Oskarżony zeznał, że jest niewinny. W czasie gdy doktor bezpiecznie siedział za kratami, Gompert i Welch - poszukując miejsca zbrodni i poćwiartowania zwłok - szczegółowo przeszukali dom oskarżonego. Rozbierając urządzenia łazienki u wylotu przewodu wanny, znaleźli wielką ilość zakrzepłej krwi ludzkiej. Krew była także na ścianie za wanną.

Badając dokumenty finansowe Franka i Laury, detektywi Brighta ustalili, że rozwódka miała czterysta pięćdziesiąt dolarów w portfelu w domu przed 29 marca. To wskazywało, że Westlake zainkasował całe siedemset pięćdziesiąt dolarów dla siebie, prawdopodobnie nie informując jej. Odkryli także, że Westlake płacił składki ubezpieczeniowe na życie Laury. Posądzali go też o kradzież bonów, ale tego nie mogli udowodnić.

Lou Neal, całkowicie oczyszczony z zarzutów, ściśle współpracował z policją w czasie dochodzenia.

Prokurator okręgowy Wayne Jordan przedstawił cały materiał dowodowy na przesłuchaniu wstępnym. Niewzruszony twierdzeniem oskarżonego, że Laura żyje, sędzia R. Morgan Galbreth wydał rozporządzenie przedstawienia oskarżenia przed Sądem Najwyższym.

W czasie oczekiwania na tę rozprawę z policji hrabstwa Pike, Illinois nadeszła informacja, która powiązała Westlake'a z innym morderstwem wraz z odcięciem głowy, prawie trzydzieści lat wcześniej. W 1900 roku znaleziono w studni szkielet długo poszukiwanego zamożnego farmera Josepha van Zandta, pacjenta dr. Westlake'a. Jego głowa została odcięta z chirurgiczną wprawą. Młody doktor, który dziedziczył po farmerze, był podejrzany i przesłuchany przez sąd przysięgłych, ale nie było dowodów do postawienia go w stan oskarżenia.

Inne przykre doniesienia z czasów praktykowania łączyły doktora z dokonywaniem aborcji.

27 sierpnia 1927 roku Westlake stanął przed sędzią Sądu Najwyższego Waltonem J. Woodem. Makabryczna głowa i tułów, ciągle bez ramion i nóg, leżały na stole sędziowskim w czasie procesu. Prokurator Jordan żądał kary śmierci, utrzymując, że były lekarz zabił Laurę Belle w celu zdobycia jej pieniędzy i dóbr. Zakładał on, że kiedy pani Sutton odkryła, że Westlake zainkasował siedemset pięćdziesiąt dolarów z ich wspólnego rachunku, poszła do jego domu z pretensją. Wtedy on uderzył ją młotkiem i poćwiartował jej ciało w wannie. Liczni świadkowie złożyli obciążające zeznania.

Obrona dr. Westlake'a utrzymywała, że Laura żyje. Jego adwokaci kwestionowali identyfikację tułowia, przedstawiając formalne świadectwo, że to jest ciało młodej kobiety. Westlake odrzucał zarzut, jakoby kartka podpisana *L.B.S.* była sfabrykowana. Utrzymywał, że jest prawdziwa. Powtórzył opowieść o tajemniczym napadzie na ulicy.

Jednakże dowody były przekonujące i 8 września, po trzydziestu jeden godzinach dyskusji, sąd przysięgłych składający się z dziewięciu kobiet i trzech mężczyzn uznał Westlake'a winnym zabójstwa pierwszego stopnia. W związku z poszlakowym charakterem sprawy zalecił raczej dożywotnie więzienie niż karę śmierci. Uśmiechając się chłodno, niski, siwy człowiek słuchał 17 września sędziego Wooda skazującego go na dożywocie w San Quentin.

Jego apelacja została odrzucona. Uwięziono go, choć nadal głosił, że jest niewinny. Odsiedział czternaście lat. Kiedy go zwolniono warunkowo w 1944 roku, był starym, chorym, rozbitym człowiekiem w wieku siedemdziesięciu jeden lat. Zmarł 30 stycznia 1950 roku, ciągle pozostając na wolności warunkowo.

Nota wydawcy

Dane Louisa Neala są fikcyjne.

Joseph L. Koenig

ŚMIERĆ ROZDZIELIŁA KOCHANKÓW, NAD KTÓRYMI ZAWISŁO ZŁOWROGIE FATUM

Porywiste listopadowe wiatry przynoszą z gór jesienne przymrozki, a wraz z nimi nadciągają jastrzębie; tysiące jastrzębi lecących w stronę wzniesień wschodniej Pensylwanii zaciemnia czyste jesienne niebo. Za jastrzębiami dawniej pojawiali się myśliwi. Zbierali się na szczycie Hawk Mountain i brutalnie, okrutnie strącali ptaki ogniem strzałów na ziemię. Jakies pięćdziesiąt lat temu na zatłoczonej drodze lotu jastrzębi powstał rezerwat ptaków i krwawe polowania w okolicach Hawk Mountain należą już do przeszłości.

W mroźny poranek, 15 listopada 1984 roku o 10.45 rano, nieczęsto spotykany o tej porze wędrowiec pojawił się na dwupasmowej tłuczniowej drodze w odległości pół mili od sanktuarium ptaków w West Brunswick. Zbierał puszki i butelki. Nagle zobaczył coś, co zmroziło mu krew w żyłach.

W śpiworze, przykrytym szarym filcem, jakiego używa się do ocieplania, znajdowały się zwłoki tęgiej ciemnowłosej kobiety w wieku około dwudziestu pięciu lat. Jej roztrzaskana czaszka była bryłą skrępej krwi. Mężczyzna długo przyglądał się makabrycznemu znalezisku, po czym wezwał pomoc z najbliższego telefonu.

Przybyła policja stanowa Schuylkill z Pensylwanii z policjantem konnym Eugene R. Taylorem. Gdy odchyłono filcową zasłonę i otworzono śpiwór, Taylor zobaczył, że martwa kobieta leży na brzuchu; jej biały sweter jest nasiąknięty krwią, rude spodnie są rozdarte z tyłu, a rajstopy i majtki zsunięte na uda. Przeszukanie najbliższego sąsiedztwa przyniosło niewiele dodatkowych dowodów. Żaden z nich nie mógł pomóc w ustaleniu tożsamości kobiety. Gdy specjaliści medycyny sądowej ukończyli pracę, przewieziono zwłoki do kostnicy, gdzie miała się odbyć sekcja, a ufano, że także identyfikacja zwłok.

Policja stanu Keystone przez dwa dni nie zdołała ustalić nazwiska ofiary z Hawk Mountain. Dr Richard Bindie, patolog szpitala w Pottsville, potwierdził, że kobieta niewątpliwie została zamordowana - zadano jej liczne rany głowy ciężkim, tęnym narzędziem. Ale to nie pomogło ustalić tożsamości ofiary.

17 listopada z odległości 75 mil, z okręgu miasta Manalapan, New Jersey, nadeszła wiadomość o zaginięciu Teresy C. Taylor, dwudziestopięcioletniej matki niemowlęcia płci męskiej. Kobieta, ważąca sto pięćdziesiąt funtów wagi i mierząca pięć stóp trzy cale, zniknęła. Zaginięcie jej zgłosił mąż w dniu znalezienia zwłok w rezerwacie.

Ponieważ opis zaginionej ściśle odpowiadał ofercie mordu, połączono się telefonicznie z Manalapan, w pobliżu wybrzeża Altantyku; zamożni mieszkańcy tego okręgu należą do klasy średniej. Niedługo potem dwoje krewnych zaginionej kobiety przyjechało do Pensylwanii. O godzinie 3.55 dokonali formalnej identyfikacji zwłok.

W Knolls, gdzie mieszkali Taylorowie, wiadomość o strasznej śmierci Teresy spotkała się ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

- To bardzo smutne - powiedział ktoś z sąsiadów. - Pobrali się dopiero w zeszłym roku, a sprowadzili tutaj niecały rok temu, przed Bożym Narodzeniem. Dziecko ma zaledwie pięć miesięcy. Jak mogło do tego dojść? To nie do wiary! Straszne!

Inny sąsiad przypomniał sobie, że był zaproszony do ich domu na herbatę z lodem, gdy Teresa była jeszcze w szpitalu z noworodkiem.

Sąsiad powiedział o mężu Teresy, doktorze Taylorze, dentyście ze Sta ten Island, New York, że doktor „przewyższał żonę”. Tylko raz rozmawiał z panią Taylor. Powiedziała mu, że jej ciąża jest trudna i nie może wejść nawet na drugą kondygnację domu, aby zobaczyć pokój, przygotowany dla dziecka.

Inna sąsiadka zauważyła:

- Zdaje się, że nigdy nie wychodziła z domu. Słyszałam, że mają sześć kotów.

Wiele osób jednakże ich odwiedzało. Organizowali przyjęcia w ogrodzie.

- Pamiętam, jak powiedziałam mojemu mężowi - powiedziała kolejna sąsiadka - że mając dziecko trzeba wychodzić po zakupy i do lekarza. Ale jej się nie widziało wychodzącej.

Jak się dowiedzieli oficerowie śledczy, Teresa C. Taylor ukończyła katolicką szkołę średnią na Staten Island i uzyskała w Miejskim College'u Nowego Jorku dyplom z higieny dentystrycznej. Jej trzydziestopięcioletni mąż, były porucznik marynarki USA, uczęszczał do szkoły średniej Oakhill w Cincinnati, Ohio i do Bali - stanowego uniwersytetu w Muncie, Indiana, gdzie uzyskał doktorat z chirurgii stomatologicznej. Para spotkała się około dwu lat przed śmiercią Teresy, w czasie jej pracy w klinice dentystrycznej w Brooklynie w Nowym Jorku. Pobrali się mniej więcej po roku i zamieszkali na Staten Island aż do przeprowadzki w okolice Manalapan.

Dr Taylor, jak zgodnie uważali sąsiedzi, był młodym człowiekiem z olbrzymią przyszłością. Był właścicielem dwóch klinik dentystrycznych na Staten Island - jednej na Grandview Avenue, drugiej na Jersey Street. Nie sprzeciwił się przeszukaniu

domu i samochodu. Zgodził się też przyjść do siedziby policji okręgu Manapalan, aby opowiedzieć szczegółowo, co wiedział o ostatnich godzinach życia żony.

Powiedział detektywom, że trudno było przewidzieć jej zachowanie ze względu na uzależnienie od kodeiny. Wcześniej rano 11 listopada, gdy się obudził, znalazł ją „znowu pod-ekscytowaną narkotykiem”. Była nerwowa i przygnębiona. Powiedziała mu, że już nie może zajmować się dzieckiem i potrzebuje „oczyszczenia”. Taylor poradził jej wizytę u psychiatry, ale odrzuciła to i ponownie zasnęła.

- Między godziną 8 a 8.30 rano - mówił dalej Taylor - Teresa obudziła się mówiąc, że musi wyjechać. - Zaznaczyła, żeby nie mówił o tym nikomu. Parę godzin później zawiózł ją do Newark International Airport i zostawił tam w hallu odprawy podróżnych z około milionem dolarów w gotówce. Zapowiedziała, że wróci za dwa tygodnie.

Dalej Taylor opowiedział, że wrócił do domu i po spakowaniu niezbędnych rzeczy do samochodu skierował się na zachód, do domu swoich rodziców w Indianie. Teresa chciała, aby w czasie jej nieobecności jego rodzice zajęli się dzieckiem. Taylor powiedział, że pierwszego dnia dojechał do Pensylwanii, gdzie spędził noc w motelu. Następnego dnia późnym wieczorem dotarł do Indiany, gdzie zostawił dziecko, i udał się z powrotem na wschód, odwiedzając po drodze żonę i córkę w Pittsburgu. Następnego wieczoru wrócił do New Jersey i poszedł do baru na Staten Island.

Kiedy Teresa nie dała znaku życia, zgłosił jej zaginięcie na policji, a potem sam zabawił się trochę w detektywa, bezskutecznie szukając tropu na lotnisku. Następnie udał się do Pittsburga. Tam rodzice powiedzieli mu, że znaleziono ciało Teresy.

To gładkie przesłuchanie nagle przerwali detektywi, którzy właśnie skończyli przeszukanie domu Taylora. W garażu przy rezydencji na Valley Road znaleźli kolczyk ze śladami zeschniętej krwi, dokładnie przypominający ten, który miała w uchu Teresa, gdy odkryto jej zwłoki.

Porucznik policji okręgu Manalapan, Peter Vanderwiell i porucznik William Lucia z prokuratury hrabstwa Monmouth

Śmierć rozdzieliła kochanków, nad którymi zawisło złowrogie fatum 345

powiedzieli Kennethowi Taylorowi, że nie sądzą, by rozmawiał z nimi szczerze, i doradzili mu, aby mniej mijał się z prawdą. Zarządzono krótką przerwę. Gdy ponownie podjęto przesłuchanie, Taylor wystąpił z inną opowieścią.

Tym razem utrzymywał, że rano 11 listopada złapał swoją żonę, jak napastowała seksualnie ich pięcioletniego synka. Uciekając dogonił w dalszym pokoju, gdzie rzuciła w niego ciężkimi hantlami. Powiedział, że ledwo uniknął uderzenia, wyrwał metalowy przyrząd z jej rąk i rzucił w nią.

- Nie mogłem dłużej tego znieść - przyznał się - zabierała moje recepty i kradła pieniądze. Po prostu nie mogłem tego dłużej znieść!

18 listopada oskarżono trzydziestopięcioletniego dr. Kennetha Taylora o morderstwo żony Teresy.

- Uważam, że mąż jest wyłącznie odpowiedzialny za jej śmierć - powiedział pierwszy zastępca prokuratora hrabstwa Monmouth Paul Chalet.

Postawiony w stan oskarżenia Taylor wystąpił przed sędzią sądu miejskiego Leslie B. Tinklerem. Nie przyznał się do winy. Pomimo zgłoszenia kaucji w wysokości pięciuset tysięcy dolarów, został przeniesiony z więzienia hrabstwa Monmouth do więzienia okręgu Freehold.

Adwokat Taylora w krótkim wywiadzie dla prasy powiedział, że denatka, zatrudniona jako pomoc dentystyczna w klinice męża na Staten Island, wzięła duże ilości kodeiny i kokainy i była w stanie ośpienia narkotycznego, gdy prawdopodobnie napastowała seksualnie dziecko.

- Uważam, że śledztwo wykaże, że jego żona była narkomanką, że rzeczywiście działała na szkodę dziecka, co stało się przyczyną wypadku - powiedział.

Natomiast krewni żony próbowali przedstawić dr. Taylora jako narkomana; mówili, że często wypisywał recepty na imię żony, a sam brał narkotyki.

Poprzedni chlebodawca Teresy zeznał, że wróciła z miesiąca miodowego w Meksyku w 1983 roku tak pobita, że zanim wróciła do pracy, musiała być parę tygodni hospitalizowana w szpitalu na Staten Island. Teresa tłumaczyła wtedy, że została napadnięta przez „bandę Meksykanów”; po powrocie do

zdrowia zdawała się być „całkiem szczęśliwa” aż do czasu, gdy zwolniła się z pracy z powodu dziecka.

W dwa miesiące po zamordowaniu Teresy z dokumentów procesowych zebranych w 1985 roku przez prokuratora Chaie-ta wynikało, że przed sześcioma laty dr Taylor był oskarżony o próbę zamordowania swej byłej żony. Trzykrotnie zamężna druga żona dentysty zeznała policji, że w 1979 roku Taylor usiłował ją zabić w czasie snu gąbką nasączoną chloroformem. W następstwie domniemanej próby zabójstwa Taylor badał się u licznych psychiatrów. Później jednak, na wniosek byłej żony, zaniechano dochodzenia.

W materiale dowodowym znalazł się dokument stwierdzający, że dwaj współpracownicy Taylora w klinice na Brooklynie, gdzie pracował od lipca 1980 do lipca 1983 roku, zgłosili, że podejrzany o morderstwo ukradł im cztery do pięciu tysięcy dolarów. Po-tem wyjaśnił im, że potrzebował tych pieniędzy na koszty miesiąca miodowego. Po powrocie z Meksyku nie zgłosił się do pracy.

Chaiet stwierdził także, że do jego biura zwrócił się funk-cjonariusz z banku marynarki „Navy Credit Union” w Wirgi-nii, z informacją, że Taylor jest im winien około dwudziestu sześciu tysięcy dolarów. Dalej Chaiet oznajmił, że jego biuro próbowało zainteresować się pobiciem Teresy Taylor w czasie miodowego miesiąca młodej pary w lipcu 1983 roku w Acapul-co. Choć Taylor zeznał, że Teresę pobili mężczyźni, którzy wdarli się do ich pokoju, rodzina jego żony utrzymywała, że to dentystę zatrzymała wtedy meksykańska policja.

Na rozprawie o morderstwo przypisywane Kennethowi Taylorowi, w ostatnim tygodniu maja 1985 roku, prokurator Chaiet powiedział:

- Będę wnioskował skazanie tego oskarżonego za morder-stwo, gdyż to, co zrobił roztrzaskując głowę Teresy 11 listopada 1984 roku, było morderstwem.

Omawiając zarzut oskarżonego, że denatka napastowała seksualnie ich pięciomiesięczne dziecko, stwierdził:

- Ta opowieść jest tylko perwersyjnym opowiadaniem po-nurego, wyrachowanego umysłu.

Obrońca oskarżonego dowodził, że jego klient zabił swoją żonę w samoobronie, potem jak ona po napastowaniu seksual-

nym ich dziecka rzuciła w niego hantlami w otumanieniu narkotycznym. Po tym ciosie upadł na podłogę, znalazł inne hantle i rzucił nimi w kobietę. Następnie stracił przytomność, a gdy ocknął się, stwierdził, że Teresa nie żyje.

- Zdając sobie sprawę z tego, co zrobił, Taylor wpadł w panikę. Chciał popełnić samobójstwo - powiedział adwokat zaznaczając, że miał się otruć tlenkiem węgla. - Ale nie mógł się na to zdobyć.

- Taylor - mówił dalej adwokat - jest winien utrudnienia śledztwa policji... udzielenia fałszywych informacji, ale to nie jest przedmiotem tej rozprawy. To nie jest morderstwo, to tragedia rodzinna. Nie było to małżeństwo bez problemów, ale kochali się i troszczyli o siebie.

W poniedziałek, 3 czerwca, patolog dr Bindie, który wykonał sekcję zwłok, poinformował sąd przysięgłych, że hantle, które detektywi znaleźli w domu Taylorów, mogły spowodować śmiertelne rany Teresy Taylor.

Oficer śledczy Glenn Meyer z prokuratury w Montmouth powiedział, że badanie krwi z hantli, z plam znalezionych w samochodzie Taylora i w ich domu - włącznie z mierzącą pięćdziesiąt pięć stóp drogą od siłowni do garażu - potwierdza oskarżenie. Dodał, że przy przeszukiwaniu samochodu znaleziono mapę drogową Pensylwanii otwartą na stronie pokazującej hrabstwo Schuylkill.

We wtorek, 4 czerwca, toksykolog z Willow Grove w Pen-sylwanii zeznał, że choć znalazł ślady kodeiny i alkoholu we krwi Teresy Taylor, nie uważa, żeby poziom ich był na tyle wysoki, aby mógł wywołać agresywne zachowanie kobiety. Obecność alkoholu w jej organizmie przypisał naturalnej fermentacji cukru w tkankach po śmierci. Poziom kodeiny odpowiadał ilości używanej do celów terapeutycznych. Kokai-ny nie było.

Obrońca oskarżonego wysunął przypuszczenie, że dziw-ne zachowanie denatki można wyjaśnić obecnością innych narkotyków, których świadek nie brał pod uwagę. Adwo-kat wysunął także możliwość napięcia przed menstruacją i depresję poporodową jako czynniki wpływające na zachowa-nie kobiety.

Inny świadek oskarżenia, krewna Teresy Taylor zeznała, że w przeddzień śmierci kuzynki rozmawiała z nią o stosunkach seksualnych w okresie ciąży.

- Teresa nie odmówiłaby mi po batach, jakie dostała któregoś wieczoru - przerwał dyskusję mąż.

- Myślałam, że to żart - zeznała, szczególnie że nie zauważyła zasinień u Teresy.

Stwierdziła, że Teresa była kochającą matką. Dalej wyznała, że wraz ze swoim narzeczonym któregoś wieczoru w lecie 1984 roku zażyli kokainę z Taylorami. Przypomina sobie, że było im ciężko poczuć się „na haju”, dopóki nie napili się alkoholu.

Kobieta powiedziała jeszcze, że Teresa Taylor brała pigułki na schudnięcie, kodeinę na zęby i jeszcze jakiś lek.

Po odizolowaniu ławy przysięgłych, którzy mieli nie słyszeć następnego zeznania, pewna kobieta z Long Island oświadczyła, że spotkała Kennetha i Teresę Taylorów w Acapulco w Meksyku w 1983 roku. Po kilku dniach zobaczyła oskarżonego w hallu hotelu. Miał zmierzwione włosy, był nie ogolony i ponury. Byli z nim dwaj policjanci, a on czekał na wejście do sejfu hotelowego, gdyż potrzebował przekazać pieniądze na kaucję. Taylor spytał ją, czy pożyczycy mu pieniędzy, gdyby mu zabrakło. Odpowiedziała odmownie.

Świadek dalej zeznała, że Taylor wyjaśnił jej, iż spędził cztery dni w areszcie po awanturze z młodą żoną.

Wybiłem jej zęby - powtórzyła jego słowa.

- Powiedział wtedy: *Wiesz, jak to jest. Wypiliśmy parę kieliszków i zaczęliśmy się bić.*

Bliski krewny Teresy Taylor zeznał przed sądem, że amerykański konsul w Acapulco zawiadomił go, że Teresę trzeba było hospitalizować, a Kenneth został oskarżony o jej pobicie. Gdy krewny przyleciał do Meksyku i zobaczył młodą kobietę w szpitalu, prawa strona jej twarzy była zabandażowana, a lewa bardzo spuchnięta. Przednie zęby były złamane.

Pamiętam jedynie, że poszłam spać w hotelu, a jak się obudziłam, byłam w szpitalu - powiedziała mu Teresa.

Dodała, że jej dopiero co poślubiony mąż tak by jej nie skrzywdził. *Ken mnie kocha i nie zrobiłby mi tego.*

10 czerwca konsul brytyjski w Acapulco zeznał, że opowiedziana przez Kennetha Taylora historia o napadzie na nich miejscowych chuliganów w czasie miesiąca miodowego *była możliwa, ale wysoce nieprawdopodobna.*

Zastępca dyrektora hotelu, w którym mieszkali Taylorowie, zeznał, że około dziesiątej wieczorem, gdy przyjął telefon z pokoju Taylorów, usłyszał jęklivy męski głos: *bić, bić, atak sercowy.*

Po przyjsciu do ich pokoju zobaczył oskarżonego półprzytomnego, na podłodze koło łazienki. Woda z prysznicza zalewała pokój, a Taylor w szortach i koszuli był mokry do kolan. Na rękach miał krew.

W pokoju leżały porozrzucone kawałki szkła z lampy i zielonej butelki przysłanej z baru. Na obrusie, łóżku i jednej ścianie były krople krwi. Teresa, obficie krwawiąca, nie poruszała się. Leżała na podłodze.

- Zobaczyliśmy, że była w fatalnym stanie - powiedział świadek. - Rzeczywiście w fatalnym. Wiele krwi. Kobieta miała podcięte gardło.

Świadek dodał, że gdy policja przyprowadziła do szpitala męża, Teresa go uścisnęła i poprosiła, że chce zostać z nim sama. Potem powiedziała, że powinni go zwolnić z aresztu.

Kenneth Taylor był ostatnim z jedenastu świadków zeznających o tym wypadku. Zaprzeczył zarzutom, że pobił żonę w pokoju hotelowym w Acapulco.

Po tym zdarzeniu, powiedział, spędził cztery dni w więzieniu meksykańskim i został zwolniony dopiero po zapłaceniu łapówki strażnikom.

- Powiedziano mi w więzieniu, że po zapłaceniu pięciuset dolarów mogę wyjść i zobaczyć żonę.

Taylor utrzymywał, że oboje już spali, gdy obudził go hałas. Po sprawdzeniu drzwi do patio, w których był zepsuty zamek, kładł się z powrotem do łóżka, gdy dostał cios w głowę z prawej strony. Następnie ktoś wyciągnął go z łóżka za nogi i kopnął w kark, gdy chciał wstać.

- Pamiętam, że zobaczyłem wszystkie gwiazdy - powiedział. - Dodał, że spadając na podłogę spostrzegł jeszcze inną osobę z drugiej strony łóżka.

- Następnie pamiętam, że obudziłem się i zobaczyłem żonę zakrwawioną.

Taylor wyjaśnił, że na czworakach dotarł po potłuczonym szkle do Teresy, by zbadać jej puls, a potem zatelefonował do recepcji hotelowej prosząc o pomoc. Następnie zemdłał i upadł na podłogę w łazience.

Po zakończeniu zeznań Taylora sędzia Sądu Najwyższego Michael D. Farren stwierdził, że nie wierzy w tę opowieść, i pozwolił, żeby zeznanie w sprawie incydentu w Acapulco dotarło do ławy przysięgłych.

- Dla mnie to jest niewiarygodne - stwierdził sędzia. - Jego zachowanie po tym, co się stało, mówi samo za siebie. Kobieta jest zmalretowana, ma rozbitą głowę, może powinienem raczej powiedzieć zmasakrowaną głowę? Co on wtedy robi? Bada jej puls, wychodzi na balkon i udaje, że zemdłał. Potem wchodzi do łazienki i bierze prysznic, gdy jego żona umiera na podłodze obok.

Sędzia dodał, że trudno mu uwierzyć, iż dentystę mierzącego sześć stóp i jeden cal, o wadze dwustu funtów, mógł zmóc „niewielki guz na głowie”.

Sędzia Farren powiedział, że uważa za „bardzo wiarygodne” zeznanie kobiety, że Taylor powiedział jej, iż wybił żonie zęby potem, jak ugryzła go w stopę.

W ostatnim słowie skierowanym do ławy przysięgłych adwokat nazwał incydent w Acapulco „ukartowanym oskarżeniem”.

- Nie przypominam sobie, aby na tym miejscu świadków stanął jakiś policjant meksykański i zeznał, że dr Taylor podniósł rękę na swoją żonę.

Adwokat opisał swego klienta jako *trzydziestopięcioletniego człowieka wchodzącego w najlepszy okres życia*, podczas gdy jego żona była dwudziestopięcioletnią kobietą, której oczekiwania często kłóciły się z rzeczywistością. Przypomniał ławie przysięgłych, że świadkowie zeznawali, iż Taylor bardzo kochał synka, którego urodzenie zdawało się przybliżyć parę uczuciowo.

- Obydwoje mówili o sobie tylko pozytywnie. Jeśli Teresa nie zażywała kodeiny, była dobrą matką. Wszystko układało się dobrze.

Śmierć rozdzieliła kochanków, nad którymi zawisło złowrogie fatum 351

Adwokat wezwał sędziów przysięgłych, by oceniając wyznanie Taylora, że złapał żonę na próbie molestowania seksualnego ich syna, kierowali się zdrowym rozsądkiem, by spojrzeli na to oczyma ojca, który obawiał się o swoje dziecko.

- Czy to miałoby być opowiadanie sfabrykowane dla celów procesu? - spytał. - Czy możecie sobie wyobrazić przerażenie ojca, który widzi, co się dzieje? To nie jest rozprawa o morderstwo, to jest tragedia rodzinna. Nie ma tu zwycięzców - zakończył. - Od samego początku zawisło nad nimi złowrogie fatum. Los nie był dla nich życzliwy.

Prokurator Chalet starał się uzmysłowić sędziom, że Taylor jest kłamcą. Wypowiedzi wyjaśniające śmierć Teresy Taylor nie są tak logiczne jak dowód matematyczny - stwierdził. - Dla nikogo nie powinno być jednak tajemnicą, że oskarżony jest mordercą.

Chalet zwrócił uwagę sędziów przysięgłych na postępowanie Taylora po śmierci żony. - Powinien być załamany, powinien szukać pomocy. A tymczasem co on robi? Owija zwłoki w koc i zostawia je w lesie. Czy to przypomina rodzinną tragedię, o której tyle się tutaj mówiło?

Chalet przypomniał ławie przysięgłych, że Teresa Taylor w chwili śmierci nie była pod wpływem wzmożonej aktywności po zażyciu narkotyków. Nawet gdyby opowieść męża była prawdziwa, stwierdził, Taylor byłby winny morderstwa.

- Czy uwierzycie, że śmiertelnie zagrażała jego życiu? Nawet gdybyście państwo w to uwierzyli, to jakim sposobem mogła go zabić, gdy zabrał jej hantle? Gdy bliżej się nad tym zastanowicie, dojdziecie do wniosku, że to nie był przypadek. To być świadomy, celowy czyn.

We wtorek, 18 czerwca, po trzyipółgodzinnej dyskusji ława składająca się z dziesięciu mężczyzn i dwóch kobiet uznała Kennetha Z. Taylora winnym morderstwa żony. Sędzia Farren zarządził przetransportowanie go do więzienia hrabstwa Monmouth, aby tam czekał na wyrok, który miał zapasć 27 września. Zgodnie z nowym prawem New Jersey Taylora czeka nieodwołalnie skazanie na dożywocie bez prawa do zwolnienia warunkowego przed upływem trzydziestu lat uwięzienia.

Julie Malear

„ANIOŁ MIŁOSIERDZIA” KOI BÓL ZA POMOCĄ PIŁY

W marcu 1988 roku świt rozjaśnił czyste niebo nad West Palm Beach na Florydzie. Od brzegów piaszczystej plaży na wschód od autostrady do bagnistych Everglades na zachodnim obrzeżu, wczasowicze wylegiwali się w prawie tropikalnym słońcu. Delikatny powiew wiatru poruszał kwiatami drzew mango, kołysał żaglami łodzi i wzdymał jaskrawe stroje turystów tłumnie zjeżdżających tu na „sezon”. Był to typowy dzień na Florydzie.

Niestety, nietypowy dla emerytowanej nauczycielki Ruth Ann Nedermier, wdowy o królewskiej postawie, siwowłosej, o śmiejących się orzechowych oczach. Podziwiali ją zarówno jej dawni uczniowie, jak ich rodzice. W wieku siedemdziesięciu dwóch lat Ruth cieszyła się doskonałym zdrowiem. Dokuczały jej jedynie następstwa wymiany stawu biodrowego na sztuczny. Tego dnia, jak zwykle, odpoczywała krótko w łóżku.

Choć regularnie przychodził do Ruth młody, sympatycznie wyglądający rehabilitant, aby uczyć ją chodzić z protezą, choć codziennie zjawiała się pomoc pielęgniarska, starsza pani była jeszcze trochę upośledzoną w ruchach inwalidką. Mogła poruszać się po swoim niewielkim, schludnym domu za pomocą balkoniku na kółkach, ale w gruncie rzeczy była uzależniona od pomocy pielęgniarskiej lub przyjaciół; gdy chciała wyjść, musiano zawozić ją samochodem. Częściej jednak prosiła pomocnicę, by załatwiała jej sprawy i zakupy.

Przez otwarte drzwi swego pokoju widziała teraz kręcącą się po domu pielęgniarkę, przygotowującą się do wyjścia. Była to ładna dwudziestotrzyletnia kobieta o czekoladowej skórze i ciemnych, dużych oczach; mówiła poprawnie i była dość wykształcona. Miała małego synka, który w czasie jej pracy przebywał w przedszkolu. Ruth Nedermier lubiła tę dziewczynę bardziej niż poprzednie pomocnice. Przedtem zatrudniała ich kilka - wszystkie za pośrednictwem tej samej agencji.

Ruth Nedermier w jasnoblękitnej podomce i wzorzystych błękitno-różowych pantoflach domowych właśnie zeszała z łóżka, gdy zadzwonił telefon. Słyszała, że pielęgniarka podniosła słuchawkę i coś powiedziała. Za chwilę weszła do sypialni i pomogła Ruth przyjąć telefon. Następnie pomachała ręką na do widzenia i wyszła. Była godzina trzecia.

Telefonowała urzędniczka z banku. Po opisaniu kilku ostatnich transakcji bankowych kobieta spytała, czy Ruth jest sama w domu. Gdy dowiedziała się, że pielęgniarka właśnie wychodzi, oznajmiła, że zadzwoni później, gdy nie będzie nikogo w pobliżu.

Jej słowa zmroziły Ruth; nieprzyjemny chłód spłynął jej po karku. Zastanawiała się, co, na Boga, próbowała jej powiedzieć urzędniczka? Wspomniano o czekach na dużą sumę pobranych z jej konta. Ona nie podpisywała tych czeków! Czy któraś z poprzednio zatrudnionych kobiet próbowała zdobyć ekstra gotówkę? Ruth przebiegła myślą nazwiska wszystkich ludzi, którzy przewinęli się przez jej dom od czasów operacji. Czy ktoś z nich ukradł jej książeczkę czekową? Oczywiście, że nie! Wszyscy są zaufanymi przyjaciółmi i sąsiadami. Ruth postanowiła od razu zbadać sprawę.

Nagle jej uwagę zwrócił delikatny odgłos kroków. Zanim się odwróciła, poczuła ostry ból w tyle głowy. Uderzono ją z taką siłą, że głośno krzyknęła. Owładnęła nią ciemność. Zawirowało jej w głowie. Zaskakujący cios pozbawił Ruth zdolności myślenia i działania. Co się stało? - Pomocy! - skomlała, ale nikt jej nie słyszał. Gdybyż pielęgniarka została chwilę dłużej!

*

Zanim Ruth oprzytomniała po ciosie, który ją otumanił, poczuła, że ktoś naciąga jej na głowę gruby, plastikowy worek, strącając jej okulary i utrudniając oddychanie. Choć walczyła z napastnikiem ze wszystkich sił, straciła przytomność z powodu braku tlenu.

Miejmy nadzieję, że Ruth nie oprzytomniała, gdy dotknęło ją ostatnie okrucieństwo - zgrzytliwy, straszny, torturujący dźwięk, gdy zimna stal boleśnie przebijała się przez jej ciało i kości. Po zakończeniu pracy piły Ruth już się nie obudzi.

O trzeciej trzydzieści po południu nikt nie odpowiadał na długo dzwoniący telefon w domu Ruth Nedermier. Minęły ponad cztery godziny. Rehabilitant, bardzo obowiązkowy pracownik, którego brat był funkcjonariuszem policji w West Palm Beach, przybył do domu Ruth zgodnie z planem. Widząc, że drzwi frontowe są nie zamknięte, wszedł do domu i zapalił światło. Obawiał się, że jego pacjentka mogła upaść. Wyobraził sobie Ruth leżącą na podłodze w sypialni, ufna, że on nadejdzie i pomoże jej wstać. Takie rzeczy się zdarzały. Pobiegł do sypialni. Tam jej nie było. Rehabilitant biegał z jednego pokoju do drugiego poszukując swej pacjentki. Wreszcie zaczął się niepokoić. Ruth Nedermier z całą pewnością nie było w domu. Zawsze czekała na niego w umówionym czasie. Może ktoś zabrał ją na zakupy? Wreszcie obawa podyktowała mu najstraszniejsze: czy jakiś naćpany typ nie zobaczył, że drzwi są otwarte?

Może dlatego, że jego brat był policjantem, rehabilitant nie chciał po prostu odejść. Zaczął osobiście badać sytuację. Najpierw odwiedził kilku sąsiadów. To, czego się dowiedział, nie zadowoliło go. Jego pacjentka nie mogła „tak wywędownać”. Coś tutaj było nie w porządku! Wrócił do domu i zadzwonił na policję.

Niebawem funkcjonariusze śledczy wydziału kryminalnego, porucznik Greg Parkinson i technik policyjny Jack McCall znaleźli się w domu przy Churchill Road. Funkcjonariusz przyjmujący zgłoszenie telefoniczne L.R. Foreman szybko poinformował detektywów o stwierdzonych faktach: zaginęła siedemdziesięciodwuletnia kobieta, w domu dokonano kradzieży bez forsowania drzwi. W sypialni właścicielki widać było ślady czyjegós kryminalnego działania. Na dużym zasłanym łóżku leżały różne przedmioty: brązowe metalowe pudełko-segregator akt, zielone pudełko na akta i czarna szkatułka na biżuterię, czeki i różne dokumenty.

Technicy kryminalni poszukiwali w sypialni ukrytych śladów, robili fotografie i zapieczętowali okna taśmami.

Tymczasem przed domem zebrało się wielu przyjaciół i sąsiadów Ruth Nedermier. Rozmawiali z funkcjonariuszem Foremanem, sierżantem Robertsonem, porucznikiem Woodem i Harmerem.

Detektywi Johnston i Anderson skierowali Foremana i Harmera do zbadania sąsiedztwa. Policjanci stwierdzili, że zamieszkiwali tu ludzie życzliwi, głównie w średnim wieku, którzy pomagali sobie nawzajem. Wszystkich zmartwiło zaginięcie starej kobiety.

Dwaj ludzie mieszkający naprzeciw domu Ruth powiedzieli, że około godziny pierwszej trzydzieści widzieli biały samochód z czterema kolorowymi mężczyznami w środku. Nie widzieli jednak ich twarzy. Przypuszczali, że samochód mógł należeć do chłopaka pomocnicy pielęgniarskiej. Ona często podchodziła do krawężnika, aby z nimi porozmawiać, a czasami wsiadała do jego samochodu i razem zjadali kanapki. Ale mężczyzna, jak im się wydawało, nigdy nie wchodził do domu.

Detektywi Anderson i Johnston znaleźli w książce adresowej pani Nedermier adres i telefon jej najlepszej przyjaciółki, Margaret Mays. Przyjechała natychmiast i opowiedziała interesującą historię.

Była najbliższą przyjaciółką Ruth od dwudziestu lat. Tego dnia wielokrotnie telefonowała do niej późno po południu, ale nikt nie odpowiadał. Wreszcie, tuż przed szóstą, wsiadła do samochodu i przyjechała do domu starszej pani, aby osobiście sprawdzić, co się dzieje.

Przekonała inną zaniepokojoną sąsiadkę, aby jej towarzyszyła, i razem zastukały do drzwi. Nikt nie odpowiadał. Margaret swoim kluczem otworzyła drzwi wejściowe, weszły do środka i rozejrzały się. Zauważyły pudełko na łóżku, ale nie było śladów walki. Rozrzucona biżuteria okazała się sztuczną, niewartą kradzieży.

Margaret oznajmiła detektywom, że Ruth miała kilka sztuk dość kosztownej biżuterii - dwa pierścionki z białego złota z licznymi diamentami, dwie grube złote bransolety i zegarek. Zwykle nosiła je codziennie, jeśli nie była w łóżku. Tych przedmiotów nie znaleziono w sypialni. Czyżby złodziej widział ją na zakupach i przyszedł tu, aby ją ograbić?

Margaret wspomniała także, że ostatnio były kłopoty z kontem bankowym Ruth. Zwykle miała około dwudziestu tysięcy dolarów z bieżącymi depozytami na innych kontach. Jednakże, gdy przed tygodniem była z Ruth u lekarza, okazało się, że na koncie nie ma dość pieniędzy, by zapłacić honorarium lekarskie. Margaret wyjaśniła, że to bardzo zmartwiło Ruth, gdyż zawsze ogromnie starannie prowadziła swoje sprawy finansowe. Dała Margaret kilka ostatnich wyciągów bankowych. Obie panie zaskoczyła znaczna niezgodność w saldzie rachunku wykazującego, że na koncie było jedynie trzy do czterech tysięcy dolarów. Ruth postanowiła zatelefonować do agencji zatrudniającej pielęgniarki w domach pacjentów, myśląc, że któraś z poprzednich jej pomocnic - wściekła, że dostała wymówienie - sfałszowała jej podpisy pod czekami.

Usiłując sprawdzić konto, Margaret stwierdziła, że na rachunku brakuje wielu adnotacji, a sporo jest nieprawidłowych. Margaret obiecała jej, że sprawdzi to w banku i powiadomi przyjaciółkę o wynikach.

Wchodząc w szczegóły opowieści Margaret, detektywi dowiedzieli się, że obecnie Ruth korzystała z pomocy młodej kobiety, którą lubiła. Poprzednio odprawiła kilka osób. Obecna pomocnica systematycznie zabierała Ruth na zakupy, do lekarzy i do banku; załatwiała też z nią inne ważne sprawy. Czasami nawet zabierała rzeczy Ruth do prania u siebie. Margaret Mays opisała obecną pomocnicę jako uczennicę szkoły pielęgniarskiej, osobę mówiącą gramatycznie i schludną.

Tego dnia pomocnica zadzwoniła do Margaret pytając, czy może wykopać swoją chlebodawczynię. *Nie* - odpowiedziała Margaret - *dopiero wtedy, gdy pozwoli rehabilitant*. Margaret zatelefonowała w południe i powiedziała kobiecie, że chce rozmawiać z Ruth.

- Pani nie może teraz podejść do telefonu, bo jest w łazience - padła odpowiedź.

- Proszę powiedzieć jej, żeby zadzwoniła do mnie po wyjściu z łazienki.

Choć kobieta skwitowała to zwrotem „okay”, Ruth nie zadzwoniła. Margaret, mając coś do załatwienia, wyszła z domu przed pierwszą po południu, a do banku dotarła około trzeciej trzydzieści. W rozmowie z urzędniczką bankową dowiedziała się, że ta telefonowała do Ruth Nedermier o trzeciej po południu. Pomocnica, która przyjęła telefon, oddała słuchawkę pani Nedermier. Urzędniczka poinformowała Margaret, że powiedziała klientce o realizacji czterech czeków na znaczne sumy, razem na cztery tysiące dolarów.

- Nie podpisywałam tych czeków! - odpowiedziała właścicielka konta.

Urzędniczka zatelefonowała jeszcze raz o trzeciej trzydzieści, ale nikt nie odebrał. Przez godzinę kobiety omawiały tę sytuację. Potem Margaret wyszła.

Patrząc na panią Mays, detektywi zauważyli, jak bardzo była wstrząśnięta i zaniepokojona sprawami przyjaciółki. Przyrzekła, że dostarczy oficerom śledczym całą dokumentację bankową. Dodała, że kilku zapisów czeków zabrakło w bieżącej rejestracji.

Przesłuchując sąsiada z drugiej strony ulicy, policjanci dowiedzieli się, że około trzeciej po południu widział czerwonego fordą pomocnicy pielęgniarstwa zaparkowanego tuż pod wiatą na samochód pani Nedermier. Starsza pani nie pozwalała nikomu tam parkować. Około czwartej po południu sąsiad widział samochód z pasażerami stojący przed domem.

Inny sąsiad o tej samej porze spojrzął na ulicę, usłyszawszy dźwięk uruchamianego silnika, i zobaczył odjeżdżającego czerwonego fordą kierującego się na wschód, w stronę South Dixie. Przez ciemne szyby nie widział, kto był w środku.

Dwie sąsiadki przyszły z wizytą do Ruth Nedermier tuż przed czwartą. Drzwi frontowe były zamknięte. Zdziwiło je to, gdyż dawna nauczycielka zwykle zostawiała drzwi nie zabezpieczone, aby nie musiała otwierać odwiedzającym.

Nie mogąc dostać się do środka drzwiami frontowymi, poszły na tył domu, myśląc, że Ruth może być na werandzie. Gdy jej tam nie znalazły, spróbowały otworzyć drzwi, które zwykle były zamknięte na zasuwkę. Ku ich zdumieniu drzwi się otworzyły.

Kobiety weszły do środka i rozejrzały się. Nie uderzyło ich, aby coś było nie w porządku. Przypuszczając, że Ruth udała się po zakupy, napisały kartkę, by była bardziej ostrożna, i zostawiły ją na telewizorze. Potem zatrzasnęły drzwi frontowe i od strony dziedzińca.

Obie sąsiadki powiedziały oficerom śledczym, że знаły zaginioną kobietę od lat i że mogą opisać jej biżuterię. Odpowiedziały na pytania oddzielnie, ale ich zeznania pokrywały się.

Po wysłuchaniu wszystkich opowieści przyjaciół i sąsiadów detektywi Johnson i Anderson doszli do wniosku, że to mało prawdopodobne, aby Ruth Nedermier po prostu gdzieś wyszła w nieokreślonym celu.

Zdając sobie sprawę, że pomocnica jest prawdopodobnie tą osobą, która ostatnia widziała zaginioną, detektywi próbowali ustalić jej adres. Margaret Mays dała im telefon agencji obsługi pacjentów, z której korzystała Ruth. Kobieta, która przyjęła telefon, wydobyła bieżącą kartotekę zatrudnionych. Pomocnica Ruth nazywała się Inger LeMont. Adres brzmiał: Trzecia Aleja, NW w Delray Beach. Było to małe uzdrowisko oddalone o dwadzieścia mil na południe od West Palm Beach.

Detektywi natychmiast się tam udali. Dowiedzieli się od krewnych Inger, że młoda kobieta nie mieszka w rodzinnym domu. Wraz ze swoim chłopakiem i synkiem ma własne mieszkanie na Gulfstream Road w Lake Worth, na południe od West Palm Beach.

Inger LeMont podeszła do drzwi w szlafroku. Obaj detektywi byli przekonani o szczerości wypowiedzi przepytywanej przez nich, robiącej przyjemne wrażenie pomocnicy. Zabrali ją

do komendy policji w West Palm Beach, gdzie dalej odpowiadała na ich pytania. Przysięgła, że gdy opuszczała dom Ruth Nedermier, jej chlebodawczyni żyła.

- Przyjęłam telefon do pani Nedermier i pomachałam jej ręką na pożegnanie. Potem, około godziny czwartej, przyjechał mój chłopak.

Detektywi odwieźli młodą kobietę do domu. Jej chłopak Roy Harding czekał tam na nią. Podobnie jak Inger, robił wrażenie niewinnego.

Do poniedziałku detektywi nic nie wykryli. W domu Ruth znaleźli jej dawną fotografię i opublikowali ją w prasie, prosząc o pomoc w odnalezieniu inwalidki, która mogła gdzieś „wędrować”. Dodali, że można było się obawiać, że wyszła z domu i gdzieś upadła.

Inger LeMont przez cały następny tydzień wielokrotnie telefonowała do detektywa Andersona. Zwykle robiła to na początku albo na końcu jego dyżuru. W poniedziałek powiedziała mu, że niepokoi się o panią Nedermier i sugerowała: *Czy dzwoniłście do szpitala? Czy rozmawialiście z sąsiadami? Czy mogę być w czymś pomocna?* Wydawała się rzeczywiście przejęta.

W poniedziałek oficerowie śledczy rozmawiali także z urzędniczką z banku, która zawiadomiła Ruth Nedermier o czekach. Jej sprawozdanie zgadzało się z tym, co powiedziała im Margaret Mays. Urzędniczka oznajmiła im, że interesowała się kontem pani Nedermier, gdyż ostatnio wpłynęły co najmniej cztery чеки wystawione na nazwisko Inger LeMont na ogólną sumę ponad czterech tysięcy dolarów. Чеки zostały potwierdzone i wypłacone albo przelane na konto oszczędnościowe Inger LeMont w tym samym banku. Były to чеки na 884 dolary, 1650 dolarów, 1320 dolarów i ostatni na sumę 1150 dolarów.

Urzędniczka powtórzyła, że telefonowała do zaginionej kobiety o trzeciej po południu, a telefon przyjęła Inger LeMont. Gdy słuchawkę wzięła Ruth Nedermier, urzędniczka powiedziała jej o podejrzanym czekach, zapowiadając, że chciałaby z nią porozmawiać po wyjściu Inger LeMont. Na wiadomość o tych czekach pani Nedermier powiedziała z naciskiem: Me

wypisałam tych czeków! Nie podpisałam tych czeków! Funkcjonariuszka sądziła, że Inger mogła to usłyszeć, gdyż ona słyszała głos Inger w głębi domu, choć nie dotarł do niej sens tego, co mówiła. Na zakończenie poprosiła panią Nedermier o telefon po wyjściu pomocnicy.

Detektywi powiadomili o wszystkim porucznika Johna Conklina, a ten pokazał чеки sierżantowi Winifredowi Sadlerowi, ekspertowi wydziału.

Po powrocie do komendy Delray Beach, oficerowie śledczy odebrali telefon od kobiety, która nie ujawniła swego nazwiska, a która telefonowała już poprzedniego dnia, mówiąc coś o śmietniku. Obecnie powiedziała im, że jej syn przeszukiwał każdej soboty śmietniki, próbując znaleźć coś, co mu się mogło przydać. Znalazł worek, a w nim książeczkę czekową, którą przyniósł do domu. Gdy matka chłopca zobaczyła na książeczce nazwisko Ruth Nedermier, a wiedziała, że to nazwisko było w gazecie, zatelefonowała po raz pierwszy. Teraz, wstydząc się, że próbowała ukryć swoją tożsamość, podała detektywom adres.

Anderson, Brand i Galyon spytali kilkunastoletniego syna kobiety, gdzie znalazł dokumenty z nazwiskiem Nedermier, koc i kamień, który rozpadł się na dwa kawałki.

- W sobotę 5 marca, około czwartej po południu - odpowiedział chłopiec. Opisał worek i powiedział detektywom, że zawsze przeszukiwał śmietniki z powodu *rzeczy, które wyrzucono*.

- Czy te rzeczy były w worku, w pudle, czy luźno rzucone? - spytali.

- W czarnym worku na odpadki... zawiązane na węzeł.
- Powiedział policjantom, że wrzucił wszystko z powrotem do śmietnika z wyjątkiem dokumentów, które zabrał do domu i pokazał matce.

Rozmowa z chłopcem trwała prawie do ósmej wieczorem. Detektyw Anderson, zadowolony z postępów w dochodzeniu, pojechał do komendy w West Palm Beach, zabierając po drodze swego partnera detektywa Johnstona.

- Spójrz, co znalazłem! To po prostu załatwia wszystko! - powiedział Anderson.

- Istotnie! - ucieszył się Johnston, również podniecony znaleziskiem. Wiedział jednak, że jest druga strona tego osiągnięcia.

- Ona musi nie żyć, Mark! Ale gdzie jej szukać? W kanale?

Choć była już ósma trzydzieści, pojechali do laboratorium kryminalnego. Nikogo już tam nie było. Ściągnięty z domu porucznik Parkinson potwierdził, że na rozbitym kamienni były ślady krwi.

Inger LeMont telefonowała codziennie. Nie chcąc spłoszyć podejrzanej, detektyw Anderson nie powiedział jej o tym, co znaleźli. Pomocnica pielęgniarska interesowała się, co robią detektywi. Dlaczego nie ma żadnego postępu w dochodzeniu? Szybko się orientując, co należy powiedzieć, spytał ją, czy słyszała o innym śledztwie, które prowadzili; tam się nie obyło bez strzelaniny.

- Czy czytała pani o tej drugiej sprawie? - spytała ją, traktując strzelaninę jako powód braku postępu w sprawie Nedermier. - Jest w gazetach. - Inger powiedziała, że tak, a on dodał:

- Pracowaliśmy nad tym. Żałuję, że nie udało się osiągnąć lepszych wyników w pani sprawie.

- No tak! - odpowiedziała Inger. - Jeśli wrócicie do sprawy, postaram się jak najwięcej pomóc. - Jej głos brzmiał bardzo szczerze. Detektywi zastanawiali się, czy przypadkiem nie popełniła jedynie fałszerstwa podpisów na czekach i naprawdę nie wiedziała, co się dzieje z jej chlebodawczynią.

W sobotę, 12 marca Inger LeMont znowu kilkakrotnie telefonowała. Anderson rozmawiał z nią wymijająco; nadal nie chciał, by domyśliła się, że jest podejrzana. Jednakże po czwartej po południu razem z detektywem Johnstonem zajęli się Gulfstream Road w West Palm Beach, uprzedzając ją telefonicznie. Przed domem stał jej czerwony ford EXP, lecz nie było białego pontiaka jej chłopca.

Inger otworzyła drzwi i zaprosiła detektywów do środka. Musieli stwierdzić, że doskonale utrzymywała dom. Mnóstwo książek, papierów i czarna, przenośna maszyna do pisania na stoliku do kawy wskazywały, że studiowała.

Poinformowała, że jest dyplomowaną pomocnicą pielęgniarki, ale studiuje, by zostać dyplomowaną pielęgniarką. Ciągłe sprawiała wrażenie szczerzej, inteligentnej kobiety.

Inspektor Anderson zaczął udawać zainteresowanie maszyną do pisania.

- Ależ to jest zgrabna maszyna! Jaka to firma? Czy przygotowuje pani na niej zadane lekcje?

- Tak - odpowiedziała, dodając: - Maszyna nie działa dobrze.

Detektyw podniósł pokrywę maszyny, jakby chciał ją zreperować.

- Inger, nic dziwnego! Nie ma taśmy.

- Zużyłam ją i wyrzuciłam - odpowiedziała.

W porządku. Anderson pogratulował sobie po cichu sprytu. A więc mam ją!

Detektywi spytali Inger, jak była ubrana pani Nedermier, gdy widziała ją ostatnio. Wymieniła błękitne ranne pantofle z różowymi gumowymi podeszwami, dokładnie takie, jakie znaleziono na wysypisku. Dalej wyliczyła „dobrą biżuterię”, którą jej chlebodawczyni nosiła „nawet w domu”. Tego dnia, myjąc inwalidkę gąbką, Inger zapamiętała, że położyła pierścionki i zegarek Ruth w czarno-białej popielniczce na stoliku nocnym, ale detektywi wiedzieli, że popielniczka była pusta.

Przesłuchanie ciągnęło się dalej. Z czasem pielęgniarka zaczęła się denerwować i niecierpliwić. Bez przerwy powtarzała: - Jestem szczerą z policją. - Jednocześnie czekała na znak, że jej wierzą.

Zaprzeczyła, jakoby miała zaparkować swego czerwonego forda pod wiatą, dodając, że sąsiedzi, którzy to powiedzieli, kłamali. Powiedziała, że zaraz po opuszczeniu domu pani Nedermier pojechała zabrać syna z przedszkola, po drodze zatrzymując się w restauracji szybkiej obsługi dla zmotoryzowanych. Potem zawiozła dziecko do swoich rodziców, gdzie miało spędzić noc. Wyjechała stamtąd około siódmej wieczorem. Na Gulfstream Road odwiedził ją krewny, ale ponieważ miała dużo roboty, niebawem odjechał taksówką.

W miarę przedłużania rozmowy stawała się coraz bardziej nerwowa, a jej odpowiedzi były wykrętne. Wreszcie wyszła do kuchni, skąd odbyła kilka rozmów telefonicznych. Po powrocie poinformowała detektywów, że ponieważ jej starsza krewna

w Delray jest chora, wkrótce będzie musiała tam pojechać i zająć się nią.

Nerwowo powtórzyła, że jej chłopak Leroy Harding z własnej chęci podjechał pod dom pani Nedermier z trzema przyjaciółmi.

Oznajmiła, że nie skrzywdziła i nie uprowadziła swojej chlebodawczyni ani nie ukradła jej pieniędzy. Przyznała się wszakże, że ostatnio wypisywała czeki, które podpisała pani Nedermier, *aby zapłacić rachunki i tym podobne*.

- Widzisz, Inger, bank podejrzewa, że ktoś dokonał fałszerkich transakcji na koncie pani Nedermier - powiedział detektyw Johnston. Odpowiedziała, że „zasłużyła” na pieniądzu, które otrzymała, i że wypisując czeki na siebie „zasłużyła” na dodatkowe pieniądze. Wykorzystała je na pomoc Leroyowi, który jest narkomanem.

- Jeśli tego nie zrobiła, to musi coś o tym wiedzieć - powiedział po cichu Anderson swemu partnerowi. - Albo kłamie...

W tym momencie Inger poprosiła detektywów, by wyszli, a sama szybko opuściła dom i odjechała swoim czerwonym fordem.

Tego samego dnia około piątej po południu wydział policji w Delray Beach odebrał telefon z informacją, że z kufra zamkniętego w szafie ściennej domu krewnych Inger LeMont wydobywa się nieprawdopodobny odór. Telefonujący mężczyzna obawiał się, że w kufrze znajdują się zwłoki.

Policjanci T.J. Rubin i H. Noppe natychmiast tam pojechali. Widząc, że pod warstwą plastikowych worków znajduje się jakaś rozkładająca się substancja, wezwali sierżanta Roberta Musco, sierżanta Toma Meistera, Richa Ackermana, patologów policyjnych i techników kryminalnych.

Pod workami znaleziono pozbawione kończyn, rozkładające się ciało. Osobno leżała prawa stopa i kość podudzia obcięta poniżej kolana. Zwłoki były okryte zasłoną prysznicową. Oczy zasłonięte opaską. Detektywi z Delray zatrzymali w domu krewnego Inger na czas badania kufra, a potem zabrali go na komendę.

Tymczasem poinformowano detektywów Andersona, Johnstona i K.C. Myersa, a także eksperta od badania miejsca

zbrodni McCalla oraz porucznika Parkinsona, że znalezione zwłoki mogą być zaginioną ofiarą. Policjanci dojechali do domu LeMontów w Delray Beach około siódmej czterdzieści pięć. Detektywi Ken Herndon, Bob Brand i Jeff Gaylon poinformowali podejrzanych o szczegółach. - Porąbane, częściowo odarte ze skóry ciało znaleziono w szafie ściennej - powiedział im Herndon. - Aby zdusić smród, dodano kulki przeciwmolowe.

Technicy policyjni zrobili zdjęcia i naszkicowali rysunki. Patolog sądowy Sam Altschul i lekarz dr John Marrachini niebawem odesłali zwłoki do prosektorium hrabstwa West Palm Beach na dalsze badanie. Inni detektywi nadal przepytывali Phillipa, krewnego Inger, który znalazł ciało.

Po wytłumaczeniu mu, że chcą tylko zanotować, co znalazł, detektywi Anderson i Myers spytali go, dlaczego zawiadomił policję.

- Po przyjeździe z pracy - zaczął mówić trochę nerwowo - chciałem się przespać. No i poczułem ten dziwny zapach w domu, no i spytałem córkę: „Darlene, co to za waliza w domu?”. I ona nie wiedziała. No i włączyłem wentylator, no i moja żona powiedziała: „O Boże! wpuścisz to powietrze do środka?”. Zwymiotowała. Nie mogła tego wytrzymać. No i powiedziałem, że „muszę pozbyć się tego smrodu”. „Okay!” powiedziałem córce: „Otwórzmy to (kufer)”. Powiedziałem „zdaje się, że tutaj jest trup”. Ona zaczęła płakać... a ja powiedziałem: - „Nie wiemy, co tam jest... sprawdźmy i zobaczmy sami”.

Phillip powiedział, że otworzył kufer używając śrubokrętu.

- Ten zapach zwałił mnie z nóg... otworzyłem drugi raz, podniosłem wieko i spojrzałem. Różnego rodzaju worki na śmieci, wie pan, worki plastikowe... zdejmuję jedną warstwę plastików i dochodzę do prześcieradła... prześcieradła albo koca... Dotykam ręką... czuję wilgoć i piasek. Dużo piasku. I wtedy naszedł mnie ten smród i powiedziałem „uff”, no wiecie. No i zawołałem przyjaciółkę z tej samej ulicy i ona przyszła i powiedziała „szybko wołaj policję”... bo ona na tym zna się, bo jest pielęgniarką.

Po dokładniejszym wniknięciu w tę opowieść Myers i Anderson dowiedzieli się, że kufer znajdował się w szafie ściennej na

ubrania jego dwóch córek, Darlene i Rhondy; że był tam od czwartku, jak mówiła Darlene.

- Ale nie wiesz, jak się tam dostał? - spytali detektywi.

- Nie, naprawdę nie wiem. Wiem, że jak wczoraj wróciłem wieczorem z pracy, poczułem ten dziwny zapach w domu i ktoś rozpyłał odświeżacz powietrza. Spytałem: „Dlaczego dom śmierdzi? Co to jest ten zapach”?

- Czy to Darlene rozpyłała spray?

- Nie, to była... to była... uhhh.. Boże, nie mogę sobie przypomnieć imienia własnej krewnej! Czy to nie straszne?... Inger! - Krewny powiedział, że Inger sprzątała, a on był zadowolony, bo myślał, że robi coś wspianiałego. - A tymczasem przez cały czas wiedziała, co robi.

Oznajmił potem, że Darlene przyznała, iż Inger umieściła kufer w jej szafie. Potem sam sobie odpowiedział:

- No i dlatego policja przyszła wtedy tutaj! - Gdy Phillip skojarzył wreszcie fakty, powiedział sobie: „Ja nie pójdę na to”.

- Nie było innej drogi, tylko zawiadomić policję - powiedział im.

- Czy pamiętasz, że przyszedłem tu z kolegą w zeszłym tygodniu i powiedzieliśmy ci, że poszukujemy tej pani, u której pracowała Inger? - Gdy Phillip odpowiedział twierdząco, policjant spytał: - Czy słyszałeś o niej jeszcze przed dzisiejszym dniem?

- Nie. Widziałem ją tylko w telewizji. Nawet jak ją pokazali w Wiadomościach, spytałem wczoraj Inger: „Czy znaleźli tę panią?”. Ona odpowiedziała: „Nie słyszałam nic na ten temat”. Ja powiedziałem: „Czy zadzwoniłaś do agencji, żeby się czegoś dowiedzieć? Nie idziesz do pracy, czekasz na tę panią, aż wróci”? Ona powiedziała, że nie wie... Potem się spieszyła, bo chciała odejść i poszła. Mój Boże!

Inger nie było tego wieczoru, powiedział krewny. Nie wiedział, gdzie poszła. Myślał o swojej żonie - jaki wpływ mogłoby mieć na nią badanie policyjne, gdyby Inger była w domu.

- To prawda - zapewnili go detektywi. - Nie chcemy, aby z jej powodu miała przykrości twoja żona.

Po znalezieniu zwłok w sobotę 12 marca, dochodzenie prowadziły wspólnie komendy Delray Beach i West Palm

Beach. Ponieważ policja West Palm Beach podejrzewała, że znalezione zwłoki to zamordowana Ruth Nederrnier, policja Delray Beach w znacznej mierze przekazała tam sprawę. Pomagała tylko w różnych kwestiach formalnych.

Tymczasem detektywi powrócili na komendę i jeszcze tego wieczoru przeprowadzili rozmowy z innymi krewnymi Inger. Od jednego z nich dowiedzieli się, że poprzedniego wieczoru, w piątek 11 marca Inger zapewniła sobie pomoc jednego z krewnych i dwóch przyjaciół, by przenieść kufer okrętowy. Zabrali go z sypialni położonej od strony północno-wschodniej; najpierw zniesiono go do głównego hallu na dole i bocznymi drzwiami wyniesiono na zewnątrz, gdzie usiłowano trochę „oczyścić” jego wnętrze przed ponownym schowaniem w szafie ściennej na górze. Tej informacji udzieliła detektywom Darlene.

Dziewczyna powiedziała, że Inger wymyła kufer wodą z gumowego węża, mówiąc, że „mięso” w kufrze, które kupiła na ulicy od złodzieja (nie mogła o tym powiedzieć Leroyowi), zaczynało się psuć. Ani Darlene, ani dwaj młodzi przyjaciele nie wiedzieli, co znajduje się w workach.

Sierżant Brand porozumiał się telefonicznie z sekcją taktyczną Delray Beach, by odszukano przyjaciela, który pomagał Inger przenieść ciężki kufer. Po sprawdzeniu licznych spelunek wzdłuż Atlantic Avenue, znaleziono chłopaka i sprowadzono na komendę. Zeznał on, że Inger LeMont zapukała do jego drzwi przed jedenastą wieczorem, pytając o jego kuzyna, gdyż potrzebowała pomocy w „wyniesieniu czegoś z domu”. Ponieważ kuzyn był nieobecny, chłopak przyrzekł pomóc gościowi. W tym czasie w domu była i Darlene, i Rhonda, powiedział detektywom chłopak. Zaraz zauważył „śmierdziela”. Z trudem przenieśli ciężar na dół. Kufer - według opisu chłopaka - miał wymiary trzy na cztery stopy, metalowe narożniki i skórzane rączki. Zdawało mu się, że był czarny. Zostawiał na podłodze ślad czerwonego wodnistego płynu. Chłopak powiedział, że wydawało mu się, iż to była krew, ale nie zadawał pytań. Zamiast tego ustalili z Inger sumę, którą miała mu zapłacić za pracę. Dała mu siedem dolarów, które wydał z kolegą na alkohol. Niebawem policjanci znaleźli przyjaciela i porównali ich zeznania.

Tymczasem Anderson, Johnston i Myers pojechali do sekcji badań medycznych w West Palm Beach. Potrzeba było wielu godzin na skompletowanie zwłok i ich identyfikację. Upał i plastikowe opakowanie przyspieszyły rozkład. Jednakże, kimkolwiek był człowiek, który ćwiartował piłą zwłoki - kobieta mogła wtedy jeszcze żyć albo być martwa - natrafił na gwóźdź wbity w jej biodro. Ten gwóźdź miał numer seryjny. Gdy detektywi odczytali numer i porównali go z dokumentacją szpitalną, mogli z całą pewnością zidentyfikować zwłoki jako szczątki Ruth Ann Nedermier.

Zanim trzej detektywi w niedzielę rano skończyli dyżur w West Palm Beach, ogłosili w środkach przekazu apel o pomoc w znalezieniu *czarnoskórej kobiety Inger LeMont i jej przyjaciela czarnoskórego mężczyzny Leroya Hardinga oraz ich dwóch samochodów*.

Przyniosło to szybki rezultat. Porucznik Conklin około jedenastej rano telefonicznie zawiadomił detektywa Myersa, że policjant C. Fragakis zatrzymał białego pontiaka z 1964 roku. W samochodzie byli Leroy Harding i drugi mężczyzna, który prowadził. Policjant zapytał, czy zechcą dobrowolnie udać się z nim na komendę na przesłuchanie. Gdyby któryś odmówił, policjant nie miałby podstaw do ich zatrzymania. Jednakże obaj dobrowolnie udali się na komendę.

Detektyw Myers najpierw rozmawiał z kierowcą, który powiedział, że jest tylko znajomym Leroya Hardinga. Pamięta, że około godziny dziesiątej Harding, przejeżdżając samochodem, poprosił go: - Zrób mi przysługę i pojedź ze mną. Chcę zabrać samochód. - Pojechali do motelu, gdzie Harding wsiadł do małego czerwonego samochodu i odjechał. Znajomy Hardinga opisał samochód jako amerykańskie combi z *przyklejonym znakiem szeryfa*. Pojechał za tym wozem aż do miejsca, gdzie Harding zaparkował forda pod wiatą przy jednym z budowanych bloków. Wtedy Harding zajął miejsce koło kierowcy w pontiaku. Gdy oddalali się stamtąd, Harding zaczął się denerwować, jak uważał jego znajomy, bo myślał, że jazdzie z nimi policja. Znajomy spytał go: - Masz przecież prawo jazdy i rejestrację? - Harding odpowiedział twierdząco.

Po skończeniu przesłuchania znajomego Hardinga detektywi zdali sobie sprawę, że czerwony ford escort EXP, który zwykle prowadziła Inger LeMont, został użyty do przetransportowania kufra zawierającego szczątki Ruth Nedermier do domu przy N.W. Trzeciej Alei w Delray Beach. Teraz, na podstawie danych z przesłuchania znajomego Hardinga, mogli otrzymać nakaz rewizji i wysłali z nim funkcjonariuszy, którzy znaleźli czerwonego forda; oczekiwali tylko na techników kryminalnych.

Około dziesiątej po południu sąsiadka Inger LeMont zawiadomiła oficerów śledczych, że dwaj mężczyźni i kobieta załadowali meble z mieszkania Inger na duży wóz ciężarowy. Podała im numer rejestracyjny wozu i opisała jego wygląd. Te dane zostały podane przez telewizję na cały kraj. Wkrótce policja z Delray Beach znalazła samochód koło domu rodziny Inger w Trzeciej Alei. Wóz należał do Phillipa seniora, jej krewnego. On, Darlene i Phillip junior przewieźli rzeczy należące do Inger do swego domu. Połączone ekipy detektywów z West Palm Beach i Delray Beach na podstawie nakazu rewizji przeszukały ciężarówkę.

Była tam m.in. przenośna maszyna do pisania bez taśmy, ręczniki podobne do nasiąkniętych krwią i znalezionych wcześniej w worku na śmieci i otwarte pudła z workami na odpadki.

W środę, wcześniej rano, 16 marca dawny zastępca szeryfa hrabstwa Palm Beach, brat Leroya Hardinga przyjechał do komendy policji West Palm Beach i oznajmił porucznikowi Conklinowi, że za dwadzieścia minut sprowadzi tam Inger LeMont. Porucznik zawiadomił trójkę detektywów: Myersa, Johnstona i Andersona, którzy przyjechali wkrótce po sprowadzeniu podejrzaney. Detektywi odczytali Inger jej prawa i około dziesiątej trzydzieści rozpoczęło się przesłuchanie.

Inger powiedziała, że udała się do brata Leroya mówiąc mu, że chce, aby ją zawiózł na komendę. Policjanci poprosili ją, by powiedziała wszystko, co wie o zaginięciu Ruth Nedermier.

- Wiem jedynie, że panowie przyszli do mojego domu w piątek wieczorem... raczej w sobotę rano około czwartej... i sprowadzili mnie tutaj... i wtedy się dowiedziałam, że zniknęła; dalej wiem tylko, że w następny wtorek, gdy tylko wstałam...

zabierałam się do sprzątanania, zobaczyłam za zasłoną stojący tam czarny kufer.

Inger dalej opowiadała, że pomyślała o facetach, którzy przyszli sprzedać mięso, i co powiedzieli... Mieli mięso, które dobrze się przechowuje... zdaje się, że mówili o miesiącu, czy coś w tym rodzaju. Płaci im się *miesięcznie, a oni dają także do mięsa zamrażarkę*. Myśląc, że to mięso jest w kufrze, który stał na jej werandzie, Inger powiedziała, że poszła tam, aby go otworzyć.

- Na górze było mięso, a nad tym był także lód... Gdy zajrzałam na dno, zobaczyłam, co to było, i tylko zamknęłam wieko i usiadłam tam.

Inger przypomniała sobie, że dwaj mężczyźni z mięsem byli już przed tygodniem, w czwartek wieczorem. Przyjechali ciemnogrnatową ciężarówką. Powiedziała, że mięso na górze było jak żeberka. Mięso do pieczenia na rożnie. Trzy kawałki. Inger wiedziała, że mięso było zamrożone, gdyż było lodowate. Nie widziała kufra w środe.

- A więc zajrzałaś głębiej, żeby zobaczyć żeberka? - spytał detektyw.

- Gdy odsunęłam to mięso, było tam, uhm... to było jak... myślę, że to było prześcieradło czy coś takiego. I wtedy dotknęłam tego...

- Dotknęłaś ręką prześcieradła pod żeberkami?

- Nie, dotknęłam ręką pani Nedermier.

Odpowiadając na dalsze pytania, Inger wyjaśniła, że mogła poznać, iż to była jej chlebodawczyni, po sukni, którą miała na sobie. Oznajmiła detektywowi, że zamknęła kufer i więcej do niego nie zaglądała. Nie widziała, czy pani Nedermier była poćwiartowana. Wtedy zawołała krewnego Phillipa juniora i poprosiła go, aby jej pomógł z kufrem. Pojechała w tym celu do Delray Beach.

Gdy Phillip zobaczył kufer w jej domu, zaczął jej zadawać pytania. Chciał otworzyć kufer, ale powiedziała mu, że nie należy tego robić, bo mięso jest zepsute, a ona zabiera je do Delray.

- Dlaczego? - spytał Phillip junior.

- Ponieważ nie wiem, co innego mogłabym z nim zrobić.

Ale Phillip nadal zadawał jej pytania, jak powiedziała detektywowi.

- Powiedział, że zabierze kufer do swojej pracy i tam mogą to pociąć, gdyż myślał, że to było tylko mięso. On pracuje... w klubie wypoczynkowo-sportowym za miastem.

Po przeciągnięciu kufra do czerwonego forda i wstawieniu go do bagażnika z tyłu, krewny zawiózł ją do domu rodziny w Delray Beach. Wyciągnęli ciężki ładunek, wnieśli go do domu i umieścili w szafie ściennej w pokoju Darlene i Rhondy. Inna krewna, która była wtedy chora, nic nie wiedziała.

- Tylko jedna osoba wiedziała, co było w środku. Od razu chciałam porozmawiać o tym z Leroyem, ale nie pamiętam, kiedy go widziałam.

Oznajmiła, że została w domu przez cały dzień, wyjechała tylko, by zabrać swego syna z przedszkola i kupić dezodorant do pomieszczeń i inne rzeczy, zanim wróciła na N.W. Trzecią Aleję. Wkrótce kufer zaczął śmierdzieć, powiedziała detektywowi. Po powrocie do domu Darlene i Rhondy musiała im coś powiedzieć o kufrze. Powiedziała to samo, co młodemu Phillipowi - że w kufrze jest mięso. Spytały, dlaczego trzyma je w szafie ściennej.

- Powiedziałam im, że mięso jest kradzione czy coś takiego. Nie wiem. Nie pamiętam, co im powiedziałam.

W zamknięciu kufer coraz bardziej śmierdział. Inger oznajmiła, że mięso się popsuło.

- Dlaczego po prostu go nie wyrzucisz? - powtarzały dziewczynki, a ja im mówiłam, że nie rozumieją, dlaczego nie mogę tego zrobić. Wyjechałam w czwartek około dziesiątej wieczorem.

Po powrocie do mieszkania na Gulfstream Road Inger zobaczyła Leroya, ale nic mu nie powiedziała. Następnego dnia rano Leroy zawiózł jej syna do przedszkola. Ona wróciła do Delray Beach, mówiąc mu, że zachorowała krewna. Zawiozła chorą do ciotki, a potem pojechała po Darlene do szkoły, bo dziewczyna nie czuła się dobrze. Do tego czasu śmierdziało strasznie, nawet w fordzie.

W dalszej części przesłuchania przez trójkę detektywów Inger powiedziała:

- Nic nie było w stanie zabić smrodu; byłam już tak przerażona, że nie wiedziałam, co mam dalej robić. Wtedy usiadłam i nakręciłam numer policji w Delray, ale zaraz odłożyłam słuchawkę... i powiedziałam sobie: „Co właściwie mogę im powiedzieć”?

Resztę dnia pamięta jak przez mgłę; niby to były normalne codzienne sprawy - jedzenie, zawieszenie krewnej do kościoła, przywiezienie syna - ale głównie próbowała zwalczyć wszechogarniający odór, który już poczuła rodzina. Inger wyznała, że chciała powiedzieć jednemu krewnemu, ale wiedziała, jak on wybuchnie, i przestraszyła się. Próbowała wszelkich odświeżaczy powietrza i starała się wymyć wewnątrz swego samochodu. Pojechała także do myjni samochodowej, co już zrobiła poprzedniego wieczoru. Nic jednak nie mogło usunąć straszego zapachu.

Gdy Darlene zaczęła bardzo narzekać, Inger usiłowała wyciągnąć kufer i wylać wokół niego chlorek. Zamiast tego wysuszyła tłusty płyn wydobywający się z dołu kufra ręcznikami, które później wrzuciła do worka na odpadki.

- To było... Boże, jakie to było straszne, jakie okropne - przypominała sobie Inger.

Gdy w domu była cała rodzina, ktoś spytał:

- Co to jest, na litość? - Sądziłi chyba, że to odpadki. Odwożąc krewnego do przyjaciela tego wieczoru, próbowała mu powiedzieć, ale nie odważyła się.

- Nawet po powrocie do mojego mieszkania dzwoniłam tam, pytając, czy smród się potęguje... i potem około trzeciej, gdy tam przyjechaliście i zadzwoniła Darlene wzywając mnie, bym przyszała, bo krewny interesował się kufrem... Zauważyliście, że gdy zadawaliście mi pytania, bardzo chciałam się stąd wyrwać.

- Dlaczego po prostu nie powiedziałaś nam, co się dzieje? - spytali detektywi.

- ...Bałam się - odparła Inger.

Gdy adwokat zaangażowany przez jej rodzinę doradził jej przerwać przesłuchanie, oskarżono ją o zabójstwo pierwszego stopnia i aresztowano.

Dokonano przeszukania mieszkania Inger na Gulfstream Road. Serolog hrabstwa, Richard Tanton zastosował lumino-

fory. Choć przedtem gołym okiem nie zauważono śladów krwi, teraz, gdy dom był jaskrawo oświetlony, wyglądał — szczególnie pokój chłopca - jak drzewko na Boże Narodzenie; każda świecąca plamka pokazywała kroplę krwi. To był pokój, w którym Inger piłowała zwłoki.

Na splamionej krwią podłodze widać było ślady małych stóp Inger - tylko jej stóp. To był dowód, że tylko ona, a nie Leroy i inni „trzej faceci”, o których mówiła Inger, dokonali masakry piłą. Gdy skropiono miotłę z werandy, także dała oślepiający efekt.

Następnie detektywi odkryli wiele innych kłamstw w opowiadaniu Inger. Znaleźli się świadkowie, którzy wiedzieli, że zastawiła biżuterię swojej chlebobawczyni w lombardzie, a współtowarzyszki więzienne powiedziały, że jedna z krewnych Inger nosiła coś z tej biżuterii. Znaleźli także osobę, która sprzedała Inger - tylko jej - kufer okrętowy.

6 kwietnia detektywi ponownie przesłuchiwali Inger LeMont w prokuraturze federalnej. Zrezygnowała wtedy ze swoich praw, bo mogła milczeć, i złożyła długie, sprzeczne oświadczenie, próbując wmieszać w sprawę Leroya Hardinga. Dla wszystkich obecnych było jasne, że Inger kłamie w wielu szczegółach.

Przyznała się, że kupiła kufer, ale w niewinnych celach i, jak powiedziała, na długo przed zniknięciem Ruth Nedermier. Tymczasem właściciel sklepu z walizkami powiedział, że to był jedyny kufer tego rodzaju, który sprzedał w 1988 roku i miał paragon z datą 7 marca. Inger potwierdziła jednak, że ofiarę uderzono cegłą w głowę i naciągnięto na nią worek plastikowy, aby co najmniej straciła przytomność. Następnie wzięto denatkę do mieszkania pielęgniarce, gdzie pani Nedermier została poćwiartowana piłą elektryczną, którą zakupił Leroy. Nie była to piła napędzana gazem, którą policjanci znaleźli w domu krewnych wieczorem, kiedy odkryto ciało. Choć przyznała się do fałszerstwa czeków, wymyśliła nowego współnika, który - zgodnie z jej zeznaniem - pomógł Leroyowi w zabiciu Ruth Nedermier, gdy ona kradła biżuterię. Zmieniała swoją opowieść tak często i tylokrotnie łapano ją na kłamstwie, że nie można było dać wiary jej słowom.

Detektywi uważali, że mogą już odtworzyć przebieg zdarzeń. Detektyw Anderson powiedział:

- Myślę, że po telefonie z banku Inger się przeraziła. Wybiegła z domu, chwyciła cegłę z pobliskiej budowy i uderzyła Ruth Nedermier w głowę, prawdopodobnie od tyłu. Gdy powiedziała o tym Leroyowi, nie chciał z tym mieć nic wspólnego, ale zachował z nią związek uczuciowy.

Przed stawieniem się przed sądem Inger przyznała się do winy i została skazana na siedemdziesiąt pięć lat więzienia. Teraz odsiaduje swój wyrok.

Nota wydawcy

Nazwiska: Leroy Harding, Phillip senior i junior, Darlene, Rhonda i Margaret Mays są fikcyjne, nie ma bowiem potrzeby, by czytelnicy identyfikowali ich osoby.